

PAWEŁ ZAREMBA

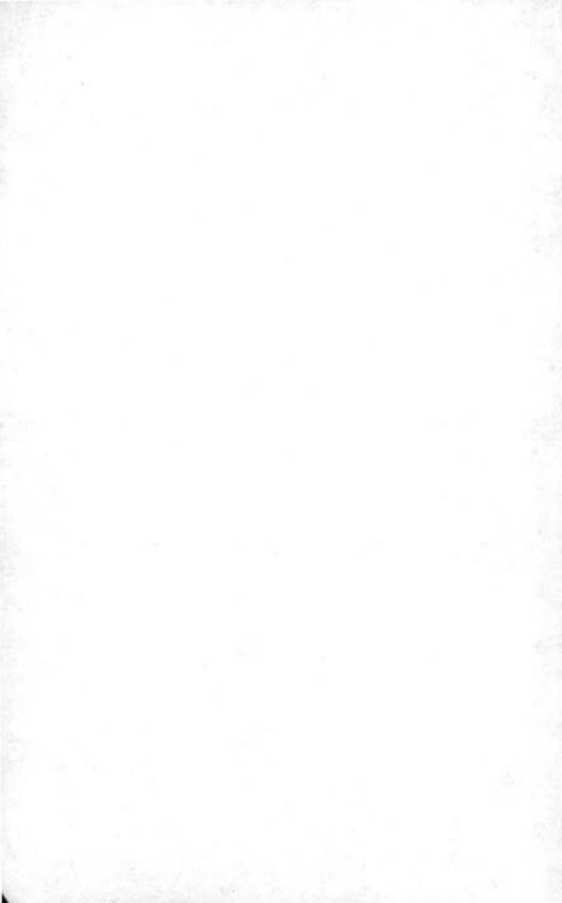
HISTORIA DWUDZIESTOLECIA (1918 - 1939)



INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1981



**HISTORIA DWUDZIESTOLECIA
(1918-1939)**

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 333

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

120, - 5
PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA DWUDZIESTOLECIA

(1918 - 1939)

Do druku przygotował
MAREK ŁATYŃSKI

TOM II

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1981

BIBLIOTEKA NARODOWA
WARSZAWA



30001000472078



© COPYRIGHT INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., PARIS, 1981.
91, AV. DE POISSY, LE MESNIL-LE-ROI PAR MAISONS-LAFFITTE

2008W92/31

CZĘŚĆ DRUGA
SPRAWY WEWNĘTRZNE

POCZĄTKI

Jakie było położenie Polski, jakie troski i nadzieje jej obywateli, jakie problemy czekały na pilne rozwiązanie w chwili, gdy kończyła się wojna polsko-bolszewicka? Pytania tego rodzaju nie są przejawem literackiej ciekawości, mogącym podniecić autora powieści obyczajowych. Bo wiele z trosk, nadziei i problemów nie straciło do dziś swej aktualności. Inne rozwiązanie znalazły, stwarzając tym samym podstawy pod zjawiska trwające do dziś i do dziś ważne. Do takich problemów należy przede wszystkim zatarcie różnic dzielnicowych powstałych w okresie rozbiorów. Innymi słowy — pełna integracja narodowa w obrębie wspólnej, własnej państwowości.

Od tego właśnie zagadnienia, jako podstawowego, należałoby może rozpocząć analizę ówczesnego położenia Polski, gdy tak zwane pochodzenie dzielnicowe odgrywało ogromną rolę nie tylko w codziennym życiu, ale także w całokształcie zagadnień państwowych. Bo w zależności od miejsca zamieszkania i przyzwyczajenia do warunków życia w tym miejscu zamieszkania układały się poglądy na dosłownie wszystko: na życie gospodarcze, na stosunki socjalne, na wychowanie i szkolnictwo, na tryb życia codziennego, na ideały, o które chciano walczyć, na doktryny polityczne.

Nazajutrz po odzyskaniu niepodległości stanęło państwo polskie przed tak wielkimi trudnościami strukturalnymi, że u wielu obserwatorów obcych rodziły się wątpliwości, czy Polska trudnościom tym podoła. W wypadku naszych sąsiadów zachodnich i wschodnich wątpliwościom tym towarzyszyła po prostu nadzieja, że byt Polski niepodległej nie zdoła okrzepnąć.

Jednolita była w tym czasie Polska tylko pod jednym względem. Wśród wszystkich Polaków panowała jednomyślność, że niepodległe państwo polskie jest ich prawem i pragnieniem. A wszystkie obawy dotyczące przyszłości malały i cichły w obliczu faktu, iż o utrzymanie niepodległości — nie o jej umocnienie, lecz po prostu o jej ocalenie — trzeba było walczyć z bronią w rękę. Często mówiono i pisano w prasie „o obronie granic przed nieprzyjacielem z zewnątrz”, lub inaczej i bardziej poetycznie o ich wykuwaniu w walce zbrojnej. W rzeczywistości jednak walka toczyła się o zachowanie niepodległości. Ten charakter przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, miała wojna polsko-bolszewicka.

Państwo polskie powstawało więc wśród walk o poszczególne części swego terytorium. Śmiertelne zagrożenie nakazało skupienie wszystkich sił narodowych wszystkich dzielnic na potrzeby wojny. Jest pozornym paradoksem historii, że dwa pierwsze lata niepodległości Polski, której trzeba było bronić, wzmocniły te wartości psychiczne, które stanowiły o pełni świadomości narodowej i o woli samodzielnego bytu państwowego. Był to pozytywny skutek niebezpieczeństw wojennych. Lecz miały one także odwrotną stronę. Pogłębiały trudności gospodarcze, opóźniały reformy społeczne i nie pozwalały na stworzenie konsekwentnego planu niwelacji różnic między dzielnicami zaborczymi, gdzie dalej obowiązywały różne systemy prawne, odmienne układy sił społecznych i krańcowo różne systemy gospodarcze. W tym okresie głównym niwelatorem różnic, podstawowym czynnikiem pracującym nad zespoleniem narodowym i nad łagodzeniem lokalnych nawyków i umiłowañ było wojsko polskie. Jego zespolenie z tak różnych części składowych było dla społeczeństwa przykładem i najwyraźniejszym symbolem jedności. Wojsko polskie — pomimo swych braków materiałowych i często organizacyjnych — było w tym okresie nie tylko najważniejszą, ale i najsprawniej funkcjonującą instytucją ogólnopolską.

A także instytucją jednoczącą przedstawicieli wszystkich klas społecznych, zarazem dowodem i szkołą patriotyzmu biorącego górę nad różnicami interesów socjalnych i gospodarczych. Nie była to pod żadnym względem armia zawodowa. Ani gdy o jej strukturę chodzi, ani gdy chodzić by mogło o tradycje. Nie była to od dawna istniejąca maszyna o działaniu automatycznym niejako, która wchłaniała rekruta z poboru, przerabiając go na swoją modłę. Była to armia z samego założenia i przeznaczenia obywatelska, gdzie podstawą istnienia poszczególnych jednostek były improwizacja i wysiłek samego społeczeństwa. Nawet wtedy gdy

większość żołnierzy miała doświadczenie bojowe wyniesione z armii obcych, podstawa zaciągu była ochotnicza, dobrowolna. Żołnierz z poboru nie stanowił nigdy większości, a nawet wtedy, gdy z poboru pochodził, nie widział w nim przymusu, tylko potrzebną formę organizacyjną. Spontaniczność, jeśli nie stuprocentowa dobrowolność służby wojskowej miała zapewne także ujemne cechy, jak niejednolity system wyszkolenia i nadmiar żyłki improwizacyjnej — niemniej była jednocześnie symbolem powszechnego entuzjazmu obywateli młodego państwa i entuzjazmu tego źródłem czy podniętą. Ta przemożna w sensie psychicznym przede wszystkim rola wojska, które tworzyło się w walce, nadaje szczególne piętno dziejom dwóch pierwszych lat istnienia niepodległego państwa polskiego.

Byłoby jednak błędem sądzić, że całokształt życia Polski rozwijał się w cieniu zagadnień związanych z wojną. Stosunek społeczeństwa do wysiłku zbrojnego przechodził różne fazy i różne stopnie natężenia, różne w poszczególnych okolicach kraju. Zależało to od wielu czynników, niezwiązanych bezpośrednio z nastrojami społeczeństwa. Ważny był na przykład взгляд ściśle praktyczny, który kazał hamować raczej niż przyspieszać rozbudowę wojska. Polegał on po prostu na tym, że brak było nie chętnych do włożenia munduru, lecz mundurów. Nie w znaczeniu dosłownym oczywiście, lecz w znaczeniu symbolizującym możliwości organizacyjne i gospodarcze. Myślę o braku amunicji, uzbrojenia, środków łączności i środków dowozu, myślę o braku wyszkolonej kadry dowodzenia i braku warunków szkoleniowych. Myślę też o braku żywności. W całej Polsce, zdewastowanej wojną światową, z wyjątkiem może jednej Wielkopolski, panowały nędza i zastój przemysłowy, spowodowane brakiem renowacji maszyn, brakiem surowców, często brakiem fachowców, a zawsze zupełnym niedostatkiem środków kredytowych i inwestycyjnych. W rolnictwie brak było nawozów sztucznych, brak narzędzi, często brak ziarna siewnego. Tabor kolejowy był zniszczony i było go bardzo mało. Zniszczona była ponad połowa mostów drogowych. Od kilku lat nie budowano w ogóle lub nie konserwowano mieszkań w miastach, a wiele wsi i miasteczek leżało po prostu w gruzach. Wszędzie widać było skutki kilkakrotnego przetaczania się frontów, eksploatacyjnej gospodarki władz okupacyjnych niemieckich czy austriackich. Dla przeciętnego obywatela utrzymanie siebie i rodziny przy życiu było nie tylko najważniejszym, ale i najtrudniejszym zadaniem. Państwo nie miało ani skarbu, ani jednolitej administracji, nie mogło ściągać podatków, nie mogło nawet ułożyć budżetu. Nie

miało zresztą jeszcze własnej waluty i musiało dokonywać operacji kredytowych i pożyczkowych w oparciu o zupełnie nierealne należności od byłych rządów zaborczych oraz o dobrą wolę obywateli.

W tych warunkach niewiele było środków na utrzymanie i rozbudowę wojska. A jednak trzeba było środki te zdobywać i zdobywano je. Obowiązywała jednak przy tym jak najdalej posunięta oszczędność, co niekiedy rozgoryczało żołnierza frontowego, a zawstydydzało społeczeństwo. Bo nikt nie kwestionował konieczności walki. Nikt z wyjątkiem komunistów — nielicznych, choć niekiedy hałaśliwych. Lecz byli oni poza marginesem społeczeństwa.

Z faktu, że wojna z Rosją leninowską toczy się o niepodległość Polski, a nie o przebieg linii granicznej na Wołyniu czy na Polesiu społeczeństwo zdało sobie w pełni sprawę w chwili szczytowego niebezpieczeństwa, jakim był marsz Armii Czerwonej na Warszawę, Płock i Toruń. Był to okres mobilizacji moralnej, która objęła cały naród, wszystkie dzielnice kraju i wszystkie warstwy społeczne. I pozostało po niej poczucie ogólnej solidarności. Zwycięstwo zaś zaszczepiło w umysłach Polaków konieczny także dla dalszej pokojowej pracy ładunek optymizmu i wiary we własne siły.

GOSPODARKA

I

Główną ceną, jaką naród polski płacił za swój zwycięski wysiłek wojenny, było opóźnienie odbudowy gospodarczej zrujnowanego kraju — z wszystkimi tego opóźnienia konsekwencjami na polu społecznym. Była to cena nieunikniona i zapłacić ją było trzeba. Tego faktu nikt nie kwestionował. Lecz była to cena ciężka i skutki trwać miały długo, kto wie, czy nie przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego, choć oczywiście były i inne przyczyny zapóźnienia gospodarczego Polski, nieznane w innych krajach. Niektóre z tych przyczyn nie straciły swej mocy do dziś. Wśród nich wymienić warto brak umiejętności syntezy

gospodarczej, koniecznego warunku racjonalnej działalności i racjonalnego planowania. Ale kiedy po Traktacie Ryskim i po trzecim Powstaniu Śląskim sporządzano bilans osiągnięć dwóch i pół lat istnienia państwa polskiego i zastanawiano się, co należy robić dalej, władze państwowe nie miały na sumieniu zbyt wielu popełnionych błędów, a dużo miały na swe usprawiedliwienie. Bo dziedziczyły po zaborcach gospodarkę nie tylko zdewastowaną, lecz przede wszystkim całkowicie decentryczną, zbudowaną wokół obsługi interesów obcych, z celowym zaniedbaniem interesów polskich — nawet lokalnych, to znaczy zamkniętych na obszarze jednego zaboru. Poznańskie służyło za spichlerz dla Niemiec, w zamian za co czerpało pożywkę z przemysłu niemieckiego. Śląsk był częścią całości przemysłu niemieckiego, jego produkcja odbywała się w oparciu o całość produkcji niemieckiej. Jego rynki zbytu leżały w Saksonii lub nad Renem, jego możliwości eksportowe wiodły przez Hamburg lub Bremę. Były zabór austriacki był przeludnionym krajem rolniczym, nie mogącym podobać własnym potrzebom żywnościowym, o nierozwiniętym i kulejącym przemyśle, gdzie od dziesiątków lat zatykano niedobory gospodarcze z budżetu państwowego monarchii austro-węgierskiej. Gorzkie określenie „nędza galicyjska” nie było ani przesadą, ani złośliwością. Było po prostu bardzo trafne.

„Kongresówka” czyli Królestwo Polskie była na tle stosunków gospodarczych i społecznych imperium rosyjskiego oazą szczęśliwości. W przeciwieństwie do Galicji, która w monarchii austro-węgierskiej była najuboższą prowincją. Lecz szczęśliwość Kongresówki była, rzecz jasna, pojęciem bardzo względnym. Wysiłek przemysłowy skierowany był na chłonny rynek rosyjski, który stał się terenem zupełnie martwym już w roku 1914. Lata wojny i okupacji niemieckiej przyniosły kompletny zastój, potęgowany celową dewastacją. Ponadto Kongresówka nie była krajem przemysłowym, pomimo istnienia przemysłu. Była przede wszystkim krajem rolniczym o bardzo różnorodnym stopniu rozwoju kultury upraw, o nierównej jakości gleby, lecz o powszechnym dużym zadłużeniu zastawniczym. Powiaty względnie zasobne sąsiadowały z okolicami biednymi o wyniszczonej glebie i przeludnionej wsi. Niektóre okolice, jak na przykład Kielecczyzna, dziedziczyły ubóstwo jeszcze z czasów przedrozbiorowych, pogłębiając biedę z pokolenia na pokolenie.

I wreszcie dla pełni obrazu Kresy Wschodnie, czyli województwa przypadłe Polsce w Traktacie Ryskim, pozbawione całkowicie przemysłu, zdobywające do niedawna jedyny gotowy grosz z handlu drzewem. Gospodarka obszarnicza przez sześć

lat wojny upadła całkowicie, gospodarka chłopska, na bardzo niskim poziomie, zawsze niezdolna była do produkcji jakichkolwiek nadwyżek. Problemy socjalne, różne w różnych dzielnicach Polski etnicznej, łączyły się tu z problemami językowymi czy narodowościowymi i religijnymi. W oczach każdej nowoczesnej koncepcji gospodarczej — obojętnie, jaka by nią rządziła doktryna — był to kraj dziewiczy. Nie pod względem bogactwa zasobów, gdyż tych nie było wiele, lecz pod względem organizacji życia gospodarczego.

A więc mozaika z ciemnych raczej zbudowana częsteczek. Nie była nowopowstała Polska jednolitym obszarem gospodarczym. Przeciwnie — była zlepkiem. Jeśli były w sensie gospodarczym cechy wspólne, to należały do kategorii ujemnych. Tu na pierwszy plan wysuwa się wadliwa organizacja handlu. Wewnętrznego i zagranicznego. Łączyła się z tym sprawa źródeł kredytowych i inwestycyjnych, które w dużym stopniu pozostały poza granicami Polski.

W tej sytuacji zadziwia, ile młode państwo polskie zdołało zdziałać i naprawić w ciągu dwóch i pół lat swego istnienia, które wypełniał wysiłek obronny na kilku jednocześnie frontach.

II

Na przełomie roku 1920 i 1921 wojsko wracało do swych garnizonów i ulegało częściowej demobilizacji. Częściowej, gdyż niewyjaśniona ciągle sytuacja plebiscytowa na Górnym Śląsku nie pozwalała na radykalne zmniejszenie stanów bojowych. Liczono się z możliwością wojny z Niemcami i aż do jesieni 1921 roku utrzymywano stan pogotowia bojowego. Pod bronią pozostawało ciągle prawie 700 tysięcy ludzi. Dopiero w roku 1922 mogła przejść Polska na etat pokojowy w swych siłach zbrojnych, wynoszący nieco ponad 200 tysięcy ludzi, z czego większość stanowić już miały nowe roczniki z nowego, pokojowego zaciągu.

Powrót tak poważnej liczby zdemobilizowanych żołnierzy do życia cywilnego, „do domu”, stwarzał rzecz jasna poważny problem w kraju gospodarczo całkowicie zdewastowanym. Pamiętać trzeba, że nie był to problem typowo polski. Odczuwały go boleśnie także państwa tak zasobne jak Wielka Brytania, a po

części nawet Stany Zjednoczone. W Polsce sytuacja była oczywiście lepsza, a to z następujących przyczyn. Większość żołnierzy wracała „na wieś”, czyli do swego rolniczego środowiska. Nadwyżka siły roboczej była w rolnictwie, z wyjątkiem Poznańskiego i Pomorza, i tak ogromna. Powiększenie się jej o zdemobilizowanych żołnierzy nie polepszało położenia, lecz także nie zmieniało go w sposób radykalny na gorsze. Po wtóre, przeciętny bardzo młody wiek żołnierzy sprawiał, iż wielu z nich wracało po prostu do szkoły średniej, zawodowej czy ogólnokształcącej, nie stwarzając jeszcze konkurencji na rynku pracy.

Demobilizacja nie pociągnęła więc za sobą wyraźnego wzrostu bezrobocia, co było udziałem państw zachodnich, wysoce uprzemysłowionych. Tym bardziej, że rezultatem nie tylko ostatniego okresu sześcioletniej wojny, ale i okresu poprzedniego, to znaczy okresu okupacji niemieckiej, było rozproszenie się znacznej części robotników fabrycznych po innych zawodach, z tym wynikiem, że w roku 1919 i później odbudowę przemysłu utrudniał i hamował nie tylko brak rezerw kapitałowych i stąd posucha inwestycyjna, lecz także brak wykwalifikowanej siły roboczej.

Sytuacja wyglądała lepiej w byłym zaborze austriackim — z tym jednak, że przemysł był tam słabszy, a w każdym razie niewystarczający na pokrycie nawet najskromniej pojętych potrzeb konsumpcyjnych ludności. Dawna Galicja zdana była do wojny na import z innych części monarchii austro-węgierskiej, głównie z Czech. Obecnie od dwóch już lat to źródło dostaw nie działało z przyczyn przede wszystkim politycznych, lecz także dlatego, że jako klient społeczeństwo dawnej Galicji było po prostu niewypłacalne. Najzdrowiej i najmocniej gospodarczo przedstawiał się były zabór pruski, z tym, że Górny Śląsk jako teren sporny ciągle jeszcze nie zaliczał się do polskiego obszaru gospodarczego. Poznańskie i Pomorze nie zaznały w czasie wojny światowej zniszczeń wojennych, nie zaciążyła też na nich — jak to określano w reszcie Polski — „łapa okupanta”. Niedostatek, często głód, jaki był udziałem Rzeszy Niemieckiej od 1917 roku, łatwiej było pokonać w Poznańskim jako w kraju rolniczym, w dodatku o wysoko postawionej produkcji rolnej. Pod niejednym względem wojna światowa wzbogaciła Poznańskie, co odbiło się natychmiast na rozroście drobnego przemysłu. Nie wystarczał on oczywiście na załatwienie luk w całokształcie przemysłu polskiego, lecz był zupełnie wystarczający na potrzeby własne. A o ich zaspokojenie Poznańskie dbało bardzo, wykorzystując swą szczególną sytuację samorządową i administracyjną. Dobiwszy się wolności własnym wysiłkiem, dając państwu polskiemu

bezcenny wkład w postaci świetnie zorganizowanych i wyposażonych oddziałów wojskowych, Poznańskie odkładało jak najdłużej integrację gospodarczą z resztą kraju — przynajmniej do czasu skryształizowania się ogólnopolskiej polityki gospodarczej i uporządkowania chaotycznych spraw walutowych i kredytowych. Dość długo utrzymała się na przykład granica celna lub raczej kontrola wywozu żywności przez osoby prywatne z Poznańskiego poza Prosnę. Dywizje wielkopolskie na dalekich frontach nawet po ostatecznym scaleniu organizacyjnym całego wojska polskiego utrzymały własny, odrębny i bardzo sprawny system zaopatrzenia. Resztki kompetencji Naczelnej Rady Ludowej przetrwały aż do roku 1923, kiedy to nastąpiła likwidacja odrębnego „ministerstwa byłej dzielnicy pruskiej”.

Zaznaczyć trzeba od razu, że ochrona własnej gospodarki nie łączyła się w Poznańskim z żadnymi tendencjami separatystycznymi, o co jakże niesłusznie w swych krytykach posądжали je obywatele z innych części kraju. Z odrębności gospodarczej Poznańskiego wyłoni się też tylko silny system samorządowy, wzór nieziszczalny w innych województwach.

Niemniej także Poznańskie nie uchroniło się, bo się uchronić nie mogło, od skutków długotrwałego chaosu gospodarczego w całej Polsce. Jest rzeczą znamionną, choć bynajmniej nie zdumiewającą, że skutki te wystąpiły jaskrawiej z chwilą ustania działań wojennych, choć demobilizacja prowadziła do zmniejszenia wydatków na wojsko. Suma wydatków państwowych w pierwszych trzech latach istnienia niepodległego państwa wyniosła 302 miliardy marek polskich. Suma ogółu wpływów nie przekroczyła 102 miliardów, licząc w tym szczupłe pożyczki zagraniczne i wewnętrzne. Niedobór pokrywano jedynym dostępnym sposobem, to znaczy emitowaniem nowych serii banknotów papierowych. Innymi słowy — przy pomocy inflacji. Ilość marek w obiegu w grudniu 1918 roku nie przekraczała 5 miliardów. W końcu 1920 roku dosięgła dopiero 45 miliardów. Lecz już na jesieni roku 1921 przekroczy 200 miliardów.

Od grudnia tego roku aż po przeprowadzenie reformy walutowej inflacja poczyni ogromne postępy, nie sięgając jednak cyfr tak astronomicznych jak w Niemczech. W chwili zakończenia wojny bolszewickiej sytuacja nie była katastrofalna, co było w dużej mierze zasługą optymizmu i wiary społeczeństwa w skuteczność reform gospodarczych, gdy tylko dadzą się przeprowadzić. Panowało przekonanie czy nadzieja, że warunki pokojowe nastające po długim okresie gospodarki wojennej pozwolą na auto-

matyczne niejako usunięcie większości przeszkód stojących na drodze do ogólnej poprawy.

Zjawisko to charakterystyczne dla społeczeństw o małym wyrobieniu gospodarczym. Zawsze niebezpieczne, w pewnym sensie jednak odniosło zbawienny skutek, nie dopuszczając do paniki i całkowitej anarchii rynkowej. Bezsprzecznie działalność władz państwowych w walce z drożyzną znajdowała przychylny odzew w większości społeczeństwa. Znikanie towarów z rynku, towarzyszące z reguły gospodarce inflacyjnej, a nazywane w latach dwudziestych „paskarstwem”, potępiano surowo w prasie i w opinii, co często było bronią nie mniej skuteczną niż zarządzenia typu policyjnego. Ustawa o ochronie lokatorów, pewnego rodzaju nowość w ówczesnej Europie, zapobiegała dość skutecznie wyzyskowi czynszowemu, godzącemu przede wszystkim w świat pracy i mieszkańców miast. Nie mogła wiele zdziałać dla poprawienia sytuacji mieszkaniowej, tragicznie ciężkiej wobec braku kapitałów i materiałów budowlanych, stwarzała jednak dla warstw najuboższej dotkniętych drożyzną tak bardzo potrzebne poczucie bezpieczeństwa przynajmniej na odcinku czynszów. Podobnie zbawienną rolę — choć może mniej w praktyce skuteczną — odegrała w wielu szczegółach niedoskonała kontrola cen żywności.

Sytuacja aprowizacyjna była zagadnieniem kluczowym. Wywoływała też najwięcej obaw. Obawy te zahamowały wykonanie najważniejszej ze wszystkich reform, jaką była reforma rolna.

Polska weszła w swój byt niepodległy pod hasłem reform społecznych. Jako dezyderat wysuwały się na czoło wszystkich wewnętrznych zagadnień państwowych. Reformom poświęcał też najwięcej uwagi Sejm Ustawodawczy przez cały czas zagrożenia wojennego. Polska była jedynym z nowopowstałych państw europejskich, które zdobyło się na wprowadzenie ochrony pracy i opieki społecznej, zanim jeszcze nawiązało stosunki dyplomatyczne i zanim zebrał się pierwszy Sejm. Sytuacja wojenna, ciężkie położenie gospodarcze, chaos walutowy, niemożność ułożenia budżetu państwowego, wadliwy wymiar podatkowy i niesprawny aparat ściągania podatków — wszystkie te czynniki nie doprowadziły do ograniczenia czy zawieszenia klauzul wykonawczych reform społecznych.

Podstawową dla przyszłości państwa i dla kierunku jego rozwoju gospodarczego była reforma rolna. Lecz jej wykonanie było przedmiotem zaciętych kontrowersji. Napotkało na przeszkody, których nie zdołano pokonać. Nie z powodu reakcji politycznej

przeciwko reformie, gdyż ta pojawiła się znacznie później, lecz właśnie z uwagi na sytuację aprowizacyjną kraju, którą każdy wstrząs, każda reorganizacja mało wydajnej produkcji rolnej mogła doprowadzić na skraj katastrofy.

W I E Ś

I

Niedostatek żywności ciążył w pierwszych latach niepodległości nad życiem codziennym ogromnej większości obywateli państwa z wyjątkiem mieszkańców ziem zaboru pruskiego, posiadającego zdrową strukturę rolnictwa. Mówiąc o „zdrowej strukturze” mam na myśli zagadnienia ściśle gospodarcze, produkcyjne. Gdyż w dziedzinie społecznej, w dziedzinie aspiracji i dezyderatów ludności chłopskiej także i na tych obszarach panował stan daleki od ideału. I choć brak nędzy na wsi i długa tradycja solidarności międzyklasowej, której Poznańskie zawdzięczało zarówno uchowanie swej polskości jak i znośne — w porównaniu z innymi dzielnicami Polski świetne — położenie gospodarcze, odbierały problemom społecznym ostrze walki klasowej. Niemniej także tam istniało dążenie do stworzenia sprawiedliwszej struktury własności rolnej. Istniał także głód ziemi wśród ludności chłopskiej.

W pozostałych dzielnicach Polski, zwłaszcza zaś w Małopolsce zachodniej i na większości terytorium byłego Królestwa, problemy społeczne wsi i problemy produkcji rolnej, gdy na nie spojrzeć od strony ogólnych potrzeb gospodarczych kraju, wiązały się ze sobą w jedną nierozdzielną całość. Warunki życia nie pozwalały rozpatrywać zagadnienia wydajności upraw, racjonalizacji i uprzemysłowienia gospodarstwa rolnego w oderwaniu od dezyderatów społecznych lub — jeśli kto woli tę nazwę — klasowych.

I ta właśnie symbioza dwóch zespołów zagadnień, z których każdy był dla przyszłości kraju podstawowym, nadawała szczególne piętno zamysłom reformy rolnej. Co ważniejsze — nadała

też szczególne piętno jej stronie wykonawczej. Skutki tego powiązania nie były szczęśliwe, gdyż ciągle w coraz to nowej postaci wyłaniał się konflikt między palącymi wymogami gospodarczymi całego kraju a postulatami społecznymi chłopów. A raczej — by być bliższym prawdziwego obrazu stosunków społecznych panujących na wsi polskiej — między wymogami gospodarczymi całego kraju a dezyderatami ludności żyjącej z własnej pracy na roli, choć nie tylko na własnym kawałku ziemi. Ludności tej było w sumie 69 %, lecz i ta ogromna cyfra wymaga trudnej dziś do przeprowadzenia korektury statystycznej, z uwagi na to, jak wielką rolę dla utrzymania się drobnych rzemieślników i drobnych funkcjonariuszy administracyjnych oraz przemysłu usługowego, zwłaszcza kolejnictwa, odgrywały pół-ogrodnicze, pół-rolnicze działki ziemi. Ludzie ci byli niejako prototypem dzisiejszych chłopo-robotników.

Nie oni jednak stanowili rdzeń społecznego problemu polskiego rolnictwa. Rdzeń ten stanowiły ogromne masy ludności bezrolnej i małorolnej. Ludność bezrolną obejmowano wówczas demograficznie niezbyt ścisłą nazwą „robotników rolnych” czy „służby folwarcznej”. Położenie tej grupy nie było jednolite, gdyż było ono pochodną stanu kultury rolnej w poszczególnych okolicach, co wiązało się z kolei ze stanem zadłużenia i rozmiarami dewastacji wojennej, jaka dotknęła zarówno wielką własność ziemską jak i gospodarstwa chłopskie, na tyle zasobne, że posługiwać się mogły lub musiały pracą najemną. Bez względu jednak na jej położenie materialne bezrolna grupa ludności wiejskiej znajdowała się w szczególnie ciężkim położeniu społecznym. Przyczyną było zupełnie arbitralne ustawodawstwo pracy lub raczej całkowity jego brak. Stan ten naprawiano po części już w ciągu pierwszych dwóch lat istnienia niepodległej Polski, przynajmniej gdy chodzi o „służbę folwarczną” w drodze bądź to ustawodawstwa ochronnego, dalekiego od doskonałości, bądź też pod naciskiem komitetów folwarcznych, którym udawało się niekiedy doprowadzić do zawarcia indywidualnych umów o pracę z właścicielami majątków obszarnczych. Komitety te były czynne głównie w okolicach Płocka i w Lubelskiem, pozostając pod wpływami przede wszystkim „Wyzwolenia”, a także PPS. Strajki, zwane zupełnie niesłusznie „chłopskimi”, których nasilenie przypadło na lato 1919 i jesień 1920 roku, były w rękę robotników rolnych bronią wcale skuteczną.

Nic dziwnego, że bezrolna ludność rolnicza wykazywała najbardziej radykalne tendencje i jej to właśnie nacisk zmuszał do aktywności posłów stronnictw ludowych zasiadających w Sejmie

Ustawodawczym. W tym samym kierunku przyspieszenia reformy rolnej szły naciski ludności małorolnej, to jest gospodarującej na działkach karłowatych. Były one najczęściej niewystarczające dla zabezpieczenia egzystencji rodziny chłopskiej. Tym samym były też pozycją martwą w ogólnej gospodarce narodowej, gdyż nie miały żadnej zdolności wyprodukowania nadwyżek, potrzebnych na zaspokojenie potrzeb żywnościowych miast i ośrodków przemysłowych.

Na tym tle właśnie, na tle fatalnego stanu aprowizacji kraju, wyłaniał się od pierwszych niemal dni działalności Sejmu Ustawodawczego konflikt między interesem gospodarczym całego kraju a dezyderatem sprawiedliwości społecznej w strukturze rolnictwa polskiego. Konflikt ten był dodatkowo trudny do rozstrzygnięcia dlatego, że po części nieznaną była sytuacja gospodarczych, typowa dla całego społeczeństwa, po części zaś idealistyczne podejście stronnictw i działaczy społecznych nie pozwalały nazwać go po imieniu. Z przeglądu ówczesnej prasy polskiej, a także z lektury przemówień sejmowych i wiecowych wnosić by można, że sprawa aprowizacji kraju i sprawa reformy rolnej nie miały ze sobą żadnego związku, tak jakby można było każdy z tych problemów załatwić osobno. W argumentacji zwolenników reformy rolnej, zwłaszcza jej radykalnych form, zadziwiająco mało było elementów ekonomicznych, a w każdym razie ustępowały one wstydliwie pierwszeństwa postulatowi ściśle społecznemu. W argumentacji przeciwników radykalnej reformy rolnej element racjonalnej z punktu widzenia całości potrzeb gospodarczych kraju produkcji rolnej pojawiał się częściej. Lecz i tutaj ginął najczęściej w powodzi haseł ideologicznych w rodzaju „nienaruszalności prawa własności” lub zasług narodowych, przeszłych, obecnych i przyszłych, jakie uzasadniać miały obronę większej niż gospodarstwo chłopskie własności ziemskiej i warstwy ziemiańskiej, będącej podmiotem tej własności.

Nie od rzeczy jednak będzie podkreślić raz jeszcze i to właśnie w tym miejscu, że reforma rolna jako konieczność społeczna nie miała w Polsce przeciwników, przynajmniej jawnych. Spory ograniczały się do jej rozmiarów, tempa jej przeprowadzenia oraz metody, jaką należy zastosować. Jest to zjawisko dla ówczesnej Polski równie charakterystyczne jak sprowadzenie w praktyce całego zagadnienia reformy rolnej do sprawy parcelacji ziemi. Czyli jej podziału. Wszystkie inne sprawy — kredyty rolne, zwłaszcza inwestycyjne, dystrybucję nadwyżek produkcji, intensyfikację produkcji, szkolnictwo zawodowe, planowanie kul-

tur rolnych i ich racjonalizację — rozpatrywano jako wtórne, prawie na marginesie sprawy parcelacji.

Zjawisko to może dziwić. Jest jednak na tle ówczesnych poglądów, dążeń i nadziei całego społeczeństwa w gruncie rzeczy zrozumiałe. Wymarzona i z tak wielkim trudem zdobyta niepodległość państwowa zdawała się stwarzać nieistniejące dotychczas warunki dla pozytywnego załatwienia wszystkich bolączek. A więc i gospodarczych. Ważniejsze jednak od spraw gospodarczych zdawały się mocne i sprawiedliwe podstawy nowej, polskiej struktury społecznej. Reforma rolna, przeprowadzona właśnie pod kątem sprawiedliwości społecznej, zdawała się sprawą najważniejszą. Trzeba dodać, że była sprawą najważniejszą, skoro tak ogromny procent Polaków żył na ziemi i z ziemi. Rolnictwo traktowano w tym układzie nie jako część gospodarstwa narodowego, lecz jako fundament ustroju, jako swego rodzaju cechę wyróżniającą narodu polskiego. „Chłopskość” wolnego narodu polskiego, „ludowość” jego ustroju i kultury traktowano nie tylko jako rzeczywistość, lecz jako swego rodzaju przeznaczenie i świętość narodową. W tym duchu myślał i pracował pierwszy Sejm Rzeczypospolitej, sejm wybitnie ludowy czyli chłopski.

Wadą „Uchwały” o reformie rolnej było pozostawienie strony wykonawczej przyszłemu ustawodawstwu, co stwarzało atmosferę niepewności i przedłużało możliwość dalszych sporów i dyskusji. Ostateczną formę ustawową otrzymała reforma rolna dopiero w roku 1925, już po uporaniu się Polski z innymi problemami gospodarczymi. Uchwała nie zapobiegła zwłaszcza „dzikiej parcelacji”, czyli sprzedaży ziemi w wolnym handlu jako zabezpieczeniu przed przymusową parcelacją. Została jednak dobrze przyjęta przez ogół ludności rolniczej jako zapowiedź reformy racjonalnej. I choć przez dwa lata wojenne, 1919 i 1920, zdołano rozparcelować zaledwie 66 tysięcy hektarów, rok 1921 przyniósł już parcelację 180, a następny 200 tysięcy hektarów.

Niemniej właśnie w roku 1921, pierwszym roku pokoju na ziemiach polskich, społeczeństwo uświadomiło sobie tragiczny stan produkcji rolnej, która osiągnęła dopiero połowę wydajności z roku 1914, choć obszar ziemi leżącej odłogiem zmalał z 3 milionów hektarów w roku 1919 do miliona 300 tysięcy. Problem braku żywności dla całego kraju, łącznie z ludnością rolniczą, zarządzić się w całej jaskrawości. Reforma rolna mogła mu zaradzić, lecz tylko w połączeniu z odbudową całego życia gospodarczego. Nie była bowiem, jak wielu wierzyło, lekarstwem uniwersalnym.

II

W roku 1921 zagrożenie wojenne ustało, granice państwa były wytyczone. Wydawało się więc, że na reformie rolnej skupi się cała energia władz państwowych.

Stało się inaczej. Nie dlatego, by zagadnienie przestało być podstawowym i na pewno nie z braku zainteresowania posłów w Sejmie Ustawodawczym. Przyczyny były inne. Wszystkie wpływały ze złożoności zjawiska, które nie mieściło się ani w społeczno-politycznej treści hasła „reforma rolna”, ani w postanowieniach sejmowej „Uchwały”. „Uchwała” nie doprowadziła do reformy radykalnej, jaką przeprowadzono w Czechosłowacji lub w państwach bałtyckich, w których rozdzielono natychmiast i bez odszkodowania całą własność obszarniczą. Lecz w państwach tych problem był uproszczony z tego względu, że cała wielka własność z małymi tylko wyjątkami pozostawała od stuleci w rękach obcych, przede wszystkim niemieckich. Obszarnictwo „baronów kurlandzkich” było nie tylko zagadnieniem gospodarczym czy sprawą sprawiedliwości społecznej. Było także, a może przede wszystkim, sprawą polityczną, więcej — sprawą narodową. Nie chodziło tylko o wroga klasowego, chodziło o ciemieźcę w sensie narodowym, sprzymierzeńca i podporę caratu lub monarchii habsburskiej. W Polsce, wyłączwszy własność skupioną w rękach Niemców czy Rosjan, która także była widomą pamiątką walki narodowej, ziemiaństwo było polskie. W wielu wypadkach patriotycznie polskie. Przyznawano mu znaczną część zasługi w walce z zaborcami. Włączyło się od razu w życie polityczne Polski niepodległej, biorąc w nim udział jak najbardziej czynny, nie rezygnując nawet z ambicji przywódczych, a w najlepszym razie nie wahając się użyć swoich wpływów dla obrony swych interesów klasowych.

Lecz nie tylko walka między interesami klasowymi i założeniami programowymi stronnictw politycznych stawała na przeszkodzie sprawnemu i szybkiemu przeprowadzeniu reformy. Założenia reformy rolnej kładły główny nacisk na zagadnienie sprawiedliwości społecznej. Problematyka gospodarcza sprowadzała się w dyskusjach, nawet w Sejmie, do parcelacji tego zapasu ziemi uprawnej, jaką uchwała sejmowa oddawała do dyspozycji państwowej władzy wykonawczej.

Zapasu tego nie było wiele. Z 25 milionów hektarów ziemi nadającej się pod uprawę płodów rolniczych pod parcelację przeznaczono około 4 i pół miliona. W całym dwudziestoleciu, ściślej

do roku 1937, rozparcelowano 2 i pół miliona. Największe nasilenie parcelacji zaznaczyło się w latach 1922 i 1927, w których podziałowi podległo po ćwierć miliona hektara rocznie. W latach późniejszych liczba ta spadła stopniowo poniżej 100 tysięcy hektarów rocznie, by podnieść się znowu wyraźnie w ostatnich dwóch latach przed drugą wojną światową. Bezpośrednio przed jej wybuchem przewidywano zakończenie parcelacji całego zapasu w ciągu następnych lat dziesięciu.

Ta krzywa statystyczna parcelacji odpowiada ściśle krzywej ogólnego rozwoju gospodarczego Polski. To znaczy — możliwościom kredytowym, sytuacji rynku wewnętrznego, zarówno na odcinku konsumpcyjnym jak i inwestycyjnym, oraz układaniu się bilansu płatniczego w obrocie z zagranicą. Ogólnoświatowy zastój gospodarczy, trwający od krachu giełdowego w Stanach Zjednoczonych w roku 1929 po rok 1934 czy 1935 odbił się jak najfatalniej na położeniu gospodarczym Polski, czego wyrazem było nie tylko zwolnienie tempa wzrostu rolnictwa, lecz także i przede wszystkim spadek cen płodów rolnych.

Kryzys lat trzydziestych był najbardziej brutalną, lecz dlatego najlepiej dla wszystkich zrozumiałą lekcją poglądową, że nie można oddzielać gospodarczej strony polityki rolnej ani przeprowadzać skutecznej reformy struktury rolnej w oderwaniu od całokształtu zagadnień gospodarczych kraju, nawet lub przede wszystkim wtedy, gdy jest to kraj tak mało uprzemysłowiony jak Polska.

Wydawać się może dziwne, że tego rodzaju lekcja poglądowa była w ogóle potrzebna dla zrozumienia spraw tak prostych. Tak jednak było. Oceniane od strony gospodarczej, zastosowanie metody ewolucyjnej w przeprowadzaniu parcelacji wielkiej własności było zapewne uzasadnione. Wspominaliśmy już, że odgrywała tu rolę obawa przed gwałtownym spadkiem produkcji rolnej, co mogło mieć tragiczne skutki dla aprowizacji miast i ośrodków przemysłowych. Zapobiec temu mogło jedynie wzmożenie produkcji. Wzmożenie to nastąpiło i to w tempie niespodziewanie szybkim. Lecz natychmiast pojawił się problem opłacalności produkcji nadwyżek i to właśnie w gospodarstwach chłopskich. Dodało to powagi argumentom prawicy i przeciwników reformy rolnej, gdy tłumaczyli, że parcelacja osłabia zdolność produkcji nadwyżek koniecznych dla aprowizacji miast, a bardzo potrzebnych na długą metę jako towar eksportowy.

Niemniej argumentacja tego rodzaju nie uwzględniała całego zespołu zagadnień gospodarczych, które należało uwzględniać w polityce rolnej. Tymczasem podzielono sprawy rolnicze między

dwa resorty rządowe. Jednym było ministerstwo rolnictwa, drugim ministerstwo reform rolnych. Tak jakby to były dwa zupełnie różne zagadnienia. Ministerstwo rolnictwa miało pomagać wzrostowi produkcji i racjonalizacji produkcji, pośrednio pracować nad zapewnieniem dopływu kapitałów potrzebnych na melioracje i urządzenia przemysłowe. Innymi słowy — miało zadania gospodarcze z dodatkiem problematyki ubezpieczeniowej. Ministerstwo reform rolnych miało administrować funduszami przeznaczonymi na parcelację i komasację gospodarstw rozrzuconych w szachownicę lub typu „grządkowego”. Lecz jego głównym zadaniem było ustalanie kolejności parcelacji poszczególnych obiektów wielkiej własności i decydowanie, komu parcelowana ziemia ma przypaść w udziale. Spełniało więc w rzeczywistości funkcję typu społecznego. Miało jak gdyby nadać splendoru i powagi reformie rolnej jako zagadnieniu politycznemu. Tak przynajmniej tłumaczyła sobie jego istnienie opinia publiczna.

I w dużej mierze opinia przyjmowała bez zastrzeżeń stan rzeczy polegający na fakcie rozdzielenia zagadnień polityki rolnej w sensie gospodarczym od spraw podziału ziemi. Zaważyło to poważnie na przebiegu reformy, wpłynęło z kolei na zwolnienie jej tempa, ułatwiło argumentację przeciwników reformy. Głównie dlatego, że poprawa położenia ludności wiejskiej nie następowała względnie następowała zbyt wolno i obejmowała zbyt mało ludzi.

Nie zaznaczała się poprawa tam zwłaszcza, gdzie była najbardziej palącym postulatem. Mianowicie w dziedzinie przeludnienia wsi. Przeludnienie wsi polskiej, najtragiczniejsze w dawnej Galicji, bolesne na Kielecczyźnie czy na Podlasiu, a nieznane w Wielkopolsce, przejawiało się w dwóch postaciach. W postaci odsetka ludzi gospodarujących na gospodarstwach karłowatych, często poniżej 2 hektarów, oraz w postaci masy wiejskiej ludności bezrolnej, żyjącej z wynajmu swej pracy na gospodarstwach chłopskich i obszarnczych. Pamiętano o tych sprawach i oczywiście zadawano sobie pytanie, choć nie było to wcale w roku 1919 czy 1920 pytanie powszechne, co ma się stać w przyszłości z tymi bezrolnymi, dla których ziemi nie może wystarczyć, nawet gdyby rozparcelowano całą wielką własność. I co się stanie z tymi gospodarstwami, które nie przemieniają się z karłowatych w opłacalne, lecz — przeciwnie — będą dalej karleć w drodze podziałów spadkowych.

Pytanie było oczywiste i oczywista była odpowiedź: nadwyżka ta powinna znaleźć pracę i utrzymanie poza rolnictwem.

Czyli w przemyśle produkcyjnym czy usługowym. W latach dwudziestych oceniano, że odejście 5 do 8 milionów ludzi ze wsi nie wpłynęłoby w niczym na stan produkcji rolnej. W miarę postępu technicznego liczba ta musiałaby stale wzrastać. Związek między powodzeniem reformy rolnej i rozwojem gospodarczym kraju jako całości — inaczej mówiąc: z uprzemysłowieniem — jest oczywisty. Wiedzano o tym także wtedy. Wiedzano też, że nie wolno czekać z reformą rolną do czasu, gdy rozwinie się przemysł. Tu nie było błędu. Błąd polegał raczej na tym, że zbyt wiele pokładano nadziei w reformie rolnej, widząc w niej lekarstwo na znacznie więcej schorzeń niż mogła uleczyć.

III

Rozładowanie jednak nadwyżki ludnościowej wsi nie mogło się w żadnym wypadku odbyć tylko w drodze parcelacji wielkiej własności, nawet gdyby parcelacja objęła całość tej własności, zamiast, jak to było w Polsce, ograniczyć się do jej części. Jest zresztą faktem bezspornym, że reforma radykalna, likwidująca całą wielką własność ponad obszar racjonalnego, w pełni samowystarczającego i zdolnego do racjonalnej gospodarki folwarczku chłopskiego, zwiększyłaby ilość ziemi do podziału o kilka milionów hektarów. Tym samym rozładowanie przeludnienia na wsi byłoby łatwiejsze.

Niemniej i w tym wypadku, gdyby zamiast niespełna 200 tysięcy nowych gospodarstw i mniej więcej tej samej liczby powiększonych z kształtu karłowatego do rozmiarów pięcio- lub sześćhektarowych powstało takich gospodarstw nawet dwa razy więcej, problem przeludnienia wsi pozostałby w dalszym ciągu palący, będąc najtrudniejszym i najboleśniejszym ze wszystkich, z jakimi niepodległe państwo polskie musiało się borykać. Parcelacja radykalna byłaby więc bardzo cennym półśrodkiem, ale tylko półśrodkiem.

Środkiem naprawdę skutecznym byłyby większe tempo i rozmiary industrializacji kraju, czego z wielu powodów osiągnąć nie zdołano. Wypadnie się im przyjrzeć. Na razie ograniczmy się do stwierdzenia, że zarówno zwolennicy jak i przeciwnicy reformy rolnej w tej postaci, jaką zarysował postanowienia Sejmu Usta-

wodawczego, główny ratunek dla wsi polskiej widzieli w odpływie nadwyżki ludności do przemysłu. Nie wdawali się wszakże w rozważania, w jaki sposób ma nastąpić ów naprawdę radykalny, by móc być skutecznym, rozwój przemysłu. Zakładano raczej, że będzie to zjawisko automatyczne, nie wiążące się bezpośrednio z przebiegiem i rozmiarami reformy rolnej.

Przypomnijmy tu dla dalszej ilustracji przeludnienia wsi polskiej następujący fakt statystyczny. Nie był on jeszcze znany w pierwszym Sejmie, gdyż obliczenia tego dokonano dopiero w latach trzydziestych. Otóż na obszarze dawnej Kongresówki ludność powiększyła się od roku 1830 do 1930 o 230 %. Z tego zaledwie 17 % odpłynęło do miast. Porównawczo ludność Wielkiej Brytanii w tym samym okresie powiększyła się o 130 %, z czego do miast odeszło 80 %. Przyrost naturalny Francji wyniósł zaledwie 30 %, lecz miastom przybyło 80 % mieszkańców, powodując zjawisko diametralnie przeciwne — to jest wyludnienie się wsi, na czym produkcja rolna bynajmniej nie ucierpiała.

W świetle tych cyfr i wielu podobnych o nie mniej groźnej wymowie trudno jest w perspektywie historycznej oceniać reformę rolną z lat dwudziestych wyłącznie od strony jej znaczenia gospodarczego. Nie inaczej, pomimo bałamutnych często oświadczeń sejmowych i dziennikarskich, oceniać należało jej charakter, potrzebę i skutki wówczas, gdy ją uchwalano i starano się wprowadzić w życie. Nie zapominając więc o jej aspekcie gospodarczym, reformę rolną rozpatrywać trzeba też w jej aspekcie społeczno-politycznym, gdyż on miał nad tamtym przewagę.

Nastawienie takie miało pełne, obiektywne i historyczne uzasadnienie. Kazało wiązać zagadnienia polityki rolnej i produkcji rolnej z tak zwanym zagadnieniem „wsi polskiej”. Rozróżnienie i dziś nie jest łatwe. W pierwszych latach niepodległości nie próbowano go nawet precyzować. Po części dlatego, że optymizm narodowy — a nie mówmy o nim z przekąsem, gdyż był jednym z elementów pozytywnych w warunkach straszliwego wyniszczenia kraju — kazał wierzyć w możliwość szybkiego odrobienia bolączek nagromadzonych w czasie rozbiorów, choć zapoczątkowanych jeszcze przed rozbiorami. Najważniejszą z nich było właśnie położenie ludności żyjącej z pracy na roli. Czyli — jak mówiono ogólnie — „na wsi”, przechodząc dość łatwo do porządku nad rozwarstwieniem ludności rolniczej, a nawet nad bardzo istotnymi różnicami położenia w poszczególnych zaborach czy okolicach kraju. Słowa „wieś” i „miasto” nie oznaczały

tylko różnic zawodu i miejsca zamieszkania. Wyznaczały też granice psychiczne trudne już dziś do zrozumienia — granice, w oparciu o które trwały i rozwijały się nie tylko interesy klasowe, lecz także uprzedzenia i przywiązania typu irracjonalnego. „Wieś” jako pojęcie zbiorowe, w większym stopniu społeczne niż gospodarcze, żyła w Kongresówce i w Galicji w przeświadczeniu krzywdy, winiąc za nią i władze zaborcze, i ziemiaństwo polskie.

Nie mogło być inaczej w kraju, gdzie pańszczyzna nie była wcale odległym wspomnieniem i gdzie istniały jeszcze, zniesione zresztą natychmiast w Polsce niepodległej, różne „serwituty” obciążające chłopą dodatkowym wydatkiem lub wysiłkiem. W kraju, gdzie — myślę tu o zaborze rosyjskim — dopiero od kilku lat zaprowadzono powszechne nauczanie podstawowe i obowiązek szkolny. I jeśli uświadomienie narodowe i polityczne wsi w Kongresówce było znacznie wyższe niż wskazywałyby warunki jej życia, to było to zasługą zarówno zdrowego rozsądku chłopą, jak i bezimiennego często wysiłku inteligencji wiejskiej, nauczycieli przede wszystkim, obok nich księży, a także ziemian oraz — na drugim biegunie — rzemieślników i robotników z miast, których PPS wysyłała na wieś, by agitowali, uczyli i przekonywali.

W Galicji było pod względem poziomu kulturalnego i społecznego wsi znacznie lepiej niż w zaborze rosyjskim. Tam też stronnictwa ludowe były rzeczywistą siłą polityczną — czy będzie nim zachowawczy „Piast”, czy radykalne PSL-Lewica. Jeszcze inaczej było w Poznańskim. Tam „wieś”, podobnie jak inne warstwy ludności, popierała Narodową Demokrację, traktując przymiotniki „ludowy” i „narodowy” jako synonimy. Jeszcze inaczej było na „zielonym Śląsku” lub w zwartym osiedleniu polskim na obszarze Galicji Wschodniej. Niemniej wieś polska jako całość była pomimo różnic i niedostatków kulturalnych towarzyszących zwykłej biedzie dostatecznie prężna i świadoma swych ambicji, by — gdy powstało państwo polskie — wziąć na siebie ciężar czynnego udziału w jego życiu.

Sejm Ustawodawczy był „ludowy” nie tylko z nazwy, popularnej wówczas we wszystkich warstwach i stronnictwach, lecz także pod względem składu. Na 360 posłów 160 należało do stronnictw ludowych czyli „wiejskich”, a — uwzględniwszy chłopów na ławach innych stronnictw, takich jak Związek Ludowo-Narodowy — łączna liczba posłów pochodzących ze wsi przekraczała znacznie połowę Sejmu. Mało kto z tej liczby miał wykształcenie średnie, a około 60 osób nie mogło się nawet

wykazać podstawowym. Miało to — rzecz jasna — złe strony, gdy o praktykę parlamentarną chodzi, lecz miało też stronę dobrą w sensie historycznym, bo włączało bez zastrzeżeń najliczniejszą w Polsce warstwę społeczną w życie państwowe z głosem często decydującym. Nie wytworzyli chłopci w Sejmie jednolitej większości parlamentarnej. Niemniej czuli się w tym pierwszym Sejmie polskim panami na własnym gospodarstwie i byli z tego dumni.

W Galicji Zachodniej posłowie chłopscy stanowili 60 % ogółu, dzieląc się na dwa stronnictwa z przewagą „Piasta” — stronnictwa zachowawczego, co było o tyle dziwne, że właśnie w tej dzielnicy najwięcej było gospodarstw karłowatych i najwięcej bezrolnego proletariatu wiejskiego, który popierał Polską Partię Socjaldemokratyczną, później zaś, gdy doszło do fuzji tych dwóch stronnictw, PPS. Także gdy o Kongresówkę chodzi, właśnie PPS najmocniej zabiegała o interesy ludności bezrolnej na równi z PSL-„Wyzwoleniem”. Z Kongresówki 30 % wyborców oddało swe głosy na cztery stronnictwa ludowe, gdyż wielu chłopów opowiedziało się za Związkiem Ludowo-Narodowym.

Dla wszystkich posłów reprezentujących „wieś polską” reforma rolna była punktem honoru i naczelnym zadaniem programowym — właśnie jako sposób likwidacji upośledzenia wsi. Aspekt społeczny miał tu znaczenie podstawowe. W swej ogromnej większości wieś polska chciała widzieć w Sejmie i w demokratycznym systemie politycznym jedyną drogę do poprawy swego położenia. Stąd też mała stosunkowo rola komitetów folwarcznych i rad ludowych walczących o interesy ludności bezrolnej i słabe efekty strajków rolnych (z których największy ogarnął jesienią 1919 roku trzydzieści kilka powiatów na ogólną liczbę ponad dwustu), będących ostatnim odruchem „pozaparlamentarnej” walki o reformę rolną.

Trudno się dziwić w tym układzie stosunków, w tym pomieszaniu dążeń społecznych i politycznych z gospodarczymi, że reforma rolna z głównym naciskiem na podział ziemi między pracujących na niej własnymi rękami wydawała się uniwersalnym nieomal lekarstwem na wszystkie bolączki. Stronnictwa ludowe przedstawiły chłopom uchwałę sejmową jako akt o znaczeniu historycznym. Przesadziły w tym niewątpliwie jej znaczenie i skutki. Rozczarowania więc miały być duże, zarówno w dziedzinie skutków gospodarczych lub ich braku, jak i w niespełnionych nadziejach awansu społecznego i politycznego wsi polskiej do roli czynnika decydującego w życiu państwowym.

KONSTYTUCJA MARCOWA

I

17 marca 1921 roku Sejm Ustawodawczy uchwalił Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej, nazywaną zarówno w języku potocznym jak i w opracowaniach naukowych Konstytucją Marcową. Tym samym kończył się formalnie okres tymczasowości w życiu państwowym. Nie oznacza to bynajmniej, by z tą chwilą wszystkie dotychczasowe akty prawne — a więc ustawy Sejmu Ustawodawczego, dekrety Naczelnika Państwa, a przede wszystkim podpisane i ratyfikowane umowy międzynarodowe — traciły moc obowiązującą. „Tymczasowymi” stawały się tylko te normy prawne, które Konstytucja zastępowała nowymi normami. Gmach ustroju państwowego miał więc fundamenty złożone nie tylko z artykułów Konstytucji, lecz także z tych wszystkich norm prawnych, które nie straciły swej ważności z chwilą jej wejścia w życie.

Fakt ten jest historycznie ważny z uwagi na to, że w chwili uchwalania Konstytucji Polska miała już za sobą dwa i pół roku bytu państwowego, bogatego w wydarzenia. Obowiązywały ją traktaty pokojowe o podstawowym znaczeniu zarówno dla niej samej jak i dla całego układu stosunków międzynarodowych. Ponadto przeprowadziła reformy społeczne i gospodarcze. Żadna z tych reform nie miała charakteru „tymczasowego”. Przeciwnie, ich wprowadzenie w życie odegrało ważną rolę w wyznaczeniu kierunku dalszych prac ustawodawczych. Przede wszystkim zaś już przeprowadzona i już przez praktykę ugruntowana demokratyzacja stosunków wywarła decydujący wpływ na demokratyczny charakter Konstytucji Marcowej. Uchwalali ją przecież ci sami posłowie, którzy uchwalili już przedtem reformy społeczne stawiające Polskę w szeregu najbardziej postępowych krajów europejskich.

Ustrój tymczasowy oparty o dwie podstawowe instytucje — to jest Sejm Ustawodawczy i Naczelnika Państwa jako rzeczywistego szefa władzy wykonawczej — funkcjonował bardzo sprawnie, choć jego podstawa prawna, Mała Konstytucja z 20 lutego 1919 roku, ograniczała się do kilkunastu zaledwie lakonicznych zdań. Wystarczało to jednak, by wprowadzić w życie maszynę państwową, zaimprovizowaną dosłownie z niczego, by prowadzić przez dwa lata wojnę na kilku frontach naraz i by

wojnę z najgroźniejszym przeciwnikiem doprowadzić do zwycięskiego końca. Wystarczało też, by zapoczątkować i po części wprowadzić w życie szereg reform społecznych i gospodarczych.

I chociaż działalność Sejmu Ustawodawczego nie na same zasługuje pochwały, gdyż zarówno walki między stronnictwami jak i brak doświadczenia parlamentarnego większości posłów hamowały często postęp prac organizacyjnych w młodym państwie, to jednak ogólny bilans tego okresu wypada niewątpliwie dodatnio. I to pomimo częstej różnicy poglądów między większością sejmową a Naczelnikiem Państwa. I ta jednak, choć towarzyszyła jej niekiedy atmosfera zaciętej demagogii, nie doprowadziła nigdy do rzeczywistego kryzysu politycznego. Zawdzięczała to Polska z jednej strony autorytetowi Piłsudskiego w społeczeństwie, z czym nawet najbardziej mu wrogie koła polityczne musiały się liczyć, z drugiej zaś niewątpliwemu patriotyzmowi tychże kół politycznych. Patriotyzm ten przejawiał się w Sejmie przyciszaniem swarów, ilekroć sytuacja zewnętrzna, wojenna lub dyplomatyczna państwa nabrzmiewała niebezpieczeństwem. Tenże Sejm zdołał opracować i uchwalić konstytucję państwową. W przekonaniu opinii publicznej miało to znaczenie ogromne. Z analizy głosów prasy i innych wypowiedzi publicznych wydawać się może, iż właśnie uchwalenie konstytucji uważano za dzieło największe, jakiego tymczasowy Sejm dokonał.

Nowa konstytucja nie była przy tym teoretycznie wyrozumowanym przez zespół prawników zbiorem postanowień, w których ramy — mówiąc obrazowo — społeczeństwo miałoby się zmieścić. Nie była też aktem narzuconym społeczeństwu przez któreś z ugrupowań politycznych czy przez jakąś „ideologię”. Była natomiast odzwierciedleniem przekonań większości obywateli i ucieleśnieniem ich podstawowego życzenia, by odrodzone państwo polskie rządziło się zasadami sprawiedliwości społecznej, absolutnej równości wobec prawa i wolności politycznej i by miało ustrój demokratyczno-parlamentarny.

Nie oznacza to, by nie było różnic w społeczeństwie i w Sejmie wokół poszczególnych sformułowań, a nawet zasad prawnych. Różnice takie istniały, sięgały głęboko i powodowały gwałtowne kontrowersje z udziałem nie tylko debatujących posłów, lecz także całego społeczeństwa, informowanego dokładnie o przebiegu prac sejmowych. W dyskusji nad konstytucją uczestniczyły wszystkie partie polityczne i wszystkie środowiska społeczne. Brały w niej udział prasa, organizacje społeczne i wszystkie ośrodki kształtujące opinię społeczną. Nie obywateli się przy tym bez prób nacisku na Sejm w postaci manifestacji publicz-

nych, strajków lub zapowiedzi strajków. Pamiętać przy tym trzeba, że prace nad ułożeniem ostatecznego tekstu, opracowywanie różnych projektów i ich wariantów zajęło ponad dwa lata. Przez cały ten okres opinia publiczna była stale informowana o postępie prac, o wyłaniających się trudnościach, o dyskusjach i sporach. I co ważniejsze, przez cały ten okres nie słabło zainteresowanie społeczeństwa konstytucyjnymi pracami Sejmu. Tempo tych prac ulegało okresowemu zwolnieniu lub przyspieszeniu w zależności od potrzeb pilniejszych, warunkowanych przez wydarzenia międzynarodowe i wewnętrzną sytuację kraju. Sejm Ustawodawczy nie ograniczał przecież swej działalności do debat prawnych. Na podstawie Małej Konstytucji z lutego 1919 roku, którą sam uchwalił, był współodpowiedzialny za politykę rządu i Naczelnika Państwa — i to w okresie, gdy sprawa granic, sprawa zjednoczenia poszczególnych dzielnic rozbiorowych i ciągle zagrożenie bytu państwowego wysuwały się siłą rzeczy na czoło wszystkich zagadnień i wszystkich zainteresowań.

Prace nad przygotowaniem projektu konstytucji zaczęły się w Sejmie Ustawodawczym już 14 lutego 1919 roku, gdy powołano trzydziestoosobową komisję pod przewodnictwem Mariana Seydy, polityka z Narodowej Demokracji. Jego zastępcą był ludowiec Maciej Rataj, a sekretarzem komisji socjalista Mieczysław Niedziałkowski. Jednocześnie powołano „komisję ankietową”, ściśle fachową, pod przewodnictwem historyka Michała Bobrzyńskiego, byłego namiestnika Galicji. Komisja ta rozpatrywać miała przedkładaane jej projekty konstytucji — obojętnie, z jakiego pochodziły źródła. Było ich pierwotnie trzy, później liczba się zwiększyła. Pod obrady Sejmu miały trafiać już po rozpatrzeniu przez komisję. Dodajmy od razu, że wszystkie projekty przyjmowały zasadę państwa republikańskiego, w którym władza suwerenna zastrzeżona jest dla narodu — niekiedy mówiono „naród”, niekiedy „ogół obywateli” — działającego przez swych przedstawicieli wybranych w sposób demokratyczny i odpowiedzialnych przed swymi wyborcami.

Wielkie różnice natomiast występowały w poszczególnych projektach, gdy chodzi o uprawnienia władzy i ustawodawczej i wykonawczej. Inaczej też podchodzono do sprawy uprawnień głowy państwa, nazywanej w jednych projektach Naczelnikiem, w innych Prezydentem. Także samorząd terytorialny i gospodarczy był przedmiotem zaciętych sporów. Dla niektórych kamieniem obrazy było sformułowanie zasady ochrony prawa własności, w innych wypadkach wybuchała burza wokół przyznania specjalnych przywilejów — lub raczej honorowego miejsca w

państwie — Kościołowi katolickiemu. Szczególnie zacięty spór toczył się wokół pytania, czy parlament ma być dwu- czy też jednoizbowy. Tu stanowiska PPS i „Wyzwolenia” były bezkompromisowe do końca. Stronnictwa te widziały w instytucji Senatu, nawet gdy powstawał w drodze wyborów powszechnych, naruszenie powszechności i bezwzględnej suwerenności Sejmu w życiu państwa. Dla prawicy zaś Senat miał być zabezpieczeniem przed zbyt radykalizmem sejmowym.

Na przełomie lat 1920 i 1921 liczba projektów ograniczyła się do kilku, a liczba spraw spornych do zaledwie kilkunastu. Uzgodniono też większość nazw i sformułowań prawnych. Ogólne koncepcje, po odrzuceniu ostatniego z pomysłów federacyjnych, opracowanego przez profesora Buzka, sprowadzały się do trzech.

Jedna chciała posłużyć się w ustaleniu rozdziału kompetencji między władzami państwowymi wzorem amerykańskim. Protagonistom tej koncepcji chodziło o zapewnienie głowie państwa możliwości podejmowania samodzielnych i szybkich decyzji, zwłaszcza na odcinku spraw zagranicznych. A także o zabezpieczenie wpływu prezydenta na skład i prace rządu. Wzór ten, choć nazywano go „amerykańskim”, opierał się na doświadczeniach dotychczasowego czyli „tymczasowego” systemu sprawowania rządów — systemu, który pozwolił Polsce wyjść obronną ręką z tak niebezpiecznego okresu, jakim były dwa pierwsze lata jej niepodległości. Było publiczną tajemnicą, że właśnie od przyjęcia „amerykańskich zasad” w budowie państwa uzależniał Piłsudski swą kandydaturę na prezydenta.

Druga koncepcja, zwana francuską, wychodziła z krańcowo odmiennych założeń. Według niej głowa państwa miała mieć znaczenie symboliczne, a właściwym rządcą kraju miał być rząd „gabinetowy” czyli wyłaniany przez parlament i zależny od niego pod każdym względem i w każdej chwili.

Trzecią koncepcję wreszcie reprezentowało PPS, kładąc nacisk na wprowadzenie jak najszerzej pojętej demokracji politycznej, łącznie z wyborem prezydenta w głosowaniu powszechnym, a także na zapewnienie ustrojowi charakteru całkowicie świeckiego i postępowego na odcinkach społecznych i gospodarczym.

Krytyka Konstytucji Marcowej, zarzucając prawicy zespolonej w klubie sejmowym Związku Ludowo-Narodowego przeformowanie koncepcji „francuskiej”, podkreślała motywy ściśle personalne, wymierzone przeciwko osobie Piłsudskiego. Prawica chciała go zniechęcić do postawienia kandydatury na prezydenta, a w razie gdyby ją postawił pozbawić go możliwości praktycz-

nego działania politycznego. Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju ściśle praktyczne względy polityczne na najbliższą przyszłość pewną rolę odgrywały — i to nie tylko na prawicy, lecz także w rozumowaniu zwolenników wszystkich trzech koncepcji konstytucyjnych. Ale błąd podstawowy w ocenie historycznej polega nie na większym czy mniejszym przywiązywaniu wagi do sympatii czy animozji personalnych, lecz na niedostatecznym uwzględnieniu warunków specyficznie polskich. Nie brano zwłaszcza pod uwagę braku doświadczenia politycznego Polaków. System francuski z grą sił między izbą niższą i senatem był wynikiem i odzwierciedleniem ugruntowanego ustroju społecznego i stanu gospodarczego Francji. W Polsce warunki były inne i zbyt wierna recepcja obcego wzoru nie mogła funkcjonować bez zgrzytów i zacięć. Zdawała sobie z tego sprawę lewica, posługująca się zresztą w polemikach także tym argumentem, że pomimo wielu trudności system rządów oparty o dotychczasową „Małą Konstytucję” był przecież systemem prostym i — co ważniejsze — zdał egzamin w latach dla Polski najcięższych.

Innym błędem było niedopatrzenie elementów schyłkowych w systemie francuskim — mówiąc ściśle, w systemie Trzeciej Republiki. Było to o tyle zrozumiałe, że Francja stała u szczytu swego historycznego wzlotu, po wygranej wojnie i w aureoli powszechnej sympatii wszystkich społeczeństw demokratycznych. Zwłaszcza zaś popularna była w Polsce.

Mówiąc wszakże o zapatrzeniu we wzór francuski, które niewątpliwie znalazło swe odbicie w ostatecznym tekście Konstytucji Marcowej, należy unikać uproszczeń. Bo Konstytucja Marcowa nie była kopią konstytucji francuskiej. Była wynikiem kompromisu osiągniętego w warunkach całkowitej jawności i przy współudziale całego społeczeństwa. Nie była zapewne doskonałym instrumentem ustrojowym, gdyż takich nie ma, lecz realizowała w pełni postulaty sprawiedliwości społecznej, równości wobec prawa i swobód obywatelskich. Nie można jej nazywać konstytucją „burżuazyjną” w tym znaczeniu, jakoby faworyzowała lub miała przede wszystkim na oku interesy klas posiadających.

Bo nie z tego, co w następnych latach wywoływało w społeczeństwie niezadowolenie, poczucie krzywdy i bezzilę w obliczu trudności gospodarczych nie było skutkiem norm prawa państwowego ujętych w Konstytucję Marcową. Ustrój przez nią utwierdzony zapewniał Polsce demokratyczne ramy życia. W oparciu o nie naród polski pragnął iść drogą postępu politycznego, gospodarczego i społecznego. Jeśli nie wszystkie trudności zdołał

w następnych latach pokonać i nie wszystkie problemy rozwiązać, nie było to winą tych posłów, którzy w Sejmie głosowali za przyjęciem Konstytucji, ani też winą tych, którzy jak posłowie PPS i „Wyzwolenia” głosowali przeciwko niej.

W ogólnej ocenie stwierdzić trzeba, że Konstytucja Marcowa była logicznym następstwem woli ogółu Polaków, wyrażonej już przedtem w ich entuzjastycznym stosunku do pierwszego Sejmu Ustawodawczego i do podstawowych reform społecznych. Demokracja parlamentarna nie była dziełem Konstytucji Marcowej, gdyż zdołała się już ona ugruntować w poprzednim okresie. W sensie ustrojowym pierwszy Sejm Ustawodawczy dokonał wielkiego dzieła nie tylko dlatego, że uchwalił Konstytucję Marcową, lecz i dlatego, że działał i pracował w oparciu o ramowe tylko zarządzenia porządkowe oraz o dobrą wolę i posłów, i rządu, i ogółu obywateli. Bo ważniejszy od sformułowań Konstytucji był problem funkcjonowania stworzonego przez nią systemu.

Konstytucja Marcowa była — podkreślmy to — kompromisem między tendencjami postępowymi i zachowawczymi. Lecz nie miał to być kompromis nieodwracalny. Zakładano bowiem, że dokonywać się będzie rewizji konstytucji po to, by ją dostosowywać do zmieniających się potrzeb i zmieniających się poglądów. Gdyby sejmy nie mogły lub nie chciały dokonać rewizji konstytucji wcześniej, rewizję taką postanawiano z góry, jako obowiązek, po 25 latach. Był to przepis zaczerpnięty z Konstytucji Trzeciego Maja, a więc pomysł rodzimy, polski. Bo nie można też zapominać, że Konstytucja Marcowa była kompromisem także pod jednym jeszcze względem. Mianowicie między wzorcem „francuskim” a własną polską tradycją ustawodawczą. To też miał na myśli znakomity prawnik Stanisław Kutrzeba, gdy pisał w swej pracy „Konstytucja a tradycja polska”: „Gdybyśmy nie wiedzieli, że między konstytucją z roku 1921 a konstytucją z roku 1791 leży okres przeszło wiekowy rozbiorów, to moglibyśmy, porównując obie te konstytucje ze sobą, przypuszczać, iż w normalnym rozwoju pierwiastki prawne wyrażone w pierwszej z nich znalazły dalszy swój wyraz w drugiej”.

Nie chodziło znawcy historii prawa państwowego o zewnętrzne formuły z tekstu Konstytucji Marcowej, nawiązujące do starej tradycji ustrojowej, takie na przykład jak archaizujący styl wstępu do ustawy z 17 marca. Chodziło mu o podkreślenie ciągłości tendencji ustrojowych, przerwanych przez zaborców, a wznowionych automatycznie niejako po odzyskaniu niepodległości. Pierw-

szą z tych tendencji była głęboko w narodzie polskim zakorzeniona nieufność do władzy wykonawczej, do organów rządowych, do administracji państwowej i do biurokracji. Uważano je za zło konieczne, nad którym zdrowy instynkt każe rozciągać ścisłą i czujną kontrolę. Kontrola ta miała być sprawowana przez władzę ustawodawczą czyli przez Sejm, pochodzący z całkowicie demokratycznych wyborów i wyposażony we władzę naprawdę suwerenną. Był to swoisty kult parlamentu, który już za kilka lat zdobędzie sobie niezbyt pochlebną nazwę „sejmowładztwa” i wzbudzi wątpliwości, a po nich reakcje polityczne, uszczuplające nie tylko wszechwładzę Sejmu, lecz i podstawowy wzorzec demokracji parlamentarnej.

Niemniej była to tendencja, przeciwko której mało kto w społeczeństwie polskim występował. Nie z obawy przed narażeniem się opinii publicznej, lecz z głębokiego przekonania, że jest to tendencja słuszna, odpowiadająca polskiej tradycji państwowej, a także wsparta doświadczeniami demokracji zachodnich, francuskiej przede wszystkim.

Tendencja ta wiązała się ściśle z inną, będącą także wyrazem ciągłości polskiej myśli ustrojowej w kierunku demokratyzacji ustroju — ciągłości, której nie zdołały przekreślić rozbiory. Przeciwnie, można zaryzykować twierdzenie, że doświadczenia rozbiorowe tendencję demokratyzacyjną wzmocniły — prawem naturalnej reakcji przeciwko rządowi autorytatywnym, nie uwzględniającym nie tylko woli, lecz i życzeń ludności, rządowi twardym, a w sensie społecznym jak najbardziej reakcyjnym. Jest rzeczą niezwykle charakterystyczną, że właśnie posłowie chłopscy najlepiej pamiętali te założenia Konstytucji Trzciomajowej, które torowały drogę do stopniowej demokratyzacji całokształtu życia państwa i całości układu społecznego. Chłopom Konstytucja Trzciomajowa dała najmniej i to było przecież główną przyczyną jej krytyki, podjętej prawie natychmiast po jej uchwaleniu, bo już w czasie Insurekcji Kościuszkowskiej, gdy Manifest Połaniecki chciał tę niedomogę usunąć. W latach 1919 czy 1920 opóźnienie procesu pełnej demokratyzacji życia polskiego przypisywano nie bez racji świadomej akcji zaborców, co nie oznaczało zresztą rozgrzeszenia rodzimej reakcji dziewiętnastowiecznej. Lecz jednocześnie uważano, że Konstytucja Marcowa doprowadza tu do logicznego zakończenia proces demokratyzacji przerwany przez rozbiory.

Te dwie łączące się ze sobą tendencje — to znaczy nadanie prymatu w życiu państwowym Sejmowi i ugruntowanie założeń demokracji na wszystkich płaszczyznach życia zbiorowego, nie

wyłaczając gospodarczego — były dogmatem, przeciwko któremu nikt w Sejmie Ustawodawczym otwarcie występować nie śmiał, a zdecydowana większość występować wcale nie chciała, gdyż uważała go za słuszny. Mówiąc „większość” mam tu na myśli przede wszystkim posłów chłopskich, którzy do „idei Konstytucji”, gdyż tak o niej także mówiono, podchodzili z ogromnym szacunkiem. Nawet wstrzymanie się niektórych z nich od głosu i głosowanie przeciw ustawie przez posłów „Wyzwolenia” było dowodem ogromnej wagi, jaką przywiązywali do spraw ustrojowych. Było też zapowiedzią, że przy pierwszej nadarzającej się okazji dążyć będą do zmiany konstytucji w jednym punkcie, który im nie odpowiadał — mianowicie w punkcie dotyczącym instytucji Senatu!

Ale w porównaniu z naczelnymi zasadami jakie przyświecały Konstytucji Marcowej kompromis w sprawie Senatu jako rzekomego hamulca dla zbytnej porywczosci Izby Sejmowej miał w gruncie rzeczy znaczenie drugorzędne. Ponieważ przeciwko Senatowi występowano najgwałtowniej na lewicy — w szeregach Polskiej Partii Socjalistycznej i Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie” — sprawa urosła do miary problemu. Było to uzasadnieniem głosowania przeciwko Ustawie Konstytucyjnej posłów z tych dwóch właśnie stronnictw politycznych. Lecz Senatowi nie dano tych kompetencji i możliwości działania, jakie miał w ustroju francuskim czy chociażby w konstytucji Republiki Czechosłowackiej. Miał tylko prawo *veta* wstrzymującego — nie miał inicjatywy ustawodawczej w sprawach finansowych, a bardzo utrudnioną we wszystkich innych sprawach. Ustawę uchwaloną w Sejmie mógł powstrzymać jedynie na dni 60. Poprawki wniesione do ustawy przez Senat Sejm mógł obalić większością 55 głosów na sto. Ponadto odrzucono projekty wprowadzenia do Senatu ludzi nie pochodzących z wyboru, lecz mianowanych jako przedstawiciele nauki, za zasługi osobiste lub nawet — bo i taki był projekt — jako przedstawiciele Kościoła katolickiego. Senat podobnie jak Sejm miał pochodzić z pięcioprzymiotnikowych wyborów — z tą jedynie różnicą, że prawo wyborcze przyznawano obywatelom, którzy ukończyli 30 lat życia, a kandydować mogli tylko ludzie powyżej lat 40. Co istotniejsze, drugi z kolei Sejm wybrany na podstawie Konstytucji mógł Senat zlikwidować większością trzech piątych głosów. Inne zmiany Konstytucji wymagały większości dwóch trzecich i to obu Izb, o ile rzecz jasna Senat będzie jeszcze istniał.

Z innych postanowień Konstytucji, ważniejszych niż istnienie czy nieistnienie Senatu, kompromis wystąpił w artykule 99, który

uznawał własność prywatną za podstawę ustroju i porządku prawnego. Przepis ten w praktyce uniemożliwiał nacjonalizację przemysłu czy jego gałęzi inaczej niż „ze względów wyższej użyteczności” i za odszkodowaniem. PPS wystąpiła przeciwko temu przepisowi. Natomiast stronnictwa chłopskie go poparły, gdyż w tym samym artykule wprowadzano ważną klauzulę wyodrębniającą własność użytkową ziemi uprawnej. Mówiła ona, że ziemia nie może być przedmiotem „nieograniczonego obrotu” i że jej wywłaszczenie może nastąpić „w wypadkach ustawą przewidzianych”. Chodziło o zabezpieczenie reformy rolnej. Konstytucja, nie wymieniając reformy z nazwy, gwarantowała ją niejako dodatkowo. Jednocześnie jednak w sposób dość zawiły wyodrębniła własność rolną od wszelkiej innej własności. W kraju rolniczym i w narodzie złożonym w trzech czwartych z chłopów tego rodzaju sformułowanie było zrozumiałe, choć można je uważać za niezbyt szczęśliwe.

Jest jednak sprawą nad wyraz istotną, że Konstytucja nie unieważniała żadnej z już obowiązujących ustaw ani też żadnej normy prawa, która nie stała w wyraźnej z nią sprzeczności. Tym samym postępowe ustawodawstwo społeczne, ochrona pracy, uprawnienia związków zawodowych zachowywały swą moc obowiązującą, stanowiąc w rzeczywistości uzupełnienie właściwej ustawy konstytucyjnej. Tym samym postępowy charakter ustroju państwowego opierał się nie na jednym tylko, lecz na kilku filarach. Konstytucja była jednym z nich — w ówczesnym przekonaniu najważniejszym, gdyż zabezpieczała demokrację polityczną z jednej strony, a zasadę absolutnej równości wszystkich obywateli wobec prawa z drugiej strony. Lecz nie była jedynym instrumentem demokracji. Pod tym względem ustrój Drugiej Rzeczypospolitej był bardziej postępowy i bardziej demokratyczny niż wzorcowy dla niej ustrój Trzeciej Republiki francuskiej.

W ogólnej charakterystyce Konstytucja Marcowa zabezpieczała pełną demokrację polityczną, system rządów parlamentarnych i równość wszystkich obywateli wobec prawa. Parlament pochodził z pięcioprzymiotnikowych wyborów, prawo wyborcze miał każdy obywatel bez różnicy płci, wyznania czy języka. Miał też pełne i wyłączne kompetencje ustawodawcze, a Sejm miał także inicjatywę ustawodawczą — obok inicjatywy rządowej — oraz całkowitą kontrolę nad władzą wykonawczą czyli nad rządem.

Powoływanie rządu należało formalnie do prezydenta Rzeczypospolitej. Lecz rząd odpowiadał politycznie przed Sejmem przy zwykłej większości głosów, a konstytucyjnie przed Trybunałem Stanu. Przed Trybunałem Stanu odpowiedzialny był także pre-

zydent, któremu nie przysługiwało prawo *veta* w stosunku do uchwał sejmowych i który mógł Sejm rozwiązać tylko za zgodą Senatu.

W administracji państwowej Konstytucja zapowiadała szeroki samorząd terytorialny do szczebla województwa włącznie z niektórymi uprawnieniami ustawodawczymi. Obok samorządu terytorialnego miał powstać samorząd gospodarczy. Sądy były całkowicie niezależne od władzy ustawodawczej i wykonawczej, a sędziowie byli, choć ich mianował prezydent, nieusuwalni.

Bardzo ściśle obwarowano prawa osobiste i obywatelskie. Gwarantowano więc nietykalność mieszkania, tajemnicę listów, wolność myśli i przekonań oraz prawo swobodnego ich głoszenia, wolność prasy, wolność nauki i nauczania, prawo do zrzeszania się w związki i organizowania zebrań publicznych. Konstytucja stwierdzała dalej, że praca pozostaje pod szczególną opieką państwa, co dotyczy prawa tworzenia związków zawodowych, zawierania umów zbiorowych, a także zabezpieczenia przez państwo już istniejących lub mogących powstać w przyszłości nowych przepisów prawnych dotyczących opieki społecznej, ubezpieczeń chorobowych i innych.

Najsłabszą stroną Konstytucji Marcowej był nadmiar hamulców nałożonych na władzę wykonawczą — wynik właśnie poglądów i tradycji i złej pamięci o zaborach. Był to także wynik nadmiaru optymizmu w stosunku do wyrobienia politycznego społeczeństwa, które miało wybierać posłów do Sejmu wyposażonego w nieograniczone prawie możliwości ingerencji w zagadnienia polityki wewnętrznej i zagranicznej. Rząd — według Konstytucji — powoływał prezydent, lecz rząd odpowiadał tylko przed parlamentem, i to zarówno w sensie konstytucyjnym, to znaczy za zgodność swej działalności z prawem, jak i w sensie politycznym, parlamentarnym. To znaczy, że za swą politykę zarówno rząd jako całość jak i poszczególni ministrowie we własnym imieniu mogli być pociągnięci do odpowiedzialności parlamentarnej nawet wtedy, gdy ich działalność nie kolidowała z prawem. Wystarczyło, by rząd nie odpowiadał przekonaniom czy interesom większości sejmowej. Nie było to nic nowego i nie było wymyślone przez Polaków. Była to po prostu zasada tak zwanych rządów gabinetowych, ubrana w bardzo liberalne normy prawne, lecz nie poparta hamulcami w postaci *veta* głowy państwa, jak w Ameryce, ani wykształconym przez dziesięciolecia systemem partyjnym, gwarantującym trwałą i określoną większość sejmową. Według Konstytucji Marcowej prezydent nie miał prawa *veta* ani odraczającego, ani pełnego. W praktyce nie mógł

powołać rządu inaczej niż w porozumieniu z Sejmem. To znaczy — mówiąc praktycznie — z większością sejmową. Lecz większość ta w ówczesnych warunkach polskich była płynna. Nie można jej było stworzyć inaczej niż przy pomocy koalicji różnych ugrupowań, na podstawie układów kompromisowych między sprzecznymi często programami. Tym samym większość sejmowa zależała i od powiązań personalnych, i od porozumień zakulisowych, i od całego szeregu ubocznych warunków. Większość ta powstawała też z reguły z zastrzeżeniami i nosiła piętno tymczasowości. Ratunkiem w tym położeniu mogło być wzmocnienie pozycji głowy państwa jako czynnika niezależnego od fluktuacji politycznych i niezwiązanego z żadnym ugrupowaniem. Rolę taką spełniał dotychczas Naczelnik Państwa. Rząd był odpowiedzialny i przed Naczelnikiem Państwa, i przed Sejmem, a wpływ Naczelnika Państwa nie ograniczał się do mianowania rządu, gdyż podobnie jak Sejm mógł go pociągnąć do odpowiedzialności. Pozwalało to na funkcjonowanie rządu nawet bez poparcia większości w Sejmie.

Stanisław Estreicher, znakomity prawnik polski, dostrzegał taką oto różnicę między wielopartyjnym Sejmem polskim i wielopartyjnym parlamentem francuskim: przerost władzy parlamentu nie budził we Francji obaw dzięki istnieniu silnej i sprężystej administracji państwowej, która potrafiła tworzyć skuteczną korekturę supremacji parlamentu. Takiej przeciwwagi w Polsce być nie mogło — administrację trzeba było dopiero stworzyć. Dodajmy, że stworzyć trzeba było znacznie więcej niż tylko administrację państwową. Trzeba było nauczyć społeczeństwo skomplikowanej funkcji opinii politycznej. Trzeba je było nauczyć techniki parlamentaryzmu. Zasad natomiast uczyć nie było trzeba, bo demokracja parlamentarna była systemem, na jaki wyrażało zgodę co najmniej 90 % Polaków, odrzucając wszelki inny system jako niezgodny z polskimi tradycjami politycznymi i ogólną tendencją rozwojową. Lecz na dotarcie wprowadzonego systemu nie starczyło czasu. Nie było też warunków na spokojną naukę życia politycznego. Potrzeby gospodarcze, polityka zagraniczna i wewnętrzna nie pozwalały czekać. Kazały pobierać natychmiastowe decyzje. Ciężar tych decyzji spaść miał na nowy Sejm.

Nie zebrał się on od razu. Między uchwaleniem konstytucji a jej wejściem w życie upłynąć miało dalsze półtora roku. 18 maja 1921 roku Sejm Ustawodawczy przedłużył swe istnienie do czasu uchwalenia ustaw potrzebnych do wprowadzenia w życie konstytucji. Jedną z nich miała być ordynacja wyborcza do nowego Sejmu i Senatu. Nad nią pracowano do 28 lipca 1922

roku. Lecz nie ona była istotną przyczyną przedłużenia żywota Sejmu Ustawodawczego i tym samym władzy dotychczasowego Naczelnika Państwa. Przyczyną ważniejszą była chęć załatwienia niektórych przynajmniej problemów życia państwowego w oparciu o prostszy system tymczasowy, a bez współudziału przedstawicieli mniejszości narodowych, jeśli nie liczyć małej grupki posłów żydowskich. Bo chodziło właśnie o sprawy dotyczące tych mniejszości, o zaprowadzenie administracji polskiej na obszarach uzyskanych w Traktacie Ryskim, o wykonanie zobowiązań w stosunku do Galicji Wschodniej, która miała otrzymać szeroki samorząd, o statut samorządowy Górnego Śląska, o inkorporację Litwy Środkowej czyli Wilna.

Wszyscy bez wyjątku wybitni politycy byli przekonani, że zanim nie nastąpi pełna normalizacja życia państwowego, nowa konstytucja — jako najpełniejszy wyraz tej normalizacji — nie powinna wejść w życie.

Rozumowanie nie pozbawione trzeźwej oceny politycznej, ale też i pewnego ryzyka. Wytworzyło się bowiem w społeczeństwie przeświadczenie, że z chwilą wejścia w życie nowej konstytucji ustąpią wszystkie troski i wszystkie niepokoje. Tak się oczywiście stać nie mogło.

II

Przywiązywanie wielkiej wagi do faktu uchwalenia ramowej ustawy konstytucyjnej było zjawiskiem łatwo zrozumiałym. Ogół obywateli chciał wiedzieć, w jakim państwie przyjdzie mu żyć i pracować, gdy zakończy się nareszcie okres walki w obronie niepodległości. Konstytucja w powszechnym przekonaniu była tu czymś więcej niż tylko normą prawną. Była symbolem spełnionych marzeń i obietnicą przyszłego sprawiedliwego ładu.

Nie należy wysnuwać z tego wniosku, że Konstytucja Marcowa przyjęta została z jednakowym entuzjazmem w całym społeczeństwie polskim. Byłby to wniosek fałszywy. Jako kompromis między ścierającymi się poglądami i kierunkami myślenia nie mogła wszystkich zadowolić. Uchwalono ją w atmosferze zaciętych walk o każdy nieomal poszczególny przepis. Pomimo tych różnic jednak, pomimo niezadowolenia z tego lub innego przepisu uchwalenie konstytucji społeczeństwo polskie przyjęło z wyraź-

nym westchnieniem ulgi. Właśnie dlatego, że widziało w niej zakończenie tymczasowości. Pojęcie tymczasowości wiązało się w jedno z pojęciem stanu zagrożenia z zewnątrz, stanu niepewności. Chciano jak najprędzej o tymczasowości, o niepewności zapomnieć.

I oto czekało opinię rozczarowanie. Uchwalonej konstytucji nie zawieszono, nie odłożono terminu jej ważności, lecz nie pozwolono też wejść jej natychmiast w życie. Sejm, który ją uchwalił, postanowił przedłużyć swe istnienie. Wielu przyjęło to jako objaw sobiepaństwa, jako pogwałcenie prawa lub co najmniej pogwałcenie poczucia praworządności. Od tej też chwili dopiero zaczęły się mnożyć w prasie i w rozmowach naprawdę namiętne krytyki Sejmu, zaczęła wzrastać niechęć do polityków sejmowych, choćby to byli działacze o udowodnionym patriotyzmie i rozsądku politycznym. Ta druga faza „tymczasowości ustrojowej” trwać miała aż 17 miesięcy, bo do wyborów do nowego Sejmu, które nastąpiły dopiero w listopadzie 1922 roku. Formalnie zaś nowy ustrój państwowy funkcjonować zaczął dopiero w dniu przekazania władzy prezydentowi Rzeczypospolitej, wybranemu w myśl postanowień nowej konstytucji przez dotychczasowego Naczelnika Państwa, co nastąpiło 12 grudnia 1922 roku.

Czyż można się dziwić, że w tym okresie przedłużonej „tymczasowości” sprawność władz państwowych, zwłaszcza zaś ustawodawczej, doznała wielkiego uszczerbku? A przecież celem uchwały sejmowej z 18 maja 1921 roku było nie co innego tylko ustrzeżenie państwa przed wstrząsami, a władz państwowych przed chwilowym chociażby kryzysem, paraliżującym swobodę działania. Jak to należy rozumieć?

Rok 1921, choć nazywany „pierwszym rokiem pokoju”, był rokiem niepewności i zagrożenia. Zwłaszcza wynik plebiscytu na Górnym Śląsku i trzecie Powstanie Śląskie zagrażały wybuchem regularnej wojny polsko-niemieckiej. A jeśli decyzja Rady Ligi Narodów odrabiała choć w części wynik plebiscytu, to Polska zawdzięczała ten kompromisowy wynik tylko swej gotowości poniesienia ryzyka wojny.

Był to powód, by nie przeprowadzać nowych wyborów w kraju i nie podejmować trudnej bądź co bądź operacji zmiany dotychczasowych podstaw prawnych funkcji państwowej. Po Górnym Śląsku pozostała sprawa Wileńszczyzny. Lecz był to już tylko pretekst, gdyż Wileńszczyzna przyłączyłaby się do Polski bez względu na to, czy w Warszawie zasiadałby Sejm nowy czy stary. Nowa konstytucja — właśnie dlatego, że czyniła z Polski państwo jednolite i scentralizowane — była raczej zachętą dla

Wilnian, którzy w swej większości zrazili się do koncepcji autonomii swej ziemi dlatego, że przestali wierzyć w możliwość federacji Polski z Litwą właściwą.

Formalnym uzasadnieniem przedłużenia kadencji tymczasowego Sejmu Ustawodawczego była potrzeba uchwalenia ordynacji wyborczej do nowego parlamentu. Nad ordynacją wyborczą naradzano się niewspółmiernie długo. A przecież nie mogła już zmienić ani przepisów, ani ducha nowej konstytucji. Przynajmniej w istotnym sensie. Bo prawo wyborcze przysługiwać musiało i tak każdemu obywatelowi polskiemu bez względu na narodowość, wyznanie, zawód czy płeć.

A więc także ordynacja wyborcza była pretekstem, tym mniej przekonującym, im dłużej nad jej uchwaleniem pracowano.

Przeciwko koncepcji przedłużenia stanu tymczasowego protestowała głośno lewica sejmowa, to jest przede wszystkim Polska Partia Socjalistyczna i „Wyzwolenie”. I to pomimo faktu, że właśnie te dwa stronnictwa w ostatecznym głosowaniu nad Konstytucją Marcową opowiedziały się przeciwko niej.

Lewica dążyła przy tym do jak najszybszej próby sił w nowych wyborach, licząc na korzyści, jakie przynieść jej mogły nastroje społeczeństwa zmęczonego zarówno kunktatorstwem dotychczasowego Sejmu, jak i przede wszystkim pogarszającą się sytuacją gospodarczą w wyniszczonym kraju. Liczyła na fakt — i chciała go wyzyskać — że zakończenie wojny z Rosją pozwoli masom robotniczym i chłopskim zająć się obroną własnych interesów klasowych bez narażania państwa na wstrząsy, niebezpieczne, dopóki wojna trwała. Stąd wystąpienia lewicy przeciwko przedłużaniu prowizorium, które odsuwało przede wszystkim możliwości wykonawcze reformy rolnej. „Czyż lud rzeczywiście pragnie sejmu wiekuiściego?” — zapytywało „Wyzwolenie” w swych ulotkach propagandowych, protestujących przeciwko przedłużeniu kadencji Sejmu Ustawodawczego.

Na prawicy natomiast, a pod tym mianem zmieścić należy zarówno Związek Ludowo-Narodowy, czyli Narodową Demokrację, jak i związane z nią Narodowe Zjednoczenie Ludowe, obawiano się rychłych wyborów, przewidując spadek liczby zwolenników właśnie na rzecz lewicy oraz stronnictw centrowych. Dla prawicy wygodniejsze było przedłużenie prowizorium, ponieważ liczyła ona na przeforsowanie korzystniejszej dla siebie ordynacji wyborczej. Ale nie tylko o czas potrzebny na to chodziło prawicy, gdy poparła centrum i przedłużyła istnienie Sejmu Ustawodawczego. Przyczyny były polityczne. Najłatwiej określić te

przyczyny jako chęć przeprowadzenia kampanii wyborczej w oparciu o program uwzględniający nowy ustrój Rzeczypospolitej. Partie polityczne chciały posłużyć się w tym celu już istniejącą mównicą sejmową. O te zamiary pomawiano zwłaszcza prawicę. Lecz w rzeczywistości zamiar taki przyświecał wszystkim stronnictwom.

Ale na tym stwierdzeniu nie można sprawy zamknąć, gdyż wykrzywiłoby to ówczesną rzeczywistość polityczną. Bo stronnictwom prawicy i centrum zależało na czymś więcej niż na spopularyzowaniu swych programów. Zależało im przede wszystkim na utworzeniu solidarnego frontu wyborców narodowości polskiej, którzy zapewniliby przyszłemu Sejmowi wyłonienie tak silnej większości, by móc sprawować rządy w państwie bez oglądania się na posłów reprezentujących mniejszości narodowe. Był to problem nowy i niewątpliwie poważny. W roku 1921 zdano sobie nagle sprawę, że Polska, wybrawszy sobie ustrój demokracji parlamentarnej, wprowadzić musi w nurt swego życia politycznego, społecznego i gospodarczego 30 % obywateli innej niż polska narodowości, o odmiennych, a często sprzecznych — jeśli nie wrogich — interesach, poglądach, dążeniach i przywiązaniach. Gdy dyskutowano w Sejmie Ustawodawczym nad tekstem przyszłej konstytucji, sformułowanie tego typu co „państwo polskie jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli” nie budziło w nikim wątpliwości. Dlatego, że „wszyscy obywatele” oznaczało „wszyscy Polacy” i niewiele ponadto. Sejm Ustawodawczy był sejmem o wyraźnym obliczu narodowym. Pojęcia obywatela polskiego i Polaka zlewały się w jedno.

Wiedzano oczywiście, że w granicach państwa polskiego będą mieszkać mniejszości narodowe. Lecz przed rokiem 1921 nie budziło to niepokoju. Na lewicy głównie dlatego, że dążyła ona do wprowadzenia autonomii terytorialnej, która zadowoliliby mniejszości osiadłe na wschód od Bugu. Na prawicy dlatego, że wyznawała jawnie wiarę w możliwość asymilacji — politycznej przynajmniej, jeśli nie narodowej i kulturalnej — tychże mniejszości, po cichu zaś spodziewała się znaleźć sposoby prawne lub półprawne, które ograniczyłyby udział elementów mniejszościowych, z tego czy innego względu Polsce niechętnych, w jej życiu politycznym. I dopiero po uchwaleniu konstytucji zdano sobie sprawę, że skoro jest to konstytucja w każdym calu demokratyczna, wybiegi i obliczenia tego rodzaju nie na wiele się przydadzą, zwłaszcza, że równoległe z zasadami demokratycznego ustroju zwyciężyła koncepcja państwa scentralizowanego o jednolitej organizacji na całym obszarze.

Przedłużenie stanu tymczasowości uniemożliwiło powstanie Sejmu, w którym w sprawach takich jak inkorporacja Wilna, status Górnego Śląska i przyznanie lub nie przyznanie autonomii Małopolsce Wschodniej zabierać by mieli głos przedstawiciele zainteresowanych mniejszości. Lecz nie mogło niczemu zapobiec na dalszą metę.

Istota rzeczy nie uległa zmianie wskutek odwleczenia o półtora roku wejścia w życie Konstytucji Marcowej. Istota rzeczy polegała zaś na tym, że Konstytucję tę uchwalili Polacy dla swego państwa tak, jakby to było państwo jednonarodowe. Tymczasem obowiązywać miała w państwie wielonarodowym, w którym przywiązanie do państwa i dbałość o jego interesy wypływać musiały wśród 30 % obywateli z innych przesłanek niż poczucie jedności narodowej z większością polską.

MNIEJSZOŚCI NARODOWE

Okres „przedłużonej tymczasowości” w życiu państwa polskiego po uchwaleniu Konstytucji Marcowej zużytkowano właściwie na polu międzynarodowym, osiągając rozstrzygnięcie sprawy Górnego Śląska, a także przynależności państwowej Litwy Środkowej. Nie zdołano natomiast uzyskać uznania granicy wschodniej przez mocarstwa zachodnie, na co czekać trzeba będzie do marca 1923 roku. Nie osiągnięto też spodziewanych rezultatów na polu międzynarodowej współpracy gospodarczej, gdyż wysiłki w tym kierunku rozbite zostały przez Niemcy i Związek Sowiecki, gdy zawarły ze sobą dwustronne porozumienie gospodarczo-wojskowe w Rapallo. Niemniej chęć załatwienia możliwie wszystkich dotychczas niezłatwionych spraw o charakterze międzynarodowym zanim nastąpi reorganizacja ustroju państwa była zamiarem politycznie uzasadnionym.

Natomiast druga polityczna przyczyna przedłużenia stanu tymczasowości usprawiedliwienia takiego nie znalazła ani w postaci konkretnych rezultatów, ani w zamiarach, którym miała służyć. Zamiary te sprowadzały się do stworzenia przeszkód dla pełnej i sprawiedliwej reprezentacji mniejszości narodowych w przyszłym Sejmie i Senacie. Dodajmy od razu, że zamiarów tych

nie popierały partie lewicowe, z PPS i „Wyzwoleniem” na czele. Przeciwnie, opowiadały się kategorycznie przeciwko nim. Wskutek tego nie udało się stworzyć w przyszłym parlamencie większości polskiej dostatecznie mocnej na to, by z góry uniemożliwić przedstawicielom mniejszości odgrywanie poważniejszej roli w życiu państwowym. Przeciwnie, kampania propagandowa Związku Ludowo-Narodowego i kilku pomniejszych ugrupowań zmobilizowała czujność i lewicy polskiej, i mniejszości, z tym wynikiem, że wybrani do Sejmu posłowie nie-polskiej narodowości utworzyli blok, mogący stanowić jęczyzek u wagi. A przecież obiektywnie sądząc interesy poszczególnych mniejszości narodowych, podzielonych na kilka kierunków poglądowych w łonie każdej z nich, nie tylko ze sobą się nie pokrywały, lecz często były z sobą sprzeczne. Nie byłoby więc powodów tworzenia „bloku mniejszości”, gdyby nie wspólna wszystkim mniejszościom jeśli nie obawa, to podejrzliwość wobec kierunku nacjonalistycznego, jaki zdawał się mieć przewagę w społeczeństwie polskim.

Czy ta obawa lub podejrzliwość była zjawiskiem uzasadnionym? Odpowiedź jest trudna i co gorzej bardzo złożona. O współżyciu różnych grup narodowych w granicach jednego państwa decyduje nie tylko prawo państwowe, lecz także praktyka życiowa, sięgająca głęboko w różne dziedziny — od gospodarczej zaczynając, a na towarzyskiej kończąc. By z praktyki tej wyciągnąć wnioski, trzeba długiego okresu czasu. Trzeba też powszechnego przeświadczenia, przede wszystkim wśród mniejszości, że nie ma ona lepszej dla siebie alternatywy niż obywatelstwo państwa, w którego trwałość i siłę się wierzy. Z punktu widzenia niektórych mniejszości narodowych, które znalazły się w roku 1921 w granicach państwa polskiego, warunki te nie były spełnione. Wiele — choć nie wszystko — wskazywało na to, że państwo polskie wyszło już obronną ręką z zagrożenia zewnętrznego i że zarówno jego granice jak i jego pozycja międzynarodowa są wartością stałą. Niektóre z mniejszości traktowały to jako najlepsze dla siebie rozwiązanie, lecz bynajmniej nie rozwiązanie idealne. Inne zachowywały stosunek wrogości do państwa polskiego — bądź dlatego, że nie udało im się osiągnąć własnych celów narodowych, bądź też dlatego, że uczucia lojalności i przywiązań wiązały je z państwem sąsiednim. Do pierwszej z wymienionych należała mniejszość ukraińska, do drugiej Niemcy. Bez względu jednak na różnice interesów i różnice charakteru poszczególnych mniejszości wszystkie, łącznie z pokaźnym odłamek mniejszości żydowskiej, swój stosunek do państwa polskiego układały w oparciu o zasadę daleko posuniętej ostroż-

ności. W życiu politycznym ostrożność ta oznaczała zajmowanie pozycji przetargowej. Pozycja ta była mocna, nie tyle z uwagi na duży procent mniejszości narodowych, lecz przede wszystkim dlatego, że polskie prawo państwowe zapewniło im pełne możliwości działania politycznego i pełnię praw obywatelskich. Stąd rola języczka u wagi, jaką w Sejmie spełniał blok mniejszości narodowych — co z kolei wzmacniało uczucie niechęci wśród Polaków i było pośrednią, choć nie jedyną przyczyną powolnego odchodzenia w traktowaniu mniejszości narodowych od zasad tolerancji i absolutnej demokracji, które Konstytucja Marcowa obwarowała normami prawnymi.

Założeniem Konstytucji było całkowite i bezwzględne równouprawnienie wszystkich obywateli polskich bez względu na narodowość. W zamian za to Konstytucja zakładała całkowitą lojalność obywateli wobec państwa lub — idąc dalej — pełnię przywiązania i gotowość do poświęceń wszystkich obywateli dla dobra wspólnego państwa. Państwa, które tylko dla Polaków było spełnieniem i wyrazem ich dążeń narodowych. Znak równania między pojęciami „Polak” i „obywatel polski” nigdy nie powstał, bo powstać nie mógł, zwłaszcza wtedy, gdy zarzucono ostatecznie pomysły odmiennnej organizacji ziem na wschód od Bugu i ziem Polski etnicznej. W roku 1921, gdy konstytucję uchwalano, a tym bardziej w 1922, gdy ją wprowadzano w życie, wszystkie koncepcje współżycia ludności ukraińskiej czy białoruskiej z Polakami na zasadach autonomii czy samorządu ustąpiły ostatecznie koncepcji centralistycznej. Odtąd Baranowicze lub Stanisławów traktowane być miały identycznie jak Mława czy Sosnowiec.

Nie mogło to być dobrze przez mniejszości przyjęte, co było dużym zawodem i nawet zaskoczeniem dla Polaków, stając się także dodatkowym źródłem błędów popełnianych przez państwo w jego tak zwanej polityce mniejszościowej. Jej podstawową wadą przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego był brak konsekwencji, kapryśna często zmienność i wichrowatość, wyrażająca się w odmiennym postępowaniu władz państwowych w różnych okresach i na różnych obszarach Kresów Wschodnich i Małopolski Wschodniej. Kapryśna linia polityki mniejszościowej była przy tym nierzadko gwałceniem własnego prawa państwowego. A także zobowiązania międzynarodowego, jakim był Traktat o Mniejszościach. Polska podpisała go niechętnie, uważała go za ograniczenie własnej suwerenności i jednostronnie go wypowiedziała w roku 1934. Zdania były i są do dziś podzielone, także wśród badaczy należących do ówczesnych mniejszości

narodowych, czy w rzeczywistości Traktat o Mniejszościach odegrał pozytywną rolę przy obronie praw i interesów mniejszości narodowych, czy też przeciwnie, interesom tym zaszkodził, właśnie dlatego, że nakładał na Polskę zobowiązania jednostronne.

Przy układaniu Traktatu o Mniejszościach mocarstwa zachodnie miały na uwadze przede wszystkim ochronę mniejszości niemieckiej i żydowskiej na obszarze Polski oraz innych państw, które powstały lub powiększyły swój obszar w wyniku pierwszej wojny światowej. Wbrew twierdzeniom propagandowym, także polskim, Traktatowi niechętnym, przyczyną takiego stanowiska w Wersalu były nie tylko jawne i zakulisowe wpływy międzynarodowych organizacji żydowskich lub naciski kół filoniemieckich, lecz także staranna analiza stosunków panujących w tej części Europy, w której Traktat miał obowiązywać. Gdy o Niemców w Polsce chodzi, spodziewano się, że może ich pozostać na miejscu znacznie więcej niż pozostało w rzeczywistości. Poza tym obawiano się dyskryminacji w stosunku do nich, chociażby prawem reakcji po wiekowym z górą okresie brutalnych rządów pruskich na ziemi polskiej — rządów, których programową częścią składową był właśnie ucisk narodowy.

Gdy zaś chodzi o ludność żydowską, Europa środkowo-wschodnia była jej największym skupiskiem. W niektórych częściach Polski było ich prawie 15 % ogółu ludności, jak w Kongresówce, lub około 9 %, jak w dawnej Galicji. W niektórych miasteczkach stanowili większość, a w niejednym z większych niewiele mniej niż połowę. Ich stosunki z ludnością tubylczą układały się bardzo różnie, co było wynikiem bardzo skomplikowanej struktury gospodarczej i odmienności kultury, nie mówiąc już o sprawach wyznaniowych. Wszędzie jednak czały się złe wspomnienia dyskryminacji stosowanej celowo przez władze zaborcze. W Austrii nie uznawano żydowskiej odrębności narodowej, nie pozwalając nawet w spisach ludności podawać języka żydowskiego jako ojczystego. W zaborze rosyjskim, choć warunki życia ludności żydowskiej były o niebo lepsze niż w Rosji właściwej, antysemityzm urzędowy był regułą obwarowaną nieraz normą prawną. Towarzyszyły mu szykany administracji rosyjskiej, a często podniecanie nastrojów antyżydowskich wśród ludności. Rząd carski celowo gromadził Żydów na dawnych ziemiach polskich — mówiąc ściślej, w granicach sprzed pierwszego rozbioru. Poza nimi, dalej na wschód, Żydom nie wolno było zmieniać miejsca zamieszkania, a dostęp do większych miast uzyskać mogli tylko na podstawie specjalnego przywileju wydawanego indywidualnie. Pogromy organizowane przez władze rosyjskie były

częste. Nie zdarzały się na ziemiach rdzennie polskich, choć i na nich bywały wypadki rozruchów antyżydowskich.

Ponadto po Traktacie Ryskim ludność żydowska w Polsce zwiększyła się o niemal 600 tysięcy przybyszy, przyjmowanych niechętnie nawet przez ich z dawna w Polsce osiadłych rodaków. Wielu z nich nie tylko nie znało języka polskiego, lecz nie chciało nawet używać żydowskiego, posługując się na codzień zepsutym rosyjskim. Wszyscy jednak w myśl polskiego prawa państwowego otrzymali w krótkim czasie obywatelstwo polskie.

Stopień asymilacji Żydów jak i stopień ich gotowości obywatelskiej były w różnych miastach lub dzielnicach bardzo zróżnicowane. Jako jeden z wielu przykładów tego stanu rzeczy posłużyć mogą dane statystyczne z pierwszego spisu ludności przeprowadzonego w Polsce jesienią 1921 roku. W spisie tym 2 miliony 700 tysięcy podało swą narodowość jako żydowską, co stanowiło 8,6 % ogółu mieszkańców. Natomiast w rubryce wyznaniowej do religii żydowskiej przyznawało się więcej, bo 10,8 %. Sprawę można by skomplikować dalej, gdyby przeprowadzić analizę, ilu ludzi wyznania mojżeszowego przyznawało się do innej niż żydowska narodowości, niekoniecznie zresztą polskiej, gdyż sporo uważało się za Rosjan, a niektórzy za Niemców.

Ukraińcom stabilizacja państwa polskiego przynosiła poczucie krzywdy. Przekreślała bowiem ich własne ambicje narodowe i polityczne, czy nawet perspektywę autonomii dla Małopolski Wschodniej. A autonomia była dla Ukraińców „galicyjskich” owym minimum, którym mogliby się zadowolić po wygaśnięciu wielkich nadziei na stworzenie własnego niepodległego państwa ze stolicą w Kijowie i w obliczu gorzkiej rzeczywistości, jaką dla większości ich narodu stwarzały rządy komunistyczne Związku Sowieckiego na wschód od rzeki Zbrucz.

Wyjątkiem wśród mniejszości w ich nastawieniu dyktowanym ostrożnością z dużą domieszką niechęci w stosunku do poczyniań państwa polskiego była znaczna część ludności białoruskiej, zwłaszcza katolickiej, dla której kultura polska i państwowość polska miały dużą siłę atrakcyjną. W granicach Polski między wojnami tylko ta mniejszość narodowa mogła zmieścić się bez szkody dla własnej odrębności w koncepcji „polonizacji”. W innym wszakże sensie niż ten, który koncepcji tej nadawała polska myśl prawicowa, traktująca „polonizację” nie jako przedłużenie przedrozbiorowej tradycji wspólnej dla różnych narodów nadrzędnej państwowości polskiej, lecz właśnie jako wynarodowienie. Więc i ta gotowość lojalnego i dobrowolnego, a jedno-

częśnie świadomego włączenia się w ogólny nurt życia państwa polskiego, jaką wykazywali Białorusini, nie stała się zjawiskiem powszechnym, lecz zaczęła z wolna ustępować miejsca tendencjom nacjonalistycznym wobec państwa polskiego — jeśli nie wrogim, to co najmniej obojętnym. O autonomii więc myślała też nieliczna inteligencja białoruska czy raczej polsko-białoruska, łącząc się z poglądami tych Polaków na Wileńszczyźnie, których nazywano „krajowcami”, a którzy samych siebie tak jak przed stu laty nazywali „Litwinami”. Dla nich rozczarowaniem było, że „Sejm Orzekający Litwy Środkowej”, wbrew życzeniu Naczelnika Państwa, wbrew życzeniu lewicy polskiej, lecz w całkowitej zgodzie z prawicowym odłamek opinii polskiej odrzucał myśl o autonomii i ogromną większością uchwalał inkorporację do Państwa Polskiego — bez warunków, bez zastrzeżeń, na tej samej zasadzie co Kieleccyzna czy Poznańskie. Ale ogromna większość w Sejmie wileńskim nie oznaczała większości mieszkańców tej ziemi, którzy wybierali posłów do Sejmu. Najczęściej wybierali Polaków, w przekonaniu, że są oni po staremu przywódcami wielonarodowej społeczności, która jest litewska w historycznym, nie „kowieńskim” znaczeniu, będąc tym samym „krajową” czyli i polską, i białoruską jednocześnie.

Ten typ świadomości ponadnarodowej czy wielonarodowej odpowiadał wielu Polakom. Lecz nie odpowiadał już większości Polaków. Nie odpowiadał już też mniejszościom. Formalnie konstytucja stanowiła też dostateczne zabezpieczenie praw mniejszości do pielęgnowania swej odrębności. Lecz tu właśnie wyłaniał się problem, którego rozstrzygnąć nie mógł przepis prawny, gdyż sięgał głęboko w historię z jednej strony, a w dążenia narodowe nie dające się zamknąć w pojęciu ochrony mniejszości z drugiej. Jest paradoksem, że ogół społeczeństwa polskiego najpóźniej zdał sobie sprawę z istnienia problemu mniejszości narodowej na innym odcinku niż żydowski lub niemiecki. Bo zarówno przekonanie, że tradycja polskiej tolerancji z epoki jagiellońskiej obowiązuje w dalszym ciągu, jak i przekonanie o atrakcyjności polskiej kultury dopomogło do krzewienia się wśród Polaków wiary w możliwość szybkiej asymilacji Ukraińców i Białorusinów. Właśnie przeciwnicy „federacyjności” i wszelkiej autonomii dla Wileńszczyzny czy dla Małopolski Wschodniej przekonani byli, że Ukraińcy i Białorusini są naturalnymi kandydatami na Polaków i że w polonizacji dostrzegają swą ogromną szansę.

Rozwianie tego rodzaju złudzeń nie trwało długo. Politycy zdali sobie sprawę, w jakim stopniu są to złudzenia już w roku 1921 i 1922. Lecz nie oznaczało to rezygnacji ugrupowań prawi-

cowych z hasła, że naprawdę czynnym w życiu państwa obywatelem powinien być tylko Polak.

Probierzem tych tendencji była sprawa autonomii Małopolski Wschodniej, której wbrew obietnicom i zobowiązaniom Ukraińcy się nie doczekali. Lecz tu trzeba być ostrożnym w sądach, gdyż była to ziemia wspólna i być może wszelkie akty prawne poprzedzić powinno było obopólne zrozumienie tej wspólnoty.

Istota sprawy polegała na tym, że mniejszości zapowiadały z góry, że swój stosunek do państwa polskiego uzależniają od swego własnego w tym państwie położenia. Biorąc udział w wyborach, inne mniejszości dawały aprobatę konstytucji. Zapowiadały jednak milcząco lub głośno, że godząc się z rzeczywistością, która im nakazuje żyć w państwie polskim, nie poczuwają się do solidarności z polskimi ambicjami narodowymi inaczej niż w oparciu o gwarancję pełni praw obywatelskich i poszanowanie własnych ambicji narodowych. Wyrazem tego było niespodziewane zjawisko stworzenia wspólnego bloku mniejszości w Sejmie.

Było to niespodziewane z tego przede wszystkim względu, że zarówno charakter narodowy, jak i potrzeby poszczególnych mniejszości stwarzały raczej naturalne linie podziału między nimi. Lecz właśnie fakt powstania wspólnego bloku mniejszości tak między sobą pod każdym względem różnych był zjawiskiem groźnym, gdyż miał charakter reakcji obronnej skierowanej przeciwko nacjonalizmowi polskiemu. Co gorzej, prawica polska uznała ten sojusz za zaczepny i z wniosku tego wyciągnęła konsekwencje, które w niczym nie zmniejszyły, lecz powiększyły napięcie. W Sejmie wybranym w listopadzie 1922 roku posłów niepolskich byłoby więcej, gdyby nie ukraiński bojkot wyborów. W sejmach następnych niektórzy posłowie reprezentujący mniejszości wyłamywali się z bloku mniejszościowego, decydując się na związki koalicyjne z różnymi ugrupowaniami polskimi. Nigdy jednak liczba posłów mniejszościowych nie sięgała 30 %, co by stanowiło odpowiednik statystycznego układu ludnościowego. Po części dlatego, że część mniejszości stosowała właśnie często bojkot wyborów, po części dlatego, że niektóre głosy mniejszości padały na listy polskie. Najczęściej z przekonania, choć nie brakło nigdy podejrzeń o naciski administracyjne, które zapewne miały także miejsce. Niemniej blok mniejszości nie związany żadnym wspólnym programem stanowić miał w Sejmie, przynajmniej do roku 1932, decydujący języczek u wagi, zapobiegając między innymi — choć nie była to przyczyna jedyna — możliwości stworzenia absolutnej większości, chociażby koalicyjnej, o znamionach trwałości. Świadomość tego stanu rzeczy potę-

gowała nastroje mniejszościom nieprzychylnie, zwłaszcza w prawicowo nastawionej części społeczeństwa polskiego, a także w centrowych stronnictwach chłopskich, co wyrażało się nie tylko w polemikach i walkach parlamentarnych, lecz także w ogólnej atmosferze życia państwowego. Przyczyniało się to niewątpliwie do rozbudzania nastrojów nacjonalistycznych, zarówno wśród Polaków, jak i wśród mniejszości narodowych. Przeciwdziałać temu próbowano, zwłaszcza w początkach lat trzydziestych, przy pomocy koncepcji nadrzędności lojalności państwowej nad solidarnością narodową, co miało oczywiście obowiązywać także Polaków lub może przede wszystkim Polaków. Koncepcja ta miała nawet swoich teoretyków, wśród których nazwisko Wacława Makowskiego, wybitnego prawnika, zasługuje na zapamiętanie. Miała też odbicie w założeniach programowych ugrupowań politycznych powstałych po przewrocie majowym jako przeciwwaga dla stronnictw tradycyjnych. Lecz koncepcja przeciwstawienia państwa narodowi była z założenia czymś sztucznym i werbalnym, gdyż w państwie polskim przeciwstawienie to nie mogło zastąpić patriotyzmu, wypływającego właśnie ze świadomości narodowej, co rzecz jasna nie było jednoznaczne z nacjonalizmem. Ponadto, owa nadrzędność lojalności państwowej była jak gdyby pośmiertnym echem pogrzebanego „federalizmu”, lecz bez jego prawdziwych wartości, gdyż obowiązywać miała wobec państwa jednolitego i scentralizowanego i tę jednolitość i centralizację miała ożywić i wzmocnić. Była to więc próba znalezienia rozwiązań praktycznych w oparciu o całkowicie sztuczne i teoretyczne założenia. Stąd też była nieskuteczna, choć przyciągnęła do siebie spore odłamy mniejszości narodowych, zapewne dlatego, że była antidotum na niebezpieczniejszy dla nich nacjonalizm.

Ważniejszą od „ideologii państwowej” w przeciwstawieniu do narodowej rolę w życiu Polski międzywojennej odegrał szczęśliwy fakt, że podziały ideologiczne — między Polakami a mniejszościami, wśród Polaków samych oraz w łonie poszczególnych mniejszości — nie ograniczały się do kryteriów narodowościowych. Podziały ideologiczne szły dalej i głębiej, znajdując swe źródło i pożywkę w problematyce społecznej, gospodarczej i politycznej. Lewica polska, zwłaszcza jej najprężniejszy ośrodek, jakim była PPS, przy całym swym patriotyzmie reprezentowała zawsze kierunek socjalizmu demokratycznego bez naleciałości nacjonalistycznych. Podobnie przedstawiało się „Wyzwolenie”. Tak też wyglądały stosunki wśród socjalistów żydowskich, zgrupowanych dość luźno zresztą wokół Bundu. Z tych też względów możliwe były i powstawały często, zwłaszcza w pierwszych latach

Drugiej Rzeczypospolitej, sojusze parlamentarne z udziałem części lub całego bloku mniejszości, z wyłączeniem tych tylko ugrupowań mniejszościowych, zwłaszcza ukraińskich, które reprezentowały własny wojujący nacjonalizm.

Stosunki między większością polską i mniejszościami narodowymi nie układały się więc wyłącznie po linii antagonizmów narodowych. Zawsze istniał jakiś odcinek współpracy, chociażby częściowej, i ciągle działały prądy ewoluujące w kierunku rozszerzenia tej współpracy. Jeśli nie rozwinęły się bardziej twórczo, to winy należy szukać w błędach administracji państwowej, lawirującej nieraz między faworyzowaniem mniejszości a zwykłym uciskiem narodowym. A także w braku ustalenia konkretnego celu, jaki należy osiągnąć, by współżycie z mniejszościami nie stanowiło ciągłego „problemu”, a stało się dokładnie sprecyzowaną częścią polskiej rzeczywistości państwowej.

To po jednej stronie, po stronie polskiej. Lecz winą, usprawiedliwioną czy nie, leżała także po stronie mniejszości. Tu jednak nie można jej sprowadzać do wspólnego mianownika, gdyż bardzo szybko wyszły na jaw zasadnicze różnice celów i interesów poszczególnych mniejszości. Ich współpraca na terenie pierwszych trzech Sejmów nie sięgała dalej niż potrzeba wspólnego frontu obronnego przeciw nacjonalizmowi prawicy polskiej w oparciu o możliwości, jakie dawał ustrój oparty o demokratyczną konstytucję. Nie przekraczała też, przynajmniej w tym okresie, granic wyznaczanych przez prawo państwowe, z wyjątkiem radykalnego skrzydła nacjonalistów ukraińskich oraz tych ugrupowań mniejszościowych, które podlegały dyrektywom komunistycznym i zmierzały wraz z Komunistyczną Partią Polski do likwidacji niepodległości państwa polskiego.

Tymczasem jednak, w roku 1921, prawicy polskiej zależało na tym, by „osobne ustawy państwowe” uchwalone zostały jeszcze przez Sejm, w którym nie zasiadają przedstawiciele zainteresowanych mniejszości. Chodziło jej o to, by ograniczyć do minimum lub w ogóle przekreślić praktyczne znaczenie konstytucyjnych postanowień zabezpieczających prawa mniejszości narodowych, a jednocześnie ograniczyć wpływ mniejszości na życie państwa jako całości. Wiele wskazuje na to, że manewr miał polegać na zniechęceniu czy odwieceniu mniejszości narodowych od wykonywania uprawnień obywatelskich, to znaczy od organizowania legalnych ugrupowań politycznych i od udziału w wyborach.

Cel ten został w części osiągnięty, gdy Ukraińcy w Małopolsce Wschodniej zbojkotowali wybory.

We wrześniu 1922 roku Gabriel Narutowicz jako minister

spraw zagranicznych wniósł na forum Sejmu Ustawodawczego „przedłożenie rządowe” czyli projekt autonomii dla Małopolski Wschodniej. Był to projekt umiarkowany, zabezpieczający interesy ludności polskiej i nie poddający w wątpliwość przynależności Małopolski Wschodniej do państwa polskiego. Pomimo to został dobrze przyjęty zagranicą, a z dużą nadzieją przez Ukraińców.

Prawica protestowała przeciw „przedłożeniu” w imię „zagrożenia jednolitości państwa”. W dyskusjach projekt został przerehablowany w ten sposób, że jego część pierwszą zamieniono w ogólne zasady szerokiego samorządu terytorialnego dla wszystkich województw. Dopiero w części szczegółowej mowa była o Małopolsce Wschodniej z klauzulą, że postanowienia wykonawcze ma uchwalić następny Sejm nie wcześniej niż za dwa lata. Jednocześnie podzielono Małopolskę Wschodnią na trzy województwa: tarnopolskie, stanisławowskie i lwowskie, z tym, że do lwowskiego przyłączono ziemie rdzennie polskie, mianowicie całą Rzeszowszczyznę aż po Wisłę pod Sandomierzem. Miało więc w ten sposób większość polską i to znaczną, a cała w ten sposób rozszerzona Małopolska „Wschodnia” miała mniej Ukraińców niż Polaków.

Postanowień wykonawczych nie uchwalono — ani po dwóch latach, ani później, pomimo starań PPS. Nie weszły też w życie postanowienia ogólne o samorządzie dla wszystkich województw polskich. Mogłyby na nich skorzystać także Wołyń i tereny o większości białoruskiej, jak Polesie i Nowogródzkie.

Ukraińcy całą tę procedurę sejmową uznali za podstęp i trudno nie przyznać im racji. Sam Narutowicz natomiast działał w najlepszej wierze. Występując przed Sejmem, mógł liczyć na przykład Górnego Śląska, któremu Polska przyznała rzeczywiście bardzo szeroko zakrojoną autonomię, łącznie z Sejmem wojewódzkim o wyraźnie określonych kompetencjach i to zanim w wyniku Trzeciego Powstania jego wschodnia część została Polsce przyznana. Przeciwno powodzeniu projektu „przedłożenia rządowego” w sprawie autonomii dla Małopolski Wschodniej przemawiał za to przykład Wileńszczyzny, która sama odrzuciła myśl o autonomii, domagając się inkorporacji.

Na odcinku spraw narodowościowych więc odłożenie wprowadzenia w życie Konstytucji Marcowej nie tylko niczego nie załatwiło, lecz przeciwnie, nakazało posłom wybranym przez mniejszości zasiąść na ławach poselskich w przyszłym Sejmie z nastawieniem obronnym lub wyczekującym.

SPÓR KONSTYTUCYJNY

Wspominaliśmy już o społecznych przyczynach przedłużenia kadencji Sejmu Ustawodawczego poza datę uchwalenia konstytucji. I tu zwłoka niczego nie dała, gdyż ani nie zdołano przeformować dalszych ważnych reform społecznych, ani nie znaleziono przekonywujących przeciwko nim argumentów. I wreszcie wątpliwa okazała się korzyść przedłużenia kadencji sejmowej, jeśli chodzi o naprawę katastrofalnego położenia gospodarczego i skarbowego. Uczciwie jednak przyznać trzeba, że tu zdziałano najwięcej, gdyż najczęściej podejmowano prób dyktowanych rozsądkiem. Potrzeby gospodarcze były zresztą główną przesłanką opartego o centrum rządu Wincentego Witosa, gdy wraz z prawicą wypowiadał się za odłożeniem wprowadzenia w życie nowej konstytucji do momentu mniej dla gospodarki polskiej niebezpiecznego.

Związek między odłożeniem konstytucji i sprawami gospodarczymi wydaje się luźny. Czy w ogóle był między nimi jakiś związek? Tak, i to zarówno w sensie obiektywnym, jak i subiektywnym. Obiektywnie, przy katastrofalnym stanie aprowizacji kraju unikać należało wszystkiego, co by mogło w najmniejszym nawet stopniu nadwerżnąć produkcję rolną. Na tym stanowisku stał także „Piaś”, ośrodek koalicji prawicowo-centrowej. Parcelacja siłą rzeczy musiała być wstrząsem, a tej — w przekonaniu większości Sejmu — nie dałoby się odłożyć z chwilą ukonstytuowania się nowych władz państwowych. W cyfrach produkcja rolna wykazywała postęp, lecz postęp zbyt powolny. W dodatku poprawie uległa przede wszystkim produkcja wielkiej własności: zjawisko społecznie nieprzyjemne, gdyż używane jako argument przez przeciwników reformy rolnej, lecz bardzo istotne gdy chodzi o troskę o codzienne wyżywienie ludności.

Jeszcze gorsza sytuacja panowała w przemyśle. Nie biorąc pod uwagę Górnego Śląska, lecz po częściowym zwrocie maszyn wywiezionych przez Niemców z Kongresówki, produkcja w hutnictwie sięgała zaledwie 35 % przedwojennej, we włókiennictwie trochę poniżej połowy, a w przemyśle metalowym zaledwie 20 %.

Fatalnie przedstawiał się system podatkowy, wobec braku jasnego ustawodawstwa, ustabilizowanej waluty i postępów inflacji. Część winy spadała na brak doświadczonej administracji, nie tylko zresztą skarbowej. A także na ospały stosunek ludności, która poza jednym Poznańskiem nie wywiązywała się z obowiąz-

ków płatniczych. Często zresztą wywiązać się nie mogła. Niemniej całe społeczeństwo ściągnie na siebie gromy z ust Witosa, skierowane na równi pod adresem biednych i bogatych, jeśli o bogatych można było wówczas w Polsce mówić, wyłączwszy rzecz jasną grupę aferzystów obejmowanych elastycznym określeniem „paskarzy”. *Exposé* ministra skarbu Michalskiego na wiosnę 1922 roku uprzytomniło wzrastający rozmach koła inflacji. W ciągu dwóch lat ilość pieniędzy w obiegu podniosła się z 5 do 207 miliardów marek polskich, a dolar, za którego w końcu roku 1919 płacono 90 marek, we wrześniu roku 1921 kosztował 6 tysięcy.

Procesu tego nie zdołano powstrzymać, przeciwnie, trwał dalej także po ukonstytuowaniu się nowych władz państwowych. Nie pomogły lub pomogły w nieznacznym tylko stopniu drakońskie zarządzenia oszczędnościowe, przede wszystkim tegoż Michalskiego, który zyskał sobie przydomek „żelaznej miotły”. Państwo przez 3 lata wydało 330 miliardów marek, a ściągnęło do skarbu ze wszystkich źródeł zaledwie 102 miliardy. Częściowo ratowała sytuację tak zwana danina majątkowa, a także energicznie ściągany podatek od wzbogacenia w czasie wojny — skuteczna broń na aferzystów. Lecz te środki działały zbyt powoli i dopiero pod koniec przedłużonego prowizorium ustrojowego.

Przejdźmy do subiektywnych względów zwłoki z nową konstytucją. Wszystkie stronnictwa, zwłaszcza koalicja prawicowocentryczna, obawiały się, że powszechna nędza pierwszych lat powojennych wpłynie na wyniki wyborów. Stąd chęć przedłużenia kadencji Sejmu Ustawodawczego, w nadziei, że poprawa położenia gospodarczego polepszy nastroje.

Polepszenie sytuacji gospodarczej wiązało się siłą rzeczy z najważniejszym zespołem problemów, które wskazywały na potrzebę unikania wszelkich wstrząsów, chociażby w postaci demokratyzacji i swobodnie przeprowadzonych wyborów — i to w niepewnej sytuacji międzynarodowej.

Rząd Witosa, który z poparciem centrum i prawicy sejmowej przeprowadził ustawę o przedłużeniu prowizorium ustrojowego, był rządem koalicyjnym, opromienionym zasługą zmobilizowania wszystkich sił narodu w momencie, gdy Armia Czerwona stała na rogatkach Warszawy. Decyzji przedłużenia kadencji Sejmu Ustawodawczego nie sprzeciwiał się Naczelnik Państwa. Jego motywy były jednak inne niż motywy stronnictw politycznych. Chciał uniknąć wstrząsu przekazania władzy nad wojskiem i przerwania ciągłości polityki zagranicznej. Traktat Ryski był niewątpliwie jego przegraną polityczną. Z faktem tym musiał się pogo-

dzie i godził się, lecz nie oznaczało to jego rezygnacji z nadzoru nad polityką zagraniczną w okresie, który oceniał jako niebezpieczny. Wiedział, że przyszły prezydent nie będzie już miał na nią wpływu, jaki jemu jako Naczelnikowi Państwa przyznawała Mała Konstytucja. I chciał swemu następcy — bo postanowił na urząd prezydenta nie kandydować, o czym jeszcze nie wiedział ani Sejm, ani opinia — pozostawić jak najmniej spraw niezafatwionych a niebezpiecznych. Nie ulega też wątpliwości, że liczył na wyjaśnienie niektórych zagadnień ustrojowych po myśli swego przekonania o konieczności przyznania głowie państwa większego wpływu właśnie w dziedzinie polityki zagranicznej i w kwestii odpowiedzialności rządu.

Gabinet Witosy upadł we wrześniu 1921 roku wskutek kolejnego wycofywania poparcia ze strony stronnictw koalicyjnych. Jego ostoja, centrum sejmowe, przesuwawa się coraz bliżej prawicy. Nie tak mocno jednak, by następstwo po Witosie mógł objąć Stanisław Grabski z ramienia Narodowej Demokracji. Sejm zaproponował, a Naczelnik Państwa powołał na premiera Antoniego Ponikowskiego i rząd tak zwanych fachowców. Czyli niepolityczny. Utrzymał się on do marca 1922 roku. Upadł pod naciskiem prawicy wzmocnionej przez wejście do Sejmu posłów ziemi wileńskiej. Lecz odżył ponownie w nieco zmienionym składzie i utrzymał się aż do momentu, gdy wotum nieufności wyraził mu nie Sejm, lecz Naczelnik Państwa. Krok ten nie był podyktowany względami osobistymi. Jako motywy podał Piłsudski trudną sytuację międzynarodową, w jakiej znalazła się Polska wobec zawarcia 16 kwietnia układu między Rzeszą Niemiecką i Związkiem Sowieckim, znanego jako pakt w Rapallo. Widział w nim potencjalne niebezpieczeństwo obalenia ładu wersalskiego w Europie i możliwość przymierza dwóch wielkich sąsiadów Polski, skierowanego przeciwko jej niepodległości. Drugim motywem powodującym Naczelnikiem Państwa było narastanie napiętności w związku z kampanią wyborczą przed wyborami do nowego Sejmu. Gdy o wybory chodzi, podzielał Piłsudski obawy stronnictw określanych jako lewicowe, że odbyć się one mogą w atmosferze zastraszenia mniejszości narodowych przez ugrupowania prawicowe w tym zamiarze, by wyeliminować je w praktyce z czynnego życia państwowego.

Piłsudski nie obciążał za ten stan rzeczy ani premiera Ponikowskiego, ani jego ministrów. Nie obciążał ich też odpowiedzialnością za niepowodzenie międzynarodowej konferencji genueńskiej. Stwierdzał natomiast, że w tak trudnej sytuacji, zarówno wewnętrznej, jak międzynarodowej, rządów nad Polską

nie można sprawować „w szlafroku i w pantoflach”. Innymi słowy, nie można ich sprawować w oparciu o wieczne kompromisy między poszczególnymi ugrupowaniami sejmowymi. Po prostu dlatego, że kompromisy te uniemożliwiają wytyczenie jasnej i energicznej linii politycznej. By temu stanowi rzeczy zaradzić, Naczelnik Państwa chciał doprowadzić do spięcia interpretacyjnego postanowień Małej Konstytucji zamiast odkładać sprawę do wejścia w życie nowej konstytucji, pomyślanej jako trwałej, a nie tymczasowy fundament ustrojowy.

Mała Konstytucja dawała większą swobodę manewru, choćby dlatego, że obdarzała Naczelnika Państwa funkcją powoływania rządu i tym samym obok odpowiedzialności ministrów przed Sejmem kazała się domyślać ich odpowiedzialności przed Naczelnikiem Państwa. Piłsudski chciał tę sytuację wykorzystać. Także w tym celu zapewne, by drogą faktów stworzyć możliwość szybkiej zmiany tych przepisów nowej Konstytucji Marcowej, które uważał za błędne. W przekonaniu Piłsudskiego, któremu niejednokrotnie dawał wyraz, były dwie dziedziny działalności państwowej, na które głowa państwa powinna mieć wpływ bezpośredni, mianowicie sprawy obrony i polityki zagranicznej. Chciał, by nie były zależne od kompromisu, od ciągle zmieniających się konfiguracji koalicyjnych na ławach Sejmu. Możliwość powstania wyraźnej i dobrze zorganizowanej większości sejmowej wydawała się na podstawie dotychczasowych doświadczeń bardzo odległą. A jeśli ktoś w roku 1922 o stworzeniu takiej większości w sejmie mógł myśleć, to właśnie prawica skupiona wokół Narodowej Demokracji, której programu Piłsudski najbardziej się obawiał.

Dotychczas nie udało się prawicy sięgnąć po rządy, gdyż nawet z różnymi przybudówkami większości w Sejmie nie miała. Lecz właśnie w roku 1922 nastąpiło znaczne przesunięcie na jej korzyść, wskutek coraz silniejszych związków z ugrupowaniami centrowymi. Owo „oscylowanie na prawo” znalazło już swój wyraz w szeregu faktów dokonanych, a także w zmieniającym się przekroju nastrojów społeczeństwa. Jednym z faktów była ostateczna rezygnacja z wszelkich pomysłów zwanych „federalcyjnymi”. Polskę budowano teraz jako jednolite państwo scentralizowane — bez oglądania się na rzeczywistość etniczną. Jednocześnie starano się pozbawić mniejszości rzeczywistego wpływu na sprawy państwowe. Gdy na tle debaty o Małopolsce Wschodniej socjaliści podnosili sprawę dwudziestopięcioletniego okresu władzy polskiej, po którym nastąpić powinno ponowne rozpatrzenie położenia w oparciu o wolę ludności, przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych Stanisław Grabski z pełnią

przekonania stwierdził, że za 25 lat „nie będzie w ogóle w Polsce Ukraińców”. Wierzył w ich polonizację.

W tym też okresie Wileńszczyzna dokonała dobrowolnego zjednoczenia z Polską, rezygnując ze statusu samorządowego czy autonomicznego. Tym samym przekreślona została jakakolwiek ewentualna podstawa do ułożenia stosunków z republiką litewską. Posłowie ziemi wileńskiej w swej większości wzmocnili szeregi Narodowej Demokracji w sejmie polskim. Wola ludności była wyraźna, gdyż do sejmu Litwy Środkowej głosowało 64 % uprawnionych, wybierając 104 posłów, wśród których nie było ani jednego Litwina i tylko czterech Białorusinów. Lecz politycznie wprowadzenie odrębnego autonomicznego statusu dla Wileńszczyzny, choćby na wzór Górnego Śląska, nie osłabiłoby w niczym położenia Polaków wileńskich, a mogło stanowić ważny atut w polityce zagranicznej.

Niebezpieczeństwa powstałego w Rapallo opinia sejmowa zdawała się nie dostrzegać. Pomimo zarysowujących się już szczyrb w „koncercie zwycięskich mocarstw Ententy zachodniej” prawica sejmowa wierzyła bezgranicznie w moc i wartość współpracy z Francją, Traktat Ryski zaś usuwał w jej mniemaniu raz na zawsze wszelkie niebezpieczeństwo od strony Rosji. Trwała dalej czujność czy nieufność wobec Niemiec, lecz i tutaj łatwość, z jaką udało się po trzecim Powstaniu Śląskim zarówno ułożyć stosunki z pozostałą w granicach Polski mniejszością niemiecką, jak i szybkie zawarcie układu gospodarczego z Niemcami, zapewniającego natychmiastowe uruchomienie przemysłu górnośląskiego, nakłaniały do optymizmu.

Znajdowało to swój wyraz w nastawieniu opinii sejmowej i opinii w ogóle, tym samym wzmacniając popularność przywódców prawicy narodowo-demokratycznej. A wśród nich Wojciecha Korfanteo, działacza o wielkich zdolnościach gospodarczych, a przy tym zwolennika kapitalizmu w najczystszej postaci, obdarzanego zaufaniem przez wielki przemysł zarówno polski, jak i zagraniczny, nie wyłączając niemieckiego. Jego też postanowił Związek Ludowo-Narodowy i cała prawica sejmowa postawić na czele rządu.

Powiedzmy kilka słów o tym przesileniu. Po ustąpieniu Ponikowskiego Naczelnik Państwa zwrócił się do konwentu seniorów w Sejmie o wyjaśnienie, jak należy rozumieć przepis Małej Konstytucji stanowiący, że Naczelnik Państwa powołuje rząd w porozumieniu z Sejmem. Co następuje, gdy do takiego porozumienia nie dojdzie. I wreszcie kto wyraża wolę Sejmu w tym wypadku? Czy tylko Marszałek Sejmu czy większość

sejmowa? Konwent seniorów nie był instytucją przewidzianą przez prawo. Wytworzył się w drodze zwyczaju, a należeli do niego prezesi wszystkich ugrupowań zasiadających w Sejmie. Odpowiedź tego ciała była dość niejasna. Stwierdziło ono, że inicjatywa powołania rządu należy do Naczelnika Państwa, gdyby jednak z niej nie skorzystał, lub gdyby rząd przez niego powołany nie uzyskał aprobaty Sejmu, wówczas rząd ma powołać sejmowa Komisja Główna złożona z przedstawicieli stronnictw po jednym na każdym pięciu posłów.

Piłsudski odpowiedział, że nie zamierza konkurować z Komisją Główną i proponuje, by ona rząd powołała. Komisja jednak nie uzgodniła kandydatury. Wobec czego Naczelnik Państwa na wniosek komisji powierzył utworzenie rządu Arturowi Śliwińskiemu. Śliwiński stanął ze swym rządem — złożonym przeważnie z fachowców — przed Sejmem 7 lipca i natychmiast sześcioma głosami większości otrzymał wotum nieufności. Wówczas Komisja Główna głosami prawicy wyznaczyła Wojciecha Korfantego. Korfanty nie czekając na aprobatę Naczelnika Państwa zaczął rząd tworzyć. Piłsudski oświadczył, że współpracować z nim nie będzie, lecz nie chcąc mu przeszkadzać zgłosił złożenie swego urzędu.

W pewnym sensie było to starcie dwóch indywidualności, dwóch sposobów myślenia i działania, dwóch krańcowo różnych charakterów. Piłsudski Korfantego nie cierpiał, a jego metody polityczne potępiał. Widział też w nim przeciwnika reform społecznych, gotowego nie tylko do zahamowania reformy rolnej, lecz także do cofnięcia lub zawieszenia już osiągniętych reform w dziedzinie ubezpieczeń robotniczych i ochrony pracy. Hasło „precz z Korfantym” podniosła cała lewica, nie tylko w Sejmie, lecz i na ulicach miast.

Nastąpił moment wielkiej próby. Prawica zgłosiła wniosek nieufności dla Naczelnika Państwa. Tu jednak jej sojusz z niektórymi stronnictwami centrum okazał się zbyt kruchy. Wniosek upadł 207 głosami przeciwko 187. Tym samym przepadł gabinet Korfantego. Komisja Główna zwróciła się ponownie do Piłsudskiego o powołanie rządu.

Jeśli celem przesilenia wywołanego przez Piłsudskiego było wykazanie potrzeby wzmocnienia autorytetu głowy państwa, nie na potrzebę chwili, lecz na przyszłość, to cel ten został osiągnięty. Lecz grę przeprowadzono w sposób tak zawikłany i w atmosferze tak daleko posuniętego roznamietnienia, że logiczne wnioski wymknęły się zrozumieniu opinii ogółu obywateli. Mówiono więc przede wszystkim o zwycięstwie Piłsudskiego nad Korfan-

tym, jakby to było zwycięstwo personalne, lub o zwycięstwie „lewicy” nad „prawicą”, co tylko nadało nowego impetu kampanii wyborczej. Lecz nie mówiono o potrzebie zrewidowania nowej konstytucji w tym duchu, by zapobiegała — zamiast je bardziej jeszcze ułatwiać — kryzysom między głową państwa i parlamentem.

Piłsudski powołał rząd pod przewodnictwem profesora Juliana Nowaka, co Sejm aprobował 60 głosami większości. Nowak był postacią niekontrowersyjną, politycznie niezaangażowaną. Jego gabinet miał być przejściowy, na czas wyborów i do czasu wejścia w życie nowej konstytucji. Tylko w dwóch resortach, w przekonaniu Piłsudskiego najważniejszych, znaleźli się ludzie o mocnych przekonaniach i dużych umiejętnościach. Wojsko objął generał Kazimierz Sosnkowski, a sprawy zagraniczne Gabriel Narutowicz, nowa gwiazda na firmamencie politycznym, człowiek obdarzony pełnym zaufaniem zarówno Piłsudskiego jak i całej lewicy i elementów postępowych. A także zaufaniem mniejszości narodowych, które widziały w nim swego obrońcę. Był też nim w istocie.

WYBORY 1922

W myśl postanowień konstytucji prezydent Rzeczypospolitej miał mieć pozycję słabszą od dotychczasowego Naczelnika Państwa. Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju koncepcja pomyślana była jako sposób pozbawienia Józefa Piłsudskiego możliwości praktycznego działania politycznego. Było bowiem powszechnym przekonaniem, także na niechętnej lub po prostu wrogiej Piłsudskiemu prawicy, że jest on jedynym, naturalnym jak gdyby kandydatem na prezydenta. Za cenę tego zaszczytu Piłsudski nie chciał jednak zrezygnować z aktywnego udziału w życiu państwa. Lecz zarówno opinia publiczna jak i nowy Sejm dowiedzieć się o tym mieli dopiero 4 grudnia, to jest w przeddzień wyborów prezydenta. Wówczas to Naczelnik Państwa zapowiedział, że na swą kandydaturę się nie zgodzi, dodając przy tym, że dotychczas stał na czele państwa w oparciu o swoją — jak to nazwał — „krótką panią”. Miał tu na myśli Małą Konstytucję. Dodał też, że rządy mógł sprawować w oparciu o zaufanie, jakim się cieszył, dopóki trwała wojna. Choć i na to po-

trzeba było „wiele sprytu”. Obecnie sytuacja jest inna, a nowa konstytucja nie daje głowie państwa możliwości działania politycznego i będzie je sobie musiał prezydent sam wypracować. Do tego potrzebny jest ktoś, „kto miałby cięższy chód, a lżejszą rękę”. Takim człowiekiem w jego przekonaniu był Gabriel Narutowicz.

Tak więc ostatnie miesiące pracy Sejmu Ustawodawczego nie należały do szczęśliwych. Sejm przestał dorastać do poziomu, na jaki się wspiął w okresie zagrożenia wojennego, gdy pomimo różnic zapatrywań i pomimo braku doświadczenia potrafił rządzić we współpracy z Naczelnikiem Państwa. Wśród przyczyn tego stanu rzeczy najważniejsze zapewne było osłabienie autorytetu Naczelnika Państwa. Od roku 1921 najważniejszy atrybut jego władzy, jakim była funkcja Naczelnego Wodza, stracił swe dominujące znaczenie. Czasy pokojowe nie wymagały — zdaniem opinii — takiej solidarności przedstawicieli krańcowo różnych kierunków politycznych, na jaką się oni zdobyli w okresie rządu koalicyjnego Wincentego Witosa w roku 1920. Nadzwyczaj szerokie i niesprecyzowane uprawnienia Sejmu Ustawodawczego, gdy zabrakło im hamulców w postaci zagrożenia zewnętrznego, stwarzały sytuacje niebezpieczne i gorszące. Dlatego też rozpisanie wyborów w oparciu o nową konstytucję i tym samym wejście konstytucji w życie przyjęto z ulgą w całym kraju. Przyjął to też z ulgą Piłsudski. Przeciwny był przedłużaniu stanu tymczasowego, skoro zamiast uporządkować zastarzałe problemy i przedłożyć nowemu Sejmowi czystą „kartę pracy” problemy te niekiedy pogarszał, a niekiedy mnożył.

Widoczne to było przede wszystkim na odcinku spraw gospodarczych, skarbowych i walutowych. Próby uzdrowienia podejmowane były przez Sejm Ustawodawczy nieśmiało i połowicznie, a przez kolejne rządy bez określonego planu. Zbyt dużo przy tym przywiązywano wagi do środków mechanicznych, w istocie prymitywnych, a na pewno oderwanych od całokształtu koniunktury międzynarodowej. Ograniczano się do zarządzeń oszczędnościowych, by zrównoważyć, a przynajmniej zmniejszyć deficyt budżetu państwowego. Drastyczne w tym względzie poczynania ministra Michalskiego doprowadzały tylko do kłótni między poszczególnymi resortami i paniki wśród urzędników państwowych. Traktowano podatek majątkowy jako cudowne lekarstwo skarbowe, gdy w gruncie rzeczy mógł być jedynie pigułką aspiryny zażyty przeciw złamaniu nogi. Inflacja, choć nie przybrała jeszcze rozmiarów katastrofy, czyniła spustoszenie, a brak banku emisyjnego i wyraźnego określenia, na czym opiera się

waluta nie pozwalał na żadne planowanie gospodarcze, czyniąc z Polski złego kontrahenta na rynku międzynarodowym.

Nic też dziwnego, że w mowie inauguracyjnej w nowym Sejmie 28 listopada 1922 roku Naczelnik Państwa poza wezwaniem do lojalnej współpracy ludzi, stronnictw i instytucji państwowych stwierdzić miał, że najważniejszym i wszystko inne usuwającym w cień zadaniem nowego parlamentu jest uregulowanie finansów państwa i praca nad uzdrowieniem gospodarki kraju.

28 lipca Sejm Ustawodawczy uchwalił wreszcie ordynację wyborczą. Nie odbiegała w niczym od zasad demokratycznych, tak wyraźnie i z takim naciskiem sformułowanych w Konstytucji Marcowej. Nie było żadnych ograniczeń w stosunku do mniejszości narodowych. Sejm miał się składać z 444 posłów, a Senat ze 111 senatorów. Kraj podzielono na okręgi wielomandatowe, z tym wszakże, że wprowadzono również listę państwową, jak gdyby uzupełniającą, z której do Sejmu wejść mogli przedstawiciele stronnictw na podstawie ogółu oddanych głosów w całym państwie. Była to metoda zapewniająca w sposób jak najbardziej skrupulatny sprawiedliwy wynik, tak, by żaden głos wyborczy nie został zmarnowany. W praktyce sprzyjało to raczej niż zapobiegało rozdrobnieniu partyjnemu na ławach sejmowych.

Rząd dopilnował wzorowo całkowitej swobody wyborów. W przeciwieństwie jednak do wyborów ze stycznia 1919 roku, które odbywały się w atmosferze nie tylko poważnej, ale jak gdyby „w uroczystym skupieniu”, wyborom w roku 1922 towarzyszyło daleko posunięte roznamietnienie — skutek długotrwałej agitacji przedwyborczej.

Nowy Sejm został wybrany 5 listopada, Senat 12 listopada.

Na ziemiach etnicznie polskich frekwencja była wysoka, sięgając w województwach zachodnich 87 % uprawnionych do głosowania. Natomiast na terytoriach o ludności mieszanej była znacznie niższa, co najwyraźniej widać na przykładzie Małopolski Wschodniej, gdzie liczba głosujących sięgała niekiedy liczby zamieszkałych w jakimś okręgu Polaków, lecz nigdzie nie przekroczyła 50 %. Do Senatu głosowało mniej niż do Sejmu.

O ukraińskim bojkocie wyborów była już mowa. Z bojkotu wyłamała się tylko stosunkowo nieznaczna grupa tak zwanych pogardliwie „chliborobów”, to znaczy zwolenników współpracy z Polakami. Wskutek tego, rzecz jasna, w Małopolsce Wschodniej przeszli kandydaci Polacy, co wypaczyło reprezentację tego obszaru w Sejmie. Podobnie, choć o wiele mniej drastycznie

wypadły wybory na obszarach o dużym nasileniu ludności białoruskiej. Tylko na Wołyniu Ukraińcy głosowali gromadnie, zdobywając większość mandatów. Zwarcie głosowała natomiast mniejszość żydowska oraz mniejszość niemiecka na Pomorzu i na Górnym Śląsku, co w rezultacie spowodowało, że obie te mniejszości były silniej reprezentowane w Sejmie niż większości słowiańskie.

Ze statystyki ludnościowej wynikać by mogło, że mniejszościom narodowym przypaść powinno z górą 100 mandatów. Zdobyły tylko 84, co było jednak odsetkiem bardzo poważnym i spowodowało konsternację wśród polskich ugrupowań prawicowych. Co ciekawsze, a o czym już wspomnieliśmy, pomimo różnic ideologicznych w łonie poszczególnych stronnictw reprezentujących mniejszości, gdyż były wśród nich kierunki konserwatywne obok komunizujących, posłowie mniejszości narodowych stworzyli w Sejmie luźny zresztą blok, zamierzając głosować solidarnie w wyborach na prezydenta. I to było główną nowością w porównaniu z Sejmem Ustawodawczym.

Gdy chodzi o stronnictwa polskie, zyskały w wyborach ugrupowania prawicowe i lewicowe. Prawica swój udział podniosła z 24 % mandatów do 28 %, a lewica z 16 % do 22 %. Centrum zdobyło 30 %. Stronnictwami prawicowymi były Związek Ludowo-Narodowy czyli Narodowa Demokracja oraz zbliżone do niego Stronnictwo Chrześcijańsko-Narodowe. Lewica nie była jednolita. Obok „Wyzwolenia”, które wyszło z wyborów osłabione, i Polskiej Partii Socjalistycznej, którą wybory wzmocniły, na lewicy znalazło się kilka drobnych ugrupowań, a także 2 komunistów.

Było więc rzeczą jasną, że nie będzie można w Sejmie stworzyć większości inaczej niż w drodze koalicji albo lewicy, albo prawicy z ugrupowaniami centrowymi. Wymagać to będzie głęboko sięgających kompromisów i półśrodków. Powtarzała się więc sytuacja znana już w Sejmie Ustawodawczym, co nie było dobrą wróżbą. Nie zmieniało tego faktu radykalne zmniejszenie się liczby mandatów, jakie zdołały zdobyć stronnictwa centrowe. Znikło wiele drobnych ugrupowań, o których wcale głośno było w Sejmie Ustawodawczym, takich jak Stronnictwo Pracy Konstytucyjnej lub Stronnictwo Mieszczańskie. Centrum stanowiły teraz Chrześcijańska Demokracja, twór stosunkowo nowy, lecz bardzo wpływowy, „Piast” i najmniejsza Narodowa Partia Robotnicza.

Tego rodzaju przesunięcia stanowić będą treść dziejów drugiego i następnych Sejmów Rzeczypospolitej, upamiętnionych takimi nazwami jak „Chjeno-Piast” czy Centrolew, w zależności

od zawiązywanych sojuszków. Ci krytycy i publicyści, którzy w odniesieniu do Sejmu Ustawodawczego posługiwali się określeniem „sejmowładztwo”, myśląc o rozciągłości jego uprawnień, w okresie następnym zmieniają treść słowa w ten sposób, by oznaczało paraliżującą raczej niż twórczą funkcję krępowania swobody działania władzy wykonawczej.

Niemniej zarówno praktyka parlamentarna, a tę już większość posłów posiadała, jak i dobra wola w obliczu palących zagadnień gospodarczych pozwalały przypuszczać, że wartości absolutne, jakie zapewnia społeczeństwu demokracja parlamentarna, pozwolą się uporać z trudnościami wynikającymi z braku wyraźnej większości. Nadzieje te się spełniły, chociaż nie w pełni.

Skład społeczny Sejmu nie uległ zmianie. Grupą najliczniejszą byli chłopci, należący do wielu stronnictw. Zwiększyła się za to liczba posłów z wyższym i średnim wykształceniem, których w Sejmie Ustawodawczym było stosunkowo niedużo. Warto tu dodać, że z tej inteligenckiej grupy rekrutowała się większość posłów reprezentujących mniejszości narodowe. Skład Senatu był w zasadzie wierną odbitką podziału partyjnego w Sejmie.

Z dotychczas znanych polityków większość wybrana została ponownie. I tak widzimy w nowym Sejmie takich działaczy prawicy o znanych dobrze nazwiskach jak Stanisław Głabiński, Stanisław Grabski, Seweryn Czetwertyński, Władysław Konopczyński, Jerzy Zdziechowski, Marian Seyda. Chrześcijańską Demokrację reprezentują przede wszystkim Wojciech Korfanty, Józef Chaciński i Ludwik Gdyk. Jako piastowcy obok Witosa występują Władysław Kiernik, Maciej Rataj, Jan Dąbski, Stanisław Osiecki. Z „Wyzwolenia” zasiadają Stanisław Thugutt, Tomasz Nocznicki, Kazimierz Bagiński, Juliusz Poniatowski, Błażej Stolarski, a z PPS Ignacy Daszyński, Herman Diamand, Jędrzej Moraczewski, Norbert Barlicki, Feliks Perl, Herman Lieberman, Mieczysław Niedziałkowski, Jan Kwapiński, Zygmunt Marek, Kazimierz Pużak. W Narodowej Partii Robotniczej działać będą Stanisław Wachowiak, Karol Popiel, Adam Chądzyński. Niektórzy z dotychczasowych posłów, jak na przykład Wojciech Trąpczyński, Jakób Bojko, Bolesław Limanowski, Bolesław Wysłouch, znaleźli się w Senacie. Są to nazwiska wielkiego kalibru, znane już dobrze całemu społeczeństwu z dawnej działalności niepodległościowej.

Trzeba pamiętać o jednej bardzo ważnej sprawie. Sejm i jako instytucja, i jako zespół ludzi cieszy się powszechnym poważaniem w całym społeczeństwie. Nic nie osłabia powszechnego przekonania, że jest to rzeczywiście suwerenna władza w suwe-

rennym państwie. Tak myślano o pierwszym Sejmie Ustawodawczym, nie inaczej myśli się o nowym Sejmie. Do tego nastawienia dołącza się powszechne przekonanie, że nowa konstytucja państwowa jest nie tylko czymś niewzruszalnym, lecz także omal doskonałym. Jest to dobra atmosfera psychiczna. Zakłóca ją tylko nietajona obawa zwolenników prawicy przed udziałem przedstawicieli mniejszości w Sejmie. Prasa daje temu wyraz w sposób demagogiczny i bardzo gwałtowny. Za kilka dni nastrój ten osiągnie szczyty z okazji wyboru prezydenta Rzeczypospolitej. Tymczasem prawica w porozumieniu z „Piastem” zawiera pierwszy kompromis, wybierając na Marszałka Sejmu piastowca Macieja Rataja, a na Marszałka Senatu Wojciecha Trąpczyńskiego ze Związku Ludowo-Narodowego. Odbywa się to 28 listopada 1922 roku.

W tymże dniu tymczasowy Naczelnik Państwa składa nowemu Sejmowi życzenia owocnej pracy.

ZAMORDOWANIE PREZYDENTA

I

Z nazwiskiem Gabriela Narutowicza łączy się wspomnienie jednego z najgłębszych wstrząsów moralnych, jakich doświadczył naród polski w ciągu swych dziejów. Wstrząs ten był tragedią w znaczeniu ludzkim i w znaczeniu politycznym. Ofiarą tragedii padł pierwszy Polak obdarzony godnością Prezydenta Rzeczypospolitej i zamordowany właśnie z powodu wyniesienia go na stanowisko głowy państwa w tydzień po dokonanych wyborze. Lecz nie był on ofiarą jedyną. Ofiarą padał także optymizm polityczny, niezbędny warunek twórczej pracy państwowej i skutecznej odbudowy społecznej, gospodarczej i moralnej po zniszczeniach i szkodach, jakie Polsce zadał studwudziestoletni okres niewoli, zakończony bohaterską epopeą wywalczenia i obrony wywalzonej niepodległości.

Mówiąc o zamordowaniu Narutowicza mamy zawsze na myśli dwa zjawiska. Jednym był sam akt zbrodni, dokonanej przez fanatyka nazwiskiem Eligiusz Niewiadomski. Drugim była atmo-

sfera moralna i polityczna, która zbrodnię poprzedziła, która jej towarzyszyła, a nawet usiłowała ją usprawiedliwić. Dla poznania prawdy ważniejsze są okoliczności śmierci prezydenta Narutowicza niż osoba mordercy, który za czyn swój poniósł 31 stycznia 1923 roku karę śmierci.

Jesienią roku 1922 Polska miała za sobą cztery lata niepodległego bytu, lecz tylko dwa lata dzieliły ją od rozejmu w wojnie bolszewickiej, a rok od Traktatu Ryskiego. Zwolna tylko otrząsał się naród z zagrożenia wojennego, a nie miał jeszcze czasu na dokonanie bilansu poniesionych strat materialnych. Wiedział tylko, że są ogromne. Koniunktura gospodarcza w zdewastowanym kraju była zła. Reformy społeczne, choć mocno zaawansowane, traciły swą skuteczność w powszechnej biedzie.

Na domiar złego położenie międzynarodowe Polski trudno było określić jako całkowicie ustabilizowane. Polska szukała uznania swych granic u mocarstw zachodnich, które z uznaniem się ociągały. Zapewne zbyt wiele do niego przywiązywano znaczenia, zużywając wiele energii na ciągłe rokowania międzynarodowe w sprawach, na które już tylko sama Polska miała rzeczywisty wpływ. Sprzeciwiał się temu Naczelnik Państwa. Stąd tarcia między nim a kolejnymi rządami, powoływanymi zresztą głównie w oparciu o zasadę fachowości wobec braku dostatecznie pewnej większości w Sejmie Ustawodawczym.

Jednym z tych fachowców był Gabriel Narutowicz. Powrócił do Polski w lipcu 1920 roku, gdy ofensywa bolszewicka zagrażała Warszawie. Całe dojrzałe życie spędził był w Szwajcarii. Pochodził z ziemiańskiej rodziny osiadłej na Żmudzi. Jego ojciec walczył w Powstaniu Styczniowym. Narutowicz urodził się w roku 1865. Dwa lata później osierocił go ojciec. Szkołę średnią ukończył w Libawie na Łotwie, gdzie mniej odczuwano ucisk carski niż w Polsce, studia wyższe w Zurychu. Tam też wyspecjalizował się jako inżynier budownictwa wodnego. Był pionierem w dziedzinie hydroenergetyki. Z czasem stał się współwłaścicielem i kierownikiem znanej firmy inżynierskiej Kursteinerja. Człowiek wielkich zdolności, zdobył sobie sławę europejską, zwłaszcza od roku 1906, gdy objął katedrę budownictwa wodnego na najślawniejszej wtedy w Europie Politechnice w Zurychu.

Pod koniec lat osiemdziesiątych był wmieszany w spisek przeciwko cesarzowi Wilhelmowi II, pomyślany jako odwet za prześladowania pruskie. Udało mu się wówczas ocalić przed odpowiedzialnością kilku kolegów-zamachowców z kół zbliżonych do PPS. Poza tym epizodem nie angażował się politycznie. Dopiero z wybuchem pierwszej wojny światowej zajął się żywo

sprawami polskimi, ogłaszając między innymi w *Neue Zürcher Zeitung* w styczniu 1917 roku głośny artykuł, w którym potępiał mocarstwa zachodnie za obojętny stosunek do sprawy polskiej. Był entuzjastą Legionów, co ułatwiło mu zawarcie przyjaznych stosunków osobistych z Piłsudskim po powrocie do kraju. Nie oznaczało to zresztą bynajmniej zgodności poglądów politycznych.

Nagonkę przeciwko jego osobie jako prezydenta, a przedtem jeszcze jako kandydata na ten urząd, prowadzili jego przeciwnicy w oparciu o zarzut, że jest człowiekiem stronnictwym, związanym ściśle z określonym kierunkiem politycznym czy z określoną partią, którą miało być rzekomo lewicowe i radykalne „Wyzwolenie”. Do „Wyzwolenia” mógł mieć Narutowicz wiele sympatii, nie dlatego, że ono właśnie jego kandydaturę miało wysunąć jako pierwsze, lecz raczej pomimo tego faktu. Nie był jednak z nim związany, podobnie jak nie był związany z żadnym stronnictwem. Przeciwnie, uważał się za bezpartyjnego — usługi swe zaofiarował Polsce jako fachowiec: naprzód jako fachowiec-inżynier, co mu dało tekę ministra robót publicznych, a potem jako znawca stosunków zachodnioeuropejskich z doskonałą podbudową znajomości problemów gospodarczych. To też spowodowało zlecenie mu misji zastępcy przewodniczącego delegacji polskiej na międzynarodową konferencję genueńską. I wreszcie został Narutowicz ministrem spraw zagranicznych, nie z podszeptu któregoś ze stronnictw, lecz z osobistego wyboru Naczelnika Państwa.

Na stanowisku ministra robót publicznych nie miał wielkiego pola do popisu wobec całkowitej pustki w skarbie polskim. Wnosił jednak w tym i w kilku następnych rządach nowy jak gdyby element w prace rządowe. Określano go — i słusznie — jako „Europejczyka”, mając na myśli jego doskonałą orientację w stosunkach panujących na Zachodzie. Ukształtowany w prawdziwej szkole demokracji politycznej, jaką jest Szwajcaria, obeznany ze sprawami gospodarczymi, posiadał ogromny kapitał umiejętności i wiedzy politycznej, tak bardzo Polsce potrzebny. Doceniał jednak różnice położenia wewnętrznego krajów zachodnich i Polski, którą dopiero poznawał. Wierzył, że panujący w jej życiu nieład i roznamiętnienie polityczne ulegną szybkiej naprawie, gdy tylko społeczeństwo otrząśnie się z niezdrowych nawyków życia pod obcymi rządami i doceni znaczenie poszanowania prawa.

Niewątpliwie był w swych poglądach na potrzebę reform, zarówno gospodarczych jak i społecznych, „lewicowcem” — w

ówczesnym układzie zabarwień poglądowych, jakie nurtowały społeczeństwo polskie. Nie był jednak socjalistą choćby dlatego, że z największą ostrożnością podchodził do koncepcji nacjonalizacji środków produkcji. Był po prostu pragmatykiem, a jednocześnie człowiekiem o dużym pokroju moralnym. W dodatku niezaangażowanym uczuciowo w dotychczasowe namiętności polityczne polskie. Znając dobrze stosunki panujące na Zachodzie, i to nie w jednym tylko kraju, ani nie ulegał zachwytom w stosunku do Francji czy Anglii, ani też nie żywił zabobonnej nieomal obawy przed wszechmocą wielkiego przemysłu, finansjery międzynarodowej czy — jeszcze ogólniej — przed tajemniczymi wpływami masonerii. Długie lata życia i pracy w praktycznej na codzień Szwajcarii nauczyły go rozmawiania z każdym i na każdy temat, pod warunkiem trzymania się określonego tematu. Był pod tym względem unikatem w polskim świecie politycznym, także i dlatego, że nie traktował różnic ideologicznych jako nieprzezwyciężonej przeszkody na drodze do osiągnięcia wspólnym wysiłkiem uzgodnionego i konkretnego celu. Wierzył w siłę perswazji, a w swej koncepcji ustrojowej chciał, by prezydent tą właśnie bronią się posługiwał — nie od wypadku do wypadku, lecz stale, gdyż tego wymagały realia politycznego układu sił w Polsce.

Innymi słowy, chciał postanowienia konstytucji tak interpretować, by z prezydenta uczynić czynnik równowagi o stałym zaangażowaniu w polityczne życie kraju. Nie był jednak wcale przekonany o swych własnych w tym kierunku zdolnościach czy możliwościach.

Wszystkie te jego cechy zwolennicy jego oceniali jako doskonałą kwalifikację właśnie na prezydenta państwa. Natomiast jego przeciwnicy brali mu te same cechy za złe, w różnym zresztą stopniu i z różnych powodów. Stawiano mu też zarzut faworyzowania lub — w ujęciu demagogicznym — pozostawiania na usługach mniejszości narodowych w niecnym antypolskich celach. Zarzut ten utrwał się zresztą także po jego śmierci, z wielką szkodą dla atmosfery politycznej kilku co najmniej następnych lat. W państwie młodym, którego obywatele uczyć się dopiero musieli metod walki politycznej i współdziałania politycznego, by nie wykraczały poza granice praworządności, gdy przecierały się dopiero i nabierały rozpędu rozliczne elementy funkcji państwowej, zdrowa atmosfera polityczna była krajowi równie potrzebna jak mądre ustawodawstwo.

Dodajmy tu od razu tytułem wyjaśnienia, że atmosfera — czy, jak kto woli, klimat polityczny — w Polsce przed rokiem

1923 nie doprowadzał do spięć ogarniających całe grupy czy klasy społeczne. Nie paraliżował też życia kraju, poza wypadkami sporadycznymi i ograniczonymi w zasięgu do części terytorium. Owszem, zdarzały się strajki na większą lub mniejszą skalę, a w ich organizowaniu brały udział partie polityczne. Rzadko jednak się zdarzało, by strajk czy inna forma protestu społecznego miały charakter czysto polityczny. Podłożem były najczęściej zagadnienia bytowe, gospodarcze. Nigdy bodaj — z wyjątkiem kilku odosobnionych wypadków, gdy inicjatorami byli otwarcie wrogowie państwa polskiego, a z reguły w tym charakterze występowały komuniści — strajkujący nie wysuwali postulatów zmiany ustroju. Przeciwnie — w początkowych przynajmniej latach istnienia Rzeczypospolitej ustrój demokracji parlamentarnej był świętością w przekonaniu ogromnej większości Polaków. Można było wyprowadzić ludzi na ulicę pod hasłem „precz z rządem”, przy czym miano na myśli rząd będący w danej chwili u władzy. Można było ich wyprowadzić pod hasłem „precz z endecją” lub na odmianę „precz z socjałami”, bo i tak się zdarzało. Można było wołać „precz z Korfantom” lub „precz z Piłsudskim”. Nie można było natomiast liczyć na powodzenie hasła skierowanego przeciwko niepodległości lub przeciwko instytucji parlamentu.

Podziały i roznamiętnienia grały największą rolę nie w społeczeństwie, lecz u szczytów piramidy organizacji partyjnych, a więc także na ławach sejmowych. Im dalej od Sejmu, tym bardziej zacierały się i bledły w masach przeciętnych obywateli, z których zdecydowana większość w sposób organizacyjny z partiami wiązać się nie chciała. Stąd stronnictwa — zapewniając o sympatiach, jakimi je darzy społeczeństwo czy jego część — nie dysponowały jednak przez bardzo długi czas zwartymi i dostatecznie licznymi zespołami zorganizowanych członków. Jedną z przyczyn mogła być w tym wypadku także liczba partii o niezbyt wyraźnych różnicach programowych, z czego wypływała fluktuacja sympatii wyborców. Inną przyczyną bywała też nierealność czy destrukcyjność programu wyborczego, na czym społeczeństwo umiało się poznać.

Były i złe, i dobre strony tego zjawiska. Do dobrych należało ograniczone oddziaływanie sporów politycznych na codzienne życie i pracę obywateli. Do złych trudność wytworzenia w społeczeństwie pędu do ograniczania liczby partii w zrozumieniu, że system rządów parlamentarnych wymaga wyraźnego podziału na większość o określonym obliczu, która może rządzić, i opozycję, także o określonym obliczu, która podobnie jak większość

reprezentuje konkretny i zrozumiały program i w każdej chwili jest gotowa do objęcia rządów. Obywatel ma wówczas wybór między kilkoma konkretnymi programami działania, może mniej atrakcyjnymi niż hasła zaprawione ideologią, lecz za to wykonalnymi. Już wybory w roku 1922 zlikwidowały szereg drobnych partii politycznych. Był to zwrot we właściwym kierunku i zapewne z biegiem lat nastąpiłaby dalsza selekcja czy eliminacja.

Tymczasem był to jednak cel odległy. W nowowybranym Sejmie stronnictw było 17, a w Senacie 12. W Sejmie 8 z nich, a w Senacie 5 grupowało się w blok mniejszości narodowych bez względu na różnice ideologiczne. Blok ten był gotów występować solidarnie w głosowaniu na prezydenta z tej prostej przyczyny, że był to najpewniejszy sposób obrony przed głoszonymi jawnie na prawicy hasłami rzeczywistej, jeśli nie oficjalnej dyskryminacji obywateli innej niż polska narodowość. Prawica mogłaby w przymierzu z najliczniejszym centrum stworzyć rząd dysponujący większością. Szła zresztą na tego rodzaju porozumienie, co dało wynik w wyborach marszałków.

Centrum jednak, zwłaszcza zaś „Piast”, nie mogło się zgodzić na kompromis, gdy chodzi o kandydata na prezydenta. Gdyby się na taki kompromis mogło zdobyć, prezydent zostałby wybrany większością bezwzględną Zgromadzenia Narodowego czyli połączonych izb Sejmu i Senatu. Większość ta byłaby jednocześnie większością złożoną wyłącznie z Polaków. A postulat wyboru prezydenta większością głosów polskich był naczelnym hasłem prawicy i Chrześcijańskiej Demokracji. Uczyniono z niego problem podstawowy — „moralny”, gdyż w sensie prawnym nie można było odmówić mniejszościom narodowym korzystania z prawa konstytucyjnego.

Początkowo jednak — pomimo niechęci prawicy do Piłsudskiego — nie ulegało wątpliwości, że właśnie on będzie wybrany. Był jedynym naturalnym kandydatem. Ale Piłsudski odmówił kandydowania. Poparty przez Chrześcijańską Demokrację Związek Ludowo-Narodowy czyli endecja wysunął wtedy kandydaturę Maurycego Zamoyskiego. Był to poseł polski w Paryżu, człowiek o nieposzlakowanym charakterze i powszechnie szanowany — nie tylko na prawicy. Wincenty Witos, wiedziony zmysłem ostrożności politycznej, gotów był także udzielić mu poparcia. Napotkał jednak na stanowczy opór posłów swego ugrupowania, którzy nie chcieli, będąc partią chłopską, głosować na obszarnika. W tej sytuacji, z poparciem zresztą Piłsudskiego, „Piast” wysunął kandydaturę Stanisława Wojciechowskiego.

Głosowanie w Zgromadzeniu Narodowym odbyło się 9 grudnia. Na ogólną liczbę 545 głosujących Zamoyski otrzymał 222, Wojciechowski 105 głosów. Resztą podzielili się kandydaci, o których wiadomo było, że wysuwa się ich tylko dla prestiżu, bo muszą odpaść w następnych głosowaniach. Byli nimi profesor Baudouin de Courtenay, wysunięty przez blok mniejszości, Ignacy Daszyński przez PPS i Narutowicz przez „Wyzwolenie”. Dwaj pierwsi odpadli w drugim głosowaniu. Lecz nie odpadł Narutowicz, gdyż na niego przerzucił głosy blok mniejszości. W trzecim i czwartym głosowaniu wysunął się przed Wojciechowskiego. Zamoyski był ciągle na pierwszym miejscu. W piątym i ostatnim głosowaniu zarówno cała lewica polska jak i „Piast” oddały głosy na Narutowicza. Zamoyski miał tę samą prawie liczbę głosów co w pierwszym głosowaniu — 222, Narutowicz 289. Wśród nich 89 głosów bloku mniejszości narodowych.

Ciosu, jeśli był to cios, prawica nie przyjęła z godnością, z wyjątkiem pokonanego Zamoyskiego. Rozegrała się tragedia. Jej przebieg jest dobrze znany. Prawica rozpoczęła przeciwko nowemu prezydentowi kampanię osobistych oszczerstw, domagając się jednocześnie, by wyboru — „dokonanego wbrew większości narodu polskiego” — nie przyjął, względnie by „abdykował”. Kampania prasowa była bezprzykładnie gwałtowna. Krzyczano o „żydowskim spisku”, odsądzano Prezydenta od czci i wiary.

Jednocześnie starano się zapobiec zaprzysiężeniu go, nie dopuszczając go do gmachu Sejmu. W tym celu zmobilizowano bojówki i podniecony tłum, który obrzucił Prezydenta błotem. Na rozruchy prawicowe odpowiedzieli podobnym sposobem robotnicy z PPS. Były wypadki pobicia posłów i kilka ofiar śmiertelnych na ulicach. Policja i rząd Juliana Nowaka, zwłaszcza zaś minister spraw wewnętrznych Kamieński, zachowywali się ze zdumiewającą indolencją.

14 grudnia Naczelnik Piłsudski uroczyście przekazał władzę elektowi. 16 grudnia Narutowicz został zaprzysiężony i udał się na wystawę do „Zachęty”. Tam dosięgły go kule rewolwerowe Eligiusza Niewiadomskiego. Strzelał — jak mówił — z „obowiązku patriotycznego”. Oświadczył przed sądem: „Narutowicz jako człowiek dla mnie nie istniał”. Niewiadomski sądził, że strzelając do Narutowicza występuje przeciwko Piłsudskiemu. Było ironią losu, że Piłsudski jak najgoręcej odwodził Narutowicza od przyjęcia kandydatury.

Był to więc mord polityczny. Próby nadania mu cech czynu

bohaterskiego nie mogły się powieść. Niewiadomski nie był na niczych usługach ani też w spisku z kimkolwiek. Roznamietanie umysłów było jednak tak wielkie, że jako sprawców moralnych wskazywano niektórych przywódców skrajnej prawicy.

Półmilionowy milczący tłum odprowadzał Narutowicza na miejsce wiecznego spoczynku. Milczenie to miało ogromną wymowę. Piętnowało hańbę zbrodni i hańbę warunków, w jakich została dokonana.

Był to wstrząs, który szarpnął całym społeczeństwem. Jak twierdzą niektórzy, zapobiegł wojnie domowej, w czym zresztą duża zasługa Macieja Rataja, który wobec śmierci Prezydenta stał się chwilowo głową państwa i tegoż dnia, 16 grudnia, powołał rząd generała Władysława Sikorskiego. Miał to być — i był — rząd silny, choć pozaparlamentarny.

Istotą tragedii nie było morderstwo Narutowicza. Zamordował go fanatyk, który — choć powtarzał hasła szowinistyczne i choć zaciętrzewieni nacjonałiści traktowali go jak mistycznego bohatera — działał z własnej inicjatywy. Tragedią było zahamowanie procesu konsolidacji politycznej. Bo na klimacie politycznym zaciążyła próba naruszenia praworządności w imię celów, które przeciwnicy Narutowicza uznali za wyższe od poszanowania prawa konstytucyjnego.

II

Zamordowanie prezydenta Narutowicza miało bezpośrednie skutki polityczne. Nie spowodowało jednak ani zmiany prawa państwowego, ani zawieszenia konstytucji, a nawet nie wywarło wpływu na funkcjonowanie administracji państwowej czy sądownictwa. Nie miało więc żadnych skutków rewolucyjnych. Nikt nie poddał w wątpliwość słuszności założeń demokracji parlamentarnej. A następny prezydent został obrany i zaprzysiężony w ten sam sposób co Gabriel Narutowicz.

Nie było więc żadnych zmian formalnych w ustroju państwa. Lecz ustrój państwa nie jest tylko literą prawa. By funkcjonować, musi mieć poparcie społeczeństwa, musi odpowiadać jego przekonaniom i dążeniom, a przynajmniej dążeniom większości. Gdy jest inaczej, albo staje się ustrojem siłą narzuconym, albo

przestaje sprawnie funkcjonować. W pierwszym wypadku mamy do czynienia z dyktaturą typu totalnego. Przestajemy mieć natomiast do czynienia z demokracją. Żadne tendencje totalistyczne w Polsce wskutek śmierci Narutowicza się nie pojawiły.

Pojawiły się natomiast wątpliwości, czy społeczeństwo przy całym poważaniu, jakim w nim się cieszy system parlamentarny, jest zdolne wypracować takie metody działania politycznego, które pozwalałyby na sprawne funkcjonowanie ustroju demokratycznego. Innymi słowy, czy zdolne jest powołać silny rząd i pozwolić mu sprawować władzę. Wątpliwości te istniały i przedtem, a właśnie w roku 1922 zaczęły być stałym przedmiotem troski. I zdawano sobie sprawę, a przynajmniej wielu sobie sprawę zdawało, że prawo państwowe — nowa konstytucja — nie dokona cudu, gdyż nie wypełni luki braku doświadczenia politycznego, braku cierpliwości i wyrozumiałości, umiejętności ustępstw dyktowanych nie koniunkturą chwili, lecz zrozumieniem potrzeb ogólnych, potrzeb państwowych. O demokracji powiedział jeden z wielkich teoretyków prawa, Hamilton Fish, że będąc najlepszym, jest też najtrudniejszym systemem rządów, gdyż uznaje tylko jeden sposób kumulacji siły potrzebnej do sprawowania władzy. Sposobem tym jest perswazja.

Jest to rzecz jasna uwaga teoretyczna, oparta na obserwacji warunków w tych krajach, gdzie demokracja była ustrojem ugruntowanym od dawna i sprawnie funkcjonującym. W Polsce nie było tych warunków. Polska była państwem nowym. Musiała tworzyć wszystko z niczego. Obywatele nie mieli ani doświadczenia politycznego, ani tradycji poszanowania prawa, gdyż dotychczas każde prawo było prawem obcym, a często niesprawiedliwym. Społeczeństwo nie mogło się zdobyć ani na cierpliwość, ani na wyrozumiałość, często nie mogło się zdobyć na rozsądek. Polska nie była pod tym względem unikatem wśród demokracji europejskich. W podobnym położeniu było sporo innych państw i to nie tylko nowopowstałych.

Natomiast problemy, które Polska musiała rozwiązać i o których stale musiała pamiętać były trudniejsze niż gdzie indziej. Stąd każdy błąd, każde potknięcie niosły w sobie załazek wielkich niebezpieczeństw. Trudniejsze było położenie gospodarcze, więcej było problemów społecznych. Głębokie były różnice poziomu życia i kultury między poszczególnymi dzielnicami — skutek rozbiorów. Dodajmy do tego położenie geograficzne między dwoma wielkimi sąsiadami Polsce niechętnymi, co w każdej chwili obrócić się mogło w ponowne zagrożenie jej niepodległości. Wreszcie — jedna trzecia obywateli państwa nie była Polakami. I właśnie

wśród mniejszości — właśnie w 1922 roku — budził się niepokój w obliczu nacjonalistycznych haseł prawicy. Nie było już dla nikogo tajemnicą, że wokół tej właśnie sprawy dojść może do spięcia, w którym stawką będzie praworządność. O tym pamiętać musimy choćby z tego względu, że był to rdzeń tragedii towarzyszącej wyborowi pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej.

Narutowicz w gruncie rzeczy dlatego został wysunięty przez lewicę polską w Sejmie przy solidarnym poparciu mniejszości narodowych, że miał własną koncepcję roli Prezydenta. Formalnie nowa konstytucja nie dawała mu wystarczających uprawnień, by mógł wywrzeć bezpośredni wpływ na rządy w państwie. Dawała mu za to duży autorytet moralny, stawiając go ponad polityką bieżącą, ponad przynależnością partyjną. Orężem, którym mógł się posłużyć — tak przynajmniej rozumował Narutowicz — miała być perswazja w oparciu o całkowitą bezstronność. Miał być stróżem i symbolem dobra nadrzędnego, pośrednikiem między zwaśnionymi, czynnikiem ładu i stałości.

Takiej roli mediatora, choć jej potrzebę doceniał, Piłsudski wziąć na siebie nie chciał, gdyż nie odpowiadała jego temperamentowi i była sprzeczna z jego dotychczasową działalnością polityczną. Dlatego odmówił kategorycznie postawienia swojej kandydatury. Wiedział zresztą, że spotkałby się z zaciętym oporem prawicy, która w prezydenturze widziała coś w rodzaju honorowej emerytury właśnie dla Piłsudskiego. Być może podobne pobudki kierowały Dmowskim, wodzem Narodowej Demokracji i całej prawicy, gdy także zakazał swym zwolennikom wysunięcia jego kandydatury. Lecz na rolę taką godził się Narutowicz, z żadnym kierunkiem politycznym niezwiązany i nieobciążony żadnym bagażem wspomnień. I dał temu wyraz w kilku rozmowach — między innymi w wywiadzie prasowym, jakiego udzielił po swym wyborze ukazującemu się w Warszawie pismu w języku francuskim *Journal de Pologne*. Oto jego słowa:

„Ciężar władzy zwierzchniej jest ogromny, ale uważam władzę, do której mnie powołano, za obowiązek, który podjąłem i wypełnię. W panującej atmosferze niepewności i rozjątrzenia rola Prezydenta, tak jak ją rozumiem, polega na doprowadzeniu do porozumienia. Prezydent musi być ponad partiami”.

Nie traktował więc Narutowicz urzędu prezydenta jako funkcji reprezentacyjnej. Na dzień przed śmiercią powierzył misję utworzenia rządu Ludwikowi Darowskiemu, niezwiązanemu z żadnym stronnictwem. Konsultacje przeprowadzał jednak sam z przedstawicielami stronnictw, łącznie ze zwalczającą go Narodową Demokracją. I zamierzał je prowadzić dalej, nie ulegając

pokusie powoływania rządu spośród tych partii polskich, które na niego głosowały. Pamiętajmy, że odbywało się to w atmosferze nagonki prasowej i wiecowej przeciwko niemu, gdy Stanisław Głąbiński w odpowiedzi na propozycję wzięcia udziału w rządzie odpowiedział kontrpropozycją, by prezydent abdykował, gdy w dziennikach prawicowych ukazywały się artykuły pod takimi tytułami jak „Zapora”, „Zawada” lub w *Kurjerze Warszawskim* pod histerycznym tytułem „Jezus Maria”, w którym autor nazwał Narutowicza „larwą rudobrodego szatana”.

Lecz Narutowicz wierzył, że misja jego i zadanie wymagają dalszych starań o stworzenie koalicji sejmowej z udziałem lewicy, „Piasta” i Chrześcijańskiej Demokracji, na którą wpłynąć się starał na jego prośbę arcybiskup warszawski, kardynał Kakowski.

Misji tej nie spełnił i jego następca. Człowiek najlepszej woli, nie mógł już lub nie czuł się powołany do jej przejęcia. Stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej stało się rzeczywiście funkcją reprezentacyjną, pozbawioną faktycznego wpływu na sprawy państwa. Było to zgodne z literą konstytucji, gdyż nie zobowiązywała ona prezydenta do roli pośrednika, rozjemcy i moralnego nadzorcy życia politycznego. Lecz konstytucja roli tej prezydentowi także nie wzbraniała. Narutowicz chciał ją podjąć, jego następca podjąć nie mógł.

Na tym polega znaczenie tragedii grudniowej roku 1922 dla rozwoju ustrojowego Polski. Jej ciągiem dalszym było poszerzenie przepaści między stronnictwami, które Narutowicza wybrały i które przeciwko niemu głosowały. A także narastanie pesymizmu, niewiary, a wreszcie pogardy do Sejmu w umyśle Piłsudskiego, co miało znaleźć swój wyraz w 1926 roku.

PREZYDENT WOJCIECHOWSKI I RZĄD SIKORSKIEGO

Tragiczne i okrutne strzały w „Zachęcie” zapobiegły w sensie politycznym nieobliczalnym skutkom rozpasanych namiętności. Morderstwo, sposób walki tak obcy polskiej tradycji politycznej, wywołało powszechne przerażenie. Stało się ono także udziałem najbardziej fanatycznych odłamów prawicy. Jeden z najgłośniejszych w historii dziennikarstwa polskiego artykułów — napisał

go Stanisław Stroński w *Rzeczypospolitej* — nosił tytuł „Ciszej nad tą trumną”. Artykuł, którego napisania wybitny i zasłużony w dalszych dziejach Polski publicysta nie mógł sobie darować do końca życia, miał odeprzeć zarzuty moralnej odpowiedzialności za morderstwo. Najpoważniej brzmiały słowa potępienia i bólu pokonanego przez Narutowicza kontrkandydata do prezydentury Maurycego Zamoyskiego. Najsurowiej i najdotkliwiej wypadł sąd nowego premiera, generała Władysława Sikorskiego, w czasie jego *exposé* sejmowego. Sikorski podkreślił, że większą od morderstwa hańbą i szkodą narodową była nagonka na zamordowanego Prezydenta, rozpętana przed jego śmiercią. Nie tylko kula niepoczytalnego fanatyka, lecz także błoto, jakim obrzucono Narutowicza stanowiło pogwałcenie prawa i obelgę przeciwko majestatowi Rzeczypospolitej — mówił Sikorski.

22 grudnia 1922 roku, a więc w czwartym dniu po zamordowaniu prezydenta Narutowicza, zebrało się znowu Zgromadzenie Narodowe w gmachu Sejmu na ulicy Wiejskiej w Warszawie. Tym razem wystarczyło posłom i senatorom jednego głosowania, by dokonać wyboru prezydenta Rzeczypospolitej. Było tylko dwóch kandydatów. Zamiast Maurycego Zamoyskiego, który po śmierci Narutowicza uznał, że mu kandydować nie przystoi, prawica wysunęła profesora Kazimierza Morawskiego. Otrzymał 221 głosów. Drugim kandydatem był ponownie Stanisław Wojciechowski, popierany przez Piłsudskiego. Padło za nim 298 głosów.

Z małymi zmianami było to więc dokładne powtórzenie sytuacji towarzyszącej wyborowi Narutowicza. Wojciechowski został prezydentem głosami centrowymi „Piasta” i Narodowej Partii Robotniczej, całej lewicy i całego bloku mniejszości narodowych. A więc i jego wybór nie był dokonany większością głosów posłów i senatorów narodowości polskiej. Tym razem jednak zarzutu nikt z tego nie ośmielił się robić. Wyborowi towarzyszył nastrój poważny i zdyscyplinowany, zarówno w parlamencie, jak i na łamach prasy. Nie było ani protestów, ani demagogicznych komentarzy. Gdy marszałek Maciej Rataj stwierdził, że „Stanisław Wojciechowski jest Prezydentem Rzeczypospolitej”, padł tylko jeden okrzyk z ław lewicy. Okrzyk ten — „kiedy go zabijecie?” — skierowany w stronę ław Związku Ludowo-Narodowego nie brzmiał jednak jak prowokacja, tylko jak bolesne echo tragedii sprzed kilku dni.

Starano się o niej zapomnieć. Nie było to łatwe. Część prasy, a także bardziej radykalne koła młodzieży prawicowej nie od razu zareagowały na ostrzegawcze głosy swych własnych przy-

wódców, nawołujących do moralnego potępienia, a tym samym do politycznego odcięcia się od postępu Eligiusza Niewiadomskiego. Sąd okręgowy w Warszawie skazał go na śmierć, a nowy prezydent nie skorzystał z prawa łaski. Został więc rozstrzelany. Być może najważniejszym miejscem dla Niewiadomskiego byłby szpital dla obłąkanych. Jego proces był rzecz jasna sensacją nie tylko polską, ale i międzynarodową. Niewiadomski nie uchylał się przed odpowiedzialnością. Przyznawał, że pierwotnym jego zamiarem było zamordowanie Piłsudskiego, gdyby on, a nie Narutowicz został prezydentem. Z uporem fanatyka przyznawał się — jak to określał — „do czynu, ale nie do winy”. Wokół jego osoby zaczynała się wytwarzać niezdrowa atmosfera „męczeństwa i patriotyzmu gotowego do ofiary”. Dopiero odezwa Episkopatu położyła kres narastaniu fałszywej legendy. Odezwa ta przestrzegała księży przed nadawaniem nabożeństwom żałobnym za duszę zabójcy „charakteru mogącego wprowadzić zamęt do pojęć o moralności chrześcijańskiej, która nie pozwala pod żadnym warunkiem na złamanie przykazania 'nie zabijaj'”.

Uniknęła Polska szczęśliwie głębiej sięgającego kryzysu konstytucyjnego i przeniesienia walki ideologicznej czy politycznej z Sejmu i ławów prasy na ulicę. Zaslugą w tym względzie dzieliło się wielu ludzi: polityków, publicystów i działaczy społecznych ze wszystkich ugrupowań i wszystkich zapatrywań. Na szczególną pamięć historii zasługują jednak dwie postacie. Pierwszą był Maciej Rataj. W chwili śmierci Narutowicza przejął natychmiast najwyższą władzę w państwie, zgodnie z konstytucją. Udzielił natychmiastowej dymisji premierowi Nowakowi, motywując to niewywiązaniem się z podstawowego obowiązku rządu, jakim jest rządzenie w okresie kryzysu. Bez konsultowania kogośkolwiek w Sejmie mianował premierem generała Sikorskiego, zapewniwszy mu jedynie poparcie Piłsudskiego, który zgodził się pełnić obowiązki szefa sztabu. Sikorski objął także tekę ministra spraw wewnętrznych i stworzył rząd nie związany z żadnym stronnictwem. Jako zadanie rządu postawił przywrócenie ładu i spokoju oraz przystąpienie do pracy na najważniejszym w owej chwili dla Polski odcinku zagadnień gospodarczych. Niebezpieczeństwo „wojny domowej”, o której z przesadą może, lecz przecież zrozumiałą troską mówił nowy premier, ustąpiło nie tylko dzięki jego energii i zapowiedzi użycia wojska, lecz także dzięki rozsądkowi przywódców stronnictw. A także dzięki rozsądkowi, a może instynktowi politycznemu całego społeczeństwa.

W swej znakomitej większości przyjęło ono z ulgą zatwierdzenie przez nowego prezydenta rządu Sikorskiego. Wojciechow-

ski pozostawił też Sikorskiemu pełną inicjatywę. W swej postawie nie poszedł śladami Narutowicza. Odezwę swą zaczął od ogólnikowych raczej słów, skierowanych do wszystkich i do nikogo: „Sklaniajcie się do zgody”. Osoba Wojciechowskiego nie wzbudzała żadnych namietności. Nie miał ani wrogów politycznych, ani osobistych zwolenników. W początkach swej kariery był czynnym działaczem robotniczym, a przede wszystkim spółdzielczym, oraz jednym z założycieli Polskiej Partii Socjalistycznej. Później jego związki z socjalistami osłabły. Na emigracji, przed wojną i w czasie wojny, przebywał czas jakiś w Anglii, pracując jako drukarz i interesując się ruchem związków zawodowych. Popierał też stanowisko Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu. Nie znaczy to, by w sprawach programowych sympatyzować miał z Narodową Demokracją. Przeciwnie, wróciwszy po wojnie do Polski zbliżył się raczej do „Piasta” i przez jakiś czas był ministrem spraw wewnętrznych jako bezpartyjny fachowiec. Tę bezpartyjność czy ponadpartyjność chciał zachować na urzędzie prezydenta państwa.

Generał Sikorski także nie był wówczas związany z żadnym stronnictwem czy kierunkiem ideologicznym. Popularność zawdzięczał przede wszystkim zasługom wojennym, których szczytem było dowodzenie piątą armią w dniach Bitwy Warszawskiej i jej ofensywa na północnym froncie znad Wkry. Uchodził za człowieka energicznego i za doskonałego administratora. Nie można go było uważać za „człowieka Piłsudskiego”, choćby z uwagi na spory z czasów legionowych, lecz cieszył się jego poparciem, z czym się jako premier nie krył. Był w kontakcie, lecz nie w przymierzu politycznym, ze stronnictwami centrum, a w dobrych stosunkach ze Stanisławem Thuguttem, przywódcą „Wyzwolenia”. Jego rząd traktowano jako tymczasowy, gdyż był rządem pozaparlamentarnym, powołanym w czasie kryzysu państwowego. Miał w nim takich kolegów jak generał Sosnkowski w resorcie spraw wojskowych, Aleksander Skrzyński, minister spraw zagranicznych, minister pracy Ludwik Darowski czy Wacław Makowski, znakomity znawca prawa publicznego.

Sikorski określił zadania nie tylko swego rządu, lecz w ogóle zadania, jakie Polska musi jak najszybciej rozwiązać, w swym *exposé* w Sejmie 19 stycznia 1923 roku. Jako wytyczne pracy państwowej i analiza położenia państwa pozostały one w mocy na kilka co najmniej lat. Sikorski pojawił się w Sejmie w mundurze, tłumacząc to chęcią podkreślenia swej całkowitej bezstronności. Na czele rządu stoi dlatego, że — jak mówił — nie ma komu oddać władzy, gdyż w Sejmie nie ma większości. Będzie

więc Sikorski władzę sprawował, dopóki tego rodzaju większość nie powstanie. I nie ma zamiaru zaniedbać ważnych spraw państwowych dlatego tylko, że stoi na czele rządu „politycznie tymczasowego”. Przeciwnie — ma konkretny program działania, który będzie wprowadzał w życie, opierając się na „masach ludowych, które okazały w ciężkiej dla państwa godzinie głębokie poczucie odpowiedzialności wobec Ojczyzny, gdyż nie dały się sprowokować czynnikom nieodpowiedzialnym do ślepego od-
ruchu”.

Zacytowane słowa Sikorskiego przyjęto źle na prawicy, choć i wśród niej znalazł Sikorski zwolenników. Byli nimi między innymi Korfanty i inni przywódcy Chrześcijańskiej Demokracji. I choć nie znajdzie to odbicia praktycznego w ówczesnym Sejmie, odezwie się echem w przyszłości. Większości w Sejmie nie można było bowiem stworzyć, przede wszystkim dlatego, że sojusz przedwyborczy utworzony przez Narodową Demokrację, Chrześcijańską Demokrację i „Piast” rozpadł się na tle wyborów prezydenckich, gdy „Piast” w obu wypadkach głosował przeciwko kandydatom prawicy, Zamoyskiemu i Morawskiemu. Sojusz ten montowano ponownie i zmontowano go po przeszło pół roku, gdy ucichły wspomnienia wyborów prezydenckich i można było ułożyć wspólny, kompromisowy program polityczny. Tymczasem jednak Sikorski opierać się musiał na całym Sejmie. Szukając poparcia nie odnosił się do powiązań ideologicznych, lecz przedstawiał argumenty ściśle praktycznych potrzeb państwa. Poparcia Sejm mu nie odmawiał.

Wartość *exposé* Sikorskiego polegała na trafnym podsumowaniu nie cierpiących zwłoki spraw państwowych. Stawiał je jako zręby swego programu. Dawał przy tym do zrozumienia, że problemy te są niezmiennie. To znaczy, że obojętnie, jaki rząd powstanie, każdy rząd, podobnie jak każdy Sejm, będzie musiał z tymi właśnie problemami się borykać.

Jednym z nich, bodaj najważniejszym, było stworzenie trwałej równowagi między władzą ustawodawczą i wykonawczą, równowagi, która nie byłaby zależna od koniunktury czy od chwilowych układów i kompromisów między partiami politycznymi. Oznaczało to innymi słowy potrzebę silnego rządu, wyposażonego w odpowiedni autorytet i sprawny aparat administracyjny. Konieczna była przeto reforma administracji państwowej, a raczej nie reforma, lecz praca nad stworzeniem aparatu administracyjnego zdolnego do zarządzania nowoczesnym państwem. Powinien on być z jednej strony całkowicie uniezależniony od partii politycznych i nie ulegać w swej pracy żadnym wpływom i nacis-

kom. Z drugiej strony musi być kontrolowany w każdej czynności przez prawo, a ogólnie przez Sejm, gdyż inaczej powstaje niebezpieczeństwo, które Sikorski tak określił: „Zbyt często nie rozróżnia się u nas silnego rządu od samowoli”.

Uzdrowienie gospodarki jest oczywiście zadaniem najpilniejszym. *Exposé* Sikorskiego mówiło tu jedynie o konieczności zapobieżenia postępowi inflacji i stabilizacji waluty. Planu gotowego nie miał, należało go dopiero opracować. Póki go nie ma, stosować będzie jak najdalej posuniętą oszczędność, choć oszczędność nie jest sama w sobie lekarstwem, tylko środkiem paliatywnym, zastępczym. Nie może też być celem sama w sobie, gdyż nie wolno w imię oszczędności zaniedbać dwóch podstawowych potrzeb państwowych. Jedną z nich jest zapewnienie państwu obronności. W warunkach geopolitycznych, w jakich znajduje się Polska, nie wolno oszczędzać na wojsku. Nie wolno też w imię oszczędności hamować czy powstrzymywać reform społecznych. Nie wolno naruszyć zasady ośmiodzinnego dnia pracy i innych zdobyczy mas robotniczych, takich, jak ubezpieczenia społeczne czy ochrona pracy. Nie wolno oszczędzać na płacach za pracę, a środki na płace trzeba znaleźć w zwiększonej wydajności pracy. Nie wolno też oszczędzać na oświacie i na jej upowszechnianiu.

Exposé Sikorskiego, przyjęte przychylnie przez lewicę i centrum sejmowe, znalazło też nieomal entuzjastyczny oddźwięk w opinii publicznej. Zima 1923 roku przynosiła więc nie tylko uspokojenie nastrojów, lecz też oznaki poprawy położenia gospodarczego i politycznego Polski. Postępowała też stabilizacja położenia Polski na arenie międzynarodowej, czego jednym z przykładów było ostateczne uznanie granic Polski przez Radę Ambasadorów mocarstw zachodnich.

Rząd Sikorskiego, choć pozaparlamentarny, nie mógłby sprawować władzy bez zaufania Sejmu. Zaufania odmawiała mu prawica już od pierwszego głosowania nad jego *exposé*, w którym przeciwko Sikorskiemu wypowiedziała się także mniejszość żydowska, ku dużemu zresztą niezadowoleniu endecji. Znalazł natomiast oparcie na ławach centrum i lewicy, a także wśród postów ukraińskich i białoruskich.

Wydawało się, że jest to stan idealny, który z czasem doprowadzi do stałego sojuszu lewicy z centrum, zapewniając tym samym rządy trwałe w oparciu o ten sam sojusz, jaki się zawiązał przy wyborach prezydenta. Tego rodzaju nadzieje żywił Piłsudski, ciągle największy w państwie autorytet moralny. Dlatego też zapewne udzielał poparcia Sikorskiemu, godząc się na spra-

wowanie mało błyskotliwej lecz ważnej funkcji szefa sztabu generalnego. Nie nadzieję, lecz pewność utrwalenia sojuszu centrowo-lewicowego miał Sikorski. Znajdujemy ironiczny ślad tego w przemówieniu jednego z posłów: „Premier nabrał od razu tyle oddechu, jakby miał sobie urządzić rządy przynajmniej na jedno pokolenie”.

Stało się inaczej. Już 28 maja rząd Sikorskiego musiał ustąpić na rzecz rządu Wincentego Witosa. Bo oto wbrew oczekiwaniom i wbrew logice politycznej pojawiła się na ławach sejmowych koalicja nie centrowo-lewicowa, lecz „Piasta” z prawicą. Pisma humorystyczne nazwały ją niezbyt pochlebnie „Chjeno-Piastem” od nazwy „Chrześcijańskiej Jedności Narodowej”, pod którą współdziałali politycy endeccy z Chrześcijańską Demokracją. Nazwa się przyjęła.

Powstała więc upragniona większość sejmowa, a z nią możliwość powstania rządu opartego o większość. Sojusz z prawicą odrzucił Witos w obu wyborach prezydenckich. Zgodził się nań jednak w parlamencie. Zgodził się pomimo oporu w szeregach własnego stronnictwa, którego część pod wodzą Jana Dąbskiego — łącznie 11 posłów — założyła wówczas radykalne Stronnictwo Chłopskie, współdziałające z lewicowym „Wyzwoleniem”. Większość sejmowa nowej koalicji zmalała wtedy do 5 głosów.

Jakie były kulisy dziwnego sojuszu?

Pytanie do dziś jest pasjonujące, a odpowiedzi nie dał nigdy nawet Witos.

RZĄD WITOSA

I

Gdy ku zdumieniu lewicy i przy ogromnych oporach we własnym stronnictwie Wincenty Witos zdecydował się na sojusz z prawicą, kierowało nim pragnienie stabilizacji i zrozumienie potrzeby silnego rządu. Dla wodza chłopów polskich, a tytuł ten przyznawały mu nawet inne stronnictwa ludowe, nie była to decyzja łatwa. Zwłaszcza że nie krył swego oburzenia na postępowanie niektórych przynajmniej przywódców prawicy w czasie

tragicznych wypadków z grudnia poprzedniego roku i odmówił sojuszu z nimi przy wyborach prezydenckich. Naturalniejsze wydawało się jego związanie z lewicą — to znaczy z pozostałymi stronnictwami ludowymi, z socjalistami i z blokiem mniejszości narodowych. Udzielił przecież poparcia rządowi Sikorskiego, zwalczanemu tylko przez prawicę, który dążył wyraźnie do stworzenia podstaw stabilizacji politycznej w oparciu właśnie o porozumienie centrum sejmowego z lewicą.

Czym więc powodował się Witos w swej decyzji? Wyjaśnienia formalne znajdujemy oczywiście zarówno w jego *exposé* sejmowym, jak i w czasie bardzo burzliwego zjazdu „Piasta” bezpośrednio przed zawarciem porozumienia z endecją. W *exposé* sejmowym powtórzył Witos z nieznacznymi zmianami założenia programowe, które w styczniu tegoż roku obszernie rozwinął Sikorski. Była więc mowa o potrzebie reformy budżetowej i walutowej, którą zresztą miał dalej prowadzić dotychczasowy minister skarbu Władysław Grabski. Była dalej mowa o pokojowej polityce zagranicznej, o walce z drożyzną i inflacją, o usprawnieniu administracji państwowej. Była zapowiedź rozszerzenia zdobyczy świata pracy — konkretnie: zapowiedź wniesienia ustaw zapewniających inspekcję pracy w zakładach przemysłowych i regulujących ubezpieczenia na wypadek bezrobocia. Było też uroczyste odżegnanie się od wszelkich pomysłów uszczuplania już zdobytych praw robotniczych, o co nie bez racji posądzano prawicę, obecnie z Witosem sprzymierzoną.

Była wreszcie mowa o reformie rolnej. Publicystyka uczyniła z niej kamień węgielny koalicji zwanej „Chjeno-Piastem”. Była to w istocie sprawa o podstawowym znaczeniu. Reforma rolna nie została dotychczas uchwalona w sensie wykonawczym. Parcelacja odbywała się chaotycznie nawet tam, gdzie przeprowadzano ją przy pomocy państwowych urzędów ziemskich. Obiektywnie rzecz biorąc trudności były ogromne. Niemniej ruszenie sprawy z miejsca było absolutną koniecznością i państwową, i społeczną, a zagadnienie reformy rolnej było pierwszym punktem programu wszystkich stronnictw ludowych, a więc także „Piasta”. Było też z ich strony konkretnym zobowiązaniem wyborczym.

Reformę rolną w postaci jak najbardziej radykalnej popierała rzecz jasna lewica socjalistyczna. Witos jednak nie chciał, by stała się ona jednocześnie powodem wstrząsów społecznych i gospodarczych. Chciał, by odbywała się sprawnie, nie przynosząc uszczerbku gospodarce narodowej. Zdawał sobie także sprawę, że za mało jest w Polsce ziemi, by każdy mieszkaniec wsi mógł stać się właścicielem takiej działki, która by mu zapewniała

utrzymanie, wygospodarowując jednocześnie nadwyżki potrzebne do wyżywienia reszty społeczeństwa. Wiedział, że wieś jest przełudniona w potworny sposób i że sama parcelacja przełudnienia nie zmniejszy i położenia wsi nie poprawi. Widział potrzebę rozładowania wsi także w inny sposób, na co z kolei potrzeba było prawidłowego rozwoju przemysłu. I tu, jako przedstawiciel myśli zachowawczej, szukał porozumienia i koordynacji planów ze stronnictwami mieszczańskimi. To znaczy przede wszystkim z chadecją, zwłaszcza że na jej czele stał człowiek uważany powszechnie za znawcę wielkiego przemysłu — Wojciech Korfanty.

Nie bez wpływu też w szukaniu porozumienia z zachowawczą prawicą było przywiązanie Witos'a do katolicyzmu. „Piast” i sam Witos toczył nieraz boje z klerem i z hierarchią, czego przykładem chociażby jego stosunki, nieomal anegdotyczne, z biskupem tarnowskim Wałęgą. Nie dotyczyły one jednak nigdy spraw zasadniczych — takich jak swoboda działalności Kościoła, sprawa szkół wyznaniowych czy w ogóle wychowania religijnego. Te sprawy odstręczały go na wielu odcinkach od lewicy, występującej przeciwko konkordatowi z Watykanem, przeciwko przymusowej nauce religii, a propagującej laicyzację życia państwowego i reformę szkolnictwa w kierunku bezwyznaniowym. Te sprawy przybliżały go do prawicy, chociaż pamiętać trzeba, że nigdy, ani w życiu, ani w tym co mówił i robił, nie godził się Witos na koncepcje nacjonalistyczne oparte o nietolerancję, zarówno narodową, jak i religijną.

Przed wszystkim jednak był Witos zwolennikiem ładu i wrogiem frazeologii. Tym samym był wrogiem demagogii. Demagogii i frazeologii było w Polsce dużo, i to zarówno na lewicy jak i na prawicy. Witos chciał ją przykrócić, wykazując jednocześnie, że polityka wymaga rzeczowego, a nie teoretycznego podejścia do zagadnień każdego rządu, a więc zarówno państwowo-ustrojowych, jak i gospodarczych. Chciał dla Polski warunków spokojnej pracy. Szukał ich w stworzeniu silnego rządu o jak najpraktyczniejszym programie działania. Dotychczas widział konieczny dla stabilizacji element siły w osobie Piłsudskiego. Nie należał nigdy do jego entuzjastów ani nie był bezpośrednim jego współpracownikiem. W przeciwieństwie jednak do innych polityków ani się go nie bał, ani go nie zwalczał. Widział w nim autorytet, zdolny skupić wokół siebie ludzi różnych poglądów i zmusić ich do skoordynowanego działania. Stąd pomógł mu, zamiast z nim konkurować o przywództwo narodowe, w przełomowych miesiącach roku 1920, gdy stanął na czele rządu naprawę koalicyjnego. Stąd gotów go był popierać jeszcze w roku

1922, gdyby chciał zostać prezydentem. Lecz w roku 1923 — czego nie ukrywa w swoich pamiętnikach — uznał Piłsudskiego za siłę politycznie przegraną, a jego wyczekujący, a raczej po prostu niechętny stosunek do Sejmu jak najmocniej potępił. Wiedział, że Piłsudski, podobnie jak Sikorski w tym okresie, dążył do rządów centrowo-lewicowych. A więc w przekonaniu Witosa niepewnych wskutek nadmiernego radykalizmu i zbyt uproszczonych ocen sytuacji gospodarczej i społecznej kraju.

Postanowił więc Witos rzucić swe wielkie nazwisko na szalę koalicji z prawicą, w przekonaniu, że właśnie jego umiarkowane stronnictwo chłopskie potrafi z jednej strony utrzymać w szachu tendencje skrajnie nacjonalistyczne, a z drugiej zmusić nowych sprzymierzeńców do rzetelnej pracy z dnia na dzień.

Na czymże miała ona polegać? Powróćmy raz jeszcze do *exposé* Witosa z 28 maja. Było w gruncie rzeczy powtórzeniem doskonałego *exposé* Sikorskiego, z dodatkiem reformy rolnej. Witos chciał program Sikorskiego wykonywać dalej. Stwierdzał, że dlatego staje na czele rządu koalicyjnego (i tym samym zmusza rząd Sikorskiego do odejścia), że w ten sposób „urzeczywistnia demokratyczną zasadę parlamentaryzmu”, gdyż „zostanie usunięta ujemna cecha rządów pozaparlamentarnych, za które nikt nie ponosi wyraźnej odpowiedzialności”.

Rząd Sikorskiego formalnie upadł z powodu nieuchwalenia przez Sejm funduszy dyspozycyjnych dla ministerstwa spraw zagranicznych, co było zwykłym pretekstem, o czym doskonale wszyscy wiedzieli. Zjawisko pozornie paradoksalne. Powstawał rząd parlamentarny, który chciał wykonywać program poprzedniego rządu pozaparlamentarnego. Z tym jednak, że za programem niczym się w istocie od poprzedniego nie różniącym głosowała teraz obok „Piasta” ta sama prawica, która dotychczas głosowała przeciwko programowi. Natomiast lewica, popierająca dotychczas Sikorskiego, zaczęła głosować przeciwko programowi dlatego, że reprezentował go teraz Witos sprzymierzony z endekami.

Obraz byłby jednak niepełny, gdybyśmy się ograniczyli do tego paradoksu. Nie uwzględniałby bowiem ogromnego ładunku uczuciowego, jaki wytworzył się w umysłach mas robotniczych i chłopskich na dźwięk słów „pakt w Lanckoronie”.

Lanckorona była majątkiem ziemskim senatora Hammerlinga, ziemianina żydowskiego pochodzenia będącego członkiem „Piasta”. Nie była to postać świetlana, choć na pewno bardzo obrotowa. Stawiano mu różne zarzuty natury moralnej i politycznej, które znalazły później epilog przed sądem marszałkowskim. Otóż

w tejże Lanckoronie podpisano 15 maja 1923 roku układ między przedstawicielami „Piasta” i stronnictw prawicowych, na mocy którego ustalono obszar 400 tysięcy morgów ziemi rocznie jako minimum przeznaczone do parcelacji. Czyli 200 tysięcy hektarów. Nie było to dużo, ruszało jednak reformę rolną z martwego punktu. Ale gdy Witos uznawał to za osiągnięcie pozytywne, opinia mas robotniczych i chłopskich uznała pakt w Lanckoronie za zdradę interesów ludu, za sojusz Witosza z ziemiaństwem lub, jak kto woli, z obszarnikami.

Stworzyło to fatalny klimat polityczny dla rządów „Chjeno-Piasta”. Lecz nie on był przyczyną ich całkowitego niepowodzenia, tylko rozbijający brak zrozumienia zagadnień gospodarczych zarówno w szeregach opozycji, jak i w rządzie. Wyszło to na jaw już po kilku tygodniach.

II

Miała więc Polska rząd oparty o jasno określoną większość w parlamencie, w charakterze swym prawicowy lub zachowawczy. Jego premier był ulubionym tematem dowcipów i satyry politycznej, która zachłystując się duchem całkowitej swobody święciła prawdziwe triumfy jako współtwórca opinii publicznej, a zarazem jako wartościowa odtrutka na szarżyznę codziennego borykania się z coraz cięższymi warunkami życia. Nadzieje poprawy sytuacji gospodarczej wiązano z osobą Wojciecha Korfante go. Był ministrem bez teki, co rozumiano jako pozostawienie mu swobody działania w dziedzinie handlu zagranicznego i stosunków gospodarczych z międzynarodowym rynkiem towarowym i kredytowym.

Docinki i dowcipy powstające wokół osoby Witosza były cięte, lecz nie były złośliwe. Przeciwnie, uwypuklanie jego sposobu mówienia, jego stroju — to znaczy butów z cholewami i kategorycznej odmowy wkładania krawata — łączyło się ze swoistym podziwem i przekonaniem, że reprezentuje swoją osobą rzecz Polsce jak najbardziej potrzebną, czyli zdrowy rozsądek — „rozsądek chłopski”. Dowodem jego zdrowego rozsądku była zapowiedź dalszego wykonywania planu reform zapoczątkowanego przez ustępującego premiera Władysława Sikorskiego, przede wszystkim na odcinku gospodarczym.

Twórcą tego planu i jego wykonawcą był minister skarbu Władysław Grabski. Jako fachowiec pozostawał w rządzie Witosa. Nazwisko Grabskiego łączymy przede wszystkim z reformą walutową, którą przeprowadził później, bo w latach 1924 i 1925. W roku 1923 przeprowadzić chciał pierwszą fazę swego planu, polegającą na osiągnięciu równowagi budżetu państwowego i powstrzymaniu inflacji łączącej się ze wzrostem drożyzny.

W chwili powstawania rządu „Chjeno-Piasta” Grabski zdołał już osiągnąć bardzo wiele. Znowelizował ustawę o zwalczaniu lichwy, przeprowadził częściową rewaloryzację podatków, oparł markę polską o wskaźnik cen hurtowych. Udało mu się zatrzymać spadek marki na rynkach walutowych. Następnym krokiem ku naprawie miało być wprowadzenie podatku majątkowego obliczanego według rzeczywistej zdolności płatniczej przedsiębiorstw i osób prywatnych z zastosowaniem pełnej progresji oraz przeprowadzenie ustawy o stopniowym przesunięciu miernika walutowego z cen hurtowych na pokrycie w złocie. Jako warunek swego udziału w rządzie Grabski postawił dochowanie tych właśnie obietnic.

Marka polska była walutą o dziwnej strukturze. Jako kontynuacja marki okupacyjnej w Królestwie opierała się pierwotnie na wątpliwej wartości portfelu wekslowym, będącym w posiadaniu instytucji emisyjnej zwanej Polską Krajową Kasą Pożyczkową. W miarę wzrastania wydatków państwowych, a także wskutek rewaloryzacji innych środków obiegowych jakie niepodległa Polska odziedziczyła na swym terytorium podstawą wartości marki przestały być konkretne aktywa, gdyż ich stosunek do ilości pieniądza w obiegu nie wyrażał się już w procentach, lecz w promilach. Na czym więc opierała się wartość pieniądza obiegowego? W teorii na całym majątku narodowym — na wartości ziemi, nieruchomości, środków produkcji, bogactw naturalnych — oraz na wartości produkcji. W warunkach całkowitej dewastacji kraju te podstawy wartości pieniądza pozostawały teorią, tym odleglejszą od praktyki, że głównym partnerem handlu zagranicznego byli Niemcy. Z nimi bowiem były związane gospodarczo jedyne niezniszczone dziedziny kraju, przede wszystkim zaś huty i kopalnie Górnego Śląska. Lecz Niemcy były partnerem politycznie wrogim i wydobywającym się z największym trudem z własnego chaosu gospodarczego. Katastrofa finansowa w bogatym kraju przemysłowym bywa zwykle bolesniejsza niż w kraju rolniczym. Tak też było w Niemczech. Natomiast inflacja marki niemieckiej, choć sięgająca cyfr astronomicznych, była łatwiejsza do opanowania, gdyż była zjawiskiem koniunkturalnym. W Pol-

sce natomiast jej skutkom nie można było zapobiec inaczej niż kosztem ogromnych i solidarnych poświęceń całego społeczeństwa.

Dotychczasowe próby reform skarbowych szły w kierunku stabilizacji budżetu państwowego w drodze uzdrowienia systemu podatkowego, pożyczek wewnętrznych i tak zwanych „oszczędności”. Ogromną rolę przypisywano jednorazowemu podatkowi majątkowemu. Uważano go za sprawiedliwy, gdyż godził przede wszystkim w interesy klas posiadających. Lecz czy sprawiedliwy czy nie, zagrażał przemysłowi i uprzemysłowionemu rolnictwu uszczupleniem realnych możliwości kapitalizacyjnych, bez których trudno było myśleć o inwestycjach. Grabski rozumiał to ryzyko, lecz przewidywał odrobienie złych skutków z chwilą, gdy wysanowana waluta i zdrowy system emisyjny pozwolą na uruchomienie prawidłowo działających środków kredytowych. Zresztą podatek majątkowy miał pokryć tylko w 40 % niedobór budżetowy. W rzeczywistości wpływy z tego podatku nie pokryły nawet niedoboru miesięcznego. Przyczyn było wiele. Ociąganie się koalicji centrowo-prawicowej z uchwaleniem odpowiednio skutecznej procedury waloryzacyjnej i egzekucyjnej było jedną z nich.

Pozycja Grabskiego była trudna. Uważano go — słusznie — za jedynego specjalistę zdolnego obmyśleć plan działania i plan ten przeprowadzić. I to pomimo obiektywnych trudności. Lecz trudności nie ograniczały się do obiektywnych tylko. W Sejmie, podobnie jak w całym społeczeństwie, mało było ludzi umiejących myśleć kategoriami ekonomicznymi. Nie inaczej było wśród kolegów Grabskiego w rządzie Witosy.

Jedynym ratunkiem była radykalna reforma walutowa. Słowa „jedyne ratunek” nie są zwrotem retorycznym. Bo na jesieni 1923 roku kryzys inflacyjny zaczął powodować reakcje społeczne i polityczne zagrażające łaadowi publicznemu i sprawnemu działaniu organizacji państwowej. Potrzeba było decyzji szybkich i radykalnych. Lecz decyzji takich nie podejmowano.

I oto już po miesiącu, 1 lipca, Grabski podał się do dymisji. Przyczynę swej decyzji najlepiej sam tłumaczył. Oto co mówił: „W łonie większości rządowej nastąpiło załamanie w popieraniu wykonania mego programu. Na decyzję natychmiastowego wprowadzenia podatku majątkowego, który spadłby natychmiast pełnym ciężarem na tak zwane klasy posiadające, rząd się nie zdobył”. Mówiąc inaczej, stronnictwa koalicji rządowej i ich przedstawiciele zasiadający w rządzie bronili interesów tych grup społecznych, które reprezentowali. A więc, z różnym nasileniem

i w różny sposób, interesów prywatnego przemysłu, własności obszarnej, wolnych zawodów i warstwy urzędniczej, a od strony „Piasta” interesów średniej własności chłopskiej.

Ustąpienie Grabskiego oznaczało załamanie się planu racjonalnej i dostatecznie radykalnej reformy gospodarczej i tak zostało w społeczeństwie zrozumiane. Zwłaszcza, że na miejsce planu Grabskiego nie zaproponowano żadnej logicznej i wytrzymującej próbę życia alternatywy. Resort skarbu — czyli, operując dzisiejszymi pojęciami, całokształt spraw gospodarczych — objęli po Grabskim kolejno Hubert Linde i Władysław Kucharski. Obydwaj próbowali ratować sytuację z dnia na dzień, między innymi w drodze obcinania, a raczej, wobec postępującej inflacji, hamowania wzrostu zarobków oraz starań o pożyczki zagraniczne. Kucharski sprowadził nawet z Anglii komisję ekspertów, zwaną od nazwiska jej szefa komisją Younga. Obiecywała ona wystarcanie się o kredyty w londyńskiej City pod warunkiem dokonania szeregu reform o wiele drastyczniejszych niż przewidywał plan Grabskiego. Zanim jednak komisja Younga zdołała w pełni zapoznać się z sytuacją, rząd „Chjeno-Piasta” utracił większość sejmową.

Przyczyną bezpośrednią był nowy rozłam w łonie „Piasta” na tle reformy rolnej. Na czele ministerstwa reform rolnych stał piastowiec Stanisław Osiecki. Zaprotestował on gwałtownie przeciwko przewlekaniu wniesienia ustawy parcelacyjnej przez przedstawicieli Narodowej Demokracji. Wreszcie pod koniec listopada ustawę wniesiono pod obrady Sejmu. W dyskusji nad poprawkami została ona osłabiona i rozwodniona w sposób, który w oczach opozycji lewicowej zakrawał na karykaturę reformy rolnej. Na przykład terminy wykonawcze rozłożyć chciano na lat 10, przeprowadzenie parcelacji zawierzyć spółkom parcelacyjnym zamiast przeprowadzać ją przy pomocy urzędów państwowych. Co ważniejsze, chciano uzależnić parcelację dóbr kościelnych od każdorazowej zgody Watykanu, a maksimum obszaru nie podlegającego parcelacji z przewidzianych pierwotnie 160 do 400 hektarów podnieść do prowokacyjnej nieomal wysokości 1.120 hektarów. Kilkunastu posłów z „Piasta” zaprotestowało przeciwko temu i utworzyło naprzód własny klub sejmowy, a potem połączyło się z innym stronnictwem chłopskim, w charakterze swoim bardziej radykalnym, jakim było Polskie Stronnictwo Ludowe-Lewica. Posłowie-rozłamowcy motywowali swoją decyzję oświadczeniem, że „przy obecnej większości rządowej korzystają przeważnie klasy posiadające, a ludność zepchnięta została do ostatniej nędzy”. Dając nawet pewną poprawkę na element

demagogii zawarty w tym oświadczeniu, charakteryzowało ono, jeśli nie zamierzenia, to dotychczasowe rezultaty działalności gospodarczej „Chjeno-Piasta”. Gdy zaś zastąpimy słowo „nędza” łagodniejszym określeniem „fatalne położenie materialne” względnie innym, „obawa przed nędzą”, będziemy mieli uzasadnienie gospodarcze fali strajków, jaka ogarnęła kraj jesienią 1923 roku.

Rządy „Chjeno-Piasta” skończyły się więc po sześciu miesiącach klęską. W rzeczywistości jednak zostały skazane na niepowodzenie już z chwilą ustąpienia Grabskiego. W grudniu 1923 roku przestano mówić o „chłopskim rozsądku” Wincentego Witosa. Na lewicy mówiono teraz, że się sprzedął panom. Chłopi mówili, że go panowie wywiedli w pole. Oba zarzuty były niesłuszne. Istota klęski „Chjeno-Piasta” leżała w zastarzałym braku doświadczenia gospodarczego polityków polskich, a zapewne także całego społeczeństwa. Skutki rzecz jasna nie ograniczyły się do gospodarczych. Ilustracją pogarszania się sytuacji bytowej ludności, jaka nastąpiła między czerwcem a grudniem 1923 roku, są wskaźniki inflacyjne. W maju za dolara płacono 52 tysiące marek polskich, w lipcu — po ustąpieniu Grabskiego — 140 tysięcy, w październiku milion, w początku listopada 2 miliony, a w końcu listopada 5 milionów. Rozpaczliwe próby ratowania sytuacji podejmowane z ogromną energią i nieomal we własnym imieniu przez Korfantego, usiłującego hamować inflację w drodze wystawiania przez przemysł długoterminowych weksli, nie na wiele się zdały, osłabiając tylko i tak niską zdolność inwestycyjną w przemyśle.

Nie było pociechą ani na szczeblu państwowym, ani w przekonaniu przeciętnego obywatela, że położenie gospodarcze Niemiec pogarszało się w jeszcze wyraźniejszym stopniu i że markę niemiecką obliczano nie na miliony, lecz na miliardy. Inflacja w Niemczech miała oczywiście znaczny wpływ na postępy inflacji w Polsce. W przeciwieństwie do Niemiec położenie gospodarcze sąsiada wschodniego, Związku Sowieckiego, gdzie panowała całkowita anarchia i bezprzykładna nędza, nie znajdowało żadnego odbicia w Polsce, po prostu dlatego, że stosunki gospodarcze między obydwoma krajami nie istniały. Natomiast nie bez znaczenia w piętrzeniu trudności wewnętrznych w Polsce była koordynacja polityki obydwu sąsiadów właśnie na odcinku ich stosunków z Polską. Były to skutki — niewyraźne jeszcze, a przynajmniej nie doceniane przez opinię w Polsce — umowy w Rapallo. Ze strony sowieckiej objawiały się w postaci niewykonania postanowień Traktatu Ryskiego, jak na przykład odmowy wypłacenia Polsce należnej jej sumy rozliczeniowej 30 milionów

carskich rubli w złocie. Dołączało się do tego prześladowanie ludności polskiej, a raczej jej likwidacja na Białorusi i na Ukrainie, w tym aresztowanie przeszło 800 księży polskich z arcybiskupem mohylowskim Cieplakiem na czele. Najważniejsza wszakże była wzmożona akcja dywersyjna na terytorium Polski. Moskwa prowadziła ją po części w oparciu o Komunistyczną Partię Polski, po części poza nią, tworząc specjalne centrale dywersyjne, między innymi na terytorium Czechosłowacji. Zbrojne wyprawy przez granicę, podejmowane przez bandy nieraz kilkuset ludzi miały charakter niekiedy bandycki, niekiedy polityczny. Punktem szczytowym dywersji moskiewskiej była tak zwana afera Bagińskiego i Wieczorkiewicza, dwóch sabotażystów dokonujących zamachów bombowych, między innymi na magazyny amunicji w cytadeli warszawskiej.

Wzmożenie agitacji komunistycznej szło rzecz jasna równolegle z uzasadnionym protestem społeczeństwa, przede wszystkim zaś robotników przemysłowych i rolnych, przeciwko polityce rządu, którą obwiniano o pogarszającą się z dnia na dzień sytuację gospodarczą kraju. Oczywiście przywództwo nie należało do komunistów, a ich słabość liczebna i niepopularność kazała im trzymać się raczej w cieniu akcji strajkowej. Do walki w obronie praw świata pracy wystąpiły przede wszystkim Polska Partia Socjalistyczna i „Wyzwolenie”, przy czym nie obyło się bez wydarzeń tragicznych w swym przebiegu. Wśród nich najmocniej w pamięci i w historii zapisały się wypadki krakowskie w dniu 6 listopada 1923 roku.

III

Wstrząsy społeczne jesieni 1923 roku tym się różniły od dotychczasowych, że połączyły w sobie element walki o interesy gospodarcze świata pracy z elementem walki politycznej przeciwko zachowawczej koncepcji rządzenia państwem w oparciu o sojusz prawicy z konserwatywnym stronnictwem chłopskim jakim był „Piast”. Istotną przyczyną narastania braku zaufania do rządu nie była przy tym tylko reforma rolna, lecz także, jeśli nie przede wszystkim, metoda półśrodków, jaką rząd stosował w walce z rosnącą drożyzną i inflacją. Metoda ta wywoływała

zdecydowany opór klasy robotniczej, a lewica przenosiła walkę polityczną z ław parlamentu, jak to się wówczas mówiło, „na ulicę”, idąc zresztą za przykładem innych krajów demokratycznych. Nacisk strajkowy nie miał zastąpić walki legalnej, walki parlamentarnej, lecz miał ją podeprzeć, miał jej dopomóc. Środek ten stosowano w Polsce po raz pierwszy.

W ówczesnym słowniku politycznym — także w Polsce — szafowano jednak wyrażeniami, które z perspektywy — gdyby je brać dosłownie — wypaczyć by mogły prawdziwy obraz ówczesnych wydarzeń. Słowami takimi były rzeczownik „rewolucja” i przymiotnik „rewolucyjny”. I wtedy zresztą słowa te inne miały znaczenie w ustach agitatorów komunistycznych, a inne w ustach posłów sejmowych z Polskiej Partii Socjalistycznej czy z „Wyzwolenia”. Określenie „rewolucyjny” w słowniku socjalistów polskich oznaczało po prostu radykalne zmiany polityczne i społeczne. A także radykalne metody działania. Nie oznaczało natomiast zamiaru obalenia ustroju demokracji parlamentarnej, a tym mniej osłabienia czy likwidacji niepodległości państwa polskiego, co leżało stale w programie i w zadaniach Komunistycznej Partii Polski, i to pomimo zmian programowych uchwalonych na drugim zjeździe Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, który odbył się w końcu września 1923 roku, nie na terenie Polski zresztą, lecz w Wąsławicach pod Moskwą. Na zjeździe tym zanalizowano przyczyny zupełnego braku popularności komunistów wśród robotników polskich i wyciągnięto odpowiednie wnioski. Odtąd miano zaprzestać zwalczania zasady niepodległości państwa polskiego do czasu, aż nie dokona się w nim rewolucja, która zapewni warunki przystąpienia do Związku Sowieckiego. W związku z tym nie należy bojkotować wyborów do Sejmu, lecz dążyć należy do tworzenia sojuszków z innymi partiami lewicowymi jak PPS czy „Wyzwolenie”, by wprowadzić rządy rad w zakładach pracy przy pomocy zbrojnego zrywu robotników. Nie należy też powtarzać innego błędu z roku 1919, który pozbawił komunistów poparcia mas chłopskich. Mianowicie nie należy sprzeciwiać się reformie rolnej jako przeszkodzie na drodze do kolektywizacji rolnictwa. Przeciwnie — należy głosić hasło „ziemia dla chłopów” i zachęcać ich do rewolucyjnego czyli zbrojnego przeprowadzenia reformy.

Tyle nakazały komunistom polskim władze moskiewskie w nadziei, że doprowadzą do sojuszu z innymi stronnictwami lewicowymi w Polsce. Nie zgodziła się natomiast Moskwa na zasadę integralności państwa polskiego. Przeciwnie — na obszarach o większości ukraińskiej działać miała odrębna partia komunis-

tyczna Zachodniej Ukrainy, luźno tylko powiązana z Polską. Podobnie na polskich obszarach Białorusi. Lecz wszystkie trzy dążyć miały do oderwania wschodnich obszarów Rzeczypospolitej w celu połączenia ich z „niepodległymi”, jak je nazwano, republikami Związku Sowieckiego — ukraińską i białoruską. Także od strony zachodniej komuniści polscy mieli zachęcać proletariats polski do oderwania od Polski Górnego Śląska i Pomorza. Jedynym ustępstwem w tym planie współdziałania z bratanymi komunistami niemieckimi było pominięcie Poznańskiego, co komuniści polscy uznali za istotną zmianę w porównaniu z instrukcjami, jakie im dawano w roku 1920.

Nie był to rzecz jasna program, który mógł być skłonić do taktycznego nawet przymierza z komunistami PPS czy „Wyzwolenie”. Co ciekawsze, a w pewnej mierze nawet zabawne, drugi zjazd KPRP przewidywał również sojusz z „elementami peowiaczkimi”, to znaczy z wiernymi stronnikami Marszałka Piłsudskiego, i to zwłaszcza w wojsku. Chciano zapewne w ten sposób włączyć się w nurt przekonań lewicy polskiej, która po usunięciu się Piłsudskiego z życia państwowego wiązała z jego osobą nadzieje na skuteczne przeciwstawienie się rządowi prawicowemu. Przyczyną była nie tylko jego ogromna popularność w masach robotniczych i chłopskich, lecz także mocno wówczas przez Piłsudskiego akcentowany negatywny stosunek do „Chjeno-Piasta”, a przede wszystkim do endecji.

Piłsudski zrezygnował ze stanowiska szefa sztabu generalnego natychmiast po utworzeniu rządu Witosza. Ustąpił też z przewodnictwa w ścisłej Radzie Wojennej. Decyzję swą uzasadnił w sposób nad wyraz gwałtowny w mowie, jaką wygłosił na bankiecie pożegnalnym 3 lipca. Użył wówczas wyrażenia, że odmawia wszelkiej współpracy z ludźmi, których uważa za moralnych sprawców zamordowania Narutowicza. Usunąwszy się do Sulejówka na „dobrowolne wygnanie”, jak to często wówczas określano, zachowywał milczenie także w czasie wydarzeń z jesieni 1923 roku. Nie był więc w żadnym wypadku „wodzem lewicy”, co zresztą wyraźnie podkreślali niektórzy działacze PPS — między innymi Feliks Perl, gdy mówił, że Piłsudski ani nie jest „naszym człowiekiem”, ani nie jest PPS potrzebny jako „lewicowy Mussolini”. Zbyt jednak pochopnie prawica święciła triumfy, dopatrując się w milczeniu Piłsudskiego jego ostatecznej rezygnacji z działalności politycznej. Niewątpliwie też obserwacja wydarzeń z roku 1923 wywarła wpływ na jego poglądy i przyszłe postępowanie.

Wydarzenia jesienne zaczęły się od akcji strajkowych nieduzego początkowo zasięgu. Na Górnym Śląsku wybuchł strajk górników i hutników. Prowadził go „Komitet Dwudziestu Jeden”, tak nazwany od liczby delegatów zakładowych. Na jego czele stanął Józef Wieczorek. Był on komunistą z partii górnośląskiej. Był to jedyny wypadek współdziałania komunistów z delegatami z PPS i Narodowej Partii Robotniczej. Wypadek zupełnie odosobniony, gdyż komuniści zostali jawnie i oficjalnie usunięci z władz wszystkich związków zawodowych działających w Polsce, a PPS odcięła się od wszelkich z nimi kontaktów.

Wśród związków zawodowych, które miały pokaźną liczbę członków (przekraczającą milion sto tysięcy) najsilniejsze było Zjednoczenie Zawodowe Polskie, skupiające prawie 55 % związkowców. Prowadziła je Narodowa Partia Robotnicza, odżegnująca się od marksizmu i koncepcji walki klasowej. Walczyła jednak twardo i skutecznie o interesy robotnicze, popierając ruch strajkowy i odmawiając poparcia rządowi w Sejmie. Mniej było Chrześcijańskie Zjednoczenie Zawodowe, związane z chadecją, o wpływach ograniczonych do Śląska i robotników rolnych w Poznańskim i na Pomorzu. Nieco ponad jedna trzecia ogółu robotników skupiała się w socjalistycznych związkach zawodowych, prowadzonych przez KCZZ czyli Komisję Centralną Związków Zawodowych. Na jej czele stali tacy działacze PPS jak Niedziałkowski, Próchnik, Zygmunt Zaremba, Feliks Perl, Jan Kwapiński, doktor Marek.

KCZZ w ścisłym porozumieniu z władzami PPS objęła też właściwe kierownictwo akcji strajkowej, rozszerzając jej cele ze ściśle gospodarczych czy bytowych na polityczne, to jest chcąc przy jej pomocy doprowadzić do upadku rządów prawicowych.

Postawa rządu wobec wzrastającego wzburzenia robotniczego dopomagała w istocie tego rodzaju rozszerzeniu celów strajkowych. Postulaty materialne wysuwane przez KCZZ i komitety strajkowe nie były wygórowane. Żądano przede wszystkim zastosowania automatycznej skali płac, która by powiększała zarobki równoległe do postępów inflacji. Obok tego występowano przeciwko wszelkim zakusom dokonywania oszczędności kosztem opóźniania podwyżek i zwalniania części pracowników (chodziło tu głównie o pracowników administracji państwowej i przedsiębiorstw) i żądano bardziej energicznego przeciwdziałania lichwie żywnościowej i ostrzejszej kontroli czynszów. Protestowano też przeciwko wszelkim próbom ograniczenia czy zawieszenia ustaw o ośmiogodzinnym dniu pracy. I wreszcie w ramach pos-

tulatów ogólnych żądano szybkiej reformy podatków i skarbowości.

Spotykała te żądania twarda odpowiedź, że „jest źle i może być jeszcze gorzej”, a także zarządzenia w rodzaju mobilizacji kolejarzy na zasadach wojskowych z chwilą gdy ogłosili strajk, zapowiedź sądów doraźnych w razie ekscesów oraz zakaz zgromadzeń publicznych wszelkiego rodzaju.

To zwłaszcza zarządzenie doprowadziło do wybuchu, tym bardziej uzasadnionego, że było sprzeczne z konstytucją. W pierwszych dniach listopada strajk objął Zagłębie Dąbrowskie, warszawski węzeł kolejowy, przemysł włókienniczy w Łodzi, zagłębie naftowe w Borystawiu i szereg zakładów ciężkiego przemysłu. Kolejarze w całym kraju odmawiali wykonania rozkazów mobilizacyjnych. PPS i KCZZ obwołały strajk generalny na dzień 5 listopada z późniejszymi o dwa dni terminami dla Borystawia i Łodzi.

6 listopada policja w Krakowie zaczęła rozganiać robotników na Rynku. Wojewoda Gałęcki wezwał też wojsko, na co dowódca Okręgu Korpusu, generał Czikiel, wyraził zgodę. Kompanie 16 pułku piechoty ustawione z bronią w kozły na Rynku i na ulicy Dunajewskiego nie zdradzały chęci wystąpienia przeciwko robotnikom. Strzelanina rozpoczęła się nagle. Strzelała policja, choć dochodzenia nie ustaliły nigdy, czy to ona rozpoczęła ogień, kiedy demonstranci zignorowali wezwania do rozejścia, czy też pierwsze strzały padły z tłumu, co świadczyć by mogło o obecności prowokatorów komunistycznych. Tłum robotniczy zareagował natychmiast. Kompanie piechoty rozbrojono. Robotnicy uzbroili się w zdobytą broń ręczną i karabiny maszynowe, witając ogniem szarżę 8 pułku ułanów, którą wbrew rozsądkowi zarządził Czikiel na wąskich uliczkach staromiejskich. Wywiązała się regularna bitwa, w której robotnicy pozostali panami położenia. Straty były duże. Nie ustalono nigdy liczby rannych robotników, lecz poległo ich osiemnastu. Rannych było 38 policjantów oraz 100 ułanów. 11 ułanów poległo wraz z trzema oficerami.

Miejscowe władze na rozkaz rządu zawarły rozejm z przedstawicielami robotników przy interwencji posłów socjalistycznych. Wojsko z miasta wycofano, porządek w mieście przywróciła milicja robotnicza. Lecz było to tylko zawieszenie broni. Robotnicy w Krakowie czekali na ulicach na dalszy rozwój wydarzeń. Pytanie, czy rewolta zamieni się w rewolucję, zależało od wyniku rozmów, jakie rząd Witosa rozpoczął z przedstawicielami PPS w Warszawie.

Wiadomość o krwawym starciu robotników krakowskich z policją i z wojskiem wprowadziła opinię polską w stan graniczący z osłupieniem. Przerzątała liczba ofiar. Dotychczas tego rodzaju strat nie bywało, choć ofiary krwawe nie należały do rzadkości przy rozruchach towarzyszących strajkom. Były to jednak ofiary raczej przypadkowe, o których łatwiej było zapomnieć, gdyż często zabity w beładnej strzelaninie był albo pozostającym na obcym żołdzie prowokatorem albo — z przeciwnego krańca — konfidentem policyjnym. Za wyjątek od tej reguły uznać by można 7 zabitych w rozruchach poznańskich w roku 1920, lecz te miały szczególny charakter, gdyż były dywersją przeciwko wysiłkowi w wojnie z Rosją, zorganizowaną nie bez udziału komunistów niemieckich.

Inna zupełnie była sytuacja w listopadzie 1923 roku. Robotnicy krakowscy nie byli na niczych usługach, występowali we własnym imieniu bądź w imieniu całego polskiego świata pracy w walce o poprawę warunków bytowych przeciwko rządowi, do którego nie mieli zaufania. Wyszli na ulice w ramach oficjalnie ogłoszonego strajku generalnego, udzielając poparcia politycznego Polskiej Partii Socjalistycznej, która strajk obwołała i objęła nad nim kierownictwo. Działali więc w zgodzie z prawem i w sposób zupełnie legalny, aż do chwili oczywiście, gdy doszło do użycia broni i do regularnej nieomal bitwy z wojskiem.

Z tą chwilą też wystąpienie strajkowe zamieniło się w rewoltę przeciwko władzom. Lecz nie w rewolucję przeciwko ustrojowi państwowemu, gdyż takiego zamierzenia nie miała ani opozycja lewicowa w Sejmie, ani robotnicy sami, wśród których wywrotowe hasła KPRP nie znajdowały żadnego echa, a nieliczni agitatorzy komunistyczni żadnego posłuchu. Nie ulega jednak wątpliwości, że gdyby PPS chciała wieczorem 6 listopada 1923 roku nadać dalszemu biegowi wypadków charakter zbrojnego przewrotu, mogłaby to osiągnąć po prostu odmawiając rozmów z rządem Witosa i nie odwołując strajku generalnego.

Groziłoby to wojną domową, czego ani PPS, ani popierające ją moralnie inne stronnictwa lewicowe z „Wyzwoleniem” na czele nie pragnęły. Przeciwnie — widziały jej perspektywę jako najgorszą ze wszystkich możliwości. PPS zrobiła też wszystko, by do rewolucji i wojny domowej nie dopuścić. Klucz do rozwiązania położenia znalazł się nagle w ręku właśnie przywódców PPS. Do rozmów z nimi nakłonił bowiem Witosa Marszałek

Sejmu Rataj. I to do rozmów natychmiastowych i bez żadnych wstępnych warunków. Zaslugą Witosą, a dzieli ją z Korfantym, było odważne podjęcie tych rozmów, wbrew stanowisku ministra spraw wewnętrznych, piastowca Kiernika, i wbrew stanowisku Związku Ludowo-Narodowego, który chciał po prostu „stłumienia buntu” przy użyciu wszystkich dostępnych środków. Czyli przy użyciu siły.

„Chłopski rozsądek” Witosą, który był mu złym przewodnikiem przez cały czas trwania koalicji „Chjeno-Piasta”, tym razem wziął górę. Argument formalno-biurokratyczny, że robotnicy krakowscy gromadząc się na Rynku i na ulicy Dunajewskiego pogwałcili zarządzenie rządowe o zakazie zebrzań publicznych Witosą zbył wzruszeniem ramion i zasiadł do bardzo krótkiej narady z przedstawicielami PPS Moraczewskim, Barlickim, Niedziałkowskim i Kwapińskim w obecności Rataja i Korfanteo. Kiernika i ministra spraw wojskowych, generała Szeptyckiego, zawiadomiono po prostu o wyniku narady i kazano im się do niego zastosować.

Rząd odwoływał zarządzenia o mobilizacji kolejarzy, o sądach doraźnych i o zakazie zebrzań. Zobowiązywał się do jak najszybszego rozpatrzenia wszystkich postulatów gospodarczych robotników i innych pracowników. A więc do wprowadzenia systemu automatycznej zwyczajki płac w miarę postępu inflacji, do poszanowania ośmiogodzinnego dnia pracy i wszystkich ustaw ubezpieczeniowych oraz do wstrzymania zapowiadzianej redukcji na kolejach i na poczcie. Ponadto zobowiązywał się do zajęcia się rodzinami zabitych oraz do niestosowania żadnych sankcji w stosunku do uczestników bitwy krakowskiej lub innych starć zbrojnych między strajkującymi a policją czy wojskiem.

Rewolta krakowska, którą dość łagodnie nazwano później „wypadkami” lub „wydarzeniami” krakowskimi, choć najważniejsza i najbardziej tragiczna w przebiegu, nie była jedynym starciem krwawym w listopadzie 1923 roku. 6 listopada przeciwko robotnikom gromadzącym się przed Domem Robotnika w Borysławiu wystąpiło wojsko. Poległo 3 robotników, 10 było rannych. 8 listopada doszło do strzelaniny w Tarnowie, gdzie padło 5 robotników. Incydent tarnowski był tym smutniejszy, że nastąpił już po odwołaniu zarządzeń przeciwstrajkowych przez rząd i po odwołaniu strajku generalnego.

Odwołanie strajku było jedynym ustępstwem Polskiej Partii Socjalistycznej. Towarzyszyło mu ogłoszenie odezwy tłumaczącej, na czym polegał wynik narady z Witosą. Odezwa rozpoczę-

nała się od słów: „Nie chcemy walki z wojskiem. Nie chcemy, aby wojsko walczyło z robotnikami”.

Fakt użycia wojska przeciwko robotnikom, fakt walki robotników z wojskiem, był drugą obok liczby ofiar przyczyną osłupienia opinii. Tym bardziej, że przebieg tej walki był tragiczny. Ostrzelanie z karabinów maszynowych szarżujących trójkami na śliskim asfalcie wąskich ulic ułanów było w sensie wojskowym zwykłą rzezią. Dodać tu należy i podkreślić raz jeszcze, co podkreślano i wówczas, że robotnicy krakowscy wykazali dużo opowania i rozsądku strzelając przede wszystkich do koni. Rezultatem było makabryczne zgroma pobojuwisko na ulicach Krakowa, co wyobrazić sobie dzisiaj mogą tylko ci ze starszego pokolenia, którzy pamiętają czasy, kiedy koń był jeszcze „zwierzęciem bojowym”, i pamiętają, jak wyglądają konie oszalałe ze strachu i bólu. Lecz gdyby robotnicy chcieli strzelać inaczej niż strzelali, stosunek czternastu poległych do stu rannych ułanów byłby tego dnia odwrotny.

Wyślanie ułanów do szarży ulicznej było też jednym z punktów oskarżenia przeciwko generałowi Czikielowi w postępowaniu przed wojskowym sądem dyscyplinarnym. Skazano go na 3 miesiące aresztu za to, że stracił głowę. Do odpowiedzialności pociągnięci też zostali przed specjalną komisją wojewoda Gałęcki, krakowski szef wydziału bezpieczeństwa Broszkiewicz, komendant policji Rękiewicz i prokurator sądu okręgowego w Krakowie Czystczawa. Nie wzbudziło to zbyt wielkiego zaciekawienia, gdyż każdy w Polsce uważał za rzecz zupełnie oczywistą, że w ustroju demokratycznym przedstawiciele władzy nie mogą bezkarnie popisywać się nadmiarem gorliwości lub zwykłą głupotą w tłumieniu rozruchów. Zwłaszcza gdy nie umieli zapobiec sytuacji, w której wojsko strzela do robotników.

W stosunku do robotników nie wyciągnięto żadnych sankcji, gdyż tak przewidywała umowa rządu z przedstawicielami PPS. Wyjątkiem być mieli ludzie schwytani na gorącym uczynku rabunku, których zresztą w wielu wypadkach ujęła milicja robotnicza. Po roku odbył się w Krakowie sąd nad pięćdziesięciu kilku oskarżonymi o różne przestępstwa popełnione 6 listopada. Wśród nich znaleźli się także niektórzy z prowodyrów pod zarzutem podżegania do buntu i mordowania żołnierzy, a obok nich dwaj posłowie socjalistyczni, Stańczyk i Bobrowski, których Sejm postanowił pozbawić nietykalności poselskiej. Sąd przysięgłych uniewinnił wszystkich oskarżonych z wyjątkiem pięciu, którym udowodniono rabunek.

Było to zwycięstwo zarówno zdrowego rozsądku, jak i po-

czucia sprawiedliwości, które wzięło górę nad formalistyką biurokratyczną czy prawniczą. Bo jeśli winni byli robotnicy strzelający do policji i wojska, winny też był rząd, który do tej sytuacji dopuścił lub nie umiał jej zapobiec. Dano temu wyraz na ławach sejmowych w gorącej debacie, jaka toczyła się przez cały listopad i połowę grudnia 1923 roku, a odzywała się mocnym echem także później. Żądano z ław lewicy oddania czci zarówno zabitym żołnierzom, jak i zabitym robotnikom, żądano ustąpienia rządu, co też nastąpiło w okolicznościach już tu opisanych. Jeśli nie w sensie formalnym, to w sensie politycznym i moralnym okoliczności te wiązały się z „wypadkami krakowskimi”.

Najwięcej namiętności — i najdłużej — budził fakt walki wojska czy raczej użycia wojska do walki z robotnikami. Na prawicy odzywały się co prawda głosy próbujące przerzucić całą winę na robotników i na PPS. Lecz brzmiały one nieprzekonywująco wobec innego faktu, że właśnie PPS nie dopuściła do rozwinięcia się rewolty krakowskiej w wojnę domową o charakterze rewolucyjnym. O zamiary rewolucyjne pomawiały też stronnictwa rządowe tych — jak to jeszcze wówczas mówiono — „peowiaków”, którzy zasiadali na ławach stronnictw lewicowych. Chodziło po prostu o oficerów oddanych Piłsudskiemu, zarówno zasiadających na ławach sejmowych, jak i innych, którzy fakt niewłaściwego użycia wojska nie tylko uważali za hańbę, lecz tłumaczyli go jako dowód, że ani wojsko, ani Polska nie mogą się obyć bez Piłsudskiego. Budziło to szczególnie niepokój na prawicy, tym silniejszy, im więcej było niezadowolenia w wojsku — niezadowolenia, z którym nie umiało sobie poradzić wyższe dowództwo, składające się po większej części z ludzi Piłsudskiemu niechętnych. Robotnicy, a często za ich przykładem radykalne ugrupowania chłopskie i nieuchwytne raczej zjawisko społeczne określane w ówczesnym języku jako „ulica” łączyli swe hasła i postulaty strajkowe z nazwiskiem Piłsudskiego. Zdarzały się też w pamiętne dni strajkowe wypadki bratania się oficerów i żołnierzy z robotnikami, co miało zresztą ten dobry skutek, że zapobiegło wielu nieszczęściom podobnym do krakowskiego. Trzeba bowiem pamiętać, że wojsko postawiono w stan pogotowia w całym kraju. Bratanie to zresztą nie miało nigdzie charakteru wyłamywania się z dyscypliny lub jakichś wspólnych manifestacji żołniersko-robotniczych. Polegało po prostu na wzajemnym unikaniu starć.

W rzeczywistości ani strajk generalny, ani tym mniej rewolta robotnicza w Krakowie nie miały żadnych powiązań politycznych z przebywającym w Sulejówku Piłsudskim. Posługiwanie się jego

nazwiskiem przez „peowiaków” w Sejmie i w prasie było ich własną inicjatywą, której nie towarzyszył żaden konkretny plan działania. Robotnicy zaś — czy tak zwana „ulica” — skandowali jego nazwisko lub wypisywali je na transparentach zupełnie spontanicznie, w przekonaniu, że jest zwolennikiem rządów lewicowych, a w każdym razie wrogiem rządów prawicy, rządów „Chjeno-Piasta”, co było prawdą i nie było żadną tajemnicą. Była w tym nastawieniu opinii pamięć jego zasług wojennych i politycznych, a więc element przywiązania — była też pamięć jego powiązań z PPS. Nastrojów tych nie osłabił jego milczenie. Będą trwały i narastały przez dalszych dwa i pół roku, to jest do chwili, gdy i lewica polityczna i świat robotniczy udzielił mu poparcia, kiedy sięgnie po władzę.

W roku 1923 nie nastąpił ani zamach stanu, ani też — jak widzieliśmy — rewolta krakowska nie rozwinęła się w rewolucję, której towarzyszyć by musiała wojna domowa. Zdawał sobie z tego sprawę Witos na czele rządu i zdawali sobie sprawę socjaliści. Zdawały też sobie sprawę czynniki skrajnie prawicowe, chociaż chętnie o „wydarzeniach krakowskich” mówiły jako o rewolucji lub jako o wstępie do rewolucji, dodając jednym tchem o potrzebie jej stłumienia. Na szczęście głosy takie nie znalazły odzewu w kierownictwie Narodowej Demokracji, które wolałoby co prawda, by likwidacja strajku nastąpiła w inny sposób, a więc nie jako zwycięstwo robotnicze lecz jako ich klęska, lecz które układu zawartego przez rząd z socjalistami obalić nie próbowało. Oczywiście wojny domowej obawiano się w każdym środowisku, chociażby dlatego, że jej wyniku nikt przewidzieć nie mógł. Wiedziała o tym także PPS, lecz nie to było przyczyną stwierdzenia jej przywódców, że „stała się tragedia i nie wolno dopuścić do jej powiększenia”. Przyczyną prawdziwą była chęć osiągnięcia celów społeczno-politycznych w ramach prawa. Lewica chciała zdobyć rządy, by móc przeprowadzić swój program, lecz nie miała zamiaru burzyć ustroju demokracji parlamentarnej, za którym się w wolnych wyborach i w wolnym głosowaniu wypowiedziało całe społeczeństwo.

Rewolucji i wojny domowej chcieli tylko pozbawieni wpływów komuniści. Z tych samych powodów, dla których jej pragnęli, zapobiec jej chciały wszystkie stronnictwa polskie i cały naród. Bo rewolucja służyć mogła tylko i wyłącznie interesom Rosji. Miała osłabić państwo polskie, naruszyć jego granice, by z kolei zlikwidować niepodległość na rzecz federacji ze Związkiem Sowieckim. Były to cele zupełnie obce strajkującym robotnikom polskim.

REFORMY GRABSKIEGO

I

„Wydarzenia krakowskie” były w istocie przypomnieniem doniosłości zagadnień gospodarczych w nowoczesnym państwie. W latach dwudziestych w kraju demokratycznym ingerencja państwa w życie i planowanie gospodarcze nie była duża. Zwłaszcza przy zachowaniu systemu kapitalistycznego, któremu dopiero zaczynano nakładać hamulce w postaci ustawodawstwa społecznego i ustawodawstwa ochrony pracy. Polska poszła w tym względzie znacznie dalej niż inne państwa europejskie. Nie zdołała jednak do końca roku 1923 przeprowadzić stabilizacji waluty i naprawy skarbu. Nie zrównoważyła też budżetu państwowego. Rząd „Chjeno-Piasta” tę miał główną przewinę, że zahamował rozpoczęte już w tym kierunku prace, co spowodowało ustąpienie z rządu ich inicjatora i głównego wykonawcy, którym był Władysław Grabski.

Nic też dziwnego, że w chwili upadku rządu Witosza do głosu w Sejmie i w opinii społecznej dojsć musiało przekonanie o konieczności natychmiastowego wznowienia akcji reformy skarbu i waluty. Wszystko musiało ustąpić tej właśnie potrzebie i wszystko należało podporządkować. Wymagało to przynajmniej czasowej rezygnacji z bardziej ambitnych haseł ideologicznych, wyznawanych przez różne stronnictwa polityczne, zwłaszcza lewicowe. Nie przyszło to łatwo, lecz jest dowodem rozsądnej oceny sytuacji większości przywódców politycznych, że w grudniu 1923 roku — zamiast walczyć o realizację swych celów programowych — zgodzili się na rząd pozaparlamentarny, złożony z fachowców. Na jego czele — jako jedyny i odpowiedni kandydat — stanął Władysław Grabski.

Pierwotnie myślano o innym nieco rozwiązaniu. Grabskiemu oferowano tekę ministra skarbu. Premierostwo natomiast proponował prezydent Wojciechowski przywódca „Wyzwolenia”, Stanisławowi Thuguttowi. W ten sposób zamiast dotychczasowej koalicji centrowo-prawicowej powstałaby koalicja centrowo-lewicowa. Tego rodzaju rozwiązanie odpowiadałoby najbardziej zarówno robotnikom, jak i większości chłopów, z wyłączeniem wiernej Witosowi nierozłamowej części „Piasta”. Klucz zagadnienia leżał w stanowisku Chrześcijańskiej Demokracji, dotychczasowego sprzymierzeńca prawicy. Sprawa rozbiła się o sprze-

ciw Korfanteo, który nie chciał dopuścić do powrotu Piłsudskiego na stanowisko generalnego inspektora sił zbrojnych, o co zabiegał Thugutt, reprezentując w tym względzie poglądy lewicy.

Zamiast ministerstwa skarbu, a raczej oprócz ministerstwa skarbu Władysław Grabski obejmował więc urząd premiera. Uznano to powszechnie za rozwiązanie tymczasowe. Trwało, z jak najlepszymi dla Polski rezultatami, prawie dwa lata. W przeciwieństwie do swego brata Stanisława, który był przedstawicielem Narodowej Demokracji, Władysław Grabski nie był związany z żadnym kierunkiem ideologicznym, choć określano go jako „liberała”, co wówczas oznaczać mogło bardzo wiele albo zgoła nic, zwłaszcza w warunkach polskich, gdzie nie istniało żadne stronnictwo mogące posłużyć się nazwą „liberalnego”. W rzeczywistości Grabski był wyjątkowym talentem gospodarczym, z uosobienia czystej krwi pragmatykiem. A jednocześnie świetnym taktykiem parlamentarnym.

Nie ulega wątpliwości, że politycznie wiele zawdzięczał sytuacji podbramkowej, gdyż tak można było określić stan finansów państwa i katastrofę inflacyjną. Była to sytuacja tak trudna, że odstręczała najbardziej ambitnych polityków, zwłaszcza po świeżych doświadczeniach rządu „Chjeno-Piasta”. Wielu z nich przyznawało wręcz, że nie umie znaleźć żadnych rozwiązań, a gdyby nawet umiało je znaleźć, to nie będzie wiedziało, jak je wprowadzić w życie. Wolało więc pozostawić inicjatywę Grabskiemu. Dzięki temu Grabski zdobywał większość w Sejmie dla planowanych reform, z tym, że — choć jego rząd otrzymał wotum zaufania ogromną większością głosów — nie była to większość stała, lecz tworzona od wypadku do wypadku. Dla niektórych swych pociągnień zdobywał poparcie z prawa, dla innych na lewicy. Ilustracją tej taktyki ciągłego manewru jest fakt, że tylko dwóch ministrów utrzymało się w jego gabinecie przez dwa lata jego premierostwa i to w resortach raczej mało kontrowersyjnych. Jednym był minister kolei państwowych Tyszka, drugim minister robót publicznych Rybczyński. Zmieniali się natomiast pozostali ministrowie, niekiedy kilkakrotnie. Sprawy zagraniczne prowadzili kolejno Karol Bertoni, Maurycy Zamoyski i Aleksander Skrzyński. Wojsko po generale Sosnkowskim objął Sikorski. Ministerstwo spraw wewnętrznych prowadził Władysław Sołtan, po nim Zygmunt Huebner, po nim Cyryl Ratajski, wreszcie Władysław Raczkiewicz. Nie bez racji, komentując ów kontredans ministerialny, potrzebny Grabskiemu dla pracy nad stabilizacją walutową i skarbową, organ PPS *Robotnik* nazywał rząd Grabskiego „rządem wiecznego zakłopotania prezydenta Wojciechow-

skiego". Chodziło o to, że Prezydent coraz to musiał podpisywać nowe nominacje, nie wiedząc rzekomo dlaczego.

Podpisywał zresztą dokumenty ważniejsze niż nominacje ministerialne. Mianowicie rozporządzenia z mocą ustawy przedkładane przez rząd, to znaczy przez Grabskiego. Był to wynik bardzo szerokich pełnomocnictw, jakich Grabski zażądał od Sejmu 20 grudnia 1923 roku. Otrzymał je na podstawie krótkiego *exposé*, w którym stwierdzał, że kraj potrzebuje spokoju, gdyż jest to warunek sprawnego przeprowadzenia reform skarbowych i walutowych. By móc je przeprowadzić, Grabski domagał się prawa dekretowania zamiast przeprowadzania ustaw sejmowych w takich sprawach jak zmiana ustawodawstwa podatkowego, zaciąganie pożyczek do wysokości 500 milionów franków szwajcarskich w złocie, wprowadzenie nowego systemu monetarnego i walutowego, założenie Banku Polskiego czyli banku emisyjnego, sprzedaż i reorganizacja przedsiębiorstw państwowych z pocztą i kolejami włącznie i przeprowadzanie oszczędności, co było pojęciem bardzo szerokim, gdyż obejmowało na przykład także ustalanie kontyngentu poboru do wojska.

W ten sposób władza wykonawcza przejmowała w dziedzinie gospodarki znaczną część uprawnień władzy ustawodawczej. Ponadto uzyskiwała możliwość szybkiego działania, bo unikała dyskusji nad projektami dekretów. Oczywiście nie oznaczało to rezygnacji Sejmu z prawa krytyki dekretów i z prawa pociągania ministrów do odpowiedzialności za ich skutki.

Uchwalenie pełnomocnictw przyjęte zostało z niedowierzaniem w społeczeństwie przyzwyczajonym już do długich dyskusji sejmowych. Niedowierzanie zamieniło się wnet w pełną aprobatę, która przynajmniej przez pierwszy okres rządów Grabskiego znajdowała swój wyraz na łamach całej prasy, od skrajnej prawicy po *Robotnika*. Znalazło też bardzo przychylne echo w opinii gospodarczej za granicą, co nie pozostawało bez związku z powodzeniem reform premiera.

Przeciwko pełnomocnictwom, a więc tym samym przeciwko reformom głosowała część posłów reprezentujących mniejszości narodowe i nieliczna, choć hałaśliwa grupka komunistów. Razem 70 głosów. Za pełnomocnictwami opowiedziały się cała prawica i całe centrum, to jest 194 posłów. Cała lewica natomiast dawała warunkowe jak gdyby wotum zaufania Grabskiemu, przeprowadzając dość misterne rozróżnienie między wstrzymaniem się od głosu a „niegłosowaniem”. „Niegłosowanie” miało oznaczać stanowisko przychylne, lecz zastrzeżone na przyszłość, w za-

ležności od wyników reformy. Zwłaszcza we wszystkim, co dotyczyło dalszych reform społecznych.

Tego rodzaju „warunkową przychylność” przegłosowała na swym dziewiętnastym kongresie w Krakowie Polska Partia Socjalistyczna. Grabski zdawał sobie sprawę, że pomimo poparcia prawicy w pierwszym głosowaniu sejmowym powodzenie jego pracy zależeć będzie od przychylności stronnictw lewicowych. I wyciągnął z tego praktyczne wnioski.

II

Uzbrojony w pełnomocnictwa Grabski przystąpił do wykonywania swojego planu. Pierwszym krokiem było zrównoważenie budżetu państwowego. Grabski cel ten osiągnął w zadziwiająco krótkim czasie, co było swego rodzaju sensacją w gospodarczych kołach całej Europy. Równowagę tę zapewnił ściągając energicznie dawno już uchwalony podatek majątkowy, wprowadzając drastyczne niekiedy oszczędności w wydatkach na administrację państwową, a przede wszystkim przerywając pokrywanie deficytów przedsiębiorstw państwowych, takich jak koleje. Krok ten łączył się z reorganizacją zarówno administracji państwowej jak i przedsiębiorstw państwowych. Miały one odtąd pracować na zasadach handlowych — inaczej mówiąc, miały być samowystarczalne. W praktycznym wykonaniu tego zarządzenia już w ciągu roku 1924 koleje państwowe nie tylko zdołały zamknąć się we własnym budżecie, lecz również odprowadzić nadwyżkę zysków do Skarbu państwa. Także reorganizacja administracji dała szybkie i dobre wyniki. Przeprowadzał ją specjalny, jak go nazywano, „komisarz oszczędnościowy”, którym był Stanisław Moskalewski. Czuła na każdy przejaw życia publicznego satyra polityczna dała mu przydomek „Moskalini”, co miało charakteryzować jego dyktatorskie metody pracy, a było dowcipną kombinacją nazwy „Moskwa” i nazwiska „Mussolini”.

Zrównoważenie budżetu nie było jednak procesem, który przebiegał zupełnie bezboleśnie. Wśród reform znalazły się i takie jak wprowadzenie monopolu solnego i tytoniowego i oczywiście bardzo sprawne ściąganie wszystkich podatków. Potrzebne były także inne sposoby, na które zdecydowano się z myślą o zwiększeniu produkcji przemysłowej i rolnej. Jednym z tych sposobów

było drastyczne obcięcie liczby świąt kościelnych, co nie obyło się bez oporów, zwłaszcza że w tym samym czasie Polska prowadziła pertraktacje z Watykanem o zawarcie konkordatu. Na opór napotykała też próba naruszenia zasady ośmiodzinnego dnia pracy. Grabski skłaniał się ku podwyższeniu liczby godzin pracy bez dodatkowego wynagrodzenia. Przeprowadził to, choć w sposób niezbyt radykalny, na Górnym Śląsku. W reszcie kraju natomiast od myśli tej odstąpił, kierując się rozsądkiem politycznym. Nie mógł sobie bowiem pozwolić na ponowne rozognienie nastrojów robotniczych, które wyładowały się w listopadzie 1923 roku. Jego pozaparlamentarny rząd nie mógłby się ostać i nie mógłby pracować bez przychylnego stanowiska lewicy sejmowej i tym samym robotniczej opinii w całym kraju. Choć Grabski miał poparcie prawicy i centrum sejmowego, nie chciał, by jego rząd uchodził za rząd prawicowy, czyli za urzędnicze przedłużenie „Chjeno-Piasta”. Lewica obiecała mu poparcie, uzależniając je jednak od wyniku reform i zastrzegając sobie, że żadna z reform nie uszczupli już zdobytych praw świata pracy i nie będzie godzić w interesy robotnicze.

Stanowisko lewicy sprecyzował najlepiej w końcu grudnia 1923 roku dziewiętnasty kongres PPS. Na kongresie tym Polska Partia Socjalistyczna dokonała rewizji nie tyle swych założeń ideologicznych, ile metod i taktyki. W roku 1919, po ustąpieniu gabinetu Jędrzeja Moraczewskiego, PPS na swym szesnastym kongresie, również w Krakowie, stanęła na stanowisku, że nie będzie brała czynnego udziału w rządach dopóki nie powstaną warunki radykalnej reformy ustroju społecznego w Polsce. Obecnie, po czterech latach, doszła do przekonania, że walka o zaprowadzenie ustroju socjalistycznego trwać będzie długo. Z drugiej strony uznała, że już dokonane reformy społeczne i ustrój demokracji parlamentarnej obowiązujący w Polsce stanowią dla PPS warunki pozwalające na dzielenie się odpowiedzialnością za losy całego państwa i losy klasy robotniczej. Nowy program PPS przewidywał zatem dalszą walkę w obronie interesów klas pracujących przy jednoczesnym czynnym udziale w życiu państwowym, dopóki udział ten nie będzie w sprzeczności z ideowymi założeniami partii socjalistycznej.

PPS przewidywała zatem teoretycznie swój udział w jakimś rządzie koalicyjnym. Nie to jednak było jej bezpośrednim celem. W praktycznym znaczeniu uchwały dziewiętnastego kongresu były obietnicą poparcia reform gospodarczych przeprowadzanych przez Grabskiego. To stanowisko Polskiej Partii Socjalistycznej, które w innej nieco formie przyjmowało także kierownictwo

„Wyzwolenia”, zmieniało obraz polityczny ówczesnej Polski. Oba stronnictwa liczyły przy tym na rozadek i wycucie polityczne Władysława Grabskiego. W swych obliczeniach się nie zawiodły. Grabski zdawał sobie sprawę z nastrojów świata pracy, doceniał jego dojrzałość i pragnął na tej dojrzałości oprzeć atmosferę dobrej woli i entuzjazmu, które były mu potrzebne w ratowaniu życia gospodarczego całego kraju. Społeczeństwo, nie wyłączając kół prawicowych związanych czy to z Chrześcijańską Demokracją, czy też ze Związkiem Ludowo-Narodowym, zdawało sobie sprawę, że naprawa ogólnego położenia kraju nie może w żadnym wypadku odbywać się bez udziału robotników i chłopów, a tym mniej wbrew ich woli i wbrew ich interesom. Stąd powodzenie Grabskiego w Sejmie, przynajmniej w pierwszym okresie jego rządów. Umiał w sposób mistrzowski zdobywać potrzebną mu większość. Różne stronnictwa głosowały w niektórych wypadkach przeciwko niemu, a w niektórych udzielały mu poparcia. Zawsze jednak miał większość, bardzo dużą albo małą, zależnie od zagadnień.

Temu stanowi rzeczy towarzyszył nagły wzrost zaufania do własnych sił, jaki w roku 1924 ogarnął całe społeczeństwo. Władysław Grabski nastroje te popierał i nastroje te wywoływał. Jego oświadczenia publiczne nacechowane były z reguły optymizmem, a zabarwione tym optymizmem pociągnięcia gospodarcze dawały doskonałe rezultaty.

Równowagę budżetową osiągnął Grabski już w drugim kwartale 1924 roku. Przystąpił więc do następnej fazy swych reform, to znaczy do reformy walutowej. Dla wprowadzenia nowej waluty potrzebne było utworzenie banku emisyjnego. Był nim Bank Polski, instytucja prywatna na wzór Banku Anglii. Wbrew opinii rzeczoznawców polskich i angielskich Grabski uważał, że Bank Polski stworzyć można bez pożyczek zagranicznych, drogą subskrypcji krajowych. Idąc dalej uważał, że konwersję marki na nową jednostkę monetarną — to jest na złotego — przeprowadzić można w oparciu o pokrycie w złocie i że przy tym stworzyć będzie można pewną nadwyżkę dochodów skarbowych, między innymi przy pomocy bilonu, który bić będzie mennica państwowa. Powstanie w ten sposób rezerwa czy raczej kapitał rezerwowy, który wystarczy Skarbowi Państwa na pokrycie ewentualnego deficytu budżetowego, a także na wyrównanie ujemnego bilansu płatniczego w obrotach z zagranicą. Grabski szedł tak daleko w swym optymizmie, że twierdził, iż kapitał ten wystarczy do roku 1927, to znaczy do chwili, gdy dochody z monopoli państwowych osiągną swój pułap, a ogólna poprawa gospodarki

pozwole na zaciąganie pożyczek zagranicznych opartych o racjonalne możliwości ich obsługi. Optymizm Grabskiego miał się spełnić tylko w części, gdyż kapitał rezerwowy wystarczył zaledwie do końca roku 1925. Nie było to jednak jego winą, gdyż przyczyną szybszego wyczerpania rezerw były z jednej strony tragiczny nieurodzaj, który zahamował eksport płodów rolnych, a z drugiej wojna celna z Niemcami.

W roku 1924 natomiast optymizm Grabskiego znalazł pełne potwierdzenie przy założeniu Banku Polskiego. Jego kapitał zakładowy wynosił 100 milionów złotych w złocie, co odpowiadało takiej samej liczbie franków szwajcarskich w złocie i było jak na owe czasy sumą pokąźną w skali europejskiej, a sumą ogromną jak na możliwości polskie. Rząd liczył się z koniecznością wsparcia akcji subskrypcyjnej w ten sposób, że zakupi tyle akcji Banku Polskiego, ilu nie zdoła wykupić społeczeństwo, z tym tylko, by udział państwa pozostał mniejszy niż 50 %. Tymczasem społeczeństwo zasubskrybowało o kilkanaście milionów więcej niż miał wynosić kapitał zakładowy. Udział poszczególnych warstw i ośrodków w tworzeniu kapitału zakładowego Banku Polskiego był charakterystyczną ilustracją położenia gospodarczego Polski. Mianowicie całe rolnictwo, w którym lub przy którym zatrudnione było prawie 68 % obywateli, mogło wykupić tylko 7 % kapitału zakładowego. Handel wykupił 10 %, banki i instytucje finansowe nieco mniej niż 12 %, a przemysł — 35 %. Natomiast wolne zawody, z którymi w sposób niezbyt szczęśliwy połączono statystycznie tak zwane „sfery pracownicze”, to znaczy i robotników, i urzędników państwowych, wykupiły nieprawdopodobnie wysoką proporcjonalnie liczbę akcji — ponad 23 %. Idąc dzielnicami, ponad jedną czwartą wpłacił były zabór pruski, prawie dwie trzecie zabór rosyjski, w tym większość Warszawa, Zagłębie i okręg przemysłowy łódzki. Udział Galicji wyniósł tylko 10 %.

W tej sytuacji Grabski pozostawił Skarbowi Państwa symboliczny 1 % udziału. Bank Polski tym samym stał się prawdziwą społeczną instytucją emisyjną rządzącą się zasadami ściśle gospodarczymi, a jednocześnie zdolną do wspomagania Skarbu Państwa przez wykup bonów skarbowych, które stanowiły rezerwę na wypadek zachwiania równowagi budżetu państwowego.

Po zrównoważeniu budżetu i założeniu Banku Polskiego zahamowanie inflacji nastąpiło nieomal automatycznie. W ciągu niecałych 4 miesięcy wymieniono marki na złote w stosunku milion 800 tysięcy marek do jednego złotego. Tym samym kurs złotego

ustalił się na rynkach światowych na 5,18 w stosunku do dolara zamiast dotychczasowych 9 milionów 300 tysięcy marek.

Reforma walutowa miała obok zasadniczego znaczenia gospodarczego ogromne znaczenie psychologiczne. Są jeszcze zapewne ludzie, którzy pamiętają radość, gdy otrzymywali kilka sztuk wartościowego bilonu lub nowy banknot dziesięcio- czy dwudziestozłotowy w zamian za stosy pomiętoszonych, wydrukowanych na kiepskim papierze banknotów markowych, kilkakrotnie zresztą przestemplowywanych czarną farbą dla oznaczenia zmiany wartości w pogoni za postępami inflacji.

Wbrew obawom zahamowanie inflacji i stabilizacja waluty nie wywołały normalnego w takich wypadkach objawu, jakim jest zwiększenie bezrobocia. Uległo ono nawet chwilowemu zmniejszeniu, a w lecie 1924 roku ustaliło się na poziomie około 100 tysięcy poszukujących pracy. W znacznej części byli to robotnicy rolni. Zjawisko bezrobocia w tej sytuacji przestawało być naprawdę groźne. Tym bardziej, że nastąpiła od razu stabilizacja cen. Słowo „drożyzna” przestało straszyć ludzi. Zdawano sobie sprawę, że przeprowadzone reformy i poprawa położenia nie oznaczają jeszcze ani dobrobytu, ani całkowitej normalizacji życia gospodarczego w kraju o tak ogromnych potrzebach a tak małych zasobach jakim była Polska. Niemniej pozwalały patrzeć z ufnością w przyszłość.

III

Nastrój powszechnego optymizmu był bardzo poważnym czynnikiem w naprawie położenia gospodarczego Polski. Jak wspomnieliśmy, Grabski nastrój ten umiejętnie podsycił, w przekonaniu, że reformy walutowe i skarbowe dadzą szybkie i doniosłe rezultaty, co z kolei pozwoli na racjonalne planowanie gospodarcze zarówno na szczeblu państwowym, jak i na poszczególnych odcinkach życia gospodarczego.

W szczególności przewidywał Władysław Grabski wzmoczenie produkcji przemysłowej przy pomocy nowych inwestycji. Środków potrzebnych miała dostarczyć w pierwszej fazie akumulacja kapitału we własnym zakresie, to jest siłami społeczeństwa.

Wbrew przekonaniu doradców zagranicznych sposób ten nie był mrzonką, jak przekonano się na przykładzie subskrypcji kapitału zakładowego Banku Polskiego. Jest to przykład najwyraźniejszy, lecz nie jedyny. W ciągu pierwszego półroczu roku 1924 powstawać zaczęły nowe przedsiębiorstwa produkcyjne, a wiele z poprzednio istniejących ożywiło swą działalność. Zaczął się też interesować Polską zagraniczny rynek kredytowy. Na światowym rynku walutowym złoty stanął mocno, na poziomie najmocniejszej waluty na kontynencie europejskim, jaką był frank szwajcarski.

Przedsiębiorstwa państwowe zaczęły przynosić zysk. Grabski zdołał im nadać charakter normalnego przedsiębiorstwa handlowego. Musiały nie tylko pokrywać z własnych dochodów wszystkie wydatki eksploatacyjne, rzeczowe i personalne, lecz również tworzyć własne fundusze amortyzacyjne, a także gromadzić nadwyżki na cele inwestycyjne. Skarb Państwa występował jako właściciel. Mógł udzielać kolejom, poczcie, podobnie jak monopolom, kredytów na inwestycje, względnie mógł ich zdobycie ułatwiać i gwarantować. Domagał się jednak od nich pełnej opłacalności — z tym dodatkowym warunkiem, by ceny za usługi oddawane społeczeństwu były kontrolowane przez państwo. Zapoczątkowany przez Grabskiego system zarządu przedsiębiorstw państwowych w Polsce funkcjonował bardzo sprawnie przez cały okres dwudziestolecia, nawet w złej lub zgoła fatalnej koniunkturze gospodarczej na początku lat trzydziestych. Wzorowa zwłaszcza była poczta państwowa, co było zresztą swego rodzaju unikatem w porównaniu z innymi państwami europejskimi.

W lecie 1924 roku położenie gospodarcze Polski określić już można było jako pomyślne. Tak je oceniano za granicą i tak je oceniano w Polsce. Był to zdumiewający przeskok w porównaniu z sytuacją nieomal tragiczną z końca roku 1923. Niemniej stabilizacja jaką kraj osiągnął była dopiero początkiem trudnej drogi wyprowadzenia Polski z położenia, które w dzisiejszym słowniku określamy jako „zapóźnienie gospodarcze”, chcąc uniknąć określeń prostszych jak „kraj biedny” lub „kraj gospodarczo zacofany”. Pojawiały się już pierwsze oznaki nowych niebezpieczeństw, takich w dodatku, którym zapobiec nie było można. Jednym z nich był nagły spadek cen węgla, skór, drzewa i cukru na rynkach światowych. To znaczy — cen tych towarów, które stanowiły podstawę eksportu polskiego. Odbiło się to fatalnie na bilansie polskiego handlu zagranicznego. W trzecim kwartale roku 1924 deficyt handlowy przekroczył sumę 70 milionów zło-

tych. Nie było to wiele w zestawieniu z obrotami międzynarodowymi całej Europy, lecz było sumą poważną dla Polski, tym bardziej, że stanowiła wzrost o 130 % w porównaniu z kwartałem poprzednim.

Spadkowi cen za towary eksportowe towarzyszyły inne zjawiska, wróżące pogorszenie sytuacji. Należało do nich położenie gospodarcze głównego odbiorcy eksportu polskiego. Były nim Niemcy. Wydobywały się one w sposób bardzo powolny z katastrofalnego położenia, w jakim znalazły się po pierwszej wojnie światowej. 56 % eksportu polskiego szło do Niemiec, w postaci artykułów żywnościowych, a przede wszystkim węgla. W roku 1924 przemysł niemiecki zaczął się ożywiać. Ożywienie to zwiększyć się miało w następnym roku, nie bez pomocy kapitału zagranicznego, zwłaszcza angielskiego i amerykańskiego. Jednocześnie następowała reorganizacja dostaw surowcowych. Węgiel z przypadłej Polsce części Górnego Śląska przestawał być Niemcom niezbędny.

Nie ulegało wątpliwości, że podnoszący się z kryzysu przemysł niemiecki będzie szukał dodatkowej ochrony swych interesów w postaci bariery celnej. Dotychczas obroty Polski, a przede wszystkim polskiego Górnego Śląska, z Rzeszą Niemiecką strzeżone były pomyślną raczej dla Polski konwencją handlową, zawartą na jesieni 1921 roku. Jej termin upływał w lecie 1925 roku. Starania o jej przedłużenie, wszczęte zawczasu, napotykały na opory o charakterze nie tylko gospodarczym, lecz także politycznym. Były one pośrednim rezultatem okrzepnięcia polityki zagranicznej Rzeszy, szukającej sposobów odzyskania pozycji mocarstwowej na arenie europejskiej, z końcowym celem obalenia czy przynajmniej osłabienia systemu wersalskiego i zmiany granic z Polską. Wysiłki te szły z jednej strony ku nawiązaniu współpracy ze Związkiem Sowieckim, z drugiej ku normalizacji stosunków z mocarstwami zachodnimi. Oba kierunki polityki niemieckiej wiązały się z zagadnieniami gospodarczymi i oba godziły w interesy Polski.

Innym niebezpieczeństwem dla normalizacji życia gospodarczego, na które Grabski nic nie mógł poradzić, był katastrofalny nieurodzaj zarówno w roku 1924, jak i w następnym. Przyczyniło się to także do zmniejszenia wpływów z eksportu, gdyż po prostu zabrakło nadwyżki, którą można było sprzedać za granicę, zwłaszcza gdy chodzi o cukier, gdyż nie obrodziły nie tylko zboże i ziemniaki, lecz także buraki. Skutkiem była zwyżka cen żywności, która — rzecz jasna — uderzyła przede wszystkim

w warstwy najbiedniejsze, w miasta i w robotników. Jesienią 1924 roku bezrobocie wzrosło o kilkadziesiąt tysięcy. Zdołano je zahamować, między innymi dzięki odważnej polityce kredytowej większości banków w Polsce. Lecz w miarę pogarszania się bilansu płatniczego walka z bezrobociem stawała się coraz trudniejsza i liczba bezrobotnych w roku 1925 zaczęła wzrastać w sposób niebezpieczny.

Na szczęście jednak nie oznaczało to już całkowitej nędzy tracących pracę. Obowiązywała bowiem ustawa o ubezpieczeniu na wypadek bezrobocia. Jak na owe czasy, należała ona do bardzo postępowych. Była zasługą rządu Grabskiego, co jest tym bardziej godne uwagi, że wytyka mu się często rzekomą skłonność do zaniedbywania interesów świata pracy. Podstawą zarzutów jest zwykle jego stanowisko w sprawie ilości godzin pracy. Rzeczywiście wysuwał postulat zwiększenia wydajności przemysłu, gdy nie można inaczej, w drodze odstępstwa od zasady ośmiodzinnego dnia pracy. Stwierdzał jednak zawsze, iż jest to środek tymczasowy, który stosować należy w nagłych wypadkach. Chodziło tu o wyzyskanie do maksimum chwilowych wahań koniunktury zapotrzebowania na węgiel śląski. Podwyższenie liczby godzin w przemyśle górniczym do dziesięciu bez dodatkowego wynagrodzenia miało — zdaniem Grabskiego — przyczynić się do utworzenia kapitałów inwestycyjnych, które umożliwiłyby modernizację techniczną. Ta zaś z kolei zapewniłaby zwiększenie produkcji i tym samym pozwoliła wrócić do ośmiodzinnego dnia pracy. Na tym stanowisku stanął też specjalny sąd rozjemczy po dwukrotnym strajku górników. Jego orzeczenie górnicy uszanowali. Natomiast tenże sąd rozjemczy nie zgodził się na podwyższenie czasu pracy w hutnictwie, godząc się na zmniejszenie stawek wynagrodzenia.

Arbitraż przeprowadzono także po strajku włókienniczym w Łodzi w listopadzie i grudniu 1924 roku. Sąd rozjemczy odrzucił wniosek rządowy o zamrożenie płac do chwili wzrostu produkcji, która by podwyżkę uzasadniała. Sąd stwierdził, że produkcję wzmoczyć można tylko przy pomocy modernizacji zakładów pracy i przyznał ogólną dziesięcioprocentową podwyżkę w całym przemyśle włókienniczym. Modernizacja natomiast nastąpić miała przy pomocy specjalnego planu inwestycyjnego.

Ustawa o ubezpieczeniu na wypadek bezrobocia po różnych perypetiach i próbach jej rozwodnienia w Senacie została uchwalona w lipcu 1924 roku. Przyznawała zasiłek w wysokości od 30 % do 50 % zarobku na okres 13 tygodni. W grudniu tegoż

roku rząd uznał okres ten za zbyt krótki i otrzymał upoważnienie do przedłużenia go do 39 tygodni.

Ustawa obejmowała wszystkie zakłady przemysłowe i rzemieślnicze zatrudniające ponad 5 pracowników. Rząd przewidywał możliwość zasiłku większego niż 50 %, a także objęcie ustawą robotników rolnych. Na podobnym stanowisku stała Polska Partia Socjalistyczna. Nie poparły jej jednak stronnictwa chłopskie z „Wyzwoleniem” włącznie, co artykuł wstępny w *Robotniku* nazwał „skrytobójczym ciosem”, stawiającym pod znakiem zapytania możliwości sojuszu robotniczo-chłopskiego.

IV

Różnica położenia Polski i Niemiec nie zależała wyłącznie od potencjału gospodarczego obu państw. Na korzyść Niemiec działał także inny czynnik. Było nim przeświadczenie stolic Europy zachodniej, a także londyńskiej City i nowojorskiej Wall Street, że katastrofa gospodarcza w Niemczech może nie tylko zagrozić równowadze gospodarczej całej Europy, lecz także być wstrząsem politycznym zagrażającym pokojowi. Obawiano się z jednej strony rewolucji komunistycznej w Niemczech, a z drugiej obalenia rządów socjalistyczno-liberalnych przez elementy prawicowe o nastawieniu rewizjonistycznym w stosunku do postanowień Traktatu Wersalskiego. Występowały tu zresztą poważne różnice między Paryżem i Londynem. Gdy we Francji obawiano się przede wszystkim wojny odwetowej, a jednocześnie — na bliższą przyszłość — chciano uratować co się da z wymuszonych na Niemczech reparacji wojennych, w Anglii obawiano się najbardziej anarchii wewnętrznej, a także dalszego zacieśnienia współpracy Niemiec ze Związkiem Sowieckim.

Wynikiem tych nastawień było rozluźnienie śruby reparacji wojennych w stosunku do Niemiec oraz pomoc kredytowa, w której wziął także udział Nowy Jork. Pomoc ta wzrastała w miarę pokonywania przez przemysł niemiecki powojennych trudności surowcowych i eksportowych. Taka była gospodarcza podszewka jednocześnie postępujących prób normalizacji stosunków politycznych.

Niemcy otrzymały pożyczkę międzynarodową z jednoczesną modyfikacją systemu spłat reparacji wojennych, które zgodnie z tak zwanym planem Dawesa odpowiadać miały konkretnym możliwościom płatniczym skarbu Rzeszy. Były więc w praktyce radykalnym ich obcięciem. W tymże roku 1925 wojska francuskie i belgijskie opuściły Ruhrę, okupowaną dotychczas jako gwarancja spłat reparacji. Wojska brytyjskie wycofały się z Niemiec już wcześniej.

Od dwóch już lat w zmieniających się rządach ministrem spraw zagranicznych Niemiec weimarskich był Gustaw Stresemann. W roku 1925 w oparciu o normalizację stosunków gospodarczych z mocarstwami zachodnimi przystąpił on do normalizacji stosunków politycznych. Wynikiem były zawarte na jesieni Traktaty Reńskie. Za cenę gwarancji granic Francji i Belgii Niemcom otwierano drogę do Ligi Narodów i w ogóle na forum polityki międzynarodowej na prawach równorzędnego z Francją i Wielką Brytanią mocarstwa. Jednocześnie, co Stresemann pożytywał sobie za największy triumf, wprowadzano wyraźne rozróżnienie między zasadami utrzymania pokoju na zachodnich i na wschodnich granicach Niemiec. Traktaty Reńskie gwarantowały tylko granice zachodnie Niemiec, nie mówiąc nic o ich granicach wschodnich. Oczywiście nie przekreślały ani postanowień Traktatu Wersalskiego, ani odpowiednich przepisów statutu Ligi Narodów. Lecz wśród nich artykuł dziewiętnasty przewidywał możliwość rewizji granic. Otóż w Locarno Niemcy zrezygnowały z tej możliwości w stosunku do Francji i Belgii, nie rezygnując z niej wobec Polski.

Aleksander Skrzyński, polski minister spraw zagranicznych w gabinecie Grabskiego, zdołał osiągnąć jedynie potwierdzenie ważności postanowień przymierza polsko-francuskiego na wypadek wojny z Niemcami. Była to asekuracja bardzo potrzebna, lecz w sensie politycznym zupełnie niedostateczna, gdyż nie zapobiegała możliwości ciągłej i publicznej dyskusji politycznej nad integralnością terytorium państwowego Polski.

W Sejmie, a także w opinii publicznej nie doceniono fatalnego znaczenia traktatu zawartego w Locarno.

Wniosek Związku Ludowo-Narodowego, zarzucający rządowi uległość wobec obcych państw czy obcych „żywiółów”, a będący w gruncie rzeczy wnioskiem o wotum nieufności, zgłoszono na rok przed podpisaniem układu w Locarno; niewiele miał on wspólnego z linią polityki zagranicznej Skrzyńskiego. Wniosek

ten zresztą przepadł głosami lewicy i centrum. Za wnioskiem głosował dziwny skład posłów: mianowicie cała prawica, wszystkie mniejszości narodowe z wyjątkiem niemieckiej i wszyscy posłowie komuniści lub komunizujący.

Natomiast w październiku 1925 roku debata w Sejmie ograniczyła się tematycznie do sprawy kandydatury Niemiec do Ligi Narodów, co nie wzbudziło nawet ułamka tych namiętności, jakie towarzyszyły dyskusji nad ratyfikacją konkordatu z Watykanem, zawartego na wiosnę 1925 roku.

Ten brak orientacji w zagadnieniach polityki międzynarodowej obciążył poważnie opinię polskiego parlamentu. W mniejszym natomiast stopniu zaciążył na ocenie rządów Grabskiego. Bo właśnie w roku 1925 w uzasadnionym przeświadczeniu, że pierwsza faza reform gospodarczych została ukończona, przystąpił on do realizacji fazy drugiej, która wymagała jak najbardziej ożywionych poczynań na arenie międzynarodowej. Jednocześnie zaś przystąpił do załatwiania szeregu spraw odsuniętych na bok w czasie dokonywania stabilizacji walutowej i skarbowej. Tu wymienimy na pierwszym miejscu ustawy wykonawcze o reformie rolnej i wspomniane już rozszerzenie ustawodawstwa społecznego i ustawodawstwa pracy.

W pierwszym kwartale 1925 roku, jakby pierwsza jaskółka tej drugiej fazy reform gospodarczych, wpływać zaczęły raty pożyczki amerykańskiej, zwanej dillonowską od nazwy nowojorskiego koncernu finansowego, który ją realizował. Została prawie w całości użyta na inwestycje budowlane. Natomiast na opory zaczęły natrafiać starania o kredyty francuskie, a po części także o związane z francuskimi kredytami szwajcarskie i belgijskie. Opory te były wynikiem dwóch przyczyn.

Pierwszą było niezadowolenie banków francuskich z reakcji polskiej na kilka afer finansowych, które stały się czołowym i sensacyjnym tematem dla prasy i codziennych rozmów w Polsce. Znajdowały też swe epilogi w sądach polskich, a jedna, która przeszła do historii pod nazwą „afery żyrardowskiej”, omal że nie doprowadziła do oddania byłego ministra Władysława Kucharskiego przed Trybunał Stanu. Początek tej afery sięgał roku 1919, kiedy chcąc ratować przed bankructwem żyrardowską fabrykę wyrobów lnianych rząd zasiłił ją kredytami w wysokości prawie dwu i pół miliona franków szwajcarskich. Tymczasem grupa finansistów francuskich wykupiła akcje Żyrardowa i zażądała przekazania jej zarządu fabryki. Zgodę swą rząd Ponikowskiego uzależnił od gwarancji utrzymania produkcji i pełnego

zatrudnienia robotników oraz zwrotu inwestowanej sumy. Kucharski po długich pertraktacjach zgodził się na bardzo niekorzystne przerachowanie, w którego wyniku akcjonariusze francuscy zapłacić mieli wszystkiego 17 % pierwotnej sumy. Nie koniec na tym. Dzięki Kucharskiemu otrzymali oni pożyczkę z Pocztowej Kasy Oszczędności właśnie z przeznaczeniem na spłatę owych 17 %. Lecz otrzymali ją w markach, a spłacić mogli we frankach szwajcarskich. W rezultacie oddali Skarbowi Państwa mniej niż jeden procent. Niestety zabrakło w Sejmie kwalifikowanej większości i rozprawa przed Trybunałem Stanu się nie odbyła.

Wśród innych afer, w których główną rolę odegrali Francuzi, najgłośniejsza była sprawa dostaw masek gazowych dla wojska, za którą odpowiedzialność ponosił zastępca szefa administracji armii, zwolniony wówczas z wojska generał Michał Żymierski. Inna afra — „Francopolu”, francusko-polskich zakładów budowy silników lotniczych — przyniosła Skarbowi Państwa straty rzędu kilku milionów złotych.

Lecz ważniejszą niż afery francuskich spekulantów, wykorzystujących naiwność, jeśli nie słabość swych polskich kontrahentów, przyczyną niespodziewanych trudności kredytowych na zachodnioeuropejskim rynku inwestycyjnym było pogorszenie się stosunków handlowych polsko-niemieckich. W czerwcu 1925 roku Niemcy wypowiedziały Polsce wojnę celną, obkładając tym samym ogromnymi opłatami ponad połowę polskiego eksportu. Pozostawało to w oczywistym związku z planami politycznymi, których owocem było Locarno. Niemcy decydowały się na ten krok, mając pewność otrzymania kredytów na Zachodzie. Pewności tej nie miała Polska, a wojna celna z Niemcami zmniejszała jej atrakcyjność jako miejsca dla lokaty kapitału.

W roku 1925 minął termin zobowiązań niemieckich podjętych przy podziale Górnego Śląska, na mocy których Niemcy brały określone kontyngenty węgla polskiego. Umów tych Rzesza nie wznowiła, wprowadzając wysokie cła i to nie tylko na węgiel, lecz i na inne towary polskie. Rząd polski odpowiedział represjami wobec towarów niemieckich. Wojna celna trwać miała szereg lat. Polska, partner gospodarczo słabszy, ponosiła więcej strat niż Niemcy. Rezultatem bezpośrednim był wzrost bezrobocia w Polsce do prawie 300 tysięcy. Lecz z drugiej strony konieczność zmusiła Polskę do szukania nowych rynków zbytu dla swych surowców eksportowych, co było z korzyścią dla jej położenia gospodarczego.

I

Już w lipcu 1925 roku deficyt handlu zagranicznego Polski przekroczył 90 milionów złotych. Zagraniczny rynek kredytowy okazał się oporniejszy w negocjacjach o pożyczki inwestycyjne, co zaznaczyło się wyraźnie już przy drugiej racie pożyczki „dillonowskiej”. Niezbyt pomyślnie układała się też koniunktura dla eksportu płodów rolniczych, drzewa i skór, gdyż nieobecność Polski na rynku w dwóch poprzednich latach — co było skutkiem nieurodzaju — spowodowała pojawienie się silnej konkurencji dostaw południowoamerykańskich oraz wzmożenie produkcji rolnej we Francji i w krajach naddunajskich.

Następne miesiące zapowiadały się więc gorzej, z czego doskonale zdawał sobie sprawę Grabski i co bynajmniej jego energii nie ukróciło, lecz z czego nie zdawał sobie sprawy ani Sejm, ani prasa w swej większości, ani zapewne całe społeczeństwo. Brano więc często skutek za przyczynę, czego dowodem była hałaśliwa reakcja na nieznaczny spadek złotego na światowym rynku walutowym. Reakcja ta była ciekawym zjawiskiem psychologicznym. Szybkość, z jaką Grabski zdołał ustabilizować walutę polską w roku poprzednim, i natychmiastowe zbawienne skutki tej stabilizacji wytworzyły w społeczeństwie przeświadczenie, iż całe życie, cała przyszłość i kraju, i osobista każdego obywatela zależy od kursu, jaki złoty polski ma na rynku zagranicznym. Entuzjazmowi z jakim przyglądano się rozmachowi gospodarczemu, tak różnemu od stagnacji poprzednich lat, zaczął nagle towarzyszyć strach, że wszystko to się nagle skończy, bo wartość złotego spadła o kilkanaście czy kilkadziesiąt groszy w stosunku do dolara.

Właściwe przyczyny spadku złotego były rzecz jasna wynikiem ogólnego pogorszenia się koniunktury dla gospodarki polskiej. A to było skutkiem nie tylko złożonych powikłań gospodarczych w Europie, lecz także nowej sytuacji politycznej. Oczywiście były to dopiero chmury na horyzoncie. Katastrofa nie groziła. Niemniej przed polityką polską i przed gospodarką polską wyłaniały się nowe problemy, bardzo trudne, którym należało stawić czoła. Wymagało to działania długofalowego, na co Grabski, jak wynika z jego zachowania, był przygotowany. Zdawał sobie sprawę, że powstała konieczność zwolnienia tempa dalszych

reform gospodarczych. Jako mąż stanu miał świadomość, że nie można już odwlekać załatwienia tych wszystkich problemów wewnętrznych, które Polskę osłabiały politycznie. Dotychczas — jak sam to przyznał w swej książce pod tytułem „Dwa lata” — celowo i świadomie odkładał na dalszy plan wszystko, co nie wiązało się bezpośrednio ze stabilizacją waluty i uzdrowieniem skarbu. Nie tylko dlatego, że sprawy te miały absolutny priorytet przed każdą inną, lecz i dlatego, że swego rodzaju zawieszenie broni między stronnictwami zapewniało mu poparcie w Sejmie wyłącznie w sprawach gospodarczych. O specjalnych pełnomocnictwach sejmowych mowy być nie mogło w sprawach innych. Nie mogło być też nawet mowy o uzgodnieniu stanowiska w łonie rządu złożonego po części z fachowców, a po części z przedstawicieli zupełnie sprzecznych kierunków politycznych.

Dla przeprowadzenia reformy rolnej, ułożenia stosunków z mniejszościami narodowymi, uzdrowienia administracji na ziemiach na wschód od Bugu, dla reformy szkolnictwa, a nawet dla usprawnienia walki z działalnością wywrotową i sabotażową kierowaną z Moskwy Grabski musiał rząd swój przekształcić z „fachowo-gospodarczego” w „fachowo-polityczny”, i tym samym zapewnić sobie stałą większość w Sejmie. Wierzył, że uda mu się to osiągnąć, między innymi w oparciu o osobistą popularność jako człowieka, który nie zawiódł zaufania na odcinku spraw gospodarczych.

I właśnie w lecie 1925 roku zdawał się po kilku mniej lub więcej szczęśliwych próbach bliski tego celu. Był na drodze do zbudowania w Sejmie stałej większości, gotowej do udzielenia mu poparcia także w innych niż gospodarcze sprawach. Co ciekawsze, udało mu się szczęśliwie uniknąć zbyt wyraźnego związania z którymś ze stronnictw. Nie chciał ani sojuszu lewicowo-centrowego, ani prawicowo-centrowego. Z dużą konsekwencją dobierał sobie członków rządu w ten sposób, by żadne stronnictwo nie miało przewagi, chociażby tylko ilościowej.

Niemniej każde ze stronnictw lub prawie każde czuło się w jakiś sposób związane z tym typowo bezpartyjnym rządem. Dzięki temu w głosowaniach sejmowych większość opowiadająca się za rządem zaskakiwała często swym składem. Na przykład w maju 1925 roku przy głosowaniu nad wotum zaufania przeciwko rządowi głosowały tylko „Wyzwolenie” i mniejszości narodowe. W innych wypadkach poparcia rządowi udzielały skrajna prawica i PPS, a często właśnie posłowie z ław mniejszości.

Najbardziej krytykowano Grabskiego za wciągnięcie do rządu

dwóch ludzi o zupełnie skrajnych poglądach politycznych i zlecenie im szczególnie ważnych funkcji. Jednym był Stanisław Thugutt, naturalny jak gdyby przywódca lewicy chłopskiej, drugim brat premiera Stanisław Grabski, cieszący się zaufaniem endecji i Chrześcijańskiej Demokracji. Stanisław Grabski został ministrem oświaty, Thugutt był ministrem bez teki, z tym że objął kierownictwo specjalnego komitetu w łonie rządu, nazwanego „komitetem dla spraw kresowych”. Jego zadaniem było ułożenie stosunków z mniejszościami narodowymi, przede wszystkim słowiańskimi. Thugutt był przedstawicielem jak najbardziej liberalnej linii, zwolennikiem pełnej autonomii kulturalnej i samorządu województw zamieszkałych w większości przez Ukraińców czy Białorusinów. Natomiast Stanisław Grabski reprezentował koncepcje asymilacyjne. Jako minister oświaty zmienił system szkolnictwa w trzech województwach Małopolski Wschodniej i jego dziełem były tak zwane szkoły „utrakwistyczne” czyli dwujęzyczne polsko-ukraińskie. Zapisały się one jak najfatalniej w pamięci ludności ukraińskiej. W rzeczywistości więc dwaj ludzie zajmujący się problemami mniejszości narodowych należeli do dwóch całkowicie przeciwnych kierunków myślenia i rzecz jasna ani razem, ani z osobna niczego pozytywnego zdziałać nie mogli. W końcu maja 1925 roku Thugutt z rządu ustąpił i politykę mniejszościową przejął sam Stanisław Grabski, co dało asumpt do złośliwych dowcipów, że Polską rządzi „Kastor i Poluks”, to jest dwaj bracia Grabscy.

W rzeczywistości jednak wcale tak nie było. Władysław Grabski był w dalszym ciągu premierem w pełnym tego słowa znaczeniu i — co ciekawsze — pomimo ustąpienia Thugutta był na dobrej drodze do rozszerzenia zasady fachowości na całość zagadnień politycznych w oparciu o powodzenie w dziedzinie gospodarczej. Byłoby to rozwiązanie idealne w sytuacji, która nie pozwalała żadnemu stronnictwu ani porozumieniu stronnictw zapewnić sobie stałej i dostatecznie dużej większości w Sejmie. Grabski chciał utrwalić zasadę, że skład rządu powinien być dobierany pod kątem fachowości, podczas gdy kontrolujący rząd parlament pozostałby instytucją polityczną. O zmianie rządu decydowałyby wyniki jego pracy, a nie przesunięcia w składzie koalicji parlamentarnej.

Najlepiej może charakteryzował metodę działania Grabskiego artykuł Feliksa Perla w *Robotniku*: „Do rządu pana Grabskiego żadne stronnictwo nie ma szczególnego nabożeństwa. Ale też żadne stronnictwo nie ma szczególnej ochoty obalenia go”.

Odpowiedź Grabskiego na wojnę celną wypowiedzianą przez

Niemcy objęła obcięcie importu wielu towarów przemysłowych. Utrudniło to rzecz jasna modernizację przemysłu i spowodowało kłopoty na rynku konsumpcyjnym, lecz dawać zaczęło od razu dobre wyniki gdy chodzi o bilans płatniczy, który udało się zrównoważyć w ciągu kilku miesięcy. Zainteresowało też Polską przemysł belgijski i francuski, a po części nawet angielski. Podtrzymaniem zachwianego złotego zajął się Bank Polski. Jako zadanie główne Bank Polski przyjął oczywiście zahamowanie odpływu dewiz z Polski, co chciał osiągnąć przez kontrolę i reglamentację. Wobec braku dewiz handel zaczął pokrywać część swych zobowiązań w złotych, co zwiększyło ich liczbę za granicą i tym samym znowu obniżyło kurs. Prezes Banku Polskiego nie obawiał się spadku kursu złotego i nie spieszył się z wykupywaniem waluty polskiej na giełdach zagranicznych. W ocenie Grabskiego polityka taka przedstawiała zbyt wiele niebezpieczeństw. Chodziło mu przede wszystkim o utrzymanie dobrej opinii o walucie polskiej nie tyle może za granicą, ile w kraju. Zdawał sobie sprawę, że stabilizacja złotego jest podstawą zaufania społeczeństwa do rządu i tym samym warunkiem powodzenia planów dalszych reform.

Zaczęła się więc swego rodzaju wojna nerwów między rządem i Bankiem Polskim. Bank Polski bronił zapasu dewiz — Grabski bronił złotego. Bank Polski poszedł na ustępstwa, lecz tylko do pewnej granicy. W październiku 1925 roku kurs ustalił się na 5 złotych 98 groszach za dolara. W porównaniu z parytetem 5 złotych i 18 groszy spadek nie był duży. Wystarczył jednak na to, by osłabić w społeczeństwie popularność Grabskiego, co znalazło natychmiast swój wyraz w postawie stronnictw sejmowych. Zaczęto wołać na ławach poselskich, że skoro Grabski chce, by rząd oceniać według wyników, według stopnia jego fachowości, to wyniki są złe i stąd fachowość niedostateczna. W listopadzie Bank Polski odmówił dalszego uszczuplania zapasu dewiz na podtrzymywanie kursu złotego. Grabski ze swej strony twierdził, że jego spadek powyżej 6 złotych za dolara jest niedopuszczalny.

13 listopada 1925 roku, po prawie dwuletnich rządach, gabinet Władysława Grabskiego podał się do dymisji. Była to decyzja dla państwa fatalna, jak wykazać miały już następne miesiące. W dodatku dla dużej części społeczeństwa zupełnie niezrozumiała. Grabski stwierdził, że obaliła go podwójna opozycja: Banku Polskiego i Sejmu.

Tak też było w istocie. Z tym wszakże, że gdyby i w Sejmie i w społeczeństwie trzeźwiej i spokojniej patrzano na zagadnienia

gospodarcze, gdyby je po prostu lepiej rozumiano, nie nastąpiłby kryzys zaufania w stosunku do najlepszego ekonomisty wśród polityków polskich, jakim był Władysław Grabski.

Określenie użyte przez niego było w każdym razie błyskotliwe i prasa europejska komentowała je przez kilka tygodni jako swego rodzaju sensację polityczną. Niektóre komentarze zagraniczne wyrażały się przy tym pochlebnie o stosunkach w Polsce, biorąc przegraną popularnego przecież premiera w sporze ze stworzoną przez niego instytucją emisyjną za dowód dojrzałości politycznej. Dojrzałość ta wyrażać się miała podporządkowaniem życia politycznego kraju wymogom gospodarczym.

Jeśli nawet w poglądach tego rodzaju było trochę przesady, to jednak w swej istocie obrazowały nieźle nastroje dużej części społeczeństwa polskiego. Od chwili zachwiania się kursu waluty złotowej na rynkach światowych rządy Grabskiego rzeczywiście zaczęły napotykać na coraz większe przeszkody. Przyczyny tego należały wszystkie do rzędu tak zwanych dzisiaj „przyczyn obiektywnych”. A więc nie były wynikiem błędów popełnionych przez Grabskiego. Przeciwnie — zdołał on skutecznie przeciwstawić się niekorzystnej lub zgoła Polsce nieprzyjaznej koniunkturze gospodarczej, która zahamowała w połowie lata wykonanie drugiej fazy jego dalekosiężnych planów reform. W szczególności nie dał się zastraszyć wypowiedzeniem wojny celnej przez Niemcy ani niechęcią finansjery londyńskiej czy paryskiej. Podpierał też kurs złotego, gdyż zdawał sobie sprawę, że społeczeństwo uczyniło ze swej nowej waluty swego rodzaju fetysz.

Było to rzecz jasna przekonanie raczej naiwne, lecz Grabski się z nim liczył, wiedząc, że autorytet rządu i powodzenie reform zależą od nastrojów społeczeństwa. Nastroje zaś łatwo mogły z entuzjazmu i optymizmu, jaki towarzyszył zadziwiającej poprawie położenia gospodarczego, przemienić się w panikę przy każdym bodaj wstrząsie lub większej trudności.

Tyle jako wyjaśnienie faktu, że rząd Grabskiego po dwóch latach bardzo owocnej pracy ustąpił. Błędem jednak byłoby przyjąć bez zastrzeżeń tę część oświadczenia ustępującego premiera, w której twierdził, że obok opozycji Banku Polskiego obaliła go opozycja sejmowa. Przede wszystkim dlatego, że między fluktuacjami nastrojów sejmowych a polityką finansową Banku nie było żadnego związku. W debatach sejmowych sprawy gospodarcze pojawiały się nieomal marginesowo, a w każdym razie nie znajdujemy w nich poważnej analizy sytuacji gospodarczej. Lecz znajdujemy odbicie nastrojów społeczeństwa, bojącego się panicz-

nie spadku złotego z jednej strony, a z drugiej biorącego często skutek za przyczynę.

Jak wiemy, wszystko co Grabski zdołał osiągnąć było wynikiem jego niezwykle zręcznej taktyki w Sejmie. Przez dwa lata stawiano tam sprawę jasno: pełnomocnictwa i poparcie rząd otrzymuje pod warunkiem wykazania się wynikami. Dopóki wyniki były świetne, Sejm jako całość nie ważył się utrudniać Grabskiemu pracy, co było zresztą także cichym przyznaniem, że ani ogół posłów, ani kierownictwa poszczególnych stronnictw nie czują się po prostu na siłach przeciwstawić koncepcjom Grabskiego jakiegokolwiek alternatywy gospodarczej, a nawet nie są w stanie w sposób rzeczowy nad nimi dyskutować.

Podobnie jednak jak w nastrojach społeczeństwa, w nastrojach Sejmu sytuacja uległa zmianie, gdy zamiast błyskotliwych sukcesów zaczęły się pojawiać trudności. Nie chciano (czy bano się?) przyznać Grabskiemu nowych pełnomocnictw, nie wierząc, że trudności są chwilowe i że zdoła je opanować. W ostatnich tygodniach swych rządów Grabski miał pełne poparcie tylko w PPS i w Chrześcijańskiej Demokracji. Związek Ludowo-Narodowy gotów był za nim głosować, lecz pod coraz innymi i coraz trudniejszymi do przyjęcia warunkami. Grabski uznał sytuację za zbyt trudną i ustąpił. Był zresztą całkowicie wyczerpany pracą, do czego się przyznawał. Wiedział też, że traci autorytet w społeczeństwie, co jako trzeźwy polityk przyjmował do wiadomości. Nie wdając się w jałowe tłumaczenia stwierdzał wobec dziennikarzy, że po prostu „rząd bez autorytetu nie sprosta zadaniom”.

Zadania zaś były ciągle ogromne. Z jednej strony trzeba było pracować nad dalszym uzdrawianiem gospodarki kraju, bo to co Grabski dotychczas osiągnął, choć w rozmiarach swych i znaczeniu imponujące, było dopiero pierwszym krokiem do właściwych reform. Rozbudowa przemysłu, rozbudowa wielokierunkowa i kompleksowa, była zadaniem najpierwszym. Rzecz jasna, że wiązała się z całym szeregiem zagadnień społecznych. Tu kierunek był wytyczony przez ustawodawstwo społeczne i ustawodawstwo pracy, ciągle ulepszane i poszerzane od pierwszych chwil niepodległości. Produkcja przemysłowa przekroczyła już w roku 1924 wskaźniki przedwojenne, co było dowodem prężności państwa i wartości świata pracy. Odbudowa zniszczeń wojennych i skutków celowej dewastacji dokonanej przez okupanta w Polsce centralnej — to jest Kongresówce — została już dokonana, zarówno w budynkach, jak i w wyposażeniu maszynowym. Zrobiono też niejedno w zakresie renowacji maszyn, a jeszcze więcej w dziedzi-

nie komunikacji kolejowej. Niezadługo Gdynia, nowy port nad Bałtykiem, przestanie być tylko środkiem nacisku na niechętny Polsce Gdańsk, lecz wejdzie w fazę wykonawczą.

gorzej było w budownictwie mieszkaniowym w rosnących w ludność miastach — przede wszystkim w Łodzi i Warszawie. Ciągłe otwarta pozostawała sprawa reformy rolnej — zagadnienie zarówno gospodarcze, jak i społeczne, gdzie dotychczas osiągnięto bardzo mało pomimo dawno już uchwalonych zasad, ciągle czekających na kompleksowe ustawy wykonawcze.

Także upowszechnienie oświaty, zwłaszcza na odcinku szkolnictwa podstawowego, wymagało jeszcze ogromnej pracy i kosztów. Zrobiono bardzo wiele. Analfabetyzm się cofał i przybyszało szkół, także średnich i wyższych. Ale nie wyczerpywała się na tym lista potrzeb i spraw wymagających pilnego wglądu i załatwienia. Sprawa bezpieczeństwa publicznego była jedną z nich. Wojenna i powojenna anarchia w codziennym życiu została szybko opanowana na ziemiach rdzennie polskich. W Poznańskim czy na Pomorzu nie rozwinęła się zresztą wcale. Inaczej było na Kresach Wschodnich. Nie zdołano tam jeszcze opanować zwykłego bandytyzmu ani wdrożyć podstawowych zasad praworządności, lecz na tym problem się nie kończył, gdyż anarchicznym stosunkom sprzyjała bierna postawa części miejscowej ludności, do Polski i do Polaków nastawionej jeśli nie wrogo, to w najlepszym razie wyczekująco. Zagadnienie polityki mniejszościowej nie doczekało się żadnej rozsądnej próby rozwiązania, pomimo powołania specjalnej komisji rządowej pod przewodnictwem Thugutta.

Stan wrzenia, niepokoju i anarchii podtrzymywała i podniecała spoza długiej granicy Rosja komunistyczna i na jej zlecenie komuniści białoruscy, ukraińscy i żydowscy, przy pełnym poparciu komunistów polskich. Wyprawy partyzanckie dowodzone przez sowieckich oficerów straży granicznej wyruszały spod Mińska aż pod Grodno czy Brześć, pożary, morderstwa i akty sabotażu były zjawiskiem codziennym. Położyło im kres utworzenie w 1924 roku Korpusu Ochrony Pogranicza, formacji wojskowej, która zastąpiła cywilną straż graniczną. W roku 1925 okres zamachów bombowych, sabotaży i morderstw politycznych dobiegał już końca dzięki energicznemu przeciwdziałaniu i absolutnemu brakowi poparcia dla komunistów ze strony całego społeczeństwa, lecz pamięć o nich była żywa, a niebezpieczeństwo ciągle aktualne.

Grabski, ustępując po dwóch latach rządów sprawowanych pod hasłem pierwszeństwa spraw gospodarczych przed wszystki-

mi innymi, zdawał sobie sprawę, że owo „wszystko inne” dłużej na załatwienie czekać nie może. Czy zdawał sobie z tego sprawę Sejm?

Zapewne tak. Co więcej, zniecierpliwienie Grabskim łączyło się na ławach poselskich z przekonaniem, że polityczne „zawieszenie broni” podyktowane pilnością spraw gospodarczych trwa już zbyt długo. Sejm chciał działać. Argument fachowości przestał wywierać wpływ na wyobraźnię polityczną. Niestety będzie na tym polegało, że poszczególne stronnictwa nie miały dla „fachowości” Grabskiego alternatywy, która mogłaby zdobyć poparcie większości.

II

Reformy gospodarcze Władysława Grabskiego nie zamieniły oczywiście kraju biednego, jakim była Polska, w kraj bogaty. Dały jednak realne podstawy pod planowy i racjonalny proces powolnego postępu gospodarczego. Jego zależność od koniunktury międzynarodowych w połączeniu z wadliwą bazą gospodarczą pozostawioną przez zaborców utrudniała kapitalizację nieodzowną dla racjonalnej polityki inwestycyjnej. Zmiana tego stanu rzeczy wymagała czegoś więcej niż reformy walutowej i skarbowej. Niemniej bez tej reformy jakakolwiek poprawa i jakiekolwiek planowanie byłyby w ogóle niemożliwe. Stąd doniosłość reform i stąd ogromna zasługa Grabskiego i niezbyt licznych jego pomocników.

„SEJMOWŁADZTWO”

Określenie „sejmowładztwo” lub „sejmokracja”, którym obejmuje się niekiedy okres pierwszych sześciu czy siedmiu lat istnienia niepodległego państwa polskiego, w rzeczywistości zastosować można tylko do kilku miesięcy między upadkiem rządu Władysława Grabskiego i zamachem stanu dokonany przez Mar-

szafka Piłsudskiego. A zatem jest to czas między połową listopada 1925 a połową maja 1926 roku. W tym okresie bowiem Sejm istotnie przejął całe kierownictwo spraw państwowych. Oczywiście formalnie istniała w dalszym ciągu zasada podziału władz między ustawodawczą i wykonawczą, którą sprawował też rząd powołany przez prezydenta Rzeczypospolitej. Układ rzeczywistych sił politycznych w Sejmie powodował jednak stan permanentnej jak gdyby konsultacji między rządem a stronnictwami sejmowymi, co znajdowało nawet zewnętrzny wyraz w powtarzających się konferencjach członków rządu z marszałkiem Sejmu Maciejem Ratajem. Jako człowiek i jako mąż stanu był Rataj postacią bardzo wybitną, o dużej indywidualności, a równocześnie o ogromnym poczuciu odpowiedzialności. Sam też uważał ten stan rzeczy za nienormalny i nie dążył bynajmniej do wywierania bezpośredniego wpływu na prace rządu. Musiał jednak kilkakrotnie występować z jednej strony jako mediator między poszczególnymi członkami rządu należącymi do różnych partii politycznych, a z drugiej jako swego rodzaju rzeczoznawca mogący określić, na jaką większość i na jaką reakcję ten czy inny projekt rządowy może liczyć w Sejmie.

Po ustąpieniu Grabskiego prezydent Wojciechowski zlecił misję utworzenia rządu Aleksandrowi Skrzyńskiemu. Zachował on swą dotychczasową tekę ministra spraw zagranicznych. Był w osobistych poglądach zbliżony do prawicy, choć nie należał do żadnego stronnictwa. Na polu polityki zagranicznej mógł się pochwalić kilkoma dobrymi rezultatami, wśród których warto wymienić ostateczne uznanie wschodnich granic Polski przez mocarstwa dawniej sprzymierzone, zdobycie dość mocnej pozycji dla Polski na forum Ligi Narodów i zawarcie kontrowersyjnego zresztą konkordatu z Watykanem, który regulował stosunki kościelne po myśli większości społeczeństwa. Natomiast nie osiągnął Skrzyński sukcesu na polu wielkiej polityki międzynarodowej, gdyż nie zdołał zapobiec zawarciu Traktatów Lokarneskich ani nawet w sposób dostateczny zabezpieczyć interesów Polski.

Powstała tym samym sytuacja nowa, dla Polski bardzo niebezpieczna, zwłaszcza wobec możliwości rozwinięcia się gospodarczej współpracy między Niemcami a Związkiem Sowieckim w zbliżenie polityczne z odległą co prawda w czasie, lecz groźną perspektywą sojuszu wojskowego. Był to też jeden z istotnych elementów, który miał wkrótce przeważać wahania Józefa Piłsudskiego, skłaniając go do sięgnięcia po władzę w drodze zamachu stanu. Obawy Piłsudskiego podzielała w dużej mierze lewica z Polską Partią Socjalistyczną na czele. Tak więc zagad-

nienia międzynarodowe — sprawa bezpieczeństwa Polski na tle nowego układu stosunków w Europie — zaważyły w dużym stopniu na przebiegu wydarzeń w roku 1926.

Ze sprawą bezpieczeństwa wiązała się sprawa obronności kraju — mówiąc inaczej, sprawa wojska. Piłsudski obawiał się, że poddanie sił zbrojnych wpływom fluktuacji politycznych nie tylko obniży z czasem ich autorytet w społeczeństwie, lecz także może mieć złe skutki dla ich wartości bojowej. Odsunawszy się od życia politycznego w roku 1923, Piłsudski nie rezygnował z prób wyodrębnienia wojska spod wpływu zmieniających się rządów i zmieniających się układów partyjnych w parlamencie. Wszystkie te próby, odbywające się przy akompaniamencie rozgrywek osobistych prowadzonych przeciwko niemu, lecz także przez niego, nie dały żadnego pozytywnego rezultatu. W rzeczywistości więc u końca roku 1925 prawica sejmowa i prasa prawicowa nie bez racji twierdzić mogły, że postać Piłsudskiego przeszła już raz na zawsze do historii i że on sam nie stanowi żadnej siły politycznej. Dość lapidarnie określił to Herman Lieberman przy okazji dyskusji nad zbudowaniem w Warszawie pomnika, którym był Grób Nieznanego Żołnierza. „Panowie — wołał — chcą przy okazji zająć się także grobem dla jednego bardzo dobrze znanego żołnierza”.

Stało się zupełnie inaczej. Piłsudski w ciągu kilku miesięcy zimowych 1926 roku stał się postacią centralną w życiu politycznym kraju. Skrystalizował się też pozaparlamentarny ruch opozycyjny przeciwko rządowi koalicji sejmowej.

Rząd Aleksandra Skrzyńskiego był koalicją pięciu stronnictw: wchodził do niego przedstawiciele Związku Ludowo-Narodowego, Chrześcijańskiej Demokracji, Narodowej Partii Robotniczej, „Piasta” i Polskiej Partii Socjalistycznej. Był to więc wachlarz poglądowy bardzo szeroki, zasługujący w pełni na miano wielkiej koalicji. W rządzie zarezerwowano także miejsce dla lewicowego stronnictwa ludowego jakim było „Wyzwolenie”. „Wyzwolenie” do rządu jednak nie weszło, choć udzielało mu poparcia. Udział PPS w jednym rządzie ze skrajną prawicą uzasadniała specjalna deklaracja: „Wchodzimy do rządu, aby ratować państwo i klasę pracującą od katastrofy grożącej życiu gospodarczemu narodowi, gdyż stan ten grozi społeczeństwu ruiną i osłabieniem, mogącym spowodować upadek demokracji polskiej i w ślad za tym upadek państwa”. Deklaracja ta była w zgodzie z postanowieniami dwudziestego Kongresu PPS, odbytego przed niespełna dwoma laty, kiedy to socjaliści polscy postanowili brać czynny udział w rządzie, ilekroć wymagać tego będzie przeciwdziałanie niezgodnym

z interesami świata pracy tendencjom stronnictw prawicowych. Skrzyński w swym *exposé* sejmowym stwierdzał, że tworzy „rząd zgody, łagodzenia konfliktów i zmniejszania tarć”. Mówił też, że rząd w planowaniu swym będzie posługiwał się rozsądkiem i że będzie uwzględniał poglądy wszystkich stronnictw, które go popierają. Dodawał, że stronnictwa robotnicze — chodziło tu o PPS i NPR — nie rezygnują wchodząc do rządu ze zdobyczy socjalnych.

Już tego rodzaju górnolotne raczej oświadczenia budzić musiały wątpliwości co do praktycznej strony programu rządowego. Jeszcze więcej wątpliwości wzbudzał fakt, że programu takiego rząd właściwie nie przedłożył, tłumacząc przed Sejmem każde kolejne swoje pociągnięcie, często w oderwaniu od poprzedniego. Fatalnie zaciążył na tym okresie fakt przeceniania rzekomego zagrożenia osiągniętej przez Grabskiego stabilizacji gospodarczej. Rolę decydującą odgrywał tu pogarszający się nadal stosunek złotego do dolara na walutowych rynkach międzynarodowych. Całe społeczeństwo, nie wdając się w jakąkolwiek logiczną analizę, przyjmowało z radością każde polepszenie kursu złotego na giełdach światowych o kilka punktów, gdy z drugiej strony każdy spadek kursu wywoływał nastrój zbliżony do paniki. Oczywiście okres był dość trudny, lecz jedynym rzeczywiście skutecznym planem gospodarczym mogło być kontynuowanie rozpoczętej przez Władysława Grabskiego polityki reform gospodarczych. A więc inwestycji w przemyśle bez zbytniego oglądania się na stan rezerw dewizowych oraz jak najszybszego wprowadzenia w życie uchwalonej wreszcie w listopadzie 1925 roku ustawy wykonawczej o reformie rolnej. Rząd Skrzyńskiego zapowiedział wykonanie tej reformy. Jednocześnie jednak ograniczył swą działalność gospodarczą do planu jak najdalej posuniętych oszczędności, czyli inaczej mówiąc do ratowania skarbu i budżetu państwowego przed deficytem. Głównym rzecznikiem tej polityki był minister skarbu, działacz Narodowej Demokracji Jerzy Zdziechowski. Wprowadził on między innymi ograniczenia eksportu żywności, chcąc w ten sposób zapobiec wzrostowi cen na rynku wewnętrznym. Wprowadził dalej obniżenie zarobków urzędniczych o 4 % do 6 %, z ważnością na jeden kwartał. I wreszcie krok niczym nieuzasadniony — dla usprawnienia ściągania zaległych podatków pozwolił na płacenie ich w naturze, przez rolnictwo w zbożu, a przez kopalnie na Górnym Śląsku i w Zagłębiu w węglu. Nie starczyło czasu na przekonanie się o skuteczności tego rodzaju pomysłów. Nie starczyło czasu dlatego, że już w marcu 1926 roku Zdziechowski zaproponował podwyższenie wszystkich po-

datków — z wyjątkiem majątkowego — o 10 %, podwyższenie cen spirytusu i tytoniu oraz obłożenie specjalnymi podatkami gazu, elektryczności i nafty. Pamiętać warto, że nafta ówczesnie dostarczała oświetlenia w co najmniej 70 % domów mieszkalnych w Polsce. Idąc dalej Zdziechowski proponował względnie żądał od Sejmu uchwalenia dalszej obniżki płac urzędniczych o 5 %, obniżenia emerytur i uposażenia inwalidów wojennych, zmniejszenia zasiłków dla bezrobotnych i poważnych redukcji w przedsiębiorstwach państwowych, przede wszystkim na kolejach.

Ten zamiysł Zdziechowskiego spowodował rzecz jasna wystąpienie w połowie kwietnia Polskiej Partii Socjalistycznej z koalicji rządowej. Pozostałe w koalicji stronnictwa dysponowały w dalszym ciągu większością w Sejmie, z tym jednak, że większość ta miała już charakter centrowo-prawicowy. Rząd, przy dużych zresztą oporach prezydenta Wojciechowskiego, utworzony został 10 maja.

12 maja Piłsudski opuścił Sulejówkę i stanąwszy na czele części oddanych sobie oddziałów wojskowych ruszył na Warszawę.

Wobec takiego rozwoju wypadków nie mamy sprawdzianu, czy rząd wyłoniony z poparciem większości parlamentu wyprowadziłby Polskę z trudnej sytuacji gospodarczej, nie tak jednak trudnej, by mogła grozić katastrofą. Niebezpieczniejsze, jak się zdaje, było położenie społeczno-polityczne, a to z tego przede wszystkim względu, że w społeczeństwie panowało zniecierpliwienie rozbiciem Sejmu na tak dużą liczbę stronnictw, z których żadne nie mogło zdobyć większości, także w następnych wyborach. Były więc tendencje do dokonania reformy ustroju, i to nie tylko wśród zwolenników Piłsudskiego, których w ogromnej większości określić można jako lewe skrzydło poglądowe społeczeństwa polskiego. Tendencje tego rodzaju istniały także na prawicy. Już w roku 1924, bez większego zresztą trudu, władze państwowe zlikwidowały kilka organizacji o charakterze tajnym, które w swym programie działania miały narzucenie Polsce ustroju określanego ogólnie jako narodowy, czyli w gruncie rzeczy skrajnie prawicowy. Jednym z takich sprzysiężeń była organizacja, której przewodził niejaki Pękosiński, postać raczej anegdotyczna.

Niewątpliwie jedną wielką indywidualnością obok Piłsudskiego był wówczas w Polsce Wincenty Witos. Jego niepowodzenia nie wynikały ani z braku rozsądku, ani tym mniej z braku patriotyzmu, lecz były pochodną całego szeregu okoliczności, wśród których najważniejszą było rozbicie najliczniejszej war-

stwy społeczeństwa, jaką stanowili chłopci. Witos dążył do stworzenia prawdziwej siły chłopskiej i na niej chciał oprzeć rządy w państwie. Lecz szukając sojuszników znajdował ich z reguły na prawicy, co nie odpowiadało ani przekonaniom, ani interesom świata pracy, w którym obok klasy robotniczej poważną pozycję zajmowała bezrolna ludność wiejska.

5 maja ustąpił premier Skrzyński. Zaczęły się gorączkowe próby znalezienia rozwiązania kompromisowego, podejmowane przez marszałka Sejmu Rataja i prezydenta Wojciechowskiego. Ku temu rozwiązaniu zresztą zarówno Rataj jak i Wojciechowski dążyli już od dość dawna. Rataj opowiadał się za stworzeniem rządu, jak go określał, „silnych i znanych indywidualności”, a więc rządu pozaparlamentarnego, z tym, że obiecywał swą pomoc w zapewnieniu takiemu rządowi potrzebnej większości w Sejmie, nawet gdyby przyszło ją tworzyć od przypadku do przypadku. Było to w gruncie rzeczy powtórzenie koncepcji rządu Grabskiego, z tym jednak, że Rataj przewidywał udział Piłsudskiego w proponowanym przez siebie rządzie.

Nie ulega wątpliwości, że zarówno dla swych oddanych zwolenników jak i dla swych zaciętych wrogów Piłsudski był największą z ówczesnie żyjących indywidualności w Polsce. Dla lewicy polskiej, a pod tym mianem należy rozumieć w Sejmie PPS i stronnictwa chłopskie z wyjątkiem „Piasta”, pozostawał przez okres swego, jak wówczas mówiono, „wygnania w Sulejówek” symbolem wielu nadziei, a przede wszystkim symbolem oporu przeciwko ideologii prawicowej, nazywanej niezbyt zresztą słusznie i w dużym skrócie ideologią „endecą”. Ten sam pogląd podzielała duża część społeczeństwa, niezwiązana formalnie z żadnym stronnictwem, lecz pielęgnująca pamięć wielkich zasług Piłsudskiego. W rzeczywistości od chwili odzyskania niepodległości Piłsudski nie wypowiadał się po stronie żadnego ruchu politycznego i nie zabierał głosu na temat problemów społecznych czy gospodarczych. Niemniej jego nazwisko nie schodziło ani z łamów prasy, ani z rozmów, padało często w Sejmie, budziło namiętne kontrowersje, niekiedy publiczne, a niekiedy utrzymywane w ukryciu. Witos uważał rolę Piłsudskiego za skończoną. Inaczej rozumowało społeczeństwo i na pewno inaczej myślał sam Piłsudski. Wynika to chociażby z faktu, że stale była aktualna sprawa „powrotu Piłsudskiego do wojska”.

Piłsudski nie ukrywał, że na tego rodzaju powrocie mu zależy. Do tej też roli wojskowej chciał zapewne przed rokiem 1926 swoją przyszłą pracę dla państwa ograniczyć. Niewątpliwie zagadnienia obrony państwa były bardzo ważne, a w poło-

zeniu geograficznym i politycznym Polski kto wie czy nie najważniejsze. Lecz poza przesłankami jak najbardziej rzeczowymi w grę wchodziły także emocje, nawyki, tradycje i uprzedzenia. Do roku 1923 Piłsudski przewodniczył jeszcze Ścisłej Radzie Wojennej. Była to instytucja powołana przez niego samego w ramach ogólnej organizacji polskich sił zbrojnych, dekretem z 7 stycznia 1921 roku. Wtedy Piłsudski był jeszcze Naczelnikiem Państwa. Organizację obrony kraju chciał budować w oderwaniu od fluktuacji i sporów parlamentarnych, gdyż uważał ją za sprawę, której nie wolno łączyć z wewnętrzną polityką państwową. Na prawicy, zarówno w Sejmie, jak i poza Sejmem, forsowano myśl zupełnie inną, opartą ściśle na wzorach francuskich. Wojsko miało być podporządkowane czynnikom politycznych bez względu na ich trwałość i konkretną siłę. Podlegać miało ministrowi spraw wojskowych nie tylko w sensie administracyjnym, ale w ogóle pod każdym względem. Stąd tendencja do ograniczania zakresu działania szefa sztabu głównego oraz oficera przewidzianego na naczelnego wodza w razie wojny. Tym oficerem był rzecz jasna Marszałek Piłsudski. Na tym tle doszło między innymi do rozłamu pogładowego między Piłsudskim a Władysławem Sikorskim. Napięcie pogarszały spory personalne i natury uczuciowej. Do nich należała kontrowersja wokół zasług w obmyśleniu planu zwycięstwa w roku 1920, dalej nieprzyjemny spór o rolę wojenną generała Szeptyckiego, wreszcie zarzuty jakie Piłsudski formułował pod adresem generałów Stanisława i Józefa Hallerów. Zarzuty te szły daleko, gdyż obejmowały ukrywanie czy zatajanie niektórych dokumentów. W istocie swej był to spór w dużej mierze między różnymi szkołami myślenia wojskowego, przy czym do najbardziej zaciętych przeciwników Piłsudskiego należała starszyzna wojskowa z byłej armii austriackiej.

Wspomnieliśmy o rozejściu się dróg między Piłsudskim a Sikorskim. Warto dodać, że w ciągu kilku lat zmieniło się także nastawienie stronnictw politycznych do Sikorskiego. Gdy obejmował rządy jako premier w tragicznych dniach po zamordowaniu Narutowicza, witały go gwizdy na ławach prawicy sejmowej, a pełnego poparcia udzielała mu lewica. W roku 1926 uważano go już powszechnie za człowieka związanego właśnie z prawicą, a przeciwko jego udziałowi w rządzie protestowała w sposób kategoryczny Polska Partia Socjalistyczna. Tego rodzaju przeobrażenia dotyczyły też tak zasłużonego męża stanu jak Władysław Grabski. Gdy rozpoczynał swe wielkie dzieło reform gospodarczych, lewica traktowała go z najwyższą podejrzliwością, lecz gdy w końcu kwietnia 1926 roku prezydent Wojciechowski

zapropomował właśnie jemu, by ponownie stworzył rząd, katogoryczne *veto* założyła prawica sejmowa.

Nie mniej kontrowersji było wokół postaci Wincentego Witos. W przekonaniu całego społeczeństwa pozostawał wodzem chłopskim, lecz nikt go już nie uważał za zwolennika radykalizmu społecznego. Przeciwnie — wiązano jego nazwisko i plany polityczne z prawicą chadecką. Powołanie go na premiera większość społeczeństwa przyjęła jako zapowiedź wznowienia rządów „Chjeno-Piasta”, co wzbudziło przerażenie wśród robotników, dużej części inteligencji pracującej, chłopów małorolnych i bezrolnej ludności wiejskiej. Lecz obiektywnie stwierdzić trzeba, że przerażeniu tych środowisk towarzyszyła nieukrywana radość wielu innych środowisk, których nie można w czambuł określać jako wyznawców ideologii burżuazyjnej... Prawica i „Piast” miały poparcie znacznej części chłopów, miały poparcie i to prawie zupełnie solidarne w zachodnich połaciach kraju, miały poparcie wśród urzędników państwowych, a także w wojsku.

Tym bardziej, że Witos zapowiadał rządy „twardej ręki” i zerwanie z dotychczasowym chaosem na ławach sejmowych. Szedł dalej. Chciał rewizji konstytucji w kierunku wzmocnienia władzy wykonawczej oraz rozprawienia się z samowolą biurokracji i z nieuczciwością w życiu codziennym, prywatnym i publicznym.

Nie jest ani zbiegiem okoliczności, ani dziwaczną ironią historii, że te same cele w pewnym stopniu przyświecały Piłsudskiemu, choć nie wszystkie przyświecały popierającej go w maju 1926 roku lewicy. Jedynym założeniem politycznym, z którym się Piłsudski zdradzał, między innymi w kilku wywiadach udzielanych przeważnie warszawskiemu *Kurierowi Porannemu* , była konieczność zerwania z „nieprawością” w życiu publicznym, wyśanowania życia państwowego, okiełznania prywaty sejmowej i pozasejmowej — innymi słowy, reforma moralna całego systemu państwowego. Nie wysuwał natomiast żadnych postulatów programowych. W pewnym sensie ten brak konkretnego programu wzmacniał jego pozycję, gdyż każdy jego zwolennik mógł wiązać własne dążenia i nadzieje z jego osobą. Swą krytykę Sejmu i stosunków w państwie wyrażał w sposób gwałtowny — głównie w wywiadach prasowych, które wprowadzały jego przeciwników w osłupienie niezwykle doborem słów, na pewno nie parlamentarnych. Nie mówił, z kim gotów jest współpracować, lecz mówił, z kim pod żadnym pozorem i nigdy współpracować nie będzie. Do tych właśnie ludzi zaliczył Witos. O swym odejściu

od spraw państwowych mówił zawsze, że się od nich musiał odsunąć, bo nie chciał mieć nic wspólnego z moralnymi sprawami — jak się wyrażał — mordu na prezydencie Narutowiczu.

Czy myśl o zamachu stanu jako o jedynym sposobie naprawy położenia dojrzała w umyśle Piłsudskiego w okresie rządów Skrzyńskiego? Zdania są w tym względzie podzielone. Są i tacy, którzy twierdzą, że postanowienie przerwania siłą jałowych sporów partyjnych powziął Piłsudski dopiero na kilka dni przed zamachem, ściślej między 5 i 10 maja, gdy rząd próbowali utworzyć kolejno Witos, Skrzyński, Moraczewski z PPS, Chaciński z centrum, Grabski i znowu Witos, przy czym lewica proponowała też Piłsudskiego na stanowisko premiera. Lecz z drugiej strony wiemy, że rozmowy z zaufanymi wojskowymi przeprowadzał Piłsudski znacznie wcześniej, odmawiając zresztą kilkakrotnie zastosowania siły, gdyż — jak mówił — mogłoby to stanowić zachętę dla każdego w przyszłości. Piłsudski — przynajmniej w tym okresie — stawał też na stanowisku obrony Konstytucji, stwierdzając, że choć jest w jego przekonaniu złą konstytucją, jest jednak podstawą prawa państwowego i jako taką należy ją szanować.

Lecz bez względu na to, kiedy dojrzała w nim myśl zamachu stanu, jego krytyczny stosunek do „sejmowładztwa” nie był dla nikogo tajemnicą, gdyż Piłsudski stale go podkreślał. Punktem naprawdę zwrotnym w jego poglądach było na pewno zamordowanie Narutowicza. Poprzednio, współdziałając jako Naczelnik Państwa z Sejmem Ustawodawczym przez bez mała 4 lata, wykazał duże zdolności taktyczne. Radził sobie z Sejmem złożonym z ludzi bez doświadczenia parlamentarnego i politycznego, ulegającym łatwo demagogii i nie liczącym się często z żadnymi praktycznymi przesłankami czy możliwościami państwowymi. Temu Sejmowi, który powołał właściwie do życia, który uważał za jedyne suwerena w państwie, oddawał przecież władzę w dniu jego zebrania w lutym 1919 roku. Z biegiem czasu wytworzyło się w nim wiele goryczy i zwykłej ludzkiej irytacji w stosunku do Sejmu Ustawodawczego. Później także i na okres jego trwania rozciągać zaczął swój krytycyzm, kulminujący w pogardliwym określeniu „sejmowładztwo”. Lecz do wniosków zdecydowanie ujemnych doszedł dopiero po morderstwie Narutowicza.

We wnioskach tych nie był odosobniony. Podzielała je z nim znaczna część lewicy parlamentarnej, walczącej zażarcie przeciwko sojuszom politycznym prawicy z centrum chłopskim. Lecz lewica inaczej sobie wyobrażała uzdrowienie stosunków w państwie.

Chciała po prostu, by Piłsudski w jakiś sposób powrócił do władzy, lecz żeby oparł się o dotychczasową praktykę sejmową. Piłsudski natomiast, choć o likwidacji parlamentaryzmu w tym okresie przynajmniej nie myślał, chciał go oczyścić z powiązań partyjnych, chciał doprowadzić do „sanacji moralnej” w tym sensie, by Sejm wytworzył większość z posłów pojmujących idealistycznie swe obowiązki i tak jak on sam przekonanych o konieczności skupienia wszystkich sił dla utrwalenia i rozbudowy mocy młodego państwa. Słowo „nieprawość” — hasło walki z „nieprawością” — powtarzało się stale we wszystkich wystąpieniach publicznych Piłsudskiego w okresie jego trzyletniego pobytu w Sulejówku, na uboczu życia politycznego lecz wcale nie w oderwaniu od niego.

Powstały wreszcie 10 maja rząd Witosa miał w swym składzie ludzi, których Piłsudski uważał za osobistych wrogów. Ministrem spraw wojskowych został generał Malczewski, co Piłsudski uznał za osobiste wyzwanie, gdyż generał ten reprezentował tak zwane koła „austriackie”. Zareagował znowu bardzo gwałtownym wystąpieniem publicystycznym w postaci wywiadu na łamach *Kuriera Porannego*. Występował w nim raz jeszcze przeciwko „sejmowładztwu”, przeciwko niskiemu w jego przekonaniu poziomowi moralnemu polityków parlamentarnych i wyższych urzędników państwowych. Podkreślał mocno szkody, jakie wyraża wojsku podporządkowanie go czynnikowi politycznemu przy ciągłych fluktuacjach politycznych, których terenem były Sejm i stronnictwa.

Wywiad ten został skonfiskowany, ale jego treść była powszechnie znana. Opinia prawicowa domagała się wyciągnięcia dalszych konsekwencji w postaci aresztowania Piłsudskiego pod zarzutem wystąpienia przeciwko obowiązującej konstytucji. Skonfiskowanie wywiadu przyjęła z radością jako właśnie dowód rządów twardej ręki. Również ludność robotnicza Warszawy przyjęła to jako zapowiedź rządów twardej ręki, lecz tu reakcja była całkowicie negatywna. Przeciekły już także wiadomości o rozmowach między Ratajem i Piłsudskim na temat jego ewentualnego udziału w rządzie „wielkich indywidualności”, jak i o rozmowach, które Rataj z nim prowadził przed kilku jeszcze dniami, próbując zapobiec powstaniu rządu prawicowego. Wiedzano też, że rady Piłsudskiego zasięgał Wojciechowski i że w wielu sprawach stanowisko między sobą uzgodnili. W istocie było tak, że chociaż zarówno Wojciechowski jak i Rataj uważali wznowienie rządów centrowo-prawicowych za niebezpieczne, nie chcieli w żadnym wypadku dać chociażby pozoru naruszenia

prawa. Stąd wniosek był jeden: prezydent musiał się zgodzić na premiera i rząd desygnowany przez większość sejmową, chociaż była to większość zaledwie kilkunastu głosów.

ZAMACH MAJOWY

I

11 maja 1926 roku sytuacja w Warszawie osiągnęła stan tak dużego napięcia, że kontrola nad wypadkami wymykała się władzom z ręki. Na ulicach wybuchały sporadyczne manifestacje na cześć Piłsudskiego pod hasłem jego powrotu do władzy. Robotnicy zapowiadali czynny opór przeciwko każdej próbie ograniczenia ich praw, chronionych przez ustawodawstwo socjalne. Wiadomo było, że dokonuje się spontaniczna mobilizacja milicji PPS. Wiadomo było także, że w Rembertowie dokonano koncentracji oddziałów wojskowych dowodzonych przez bezwzględnie oddanych Piłsudskiemu dowódców. Nie posłuchali oni rozkazu ministra Malczewskiego, gdy odwołał manewry, którymi dowodzić miał Piłsudski. Oddziały z Rembertowa pod dowództwem pułkownika Stamirowskiego pomaszzerowały zamiast tego na Warszawę. Wyruszyły też inne oddziały z pobliskich garnizonów, przede wszystkim z Siedlec i z Mińska Mazowieckiego.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że była to akcja skoordynowana i przygotowana z góry, w czym dopomógł Piłsudskiemu poprzedni minister wojny, generał Lucjan Żeligowski. Narady w Sulejówku rozpoczęły się znacznie wcześniej i nie ograniczały się do narad wojskowych, gdyż w niektórych brał udział profesor Kazimierz Bartel, przewidziany przez Piłsudskiego na premiera po upadku prawicowo-centrowej koalicji rządowej.

12 maja Piłsudski stanął na czele oddziałów wojskowych w rejonie Rembertowa. Zaczął się więc przewrót czyli zamach stanu.

Poświęćmy kilka słów założeniom, które przyświecały Piłsudskiemu. Niewątpliwie zamach był przygotowany, o czym świadczy chociażby koncentracja wojsk, a o czym wiemy poza tym z kilku spotkań czy odpraw raczej, jakie odbyły się w Sule-

jówku z szeregiem oficerów. Dowody przygotowań propagandowych czy politycznych znajdujemy w manifestacjach na ulicach Warszawy i w licznych kawiarniach stolicy w dniu 11 maja. Manifestacje te obok hasła „Chcemy Piłsudskiego” wysuwały inne, jak „Precz z rządem Chjeno-Witosa”, „Nie damy frymarczyć wojskiem” i „Nie damy rozkradać Polski”. 12 maja powiedział Piłsudski dziennikarzom: „Decyzję wystąpienia powziąłem z postanowieniem obalenia rządu, nie występując przeciwko osobie prezydenta Wojciechowskiego”. A w nocy z 12 na 13 maja w nowej rozmowie z Ratajem oświadczył, że nie jest to zamach stanu, lecz zbrojna demonstracja przeciwko rządowi, by zmusić go do ustąpienia.

Jeśli tak było w istocie, a jest szereg dalszych dowodów, że tak właśnie było, to nad tym pierwotnym zamierzeniem górze wzięły wydarzenia, nad którymi Piłsudski zapanować nie zdołał. Marsz na Warszawę mógłby być demonstracją, gdyby nikt nie stawiał oporu i gdyby rząd ustąpił. Niewątpliwie byłby to czyn pozaprawny, lecz nie byłby to zamach stanu. Stało się inaczej. Rząd i prezydent wystąpili czynnie w obronie obowiązującej konstytucji, zaczęła się walka zbrojna, a tym samym demonstracja zamieniła się w zamach. Taka jest z punktu widzenia prawa państwowego formalna ocena wydarzeń z maja 1926 roku. Ocena polityczna jest oczywiście inna, jak w każdym wypadku, gdy zamach stanu się udaje i gdy staje za nim w czasie jego trwania i bezpośrednio potem duża część społeczeństwa.

Już 12 maja okazało się, że wiele z obliczeń Piłsudskiego było błędnych. Powodem najistotniejszym była tu zacięta niechęć jaką jego osoba budziła w prawicowo myślącej części społeczeństwa, niechęć równa popularności i szacunkowi, jakimi się cieszył wśród robotników i polityków zwalczających prawicę. Nie bez znaczenia był też fakt, że sympatie i antypatie do jego osoby pokrywały się w znacznej mierze z niezatartymi jeszcze różnicami między poszczególnymi dzielnicami Polski. Był bohaterem i natchnieniem dla Polaków w Małopolsce, Kieleckiem, robotniczej Łodzi, Białymstoku czy Warszawie. Był natomiast kimś niebezpiecznym, obrzucanym namiętными epitetami, nielubianym za swą przeszłość socjalisty w województwach zachodnich czy na przykład w okolicach Łomży. Także w wojsku wiele zależało od tradycji poszczególnych oddziałów oraz od przekonań, nawyków i upodobań poszczególnych dowódców.

12 maja około godziny 16-ej Piłsudski opanował Pragę bez walki i zatrzymał się nad Wisłą w przekonaniu, że za kilka godzin sprawa zostanie rozstrzygnięta bezkrwawo i po jego

myśli. Po jego myśli — to znaczy, że gabinet Witosy poda się do dymisji i prezydent w porozumieniu z nim powoła nowy rząd. Na tym samym stanowisku stanęły wszystkie stronnictwa lewicy, wydając o tej samej prawie godzinie wspólne oświadczenie, będące jednocześnie apelem skierowanym do prezydenta i do Witosy. Najważniejsze zdanie w tym oświadczeniu brzmiało: „Jedynym wyjściem w obecnej sytuacji jest niezwłoczne ustąpienie rządu”.

Rząd obradował od samego rana. Witos był skłonny natychmiast ustąpić. Nie pozwolili mu na to ministrowie ze stronnictw prawicowych, na których z kolei wywierali mocny nacisk niektórzy generałowie, a więc Rozwadowski, Malczewski, Stanisław Haller i Zagórski. Uzasadniali swe stanowisko twierdzeniem, że złamanie „buntu”, jak go określali, jest bardzo łatwe, gdyż wystarczy na to garnizon warszawski względnie oddziały ściągnięte z prowincji. W istocie jednak rząd chciał przerzucić ciężar decyzji na prezydenta Wojciechowskiego. Pod wpływem wojskowych Wojciechowski pojechał sam na Most Poniatowskiego, by odbyć około godziny 17-ej rozmowę z Piłsudskim. Trwała ona krótko. Piłsudski przedstawił jako jedyne swoje żądanie usunięcie Witosy i jego gabinetu. Prezydent ze swej strony uznał tego rodzaju żądanie za sprzeczne z prawem i zażądał, by Piłsudski podporządkował się natychmiast legalnemu rządowi. Wróciwszy do Prezydium Rady Ministrów, Wojciechowski zabronił Witosowi podania się do dymisji. Jednocześnie władze wojskowe w Warszawie zmusiły rząd do ogłoszenia stanu wyjątkowego i wydania kilku komunikatów bardzo gwałtownych i kategorycznych w formie i zapowiadających stłumienie buntu w sposób bezwzględny i przy użyciu wszystkich środków.

Spotkanie z Wojciechowskim i jego wynik przeżył Piłsudski niewątpliwie bardzo ciężko. Wydarzeniem o znacznie mniejszej wadze, lecz o ogromnym znaczeniu psychologicznym była jego krótka rozmowa ze stojącym przy Moście Poniatowskiego dowódcą plutonu szkoły podchorążych piechoty. Był nim młody porucznik Henryk Piątkowski. Na na wpół żartobliwe zapytanie Piłsudskiego: „Do mnie, dziecko, będziesz strzelał?” bladej jak kreda oficer odpowiedział: „Tak, bo taki mam rozkaz”.

O godzinie 19-tej rozpoczęły się walki. Oddziały z Pragi przeszły przez Most Kierbedzia, dotarły do Placu Zamkowego i dalej. Wstrzymały jednak natarcie 13 maja na rozkaz Piłsudskiego. Zaczęły się nowe próby pośrednictwa, podjęte przez Macieja Rataja i osobno przez arcybiskupa warszawskiego, kardynała Kakowskiego. Próby te nie dały rezultatu, mimo że Witos

kilkakrotnie ponawiał swą gotowość ustąpienia. 13 maja po południu wojska wierne rządowi przeszły do natarcia. Choć prowadzone bardzo bezwzględnie — co miało stać się powodem postawienia kilku generałów, wśród nich Rozwadowskiego i Zagórskiego, pod sąd wojskowy — natarcie nie powiodło się. Piłsudski odpowiedział na nie dopiero dnia następnego, to jest 14 maja, gdy zawiodły powtórne próby mediacji. W akcji tej brały już udział te oddziały garnizonu warszawskiego, którym generał Malczewski dał rozkaz „ujęcia przywódców buntu”, a które przeszły na stronę Piłsudskiego. Pod wieczór 14 maja oddziały Piłsudskiego dotarły do Belwederu, gdzie przebywali prezydent i rząd.

Wojciechowski, rząd i generał Rozwadowski przeszli z Belwederu pieszo do Wilanowa. Rozwadowski oddał dowództwo swemu szefowi sztabu, pułkownikowi Władysławowi Andersowi. Zarówno on jak i inni wojskowi z otoczenia prezydenta chcieli prowadzić walkę dalej, wciągając do niej wojsko z innych garnizonów. Prezydent radę tę odrzucił i postawił ministrom pytanie: czy należy prowadzić walkę czy jej zaniechać? Witos zażądał kategorycznie natychmiastowej kapitulacji. Decyzję tę uznał prezydent za właściwą.

Nie ulega wątpliwości, że przestanką tej decyzji była zrozumiała obawa, że walki uliczne w Warszawie przekształcą się w wojnę domową w całym kraju. Wojny takiej nikt nie chciał, bo osłabiłaby obronność kraju otoczonego sąsiadami, z których dwaj najwięksi i najgroźniejsi mogliby wykorzystać sytuację, zagrażając istnieniu państwa. W tej sprawie nikt się z nikim nie umawiał, lecz w rzeczywistości była ona dla obu stron bezsporna. I chociaż obawy były może przesadne, wszystko wskazuje na to, że powodował się nimi także Piłsudski. W przygotowaniach do swej — jak ją określał — demonstracji wojskowej zakazał brania pod uwagę udziału wojsk stojących z dala od Warszawy. Przede wszystkim nie chciał angażować dywizji stojących na pograniczu zarówno niemieckim, jak i rosyjskim. Być może dlatego właśnie nie był powiadomiony o zamachu najbliższy współpracownik i przyjaciel Piłsudskiego, generał Kazimierz Sosnkowski. Był on wówczas dowódcą korpusu w Poznaniu. Przeżył zresztą fakt niedopuszczenia go do tajemnicy bardzo głęboko, usiłując popełnić samobójstwo. Także generał Sikorski, dowódca korpusu we Lwowie, nie wziął czynnego udziału po niczyjej stronie, tłumacząc swą „neutralność” koniecznością pilnowania granicy. Względ ten przeważał i u szeregu dowódców niższego szczebla. W podobnym duchu wypowiadał też prezydent Wojciechowski nastę-

pujące słowa: „Wolę, by Piłsudski objął władzę choćby na dziesięć lat, niż żeby na sto lat zagarnęły Polskę Sowiety”.

W rzeczywistości kapitulacja rządu nie była wynikiem operacji wojskowych w Warszawie, w których około 400 ludzi straciło życie, a półtora tysiąca było rannych. Sprawę przesądziły decyzje polityczne stronnictw lewicowych i związków zawodowych. 13 maja ogłosili strajk kolejarze, blokując węzeł kolejowy w Kutnie, co nie pozwoliło na dotarcie do Warszawy pułków poznańskich idących na odsiecz rządowi. 14 maja PPS ogłosiła strajk powszechny. Tym samym robotnicy w całej Polsce dawali poparcie Piłsudskiemu, uniemożliwiając dalszą przeciw niemu walkę. O poparcie to Piłsudski nie zabiegał. W pewnym sensie było ono dla niego zaskoczeniem, a także niewygodną przeszkodą w określeniu politycznych celów jego działania. W Warszawie odmówił kategorycznie powołania pod broń robotników, co mu proponowała PPS, i odmowę swą umotywował słowami: „Wojsko przestanie strzelać na mój rozkaz, ale nie wiem, czy przestaną strzelać cywile”. Oddziały robotnicze wzięły jednak dorywczy udział w walkach po jego stronie. Ważniejsze może było inne powiedzenie Piłsudskiego, o treści wyraźnie politycznej: „Nie chcę takiej [czyli zbrojnej] pomocy od socjalistów... Mieliby później z tego tytułu pretensję, żebym ja wykonywał ich programy czy plany”.

Była to właściwie pierwsza i to negatywna wypowiedź programowa Piłsudskiego. Powiedział, czego nie zamierza robić. Nie zamierza stawać na czele żadnego stronnictwa i nie chce wykonywać niczyjego programu poza swoim własnym, który nawet dla najbliższego jego otoczenia był albo nieznany, albo trudny do zrozumienia. I bez względu na dalsze skutki tego rodzaju ponadpolitycznego jak gdyby stanowiska przyjąć trzeba za pewnik, że swych słów o „nieprawości” i „sanacji moralnej” nie rozumiał Piłsudski jako hasła czy sloganu, lecz rozumiał dosłownie.

Zaskoczeniem dla wszystkich był fakt, że nie zażądał oddania władzy w jego ręce. Prezydent Wojciechowski abdykował — jak to się mówiło — o godzinie 12-tej w nocy z 14 na 15 maja na rzecz swego konstytucyjnego następcy czy zastępcy. Był nim marszałek Sejmu Maciej Rataj, który raz jeszcze okazał się w życiu Polski postacią opatrnościową. Rataj stał też na czele państwa do dnia 30 maja, w którym to dniu na mocy jego zarządzenia zebrało się Zgromadzenie Narodowe, by wybrać nowego prezydenta Rzeczypospolitej. Lecz nowy rząd Rataj powołał już

15 maja. Powołał w porozumieniu z Piłsudskim, gdyż tak nazywała logika wydarzeń. Premierem został człowiek niezaangażowany dotychczas w życie polityczne — profesor Politechniki Lwowskiej Kazimierz Bartel. Sprawy zagraniczne objął August Zaleski, który nie należał do bliskich współpracowników Piłsudskiego. Jego nominacja była wyraźną zapowiedzią, że polska polityka zagraniczna nie będzie w przyszłości pochodną polityki francuskiej, lecz ma być polityką niezależną. Na czele resortu przemysłu i handlu stanął Eugeniusz Kwiatkowski, twórca Gdyni, a na czele wojska Piłsudski. Do stanowiska ministra spraw wojskowych ograniczał się formalnie jego udział w rządzie — z tym, że jednocześnie przywrócono instytucję generalnego inspektora sił zbrojnych, którym także został Piłsudski. W ten sposób wojsko wyłączono w dużej mierze spod wpływów ewentualnych fluktuacji politycznych. Rząd był pozapartyjny, miał polityczne poparcie Sejmu i moralne Piłsudskiego. Czekano teraz na konkretne propozycje programowe w oparciu o tezy filozoficzno-moralne Piłsudskiego. W szczególnym skupieniu czekała popierająca go lewica — robotnicza i chłopska.

Było powszechnym przekonaniem, a także życzeniem większości społeczeństwa, łącznie z Wincentem Witosem, by wybory prezydenckie wyniosły Piłsudskiego na czoło państwa. Także pod tym względem stać się miało inaczej.

II

W maju roku 1926 Józef Piłsudski stał na czele części tylko wojska polskiego, gdyż inna jego część — ku jego niepomiernej goryczy i zdumieniu — uznała go za buntownika i zdecydowała bronić legalnie ukonstytuowanych władz państwowych. Walki trwały kilka dni i były krwawe. Na szczęście nie zamieniły się w wojnę domową we właściwym czy pełnym tych słów znaczeniu i nie stworzyły w samym wojsku atmosfery wzajemnych nienawiści i zemsty nad zwyciężonymi, choć nie obyło się bez czystki korpusu oficerskiego, zwłaszcza wśród tak zwanej góry wojskowej, skąd zmuszono do odejścia większość ludzi uważanych za niechętnych przewodzącej od tej pory wojsku grupie, ogólnie zwanej „legionową”. Czystce tej towarzyszyły sporadyczne, lecz

bardzo do dziś zasępiające wypadki porachunków, z których jeden — śmierć generała Zagórskiego — stał się symbolem tym boleśniejszym, że absolutna o nim prawda nigdy nie została ujawniona.

W całokształcie sprawy zagadnienia wojskowe miały znaczenie raczej marginalne. Nie był to przejaw wybujałego militaryzmu, szukającego z bronią w rękę rozstrzygnięcia jakichś zakulisowych frakcyjnych rozgrywek między generałami. Polska nie była państwem militarystycznym ani przed zamachem majowym, ani po nim, pomimo naiwnych nieco inklinacji niektórych wojskowych. Owszem, sprawa organizacji wojska i jego osobistej w nim pozycji była jedną z zasadniczych pretensji, jakie Piłsudski stawiał rządowi parlamentarnemu, a także Konstytucji Marcowej. Owszem, z drugiej strony odsunięcie Piłsudskiego od czynnego zaangażowania w wojsku było celem prawicy sejmowej, zwłaszcza tych kół, które nazywamy dość nieścisłe endeckimi. Prawdą jest też, że gdy o organizację wojska chodzi, Piłsudski po zamachu majowym postawił na swoim, to znaczy tak je zorganizował, jak uważał za właściwe. Myślę tu oczywiście o organizacji władz naczelnych w czasie pokoju i na wypadek wojny, a nie o trzeciorzędnych szczegółach.

Z tym wszystkim jednak — powtarzam — strona wojskowa zamachu była sprawą uboczną.

Natomiast fakt bratobójczej walki był tym właśnie elementem wydarzeń, który wybił się natychmiast na czoło uwagi i uczuć społeczeństwa. Dla wielu, dla większości może, zwłaszcza mieszkających z dala od Warszawy, wydawało się rzeczą niemożliwą, by wojsko polskie walczyło z wojskiem polskim i by się podzieliło na „wojsko wierne Piłsudskiemu” i „wierne prezydentowi”. Częściej zresztą mówiono „wierne rządowi”. Fakt ten budził więcej smutku niż namiętności, a na łamach gazet przez kilka dni przesłaniał całkowicie lub co najmniej odsuwał na dalszy plan rozważania polityczne.

Wiele wskazuje na to, że Piłsudski pomylił się nie tylko w ocenie postawy wojska, ale także w ocenie życzeń społeczeństwa. Wydawało mu się, i tu miał rację, że ogół obywateli boi się przesunąć koalicyjnych w Sejmie, dających ciągłe zmiany w rządzie. Że boi się zachwiania ustabilizowanej z takim trudem waluty złotowej. Wiedział też, że cała lewica (a jest to pojęcie bardzo szerokie) razem z ugrupowaniami reprezentującymi mniejszości narodowe, zwłaszcza żydowską, nie znieśie bez oporu nowej próby ograniczenia świadczeń socjalnych, czym groziła prawica w przymierzu z „Piastem”. Lewica chciała reform w kierunku — jak

mówiono — „robotniczo-włościańskim” i chciała, by te reformy przeprowadzał Piłsudski, skoro nikt inny przeprowadzić ich nie umie czy nie może. Lewica chciała zamachu stanu ze strony wojska i Piłsudskiego, tym bardziej, że bała się wyprzedzenia przez niektóre koła wojskowe, mocno i ideowo związane z prawicą.

Trudno dziś powiedzieć, czego konkretnie chciał Piłsudski. Najbliższa przyszłość miała wykazać, że nie chciał ani zmiany ustroju, ani nawet — jak to nazwał — eksperymentowania społecznego. Powodowało nim rzeczywiście przekonanie, że zbyt dużo jest w Polsce nieprawości i że zdoła tę nieprawość usunąć autorytetem własnego imienia.

Pomylił się w ocenie własnych możliwości i być może w ocenie sytuacji.

Wytworzyła się zresztą sytuacja bez precedensu w żadnym innym kraju. Zamach stanu przeprowadzony z bronią w ręku został zalegalizowany. Prezydent przekazał zgodnie z konstytucją swe funkcje w ręce marszałka Sejmu i on, a nie Piłsudski, powołał nowy rząd. Nie rozwiązano izb parlamentu. Nowy rząd miał stanąć przed tym samym Sejmem, przeciwko któremu w gruncie rzeczy skierowany był zamach stanu. 31 maja Zgromadzenie Narodowe przeprowadziło wybory nowego prezydenta. Piłsudski, inaczej niż w roku 1922, nie odmówił z góry postawienia jego kandydatury, ale oświadczył, że nie chce być „jedynym kandydatem”. Prawica, ochłoniwszy szybko z zadanego jej w zamachu majowym ciosu, postawiła kandydaturę Adolfa Bnińskiego, wojewody poznańskiego, człowieka o jak najlepszej opinii. Padły na niego 193 głosy. Na Piłsudskiego padło głosów 292.

Ku powszechnemu zdumieniu Piłsudski wyboru nie przyjął. W odpowiedzi marszałkowi Sejmu Ratajowi podziękował Zgromadzeniu Narodowemu za to, że „po raz drugi w życiu mam w ten sposób zalegalizowanie moich czynności i prac historycznych”. „I lepiej”, pisał, że „wybór nie był jednomyślny, tak jak to było w lutym 1919 roku,... bo [dzięki temu] mniej może będzie w Polsce fałszu”. W lutym 1919 roku pierwszy Sejm Ustawodawczy powierzył Piłsudskiemu urząd Naczelnika Państwa jednomyślnie.

Wysunął zamiast siebie kandydaturę nikomu nie znanego w sensie politycznym profesora Ignacego Mościckiego. Brał on udział w pracach niepodległościowych w czasie wojny i przed nią. Był sławą naukową, podobnie jak Narutowicz w Szwajcarii, wykładał na Politechnice Lwowskiej, będąc jednocześnie dyrektorem państwowej fabryki wytworów azotowych w Chorzowie.

Mościckiego wybrano w drugim głosowaniu, gdyż w pierwszym PPS — dla zaznaczenia, że choć głosowała na Piłsudskiego, nie musi wcale głosować na każdego kandydata, który mu odpowiada — rzuciła swe głosy na Zygmunta Marka. Większość Mościckiego była tylko o parę głosów mniejsza od setki, przy dwustu głosach, jakie padły na Bnińskiego, i sześćdziesięciu pięciu białych kartkach.

Legalizacja zamachu nie mogła być jednak sama w sobie jego celem. Poparcie udzielane Piłsudskiemu przez środowisko robotnicze, część inteligencji i radykalnego chłopstwa wynikało z przeświadczenia, że on jeden może zabezpieczyć zdobycze społeczne świata pracy i zażegnać niebezpieczeństwa gospodarcze. Niebezpieczeństwa te obciążały zdaniem lewicy prawicowo-centrowe rządy koalicyjne. Ówczesna pesymistyczna ocena położenia gospodarczego kraju była jednak przesadna i nieuzasadniona. Kładł też na nią Piłsudski najmniejszy nacisk, niepokojąc się przede wszystkim o położenie międzynarodowe Polski, z czego znowu społeczeństwo nie zdawało sobie w ogóle sprawy. Zamach stanu podniecił nadzieje lewicy, że Piłsudski pójdzie na program dalszych reform społecznych, że rozwiąże Sejm, przeprowadzi nowe wybory i stanie osobiście na czele rządu „robotniczo-włościańskiego”.

Tymczasem Piłsudski, potępiwszy surowo prawicę, odzegnał się natychmiast od wszelkich dążeń rewolucyjnych, a nawet od „eksperymentowania socjalnego” — jak to określał. Spowodowało to zamieszanie w umysłach, które — gdy o lewicę chodzi — miało zamienić się niedługo potem w opozycję, zwłaszcza po zbliżeniu Piłsudskiego do zachowawczych kół ziemiańskich w czasie głośnego spotkania na nieświeskim zamku Radziwiłłów.

Tu dochodzimy znowu do podstawowego zagadnienia celów, jakie przyświecały Piłsudskiemu. Zamach inne dał skutki niż Piłsudski zamierzał, a jego data stała się cezurą historyczną o bolesnym brzmieniu. Czy była przełomem, czy tylko zgrzytem w dziejach Drugiej Rzeczypospolitej? Odpowiedź jest bardzo złożona, gdyż zawierać w sobie musi dzieje następnych lat dziewięciu do daty śmierci Piłsudskiego i kolejnych lat czterech, gdy rządili Polską „piłsudczycy bez Piłsudskiego”. A w dziejach tych jest także miejsce na rosnącą gorycz i upór Piłsudskiego, które brały często górę nad niezrównanym zmysłem politycznym, ze szkodą dla praworządności. Jest też miejsce na nędzne czyny ludzi małych i gorliwą pracę ludzi wielkiego kalibru i wielkich idei.

PIŁSUDSKI U WŁADZY

I

Rozkaz Piłsudskiego do wojska, ogłoszony, kiedy oddziały „wróciły do koszar”, był, jak większość jego pism i rozkazów wojskowych, swego rodzaju arcydziełem języka polskiego. Mówił posępnie o przelanej krwi, choć za jej przelanie nie oskarżał przeciwników. Zawierał też gorący apel o dalszą służbę Ojczyźnie. Wspominał o dobrej wierze, co można było odnieść do wszystkich. Powstałą sytuację opisywał Piłsudski w jednym zdaniu: „Stałem znowu na waszym czele”.

To znaczy na czele wojska. Nie ogłosił natomiast Piłsudski, jak się spodziewano, żadnego „manifestu” ani żadnej programowej zapowiedzi politycznej. Na pytanie jednak „co będzie dalej” czy — trafniej — „czego sobie życzy, by było dalej”, odpowiedział w kilku wywiadach prasowych i w przemówieniu do zgromadzonych w Belwederze posłów i senatorów, którzy w liczbie około stu zjawili się tam na wezwanie Rataja w przeddzień wyborów prezydenckich. Reprezentowane były wszystkie stronnictwa z wyjątkiem Związku Ludowo-Narodowego i grupki kilku komunistów.

Wywiady — trzy z nich ogłoszono w *Kurjerze Porannym*, a dwa, przeznaczone dla zagranicy, w paryskim dzienniku *Le Matin* — wykladały raczej filozofię polityczną i moralną Piłsudskiego niż konkretny plan polityczny. Były bardzo ostre w formie, podobnie jak wywiady udzielane przez Piłsudskiego przed zamachem majowym. Krytykowały postępowanie stronnictw politycznych, ich niezaradność w Sejmie, rzekomą prywatę czy korupcję przywódców i poszczególnych posłów. Wspominał Piłsudski o hańbiącym Polskę morderstwie Narutowicza. Rozwodził się nad brakiem poczucia odpowiedzialności, gadulstwem i frazeologią. Mówił o „rozwydrzeniu partyjnym”, o nieuzasadnionej manii wielkości, o paraliżowaniu możliwości działania każdego z dotychczasowych rządów, o ubliżaniu godności dotychczasowych kierowników nawy państwowej — to znaczy Piłsudskiego, gdy był Naczelnikiem Państwa, Narutowicza, którego obrzucono po wyborze błotem, i Wojciechowskiego, który stracił zdrowie w szarpaninie między stronnictwami. Krytykował też konstytucję, którą ułożono pod kątem odsunięcia jego właśnie od spraw państwowych i która robiła z głowy państwa bezsilną kukłę.

Lecz dodawał, że konstytucji nie zamierza zmieniać, gdyż jaka jest, taka jest, i w jej ramach można przy dobrej woli wiele zdziałać. Nie chce też rozpędać Sejmu, czego się powszechnie spodziewano. Także dlatego, że konstytucja go do tego nie upoważnia. A poza tym chce — jak mówił — także Sejmowi w jego obecnym składzie dać szanse uzdrowienia moralnego i działania zgodnie z rozsądkiem politycznym. Konkretnie w sprawach ustrojowych żądał ustaw, które wzmocniłyby pozycję prezydenta w państwie, uprawniając go do rozwiązywania Sejmu i Senatu przed upływem kadencji. Dotychczas Sejm i Senat mogły się tylko same rozwiązać. Dalej żądał ograniczenia liczby sesji poselskich do kilku w roku, z tym, że bezwarunkowo zwoływana być miała tylko sesja budżetowa. I wreszcie domagał się przyznania prezydentowi prawa dekretowania w drodze rozporządzeń z mocą ustawy. Sposób ten nie był nowością, gdyż stosował tę metodę Władysław Grabski. Dalej Piłsudski mówił, że nie chce likwidować odpowiedzialności rządu przed Sejmem. Chce jednak, by rząd miał możliwość działania bez więzów narzuconych przez układy między partiami, by — jak się wyraził — „rząd miał za co przed Sejmem odpowiadać”. Zacytujmy dalej: „Twierdzę, że w ramach konstytucji praca silnego rządu — a o silnym rządzie przecież mówią wszyscy — da się skutecznie, tylko trzeba uczynić wszystko, by skończyć ze złymi zwyczajami sejmowymi, albowiem złe zwyczaje sejmowe są gorsze od złej konstytucji”.

Z innych spraw ustrojowych domagał się Piłsudski zmiany organizacji sił zbrojnych, czyli przywrócenia mocy obowiązującej dekretowi Naczelnika Państwa z dnia 7 stycznia 1921 roku.

W rozmowach (między innymi z Władysławem Baranowskim) dodawał Piłsudski, iż zdaje sobie sprawę z presji moralnej, jaką jego nazwisko wywiera na posłów. Dlatego nie sądzi, by warto było wszystko zmieniać łącznie z Sejmem, gdyż: „To, co mam przed sobą, to i wiem, czym mogę operować... Zresztą w tej chwili uchwalą, co i jak zechcą, zatwierdzą co każe, bo teraz tchórzą”. W wywiadach zaś prasowych i w przemówieniu do parlamentarzystów powiedział: „Wiem, iż Polską można rządzić bez bata”. Słowa bardzo brutalne, które zamieniono później — może też być, że Piłsudski sam je zamienił — w jeszcze brutalniejsze: „Spróbuję, czy Polską można rządzić bez bata”. A na zapytanie dziennikarza francuskiego, czy jest zwolennikiem faszyzmu, odpowiedział, że „nic podobnego nie mogłoby się przyjąć w Polsce. Nie, to nie dla nas”. Warto pamiętać, że był to rok 1926 i „faszyzm” nie miał wówczas jeszcze tak złowrogiego znaczenia, jakie mu nadać miały dalsze dzieje Włoch czy Niemiec,

choć wiadano, że jest zaprzeczeniem ustroju demokracji parlamentarnej.

Nowelizację ustroju pod kątem wyrażonych przez Piłsudskiego postulatów wzmocnienia pozycji prezydenta, umożliwienia rządowi wydawania dekretów z zachowaniem konieczności ich zatwierdzania przez Sejm i wprowadzenia ustawy o organizacji wojska parlament uchwalił bez oporu i to bardzo szybko. Nie były to zmiany ani rewolucyjne, ani nawet radykalne, co jeden z przeciwników Piłsudskiego porównał do „gotowania jajka w kotle okrętowym”, mając na myśli niewspółmierność środka, jakim był zamach wojskowy, z osiągniętym rezultatem.

Ograniczenie się do takiego poglądu byłoby rzecz jasna zupełnym nieporozumieniem historycznym. Piłsudski chciał bez wątpienia działać w ramach prawa. Zależało mu przede wszystkim na zalegalizowaniu zamachu stanu. Fakt, że dokonał go inaczej niż zamierzał, to znaczy, że — jak mówił — „musowa sytuacja” spowodowała zamienienie się „demonstracji zbrojnej” przeciwko rządowi „pana Witosza” w walkę zbrojną z ustąpieniem głowy państwa, zaciążył Piłsudskiemu mocno na sercu. Z tym się nie krył w czasie walk w Warszawie i wielu świadków to potwierdziło. Stąd jego bardzo umiarkowane żądania i uporczywe ograniczanie programu zmian do „sanacji moralnej”. Wydawało mu się, i w sensie prawnym miał tu sporo racji, że rzeczywiście zamach stanu Sejm — ten sam Sejm — zalegalizował. Mówił: „Zrobiłem jedyny swego rodzaju fakt historyczny, że m zrobił coś podobnego do zamachu stanu i potrafił go natychmiast zalegalizować i że m uczynił coś w rodzaju rewolucji bez żadnych rewolucyjnych konsekwencji”.

Zapewne takie miał zamierzenia, a na pewno był całkowicie szczerzy w swym przekonaniu o konieczności „wysanowania” moralności publicznej, co uważał i za cel, i za środek do celu prowadzący. Celem było usprawnienie maszyny państwowej, stabilizacja stosunków i konieczna w każdych okolicznościach silna władza państwowa. Czyli rząd mogący spokojnie planować i pracować. Oczywiście rząd nie zwolniony od odpowiedzialności, lecz nie krępowany na każdym kroku. Lecz wyznanie wiary Piłsudskiego, gdyż tak je najlepiej określić, choć pociągało bardzo wielu, nigdy nie zdołało pociągnąć całego społeczeństwa. Być może dlatego, że stawiało mu wymagania ponad przeciętne siły, nie wskazując przy tym, co konkretnie należy osiągnąć. „Praca dla państwa” była hasłem, któremu nikt nie zamierzał się przeciwstawiać, lecz hasłem zbyt ogólnym. Z upływem lat granica między idealizmem moralno-politycznym a praktycznymi potrzebami

miała się zamienić w labirynt nieporozumień — ku coraz to większej goryczy Piłsudskiego, czego skutkiem psychologicznym było umoralnianie społeczeństwa wbrew jego woli, skoro z własnej woli „umoralnić” się nie chciało, tym bardziej, że coraz częściej inaczej zupełnie niż Piłsudski czy jego zwolennicy słowo „moralność” rozumiało. Miało to być przyczyną bardzo głębokich konfliktów, a często i tragedii, które kładły się na przeciwną szalę wagi, gdy historia osądzała wszystko złe i dobre, co się Polsce przydarzyło w ciągu następnych dziewięciu lat życia Józefa Piłsudskiego.

II

Sytuację po maju 1926 roku scharakteryzować można w bardzo prosty sposób. Piłsudski uzyskał legalizację zamachu stanu. Wszystkie instytucje państwowe działać miały w oparciu o niezmienione prawo konstytucyjne. W szczególności zaś rząd w dalszym ciągu miał być odpowiedzialny przed parlamentem i to w dodatku przed parlamentem, którego skład się nie zmienił. W przekonaniu całego społeczeństwa przeciwko temu właśnie parlamentowi zbrojny zamach stanu był wymierzony. A jednak ten właśnie parlament bez wyraźnego oporu godził się na nowy układ polityczny. Jego cechą podstawową było ciche przyznanie Piłsudskiemu prawa wywierania wpływu na wszystko, co się w państwie odtąd dziać miało. Minister wojny i generalny inspektor sił zbrojnych stawał się więc arbitrem politycznym i najwyższym autorytetem w życiu państwowym — oczywiście nie z tytułu tych funkcji, lecz z tego powodu, że nazywał się Józef Piłsudski.

Stan ten miał się wbrew przewidywaniom utrwalić na długie lata. Naprzód spodziewano się, że Piłsudski pozwoli się wybrać na prezydenta. Później, że dokona daleko sięgających zmian w konstytucji. Wreszcie, gdy i to w sposób formalny nie nastąpiło, spodziewano się, że rozwiąże parlament wybrany w roku 1922 i zarządzi nowe wybory, które zapewnią mu taką większość w Sejmie, jaka mu będzie potrzebna. Również to przewidywanie się nie spełniło. W pewnym sensie zaskoczony tym rozwojem sytuacji był sam premier Bartel. Z jego pierwszych przemówień wynikać by mogło, że i on uważa dalsze istnienie Sejmu w dotychczasowym składzie za niemożliwe. Lecz już 21 czerwca 1926 roku, pomimo kampanii antysejmowej prowadzonej na łamach

dużej części prasy polskiej, Bartel stwierdził jedynie, że „dotychczasowa forma parlamentaryzmu nie wyszła Polsce na zdrowie”, ale jako praktyczny skutek tego oświadczenia przedłożono Sejmowi kilka projektów zmiany konstytucji, z których większość zdobył projekt rządowy, ze wszystkich zgłoszonych najmniej radykalny.

Uchwalono te zmiany 2 sierpnia. Wśród zmian istotnie ważne były następujące: Po pierwsze — Sejm i Senat mają obowiązek uchwalenia budżetu państwowego, oczywiście po dyskusji, w ściśle określonym terminie. Znikała tym samym możliwość przewlekania prowizorium skarbowego, nieraz na długie miesiące, co naturalnie utrudniało sprawność pracy rządu, a nieraz uniemożliwiało wszelkie rozsądne planowanie gospodarcze. Po drugie — prezydentowi przysługiwać będzie prawo rozwiązywania Sejmu i Senatu. Dotychczas prawa takiego nie posiadał. Było to więc postanowienie bardzo ważne, gdyż na wypadek długotrwałego impasu między poszczególnymi stronnictwami prezydent mógł w każdej chwili zarządzić nowe wybory. Lecz i ten przepis nie miał brzmienia radykalnego, gdyż przyznawał prezydentowi prawo rozwiązywania Sejmu i Senatu tylko raz z tego samego powodu. Dodać tu natomiast warto, że wbrew logice zakazano jednocześnie Sejmowi i Senatowi rozwiązywać się na podstawie własnej uchwały. Tym samym parlament musiał funkcjonować tak długo, dopóki albo nie zakończy się jego pięcioletnia kadencja, albo też nie rozwiąże go prezydent Rzeczypospolitej. Następne dwa lata wyjaśniły, jaki był sens polityczny tego rodzaju pozornego dziwolągu. Otóż, jak wynika z przebiegu wydarzeń, a także z kilku luźnych zresztą wypowiedzi Piłsudskiego, ani on, ani jego zwolennicy nie dążyli do zmiany składu parlamentu w tym przeświadczeniu, że pomimo jego rozbicia na skłócone ze sobą partie będzie on ciałem łatwiejszym we współdziałaniu z rządem niż nowy parlament, który — także w przeświadczeniu Piłsudskiego — nie miałby zdecydowanej większości, lecz mogłby się wykazać mocniejszym mandatem ze strony ogółu obywateli. Piłsudski myślał o nowym Sejmie dopiero wówczas, gdy jego zamierzenia umoralnienia społeczeństwa zostaną urzeczywistnione. To pomieszczenie założeń moralnych w interpretacji niezbyt dla ogółu zrozumiałej z praktyką polityczną było istotną cechą zarówno filozofii Piłsudskiego, jak i położenia Polski przez kilka przynajmniej lat.

Już dwa pierwsze lata, to znaczy do upływu kadencji parlamentu, przekreśliły te nadzieje czy obliczenia. Z jednej strony tak luźno pojęta i niesprecyzowana myśl o „sanacji moralnej”

i państwa, i ogółu obywateli nie zapaściła w społeczeństwie koren-
zeni z tego przede wszystkim powodu, że nie wiedziało ono,
jak się należy zabrać do jej wcielania w życie. Z drugiej zaś
strony zarówno Sejm, jak i stronnictwa polityczne, a także prasa
i inne środki oddziaływania na opinię, nie zrezygnowały ani
z własnego zdania, ani z oporu przeciwko każdemu pociągnięciu
rządowemu, które im nie odpowiadało. Opozycja w Sejmie była
siłą bardzo żywą, z tym tylko, że jej główny ośrodek nie skrysta-
lizował się, jak by się można było spodziewać, na ławach prawicy
lecz właśnie wokół Polskiej Partii Socjalistycznej, o której i przed
zamachem majowym i bezpośrednio po nim myślano jako o poli-
tycznym zapleczu ewentualnych reform, które powrót Piłsudskie-
go do życia publicznego miał urzeczywistnić.

Pierwsze wyraźne starcia między rządem a opozycją w Sejmie
miały miejsce już jesienią 1926 roku. Doprowadziły — zgodnie
z tradycją i obyczajami parlamentarnymi — do ustąpienia kilku
ministrów, do dwukrotnego podawania się do dymisji premiera
Bartla i nawet do chwilowego objęcia stanowiska premiera przez
samego Piłsudskiego. Bezpośrednie przyczyny są mało istotne,
a nawet nieciekawe, z wyjątkiem może oporu przeciwko usta-
wie ograniczającej w nieznaczny zresztą sposób pełnię swobody
prasy. Naprawdę istotne natomiast były niechęć, zawód, a nawet
oburzenie wśród polityków lewicowych, że oto po zamachu stanu
nie nastąpiły żadne reformy społeczne i polityczne, że zamiast
programu, który by jasno wytyczał cele państwowe, społeczeń-
stwo zadowalać się musi wezwaniami do naprawy moralnej.
Mistrz retoryki politycznej jakim był Ignacy Daszyński, przy-
wódca PPS, w kilkunastu przemówieniach sejmowych najlepiej
scharakteryzował tę sytuację. Na przykład: „Masy polskie to nie
stado wróbli. Masy polskie spodziewają się i oczekują dalszych
poczyznań, dalej sięgających skutków majowego przewrotu”.
„Gdyby odrodzenie moralne i naprawa Rzeczypospolitej stały
się karykaturą, to gorzko żałowałyaby Polska owych ofiar koniecz-
nych, które padły w dniach majowych”. A kiedy indziej stwier-
dzał: „Masy ludowe nie rozumieją tego, co się po przewrocie
dzieje”.

Daszyński i cała lewica poparła projekt rządowy udzielający
Prezydentowi prawa rozwiązywania Sejmu. „Sejm nierozwiązy-
walny jest zaprzeczeniem demokracji” — mówił Daszyński. Na-
tomiał część przynajmniej tej opozycji sprzeciwiała się trzeciej
zmianie konstytucyjnej, na mocy której prezydent otrzymywał
prawo wydawania rozporządzeń z mocą ustawy, to znaczy dekre-
tów, wówczas gdy parlament jest rozwiązany lub gdy nie jest

na sesji. Dekrety te, rzecz jasna, redagowałby nie prezydent, lecz rząd. Na ich temat mówił Daszyński, że sprawy państwowe nie mogą być „funkcją kancelaryjną” i dodawał: „Bo jak przewrót majowy wyrósł z poczucia, że nieprawość jest za dużo [Daszyński cytował tu słowa Piłsudskiego], tak późniejsze przewroty mogą wyrosnąć z poczucia, że za dużo jest bezprawia konstytucyjnego. Nie chcemy, żeby zamiast wszechwładzy Sejmu — jednego zła — następowało drugie zło, wszechwładza rządu”.

Niemniej za całością ustawy o zmianie konstytucji padło w Sejmie 246 głosów. Przeciwno tylko 95.

Rozporządzenia z mocą ustawy nie były zresztą ani nowością w życiu politycznym Polski, ani zmianą radykalną. Każdy dekret musiał być teraz przedłożony Sejmowi do aprobaty w ciągu dwóch tygodni po rozpoczęciu sesji parlamentu. Jeśli aprobaty nie uzyskał, przestawał obowiązywać. Nie było więc mowy o zaprowadzeniu w Polsce formalnej dyktatury, czego się spodziewała opinia zagraniczna, nie było też żadnego objawu naśladownictwa włoskich wzorów faszystowskich. Piłsudski o nich nie myślał, a nawet wzorami takimi pogardzał. Przede wszystkim zaś uważał je za niecelowe w warunkach polskich.

Jeśli istotą zmian, które chciał wprowadzić, miała być „sancja”, czyli naprawa moralna, i jeśli sądził, że hasło to zastąpi skutecznie konkretny program polityczny, to dwa pierwsze lata po zamachu majowym mogły go być przekonać, że koncepcja ta egzaminu nie zdaje. Jeśli natomiast swą własną rolę widział w sprawowaniu swoistej dyktatury moralnej, która przeważać może zarówno przeszkody formalne, jak i niechętne mu hasła polityczne, to cel swój niewątpliwie osiągnął. Najlepiej być może scharakteryzował to zacięty opozycjonista, jakim był Herman Lieberman, w artykule napisanym na prośbę niemieckiej partii socjaldemokratycznej i ogłoszonym w jej organie *Vorwärts*. Pisał: „Piłsudski to ani Mussolini, ani Lenin, ani przywódca socjalistyczny. Jest to właśnie Piłsudski, twór szczególny polskich stosunków społecznych i politycznych... Nie można mówić o reakcyjności reżymu Piłsudskiego, ale nie ulega wątpliwości, że jest on pełną niebezpieczeństw przerwą w rozwoju społecznym i politycznym Polski”.

Jednym z powodów swoistego chaosu myślowego, jaki się wytworzył w politycznym życiu Polski bezpośrednio po przewrocie majowym, był zadziwiająco obojętny — jeśli nie nonszalancki — stosunek Piłsudskiego właśnie do zagadnień polityki wewnętrznej. Ograniczał się do dorywczych ingerencji, zamiarów swoich nie precyzował, zlecając jak gdyby te sprawy swym przy-

padkowym często pomocnikom. Przykładem tak zwane „zbliżenie z kołami konserwatywnymi”, czyli z ziemiaństwem. Pogłębiło ono niechęć czy niepokoje lewicy polskiej. Natomiast z prawdziwą pasją i przejęciem interesował się Piłsudski dwiema najważniejszymi dziedzinami życia państwowego w ówczesnym położeniu Polski, mianowicie wojskiem i polityką zagraniczną. Stał się rzeczywistym kierownikiem polityki zagranicznej i pozostał nim właściwie do śmierci. I mógł niewątpliwie w tej dziedzinie pochwalić się sukcesami. Piłsudski ocenił trafnie, że od czasu traktatu w Locarno położenie Polski stwarza jej stałe zagrożenia ze strony obydwu sąsiadów, ilekroć wchodzą ze sobą w porozumienie. I pod kątem tego zagrożenia wszystkie zagadnienia międzynarodowe musi Polska rozpatrywać, starając się jednocześnie, aby „nikt nic o nas bez nas nie decydował”.

Nie ulega też wątpliwości, że kilka przynajmniej lat po zamachu majowym przyniosło Polsce polepszenie sytuacji międzynarodowej, a także polepszenie położenia gospodarczego, co nie było już zresztą bezpośrednią zasługą Piłsudskiego.

III

Sądząc z cytowanych tu słów Liebermana, rolę Piłsudskiego w państwie należałoby określić w ten sposób: zachowuje dla siebie możliwość arbitrażu między różnymi tendencjami politycznymi i społecznymi — z tym, że podkreśla wyraźnie swą nadrzędność nie tylko w stosunku do ludzi, lecz także do instytucji ustrojowych, których kształtu i sposobów działania w sposób formalny nie zmienia. Z zachowania Piłsudskiego w ciągu co najmniej trzech lub czterech lat po zamachu majowym, a także — choć w mniejszym stopniu — z jego wypowiedzi wnosić by należało, że widział swe zadanie w państwie jako funkcję wychowawczą. Uważał, że formalne zmiany ustrojowe są mniej istotne lub w ogóle niepotrzebne, gdyż różnica między złym a dobrym funkcjonowaniem życia państwowego polega na „usunięciu nieprawości” z postępów i myśli ludzkich. Było to zadanie bardzo ambitne i bardzo trudne do zrealizowania. Dlaczego? Przede wszystkim z powodu braku wyraźnego określenia celu, jaki Piłsudski chciał osiągnąć. Przykładem, jednym z wielu, było jego przemówienie na zjeździe legionistów w Kaliszu w sierpniu 1927

roku. Przemawiając do oddanych mu bezgranicznie byłych żołnierzy i towarzyszy walki, Piłsudski rozszerzył gwałtowną krytykę, jaką dotychczas wyrażał w stosunku do polityków, a zwłaszcza do Sejmu, na całe społeczeństwo. Stawiał mu zarzuty małości, sobkostwa lub zgoła głupoty. Dawał cząstkowe przykłady na poparcie swojej oceny. Lecz nie dawał konkretnej recepty, co należy zrobić, żeby stan ten, skoro jest aż tak żałosny, poprawić i zmienić. Niemniej słowa „zmiana” i „poprawa” były myślą przewodnią jego wystąpienia.

Ten stan chaosu myślowego, niepewności i łączących się z nią obaw znajdował, rzecz jasna, odbicie w całym życiu politycznym. Lewica ze swym głównym trzonem w Polskiej Partii Socjalistycznej zajęła w Sejmie i w publicystyce stanowisko opozycyjne. Nie znaczy to oczywiście, by prawica, zawsze w stosunku do Piłsudskiego opozycyjnie nastawiona, zawarła z nim jakąś cichą ugodę czy chociażby zawieszenie broni. Natomiast przeszła w praktyce do innych metod działania, jak gdyby rezygnując z góry z możliwości osiągnięcia rezultatu w drodze normalnej opozycji sejmowej. Na niezbyt wyraźne lub po prostu niezrozumiałe hasła odpowiedzieli przywódcy Narodowej Demokracji, która wnet przemieni się po prostu w Stronnictwo Narodowe, także hasłem wychowania społeczeństwa. I tak w grudniu 1926 roku Roman Dmowski przystąpił do tworzenia Obozu Wielkiej Polski. Miał on szerzyć ideologię narodową również w oparciu o przesłanki przede wszystkim moralne i skupiając koło siebie przede wszystkim młodsze pokolenie. Zadaniem praktycznym tego ruchu nie miało być dążenie do szybkiego uchwycenia władzy, lecz reedukacja możliwie jak największej liczby Polaków i stworzenie w ten sposób podstaw pod przyszły ustrój nacjonalistyczny. Było więc w tym pewnego rodzaju podobieństwo metody, choć nie było podobieństwa celu. U Piłsudskiego bowiem przeważała idea związania wszystkich obywateli państwa polskiego wokół działania na rzecz wspólnego dobra, bez kładzenia szczególnego nacisku na elementy narodowe polskie. Była jednak między obydwoma koncepcjami także różnica ściśle praktyczna. Wynikała ona po prostu z faktu, że wychowawczej koncepcji Piłsudskiego służyć miał aparat władzy państwowej, który został uzależniony od jego woli.

Zawód, jaki Piłsudski sprawił lewicy, polegał nie tylko na tym, że nie „rozpędził” Sejmu i nie przeprowadził formalnych reform politycznych czy ustrojowych, lecz także na tym, że w sposób brutalny odciął się od wszystkich dotychczas istniejących stronnictw politycznych. Wprowadziło to sporo zamieszania i

nieporozumień wśród najbardziej mu oddanych zwolenników. Nie żądał od nich opuszczenia partii i ugrupowań politycznych, w których dotychczas działali, a działali przede wszystkim lub wyłącznie w środowiskach lewicowych, lecz przeciwnie, odmówił dania im jakichkolwiek instrukcji, które mogłyby zdradzić, jakie są jego długofalowe plany. Miało to w przekonaniu Piłsudskiego symbolizować jego obojętny, jeśli nie pogardliwy stosunek do wszystkich partii politycznych, a nawet do samej zasady działania politycznego przy pomocy stronnictw. Innym przykładem tego nastawienia było zbliżenie do środowiska konserwatywnego. Chodziło o silną nie ilościowo, lecz pod względem rzeczywistych wpływów, a także możliwości gospodarczych grupę obszarniczą czyli ziemiańską.

Zbliżenie takie nastąpiło i to za pośrednictwem zaufanego człowieka, jakim dla Piłsudskiego był Walery Sławek, bojowiec i swego czasu radykalny socjalista. Doszło do dwóch spotkań. Pierwsze odbyło się 25 października 1926 roku w Nieświeżu. Formalną przyczyną było zawieszenie krzyża *Virtuti Militari* na nagrobku Stanisława Radziwiłła, poległego w wojnie bolszewickiej ulubionego adjutanta Piłsudskiego. Drugim był zjazd konserwatystów w połowie września 1927 roku w Dzikowie, siedzibie Zdzisława Tarnowskiego. Sławek miał wówczas zawrzeć bliżej nieokreśloną umowę polityczną z ziemianstwem, o której dużo mówiono, choć bardzo mało było znanych szczegółów. Oburzona i zaniepokojona lewica, a za nią duża część społeczeństwa, posuwała się w swych domysłach aż do wniosku, że Piłsudski wraz z ziemianstwem przewiduje wprowadzenie w Polsce ustroju monarchistycznego. Rezultatem owego zbliżenia do kół konserwatywnych było rozluźnienie ich powiązań z Narodową Demokracją, co zapewne było konkretnym celem Piłsudskiego. Krok ten nie pociągnął za sobą, jak się obawiano, zawieszenia reformy rolnej ani jej modyfikacji na niekorzyść chłopów i bezrolnych. Przeciwnie, właśnie w tym okresie reforma rolna narreszcie zaczęła postępować naprzód, choć oczywiście nie w tym tempie, jakiego domagały się stronnictwa ludowe. Zasadnicza i podstawowa zmiana w taktyce politycznej Piłsudskiego nastąpiła w zimie 1928 roku, to jest w przededniu nowych wyborów do parlamentu. Pod ogólnym kierownictwem Sławka przystąpiono wówczas do tworzenia nowego stronnictwa. Miało ono zgrupować wszystkich zwolenników Piłsudskiego i pociągnąć za sobą większość społeczeństwa, o której nie bez racji myślano, że Piłsudskiemu sprzyja i w dalszym ciągu obdarza go zaufaniem.

Nową organizację nazwano Bezpartyjnym Blokiem Współ-

pracy z Rządem, chcąc tym samym odebrać mu znamiona partii politycznej, a nadać cechy bliżej nieokreślonego powszechnego ruchu solidarystycznego, w którym zmieścić się mieli ludzie o najróżniejszych, często sprzecznych poglądach pod wspólnym hasłem owej walki z „nieprawością”.

Decyzja ta mogła mieć swą podstawę albo w przekonaniu Piłsudskiego, że dzieło reedukacji społeczeństwa już się dokonało, czego wyrazem będzie Bezpartyjny Blok, albo też mógł on dojść do wniosku, że bez konkretnej organizacji politycznej trudno mu będzie kierować polityką państwową w ramach nie zmienionego dotychczas ustroju parlamentarnego.

Która z tych przesłanek była decydująca, nie dowiemy się zapewne nigdy. Ważniejszy natomiast był praktyczny rezultat. Bezpartyjny Blok zdobył co prawda dużo głosów i prawie 30 % mandatów w Sejmie, nie zdobył jednak większości i tym samym nie pozbawił wpływów i możliwości działania starych partii, nastawionych już bardzo opozycyjnie. Z tego też względu na wyborach w marcu 1928 roku kończy się pierwszy, eksperymentalny jak gdyby okres rządów pomajowych. Od roku 1928 ustawać zaczyna wyczekująca postawa społeczeństwa i podział na zwolenników i przeciwników Piłsudskiego nabiera znamion podziału stałego. Odtąd też element nacisku ze strony władzy państwowej na opinię publiczną i na ogół obywateli zajmować będzie coraz więcej miejsca w życiu kraju.

Owe niecałe dwa lata po zamachu majowym nie przyniosły więc pełnego zwycięstwa moralnego Piłsudskiego, na co prawdopodobnie liczył. Nie oznacza to jednak, by lata te nazwać można było okresem niepowodzeń i utraty popularności zarówno Piłsudskiego, jak i ludzi nie tyle w jego imieniu, ile pod jego nadzorem sprawujących rządy. Nastroje społeczeństwa były pomimo nasilenia głosów opozycyjnych w Sejmie bardzo dobre, co było w pewnej mierze skutkiem zadziwiającej poprawy położenia gospodarczego. Była ona widoczna na najważniejszym w Polsce odcinku rolnictwa, a także w przemyśle oraz w stabilizacji walutowej i budżetowej. I to pomimo wojny celnej z Rzeszą Niemiecką. Poprawiła się koniunktura dla węgla polskiego, podstawowego towaru eksportowego na rynki europejskie. Poprawę tę spowodował długotrwały strajk generalny w Anglii. Skandynawia, Włochy i Bałkany przerzuciły się wówczas na import węgla z Polski. Stan ten, dzięki dobrze pomyślanym umowom handlowym, udało się utrzymać także po zakończeniu strajku angielskiego. Bilans handlowy, dotychczas z reguły dla Polski niekorzystny, zaczął dawać przeciętną nadwyżkę trzydziestu kilku

milionów złotych miesięcznie. Przestał się chwiać kurs złotego, ustalając się nieco poniżej dziewięciu za dolara. Dzięki dobrej koniunkturze, a także dzięki sprawnej polityce skarbowej udało się zrównoważyć budżet państwowy, osiągając w roku 1927 prawie 300 milionów złotych nadwyżki i to pomimo podwyższenia płac urzędników i pracowników usług o 16 %. Siła nabywcza świata pracy podniosła się o prawie 20 %. Korzystne wyniki „planu stabilizacyjnego” ułatwią zaciągnięcie szeregu pożyczek zagranicznych w Londynie i Nowym Jorku, zużytych mądrze na inwestycje zarówno przemysłowe, jak i usługowe, przeprowadzane głównie w oparciu o samorząd gospodarczy poszczególnych miast, jak na przykład Warszawy i Poznania, lub całego województwa śląskiego. Widomym znakiem poprawy położenia gospodarczego i rozmachu było szybkie tempo budowy portu i miasta Gdyni, co było zresztą osobistą zasługą ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego. Postępowała też dość szybko budowa magistrali węglowej, czyli linii kolejowej łączącej Śląsk z wybrzeżem Bałtyku. Nie ulega wątpliwości, że te osiągnięcia gospodarcze stanowiły wyraźny kontrast w porównaniu z poprzednimi laty, co znajdowało swój wyraz w ogólnym uspokojeniu nastrojów, zwłaszcza wśród robotników. Bezrobocie przestało być złą, gdy liczba nie znajdujących pracy w przemyśle z 300 tysięcy w zimie 1926 roku spadła w październiku 1928 roku do 80 tysięcy.

Widoczne też było wzmocnienie pozycji polskiej — w sensie nie tylko gospodarczym, ale i politycznym — na arenie międzynarodowej. Ale była i odwrotna strona medalu, gdy chodzi o nastroje społeczeństwa w pierwszych latach rządów pomajowych. Tą odwrotną stroną były odosobnione co prawda, lecz przecież powszechnie komentowane wypadki gwałcenia praworządności w rozprawianiu się z niektórymi zdecydowanymi przeciwnikami zarówno Piłsudskiego, jak i jego koncepcji politycznych.

PIŁSUDSKI I OPOZYCJA

I

Pierwsze dwa lata okresu pomajowego upłynęły więc pod znakiem stabilizacji gospodarczej oraz wzmocnienia pozycji Polski

na arenie międzynarodowej. Tym zjawiskom, jak najbardziej pozytywnym, towarzyszyło swojego rodzaju ciche zawieszenie broni między partiami politycznymi reprezentowanymi w Sejmie i Senacie Rzeczypospolitej a ośrodkiem sprawującym rządy w oparciu o autorytet Piłsudskiego. Ów stan zawieszenia broni tłumaczono później na różne sposoby. Publicyści, socjalistyczni zwłaszcza, uzasadniali go chęcią nieprzeszkadzania Piłsudskiemu w opanowaniu rzeczywiście trudnej sytuacji gospodarczej i łączącej się z nią atmosfery niepokoju społecznego. Miałoby to oznaczać, że udzielali jak gdyby warunkowego kredytu zaufania nowemu systemowi rządów. Było to widoczne zwłaszcza w ciągu kilku miesięcy po zamachu majowym. Sytuacja na lewicy uległa zmianie z chwilą, gdy stało się zupełnie pewne, że Piłsudski nie szuka żadnych sprzymierzeńców w istniejących stronnictwach i że sprawę reform społecznych traktuje jako zagadnienie wtórne, w praktycznym wykonaniu odległe, bo mające być mechanicznym prawie rezultatem ogólnego przeobrażenia poglądów i nastrojów społeczeństwa. Od tej też chwili opozycja przeciwko niemu i przeciwko rządowi opierającym się wyłącznie o jego autorytet stała się jawna i otwarta, choć w swym działaniu bardzo wstrzeżliwa i ostrożna.

Natomiast prawica, przeciwna Piłsudskiemu lub, powiedziawszy wyraźniej, zdecydowanie wroga jego działalności nie tylko w niepodległym państwie w ciągu czterech lat sprawowania funkcji Naczelnika Państwa, lecz także w okresie walki o niepodległość, nie wysuwała się na czoło opozycji na forum sejmowym. Nie oznacza to bynajmniej, by Narodowa Demokracja była w stosunku do politycznych i społecznych koncepcji Piłsudskiego ustosunkowana bardziej przychylnie niż na przykład PPS, „Wyzwolenie” czy ugrupowania centrum w rodzaju Chrześcijańskiej Demokracji czy Narodowej Partii Robotniczej. Przeciwnie, ugrupowania narodowe skupione wokół moralnego i politycznego autorytetu Romana Dmowskiego były w stosunku do koncepcji Piłsudskiego, i to zarówno w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej, ustosunkowane nieprzejednanie, odrzucając z góry wszelką możliwość kompromisu. Koła te jednak i sam Roman Dmowski wychodziły z założenia, że właściwym polem walki i wszelkiego działania, o ile ma być na dłuższą metę skuteczne, powinno być całe społeczeństwo polskie, a nie jego niezbyt doskonała reprezentacja parlamentarna.

Zmiana taktyki działania po stronie zwolenników Piłsudskiego, podjęta pod koniec roku 1927 i zapewne podyktowana przez niego samego nie bez pomocy dwóch zaufanych ludzi, Walerego

Sławka i Stanisława Cara, polegała na stworzeniu własnej silnej grupy parlamentarnej, co do której wysnuwano w Belwederze nadzieje, że zdobędzie w wyborach większość. Ocena ta polegała na nieporozumieniu. Autorytet osobisty Piłsudskiego w dwóch pierwszych latach po zamachu majowym nie zmalał, a może nawet w szerokiej masie obywateli wzmoćnił się. Lecz przychylnie nastawienie do jego osoby nie znajdowało bynajmniej odpowiednika w chęci obdarzenia zaufaniem tych ludzi, którzy, jak to się mówiło, „w cieniu” Piłsudskiego Polską rządzili. Są wskazówki, że Piłsudski nie dostrzegał charakterystycznej dla ówczesnych stosunków dezorientacji, jaka panowała w kraju na temat znaczenia owej „sanacji moralnej”, którą wysuwał i jako lekarstwo na wszystkie bolączki, i jako program działania. Wybory w marcu 1928 roku przyniosły rozczarowanie zarówno jemu, jak i ludziom naprawdę mu oddanym. W społeczeństwie zaś wywołały daleko idące zastrzeżenia, czy walkę z partyjniactwem, hasło w zasadzie popularne, można i należy prowadzić przy pomocy nowej partii politycznej, pozbawionej w dodatku wyraźnego oblicza ideologicznego i programowego. Nie można było w Polsce zastąpić konkretnych propozycji reform czy konkretnego zarysu działalności politycznej wezwaniem do ślepego zaufania w stosunku do kogokolwiek — nawet do człowieka, który dla każdego Polaka był postacią w całym tego słowa znaczeniu historyczną i okrytą sławą ogromnych zasług politycznych i wojennych. Okazało się, że nie obrzucając Piłsudskiego epitetami, jak to czyniono na prawicy, także lewicowo lub umiarkowanie nastawione grupy społeczne chciały wiedzieć z góry, do czego mają dążyć i o co w Polsce mają się starać. Można by tu zaryzykować twierdzenie, że pozostając przy dotychczasowym systemie zupełnego wyłączenia się z powiązań partyjnych, Piłsudski i powoływane przez niego rządy mogłyby osiągnąć więcej i łatwiej niż przy poparciu sztucznie zorganizowanej grupy parlamentarnej.

Grupa ta, o wszystkich znamionach partii z wyjątkiem określonego programu, nazywała się w sposób, który dla niejednego brzmiał komicznie. Zabawną stroną tej nazwy podchwyciła szybko polska prasa humorystyczna i satyryczna już przy upadku pierwszego rządu po wyborach. Pisała wówczas, że BBWR jest blokiem współpracy z byłym rządem, chce być blokiem współpracy z przyszłym rządem, a będzie blokiem współpracy z każdym rządem. Utworzenie BBWR spowodowało wystąpienie ze starych stronnictw wielu bardzo wybitnych ludzi, zawsze Piłsudskiemu oddanych, a nawet należących do jego bezpośrednich współpracowników. Do takich należał na przykład Jędrzej Mora-

czewski, człowiek, z którego nazwiskiem historia Polskiej Partii Socjalistycznej była związana w równym nieomal stopniu co z nazwiskiem Ignacego Daszyńskiego. Znaleźli się oni w owym bloku współpracy lub w kilku pomniejszych ugrupowaniach różniących się od BBWR tylko nazwą, jak na przykład Narodowo-Państwowy Blok Pracy lub Związek Chłopski skupiający kilku secesjonistów z „Piasta” i „Wyzwolenia”. Inni kandydaci, którzy znaleźli się na listach BBWR, tworzyli dość dziwną mieszankę, gdyż byli tam skrajni konserwatyści ziemiańscy obok ludowców, socjalistów, przedstawiciele mniejszości narodowych i ludzi naprawdę bezpartyjnych. Ów szeroki wachlarz kandydatów miał stanowić główną atrakcję nowego ugrupowania politycznego. Jeśli nią był, to raczej krótko, gdyż w opinii publicznej zakorzeniło się dość szybko mniemanie — dodajmy, że nie zawsze uzasadnione — że członkowie BBWR są w większości oportunistami politycznymi bądź też zwykłymi karierowiczami. Opinia ta zaczęła przeważać, a w niejednym zbliżyć się do prawdy przy następnych wyborach, które odbyły się już w listopadzie 1930 roku, to znaczy po upływie zaledwie połowy kadencji nowego Sejmu. Ten też okres między marcem 1928 i wrześniem 1930 roku uznać należy za zwrotny w dwudziestolecie międzywojennym. Do roku 1928 bowiem trwała rzeczywista poprawa ogólnego położenia Polski, z czym łączyły się poprawa nastrojów, wzmoczenie energii i ogromna doza optymizmu. Natomiast lata 1928-30 były okresem próby i to próby podwójnej. Z jednej strony oczekiwano na pozytywne skutki usprawnienia życia państwowego, zapoczątkowanego przez zamach majowy, a które miały mieć oparcie w „sanacji moralnej”, czyli naprawie systemu rządzenia i to na wszystkich szczeblach, rozwiązaniu trudnych problemów, jak chociażby problem mniejszości narodowych, dźwignięciu się gospodarczym kraju i wyraźnych, rzeczywistych postępach w dziedzinie niwelacji różnic społecznych. Lecz ten właśnie okres przyniósł pogorszenie sytuacji w porównaniu z wynikami osiągniętymi między rokiem 1926 a 1928. Pogorszenie to nie objęło na szczęście politycznego położenia Polski na arenie międzynarodowej. Przeciwnie — na tym polu zaznaczał się wzrost jej znaczenia i umocnienie jej pozycji, co niewątpliwie zaliczyć należy do zasług Piłsudskiego, który w tej dziedzinie wystrzegał się ogólników i niejasności, jakie cechowały jego politykę wewnętrzną. Nie on też i nie jego rządy — czy jego „obóz”, jak już wówczas mówiono — ponoszą odpowiedzialność za skutki ogólnoswiatowego kryzysu gospodarczego, który rozpoczął się właśnie w roku 1929, a od których Polska uchronić się nie mogła, tak

jak się nie uchroniło żadne państwo w Europie, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych. Nie tu więc kierować należy ostrze krytyki historycznej, lecz na odcinek polityczno-wewnętrzny, na którym okazało się dowodnie, że w Polsce żadne uszczuplenie praw obywatelskich, żadne posunięcie sprzeczne z zasadami demokracji i żadne pogwałcenie praworządności nie może nigdy przejść bez reakcji, bo się na to społeczeństwo nie zgodzi.

Terenem walki był w dalszym ciągu Sejm. Nie miał siły czy też nie miał odwagi przeciwstawić się Piłsudskiemu w sposób zdecydowany i stanowczy. Miał jednak dość sił, by utrudnić pracę rządu, i dość odwagi, by krytykować i potępiać to wszystko, co na krytykę i potępienie w działaniu rządu zasługiwało.

Sejm wybrany w roku 1928 miał na swych ławach około 130 członków Bezpartyjnego Bloku i pokrewnych ugrupowań. Prawica, ograniczona już tylko do Związku Ludowo-Narodowego, miała wszystkiego 37 posłów. Centrum, to jest Chrześcijańska Demokracja, Narodowa Partia Robotnicza i „Piast”, miało razem 54 posłów. 86 należało do stronnictw reprezentujących mniejszości narodowe, w tym 11 do ugrupowań komunistycznych. Komunistów polskich było 7. Polska lewica — to znaczy PPS, „Wyzwolenie” i Stronnictwo Chłopskie — liczyła razem 130 posłów, to znaczy dokładnie tyle, iloma w głosowaniach dysponował rząd. Między tymi dwiema grupami toczyła się coraz bardziej zacięta walka, przybierająca chwilami znamiona walki o symbole — o symbol godności marszałka Sejmu (był nim Ignacy Daszyński), o symbol możliwości kontrolowania budżetu poszczególnych resortów, o symbol nadrzędności władzy ustawodawczej nad wykonawczą. W walkach tych pozostałe ugrupowania poselskie głosowały rozmaicie, gdyż centrum często popierało politykę rządu, a z reguły odmawiało poparcia wnioskowi godzącemu osobiście w osobę Piłsudskiego. Jedną z najbardziej zaciętych kampanii, w którą Piłsudski zaangażował się jednak osobiście, z fatalnym skutkiem dla dalszego biegu wypadków, a także dla własnego zdrowia i równowagi psychicznej, była afera ministra Gabriela Czechowicza. Sejm postanowił go oddać pod Trybunał Stanu za wydatkowanie 8 milionów złotych na cele agitacji wyborczej Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Piłsudski wziął odpowiedzialność na siebie, gdyż w tym okresie chwilowo sprawował funkcje premiera. Wytworzył się impas, gdyż — jak to określił Herman Lieberman — „Piłsudski jako postać historyczna przed sądem znaleźć się nie może”. Wina Czechowicza była niewielka, miał on posłużyć jako kozioł ofiarny. Każdy

o tym wiedział, namiętności jednak wrzały. Uległ im także Piłsudski, dając temu wyraz w jednym z najgwałtowniejszych i obelżywych pod adresem Sejmu i wszystkich polityków wywiadów prasowych pod tytułem „Dno oka” z 7 kwietnia 1929 roku. Punktem szczytowym jednak i zarazem zamykającym dwu i półletni okres bezsilnej szamotaniny między Piłsudskim i opozycją parlamentarną był nakaz aresztowania i osadzenia w więzieniu wojskowym w Brześciu nad Bugiem 23 wybitnych polityków i posłów po rozwiązaniu Sejmu we wrześniu 1930 roku.

II

Przebiegiem aresztowania, pobytem w więzieniu brzeskim i procesem działaczy i polityków opozycyjnych zajmiemy się szczegółowo przede wszystkim z tego względu, że stanowiło to ciemną plamę odbijającą w sposób bolesny od ogólnego tła życia w Polsce międzywojennej. Oczywiście przykłady gwałcenia praworządności i praw obywatelskich przez władze w okresie pomajowym nie wytrzymują z perspektywy lat porównania z tymi wszystkimi gwałtami, przejawami terroru i gwałcenia praw ludzkich, jakich doświadczyć miała Polska później. I nie tylko Polska. Zbrodnie dokonywane przez władzę na własnych tylko obywatelach w Niemczech hitlerowskich, we Włoszech faszystowskich i w Związku Sowieckim przekraczają swym ogromem i potwornością wszystko, co się złego z winy władz w okresie międzywojennym w Polsce przydarzyło. Nie to jednak stanowi podstawę osądu historycznego. Mówiąc o dziejach Polski, jako kryterium osądu przyjmować musimy nie porównania, lecz przekonania i nastrój dominujący w określonym czasie nie u kogo innego i nie gdzie indziej, tylko wśród Polaków i na terytorium ich własnego, w pełni wówczas niepodległego państwa.

Z jeszcze jednego powodu aresztowanie posłów opozycyjnych i późniejszy ich proces zasługiwać muszą na szczególną uwagę w każdym studium dziejów dwudziestolecia. Po sprawie brzeskiej można mówić w Polsce o rządach sprawowanych bez oparcia o swobodnie wyrażaną opinię obywatelską. Po roku 1930 Sejm rzeczywiście „współpracuje” z rządem, lecz nie dlatego, że taka jest niezaprzeczalna wola społeczeństwa, tylko dlatego, że przy pomocy środków, które jako praworządne określone być nie mogą,

rząd zapewnił sobie w tym parlamencie większość. Adam Próchnik, autor pisanego na żywo i pod wrażeniem wydarzeń dzieła historycznego pod tytułem „Pierwsze piętnastolecie Polski Niepodległej”, przyjmuje właśnie tę datę jako cezurę między okresem rządów parlamentarnych a dyktaturą w Polsce. Jest to zapewne pogląd zbyt krańcowy, gdyż dyktatura w sensie absolutnym nie istniała w Polsce ani w ciągu pięciu lat, jakie pozostały jeszcze Piłsudskiemu do śmierci, ani pod rządami jego następców. Nie było też o niej mowy w najcięższym dla państwa polskiego okresie, jakim bezsprzecznie były lata wojny bolszewickiej. Niemniej pewna periodyzacja dwudziestolecia niepodległości polskiej, wtedy zwłaszcza, gdy mówimy o jej dziejach wewnętrznych, jest konieczna, choćby po to, by uniknąć uogólnień i uproszczeń. Otóż czternaście lat, jakie dzielą zamach majowy w 1926 roku od wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku, rozpada się na odcinku wewnętrznych dziejów Polski na cztery okresy. Pierwszy trwał do roku 1928 i jego cechą charakterystyczną była polityka oparta o wewnętrzne przekonanie Piłsudskiego, że przy pomocy hasła „sanacji moralnej” pociągnie za sobą zdecydowaną większość społeczeństwa. Okres drugi to rok i kilka miesięcy między wyborami do Sejmu w marcu 1928 i aresztowaniem posłów we wrześniu 1930 roku. W tym krótkim okresie Piłsudski próbował podeprzeć swój ściśle idealistyczny sposób postępowania akcją zorganizowaną, tworzeniem wyraźnej grupy swoich zwolenników. Zewnętrznym tego wyrazem było powstanie BBWR. W 1930 roku nastąpił więc przełom i Piłsudski, unikając w dalszym ciągu formalnej dyktatury, zaczął rządzić bez oglądania się na parlament, zamieniając tym samym swój program „sanacji moralnej” w metodę uzdrawiania społeczeństwa wbrew jego woli. Był to trzeci okres rządów pomajowych w Polsce. Czwartym były rzecz jasna lata między śmiercią Piłsudskiego a wrześniem 1939 roku.

Po roku 1930 nie można już w Polsce mówić o rządach parlamentarnych, choć bezsprzecznie parlament dalej działał i błędem byłoby mniemać, że był ciałem całkowicie bezsilnym, gdyż z jego głosem w pewnym sensie w dalszym ciągu liczyć się musiano. Błędem także byłoby sądzić, że tego rodzaju rozwój wypadków był wynikiem osobistych tylko decyzji Piłsudskiego i że każdy przełom lub ważne wydarzenie było wynikiem jego przemyśleń lub jego zniecierpliwienia. Przeciwnie, Piłsudski sprawom wewnętrznym — i to w najszerszym znaczeniu tych słów — poświęcał stosunkowo mało czasu i uwagi. Ingerował raczej od przypadku do przypadku i to, dodajmy, zwykle jeśli przypad-

ki krzyżowały w jakiś sposób jego zamierzenia bądź stanowiły zaprzeczenie jego tezy o możliwości naprawy stosunków przy pomocy apeli o uzdrowienie moralne. Jak widzieliśmy, Sejm stosował politykę wyczekiwania z dużą gotowością do współpracy, pomimo dość żywej krytyki poszczególnych pociągnięć rządowych. Dzięki temu aż do roku 1930 każdy rząd Piłsudskiego, a premierzy zmieniali się dość często, mógł mieć co prawda sporo kłopotów, zwłaszcza prestiżowych, z Sejmem, lecz w sprawach naprawdę istotnych, ku powszechnemu nieraz zdumieniu, ten właśnie Sejm z opozycyjną większością uchwalał budżet i zatwierdzał dekrety przygotowywane przez rząd. Duża w tym niewątpliwie zasługa kilku ludzi w rządach tych biorących udział. Wśród nich najważniejszą postacią był kilkakrotny premier, Kazimierz Bartel. On to właśnie reprezentował kierunek unikania zadrażnień i swobodnego kompromisu polegającego na zdobywaniu poparcia w opozycyjnym parlamencie przy pomocy wykazywania się konkretnymi i pozytywnymi wynikami pracy rządu. Sam był człowiekiem nie związanym z żadnym ugrupowaniem, nie obciążonym żadnym bagażem powiązań personalnych poza osobistą przyjaźnią z Piłsudskim. Piłsudski głos jego cenił, co nie oznacza bynajmniej, by pozostawał pod przemożnym jego wpływem. Wpływ coraz większy na Piłsudskiego zdobywali natomiast ludzie związani z nim wspólną przeszłością polityczną i wojenną. Z nich rekrutowała się tak zwana „grupa pułkowników”, zmierzająca do systemu „rządów silnej ręki” i znecierpliwiona zarówno „kunktatorską”, jak ją określali, polityką Bartla, jak i utopijnymi nadziejami automatycznej „sanacji moralnej”. Wśród ludzi tych rolę czołową odkrywały takie jednostki jak Walery Sławek, Stanisław Car lub Adam Koc, a także Bogusław Miedziński. Nieśłusznie jednak z grupą tą związane z czasem nazwisko Józefa Becka, chyba tylko z tej przyczyny, że dosłużył się w wojsku również stopnia pułkownika.

„Grupa pułkowników”, co jest oczywiście określeniem symbolicznym, gdyż należało do niej sporo ludzi z wojskiem w ogóle nie związanych, dążyła do wyeliminowania opozycji z wpływu na życie państwa. Pierwszą formalną oznaką, że Piłsudski skłonny jest do zdania tej grupy się przychylić, było powierzenie na okres kilku miesięcy właśnie w roku 1930 — 31 marca — stanowiska premiera Sławkowi. Sławek już przedtem wystąpił w Sejmie z projektem zmiany konstytucji, zmiany idącej bardzo daleko w kierunku wzmocnienia władzy wykonawczej i przekształcenia Sejmu w starannie dobrane ciało doradcze. Projekt ten, rzecz jasna, napotkał na gwałtowny sprzeciw i nie dostał się

nawet pod obrady. Był jednak o tyle ważny historycznie, że przeważył szalę cierpliwości czy wyrozumiałości wśród działaczy lewicy sejmowej oraz sejmowego centrum. Był bowiem w pewnej mierze odsłonięciem przyłbicy przez przeciwników parlamentaryzmu i zapowiedzią, w jakim kierunku ma pójść ewentualna reforma ustroju.

W roku 1929 opozycja przeszła do ataku. Jej trzonem była Polska Partia Socjalistyczna, przy której skupiły się Chrześcijańska Demokracja, Narodowa Partia Robotnicza oraz stronnictwa ludowe, przede wszystkim „Piaś”, „Wyzwolenie” i Stronnictwo Chłopskie. Organizacyjnie stworzono porozumienie pod nazwą Centrolewu, to znaczy porozumienie stronnictw centrum i lewicy. Natomiast nie było żadnych prób zbliżenia Centrolewu z opozycją pravicową. Wodźami Centrolewu stali się ludzie o wielkich w Polsce nazwiskach, jak Korfanty, Witos czy Daszyński, który — jak wiadomo — był niegdyś najdłużej i najbliżej z Piłsudskim związany. On to zresztą jeszcze w roku 1929 próbował osiągnąć porozumienie z Piłsudskim i nakłonić go do szukania oparcia właśnie w stronnictwach lewicy i centrum, by przy ich pomocy opracować program reform nie naruszających jednak zasady supremacji parlamentu w życiu państwowym. Plan ten, gdyby był doszedł do skutku, dałby Centrolewowi w połączeniu z klubem parlamentarnym BBWR absolutną większość w Sejmie.

Lecz współpracę tego rodzaju Piłsudski odrzucił. W dodatku odmowę swą wzmocnił publicznym poniżeniem Daszyńskiego jako marszałka Sejmu przy okazji otwarcia sesji budżetowej 31 października 1929 roku. Był to wstęp do sprawy brzeskiej. Jej przyczyną bezpośrednią był rozpoczęty 29 czerwca 1930 kongres Centrolewu w Krakowie. Kongres ten zapowiadał bezwzględną walkę przeciwko systemowi rządów, za których odpowiedzialność opozycja składała na Piłsudskiego.

III

W marcu 1930 roku gabinet Bartla nie uzyskał wotum zaufania. W Sejmie przeciwko wnioskowi głosowało 243 posłów, a za wnioskiem 190. Wotum nieufności zdarzało się dotychczas

dosyć często, lecz na miejsce ustępującego rządu powoływano nowy o prawie identycznym składzie, który w swoim *exposé* przedstawiał Sejmowi dokładnie te same wnioski co rząd poprzedni. Teraz stało się inaczej. Premierem zostawał człowiek, o którym wiadano powszechnie, że dąży do zmiany konstytucji, do zasadniczej przebudowy ustroju i metod rządzenia. Walery Sławek w swym pierwszym przemówieniu stwierdził wyraźnie, że następuje „końcowa faza współżycia z Sejmem”.

Nie wchodząc bliżej w dociekanie, co tego rodzaju zapowiedź miała oznaczać, opozycja centrowo-lewicowa postanowiła na nią odpowiedzieć w sposób energiczny z jasno określonym celem zmuszenia Piłsudskiego do odsunięcia się od spraw państwowych, a prezydenta Rzeczypospolitej do ustąpienia. Taki przynajmniej program ogłosił Centrolew. W bezpośredniej odpowiedzi na słowa Walerego Sławka Centrolew przypuścił w Sejmie gwałtowny atak na przedłożony przez rząd projekt reformy podatkowej oraz zażądał wznowienia sprawy Czechowicza. Samemu Czechowiczowi zależało jak najbardziej na formalnym oczyszczeniu się ze wszystkich zarzutów. Pragnął tego tak bardzo, że w niedługim czasie wystąpił z krytyką rządu, do którego należał, i to na łamach *Robotnika*, organu PPS. Dla jasności obrazu dodać tu wypada, że istotą sprawy Czechowicza nie były wysunięte przeciwko niemu zarzuty formalne, poparte zresztą w części orzeczeniem Najwyższej Izby Kontroli Państwa, lecz fakt, że w wyborach sejmowych w roku 1928 rząd przy pomocy środków administracyjnych popierał swoje ugrupowanie, stosując tym samym nacisk na wyborców. Tego rodzaju zjawisko było w istocie rzeczy pogwałceniem praworządności, a reakcja na nie była tym gwałtowniejsza, że zarówno wybory do Sejmu Ustawodawczego w roku 1919, jak i wybory w roku 1922, odbywały się w warunkach idealnej swobody wyborców bez żadnych ingerencji ze strony rządu.

Odpowiedzią Sławka, a raczej Piłsudskiego, na wystąpienie Centrolewu było kilkakrotne zawieszanie sesji sejmowych, bez podawania logicznego uzasadnienia. W tej sytuacji Centrolew postanowił pójść dalej i szukać osiągnięcia swoich celów politycznych poza Sejmem, w oparciu o całe społeczeństwo. Punktem wyjścia miało być zwołanie kongresu Centrolewu, na którym miano się odwołać bezpośrednio do ogółu obywateli, przedstawić im konkretny program działania i przygotować jego realizację. Kongres był pomyślany jako manifestacja pod hasłem „walki o prawo, wolność i usunięcie dyktatury”. Była to manifestacja, w której udział wzięło kilkadziesiąt tysięcy ludzi, choć nigdy

nie ustalono dokładnej liczby. Większość uczestników stanowili chłopci i robotnicy z najbliższych okolic Krakowa, co nie oznacza jednak, by Kongres nie miał poparcia i zrozumienia także w daleko od Krakowa położonych miejscowościach. Kongres był legalny, to znaczy zwołany zgodnie z prawem, czego najlepszym dowodem było, że krakowskie urzędy śledcze odmówiły wszczęcia jakichkolwiek dochodzeń. Nie można jednak tak samo zakwalifikować wszystkich przemówień wygłoszonych na Kongresie, gdyż niektóre z nich wybiegały nawet poza granice obyczajowo dopuszczalne na wiecach i zgromadzeniach politycznych. Cechowała je zresztą duża namiętność i nie tylko retoryczne nawoływanie do zastosowania w walce z rządem środków niekonstytucyjnych lub po prostu zabronionych przez prawo. Uchwalona rezolucja mówiła o „walce o usunięcie dyktatury Józefa Piłsudskiego aż do zwycięstwa” i zapowiadała, że „na każdą próbę zamachu stanu odpowiemy najbardziej bezwzględny oporem” i że „na każdą próbę terroru odpowiemy siłą fizyczną”. Rezolucja szła nawet dalej, występując przeciwko głowie państwa, o której tak mówiono: „Prezydent Rzeczypospolitej, niepomny swej przysięgi, stanął otwarcie po stronie dyktatury” i przeto „powinien ze stanowiska Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej ustąpić”.

Politycznie bardzo niebezpieczna i nieprzemyślana była ta część rezolucji, która w sposób zupełnie otwarty wzywała w sukurs opozycji rządu i środowiska zagraniczne. Chodzi tu o następujący punkt rezolucji: „Wobec rządu zamachu społeczeństwo będzie wolne od jakichkolwiek obowiązków, a zobowiązania wobec zagranicy nielegalnego rządu nie będą uznane przez Rzeczypospolitą”. Była to więc wyraźna zapowiedź wypowiedzenia posłuszeństwa, czyli kroków rewolucyjnych. Określenie rządu jako „nielegalnego” nie miało uzasadnienia ani prawnego, ani historycznego, gdyż jeśli nie sam zamach stanu w maju 1926 roku, to jego skutki zostały przez parlament w sposób jak najbardziej formalny zatwierdzone i uprawomocnione. Jeśli jednak te sformułowania rezolucji Centrolewu złożyć można na karb rozognienia towarzyszącego walce politycznej, to stwierdzenie wobec rządów innych państw, że zobowiązania rządu polskiego nie będą honorowane, było niewątpliwie wielkim błędem, który — choć nieprzemyślany — miał znamiona przestępstwa konstytucyjnego. Miał też skutki praktyczne. W roku 1930 Polska zaczęła już wyraźnie odczuwać konsekwencje światowego kryzysu gospodarczego. Dotychczasowy rozmach gospodarczy uległ zahamowaniu, wzrastała zastraszająco liczba bezrobotnych i występował niedo-

statek kredytów koniecznych dla dalszych inwestycji. O kredyty te zabiegano na rynkach światowych w koniunkturze bardzo już złej i niezależnej od rządu w Warszawie, lecz spowodowanej załamaniem się całokształtu gospodarki świata kapitalistycznego. W tej sytuacji apel o nieudzielanie Polsce kredytów dopóki nie nastąpi zmiana rządu czy raczej systemu rządów, zadać mógł bolesny w skutkach cios gospodarce kraju.

Przywódcy Centrolewu przecenili swe wpływy w społeczeństwie. Centrolew miał absolutną przewagę w Sejmie. Przewagę tę zdobył w powszechnych wyborach. Niemniej wezwanie do jawnego przeciwstawienia się rządowi, a mówiąc ściślej autorytetowi Piłsudskiego, w walce pozaparlamentarnej nie znalazło zbyt żywego odzewu. Piłsudski w przekonaniu znacznej części społeczeństwa był w dalszym ciągu ową „niedotykalną postacią historyczną”, jak go jeszcze niedawno nazywał Daszyński. Lecz także w kręgach jak najbardziej Piłsudskiemu przeciwnych i popierających opozycję prawicową, to znaczy Narodową Demokrację, hasło, program i metody działania proponowane przez Centrolew spotkały się z wyraźną niechęcią, chociaż powody tej niechęci były zupełnie inne.

Nie ma żadnych dowodów na to, by Piłsudski liczył się poważnie z rewolucją jako ze skutkiem kongresu Centrolewu. Mówił co prawda, że lepiej zamknąć kilku ludzi niż dopuścić „do rozlewu krwi w dwudziestu trzech miastach”, lecz więcej w tym było gniewu i zdenerwowania niż rzeczywistej obawy. Liczba „dwudziestu trzech miast” pozostawała w związku z zapowiedzią zwołania nowych manifestacji Centrolewu właśnie w 23 ośrodkach. Do manifestacji tych nie doszło.

23 sierpnia Piłsudski zastępuje Sławka na stanowisku premiera. 29 sierpnia prezydent rozwiązuje Sejm i Senat, ogłaszając nowe wybory na połowę listopada. 10 września na podstawie zarządzenia ministra spraw wewnętrznych, generała Składkowskiego, aresztowano 19 posłów, bez jasno określonego uzasadnienia, choć podzielono ich później na grupy. Jednym postawiono zarzuty natury finansowej, innych obwiniono ogólnie o działalność antypaństwową. Wybór 19 posłów był raczej przypadkowy, niektórzy z nich nie brali nawet udziału w kongresie Centrolewu. Co prawda w ciągu kilku następnych tygodni aresztowano, na krótko zresztą, dodatkowych kilkudziesięciu posłów, lecz nie umieszczono ich w Brześciu. Wyjątkiem był Wojciech Korfanty, którego osadzono dopiero po rozwiązaniu Sejmu Śląskiego, a więc gdy skoczyła się jego nietykalność poselska, którą

to autonomiczne ciało było objęte. Jaki by nie był zarzut, aresztowanie posła inaczej niż w drodze uchwały sejmowej było w Polsce możliwe tylko po skończeniu kadencji lub po rozwiązaniu Sejmu. To tłumaczy, dlaczego aresztowania nastąpiły dopiero we wrześniu. Wyboru przeznaczonych do twierdzy brzeskiej dokonał sam Piłsudski, zaznaczając ich nazwiska na przedłożonej sobie liście. Znaleźli się wśród nich ludzie o głośnych nazwiskach, a także mniej znani. Sześciu należało do PPS. Byli to Herman Lieberman, Adam Pragier, Adam Ciołkosz, Stanisław Dubois, Mieczysław Mastek i Norbert Barlicki. Z „Wyzwolenia” Kazimierz Bagiński i Józef Putek, dalej Adolf Sawicki ze Stronnictwa Chłopskiego, a z „Piasta” Wincenty Witos i Władysław Kiernik. Karol Popiel był posłem Narodowej Partii Robotniczej. Z niejasnych powodów aresztowano dwóch posłów Stronnictwa Narodowego, Aleksandra Dębskiego i Jana Kwiatkowskiego. Ponadto pięciu posłów ukraińskich. Ich osoby, rzecz jasna, nie miały żadnego związku z Centrolewem, lecz miały związek z narastającą od szeregu już lat, a dochodzącą obecnie do punktu wrzenia akcją separatystyczną, z punktu widzenia polskiego prawa państwowego przestępczą.

Osadzenie w twierdzy w Brześciu nad Bugiem było formalnie aresztem śledczym. Czyli tam właśnie miano przygotować akt oskarżenia przeciwko uwięzionym, co należało do kompetencji władz sądowych. Oddanie ich pod nadzór władz wojskowych na czas śledztwa nie było zgodne z prawem. Nie w tym jednak leżała istota rzeczy, lecz w fakcie, że aresztowanych poddano upokorzeniom i zwykłym brutalnym torturom fizycznym. One też przede wszystkim wzbudziły falę powszechnego oburzenia w społeczeństwie polskim, nie znoszącym gwałtu, zwłaszcza popełnianego na ludziach, którzy, jak w wypadku Witosza (choć nie tylko jego), należeli do czołowej grupy zasłużonych Polaków.

IV

Wiadomość o aresztowaniu posłów opozycyjnych i osadzeniu ich w wojskowym więzieniu przyjęto w Polsce ze zdumieniem, które w pierwszej chwili brało górę nad oburzeniem. Był to krok tak niezwykle, że jako jedyne wytłumaczenie w rozmowach i w prasie wysuwano pogląd, iż chodzi tu o uniemożliwienie

kilkunastu czołowym przywódcom wzięcia udziału w kampanii wyborczej. Cztery dni po aresztowaniach Piłsudski w wywiadzie prasowym tłumaczył je w sposób bardzo ogólny jako konieczność pociągnięcia aresztowanych do odpowiedzialności za bliżej nieokreślone „postępki” w dotychczasowej ich działalności. Nie nazwał ich wyraźnie przestępstwami konstytucyjnymi. W rzeczywistości jego wywiad sprawy nie wyjaśnił, lecz przeciwnie, zaciemnił. O traktowaniu aresztowanych w samym Brześciu i w czasie przewożenia ich do twierdzy krążyły tymczasem tylko pogłoski, gdyż o konkretnych faktach dowiedziano się dopiero po ich zwolnieniu w końcu grudnia, a również z interpelacji zgłoszonej już w nowoobranym Sejmie. Wyszło wówczas na jaw, że z wyjątkiem Witosy i Pragiera wszystkich aresztowanych pobito pasami lub kijami. Najmocniej pobito Liebermana, którego do Brześcia przywieziono nieprzytomnego. W samym więzieniu poddawano ich rozmaitym upokorzeniom, zmuszając także do bezsensownej pracy jak zamiatanie korytarzy w przysiadzie czy wynoszenie śmieci i gruzów. Dowiedziano się również, że tego rodzaju zabiegi już w Brześciu odbywały się pod osobistym kierownictwem pułkownika Wacława Kostka-Biernackiego, oraz kilku podległych mu oficerów, wśród których nazwisko majora Władysława Ryszanek powtarzało się najczęściej. Warto tu może przytoczyć rozmowę, jaką z Ryszankiem odbył w więzieniu Adam Pragier. Znamy ją z książki Pragiera „Czas przeszły dokonany”. Otóż Ryszanek w naiwności swojej nie widział niczego złego we własnym postępowaniu, a z nieznanym bliżej przyczyn wyrażał się jak najgorzej o Wincencie Witosie. Pragier, przypominawszy mu, że Witos był trzykrotnym premierem i że stał na czele Rządu Obrony Narodowej w najtragiczniejszych i najbardziej niebezpiecznych dla Polski tygodniach wojny bolszewickiej, stwierdził na koniec: „To, że w Brześciu jest Witos i że pan go tutaj pilnuje, będzie miało ten skutek, że kiedy już i Witosy, i pana nie będzie na świecie, nazwisko pana nie utonie w niepamięci, ale będzie nie raz przez historyków wymieniane. Witos wprowadził pana do historii”. Pragier dodaje, że Ryszanek po-dejrzewał, że „kpię sobie z niego”.

Nie ulega wątpliwości, choć nie było to wówczas dla każdego jasne, że — pomijając jej aspekty prawno-konstytucyjne — „sprawa brzeska” była w sensie ściśle politycznym największym błędem Józefa Piłsudskiego. Była błędem, mimo, że na krótką metę, właśnie w jesiennych wyborach roku 1930, przyniosła obozowi rządowemu wyraźne korzyści. Z tego przede wszystkim powodu, że rzeczywiście zdeorganizowała opozycyjny front Cen-

trolewu. Zdumieniu bowiem i narastającemu oburzeniu z powodu Brześcia nie towarzyszyła żadna zdecydowana reakcja większości społeczeństwa. Odbływały się co prawda dość liczne manifestacje, jak na przykład w Warszawie czy w Toruniu, lecz mieściły się one w normalnym nastroju przedwyborczego podniecenia. Słowo „Brześć” pojawiało się na łamach prasy i w przemówieniach, lecz raczej jako hasło, któremu nie nadawano zbyt dużego znaczenia. Opinia bowiem czekała ciągle na sprecyzowanie zarzutów, na ujawnienie ich w normalnym przewodzie sądowym i na wyrok sądu. Przed sądem jednak stanęli aresztowani, i to tylko niektórzy z nich, dopiero po roku. I wówczas dopiero sprawa brzeska nabrała posmaku swoistej tragedii narodowej.

Do wyborów Centrolew wystąpił ze wspólną listą, do której jednak nie przyłączyła się Chrześcijańska Demokracja. Wspólna lista otrzymała nazwę Związku Obrony Prawa i Wolności Ludu. W głosowaniu do Sejmu zgromadziła około 18 % głosów. Co ciekawsze, idąc do wyborów pod jedną listą Centrolew rozpadł się w Sejmie na szereg klubów, zorganizowanych w oparciu o dawne stronnictwa, jak PPS, Stronnictwo Chłopskie, „Wyzwolenie”, „Piaś” i Narodowa Partia Robotnicza.

Najsilniejszym ugrupowaniem opozycyjnym okazało się Stronnictwo Narodowe, na które padło 14 % głosów i które uzyskało 62 mandaty poselskie. W swej akcji wyborczej Stronnictwo Narodowe od Centrolewu wyraźnie się odcięło. Znaczemu osłabieniu uległy też stronnictwa reprezentujące mniejszości narodowe. Duża część wyborców żydowskich głosowała na BBWR. W nowym Sejmie najsilniejszym spośród stronnictw mniejszości miał stać się Klub Ukraińsko-Białoruski, umiarkowany w swych wystąpieniach. Osłabienie wpływów stronnictw reprezentujących mniejszości narodowe nie było jednak bynajmniej odzwierciedleniem jakiegś zmiany nastrojów czy zmiany poglądów. Przynajmniej tak było, gdy chodzi o największą grupę słowiańską, to znaczy o Ukraińców.

Jeśli bowiem sprawa brzeska była pomyślana jako cios zadany opozycji polskiej, a przynajmniej polskiej lewicy i centrum, to w stosunku do mniejszości ukraińskiej zastosowano sposób nie mniej brutalny, choć pod wieloma względami zarówno politycznie jak i prawnie o wiele lepiej uzasadniony. Mianowicie 16 września 1930 roku zaczęto w trzech województwach Małopolski Wschodniej, w rejonach zamieszkałych przez ludność ukraińską, tak zwaną „pacyfikację”. Trwała ona do końca listopada, to znaczy przez okres wyborów. Jej bezpośrednią przy-

czyną była działalność terrorystyczna i wywrotowa Ukraińskiej Organizacji Wojskowej, w skrócie UOW. Organizacja ta nie miała wyraźnego poparcia ani ze strony legalnych partii ukraińskich, ani ze strony moralnego przywódcy Ukraińców galicyjskich, jakim był kościół unicki. Metropolita Szeptycki, którego nikt o ugodowość podejrzewać nie mógł, potępiał działalność UOW. Była ona kierowana w tym okresie przez radykalnych działaczy ukraińskich, korzystających z poparcia politycznego i finansowego zagranicy. Dopuszczała się aktów terroru i sabotażu, odrzucając wszelkie koncepcje legalnej walki o autonomię w granicach państwa polskiego czy w obronie kultury ukraińskiej przed polonizacją. Ukrócenie jej działalności było z punktu widzenia prawa i interesów państwa polskiego koniecznością, którą uznano w Lidze Narodów. Lecz „pacyfikacja” wykroczyła daleko poza dopuszczalne środki. Jej ostrze skierowało się, być może wbrew zamierzeniu, przeciwko całej mniejszości ukraińskiej, przeciwko legalnie działającym organizacjom kulturalnym, oświatowym i gospodarczym. Wywołało to — rzecz jasna — rozgoryczenie, które z kolei przeszkodziło cierpliwym wysiłkom — zarówno po stronie polskiej, jak i ukraińskiej — znalezienia jakiejś płaszczyzny porozumienia, co dla obu stron było oczywistą koniecznością. Na domiar złego „pacyfikację” przeprowadzała nie tylko policja, lecz także wojsko. Zaznaczyć trzeba, że nie był to terror w pełnym tego słowa znaczeniu. Nikogo nie zamordowano, żadnej wsi nie spalono, żadnej okolicy nie przesiedlono. Po prostu oddziały wojskowe rozkwaterowywano po wsiach i kazano je żywić. Zdarzało się zamykanie szkół, urzędów gminnych, lokali organizacji, a także wymuszanie, często biciem, dziwacznym nieraz deklaracji lojalności. „Pacyfikacja” pozostawiła jednak ślady bardzo głębokie. Gdy zaś o wybory listopadowe do Sejmu chodzi, uniemożliwiła większości Ukraińców oddanie głosów po własnej myśli. Stąd frekwencja na tych obszarach była bardzo mała, a większość mandatów przypadła BBWR.

Jako jedyne pismo codzienne w Polsce protestował przeciwko „pacyfikacji” organ Polskiej Partii Socjalistycznej, *Robotnik*. Politycy socjalistyczni wysuwali już kilka razy żądanie przyznania Małopolsce Wschodniej autonomii, a przynajmniej uwzględnienia dezyderatów narodowych Ukraińców. Jest rzeczą dobrze znaną, że sam Piłsudski występował kilkakrotnie z tezą, iż Ukraińcom w Polsce nie powinno być gorzej niż im było w Austrii. Były to jak gdyby ostatnie pogłosy czy echa jego myśli federacyjnej. Nasuwa się więc tu wniosek, że Piłsudski nie chciał lub nie umiał dopilnować wykonania własnych zarządzeń.

Podobny argument wysunięto z czasem przy omawianiu sprawy brzeskiej. Jeśli cel Piłsudskiego był ściśle polityczny, to wykonanie jego decyzji pogwałciło zasady moralne i prawne i było sprzeczne z tradycją, nastrojami i poglądami większości Polaków. Wiązało się to wszystko ze zniecierpliwieniem, z jakim Piłsudski podchodził do polityki wewnętrznej. Wydając polecenie aresztowania posłów i osadzenia ich w Brześciu, ograniczył się do wskazówki, że z aresztowanych nie należy czynić bohaterów i męczenników i należy ich poddać zwykłemu regulaminowi więzienia wojskowego. Lecz z drugiej strony, gdy sprawa traktowania więźniów w Brześciu stała się powszechnie znana, ani jej nie komentował, ani nie wyciągnął żadnych konsekwencji, chociażby w stosunku do głównego sprawcy, jakim był Kostek-Biernacki. Jeśli się nad tym zagadnieniem zatrzymuję chwilę dłużej, to głównie z tej przyczyny, by podkreślić podstawową zmianę, jaka się zapewne w umysłowości Piłsudskiego dokonała właśnie w tym czasie. Bo w roku 1930 dał definitywnie posłuch „grupie pułkowników”, dążących do zmiany ustroju w kierunku autorytatywnym. Sam zresztą zaczął się wyrażać z przekąsem o „bartłowaniu”.

„Bartłowanie” rzeczywiście się w roku trzydziestym skończyło. W Sejmie Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem miał 247 mandatów na 444, w Senacie 75 na 110. Oczywiście wyborom zarzuciła opozycja, że nie odzwierciedlają prawdziwych nastrojów i przekonań społeczeństwa. Zarzut ten był jednak tylko w części słuszny. Na nadużycia wyborcze dokonywane często przy pomocy administracji państwowej narzekano w wielu okolicach kraju. Mówiono nawet o „cudzie nad urną”, mając na myśli manipulacje komisji wyborczych, unieważnianie z błahych powodów lub zupełnie bez powodu zarówno opozycyjnych list wyborczych, jak i oddanych w wyborach głosów. Rzeczywiście unieważniono około 400 tysięcy głosów na prawie 12 milionów. Niemniej pozostaje faktem, że pomimo bardzo słabej frekwencji w tak zwanych województwach kresowych w całym kraju głosowało prawie 74 % uprawnionych. Mogło to być częściowym przynajmniej potwierdzeniem tezy zwolenników Piłsudskiego, że społeczeństwo zmęczone jest również wieczną wojną podjazdową między rządem i parlamentem i że chce rządowi ułatwić zwykłą codzienną pracę. Nie oznaczało to jednak, że gotowe jest odstąpić od zasad demokracji parlamentarnej. A taki właśnie błędny wniosek gotowa była wyciągnąć grupa pułkowników z Walerym Sławkiem, który ponownie stanął na czele rządu. Dla niego też właśnie dużym rozczarowaniem był fakt, że nowy Sejm nie dał rzą-

dowi takiej większości, która mogłaby uchwalić zmianę konstytucji. Wiadomo było, że Sejm będzie teraz z rządem współpracował. Okazało się jednak, że pomimo większości należącej do BBWR nie będzie to Sejm we wszystkim posłuszny i lekceważący swój obowiązek krytyki i kontroli nad rządem. Zapisał się bowiem ten Sejm w pamięci ludzkiej już w pierwszym miesiącu swego istnienia wniesieniem interpelacji poselskich w sprawach Brześcia i „pacyfikacji”. Dzięki temu oba te wydarzenia mogły być publicznie napiętnowane i dzięki temu dowiedziała się o nich ze wszystkimi szczegółami opinia publiczna.

V

Przez trzy bez mała lata głównym tematem zainteresowania opinii publicznej w Polsce był „proces brzeski”. Sądono w nim 11 spośród 19 posłów sejmowych osadzonych w Brześciu. Aresztowanych zwolniono w grudniu 1930 roku za kaucją, która była w niektórych wypadkach bardzo wysoka, lecz którą pokryły różne organizacje polityczne i społeczne, między innymi Rada Adwokacka w Warszawie. Od tej chwili posłowie byli pod śledztwem, lecz na wolnej stopie.

Proces przed Warszawskim Sądem Okręgowym rozpoczął się 26 października 1931 roku. Lecz tych kilka miesięcy, które dzieliły wypuszczenie oskarżonych z twierdzy brzeskiej od rozpoczęcia procesu były miesiącami wielkiego podniecenia opinii w kraju. Głośne też było echo za granicą.

W styczniu 1931 roku nowy Sejm, mający większość pro-rządową, stał się sceną gwałtownego wystąpienia całej opozycji przeciwko metodom zastosowanym przez rząd w walce politycznej z przeciwnikami.

Pierwsze złożyło wniosek o rozpatrzenie traktowania więźniów Stronnictwo Narodowe. Został on odrzucony większością głosów. Następnie wniosły interpelację stronnictwa Centrolewu. W tekście interpelacji znalazł się szczegółowy opis traktowania uwięzionych w Brześciu. Stało się to podstawą kampanii prasowej, a także szeroko zakrojonej akcji protestacyjnej. Interpelacja Centrolewu została także odrzucona większością głosów prorządowych. Niemniej do sprawy brzeskiej wracano w Seimie

przy wielu okazjach, nawet na komisji budżetowej, gdy wystąpił przed nią minister sprawiedliwości Michałowski, o którym powszechnie mówiono, że został awansowany na to stanowisko „w nagrodę” za usługi, jakie oddał rządowi jako urzędnik Ministerstwa odpowiedzialny za sprawy śledztwa.

Interpelacje sejmowe były dlatego ważne, że umożliwiały szeroko zakrojoną akcję informacyjną na łamach prasy. Było to zjawisko nad wyraz pozytywne z uwagi na to, że przekreślało wszelkie próby — a próby takie były — cenzurowania wiadomości o tym, co się w Brześciu działo. Tym samym zarówno o sprawie brzeskiej, jak i o wszystkim, co było z jakichkolwiek powodów dla rządu niewygodne, społeczeństwo dowiadywało się jednak z prasy. W Polsce między dwiema wojnami nie było cenzury we właściwym tego słowa znaczeniu. Nie było jej nawet w tym właśnie okresie, gdy rządy objęła „grupa pułkowników”. Od roku 1928 obowiązywała znowelizowana ustawa prasowa, która w przeciwieństwie do poprzedniego okresu dawała władzom pewne możliwości kontroli nad wiadomościami i komentarzami prasowymi. System polegał na tym, że każda redakcja zobowiązana była dostarczyć pierwszy numer swej gazety miejscowej władzy administracyjnej na szczeblu powiatu. Jeśli artykuł się komuś w starostwie nie podobał, mógł zostać skonfiskowany. Wówczas w pełnym nakładzie pokazywały się tak zwane „białe plamy”, które — rzecz jasna — budziły powszechną ciekawość. Informacja o tym, co w skonfiskowanym artykule napisano, na ogół w ten czy inny sposób docierała do wiadomości publicznej. Jeśli — co się zdarzało bardzo często — nakład znalazł się już w sprzedaży razem z artykułem, który chciano skonfiskować, następowało zajęcie numeru, co polegało na tym, że policja zabierała z kiosków niesprzedane jeszcze egzemplarze. Najważniejsze w tym systemie było zagadnienie odpowiedzialności redaktora czy autora artykułu. Trzeba było przeciwko niemu wytaczać normalne dochodzenie i prokuratura musiała go oskarżyć o konkretne naruszenie prawa, bądź o rozsiewanie nieprawdziwych, a szkodliwych dla interesu publicznego wiadomości. Sprawę rozstrzygał sąd. Na prokuratorze spoczywał obowiązek udowodnienia zarzutów. W razie skonfiskowania artykułu i zamienienia go w „białą plamę” prokuratura dalszych kroków przedsięwziąć nie mogła, gdyż z braku dowodu przestępstwa sąd nie miał co rozpatrywać. Lecz przy tej skomplikowanej metodzie, jeżeli cały skonfiskowany artykuł lub jego część zostały odczytane w Sejmie w ramach interpelacji poselskiej, prasa miała prawo tekst ogłosić jako sprawozdanie parlamentarne. Pozostawała wtedy jedyna

możliwość: prokuratura mogła wytoczyć proces pod bardzo trudnym do udowodnienia zarzutem, że Sejmowi dostarczono nieprawdziwych wiadomości.

W roku 1931, a także w następnym, odbył się szereg procesów prasowych, w których redakcje pociągano do odpowiedzialności za ogłoszenie sprawozdań o posłach więzionych w Brześciu. W tych procesach obrona z reguły powoływała świadków, to znaczy właśnie posłów, których więziono. Najczęściej więc procesy prasowe do skutku nie dochodziły; albo rezygnowała z nich prokuratura, albo też sąd odmawiał powołania świadków. Wyjątkiem był proces w Bydgoszczy gdzie sąd powołał świadków. Przeniesiono wówczas sprawę do wyższej instancji w Toruniu pod pozorem niepokoju publicznego w Bydgoszczy. Procesy prasowe stały się jeszcze trudniejsze, gdy warszawski Sąd Apelacyjny stwierdził, że umieszczenie więźniów w twierdzy wojskowej było niezgodne z prawem i że cywilny sędzia śledczy — Jan Demant — miał obowiązek sporządzić protokół o pobiciu aresztowanych, czego nie zrobił. Inna sprawa, że nie ukarano go ani w postępowaniu sądowym, ani dyscyplinarnie.

Do października 1931 roku odbyło się kilka innych procesów pozostających w związku ze sprawą brzeską. A więc na przykład proces przeciwko zasłużonemu działaczowi PPS Janowi Kwapińskiemu za przemówienie, rzekomo podżegające do buntu, wygłoszone w Olkuszach w roku 1929. Sąd Apelacyjny uchylił wyrok niższej instancji i Kwapińskiego uniewinniono. Odbyła się też rozprawa przeciwko przywódcom manifestacji protestacyjnej, jaka na wiadomość o aresztowaniu posłów odbyła się 14 września 1930 roku w Warszawie, a także za podobną manifestację w Toruniu. Wyroki były bardzo łagodne, niekiedy uchylały je wyższe instancje, niekiedy kończyło się na zaliczeniu aresztu śledczego. Nawet proces dwóch mężczyzn oskarżonych o zamordowanie działaczy BBWR w Częstochowie w odwet za zdemolowanie przez bojówki prorządowe lokalu PPS skończył się uniewinnieniem z braku dowodów. Skazano natomiast sprawców zniszczenia lokalu PPS.

Jeśli poświęcę kilka chwil uwagi tym procesom, to głównie dlatego, by uwidocznic obowiązującą w Polsce przedwojennej zasadę niezawisłości sędziowskiej, to znaczy oddzielenia władzy sądowej od nacisków rządu czyli władzy wykonawczej. Zasada ta uległa pewnemu ograniczeniu z chwilą, gdy stanowisko sędziego przestało być nienaruszalne, co było tej zasady fundamentem. W dalszym ciągu nie można było sędziego usunąć, lecz

można było go przenieść na inne stanowisko, względnie szybciej niż by to wynikało z jego wieku przenieść na emeryturę. Był to niewątpliwie środek nacisku, który działał podobnie jak czysto ludzkie względy, takie jak nadzieja szybszego awansu w hierarchii sądowej. Niemniej, a może właśnie dlatego, że to uszczuplenie przywilejów sędziowskich było przedmiotem powszechnej krytyki, w prasie, w Sejmie i w rozmowach między ludźmi, możliwość wywierania nacisku na sędziego nie przekształciła się nigdy w podporządkowanie władzy sądowej życzeniom rządu. O tym trzeba pamiętać, rozpatrując najgłośniejszy ze wszystkich procesów politycznych, to znaczy proces brzeski.

Na przeprowadzeniu procesu zależało — jeżeli tak się można wyrazić — obydwu stronom, to znaczy rządowi i opozycji. Zależało — rzecz jasna — wszystkim więźniom brzeskim. Oczywiście z różnych względów. Dla rządu było rzeczą bardzo istotną, by w procesie sądowym wykazać słuszność zarzutów o przygotowywanie zamachu, a tym samym słuszność decyzji aresztowania posłów. Lecz fala oburzenia kierowała się przede wszystkim przeciwko naruszeniu praworządności i okrutnemu traktowaniu więźniów, mniej interesując się sformułowaniami aktu oskarżenia. W przekonaniu opozycji i postawionych przed sądem posłów proces miał posłużyć jako sposób napiętnowania zastosowanych metod i podkreślenia faktu pogwałcenia praworządności. I chociaż na procesie sąd z uporem nie pozwalał dotykać sprawy traktowania więźniów w czasie ich pobytu w Brześciu, opinia zbyt już dobrze o tym wszystkim wiedziała, by ten wybieg mógł w czymkolwiek zmienić jej zdanie. Dzięki temu oskarżeni siłą rzeczy występowali w roli oskarżających. Było to tym łatwiejsze, że akt oskarżenia sformułowany został w sposób raczej niedołąźny. Była w nim mowa o wywoływaniu w masach nastrojów rewolucyjnych, o podburzaniu do przeprowadzenia zmiany rządu przemocą, o ośmieszaniu i wyszydzaniu władzy, a także o konkretnych przygotowaniach do zamachu w postaci organizowania i uzbrajania odpowiedniej kadry rewolucyjnej. Wszystkie te zarzuty skierowane były ogólnie pod adresem Centrolewu, który nazwano kierowniczą organizacją rewolucyjną. Słabość tego określenia polegała na tym, że Centrolew był raczej koncepcją polityczną niż organizacją, a w chwili odbywania się procesu nie istniał już ani formalnie, ani w rzeczywistości. Zasiadający zaś na ławie oskarżonych posłowie nie byli jedynymi ani nawet najbardziej zapalczywymi organizatorami krakowskiego kongresu Centrolewu, który dał początek sprawie brzeskiej.

Przed sądem stanęło tylko pięciu ludowców i sześciu socja-

listów. Sprawy dwóch posłów Narodowej Demokracji, Dębskiego i Kwiatkowskiego, umorzono w śledztwie, sprawę posła Narodowej Partii Robotniczej Popiela wyłączono, podobnie jak i sprawy pięciu posłów ukraińskich. Oskarżeni — rzecz jasna — do postawionych im zarzutów się nie przyznali, a zarówno ich przemówienia końcowe, jak i zeznania w czasie procesu były niewątpliwie wystąpieniami politycznymi wysokiej klasy. Natomiast wystąpienia dwóch prokuratorów, Grabowskiego i Rauzego, były raczej popisem nieporęcznej kazuistyki o niezbyt wysokim poziomie.

Wyroki zapadły 13 stycznia 1932 roku. Były różne, od trzech i pół roku więzienia do półtora roku dla Witosza. Co najważniejsze — nie zapadły jednomyślnie. Dwóch sędziów z zespołu — Hermanowski i Rykaczewski — opowiedziało się za skazaniem oskarżonych, jeden natomiast — Leszczyński — zgłosił *votum separatum* z obszernym uzasadnieniem. Przez dwa następne lata odbywały się rozprawy przed Sądem Apelacyjnym oraz rozprawa kasacyjna przed Sądem Najwyższym, który w maju 1933 roku zgodził się ze stanowiskiem obrony i kazał sprawę rozpatrzyć ponownie w apelacji. W tej — ostatniej już — rozprawie wyrok Sądu Okręgowego w Warszawie został zatwierdzony. Niektórzy ze skazanych, wśród nich Wincenty Witos, zdecydowali się z kraju emigrować, inni postanowili wyrok odciepć.

Oskarżonych broniło 19 najlepszych adwokatów w Polsce, o bardzo różnych zresztą poglądach politycznych. Doszło również do szeregu wystąpień publicznych, w których profesorowie uniwersytetów, artyści, literaci, lekarze, związki i organizacje robotnicze i pojedynczy ludzie o głośnych nazwiskach potępiali metody brzeskie, to znaczy fakt pogwałcenia praworządności zarówno w czasie aresztowania i śledztwa, jak i w toku przewodu sądowego. W Sejmie złożyło mandaty na znak protestu 4 posłów rządowych. Do protestów nie przyłączyli się tylko komuniści, stwierdzając, że sprawa Brześcia ich nie interesuje jako wewnętrzna rozprawa między przedstawicielami burżuazji.

Jest swego rodzaju ironią historii, że gdyby akt oskarżenia przeciwko przywódcom Centrolewu ograniczył się do konkretnych zarzutów, utrzymanych w ramach litery prawa, i gdyby w śledztwie trzymano się metod przez prawo przewidzianych, rząd ówczesny mógł osiągnąć pewien sukces w swej walce z opozycją, bez żadnej szkody dla godności narodowej i własnej reputacji w pamięci potomnych.

RZĄDY PUŁKOWNIKÓW

I

Określenie „rządy pułkowników” dotyczy ostatniego okresu życia marszałka Piłsudskiego. Określenie to ukuła prasa opozycyjna, zapożyczając pomysł z prasy francuskiej, która w tym okresie nastawiona była do Polski coraz bardziej nieprzychylnie. Przyczyn tego nastawienia było wiele, lecz najbardziej istotne było usamodzielnienie się Polski od wpływów Paryża na arenie spraw międzynarodowych. Stwierdzenie to ułatwia zrozumienie nastrojów i poglądów także w ówczesnej Polsce, a zwłaszcza w ugrupowaniach prawicowych. Wśród nich, co jest zjawiskiem mało budującym, nieprzychylnie nastawienie opinii francuskiej w stosunku do rządu polskiego, a mówiąc ściślej do spraw i interesów Polski w ogóle, przyjmowane było często bezkrytycznie, a nawet z pewnego rodzaju zadowoleniem. Nieporozumienie polegało na tym, że mało kto w ówczesnej Polsce zdawał sobie sprawę z niebezpiecznej sytuacji międzynarodowej kraju i z wysiłków, które w tym okresie Piłsudski podejmował, by sytuacji tej zaradzić, a niebezpieczeństwom zapobiec.

Ostatnie lata życia marszałka Piłsudskiego odznaczały się jego prawie całkowitym wyłączeniem się ze spraw wewnętrznych Polski, a skupieniem całej uwagi na polityce zagranicznej i na łączących się z nią zagadnieniach obronności państwa. Od finału sprawy brzeskiej rządy w Polsce zostały jak gdyby zlecone przez Piłsudskiego tej grupie jego zwolenników, którzy stali na stanowisku konieczności zmiany konstytucji w kierunku autorytatywnym, a w codziennej praktyce administracyjnej dążyli dość brutalnymi sposobami do jak największej sprawności, kosztem nie liczenia się z życzeniami i poglądami społeczeństwa. Byli to „pułkownicy” — określenie w stosunku do polityków pejoratywne, zwłaszcza w języku francuskim i angielskim, nasuwające myśl o rządach wojskowych.

Od grudnia 1930 do maja następnego roku premierem był pułkownik Walery Sławek, o którym wiadano powszechnie, że Piłsudski darzy go najwyższym zaufaniem. Ustąpił premierostwa pułkownikowi Aleksandrowi Prystorowi, który na tym stanowisku pozostał przez dwa lata. Sławek zaś zajął się wówczas całkowicie przygotowaniem projektu nowej konstytucji. I znowu w maju 1933 roku Prystora zastąpił Janusz Jędrzejewicz. Po nim

od 15 maja 1934 roku premierem był już nie pułkownik co prawda, lecz profesor archeologii Leon Kozłowski. Za jego też premierostwa, w 1935 roku, uchwalona została Konstytucja Kwietniowa, dzieło Sławka, Stanisława Cara i profesora Wacława Makowskiego.

Niespełna trzy tygodnie po uprawomocnieniu się nowej konstytucji zmarł Józef Piłsudski. Niemniej stwierdzić należy, że wbrew powszechnemu raczej mniemaniu Konstytucja Kwietniowa, rozszerzająca znacznie uprawnienia prezydenta i władzy wykonawczej kosztem władzy ustawodawczej i ogólnych zasad demokracji parlamentarnej, nie powstała bynajmniej pod dyktando Piłsudskiego. Przeciwnie, Piłsudski wyłączał się tak dalece od wszystkiego, co nie dotyczyło wojska i spraw zagranicznych, że nie chciał nawet komentować kolejnych projektów ustawy konstytucyjnej, jakie mu przedkładano do wglądu.

W czteroletnim okresie „rządów pułkowników” funkcje Sejmu i Senatu, wybranych na podstawie konstytucji z 1921 roku, sprowadzały się w praktyce do uchwalania budżetu względnie ustaw przedkładanych przez premiera, a często po prostu do zatwierdzania rozporządzeń prezydenta, mających moc ustawy. Nawet krytyka poczyniła rządowych, główne zadanie opozycji, przeniosła się w dużej mierze na teren pozaparlamentarny, przede wszystkim na łamy prasy. W Sejmie i w Senacie natomiast trwał swoisty bojkot „rządów pułkownikowskich”, prowadzony celowo przez wszystkie ugrupowania opozycyjne. Bojkot ten przejawiał się w sposób najbardziej jaskrawy przy dwóch okazjach. Pierwszą był ponowny wybór Ignacego Mościckiego na prezydenta Rzeczypospolitej w maju 1933 roku. Wybierało go Zgromadzenie Narodowe. Na sesję przybyło tylko 343 z 555 członków obu izb ustawodawczych. Spośród obecnych 332 należało do Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem.

Ta zdecydowana większość powinna była — jak to oświadczył Piłsudski Sławkowi — „pozwolić wam pracować bez trudności”. Mimo to w pierwszych miesiącach 1931 roku dzięki interpelacjom posłów opozycyjnych wyszła na jaw w całej rozciągłości sprawa brzeska, co na pewno dla rządu było „trudnością”. Zarzucenie metody interpelacji bądź jej zlekceważenie przez opozycję na rzecz bojkotu rządu oddało Polsce złą przysługę i było w gruncie rzeczy zaprzeczeniem zasad walki parlamentarnej. Wydarzeniem, w którym bojkot okazał się zgubny dla opozycji, było przedłożenie projektu nowej konstytucji. Nadać temu projektowi tor ustawodawczy można było tylko dlatego, że w czasie pierwszego czytania opozycja, zamiast głosować, pozosta-

wiła na sali sejmowej bezsilnego obserwatora. Abstrahując od sytuacji parlamentarnej, rząd w swej — jak się wyraził Piłsudski — „spokojnej pracy codziennej” natrafił na trudności innego rodzaju, których przełamanie przekraczało jego możliwości — podobnie jak przekraczało możliwości wszystkich rządów we wszystkich państwach w Europie i w Ameryce. Chodzi tu o światowy kryzys gospodarczy, trwający od roku 1929, który z całą siłą uderzył w Polskę w latach 1930-35. W porównaniu z krajami zasobnymi i o wysokim standardzie życiowym — inaczej mówiąc, z krajami uprzemysłowionymi — położenie Polski o tyle tylko było lepsze, że mniej widoczne były skutki kryzysu w dziedzinie aprowizacji. Nie groził Polsce głód. Natomiast brak zasobów kapitałowych utrudniał jakąkolwiek planową walkę z rosnącym zastojem gospodarczym. Już wycofanie krótkoterminowych kredytów zagranicznych spowodowało falę bezrobocia. Już w roku 1931 zarejestrowano ponad 400 tysięcy bezrobotnych. W rzeczywistości było ich znacznie więcej, gdyż w liczbie tej nie uwzględniano ludzi, którym po upływie ustawowego terminu przestawano wypłacać zasiłki, a którzy nowej pracy nie znajdowali. Dodać tu trzeba, że zasiłki dla bezrobotnych w Polsce były wysokie, a okres ich wypłacania trwał początkowo aż 39 tygodni. Statystyki nie uwzględniały też bezrobocia częściowego, to znaczy liczby ludzi, którzy pracowali tylko po kilka, często tylko po dwa dni w tygodniu. Przede wszystkim zaś nie uwzględniały katastrofalnego bezrobocia przeludnionej wsi. W kraju, gdzie prawie 70 % ludności mieszkało na wsi, czyli w teorii przynajmniej żyło z rolnictwa, spadek cen na płody rolne był całkowitą katastrofą. A ceny te spadły do połowy w porównaniu z rokiem 1928. Zawsze bardzo słaba siła nabywcza ludności wiejskiej spadała jeszcze bardziej, bo aż o 60 %. Przyczyny były dwie. Podstawowa polegała na zamarcu eksportu produktów rolnych. Przyczyną drugą była polityka utrzymywania waluty złotowej na pełnym parytecie. Rząd, za co go powszechnie krytykowano, nie dopuszczał myśli o dewaluacji złota. Była to uzasadniona psychologicznie obawa inflacji, której rozmiary i skutki w latach dwudziestych przypominano sobie z prawdziwą paniką. Poprawa kursu złota w stosunku do zdewaluowanego dolara i funta angielskiego dawała pewne korzyści na odcinku importu, powodowała jednak, a raczej wzmagala, obniżanie się siły nabywczej całego społeczeństwa, za co najdotkliwiej płaciła wieś.

Pewną pomocą, lecz jednocześnie środkiem drakońskim, była polityka typowa dla kraju biednego, to znaczy oszczędności. Wyrażały się one zmniejszeniem budżetu państwowego, co z kolei

wzmagало ogólny zastój gospodarczy. Przysnać trzeba, że dużą energię wykazał rząd w naciskach na przemysł, by obniżał ceny swych produktów. Niekiedy udawało się uzyskać obniżkę w wysokości aż 25 %.

Kryzys i jego skutki odciągały, rzecz jasna, uwagę od zagadnień politycznych. Jest rzeczą charakterystyczną dla tego okresu, że polski świat robotniczy zdawał sobie sprawę z powagi położenia i nie ulegał wpływom demagogicznej agitacji, która starała się przerzucić całą winę na rząd lub na państwo. W większości wypadków spory z pracodawcami załatwiano w drodze arbitrażu. Zdarzały się także strajki, tym jednak się odznaczające, że ich przebieg był na ogół spokojny i pozbawiony akcentów politycznych. Strajkowano w Zagłębiu Dąbrowskim, na Śląsku, strajkowali robotnicy fabryk włókienniczych w Łodzi i w przemyśle naftowym w Zagłębiu Borysławskim. Najpoważniejsze były strajki robotników rolnych, protestujących przeciwko obniżce płac i domagających się rozciągnięcia na nich ubezpieczeń społecznych. W roku 1932 w Rzeszowskim i Tarnowskim odbył się strajk chłopski, polegający na odmowie dowozu żywności do miast. Groziło to poważnymi konsekwencjami i spotkało się z brutalną reakcją władz. Sytuacja powtórzyła się w roku następnym, gdy w rozruchach towarzyszących strajkom chłopskim padły ofiary w postaci kilkudziesięciu zabitych.

Właśnie strajki chłopskie lub — powiedziawszy ściślej — strajki wiejskie przybierały charakter najbardziej radykalny i znajdowały odzwierciedlenie w radykalnych posunięciach politycznych ze strony opozycji. Ugrupowania reprezentujące interesy wsi połączyły się w marcu 1931 roku w jedno Stronnictwo Ludowe. Na jego czele stanął Wincenty Witos, który po uprątnomocnieniu się wyroku brzeskiego emigrował do Czechosłowacji. Nowa partia łączyła w sobie tradycje i cele polityczne konserwatywnego „Piasta”, radykalnego „Wyzwolenia” oraz Stronnictwa Chłopskiego. Elementem przebojowym i radykalnym w ruchu ludowym stawały się ugrupowania młodzieżowe nowego Stronnictwa Ludowego, przede wszystkim „Wici”. Ich program polityczny wznawiał jak gdyby hasła Centrolewu, wzywając do „walki z dyktaturą”, do zmiany — jak to wówczas mówiono — „całego systemu rządzenia”, a jednocześnie szedł daleko w swych żądaniach reform społecznych i gospodarczych. Między innymi domagano się wywłaszczenia wielkiej własności ziemskiej bez odszkodowania i przeprowadzenia natychmiastowej parcelacji. Było to — gdy o Witosie chodzi, który ten program akceptował — odejście od jego tradycyjnej linii reform stopniowych. Jeszcze

wyraźniejsze były zmiany w proponowanej taktyce działania. Nie mogąc liczyć na stworzenie większości w Sejmie, nie mogąc liczyć w ogóle na metodę parlamentarną, ruch ludowy w Polsce zapowiadał walkę sposobami nie mieszczącymi się w ramach prawa. Obojętnie, jak tę zmianę oceniać, jest niewątpliwym faktem, że przesunięcie w tym radykalnym kierunku było reakcją na sprawę brzeską. Było również usprawiedliwionym wyrazem zniecierpliwienia na opóźnianie i niedołączność w wykonaniu już dawno uchwalonej reformy rolnej. Ludowcy w swej nowej formie organizacyjnej znajdowali — rzecz jasna — sojuszników w Polskiej Partii Socjalistycznej, która jednak w tym okresie była czynnikiem raczej uspokajającym dzięki trzeźwiejszej ocenie ogólnego położenia Polski z uwzględnieniem jej sytuacji międzynarodowej. Nastawienie PPS było odpowiednikiem nastrojów przeważających wśród robotników.

Jest rzeczą charakterystyczną, że w atmosferze — jak by się zdawało — najbardziej podatnej na agitację komunistyczną wpływy komunistów polskich w tym właśnie czasie nie zwiększały się, lecz raczej malały. Partia komunistyczna nie miała ciągle więcej niż 10 tysięcy członków, z których duża część rekrutowała się spośród mniejszości żydowskiej, co ograniczało jej popularność, zwłaszcza na wsi. Straciła też dużo na gwałtownym spadku wpływów dwóch współpracujących z nią, lecz samodzielnych partii komunistycznych działających na wschód od Bugu. Polityka centralizacji i likwidowania resztek odrębności narodowych w republikach sowieckich, połączona z terrorem i wygładzaniem mas ludności, spowodowała wśród Ukraińców i Białorusinów mieszkających w granicach Polski ogólne zniechęcenie zarówno do Związku Sowieckiego, jak i do własnych partii komunistycznych.

II

Wstrząsy, jakie przeżyła Polska w pierwszej połowie lat trzydziestych, nie zdołały osłabić zwartości państwa. Wstrząsem politycznym była śmierć marszałka Piłsudskiego, a także zacięta walka społeczeństwa z reżymem sanacyjnym. Wstrząsem gospodarczym był kryzys światowy i jego skutki w Polsce. Jedynie zapoznanie się z ogromem regresu gospodarczego, jaki w tych latach i Polskę, i całą Europę nawiedził, pozwoli nam właściwie ocenić tę dodatnią stronę medalu, jaką była narastająca z każdym

rokiem świadomość wspólnego interesu w posiadaniu własnego, niepodległego państwa. Towarzyszyło temu wzrostowi świadomości okrzepnięcie solidarności narodowej. Zjawisko tym bardziej godne uwagi, że musiało zwalczać nawyki wytworzone w okresie zaborów. Musiało także pokonywać głęboko sięgające podziały klasowe. Nie oznacza to zaniknięcia różnic klasowych ani też wyrównania różnic w poziomie zagospodarowania, oświaty, a także codziennych obyczajów między poszczególnymi dzielnicami Polski.

Nie koniec na tym. Pierwsze lata czwartej dekady naszego stulecia nie były okresem sprzyjającym niwelacji różnic i wykształcaniu się poczucia troski o dobro wspólnego państwa czy dumy z jego osiągnięć. Osiągnięcia były, lecz w życiu codziennym znikwały sprzed oczu lub zacieraly się w umyśle pod naporem troski o utrzymanie siebie i rodziny. A także w obliczu często się zdarzającej krzywdy społecznej. Daleko było do ideału w stosunkach społecznych. Sytuację pogarszał brak zaufania do systemu rządzenia. W przekonaniu grupy rządzącej, dysponującej potulnym Sejmem, każdy obywatel, a przynajmniej każdy obywatel narodowości polskiej, który żywił szacunek i zaufanie do osoby Józefa Piłsudskiego, automatycznie jak gdyby przenosił to zaufanie na rząd i administrację państwową. W rzeczywistości wcale tak nie było, gdyż właśnie pod rządami pułkowników społeczeństwo zaczęło rozróżniać między Piłsudskim, jego zasługami i jego ideologią, a postępowaniem czy poglądami ludzi, którzy sprawowali rządy w oparciu o jego autorytet. W sensie politycznym rozróżnienie to stawało się także widoczne w walkach frakcyjnych, które toczyły się w łonie BBWR. Wyłaniały się coraz to nowe grupy, dążące do narzucenia swych poglądów innym grupom i zabiegające o wzmocnienie własnych wpływów w całym społeczeństwie, a więc także poza zasięgiem organizacyjnym BBWR. Nie mogło być inaczej. BBWR był z samego założenia zlepkiem ludzi o najprzeróżniejszych poglądach i tradycjach politycznych. Mieszały się w tym ugrupowaniu poglądy nacjonalistyczne z liberalnymi, nurtowały je wielkie tradycje PPS, zwłaszcza wśród ludzi, którzy właśnie w socjalizmie zdobyli kiedyś praktykę i doświadczenie. A obok tych nurtów i frakcji kłębiła się rzesza zwykłych oportunistów i karierowiczów, o których z coraz większą goryczą wspominał Piłsudski w rozmowach z bardzo szczupłym gronem swoich najbliższych.

Wśród tych frakcji najważniejsza i najbardziej ruchliwa była „Naprawa”. Pełna nazwa tego ugrupowania o charakterze elitarnym i wzorującym się na tajnych lub na półtajnych organiza-

cjach z okresu walki o niepodległość brzmiała „Związek Naprawy Rzeczypospolitej”. Byli to niewątpliwie zwolennicy Piłsudskiego, wielu należało w jakimś okresie do jego bliskich współpracowników. W latach trzydziestych stanowili jednak wewnętrzną opozycję przeciwko „pułkownikom”, popierając się nawzajem i starając się objąć kluczowe stanowiska w życiu państwa. „Naprawiaczem” był między innymi wojewoda śląski Michał Grażyński. Teoretykiem tego ruchu był ziemianin z Chełmskiego, Zdzisław Lechnicki. „Naprawiacze” nigdy nie zdobyli miejsca w rządzie, wywierali jednak duży wpływ na radykalnie nastawioną inteligencję, głosząc potrzebę reform społecznych i ścisłego związania społeczeństwa z życiem państwowym, co niekiedy określano jako „ideologię państwową”.

Pojęcie to było charakterystyczne dla tego okresu. „Ideologia państwowa” i jej pochodne w rodzaju takiego na przykład nowotworu jak „państwowotwórczość” miały zastąpić lub zneutralizować hasła nacjonalistyczne szerzone przez ruch narodowy. Ideałem i najwyższym dobrem miało być zamiast narodu polskiego państwo polskie. Różnica o tyle istotna, że otwierała jak gdyby drzwi dla tych elementów spośród mniejszości narodowych, które skłonne były angażować się uczuciowo w życie Polski, pod warunkiem, że nie będzie ono przesyczone wrogiem w stosunku do nich nacjonalizmem polskim. Konstrukcja myślowa raczej sztuczna. Znajdywała jednak zwolenników i odegrała poważną rolę w wychowaniu młodszego pokolenia. Ale — dodajmy od razu — młodszego pokolenia prawie bez wyjątku narodowości polskiej. Nie ostała się jako koncepcja ponadnarodowa, a przekształciła się w niejednym właśnie w nowe wydanie nacjonalizmu polskiego, tym się różniące od nacjonalizmu endeckiego, że uwzględniało konieczność reform społecznych, i to daleko idących.

Wróćmy do rozróżnienia między osobą Piłsudskiego a działalnością rządzących w jego jak gdyby imieniu „pułkowników”. Jak rozróżnienie to było ważne, przekonać się można było po śmierci Piłsudskiego. Znikł wtedy autorytet moralny, który zasłaniał — choć nie rozgrzeszał — tych wszystkich błędów, za które słusznie lub niesłusznie miano pretensję do rządów między 1930 i 1935 rokiem. Poszanowaniu autorytetu starzejącego się Marszałka towarzyszyła nadzieja, a u niektórych pewność, że w razie czego Marszałek będzie interweniował i popełnione błędy naprawi albo do nowych nie dopuści, że — jakby się słyszało — „Dziadek zmarszczy brwi i wszystko będzie dobrze”. Po maju 1935 roku tej nadziei już nie było, a ludzie rządzący Polską

przekonali się wkrótce, że rządzić jest im coraz trudniej, bo czym innym było powoływanie się na prawdziwe lub rzekome dyrektywy „moralnego dyktatora”, a czym innym tłumaczenie, że się te dyrektywy nawet po śmierci Piłsudskiego wypełnia, że się je zna, że się je rozumie. Trudno było nawet udowodnić, że dyrektywy, takie czy inne, zmarły Marszałek pozostawił komukolwiek w spadku.

W początkach lat trzydziestych ciężar aktywności we wszystkich dziedzinach życia Polski przesuwając się zaczął na ludzi młodszych, to znaczy na przedstawicieli tego pokolenia, które nie brało samo udziału w walce o niepodległość, choć znało ją z pierwszej jeszcze ręki, chociażby na podstawie wspomnień z własnego dzieciństwa. Lecz wychowanie zarówno domowe, jak i w szkole, ludzie ci otrzymali już w latach niepodległości i stąd nie byli obciążeni niczym niepolskim w swych przyzwyczajeniach i poglądach. Młodzież zaczęła też odgrywać z roku na rok i z dnia na dzień coraz czynniejszą i coraz bardziej efektywną rolę w życiu kraju. Nie oznacza to, by już w tych latach młode pokolenie wychowane w Polsce niepodległej stało się czynnikiem decydującym w polityce. Na pewno nie sięgnęło, bo sięgnąć jeszcze nie mogło, po władzę. Lecz zaczęło — żeby użyć tego określenia — nadawać ton w życiu codziennym i w życiu organizacyjnym. Nie mając w ręku władzy, miało jednak możliwość krytyki i to krytyki wcale głośniejszej, z którą pokolenie starsze musiało się liczyć, a której całe społeczeństwo przysłuchiwało się co najmniej z zaciekawieniem, wiedząc, że dzisiejsi krytycy jutro staną się czynnikiem decydującym. Wpływ młodych czy młodzieży zaznaczył się przede wszystkim w działalności ugrupowań opozycyjnych. Nie wyłącznie jednak. Także wśród młodzieży związanej z obozem rządzącym odzywały się głosy zniecierpliwienia w stosunku do starych przywódców, jak na przykład w prorządowym Legionie Młodych lub w lewicującym Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Wspomnieliśmy już o roli, jaką w ruchu ludowym odegrały „Wici”. Uznając autorytet starych przywódców, Witosa, Kiernika i Bagińskiego — zresztą przebywających na emigracji po procesie brzeskim — działacze z „Wici” narzucili kierownictwu nowego Stronnictwa Ludowego kierunek radykalny, domagający się natychmiastowych reform, oraz energicznej, nie przebierającej w środkach walki z dyktaturą. Warto dodać, że „Wici” miały w tym okresie 250 tysięcy czynnych członków.

W stopniu niemiernie wyraźnym wzmożł się wpływ młodych w ruchu narodowym. Nastąpiło to zresztą z podniety wodza

tego ruchu, jakim był Roman Dmowski. Jego koncepcja Obozu Wielkiej Polski polegała na przesunięciu ciężaru ważności z metody parlamentarnej na wychowanie społeczeństwa w duchu narodowym czyli nacjonalistycznym, co prowadzić miało do gruntownych, dalekosiężnych przeobrażeń i tym samym w przyszłości do zmiany ustroju. Obóz Wielkiej Polski zdobył sobie od razu bardzo duże wpływy i to nie tylko wśród inteligencji, lecz także w środowisku rzemieślniczym i robotniczym. Ale jeśli nie głównym, to najgłośniejszym terenem działania Obozu Wielkiej Polski były uniwersytety, byli studenci.

W listopadzie 1932 roku Obóz Wielkiej Polski został rozwiązany przez rząd i stał się organizacją nielegalną. Nie znaczy to, by nie działał dalej. Po wyborach z roku 1930 Stronnictwo Narodowe stało się najliczniejszym ugrupowaniem opozycyjnym w parlamencie. Lecz działalność swą ograniczyło do tak zwanego bojkotu poczynań rządowych, przez co w gruncie rzeczy zrezygnowało ze swych możliwości na terenie parlamentu. Ustosunkowało się także negatywnie do stworzenia wspólnego frontu opozycyjnego z Polską Partią Socjalistyczną i ludowcami.

W roku 1934 nastąpiły dalsze ważne wydarzenia. Na zjeździe Stronnictwa Narodowego w Radomiu zwyciężył tak zwany „młody kierunek” w starciu z przedstawicielami „starej” Narodowej Demokracji. Tym samym ruch narodowy wyzbył się w dużej mierze tradycji mieszczańsko-liberalnych i przestał się posługiwać przymiotnikiem „demokratyczny”. Przywódcą owych młodych, popieranych zresztą przez Dmowskiego, był Tadeusz Bielecki. Konsekwencją tych zmian były dość liczne rozłamy. Część endeków starej szkoły prowadzić zaczęła własną politykę, a wśród młodych doszły do głosu elementy radykalne, którym nie odpowiadała nawet nowa linia polityczna Stronnictwa Narodowego, a którzy dążyli do przemian ustrojowych w kierunku rządów autorytatywnych. Jeden z tych odłamów dawnej endecji, nazywający się Związkiem Młodych Narodowców, do którego działaczy należeli Ryszard Piestrzyński, Zdzisław Stahl i Klaudiusz Hrabek, szukać zaczął porozumienia z prawicą BBWR, dążąc do swoistej syntezy ruchu narodowego i ruchu „państwowego”.

W innym kierunku poszło ugrupowanie prowadzone przez Jana Mosdorfa, nazwane Obozem Narodowo-Radykalnym. Przy-stąpiło ono do jawnej walki z rządem, propagując wzory ustrojowe zapożyczone z faszyzmu włoskiego. W owym czasie nad pojęciem faszyzmu nie ciążyły jeszcze straszliwe zbrodnie hitleryzmu i dość znaczne odłamy opinii w różnych krajach europejskich widziały w systemie włoskim zdrowe tendencje. W meto-

dach swych ONR zbliżał się jednak do działalności terrorystycznej, co w warunkach i obyczajach polskich stanowiło nowość, na szczęście nieskuteczną. Wyraźnie w kierunku faszyzmu posunął się odprysk młodzieży nacjonalistycznej pod nazwą „Falanga”, którego wodzem został Bolesław Piasecki.

Obóz Narodowo-Radykalny czyli ONR został prawie natychmiast po powstaniu ogłoszony za organizację nielegalną przez ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego. W maju 1934 roku Pieracki został zamordowany przez Ukraińca przy ulicy Foksał w Warszawie. Miało to poważne konsekwencje.

Ogólnie rzecz biorąc prawie każde stowarzyszenie typu społecznego miało w tych latach swój własny ruch młodzieżowy o dość wyraźnym obliczu lub sympatiach politycznych. Dla przykładu wspomnijmy o Związku Młodzieży Katolickiej „ZMK”. Nawet tak zwane sodalicje mariańskie, stowarzyszenia ściśle religijne, wywierały duży wpływ na ogólną formację poglądową młodzieży uniwersyteckiej czy gimnazjalnej. A obok nich działały Związek Harcerstwa Polskiego, stanowiący prawdziwą szkołę patriotyzmu, bardzo liczne kluby i organizacje sportowe z zasłużonym Sokołem, dumne z tego, że obok działalności ściśle sportowej nieobce im były zagadnienia ideologiczne. Nawet — co brzmi trochę egzotycznie — stowarzyszenia byłych kombatanów, żołnierzy jakiejś formacji wojskowej z czasów walki o niepodległość miały swoje własne organizacje młodzieżowe, jak na przykład Drużyny Błękitne przy Związku Hallerczyków. Wśród organizacji tego typu najbardziej wpływową i najliczniejszą był Strzelec. Była to organizacja paramilitarna, działająca w ramach ogólnego programu przysposobienia wojskowego, lecz tym się odznaczająca, że grupowała młodzież pozaszkolną. Strzelec, rzecz jasna, miał powiązania z silnym i faworyzowanym przez rząd Związkiem Legionistów i był najbardziej bojową forpocztą kół określanych jako obóz marszałka Piłsudskiego.

KRYZYS GOSPODARCZY I SPOŁECZNY

I

Ciężki regres gospodarczy nie wpłynął jednak w zbyt dużym stopniu na radykalizację poglądów ani całego społeczeństwa, ani

młodzieży, najłatwiej dającej się pociągnąć do radykalnych haseł. W tym względzie Polska stanowiła w Europie wyjątek, gdyż nawet w przywiązanej do tradycji Wielkiej Brytanii lata kryzysu wywołały wzrost nastrojów, które można by określić jako rewolucyjne. We Włoszech rewolucyjność została skierowana w łózysko faszyzmu, w Niemczech w sposób najbardziej tragiczny doprowadziła do zwycięstwa hitleryzmu nad jego jedynym w tym kraju poważnym konkurentem, jakim byli komuniści. W Polsce natomiast wszystkie próby narzucenia społeczeństwu tego rodzaju dążności totalistycznych były w gruncie rzeczy niezdarnym naśladownictwem obcego wzoru, który — jeśli nawet, jak w krai-cowym wypadku „Falangi”, znajdował krzykliwych zwolenników — to jednak przez ogół społeczeństwa traktowany był obojętnie i z lekceważeniem graniczącym z odrazą.

Nie oznaczało to, rzecz jasna, stępienia ostrza walki politycznej opozycji z rządami „pułkowników”. Walka ta jednak utrzymywała się w ramach prawa i nie dążyła do rewolucyjnych zmian ustrojowych czy strukturalnych w społeczeństwie. Opozycja, zrezygnowawszy z walki na forum parlamentu, względnie przestawszy wierzyć w jej skuteczność, dążyła do obalenia systemu rządów, które z dużą przesadą określano jako dyktatorskie. Tutaj stanowisko młodszego pokolenia różniło się od dążeń przywódców politycznych i większości istniejących partii politycznych. Ich przywództwo chciało przede wszystkim powrotu do supremacji parlamentu i w tym widziało najlepszy sposób rozwiązania palących zagadnień, młodzież natomiast przejmowała się bardziej kwestią wychowania siebie samej, a w ślad za sobą całego społeczeństwa w nowym duchu wzmożonego idealizmu. Ten wizerunek poglądów i nastrojów młodego pokolenia w Polsce miał także swe odbicie w sposobie reagowania na coraz cięższe życie codzienne w latach kryzysu gospodarczego. Traktowano kryzys jako swego rodzaju siłę wyższą, z którą nie wiedziano, jak walczyć, lecz której końca spodziewano się w sposób jak gdyby automatyczny. Nawet strajki robotnicze czy chłopskie miały na celu obronę jakiejś konkretnej pozycji, protest przeciwko konkretnemu zarządzeniu czy konkretnemu zagrożeniu codziennych interesów. Pomimo sloganów o brzmieniu radykalnym nie towarzyszyła im atmosfera rewolucyjna. Chłopi i reprezentujące ich Stronnictwo Ludowe domagało się w istocie realizacji postanowień już dawno zapadłych, takich jak na przykład nieprzeprowadzona ciągle reforma rolna. Robotnicy, strajkując w danym okręgu czy w danej fabryce, wysuwali postulaty praktyczne i uzasadnione, takie jak nieobniżanie zarobków i utrzymanie zasiłków

dla bezrobotnych w ustawowej wysokości, albo protestowali przeciwko ograniczaniu produkcji lub zwalnianiu części załogi. Hasła o brzmieniu politycznym służyły jako zawołanie bojowe lub po prostu jako ozdoba ideologiczna dołączona do zupełnie praktycznego celu. Pozostawały jednak tylko hasłami. Nie wytworzyła się w latach trzydziestych atmosfera rewolucyjna, którą można by porównać z bojowością świata robotniczego w okresie rządów „Chjeno-Piasta”.

Nastrojom społeczeństwa lat trzydziestych podporządkowały się, lub — powiedzmy lepiej — w ich ramach utrzymały się wpływowe w Polsce związki zawodowe. Było ich kilka. Związek Stowarzyszeń Zawodowych, prowadzony przez Polską Partię Socjalistyczną i z niewielkimi wpływami komunistycznymi w niektórych ośrodkach, był jedyną organizacją stojącą na gruncie walki klas. Liczba jego członków sięgała 250 tysięcy.

Niewiele mniej członków, bo nieco ponad 200 tysięcy, miało Zjednoczenie Zawodowe Polskie, będące emanacją społeczną Narodowej Partii Robotniczej i mające w tym okresie charakter umiarkowanie solidarystyczny. Trzecią wielką organizacją świata pracy było Chrześcijańskie Zjednoczenie Zawodowe o stu tysiącach członków, pozostające pod wpływami chadecji. W pełni kryzysu, na wiosnę 1931 roku, powstał z inicjatywy starego działacza PPS, a jednocześnie piłsudczyka, Jędrzeja Moraczewskiego, nowy związek. Nazwany został Związkiem Związków Zawodowych — w skrócie ZZZ — i w pewnym sensie posłużył się wzorem angielskiego TUC, pretendując do roli nadbudowy organizacyjnej dla wszystkich organizacji zawodowych. Celu tego w pełni nie osiągnął nigdy, gdyż konkurowało z nim Centralne Zrzeszenie Klasowych Związków Zawodowych o podobnych co ZZZ ambicjach. Jest jednak rzeczą ciekawą, że choć ZZZ popierany był przez rząd, a wielu członków wstępowało do niego ze względów oportunistycznych, to jednak w swym ramowym programie poszedł bardzo daleko w kierunku fundamentalnych reform nie tylko organizacji świata pracy, lecz całego życia gospodarczego. Głosił mianowicie hasła nazywane wówczas niezbyt ściśle syndykalistycznymi, a które domagały się samorządu robotniczego w ramach zakładów pracy i jego współudziału w kierownictwie. Choć nie była to nowość w historii ruchu robotniczego, to jednak była to sensacja, zważywszy warunki polskie. Tych wielkich celów ZZZ nie dopiął, a nawet się do nich nie przybliżył, odegrał jednak razem z innymi związkami zawodowymi ważną i pozytywną rolę w walce świata pracy z postęпами kryzysu.

Walkę tę określić należy jako walkę obronną. Broniono każdej konkretnej pozycji, broniono w pertraktacjach, w naciskach na władze i przy pomocy strajków. Wśród strajków najbardziej skuteczne były strajki okupacyjne, polegające na nieopuszczaniu zakładu pracy nieraz przez kilka dni lub tygodni.

Dochodziło do starć z policją, które rzadko jednak przybierały charakter dramatyczny. Przyczyną tego było raczej tolerancyjne podejście władz państwowych, a przynajmniej władz centralnych, czyli rządu, zwłaszcza wtedy, co się zdarzało najczęściej, gdy strajk wymierzony był pośrednio lub bezpośrednio przeciwko wielkiemu kapitałowi zagranicznemu. Rząd wyzyskiwał nawet sytuacje strajkowe dla wymuszenia pewnych koncesji na kapitale zagranicznym, a przynajmniej dla zapobieżenia odpływowi zysków z Polski za granicę. W roku 1931 kapitał zagraniczny, dotknięty w sposób bolesny sytuacją kryzysową w innych krajach, zdołał wyprowadzić z Polski 416 milionów złotych czystego zysku, z czego lwia część powinna była być zużyta na inwestycje. W następnych latach sytuacja ta już się nie powtórzyła.

Rzeczowej i energicznej postawie robotników zawdzięczała też Polska w dużej mierze zahamowanie kryzysu właśnie w przemyśle ciężkim czy wielkim już w roku 1933. Wskaźnik produkcji, który w roku poprzednim spadł do 64 % w porównaniu z rokiem 1928, przestał opadać i zaczął się powoli wspinać w górę, by osiągnąć w roku 1937 111 %. Także wskaźnik bezrobocia w wielkim przemyśle przestał wzrastać, choć wzrastał w dalszym ciągu w rzemiośle, w przemyśle drobnym, a przede wszystkim w rolnictwie. W tych dziedzinach życia poprawa zaczęła się zaznaczać dopiero w roku 1935. Liczba bezrobotnych sięgnęła w roku 1934 ponad 500 tysięcy ludzi. Warto dać kilka cyfr porównawczych. I tak w Anglii wynosiła ona 2.800.000, w Niemczech 5.800.000, a w Stanach Zjednoczonych nieco ponad 12 milionów. Cyfry te jednak, gdy o Polskę chodzi, dają obraz tylko pozorny. Gdy wśród półmilionowej masy bezrobotnych uwzględniano około 400 tysięcy pozbawionych pracy robotników wielkiego przemysłu i usługowych przedsiębiorstw państwowych, na łączną liczbę około dwóch i pół miliona zatrudnionych poza rolnictwem i tak zwanymi zawodami umysłowymi. Pozostałych 100 tysięcy bezrobotnych nie reprezentowało bynajmniej całości ludzi pozbawionych pracy lub po prostu nie mających z czego żyć, gdyż liczba ta obejmowała jedynie pracowników mniejszych zakładów przemysłowych i bardzo nieznaczną liczbę robotników rolnych z majątków uprzemysłowionych. Nie mieścili się w niej natomiast pozbawieni pracy rzemieślnicy, a pamiętać trzeba, że

rzemiosło przed kryzysem dawało zatrudnienie pół milionowi ludzi. Nie było w liczbie bezrobotnych tych pracowników, którzy wyczerpali należne im zasiłki z tytułu ubezpieczeń społecznych. Nie pojawiali się w statystyce wcale, gdy ograniczano im czas pracy na przykład do dwóch dni w tygodniu. Nie było też bezrobotnego w statystykach, jeśli był bezrolnym mieszkańcem wsi, nie mogącym znaleźć żadnego zatrudnienia. A bezrobotnych wśród bezrolnych czy małorolnych było w rolnictwie polskim nawet przed kryzysem gospodarczym od miliona do trzech milionów, w zależności od przyjmowanego kryterium.

Mówiąc o przeobrażeniach poglądowych, o prądach społecznych i poglądach politycznych lat trzydziestych w Polsce, pamiętać musimy, że były one ściśle związane z ową złotówką, w pogoni za którą ogromna większość społeczeństwa spędzała swój dzień powszedni, i która często przesłaniała sprawy ideowe.

II

Fakt, że pierwsza połowa lat trzydziestych przebiegała w Polsce pod przemożnym wpływem zagadnień, które dziś nazywamy bytowymi, tłumaczy w pewnej mierze stosunkowo słaby oddźwięk, jaki w społeczeństwie znajdowała walka opozycji politycznej z rządem, prowadzona przede wszystkim pod kątem zagadnień ustrojowych, które miały tylko lub żaden mogły mieć bezpośredni wpływ na codzienne troski ogółu obywateli.

Także związki zawodowe lub robotnicy sami, gdy nie oglądali się na swe organizacje, mniej dawali posłuchu szumnym hasłom przebudowy ustroju niż praktycznym wezwaniom do walki o konkretny i praktyczny cel. Wzrost wpływu elementów komunizujących głoszących hasła wywrotowe był tak nieznaczny, że na całość obrazu nie wpływał. Największymi sukcesami pochwalić się mogli komuniści na Śląsku, a dzięki ruchliwości Związku Młodzieży Komunistycznej również wśród rzemieślniczej biedoty małomiasteczkowej, w Kongresówce i na Kresach w ogromnej większości żydowskiej.

Także w Zagłębiu Dąbrowskim, Płocku czy Warszawie, gdzie KPP rozwijała żywszą działalność, tylko wtedy liczyć mogła na sukces wśród robotników, gdy występowała w taktycznym poro-

zumieniu z socjalistami lub z Narodową Partią Robotniczą. Porozumienia takie niekiedy zawierano, zwykle w oparciu o schemat organizacyjny związku zawodowego, lecz zawsze dla osiągnięcia konkretnego celu. Nie mogło być w Polsce mowy o czymkolwiek, co by przypominało założenia „Frontu Ludowego”, na przykład we Francji. Z tej przede wszystkim przyczyny, że ogół robotników nie zapomniał jeszcze najazdu bolszewickiego i orientował się nieźle, jak wyglądała sytuacja w Rosji, wkraczającej właśnie w najciemniejszą fazę epoki stalinowskiej. A nieugięte niepodległościowe stanowisko Polskiej Partii Socjalistycznej nie dopuszczało w ogóle myśli o sojuszu politycznym z KPP, mającej w swym programie nowy rozbiór Polski z oddaniem Górnego Śląska, Gdańska i Pomorza Rzeszy Niemieckiej, a wszystkiego, co leży za Bugiem i Sanem Związkowi Sowieckiemu.

Były więc także polityczne powody, dla których ciężkie lata światowego kryzysu gospodarczego przebiegały w Polsce znacznie spokojniej niż w innych krajach europejskich. I choć zawsze i wszędzie dobrze jest kończyć rozmowę westchnieniem, że „wszystkiemu winien rząd”, w Polsce mało kto chciał rząd winić za regres gospodarczy. Obwiniano raczej — i w dużej mierze słusznie — kapitał zagraniczny. A na tym odcinku nie było sprzeczności między gniewem robotników a polityką rządu, cokolwiek byśmy powiedzieli o jej skuteczności.

Czy znaczy to, że przebieg kryzysu był mniej dotkliwy dla ogółu ludności, a przede wszystkim dla robotników?

Odpowiedź musi wypaść twierdząco. Z jednym wszakże uzupełnieniem, które musimy powtórzyć. Mianowicie — główny ciężar kryzysu gospodarczego spadł w Polsce nie na robotników, lecz na ludność wiejską. Ona ucierpiała najbardziej i jej kosztem reszta społeczeństwa łżej przeżyła lata zastoju i szybciej mogła się z jego skutków podźwignąć. Ludność wiejska też najbardziej bojowo na swe położenie reagowała. A broniące interesów chłopskich Stronnictwo Ludowe, zwłaszcza jego młodzieżowe skrzydło, stało się w tym okresie najbardziej radykalnym, nieomal rewolucyjnym ugrupowaniem politycznym. Kryzys gospodarczy najmocniej się chyba zapisał właśnie w chłopskiej pamięci. Potanieenie żywności, zbawienne — zdawałoby się — dla robotnika czy inteligenta, czyli, jak się to mówiło, „dla miasta”, stawiało się katastrofą na wsi. Bo nie było za co kupić niezbędnych produktów przemysłowych. Co gorzej — nie było czym zapłacić podatku ani spłacać zadłużenia, które na wsi było duże. Nie koniec na tym. Nie było też czym opłacić siły najemnej rekrutującej się

z wielomilionowej nadwyżki wiejskiej ludności bezrolnej. Reszty dopełniał niski na ogół w województwach centralnych i południowych poziom techniki rolniczej, której bez inwestycji nawet w nieznacznym stopniu poprawić nie było można. I właśnie na wsi pojawiało się widmo głodu, groźniejsze niż w miastach, co w kraju rolniczym jakim była Polska zakrawało na paradoks, lecz paradoksem nie było, gdy się pamięta o prymitywnej, a jednocześnie zagmatwanej strukturze polskiego rolnictwa na znacznej części terytorium. Wieś też najmniej otrzymała pomocy ze strony państwa. Dopiero w roku 1934 ogłoszono moratorium zadłużenia rolnictwa. Stanowiło to dużą pomoc, gdyż oddalało lub likwidowało grozę utraty gospodarstwa za nieopłacone kredyty kiedyś otrzymane, lub po prostu za długi konsumpcyjne. Lecz pomoc ta nie dosięgała prawie gospodarstw małych czy karłowatych czyli w sensie gospodarczym nieopłacalnych nie tylko w okresie kryzysu, ale także w czasie dobrej koniunktury. Uratowała natomiast przed dalszym zmaleniem lub nawet zarzuceniem produkcji gospodarstwa zasobniejsze, a przede wszystkim folwarki czyli wielką własność ziemską. Zabezpieczyło to zatrudnienie potężnej rzeszy robotników rolnych w majątkach. Pozwoliło też obsłużyć szczupłe wówczas zapotrzebowanie importerów zagranicznych, przede wszystkim na cukier. Najwięcej na moratorium zyskały gospodarstwa uprzemysłowione, tam, gdzie ich było najwięcej i gdzie stały na wysokim poziomie, czyli w zachodnich częściach ówczesnej Polski. Natomiast chłop w Lubelskiem czy w Tarnowskiem, pod Sieradzem czy na Wołyniu biedował dalej i to nawet wtedy, gdy w roku 1937 w miastach i w fabrykach przestano mówić o „kryzysie” jako o rzeczywistości dnia powszedniego. Bo gdy wskaźnik produkcji przemysłowej zaczął powracać do poziomu roku 1928 lub go przekraczać, cena żywca ledwo drgnęła, a cena zboża tkwiła uparcie na najniższym poziomie. W dalszym więc ciągu aktualny był cel strajków chłopskich, które polegały właśnie na odmowie dostaw żywności do miasta, skoro owo „miasto” płaciło za nią nieraz mniej niż kosztowało jej wyprodukowanie.

Tymczasem złotówka była coraz więcej warta na rynkach zagranicznych. Rząd stał twardo przy stabilizacji waluty — nawet wtedy, gdy jako ostatnia w Europie odstąpiła od niej Francja. Dolar zamiast dziewięciu kosztował pięć złotych trzydzieści, funt zamiast czterdziestu trzech niecałe dwadzieścia pięć. I wreszcie sto franków zamiast za trzydzieści pięć można było dostać za czternaście złotych. Dzięki temu łatwiej było Polsce kupić za granicą surowce przemysłowe i maszyny. Była to korzyść

względna, gdyż jednocześnie rynek kredytowy wewnętrzny nie miał środków na inwestycje czyli na rozbudowę przemysłu, na którego produkty nie było zresztą zbytu, także za granicą. Kredyty zagraniczne, w większości krótkoterminowe, w złej koniunkturze międzynarodowej więcej kosztowały w odsetkach niż dawały korzyści w powiększeniu produkcji. Przestano więc na nie liczyć i o nie się starać. W roku 1935, gdy Anglia i Stany Zjednoczone odstąpiły już od pokrycia swych walut w złocie, w Polsce uznano złoto za jedyny podkład waluty, z obowiązkiem utrzymania zapasu złota w Banku Polskim na poziomie 30 % banknotów będących w obiegu. Logicznym krokiem zabezpieczającym twarzą polską walutę przed wyciekaniem za granicę było wprowadzenie ścisłej kontroli dewizowej, co nastąpiło 17 kwietnia 1936 roku. Polityka deflacyjna, przeciwieństwo stosowanej w innych krajach planowej inflacji, powodowała zjawisko niedostatku pieniędzy w obrocie wewnętrznym. Skrępowany obowiązkiem pokrycia w złocie Bank Polski nie emitował banknotów ponad przewidzianą do zapasu złota proporcję. Nawet wtedy, gdy odpływ złotych za granicę zmniejszał ilość pieniędzy w obiegu, czemu położyła kres dopiero kontrola dewizowa. Po części pomagano sobie nieznacznym zresztą zwiększaniem ilości bilonu. Złotówka była więc *de facto* coraz więcej warta dlatego, że jej było za mało w obiegu. Naturalnie deflacja wpływała na obniżenie wskaźnika cen utrzymania. Jeszcze w roku 1938, gdy światowy kryzys gospodarczy już się skończył, wskaźnik ten utrzymał się na poziomie 60 % w porównaniu z rokiem 1928. Pomogło to mieszkańcom miast, pomogło robotnikom, pozwoliło rządowi na oszczędności budżetowe nawet w postaci niżki płac, dało nawet pewne nadwyżki, bardzo rozsądnie zresztą inwestowane, lecz nie pozwoliło na dostateczne ożywienie kredytowego rynku wewnętrznego. A przede wszystkim w dalszym ciągu godziło w interesy wsi i rolnictwa.

Znikły zwolna „bieda-szyby”, jak nazywali bezrobotni górnicy wykopki, z których czerpali węgiel na opał i na sprzedaż, skróciły się ogonki przed kasami wypłat ubezpieczeń społecznych, ożywiły się roboty publiczne finansowane ze specjalnego państwowego Funduszu Pracy, w miastach zaczęto kupować nowe buty zamiast je po raz piąty zelować, przestały grozić eksmisje za niezapłacony czynsz — tylko po wsiach ciągle jeszcze często nie było za co kupić nafty, soli lub zapalek, a rekruci zjeżdżający z wojska na urlop opowiadali zachwyconym rodzicom, że w wojsku codziennie jedzą mięso...

Przez kilka ciężkich bardzo lat trudno było zdobyć ową

wszechmocną złotówkę. Lecz gdy się ją zdobyło, wystarczała na bardzo wiele. Kilogram chleba kosztował od 20 do 30 groszy w zależności od gatunku, bałka 5 groszy. Za 70 groszy można było zjeść przyzwoity obiad, a za 2,50 pójść w Warszawie „pod Bukietą”. Żaden luksus, ale bardzo dobra restauracja. Buty „komiśniaki” do pracy od 3 złotych, porządne trzewiki za dwadzieścia parę. Ubranie było i za 60, choć były i inne za 200. Pięć złotych w kieszeni to już było niezłe, gdy się szło „na miasto”, przy dziesięciu można było skusić się na bardzo długi wieczór z tańcami.

Wspomnienia lat młodych? Owszem, po części, chociaż rzecz jasna nie każdy i nie zawsze miał tych dziesięć złotych. Robotnik rolny — zależy zresztą od dzielnicy kraju — na złotówkę pracować musiał nieraz cały dzień, a kobieta przy kartoflach czy burakach parę dni. Oczywiście i tu potrzebna jest korektura w postaci warzyw z zagrody i darmowego mieszkania. Robotnik w fabryce? Zależy w jakiej, w której części kraju, ile miał lat pracy za sobą i jakie miał kwalifikacje. Śmietanka drukarzy, linotypiści, brali ponad sto złotych na tydzień. Inni zarabiali tyle na miesiąc. Niewiele więcej miał początkujący nauczyciel, urzędnik na poczcie, młody kolejarz. Czy mógł z tego żyć? Mógł, choć skromnie. Czy mógł założyć rodzinę, zdobyć jakie takie mieszkanie? Z trudem. Ale mógł liczyć i liczył, że nie będzie mu coraz gorzej, tylko coraz lepiej. Tak przynajmniej, gdy mijał rok 1936 i 1937, a z nimi kryzys gospodarczy, myślała większość młodych ludzi. A ze złotówki polskiej był dumny, że taka mocna, nie zwracając uwagi na fachowców krytykujących politykę deflacji.

Ogół społeczeństwa był świadom, że się w Polsce życie poprawiło, choć ciągle było na co narzekać.

SPOŁECZEŃSTWO LAT TRZYDZIESTYCH

I

W dwudziestoleciu międzywojennym od roku 1919 do 1939 liczba mieszkańców państwa polskiego wzrosła o około 8 i pół

miliona. Zamiast niespełna 27 milionów bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej było ich w przededniu drugiej wojny światowej 35 i pół miliona. Przyrost naprawdę ogromny, bo sięgający ponad jednej trzeciej cyfry wyjściowej. Wyrażał się w stosunku rocznym przeciętną 13 promili i był jednym z najwyższych w Europie. Tym samym wzrosła przeciętna gęstość zaludnienia z 70 na kilometr kwadratowy do 90, z tym, że nie uległy godnym uwagi zmianom liczby dla poszczególnych dzielnic Rzeczypospolitej. Wpadało w latach trzydziestych na Górnym Śląsku 307 mieszkańców na kilometr, w województwach południowych byłej Galicji, obecnie zwanej Małopolską, 117, w byłej Kongresówce 97, w Poznańskim i na Pomorzu około 90 i wreszcie 45 mieszkańców na kilometr jako przeciętna dla Kresów Wschodnich.

Czy nadążała za tym wzrostem ludności krzywa wzrostu produkcji i przeciętnej dochodu narodowego na głowę? Innymi słowy, czy i w jakim stopniu polepszyło się położenie materialne społeczeństwa? I pytanie drugie: czy poprawa położenia została rozłożona równomiernie, względnie z przesunięciem na korzyść pewnych grup ludności kosztem innych? A jeśli żadna z grup w sensie absolutnym nie poniosła szkody, to w jakim stopniu zmniejszone zostały poprzednio istniejące, odziedziczone po zaborcach niesprawiedliwości społeczne i gospodarcze?

Od odpowiedzi na te pytania zależeć musi — rzecz jasna — ocena dorobku społecznego Rzeczypospolitej międzywojennej.

Otóż odpowiedź jest bardzo złożona, wskutek czego łatwo jest popaść w przesadę w jednym lub drugim kierunku. Z jednej strony można dojść do wniosków pesymistycznych, z drugiej znowu strony można odmalować ten sam obraz w barwach radośnie upiększających rzeczywistość. Trudność wzmacnia fakt, że punkt wyjścia wszystkich porównań nie jest dla całego kraju jednakowy, natomiast dane statystyczne obrazujące stan osiągnięty pod koniec lat trzydziestych dotyczą już jednej całości gospodarczej, jaką tworzyło państwo polskie.

Określenie „jedna całość” nie jest oczywiście tym samym, co całość jednolita. Po kilkunastu latach istnienia państwa różnice między poszczególnymi dzielnicami były w dalszym ciągu widoczne, żeby nie użyć słowa rażące. Wystarczy pamiętać, że 3 województwa zachodnie, zamieszkałe przez niecałe 15 % ludności kraju, dawały prawie 40 % wpływów budżetowych państwa. W innym też momencie w tych właśnie województwach kończył się proces odbudowy gospodarczej po zniszczeniach wo-

jennych, a zaczynał proces właściwego rozwoju. W roku 1921, który dla Polski był pierwszym dopiero rokiem pokoju, dewastacje w przemyśle sięgały niekiedy 70 % wyposażenia fabrycznego. Nie inaczej było w taborze kolejowym, w stanie torów i drożni bitej, w zniszczeniu budynków mieszkalnych, w pogłowiu bydła i w wyjałowieniu ziemi na wsi. Trudności mnożyła całkowita zmiana struktury handlu zagranicznego i rynku kredytowego. W wielu gałęziach życia gospodarczego osiągnięcie poziomu z roku 1913 było bardzo mozolne lub wręcz nieosiągalne.

Oczywiście w pewnym przynajmniej stopniu powstawanie i rozwój nowych gałęzi produkcji kompensowały straty. Niemniej, chociaż w skali całego kraju ścisłe oddzielenie procesu rozwoju od procesu odbudowy jest w praktyce niewykonalne, o tej dwoistości polskiego wysiłku gospodarczego nie wolno zapominać.

Wracając do pytania postawionego na wstępie, mianowicie, czy wzrost produkcji i polepszanie się sytuacji gospodarczej dostrzymywało kroku ogromnemu wzrostowi liczby mieszkańców, stwierdzić możemy, że dostateczna proporcja została osiągnięta po raz pierwszy w roku 1928, a po raz drugi po roku 1936. Rok 1928, wyjątkowo zresztą pomyślny dla gospodarki polskiej, pozwolił nawet na stworzenie nadwyżek kapitałowych, które pomogły w przetrwaniu pierwszych przynajmniej dwóch lat regresu wywołanego przez światowy kryzys gospodarczy. Rok 1936 i następne lata znowu pozwoliły naprzód na wyrównanie położenia do poziomu z roku 1928, a potem na powolny wzrost wskaźników produkcji i wskaźników dochodu narodowego. W rzeczywistości poprawa była większa niż by wynikało z suchych cyfr statystycznych. Z tego przede wszystkim powodu, że wzrosła wartość miernika pieniężnego, jakim był złoty. Przeciętny dochód na głowę rocznie — 900 złotych — wart był w sile nabywczej około 1.400 złotych z roku 1928. Był to skutek stabilizacji waluty przy utrzymaniu pokrycia w złocie.

Polityka stabilizacji miała — jak już była o tym mowa — gwałtownych krytyków, gdyż utrudniała inwestycje i tym samym nie pozwalała maleć liczbie bezrobotnych, co z kolei nakładało na państwo duże ciężary w wydatkach z tytułu ubezpieczeń społecznych. Lecz wśród obrońców stabilizacji był człowiek tej miary i talentów gospodarczych co Eugeniusz Kwiatkowski, twórca lub co najmniej współtwórca większości ambitnych i udanych projektów rozwojowych z portem w Gdyni, magistralą węglową i Centralnym Okręgiem Przemysłowym na czele. Jest rzeczą godną uwagi, że argumenty jakich używał w obronie polityki deflacyjnej wynikały nie z zimnej kalkulacji kosztów, lecz z prze-

słanek społecznych. Bo ludność Polski budowała z trudem własne nadwyżki kapitałowe sposobem cięcia oszczędności, co w złej koniunkturze było możliwe tylko pod warunkiem obniżania cen i równoczesnego utrzymywania poziomu płac nominalnych. Czynniki psychologiczne odgrywał tu więc rolę podstawową: inflacja, na której stracić by musieli posiadacze drobnych oszczędności wskutek obniżenia wartości ich wkładów, a jednocześnie wszyscy utrzymujący się z pracy odpłatnej wskutek wzrostu cen, byłaby dla społeczeństwa zbyt wielkim wstrząsem. Podważyłaby też zaufanie do złotego, w którym zamykało się zaufanie do całokształtu gospodarki narodowej, podważając jednocześnie uporczywe i zbawienne przekonanie, że przyszłość będzie lepsza od dnia dzisiejszego.

Optymizm był cechą dominującą wśród Polaków, nawet jeśli nie był cechą powszechną. Podsycala go swoista nieznajomość zagmatwanej struktury gospodarczej, co powodowało gotowość dostrzegania i wyolbrzymiania każdego osiągnięcia z jednoczesnym przymykaniem oczu na każdą bolączkę, jeśli nie można było kogoś o nią konkretnie i po imieniu obwinąć. Nastawienie tego rodzaju zwiększało możliwość popełniania błędów w planowaniu gospodarczym, zarówno na szczeblu produkcyjnym, jak i w wąskim, lecz podstawowo ważnym zakresie budżetu osobistego czy rodzinnego. Ale z drugiej strony dawało pożywkę tak ważnym w życiu gospodarczym i społecznym cnotom jak zapał do pracy, a także umiejętność zaciskania zębów i zaciskania pasa. Na tym ogólnym tle optymizmu i wiary w lepsze jutro odbywała się powolna wprowadzanie, lecz stała integracja społeczeństwa polskiego. Nie hamowały jej, lecz przeciwnie, dzięki podkreślanii czynnika patriotyzmu w swych programach podniecały partie i ugrupowania polityczne. Słowo „Polska” i pochodne od niego przymiotniki nie były określeniami formalnymi, lecz stanowiły treść poglądową określającą zarówno rzeczywistość, w której mieścić się musi także codzienne życie jednostki z wszystkimi jej problemami i dążeniami, jak i wizję lepszego jutra.

Ten proces integracji społeczeństwa, wszędzie powolny, lecz nigdzie — poza komunistami — nie napotykał na świadomy opór, nie był jednoznaczny z krzewieniem się solidaryzmu społecznego. Rzadko też dążył w sposób programowy do likwidacji podziałów klasowych, choć niewątpliwie przyczyniał się do ich niwelacji. Solidaryzm w sposób świadomy głosił ruch narodowy. Solidaryzm nieobcy był myśleniu ludzi skupiających się wokół Chrześcijańskiej Demokracji. Natomiast zarówno Polska Partia Socjalistyczna jak i Stronnictwo Ludowe reprezentowały nie soli-

daryzm społeczny, lecz walkę klasową, łagodzoną tylko i wyłącznie patriotyzmem i bezkompromisowym przywiązaniem do idei polskiej, niepodległej państwowości.

Czy nie należałoby więc mówić o integracji narodowej raczej niż społecznej, by w ten sposób podkreślić dojrzewanie i krzepnięcie polskiej świadomości narodowej przy jednoczesnym utrzymywaniu się starych i narastaniu nowych podziałów społecznych? Wydaje się, że byłoby to uproszczenie zbyt daleko idące. Bo gdy o Polaków chodzi, stopień poczucia świadomości narodowej był nie celem procesów integracyjnych, lecz w dużej mierze ich przyczyną. Nie można też zapominać, że w integracji społecznej Polski dwudziestolecia udział brali także ludzie do narodowości polskiej nie należący, a często swą narodową odrębność podkreślający. Do nich należała znaczna część Białorusinów, zwłaszcza katolików, oraz duży, jeśli nie dominujący odsetek inteligencji żydowskiej czy pochodzenia żydowskiego.

Wyłączywszy te dwie niezbyt liczne grupy, ogół dziesięcioletniej masy obywateli polskich niepolskiej narodowości w społecznym procesie integracyjnym udziału nie brał. Miało to, rzecz jasna, złe skutki dla państwa na odcinku poczucia lojalności wobec państwa, praworządności i udziału we wspólnym wysiłku gospodarczym. Partykularyzm interesów i nastawienia psychicznego mniejszości narodowych nakazywał im w najlepszym wypadku utrzymywanie dystansu wobec pragnień, trosk i kłopotów społeczeństwa polskiego, a w najgorszym wypadku rodził stosunek nieprzychylny, hamowany jedynie nakazami prawa i skutecznością środków, przy pomocy których państwo mogło dla swych praw posłuch wymusić.

Różnice między dzielnicami, będące spadkiem po zaborach, zacierały się najszybciej w młodym i najmłodszym pokoleniu. Było to zupełnie naturalne, gdyż wynikało z ujednolicenia szkolnictwa i z ogólnego postępu oświaty. Szkoła polska z polskim programem nauczania i przy dużym przepływie nauczycieli z jednej strony Polski na inną była niwelatorem najskuteczniejszym, choć bynajmniej nie jedynym. Następnym była prasa i w ciągle wzrastającym stopniu radio. Dalej służba wojskowa poborowych. Do niwelacji różnic dzielnicowych najmniej przyczyniały się migracja ludności w poszukiwaniu pracy i całokształt życia gospodarczego, które na codzień, przy podobnych lub nawet identycznych problemach, inne miało formy obyczajowe wśród rolników w Wielkopolsce, a inne wśród chłopów w Lubelskiem, inne na rynku pracy w Budgoszczy, a inne w Białymstoku.

II

Różnice struktury społecznej Polski niepodległej, które były pozostałością podziału kraju na dzielnice rozbiorowe, wyrównywać musiał proces scaleniowy, znacznie łatwiejszy w swych przejawach zewnętrznych czy formalnych niż na odcinku ujednolicania postawy psychicznej i nawyków myślowych lub też na najważniejszej bodaj dla życia codziennego płaszczyźnie obyczajowej. Społeczeństwo polskie wykazało dużą prężność i świadomość jedności narodowej w likwidowaniu śladów obcych rządów, co jest tym bardziej godne podkreślenia, że żyć musiało dalej w ramach przepisów prawnych pozostawionych przez zaborców. Dopiero w latach trzydziestych dokonano kodyfikacji prawa karnego i postępowania sądowego w sprawach karnych. Bezpośrednio potem wprowadzono w życie polski kodeks prawa handlowego. Natomiast ogromu zagadnień prawa cywilnego skodyfikować w pełni nie zdołano, regulując jedynie specjalnymi ustawami, a także drogą codziennej praktyki, niektóre przynajmniej sprzeczności. I tak w zaborze pruskim obowiązywało tak zwane „BGB”, to jest niemiecki kodeks cywilny, w Małopolsce prawo austriackie, w byłym zaborze rosyjskim aż dwa systemy prawne, zgoła do siebie niepodobne — w Kongresówce zmodyfikowany Kodeks Napoleona, pozostałość po czasach Księstwa Warszawskiego, a na wschód od Bugu rosyjski *Zwód Zakonow*. Dla wypełnienia tej mozaiki dodać warto, że kilkanaście wsi spiskich i orawskich w Tatrach posługiwać się musiało przez jakiś czas ustawodawstwem węgierskim, różnym od austriackiego.

Różnice systemów prawa cywilnego nie miały żadnego wpływu na podstawowe prawa obywatelskie i na publiczne prawo państwowe, które było polskie od pierwszych dni odzyskania niepodległości, a w swych zrębach podstawowych opierało się o dwie ustawy główne — Konstytucję Marcową i Kwietniową. Ich bardzo istotnym uzupełnieniem było polskie ustawodawstwo społeczne i ochrony pracy. I tu jednak nie zdołano dokonać pełnej kodyfikacji i wiele zagadnień szczegółowych regulować musiano w poszczególnych okolicach Polski inaczej, w oparciu o obowiązujące w danej dzielnicy prawo cywilne.

Cóż różnice prawa cywilnego znaczyły w życiu powszednim przeciętnego obywatela Rzeczypospolitej? Niekiedy nie zdawał sobie z nich w ogóle sprawy, często jednak przypominały mu się w sposób bardzo istotny. A więc dla przykładu: innych musiał dokonać formalności chcąc założyć własne przedsiębiorstwo lub

warsztat rzemieślniczy, inaczej wyglądały sprawy spadkowe, sprawy najmu lokali lub dzierżawy gruntu w poszczególnych dzielnicach. I wreszcie przykład może najbardziej rzucający się w oczy: w zależności od miejsca zamieszkania młody Polak czy Polka inaczej zawierali małżeństwo i różne były skutki materialne tego aktu.

Inne różnice, oczywiste a często drażniące w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości, zanikły pod koniec lat trzydziestych prawie zupełnie. Był to skutek jednolitej administracji państwowej, jednolitego systemu oświaty na wszystkich szczeblach nauczania, ujednoliconych przepisów dotyczących najmu, wspólnego dla całego kraju choć uwzględniającego niektóre potrzeby lokalne systemu ubezpieczeń społecznych i wreszcie powszechnego obowiązku służby wojskowej, którą przynajmniej połowa młodzieży męskiej odbywała. Resztę musiano z poboru zwalniać, bądź wskutek oszczędności budżetowych, bądź wskutek braku kwalifikacji zdrowotnych lub innych przyczyn. Wśród młodzieży należącej do mniejszości narodowych odsetek młodych mężczyzn powoływanych do wojska był mniejszy niż wśród Polaków.

Obok tych sposobów niwelacji różnic dzielnicowych nie mniej ważne były sposoby inne, nie regulowane i nie planowane urzędowo czy ustawowo, lecz będące skutkiem świadomości istnienia wspólnej państwowości polskiej i coraz mocniejszego działania spójni narodowej. Do nich należał duży ruch rodzin urzędniczych i nauczycielskich, a także kolejarских, ogólnokrajowy zasięg niektórych przynajmniej organów prasy, wzrastający zasięg radiostacji, stołecznej i prowincjonalnych, oraz tysiąc i jeden innych czynników, których nie sposób nawet wyliczyć, a cóż dopiero dokonać ich głębszej analizy.

Lecz były też takie różnice między dzielnicami, których usunąć się nie dało. Nie miały też „folklorystycznego” tylko charakteru, choć tak je widzieć pragnęli optymiści. Ich istota nie polegała bowiem na noszeniu spódnic w pasy łowickie lub na ich nienoszeniu, ani na wiązaniu chust z tyłu głowy na wsi podkrajowskiej, a pod brodą w Wielkopolsce. Ani nawet na zwrotach dialektycznych czy gwarowych, na twardym na zachodzie, a „ciągnionym” na wschodzie akcentie.

Różnice polegały przede wszystkim na stopniu zamożności wsi w poszczególnych dzielnicach. Można by, rzecz jasna, zdanie to zbudować inaczej. I często to robiono, nie tylko w celach demagogicznych. Mianowicie zamiast określenia „stopień zamożności” można by powiedzieć: „stopień czy zasięg biedy” ludności

wiejskiej. W kraju nie tyle rolniczym, nie tyle „chłopskim” ile właśnie „wiejskim” różnice poziomu życia robotnika — mieszkania, jakie miał do dyspozycji, wyżywienia, jakie kładł na stół rodzinie, gazety, jaką czytał, i rozrywki, jakiej szukał — były problemem mniej jaskrawym i mniej bolesnym niż różnice między zamożnym „gburem” spod Wejherowa a małorolnym spod Jarosławia czy Biłgoraja. Nie było dużej różnicy między położeniem rodziny urzędnika państwowego lub samorządowego, pracującego i żyjącego w Lublinie lub w Toruniu czy Kaliszu. Podobnie rzecz się miała z kolejarzem i nauczycielem, z podoficerem, adwokatem, lekarzem czy dziennikarzem. O każdym z nich, od robotnika w przemyśle zaczynając, można było powiedzieć, że należy do określonej warstwy społecznej, do określonej klasy społecznej (jeśli ktoś tak woli), która swym zasięgiem obejmuje cały kraj, której problemy w poszczególnych tego kraju okolicach są co najmniej bardzo podobne, a w swej najgłębszej treści nieomal identyczne.

Nie można tego było natomiast powiedzieć o mieszkańcach wsi. Ani o tych spośród nich, co nie mieli własnej ziemi i stanowili masę najemną, w jej ogromnej większości i bez względu na koniunkturę gospodarczą całego kraju chronicznie bezrobotną, ani o tych, co pracowali na własnym kawałku ziemi. Kawałek ten był zresztą bardzo różny rozmiarami, urodzajnością, techniką uprawy i nawet kształtem. Bo także kształt gospodarstwa rolnego, gdy składało się ono z kilkunastu luźno rozrzuconych skrawków lub przypominało kilometrowej długości grządkę, wpływał na stopień dobrobytu lub stopień biedy mieszkańców chłopskiej chałupy, a tym samym na jego gradację społeczną, jego psychikę i poglądy. „Rozwarstwienie” wsi było w Polsce ogromne z wszystkimi tego stanu rzeczy konsekwencjami. I było drastycznie inne w poszczególnych dzielnicach. Z tego też powodu mówić o „klasowym” charakterze problemów całej wsi polskiej, mówić o walce klasowej całej wsi polskiej w tym okresie byłoby bardzo trudno, gdyż tyle trzeba by wprowadzać przy tym zastrzeżeń, wyjaśnień i wyjątków, że zatraciłby się przy tym sens pojęcia „klasa społeczna”.

Nie znaczy to, by nie istniała w Polsce potężna więź łącząca chłopów wokół pragnienia zdobycia sobie w państwie należnej im z tytułu ich liczby pozycji politycznej. Więź ta znalazła swój sprawny wyraz organizacyjny, gdy stronnictwa chłopskie połączyły się w jedno Stronnictwo Ludowe. Niewątpliwie radykalna reforma rolna była czołowym punktem jego programu. Lecz nie była jedynym, a może nawet nie była najważniejszym. Chłopi

w głębi ducha nie myśleli o walce klasowej ani nawet o sojuszach z „klasą robotniczą” w szerszym niż dyktowane przez potrzeby taktyki politycznej znaczeniu. Myśleli po prostu o przejęciu władzy w państwie i o zdobyciu w nim hegemonii. Przyczyną tego stanu rzeczy było bardzo powolne przesuwanie się proporcji między liczbą ludzi mieszkających na wsi i liczbą czynnych zawodowo poza wsią. Między rokiem 1920 i 1939 demograficzny rezultat industrializacji kraju wyraził się kilkoma zaledwie procentami ogółu mieszkańców Polski. Industrializacja była raczej ideałem niż zapoczątkowanym procesem. Dla wielu Polaków była celem nieomal abstrakcyjnym. W przekonaniu przeciętnego obywatela, czy był chłopem czy nim nie był, „chłopskość” i „rolniczość” Polski były swego rodzaju nienaruszalnymi aksjomatami. I stąd przekonanie, że problem wsi sprowadza się do zjawiska nadmiaru bezproduktywnej ludności wiejskiej. Tę nadwyżkę należy zlikwidować. Rozwiązanie widziano w reformie rolnej czyli — krótko mówiąc — w parcelacji wielkiej własności ziemskiej. Widziano je w emigracji, przemysłowej i rolniczej, do innych krajów. A także w uprzemysłowieniu, lecz dopiero na ostatnim jak gdyby miejscu.

Taki był stan rzeczywisty i do jego opisu można by się ograniczyć. Lecz byłaby to ocena niesprawiedliwa. Bo przy ówczesnych możliwościach inwestycyjnych, przy ówczesnym położeniu gospodarczym Polski, wobec ogromu zagadnień, któremu państwo i społeczeństwo musiały podołać, każdy bardziej radykalny plan był nie tylko nierealny, lecz byłby jednocześnie przez społeczeństwo, łącznie z ludnością wsi, odrzucony i potępiony. Z tego przede wszystkim względu, że wprowadzić by musiał element przymusu, gwałcącego podstawowe i dla całego społeczeństwa drogie zasady swobody rozwojowej. Instynktownie jak gdyby — jeśli można takiego określenia użyć dla podkreślenia zgodności poglądów — spodziewano się poprawy położenia wsi i ludności wiejskiej w miarę ogólnej poprawy koniunktury gospodarczej — krajowej i międzynarodowej, krzepnięcia siły państwa i usuwania wszystkiego, co w strukturze społecznej, w życiu politycznym, w życiu codziennym, w obyczajach, nawykach i poziomie oświaty wymagało usunięcia i naprawy. Było to więc nastawienie idealistyczne, naiwne może, lecz powszechne i tym samym mające w sobie isierki wiary we własne siły. Godzono się na proces powolny, godzono się na czekanie wystrzegając się wstrząsów, które, zamiast położenie poprawić, mogłyby je pogorszyć, zamiast złagodzić różnice i niesprawiedliwości społeczne — mogłyby je pogłębić.

Ile w tej postawie było kwietyzmu i polskiego „jakoś to będzie”, a ile elementów pozytywnych, ani się dowiedzieć, ani sprawdzić nie będziemy mogli. Historia poszła innym szlakiem, innymi zakrętami, narzuciła inne rozwiązania, stwarzając troski, wobec których troski i problemy lat trzydziestych dawno już zmały i zbladły. Trudno za tę postawę winić społeczeństwo polskie lat trzydziestych, a zwłaszcza młodzież ówczesną, która była na najlepszej drodze do dokonania najgłębiej sięgających i najbardziej istotnych zmian ogólnego obrazu swej ojczyzny.

Wspominaliśmy już o roli nowego pokolenia Polaków, wychowanych w szkole polskiej i w polskim państwie. Prawdziwymi i żarliwymi wyznawcami wiary w lepsze jutro gospodarcze i społeczne była właśnie młodzież. Młodzież stojąca przy warsztacie, w fabryce, ruszająca za pługiem w pole, dobijająca się niższych tymczasem stanowisk w administracji państwowej, w przemyśle, handlu, samorządzie, w wolnych zawodach, w wojsku czy wreszcie w hierarchii kościelnej. Nie wiedząc o tym, nie zdając sobie sprawy z własnych dokonań, nie tylko niwelowała różnice dzielące społeczeństwo polskie w płaszczyźnie poziomej, to jest ponad dawne granice rozbiorowe, lecz także na kierunku „góra-dół”. Być może, że dojrzewała w niej także świadomość klasowa, w pozytywnym znaczeniu tych słów. Na pewno tak było wśród młodzieży robotniczej. Lecz jednocześnie dynamika młodzieży wszystkich warstw społecznych podważała skutecznie zaśniedziałe kryteria podziału społeczeństwa na przysłowiowe „dwa narody” — na „inteligenczką” elitę i „ludową” masę. A ludzi poniżej lat trzydziestu było wtedy w Polsce ponad 60 %.

III

Strukturę społeczną rozpatrujemy zwykle w dwóch układach czy schematach podziału. Jednym jest układ zwany poziomym, drugim układ pionowy. Przy pierwszym jako kryterium podziału społeczeństwa na określone grupy występują cechy wyróżniające tego typu co narodowość, język albo dialekt, wyznanie lub jakaś inna więź nie połączona bezpośrednio ani z wykonywanym zawodem, ani ze stopniem wykształcenia czy poziomem zamożności. Przy układzie pionowym natomiast w grę wchodzi stosunek „góra-dół”, stopień swoistego uprzywilejowania jednych w porównaniu

z innymi i wiążący się z tym stopień pewności siebie lub jej braku i — mówiąc inaczej — stopień zadowolenia ze swego położenia osobistego w społeczeństwie. Tu dotykamy zjawiska antagonizmu między poszczególnymi grupami w pionowej strukturze społeczeństwa. Grupy te najczęściej, i zapewne jest to terminologia najbardziej obrazowa w dzisiejszym słownictwie, nazywamy klasami społecznymi.

Kryterium podziału ważnym w obydwu układach — zarówno w układzie poziomym, jak i w pionowym — jest wykonywany zawód. Czyli podstawowy środek utrzymania. Można rzecz jasna podział zawodowy ludności traktować jako suchą cyfrę statystyczną. W tym wypadku powiedzenie, że w Polsce między dwiema wojnami było 16 i pół miliona ludzi w rolnictwie oraz 5 i pół miliona w przemyśle należeć będzie do tej samej kategorii informacji statystycznych co cyfry odnoszące się do rzymskich katolików i prawosławnych lub do Polaków i Ukraińców. Gdy jednak wykonywany zawód połączymy ze stopniem zamożności i z tak zwaną pozycją społeczną, wówczas przekształci się on w kryterium podziału klasowego w układzie pionowym.

W Polsce lat dwudziestych i trzydziestych rodzaj wykonywanego zawodu miał większe niż w Europie zachodniej znaczenie przy wyznaczaniu granic między klasami społecznymi. W każdym razie znaczenie to było większe niż w krajach uprzemysłowionych. Majster w fabryce zarabiający więcej i żyjący dostatniej od urzędnika państwowego bywał jednak odcięty w sensie towarzyskim od środowiska określanego jałowym słowem „inteligencja” i rzecz nie polegała na różnicy poziomu kulturalnego czy zainteresowań kulturalnych. Niekiedy, choć nie zawsze, można było tę różnicę wypatrzeć w poziomie czy raczej rodzaju posiadanego wykształcenia. Najczęściej jednak właśnie wykonywany zawód stanowił istotną i trudną do pokonania granicę klasową. Nie potrzeba dodawać, że było to zjawisko nie tylko irracjonalne, lecz także w sensie społecznym ujemne. Stanowiło zaprzeczenie zasad demokracji na płaszczyźnie stosunków społecznych. Ile w tym zjawisku było typowego także dla innych (choć nie wszystkich) krajów Europy środkowo-wschodniej lekceważącego stosunku do cierpliwego dorabiania się własną pracą, a ile rodzimych polskich śladów wyzutej już z wszelkiego praktycznego znaczenia „pochodzeniowej szlachetczyzny”? Trudno było pytać o rozpatrzyć wówczas, a jeszcze trudniej dziś.

Wykonywany zawód był więc jednym z kryteriów zaszeregowania klasowego. Obok, lecz często niezależnie od innych, jak wykształcenie, pochodzenie a także — choć nie zawsze — sto-

pień zamożności. Konieczne są jednak w tym miejscu dwie uwagi.

Po pierwsze: dziwactwa i anachronizmy tego typu jak podział czynności zawodowych na „lepsze” lub „wyższe” z jednej strony a „gorsze” lub „niższe” z drugiej, przy lekceważeniu ich praktycznej opłacalności, ulegał przez cały czas dwudziestolecia powolnemu lecz nieubłaganemu procesowi niwelacji. Jedną z przyczyn, może najważniejszą, było coraz mocniejsze zakorzenianie się demokracji w postaci równych dla wszystkich praw obywatelskich. Fakt unieważnienia przez prawo wszystkich przywilejów określanych jeszcze wówczas starym słowem „stanowe” przenikał powoli w świadomość społeczeństwa, czyniąc wyrwy w zakorzenionych obyczajach i przesądach. Drugim czynnikiem niwelującym było upowszechnianie się oświaty i — także bardzo powolne, lecz przecież postępujące stale naprzód — ujednolicanie się poziomu nauczania w różnych częściach państwa.

I uwaga druga. Niwelacja różnic dzielnicowych znajdowała swe odbicie także w przeobrażeniach pionowego, czyli klasowego podziału społeczeństwa. Stosunek określany na wsi lapidarnie jako „dwór” i „zagroda” lub „chłop” i „dziedzic” był nazajutrz po odzyskaniu niepodległości zupełnie inny na przykład w Poznańskim niż na Lubelszczyźnie czy pod Rzeszowem. I pozostał inny do roku 1939 — z tym jednak, że owa „inność” miała tendencję malejącą. Stosunki upodabniały się do siebie, mało uczucie zupełnej obcości, jakie nawiedzało w pierwszych latach niepodległości przybysza z jednej strony Polski, gdy znalazł się daleko od miejsca swego urodzenia. Była to niwelacja przede wszystkim w kierunku poziomym, lecz z reperkusjami także na układ pionowy, czyli na układ różnic klasowych. Rezultat był taki, że mówiąc na przykład o „klasie chłopskiej” czy o „klasie najemników rolnych”, coraz mniej trzeba było dodawać zastrzeżeń i wyjaśnień, by przeprowadzić porównanie stosunków w byłym zaborze pruskim i w byłym zaborze austriackim czy rosyjskim.

Proces ten postępował jeszcze szybciej i sięgał głębiej w środowiskach robotniczych, a najszybszy był i najmocniejszy w wolnych zawodach i wśród rzeszy urzędników, zwłaszcza państwowych. Z tym skutkiem, że z każdym niemal rokiem trudniej było przeciwstawić sobie w sensie klasowym poszczególne grupy ludności zaliczanej ogólnie do „inteligencji”. Oczywiście nabierały rumieńców takie określenia jak „inteligencja pracująca”, oznaczająca ludzi żyjących z najmu swojej pracy umysłowej, w przeciwieństwie do inteligencji „niepracującej”, co nie oznaczało by-

najmniej bezrobotnych, lecz w dość wyraźnym skłóceniu z logiką przedstawicieli wolnych zawodów, przemysłowców, a niekiedy duchowieństwo... Pojawiały się też tendencje do wytwarzania się zupełnie odrębnej klasy „inteligencji wiejskiej”, związanej z wsią nie tylko charakterem wykonywanej pracy i poglądami, lecz także pochodzeniem. Gdy jednak w latach dwudziestych zamożny kupiec w Poznaniu zachnąłby się, gdyby go zaliczono do klasy „inteligenckiej”, to jego syn żadnych przeciw temu określeniu zastrzeżeń by nie miał. Podobnie rzecz by się miała z dwoma kolejno po sobie następującymi pokoleniami ziemian na małym folwarku pod Płockiem.

Następowała więc szybka niwelacja różnic w obrębie owej „góry” społecznej — niechętnie używano wówczas i ja niechętnie dziś używam terminu „elita”. Zmieniało się też kryterium zaszerzegowania do owej „góry”. Coraz częściej stawał się nim wykonywany zawód, a coraz rzadziej pochodzenie lub odziedziczony majątek. A wykonywanie określonego zawodu, zawodu „inteligenckiego”, warunkowane było zdobyciem wykształcenia na ściśle określonym szczeblu. Było to na pewno kryterium lepsze, sprawiedliwsze i bardziej demokratyczne niż kryterium pochodzenia klasowego, które pod zaborami, a więc w czasach dla lat trzydziestych niezbyt jeszcze odległych, było kryterium od wykształcenia znacznie ważniejszym.

Rozpatrzmy sprawę na przykładzie, a jest to przykład jaskrawy, szczególnej grupy społecznej jaką byli zawodowi oficerowie. Była to grupa, którą pomawiano powszechnie o wyjątkową ekskluzywność, określając ją niekiedy nie jako odrębną klasę, lecz jako „klan” czy „kastę”. Zawodowi oficerowie byli na pewno grupą uprzywilejowaną w społeczeństwie. Złożyło się na to wiele przyczyn, z których najważniejszą zapewne był szacunek lub nawet więcej niż szacunek, bo raczej powszechne przywiązanie całego narodu do wojska. Ono przecież wywalczyło i ono obroniło niepodległość, ono stać miało na jej straży, od niego wymagało się największej gotowości do ofiar. Służba w nim była zaszczytna — co każdy przyznawał albo głośno, albo milcząco, nawet wtedy gdy uskarżał się na przejawy buty w życiu codziennym i podśmiewał się z wyolbrzymianych zresztą przykładów ograniczonego poziomu ogólnych wiadomości niektórych oficerów. Kim byli ci oficerowie? Odrzuciwszy malejącą z każdym rokiem grupę starszych oficerów z armii zaborczych, odrzuciwszy szczupłą ilościowo grupę starszyny legionowej, co roku przybywało po kilkuset oficerów z rodzin chłopskich, robotniczych lub z najgorzej uposażonych rodzin urzędniczych. Kończyli szkoły

podchorążych, szkoły typu zawodowego. By się do nich dostać, musieli ukończyć szkołę średnią albo typu ogólnego czyli tak zwane gimnazjum, później liceum, albo zawodową. Bardzo mało było wśród oficerów synów ziemiańskich lub synów rodzin zamożnych.

A więc kryterium zaszerzgowania to samo co we wszystkich grupach „inteligentkich”. Owa przysłowiowa nieomal „matura”. Ilu pod koniec lat trzydziestych było w Polsce tych ludzi z maturą lub „równorzędnym świadectwem szkolnym”? Zapewne kilkaset tysięcy. Do grupy pracowników umysłowych należało, licząc z rodzinami, niespełna dwa miliony ludzi. Nie każdy pracownik umysłowy miał maturę. Kryterium zaliczenia było dość płynne, bo pracownikiem umysłowym był i ktoś na szczeblu ministra, i telefonistka w centrali na poczcie. Trzonem grupy pracowników umysłowych byli urzędnicy państwowi i samorządowi w liczbie ponad 300 tysięcy, pracownicy przedsiębiorstw państwowych na posadach typu urzędniczego, nauczyciele. Tych było w szkołach podstawowych, czyli — jak wówczas je nazywano — powszechnych, ponad 100 tysięcy. Stanowili grupę najbardziej świadomą klasowo, o nastawieniu często radykalnym, głównie z powodu bliskiego kontaktu ze wsią czy ze środowiskiem robotniczym i ich bolączkami, a także wskutek złych warunków materialnych.

Masę urzędniczą czy, powiedzmy lepiej, najemną uzupełniali w ramach „inteligencji” zawody wolne, mające około 100 tysięcy przedstawicieli. Byli to lekarze, adwokaci, inżynierowie pracujący na własny rachunek, cały świat artystyczno-literacki, dziennikarze. Niewątpliwa „elita w elicie” inteligentkiej, także dlatego, że najczęściej lepiej znacznie zarabiała niż urzędnicy. Wreszcie duchowni różnych wyznań z ogromną przewagą katolickiego.

Pozostaje grupa bardzo nieliczna, lecz o wpływach znacznie wykraczających poza stan materialny. To grupa ziemiańska — ludzie, których zawodowo określić by można jako przedsiębiorców rolnych, żyjących z rolnictwa, lecz nie z własnoręcznej uprawy własnego kawałka ziemi i nie z wynajmu. Gospodarstw o powierzchni uprawnej ponad 50 hektarów było w Polsce w latach trzydziestych prawie 14 tysięcy. Właściciel każdego z nich razem z rodziną należał do klasy ziemiańskiej, bez względu na to, czy ziemię odziedziczył i był na niej zasiedziały czy też nabył ją dorobiwszy się w innym zawodzie. Typowym zjawiskiem była chęć „powrotu na ziemię” wśród wyższych urzędników, wojskowych czy przedstawicieli wolnych zawodów. „Powrót” ten wyrażał się zakupieniem większego lub mniejszego folwarczku;

często była nim tak zwana „resztówka” pozostała z parcelacji dużego majątku ziemskiego, na której poprzedni właściciel nie chciał pozostać, co występowało z reguły w wypadkach parcelowania na zachodzie kraju majątków niemieckich. „Resztówka” miała zwykle mniej niż 50 hektarów i jako samodzielne gospodarstwo rolne była nieopłacalna, zwłaszcza gdy jej właściciel swego „powrotu na ziemię” nie łączył w najmniejszym nawet stopniu z wiedzą rolniczą. Lecz i on zaliczał się w popularnym przekonaniu do ziemian, podobnie zresztą jak członkowie rodzin ziemiańskich pracujący poza rolą. Z tymi kuzynami, braćmi i powinowatymi klubowa nieomal instytucja ziemiańska była o wiele liczniejsza niż by wskazywały kryteria ściśle zawodowe czy majątkowe.

Tradycje kraju rolniczego, pomieszczone z ciągle żywą spuścizną szlachecką, w ogólnej kulturze Polski wysuwały ziemianstwo na czoło klasy „inteligenckiej”. Na pewno tak było w sensie towarzyskim, choć nie miało odpowiednika w rzeczywistych wpływach na życie polityczne i społeczne, wyłączwszy niektóre jednostki grupy ziemiańskiej na samym szczycie.

Pod tym względem naprawdę nieliczna grupa przedsiębiorców przemysłowych i bogatych kupców więcej miała do powiedzenia czy więcej miała zakulisowego wpływu na życie państwa. I ona w jakimś stopniu mieściła się w pojęciu „inteligencji”, z tym jednak, że niekiedy, choć nie zawsze, traktowano jej przedstawicieli jako „obcych” ze względu na ich żydowskie lub — rzadziej — niemieckie pochodzenie.

Można więc, przy uwzględnieniu wszystkich subtelnych nieraz podziałów wewnętrznych, podzielić w sensie obyczajowo-kulturalnym i społecznym wszystkich obywateli Polski międzywojennej na grupę inteligencką i na wszystkich, którzy się do niej nie zaliczali. I były to — obok określeń w rodzaju chłop, robotnik lub rzemieślnik i drobny kupiec — zasadnicze słowne kryteria podziału klasowego społeczeństwa polskiego.

IV

Na czym polegało praktyczne znaczenie przynależności do klasy inteligenckiej? W sensie formalno-prawnym — ba, także w płaszczyźnie wykonywania praw obywatelskich — podział ani nie był uznawany, ani go nie tolerowano, ani też nawet

nigdzie o nim nie wspomiano. Przed sądem wszyscy byli równi. Każdy obywatel miał te same prawa polityczne, a jeśli w latach trzydziestych prawa te były niekiedy uszczuplane lub nawet gwałcone, to z przyczyn zupełnie innych niż przynależność klasowa. A mianowicie z przyczyn politycznych, którym Polska w latach trzydziestych, w okresie rządów autorytatywnych, w coraz silniejszym stopniu podlegała. Lecz w tymże okresie — co było zjawiskiem na pewno pozytywnym — znikły już niektóre obyczajowe przywileje społeczne, którymi w okresie poprzednim, a tym bardziej w okresie zaborów, cieszyła się warstwa posiadaczy większej własności ziemskiej, czyli ziemianie. Wszystkie przywileje prawne, w rodzaju możliwości wywierania wpływu na administrację gminy w prawie pruskim, zostały zniesione w Konstytucji Marcowej, a praktyka życiowa usunęła ich resztki zupełnie skutecznie.

Lecz jeżeli tradycje, uprzedzenia czy pochodzenie odgrywały coraz mniejszą rolę jako kryterium zaliczenia do inteligencji, to korzyści będące skutkiem zaliczenia do tej klasy były właśnie wzorowane na tych tradycjach. Innymi słowy, decydująca była pozycja towarzyska. Wyrażało się to w sposób, który dziś wygląda na kpinę lub anegdotę, że na przykład ktoś w jakimś domu może „bywać” lub nie może „bywać”. Że z kimś rozmawia się jak równy z równym, a w rozmowie z kimś innym przyjmuje się ton wyższości. Albo niższości — w zależności, kto do kogo mówił. A jeszcze częściej tak zwany inteligent w rozmowie z kimś, kto za inteligenta albo sam się nie uważał, albo mu inni tego wątpliwego tytułu przyznać nie chcieli, starał się używać języka określanego jako prostszy czy łatwiejszy do zrozumienia. Na szczęście nie miało to nigdy nic wspólnego ze sprawą stylu czy gramatyki, gdyż język polski był już od wieków językiem zwartym. Chodziło nie o język, lecz o dobór słów, o sposób formułowania myśli.

Były to zjawiska i sprawy drażniące i zadrażniające, należały jednak do codziennej rzeczywistości. Ich absurdalność potęgował fakt zadziwiającego niekiedy podziału na pracowników umysłowych i fizycznych. W wydaniu lat trzydziestych — dodajmy tu od razu, że nie tylko w Polsce — rzekomy „awans społeczny” polegający na kurczowym trzymaniu się najgorzej płatnych i najmniej produkcyjnych funkcji drobno-urzędniczych dlatego, że są „lepsze” od lepiej płatnych i w pełni wartościowych funkcji związanych z pracą fizyczną, uznać należy za jeden z absurdów ówczesnych stosunków społecznych. Wyleczyć go można było tylko stopniowo, zmieniając przy pomocy szkoły i innych czynni-

ków oddziaływania kulturalnego umysłowość całego społeczeństwa. Dodać warto, że w pewnym tylko stopniu i to w sposób powolny zmiana charakteru opłacalności i ważności wykonywanego zawodu wpływała na osłabienie tych irracjonalnych uprzedzeń. Zawód urzędniczy na przykład był oczywistym przedłużeniem tradycji jeszcze przedrozbiorowej, tradycji owej szlachty „gołoty”, której rozpanoszenie w życiu publicznym, a zarazem sprzedajność, ukrócić się starała dopiero Konstytucja Trzeciego Maja. Lecz tradycja przetrwała. W wieku dziewiętnastym, zwłaszcza w Kongresówce, coraz uboższe ziemiaństwo dostarczało do miast — a więc najczęściej „do urzędu” — coraz to większej liczby zupełnie już biednych synów i wnuków. Z nich — podobnie zresztą jak w zaborze austriackim — rekrutował się i wzrastał w liczbę ów stan urzędniczy, o którym w sensie społecznym tyle powiedzieć można na pewno, że najbardziej zazdrośnie i nieprzebręganie bronił swojej inteligenckiej pozycji. W Polsce lat trzydziestych ziemianin zaliczał siebie do inteligencji raczej z przekąsem, gdyż podświadomie uważał to za degradację. Z drugiej strony uświadomiony klasowo nauczyciel posługiwał się określeniem „inteligencja” raczej w tym znaczeniu, jakie nadajemy pojęciu „inteligencji pracującej”. Chodzi tu o to, że te dwie krańcowe podklasy klasy inteligenckiej nie dopatrywały się w przynależności do niej żadnego specjalnego zaszczytu, a po prostu uważały ją za społeczną rzeczywistość.

Były więc ogromne różnice podejścia wśród różnych grup zaliczanych do inteligencji, właśnie gdy o poczucie świadomości klasowej mogłoby chodzić. Jest przy tym rzeczą ciekawą, że przeciwko określeniu „klasa inteligencka” najgłośniej gotowi byli protestować najbardziej autentyczni jej przedstawiciele. Urzędnicy państwowi nie uważali się za biurokratów, nie uważali się za specjalną zawodową grupę społeczną. Lecz uważali się za inteligentów, z tym typowo polskim — niekiedy domyślnym, a niekiedy wcale jawnym — uzupełnieniem, że owa inteligencja jest w jakimś stopniu odpowiednikiem starego stanowego przywileju szlacheckiego. Nie mam tu na myśli wyłącznie snobistycznego, choć często zrozumiałego przywiązania do własnej tradycji rodzinnej. Nic w tym ostatecznie nie było złego, jeśli ktoś wiedział, jakiego jest herbu lub w jakim powiecie któryś z jego przodków sprawował urząd ziemski. Gorzej, gdy uważał, że z tego powodu jest ciągle jeszcze czymś lepszym. Gorzej znacznie, gdy snobizm tego rodzaju stawał się powszechną manierą.

Zjawiska te jednak z wolna zanikały. Ludzie poniżej lat trzydziestu rozumowali już innymi kategoriami, inne, zdrowsze mieli

ambicje, a nawet ich nałogi i wady kształtowały się pod wpływem bardziej nowoczesnych i praktycznych czynników. Zmieniał się także skład grupy inteligenckiej z powodu dopływu ludzi z innego środowiska. Był to jednak proces powolny, czego przyczyną była względna trudność uzyskania wykształcenia średniego i wyższego. Upowszechnienie oświaty odbywało się wolno, na pewno ze szkodą dla interesów kraju.

V

Spróbuję zrekapitulować nasuwające się z tej analizy wnioski. Wniosek pierwszy: istniał w Polsce wyraźniejszy może niż w innych krajach Europy środkowej podział na grupę inteligencką i całą resztę społeczeństwa. Wniosek drugi: kryterium tego podziału był częściowo tylko wykonywany zawód, gdyż większe znaczenie miało wykształcenie; sytuacja materialna odgrywała rolę mniejszą. Wniosek trzeci: przynależność do inteligencji nie dawała żadnych formalnych uprawnień ani przywilejów, dawała jednak pewnego rodzaju przywileje towarzyskie czy obyczajowe, czego odbiciem w powszechnym przekonaniu było silniejsze jak gdyby zaangażowanie grupy inteligenckiej w sprawy państwowe i kulturalne.

Wnioski te, rzecz jasna, nie podsumowują całości spostrzeżeń na temat układu społecznego w ówczesnej Polsce. Dodać by do nich należało fakt dość charakterystyczny, że podziały klasowe w Polsce były bardzo płynne, a ich kryteria zmieniały się także w zależności od dzielnic kraju, a niekiedy po prostu od okolicy. Dodać by też należało, że struktura społeczna nie była skostniała i że właśnie w latach trzydziestych widoczne być zaczynały przeobrażenia, będące skutkiem zwiększania się liczby ludzi urodzonych lub przynajmniej wychowanych już w Polsce niepodległej.

Dodać musimy jeszcze jedną bardzo istotną uwagę. Dotyczy ona dokonujących się także raczej szybko zmian poglądowych i obyczajowych. Gdy jeszcze w roku 1920 można było niekiedy mówić, że masa chłopska lub proletariat wielkomiejski były mniej zaangażowane patriotycznie w sprawy swej ojczyzny od ówczesnej inteligencji, to twierdzenie tego rodzaju nasuwać musiało bardzo poważne wątpliwości już po upływie kilkunastu lat. Nie eliminowało to, rzecz jasna, propagandowego znaczenia haseł w rodzaju „krzywda społeczna”. Lecz z drugiej strony odbierało

całkowicie sens tułającym się jeszcze niekiedy w publicystyce sloganom o rzekomym istnieniu w Polsce dwóch luźno tylko z sobą powiązanych społeczności. Niekiedy nawet w latach dwudziestych używano określenia — zapożyczonego ze słownictwa socjologicznego Anglii — mówiącego o istnieniu „dwóch narodów”. W latach trzydziestych określenie to nie miało już w Polsce sensu.

Zaangażowanie społeczeństwa polskiego w sprawy państwa było powszechne. Nie mogło być zupełnie jednakowe u wszystkich. Były różnice stopnia zaangażowania zarówno na płaszczyźnie uczuciowej, jak i na płaszczyźnie działania praktycznego, lecz różnice te — podkreślamy to z naciskiem — przejawiały się we wszystkich warstwach społecznych, a więc także wśród inteligencji. Natomiast rzeczą godną uwagi, gdy się chce zrozumieć treść życia społecznego w Polsce, był fakt, że na sprawy państwa wszyscy Polacy patrzyli przez pryzmat zagadnienia niepodległości i jej ochrony przed każdym potencjalnym niebezpieczeństwem.

Było więc społeczeństwo polskie jako całość społeczeństwem patriotycznym. W tej charakterystyce mieścili się wszyscy Polacy mieszkający w Polsce, a także w dużej mierze kilkumilionowa masa Polaków mieszkających poza granicami państwa. Różnice poglądowe, nazwalibyśmy je dziś ideologicznymi, przynależność lub sympatia odczuwana wobec tego lub innego stronnictwa lub ruchu politycznego nie ze sprawą patriotyzmu wspólnego nie miały. Ten sam patriotyzm, to samo przywiązanie do własnej odrębności narodowej i kulturowej, do własnego niepodległego państwa odczuwali zwolennicy radykalnych reform, a nawet radykalnych metod, do rewolucyjnych włącznie, oraz sprzyjający kierunkom konserwatywnym, burżuazyjno-liberalnym czy zgoła elitarnym i antydemokratycznym. W tym też zapewne tkwiła podstawowa przyczyna słabości wpływów i braku popularności partii komunistycznej. Lecz nawiasem warto dodać, że i swoiste przejawy patriotyzmu wśród komunistów budziły wiele podejrzeń w centrali moskiewskiej i przyczyniły się w głównej mierze do brutalnej likwidacji KPP.

Patriotyzm społeczeństwa polskiego nabierał dodatkowego kolorytu wobec faktu, że Polska była państwem wielonarodowościowym. Jedna trzecia mniej więcej obywateli polskich nie była Polakami. Niemniej sponad dziesięciomilionowej masy mniejszości narodowych spory odsetek poczuwał się do lojalności wobec państwa. Odsetek ten pomimo ciężkich — powiedzmy śmieiej: niewybaczalnych błędów i braku konsekwencji ze strony kolejnych rządów, zwłaszcza w stosunku do mniejszości słowiańskich,

to znaczy Ukraińców i Białorusinów, nie malał, lecz zwiększał się w latach trzydziestych. Jednak o patriotyzmie polskim wśród mniejszości narodowych mówić by można tylko w wyjątkowych wypadkach. Wskutek tego częścią rzeczywistości polskiej z lat jej niepodległości była nie tyle może walka między narodowościami, choć i to zjawisko istniało, ile stała czujność lub stan, który — używając dzisiejszej terminologii — określić by można jako ciągłą konfrontację. Patriotyzm społeczności polskiej w państwie polskim był tej konfrontacji miernikiem i w dużym stopniu zarzewiem.

Wielonarodowość stwarzała w Polsce problemy znane także w innych krajach Europy środkowej, lecz nieznanne w Europie zachodniej. Zarówno zasady ustrojowe, którymi się państwo polskie rządziło, jak i interes czy bezpieczeństwo państwa wymagały podejmowania prób czynnego zaangażowania w życie państwowe także nie-Polaków. Pogląd ten znalazł swój wyraz w koncepcjach politycznych głoszących tak zwaną ideologię państwową, w przeciwstawieniu do nacjonalistycznej. Jako ideologia koncepcja ta nie mogła zdać egzaminu i to nie tylko wskutek obojętności czy oporów ze strony mniejszości narodowych, lecz także wobec niechęci i gwałtownych sprzeciwów dużej części społeczeństwa polskiego. Natomiast jako recepta praktycznego działania koncepcja czy teoria nadrzędności interesu państwa polskiego nad interesem ściśle narodowej Polski nie była bez znaczenia, zwłaszcza w pierwszej połowie lat trzydziestych. W oparciu o nią, choć nie było to oparcie jedyne i najważniejsze, rozwijała się publicystyka i piśmiennictwo polityczne obozu sprzyjającego rządowi pomajowym. Czyli — inaczej mówiąc — rządowi czy systemowi rządów, który za podstawę swego działania i za swój ostateczny autorytet uważał wskazania i moralne przywództwo Józefa Piłsudskiego. Pomawiano Piłsudskiego o ciągłe tęsknoty czy reminiscencje myśli federacyjnej. Pewne grupy bardziej zapalone starały się dość niezdarnie tę ideologię utrzymać przy życiu, a nawet nadawać jej formy organizacyjne. Tu przykładem być może zachowawczy w swym charakterze ruch studencki znany pod nazwą „Myśli Mocarstwowej”. Z analizy założeń polityki zagranicznej Piłsudskiego wynika bez wątpienia, że pod koniec życia był on już daleki od idei federacyjnej. Niewątpliwie jednak pozostał zdecydowanym przeciwnikiem nacjonalizmu polskiego, w tym zwłaszcza wydaniu społeczno-politycznym, jakie reprezentował obóz utworzony przez Romana Dmowskiego lub oglądający się na niego. Stąd koncepcja „ideologii” państwowej miała w Piłsudskim co najmniej domyślnego patrona. Gdy jego zabrakło,

koncepcja wyższości pojęcia państwa polskiego nad powiązaniami ściśle narodowymi straciła kruche podstawy swego istnienia, by zniknąć najpierw z łamów prasy, a potem i z myśli ludzkiej. I choć z tego być może nie zdawano sobie sprawy, na tym właśnie odcinku śmierć Piłsudskiego była punktem przełomowym w historii dwudziestolecia.

Oczywiście był to tylko jeden z wielu odcinków życia państwowego, w którym zgon Piłsudskiego miał znaczenie decydujące. Przestał bowiem istnieć element stabilizacji, na który świadomie lub nieświadomie oglądała się duża część, a być może nawet większość społeczeństwa polskiego — to znaczy, powiedzmy wyraźnie: obywatele narodowości polskiej. Ta duża część czy, jak powiedziałem, może nawet większość Polaków, to ci wszyscy, którzy nie wiązali się sympatiami bezpośrednio z jakimś określonym ruchem czy organizacją polityczną. Trudno ich określić jako bezpartyjnych, gdyż stanowili podstawę także formalnej organizacji politycznej, przy pomocy której rządy zwane sanacyjnymi próbowały opanować parlament i zmienić konstytucję. Lecz więzią był nie program, nie plany polityczne, nawet nie teoria polityczna, lecz osoba Piłsudskiego. W pierwszych latach dwudziestych i bezpośrednio po zamachu majowym ta nadrzędna rola Piłsudskiego jako najwyższego autorytetu ogarniała swym wpływem także partie polityczne: lewicę, centrum i partie chłopskie. W latach trzydziestych, po Brześciu, po walce z Centrolewem, po przejściu Polskiej Partii Socjalistycznej do zdecydowanej opozycji nadrzędna rola Piłsudskiego zmalała w stopniu bardzo znacznym, czego skutków nie mógł wyrównać ani oportunizm ludzki, ani nacisk administracyjny. Niemniej wpływ jego nazwiska ciągle działał i ciągle był właściwym fundamentem.

Rok 1935 zmieniał wszystko. Odtąd dyktatura moralna ustępowała w życiu państwa systemowi rządów dyktatorskich bez dyktatora. System pozostał nadal łagodny, w niejednym był łagodniejszy niż za życia Piłsudskiego. Lecz społeczeństwo nie miało już tego punktu odniesienia co poprzednio.

KONSTYTUCJA KWIETNIOWA

Wprowadzenie w życie w 1935 roku Konstytucji Kwietniowej zmieniło w sposób bardzo istotny ustrój państwowy. A jedno-

częśnie nastąpił wyraźny zwrot w układzie politycznym kraju. Zwrot ten zaznaczył się już w kilku latach poprzedzających zmianę konstytucji. Polegał na coraz to wyraźniejszym odsuwaniu stronnictw politycznych od wpływu na tok spraw państwowych, co wiązało się ze świadomie przeprowadzanym ograniczeniem roli władzy ustawodawczej. Czyli roli Sejmu.

Przez lat czternaście obowiązywała w Polsce Konstytucja Marcowa. I choć nie brakło łamania prawa przez rząd i jego organy wykonawcze, byłoby całkowitym fałszem twierdzić, że „życie sobie”, a „konstytucja sobie” w tak zwanej „sanacyjnej” Polsce. Przeciwnie — w oparciu o konstytucję Sejm albo prowadził walkę z rządem, albo rząd popierał, w zależności od układu sił politycznych oraz oceny wydarzeń i potrzeb kraju. Konstytucja Marcowa nie przekształciła się w „fasadową”, lecz pozostała obowiązującym fundamentem prawa państwowego, otoczonym poważaniem większości społeczeństwa i pozwalającym każde pogwałcenie czy nagięcie prawa ze strony władzy wykonawczej natychmiast napiętnować jako niepraworządność.

Od roku 1930 jednak wiadomo było powszechnie, gdyż z tym nikt się nie krył, że rządy „pułkowników” przygotowują zmiany prawne i to daleko idące, których ucieleśnieniem ma stać się nowa konstytucja. O konstytucji tej mówiono, że zostanie ułożona w taki sposób, by odpowiadała poglądom ustrojowym i politycznym Józefa Piłsudskiego. Nie było też tajemnicą, w jakim kierunku pójdą zamierzone zmiany. Wiedzano więc powszechnie, że zgodnie z wypowiedziami Piłsudskiego oraz ludzi mu bliskich (względnie ludzi o których myślano, że blisko niego stoją) nowa konstytucja zwiększy prerogatywy głowy państwa, czyniąc z niej instytucję w państwie nadrzędną, lecz jednocześnie czynną politycznie. W rozumieniu autorów tych projektów wzorem, oczywiście z dużymi korektywami, miał być urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Natomiast nie spodziewano się — i, jak praktyka wykazała, słusznie — ograniczenia swobód obywatelskich ani też wprowadzenia do ustroju Rzeczypospolitej wzorów faszystowskich, oczywiście w wydaniu włoskim, gdyż o naśladowaniu wzorów hitlerowskich w Polsce mowy być nie mogło.

Wiadomo też było powszechnie, że czołowym przedstawicielem nowej myśli konstytucyjnej, inaczej mówiąc realizatorem poglądów Piłsudskiego, jest Walery Sławek, który w okresie między 1930 a 1935 rokiem kilkakrotnie stawał na czele rządu. Referentem prawnym proponowanych zmian był Stanisław Car, przewodniczący sejmowej komisji konstytucyjnej.

26 stycznia 1934 roku na plenarnym posiedzeniu Sejmu Car przedstawił 63 „tezy”, które miały być punktem wyjścia tekstu nowej konstytucji. Nastąpił swojego rodzaju „sejmowy zamach stanu”. Mianowicie opozycja sejmowa, zgodnie ze swoją uporczywą polityką biernego oporu wobec każdego przedłożenia rządowego, stwierdziła, że nad тезami dyskutować nie będzie. Uczyniła to zresztą w formie raczej obraźliwej, jeśli sądzić ze słów użytych w oświadczeniach Bohdana Winiarskiego imieniem Klubu Narodowego, Maksymiliana Malinowskiego imieniem ludowców oraz Czapińskiego imieniem Polskiej Partii Socjalistycznej. Wówczas Car zaproponował zamiast dyskusji przegłosowanie przedstawionych przez siebie „tez” jako konkretnego wniosku zmiany konstytucji. Uzasadnił to stanowisko w następujących słowach: „Ponieważ opozycja, jak to wynika z oświadczenia wszystkich jej odłamów, nie interesuje się zagadnieniem ustroju, przeto sądzę, że nie ma przeszkód by załatwić sprawę od razu”.

Stanisław Stroński, pozostawiony na sali sejmowej jako obserwator opozycji, protestował, twierdząc, że wniosek Cara jest niezgodny z prawem i regulaminem sejmowym. Wniosek został jednak przegłosowany i „tezy” jako konkretny projekt zmiany konstytucji odesłano do Senatu. Senat wprowadził w nich dość liczne poprawki i odesłał je do Sejmu, który poprawki przyjął 25 marca 1935 roku.

Jak z tego widać, debata nad nową konstytucją w obu izbach parlamentu zajęła ponad rok i była niewątpliwie debatą publiczną. Nie tylko dlatego, że brała już w niej bardzo czynny udział cała opozycja w Sejmie, lecz i dlatego, że stała się głównym nieomal tematem publicystyki i, co zapewne ważniejsze, przedmiotem rozmów i zaciętych nieraz sporów w całym społeczeństwie. Bez przesady też powiedzieć można, że w powstawaniu nowej konstytucji udział brało całe społeczeństwo.

Nie wynika z tego wcale, że przez swój udział w dyskusjach i w rozmowach społeczeństwo wypowiedziało się za proponowanymi zmianami. Głosów krytycznych było na pewno więcej niż pochlebnych. Z drugiej natomiast strony krytyka projektu konstytucji, jaką w sposób gwałtowny prowadziły wszystkie partie opozycyjne, spotykała się z powszechnym wyrzutem, że gdyby nie błąd taktyczny w postaci bojkotu debaty nad „tezami” Stanisława Cara, obóz rządowy nie mógłby tak łatwo zmiany konstytucji przeprowadzić, gdyż nie miałby ani potrzebnego *quorum*, ani wymaganej przez dotychczasową konstytucję kwalifikowanej większości dwóch trzecich głosów w Sejmie. Był to argument bardzo poważny, na który opozycja odpowiedzi nie znalazła.

Nie ulega też wątpliwości, że duże znaczenie w kształtowaniu opinii miało powszechne przekonanie, że nowa konstytucja jest wyrazem poglądów Piłsudskiego i że w oparciu o nią będzie on mógł, w sposób jawny i formalny, stanąć na czele państwa jako prezydent wyposażony w szeroki zakres władzy.

Rzeczywistość była zupełnie inna. Piłsudski na ostateczny projekt konstytucji spojrzał najprawdopodobniej tylko raz i niczym nie dał poznać swemu otoczeniu, że z chwilą jej uchwalenia zmieni stan rzeczy, jaki panował już od kilku lat. A stan ten — jak wiemy — polegał na tym, że Piłsudski w końcowym okresie swego życia nie ingerował prawie wcale w zagadnienia wewnętrzne kraju, z konstytucyjnymi włącznie. W dodatku w okresie debaty nad nową konstytucją był już bardzo ciężko chory, o czym społeczeństwo nie wiedziało. Nie było więc żadnych szans, by konstytucja, którą jakoby w oparciu o jego poglądy uchwalano, mogła mu posłużyć jako narzędzie działania na przyszłość. W momencie jego śmierci konstytucja obowiązywała od 19 dni, gdyż prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki podpisał ją w dniu 23 kwietnia.

Stąd nazwa.

Co gorzej, w sensie historycznym podstawowe uzupełnienie nowej ustawy głównej, to jest nowa ordynacja wyborcza do Sejmu i Senatu, przegłosowana została tą samą większością dotychczasowego Sejmu, który uchwalił nową konstytucję dopiero 8 lipca 1935 roku. Dwa dni później prezydent rozwiązał parlament i rozpisał wybory na podstawie nowej ordynacji.

Do praktycznej realizacji nowego ustroju państwowego przystąpiono po wyborach do nowego Sejmu i Senatu, we wrześniu tegoż roku.

Ponieważ odbyło się to już po śmierci Piłsudskiego, w przekonaniu wielu — także w obozie rządowym — fakt ten pozbawiał dokonaną zmianę sensu. Do takiego też wniosku dojść miał niezadługo właściwy twórca nowego ustroju, Walery Sławek, gdy się po śmierci Piłsudskiego przekonał, że o dziedzictwo jego wpływów politycznych rozpoczęła się zacięta walka frakcyjna w łonie „piłsudczyków pozbawionych Piłsudskiego”, przy czym żaden z nich nie mógł pretendować do dziedzictwa siły moralnej i autorytetu, jaki w społeczeństwie polskim, nawet wśród opozycji, reprezentował zmarły Marszałek.

Tym samym nabrały większego ciężaru zarzuty, które opozycja w dalszym ciągu stawiała nowej konstytucji, nazywając ją dyktatorską czy nawet faszystowską. Oczywiście określenia te

były wtedy i są nadal demagogiczne. Niemniej stosunek całego społeczeństwa przechylił się wyraźnie na stronę krytyków konstytucji. Wyrazem tego stanu rzeczy był bojkot wyborów przeprowadzonych w oparciu o nową ordynację. Z uprawnionych do głosowania wzięło w nich udział tylko 46,5 %. Są to oczywiście tylko spekulacje, lecz wiele wskazuje na to, że gdyby nie śmierć Piłsudskiego, udział w wyborach byłby znacznie większy. A odzywały się także głosy, że gdyby Piłsudski żył, ordynacja wyborcza byłaby inna, gdyż nie zgodziłby się na tak dalekie odejście od zasad demokracji politycznej. Twierdzenia te znajdują swą podstawę w znanym fakcie, że dwa lata przed śmiercią Piłsudski stanowczo zaprotestował przeciwko pomysłowi utworzenia Senatu złożonego wyłącznie z ludzi mianowanych przez głowę państwa. Miał o pomysł ten powiedzieć lapidarnie, że „tego już nikt nie wytrzyma”, i tym samym pomysł usunięto z pierwotnego projektu. Niemniej ordynacja wyborcza stwarzała Sejm, w którym z góry wykluczano udział istniejących stronnictw politycznych. Sejm miał znacznie mniej posłów, bo tylko 208, po dwóch na każdy ze 104 okręgów, na jakie podzielono kraj. Głosować można było tylko na dwóch spośród pięciu kandydatów w danym okręgu. Kandydatów zaś nie można było zgłaszać inaczej niż za pośrednictwem zgromadzeń przedwyborczych, w których brali udział przedstawiciele samorządów terytorialnych i gospodarczych, związki zawodowe, organizacje społeczne, kulturalne i oświatowe oraz grupy niezrzeszonych obywateli z tym, że po to, by móc wysłać delegata na zebranie przedwyborcze, jego kandydaturę zgłosić musiało na piśmie co najmniej 500 obywateli z danego okręgu. Przy zastosowaniu tej metody każda ewentualna opozycja w Sejmie powstać by mogła tylko i wyłącznie z inicjatywy już obranych posłów, pozbawionych jakiegokolwiek oparcia w organizacji politycznej lub bezpośrednio w społeczeństwie.

W nowo obranym Sejmie znalazło się 75 przedstawicieli rolnictwa, 20 przedstawicieli handlu, przemysłu i rzemiosła, 30 przedstawicieli wolnych zawodów oraz prawie 60 urzędników państwowych i samorządowych oraz nauczycieli. Posłów ze środowisk robotniczych było wszystkiego 12. Dodajmy dla pełności obrazu, że wśród „rolników” było 31 ziemian.

W Senacie 25 % senatorów mianował prezydent. Ordynacja wyborcza ograniczała bardzo liczbę obywateli w głosowaniu na pozostałych senatorów, wprowadzając wysoki cenzus wieku i inne ograniczenia.

Natomiast, obiektywnie sądząc, w przeciwieństwie do ordy-

nacji wyborczej postanowienia nowej konstytucji nie odchodziły zbyt daleko od zasad demokracji politycznej. Pomijając górnolotne sformułowania w rodzaju najzacieklej atakowanego o odpowiedzialności głowy państwa „przed Bogiem i historią”, urząd prezydenta wzmacniał jego prerogatywy w sposób realistyczny. Rząd był odpowiedzialny i przed nim i — w sensie kontrolnym — przed parlamentem. Wzmocniona została rola premiera, któremu nadano charakter właściwego kierownika polityki państwowej. Wyraźnie stwierdzono, że władza ustawodawcza nie powinna mieć możliwości wywierania codziennego wpływu na rządy państwem. Pozostawiono jej jednak pełnię uprawnień kontrolnych i oczywiście prawo uchwalania budżetu. Nie zmniejszono też inicjatywy ustawodawczej parlamentu. Daleko więc konstytucji było do naśladownictwa ustrojów totalnych czy nawet modnych ówczesnie wzorów ustroju korporacyjnego.

Z prerogatyw głowy państwa nowością zupełną było przyznane mu prawo wskazywania kandydata na jego następcę oraz — co powiedziano wyraźnie — mianowania następcy w czasie wojny. Przepis ten okazał się zbawienny w roku 1939, gdy dzięki niemu Polska nie przestała istnieć w oczach prawa międzynarodowego, chociaż całe jej terytorium zostało okupowane przez Rzeszę niemiecką i Związek Sowiecki.

Nikt tego — rzecz jasna — nie przewidywał w roku 1935, gdy nowa konstytucja wchodziła w Polsce w życie. Wówczas jej skutki bezpośrednie, polityczne, złe czy dobre, ustępowały w rzeczywistości polskiej pierwszeństwa skutkom bardziej oczywistym, spowodowanym odejściem kluczowej postaci w historii Polski niepodległej, jaką był Józef Piłsudski.

ŚMIERĆ MARSZAŁKA

12 maja 1935 roku o godzinie 20.45 umarł Józef Piłsudski. Komunikat o jego śmierci był dla kraju zupełnym zaskoczeniem. Nie wiadano o jego przewlekłej i nieuleczalnej chorobie, a społeczeństwo przyzwyczaiło się już w ciągu ostatnich kilku lat jego życia do faktu, że nie udzielał się publicznie, nie wygłaszał przemówień i nie pisał artykułów, które do roku 1930 stanowiły zawsze sensację i w dosłownym znaczeniu wstrząsały opinią

w kraju i za granicą. Przyzwyczajono się do myśli, że dyktator moralny Polski rządzi nią jak gdyby z ukrycia, nie opuszczając prawie nigdy swego mieszkania, naprzód w Belwederze, a później w gmachu Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Z praktyki politycznej dnia codziennego wiadomo, że Piłsudski pozostawił sprawy wewnętrzne kraju swojej — jak to niekiedy mówiono — „ekipie”, sam skupiając uwagę na zagadnieniach obrony kraju i na polityce zagranicznej. Tłumaczono sobie ten stan rzeczy faktem, że w ostatnich latach życia Piłsudskiego na czele rządu stał jego naprawdę zaufany człowiek i osobisty przyjaciel, Walery Sławek. Sądzono też, że Sławek tak dobrze orientuje się w poglądach i życzeniach Piłsudskiego, że wszystko, co sam postanawia lub ku czemu dąży jest wiernym odzwierciedleniem woli „Komendanta”.

„Komendantem” był już Piłsudski dla bardzo niewielu. Tytuł ten, wspomnienie czasów legionowych, gdy był „komendantem” czyli dowódcą Pierwszej Brygady, rzadko był używany w bezpośrednich z nim stosunkach. Pozwalał na jego użycie tylko ludziom bardzo bliskim. Dla innych, dla całego społeczeństwa był po prostu „marszałkiem”. Obrazowało to głębokie zmiany psychiczne, jakie się dokonały w jego usposobieniu w ostatnich latach jego życia. Odsuwał się od ludzi, mało kogo dopuszczał do konfidencji, mało z kim żartował, a wobec większości ministrów czy dowódców wojskowych zachowywał się z coraz większą obojętnością, nierzadko zaprawioną nieukrywanym lekceważeniem, jeśli nie swoistą pogardą. Wszystkie pamiętniki tego okresu stwierdzają wyraźnie, że wezwany przez Piłsudskiego dygnitarz musiał się ograniczyć w swym referacie do konkretnej odpowiedzi na konkretne pytanie. Nie odbywała się rozmowa; Piłsudski udzielał krótkich instrukcji. Znany jest wypadek, gdy generał Sławoj-Składkowski, zapytawszy, czy może jeszcze jedną ważną sprawę poruszyć, usłyszał krótką odpowiedź: „nie może Pan”. Sławkowi Piłsudski mówił „ty”, co było dowodem przyjaźni, nie raz jednak także jemu odmawiał odpowiedzi na pytania i nie udzielał instrukcji. Z drugiej znowu strony, o czym nie wiadomo, Sławek do Piłsudskiego odwoływał się we wszystkich bardzo ważnych sprawach. Dodać trzeba, że Sławek wiedział, która sprawa jest naprawdę ważna, a która nie. Lecz jako premier przecinał często dyskusję na radzie gabinetowej krótkim zdaniem: „Taka jest wola Komendanta”. Woli tej nikt w obozie rządzącym nie kwestionował.

Po 12 maja 1935 roku zdanie to, jako argument w naradach nad sprawami państwowymi, nie przestało obowiązywać. Pow-

stawiała jednak sytuacja paradoksalna, bo zamiast „taka jest wola” mówiono: „taka była wola Komendanta”. A coraz częściej zdania tego używali ludzie, którzy owej „woli Komendanta” ani nie znali, ani znać nie mogli. Znać ją mógł i znał szczupły tylko zespół ludzi, do których należeli właśnie Sławek, Józef Beck, który miał podstawy, by uważać się za politycznego ucznia i wychowanka zmarłego Marszałka, oraz kilku jeszcze może ludzi, wśród których wymienić warto generała Juliana Stachewicza, szefa Sztabu Głównego, właściwego zaufanego Piłsudskiego w sprawach obrony państwa.

Piłsudski nie zostawił żadnego testamentu politycznego. Stąd powoływanie się na niego lub zgadywanie jego woli w konkretnych przypadkach mogło być trafne, dopóki okoliczności nie uległy zasadniczym zmianom. Można więc zrozumieć kurczowe trzymanie się domniemanych instrukcji zmarłego człowieka przez okres kilku lub kilkunastu miesięcy. W niektórych sprawach dłużej. Można było na przykład snuć dociekania, jak interpretowałby Piłsudski, gdyby żył, postanowienia nowej konstytucji. Natomiast powoływanie się na jego domniemane poglądy w kilka lat po jego śmierci przestawało być nie tylko argumentem, lecz nawet ideologicznym uzasadnieniem jakiejkolwiek decyzji. Tym bardziej, że w ciągu pierwszego już roku po jego śmierci do głosu decydującego doszli ludzie, których Piłsudski za swych konfidentów w sensie politycznym nigdy nie uważał.

Jest rzeczą zastanawiającą, że gdy obóz rządzący, tak zwani „piłsudczycy”, z chwilą śmierci swego wodza starał się stworzyć wrażenie, że wszystko pozostanie „po dawnemu” — to znaczy, że wszystko, co się w Polsce będzie działo, będzie kontynuacją jego myśli i realizacją jego poglądów — społeczeństwo czy opinia społeczna obawiała się, że będzie wręcz przeciwnie, że wszystko będzie się toczyło innym torem, że powstanie sytuacja zupełnie nowa i szczególnie trudna. Trudna właśnie dlatego, że u steru rządów pozostają ludzie, którzy w dotychczasowym swym postępowaniu ciągle i wyłącznie na ową „wolę Komendanta” się oglądali i bez niej żadnej ważnej decyzji nie podejmowali. Jeden z bliskich Piłsudskiemu ludzi, Aleksander Prystor, opowiadał, że w czasie swej rozmowy ze Sławkiem jesienią 1935 roku miał ciągle wrażenie, jakby Sławek chciał podnieść słuchawkę i zadzwonić do Piłsudskiego, by się dowiedzieć, co ma począć. A był to przecież Sławek, to znaczy ktoś, kto najlepiej mógł zdanie Piłsudskiego odgadnąć.

Nie pozostawivszy testamentu politycznego, pozostawił Pił-

sudski po sobie kilka podstawowych wytycznych czy raczej zasad, na których polityka polska powinna się opierać. Najgłośniejsze było zdanie „nic o nas bez nas”. Służyć miało jako podstawa samodzielności polityki zagranicznej, w której jedynym istotnie ważnym kryterium miał być interes Polski. Piłsudski był zawsze przeciwnikiem tak zwanych grzeczności i układności dyplomatycznych, a jako człowiek podejrzliwy odżegnywał się z reguły od zlecania troski o interesy kraju sprzymierzeńcom prawdziwym i urojonym. Żądał też, by — gdy o sprawach Polski była mowa — ten, kto o nich mówił, przynajmniej w nich się orientował. Charakterystycznym przykładem jest tu jego rozmowa z ministrem spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Edenem w kwietniu 1935 roku. Piłsudski był już bardzo ciężko chory. Mówił z trudem i bez tłumacza. Rozmowa toczyła się po francusku. Wskutek tego być może jej świadkowie z Edenem włącznie nie zrozumieli dokładnie, o co umierającemu Marszałkowi chodziło. Dziś jednak cel tej rozmowy nie ulega wątpliwości. Otóż Eden próbował tłumaczyć Piłsudskiemu, w jakim kierunku jego zdaniem iść powinna polityka Polski i na czym jej interesy polegają. Piłsudski w odpowiedzi zaczął mówić o stosunkach panujących na Jamajce i tłumaczyć Edenowi, jaka powinna być polityka Anglii w stosunku do jej kolonii na Morzu Karaibskim. Nie zadawał przy tym pytań, nie wykazywał grzecznościowego zainteresowania ani Jamajką, ani inną wyspą, tylko stwierdzał, co Anglicy powinni z tymi wyspami zrobić. W pamiętnikach Edena wyczuć można, że zrozumiał ironię i właściwą treść tak zdumiewającego doboru tematu.

Lecz „nic o nas bez nas” także w umyśle Piłsudskiego nie było regułą sztywną, oderwaną od oceny rzeczywistości, która — rzecz jasna — zmieniała się z dnia na dzień. I jeśli Beck, najzdolniejszy niewątpliwie wśród uczniów Piłsudskiego, przy całej swej wierności dla zasad, których się od Piłsudskiego nauczył, zdobywał się jednak na elastyczność w swym postępowaniu i dążył do takiej interpretacji domniemanej woli zmarłego, jaką dyktowały zmieniające się okoliczności, to wielu innych piłsudczyków elastyczności tej nie miało. Nie stanowiło to dobrej zapowiedzi dla polityki wewnętrznej.

Po raz ostatni Piłsudski pokazał się publicznie w czasie Święta Niepodległości 11 listopada 1934 roku. Przybył na Pole Mokotowskie, gdzie odbywała się defilada, w powozie, z nogami okrytymi kocem. Zasłabł na trybunie tak, że musiał usiąść. Wywołało to sporo komentarzy, choć uwaga opinii skupiła się raczej na innym fakcie. Mianowicie, że były dwie trybuny. Na

jednej samotnie odbierał defiladę Piłsudski, na drugiej rząd i wszyscy dygnitarze państwowi, z prezydentem Rzeczypospolitej na czele. Był to niejako symbol nie tylko szczególnego stanowiska, jakie Piłsudski w życiu kraju zajmował (a formalnie był wtedy tylko ministrem spraw wojskowych), lecz był to także symbol jego osamotnienia i braku właściwego następcy. W marcu 1935 roku Piłsudski odbył jeszcze krótką podróż do Wilna. 23 kwietnia, gdy na uroczystości w Zamku Warszawskim podpisywano nową konstytucję, Piłsudski nie mógł już wstać z łóżka, a wezwany przez lekarzy profesor Wenckenbach z Wiednia stwierdził raka wątroby i żołądka. Stan był beznadziejny. 10 maja odbył jeszcze Piłsudski rozmowę z Beckiem, dając mu kilka wskazówek w związku z wizytą francuskiego ministra spraw zagranicznych Laval'a w Warszawie. Po dwóch dniach już nie żył.

Jednocześnie z komunikatem o jego śmierci ogłoszono inny komunikat — o podpisaniu przez prezydenta Rzeczypospolitej nominacji generała Edwarda Śmigłego-Rydza na generalnego inspektora sił zbrojnych. Tym samym podkreślono szczególną doniosłość zagadnień obrony w geopolitycznej sytuacji Polski. Nie mogło być momentu, w którym nieznany byłby naczelny wódz na wypadek wojny. Sam fakt natychmiastowej nominacji następcy Piłsudskiego na odcinku sił zbrojnych przyjęty został bardzo pozytywnie przez całe społeczeństwo, nie wyłączając opozycji. Natomiast wybór Rydza-Śmigłego wywołał sporo kontrowersji, także w kołach bliskich rządowi, gdyż wielu było zwolennikami generała Kazimierza Sosnkowskiego, najbliższego współpracownika Piłsudskiego w czasie walki o niepodległość i wojny polsko-bolszewickiej. Rydza postanowiono mianować na posiedzeniu rady gabinetowej w nocy po śmierci Piłsudskiego. Stwierdzono na niej, że Sosnkowski „zawiódł Komendanta”, co było echem próby samobójstwa w czasie zamachu majowego. I rzeczywiście, zachowując z nim stosunki bardzo przyjazne, Piłsudski od tego czasu w swych planach politycznych osobą Sosnkowskiego nigdy się nie posługiwał. Opinia nie zdawała sobie w tym momencie sprawy, że nominacja Rydza-Śmigłego będzie miała wkrótce dalekosiężne implikacje polityczne.

Żałoba w kraju była powszechna, choć nie brakło małostkowych raczej objawów rzekomej obojętności, zwłaszcza w kołach zbliżonych do Stronnictwa Narodowego. Oczywiście w wielu umysłach zjawiała się nie tylko obawa, co będzie dalej, lecz także nadzieja, że ze śmiercią Piłsudskiego jego obóz nie utrzyma się przy władzy, wskutek czego nastąpią zmiany w kierunku demokratyzacji życia politycznego. Nie wierzano nawet w pewnych

kołach, by nowo uchwalona konstytucja weszła w życie bez zmian i to zmian bardzo poważnych, zwłaszcza na odcinku rezygnacji z ukrócenia znaczenia parlamentu. Te nadzieje rozwiła rozpisanie nowych wyborów w dniu 10 lipca na podstawie nowej, elitarnej ordynacji wyborczej.

Po sześciu dniach, 18 maja, ciało Piłsudskiego złożono na Wawelu. Była to uroczystość wstrząsająca i tak ją oceniła prasa całego świata. Porównać ją można tylko z pogrzebem Churchilla.

Zegnano Piłsudskiego w całej Europie. Nawet w krajach, gdzie — jak we Francji — nigdy nie cieszył się uznaniem, widziano w nim postać wielkiego kalibru, a w jego osobie symbol dziejowy powrotu narodu polskiego na należne mu miejsce na mapie Europy. Żegnano Piłsudskiego w Lidzie Narodów. Żegnał go przewodniczący sesji. Był nim minister spraw zagranicznych Związku Sowieckiego Litwinow. Mówił: „Państwo sąsiadujące z moim krajem straciło męża, którego potężna osobowość złączona jest nierozzerwalnie z historią wskrzeszenia Polski i rozwoju jej życia publicznego, od chwili odzyskania bytu niepodległego... Polska pod rządami Marszałka Piłsudskiego podpisała z rządem, który reprezentuję, pakt nieagresji, będący jednym z kamieni węgielnych pokoju i bezpieczeństwa Europy”.

Nie były to wtedy słowa grzecznościowe, choć Związek Sowiecki skwapliwie o nich po czterech latach zapomniał.

BEZ PIŁSUDSKIEGO

I

Nowa konstytucja — pomyślana jako podstawa ustroju, w którym Józef Piłsudski mógłby w sensie formalnym, a nie tylko praktycznym, stanąć na czele państwa jako jego prezydent — nie mogła spełnić tego zadania. Polska miała zatem instrument ustrojowy, który przewidywał potrzebę silnej indywidualności w życiu państwa, nie miała jednak już komu tej roli wyznaczyć. Wskutek tego wszystkie pozytywne strony nowo wprowadzonego ustroju — a niewątpliwie takie były, choć nie każdy się z tym zgadzał — przybladły. Zeszły na plan dalszy albo po

prostu nie mogły się przejawiać. Natomiast wszystkie ujemne strony elitarno-autorytatywnej koncepcji władzy zaczęły się pokazywać w życiu państwa i to często w formach przejawiskawionych. Zapewne w ciągu kilku lub więcej lat wady nowej konstytucji musiałyby doprowadzić do jej częściowej rewizji. Nie wystarczyło na to czasu. Wskutek tego nowa konstytucja nie zyskała nigdy popularności w szerokich masach obywateli. Ograniczała funkcję parlamentu do czynności, które można by określić jako opiniodawcze, krępujące niewątpliwie swobodę władzy wykonawczej, lecz wykluczające z góry możliwość jej obalenia czy nawet pociągnięcia do odpowiedzialności. W Sejmie wybranym jesienią roku 1935 opozycja nie była w ogóle reprezentowana. Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że stronnictwa opozycyjne nie zdobyły się na żaden skoordynowany wysiłek w tym kierunku. Owszem, były próby podejmowane przede wszystkim przez Stronnictwo Ludowe. Były też próby stworzenia ugrupowania łączącego Chrześcijańską Demokrację i Narodową Partię Robotniczą, głównie po to, by dążyć do zmiany ustroju. Próby te ześrodkować się miały z czasem w tak zwanym „froncie Morges”, od siedziby szwajcarskiej Ignacego Paderewskiego, który im symbolicznie raczej patronował. Lecz próbom tym nie towarzyszyła żadna konkretna decyzja działania, żaden konkretny program, który by tłumaczył, w jaki sposób zmian dokonać, rząd obalić i konstytucję zmienić. Na marginesie prób praktycznego działania pozostały dwa kierunki myślenia, o największych bodaj w Polsce tradycjach i o najbardziej zwartej liczbie zwolenników i sympatyków, czynnych lub biernych. Mam na myśli środowisko Polskiej Partii Socjalistycznej i ruch narodowy, złożony zresztą nie tylko z członków Stronnictwa Narodowego, lecz także z kilku jego odłamów o dość zróżnicowanym już obliczu ideologicznym.

W końcu roku 1935 istniała więc w Polsce silna, lecz podzielona opozycja pozaparlamentarna, protestująca przeciwko ustrojowi, lecz nie wykraczająca w swym działaniu poza ramy prawne, którym ten ustrój dawał podstawę.

Nie ulega wątpliwości, że ten stan rzeczy zaoszczędził Polsce wstrząsów wewnętrznych, które byłyby jak najbardziej niebezpieczne w coraz to groźniejszej sytuacji międzynarodowej. Względem ten działał też na pewno hamująco na tendencje wejścia na drogę rewolucyjną, jeśli takie w ogóle wśród działaczy opozycyjnych naprawdę istniały. Był też drugi element, który paraliżował chęć otwartej walki z „reżymem”, jak w tych latach coraz częściej nazywano środowisko Polską rządzące. Elementem tym była skłonność większości społeczeństwa dostosowania się do panują-

cych stosunków, co nie było tylko przejawem zubożenia lub bierności, lecz wynikało także z przekonania, że zagadnienia gospodarcze powinny brać górę nad tendencjami politycznymi w okresie, gdy po ciężkich latach następowała wreszcie wyraźna i w dodatku planowa poprawa. Człowiekiem, który najbardziej do stabilizacji poglądów i uspokojenia nastrojów się przyczynił, był wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski, gdyż w jego ręku pozostawało rzeczywiste kierownictwo spraw gospodarczych.

Sprawy te były więc ową względnie spokojną dziedziną życia państwowego w Polsce w ostatnich latach przedwojennych. Dziedzina polityczna natomiast spokojna nie była, przynajmniej do czasu, gdy drogą kompromisów, przetargów i rozgrywek wewnętrznych, których echa w szczątkowej tylko formie docierały do wiadomości publicznej, wytworzył się szczególny układ dzielący całokształt władzy i wpływów między trzy ośrodki: tak zwany „Zamek”, czyli siedzibę prezydenta, „GISZ” (Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych) oraz ulicę Wierzbową czyli ministerstwo spraw zagranicznych. By powiedzieć ściślej, nie były to trzy ośrodki, lecz po prostu trzech ludzi: prezydent Mościcki, marszałek Śmigły-Rydz i minister Beck. Gdy powstawał kompromis między Śmigłym-Rydzem i Mościckim, obie strony zgodziły się milcząc na pozostawienie Becka samemu sobie, w przekonaniu, że wymaga tego ciągłość polityki zagranicznej, gdyż Beck uchodził i sam siebie uważał za kontynuatora polityki zagranicznej Piłsudskiego.

Ciekawą cechą tego układu był prawie niezmienny aż do wybuchu wojny skład rządu, w którym ministrowie dzielili się wyraźnie na „ludzi prezydenta” i „ludzi Śmigłego-Rydza”, z tym, że Beck do żadnej z tych dwóch grup nie należał.

Jak do stworzenia takiego schematu doszło i dlaczego? By odpowiedzieć na to pytanie, wrócić musimy znowu do punktu wyjścia. Czyli do momentu śmierci Piłsudskiego. Jak wiemy, nie pozostawił on żadnego tak zwanego testamentu politycznego. Brak tego testamentu usiłowano zastąpić domniemaniem, że ludzie, którzy dzięki niemu lub za jego zgodą zajęli czołowe stanowiska i sprawowali naczelne funkcje w państwie, znają tak dobrze jego poglądy w każdej niemal sprawie, iż będą mogli posługiwać się nimi jak konkretną wytyczną. Jak już powiedzieliśmy, przekonanie to mogło odpowiadać prawdzie gdy chodzi o kierunek polityki zagranicznej na najbliższy rok lub kilka, to znaczy do chwili, gdy nie powstaną nowe sytuacje i nowe okoliczności, wymagające nowych decyzji. Tym samym też osoba

Becka jako kierownika polityki zagranicznej nie budziła w nikim wątpliwości, co nie znaczy, by nie budziła niechęci. Beck zresztą — i był tu bodaj wyjątkiem — zgłosił gotowość ustąpienia przy pierwszej swej scysji z Mościckim, a pośrednio także ze Śmigłym-Rydzem. Nikt z takiej oferty nie kwapił się skorzystać, przede wszystkim dlatego, że zachowanie w świecie przekonania o ciągłości polskiej polityki zagranicznej było oczywistą i bezwzględną koniecznością państwową.

Natomiast gdy chodzi o obsadę personalną innych kluczowych stanowisk, woli Piłsudskiego nikt nie znał i znać nie mógł poza jednym Sławkiem. Nie zdołał on jednak ani jej podać do publicznej wiadomości, ani innymi sposobami jej zrealizować. W grę wchodziły przede wszystkim dwa stanowiska: prezydenta Rzeczypospolitej i generalnego inspektora sił zbrojnych, to znaczy oficera przewidzianego automatycznie na wodza naczelnego w razie wojny.

Ignacy Mościcki został wybrany prezydentem w roku 1926 na życzenie Piłsudskiego. Te okoliczności początku jego kariery politycznej były powszechnie znane i przyjmowane do wiadomości. Nie myślano o nim inaczej niż jako o człowieku, któremu Piłsudski zlecił funkcję reprezentacji państwa. W czasie swej siedmioletniej pierwszej kadencji nie zdradzał żadnych osobistych ambicji politycznych — przeciwnie, podkreślał, choć przyznać trzeba, że w sposób nie ujmujący jego godności, że właściwym kierownikiem polityki polskiej i pierwszą osobą w państwie jest nie on, lecz Piłsudski. Dodać też trzeba, że Piłsudski nie trudził się nigdy obdarzaniem Mościckiego nadmiarem konfidencji, choć traktował go zawsze przyjaźnie i z szacunkiem. Mościcki funkcje swoje, zresztą w tym układzie niezbyt skomplikowane, wypełniał poprawnie i nikt właściwie w Polsce nie żywił wobec niego żadnych złych uczuć. Z drugiej strony nikt by nie powiedział, że cieszy się jakąś szczególną popularnością. W roku 1932, gdy Zgromadzenie Narodowe wybierać miało nowego prezydenta, głośno było w Warszawie, jeśli nie w całej Polsce, że Piłsudski najchętniej na tym stanowisku widziałby swego przyjaciela i współpracownika Aleksandra Prystora. Rzecz wydawała się do tego stopnia pewna, że Walery Sławek głośno o Prystorze jako o przyszłym prezydencie mówił. Ku zdumieniu wszystkich Piłsudski — plotka mówiła, że na prośbę Mościckiego — poparł jego ponowną kandydaturę.

Jest bardzo prawdopodobne, że Piłsudski spodziewał się wówczas uchwalenia nowej konstytucji już w najbliższym czasie, wiedział więc, że stanowisko prezydenta zostanie całkowicie zre-

formowane, że stanie się on rzeczywistym naczelnikiem państwa, skupiając w swym ręku wielką, jeśli nie największą część władzy wykonawczej. Z analizy wypowiedzi i postępowania Piłsudskiego, biorąc pod uwagę jego pogarszający się z każdym miesiącem stan zdrowia, a przede wszystkim stan nerwów, wynikałoby raczej, że chciał, by przyszedł prezydent miał te kompetencje, ten zakres władzy i te możliwości działania, jakie by jemu samemu odpowiadały, gdyby został prezydentem. Ale siebie już w tej roli zapewne nie widział, a jeśli się z tym nie zdradzał i nie zwierzał, to chyba dlatego, że z jednej strony do zwierzeń w ogóle skłonny nie był, a z drugiej strony dlatego, by nie dawać zachęty do domysłów lub, jeszcze gorzej, do przygotowawczych intryg, rozgrywek i montowania wewnętrznych sojuszków. Lecz w bliskim otoczeniu Piłsudskiego lub w kołach dobrze się orientujących w sytuacji, a do nich należeli przede wszystkim dziennikarze, polscy i niektórzy zagraniczni, zaczęto sobie zdawać sprawę, że jeśli prezydentem nie będzie Piłsudski, to na jego życzenie zostanie nim Sławek. Należy sądzić, że Sławkowi o tym Piłsudski powiedział, choć Sławek nigdy się z tym w sposób wyraźny nie zdradził. Natomiast wiadomo było, że właśnie Sławkowi zlecił Piłsudski przypomnienie Mościckiemu, że po uchwaleniu nowej konstytucji powinien ustąpić.

Formalnie rzecz była sama w sobie oczywista. Konstytucja zmieniała ustrój, zmieniała charakter władzy wykonawczej, zmieniała charakter, rolę i sposób wyboru parlamentu. Zmieniała przede wszystkim funkcję prezydenta państwa. Tym samym prezydent powinien był być wybrany w oparciu o nową konstytucję. Oczywiście nikt nie wątpił, że dotychczasowy prezydent nie powinien ustępować, zanim nie podpisze nowej ordynacji wyborczej i zanim, w oparciu o nią, nie zostaną przeprowadzone nowe wybory.

Wybory się odbyły. Sławek przestał być premierem. Lecz Mościcki nie ustąpił. Nie był to fakt, który mógłby przejść bez bardzo istotnych i ujemnych konsekwencji.

II

4 października 1935 roku ukonstytuował się nowy Sejm i Senat. Nazwano je w prasie opozycyjnej zupełnie jawnie „parlamentem mianowańców”, co miało podkreślać jego niereprezen-

tatywny charakter. Reakcja tego rodzaju, jeśli nie była w Polsce powszechna, to na pewno wyrażała poglądy dużej części społeczeństwa. Ale pamiętać trzeba, że nastrój pewnego zniechęcenia, jaki niewątpliwie zaznaczył się w Polsce latem i jesienią 1935 roku, nie był wynikiem dokładnej analizy i krytyki treści i ducha nowej konstytucji, a raczej wynikiem dwóch faktów bezpośredniego z jej powstaniem związanych. Jednym był zgon marszałka Piłsudskiego. Wytworzyła się — użyjmy tego nieznanego wówczas słowa — „frustracja”, że oto wchodzi w życie ustroj państwowy zbudowany właśnie w ten sposób, by Piłsudskiemu dać maksimum możliwości działania, wchodzi w życie, chociaż Piłsudskiego już nie ma i tym samym cała przebudowa ustrojowa traci w dużej mierze swe praktyczne zastosowanie. A przy tym powszechnie uważany za najbliższego współpracownika Piłsudskiego Sławek mówił głośno i otwarcie, że wszelkie próby poszukiwania człowieka, który mógłby Piłsudskiego zastąpić, są z góry skazane na niepowodzenie, gdyż człowieka takiego nie ma.

Dodać by tu warto, że bardzo szybko przeważała też zaczęła opinia, iż nowy system ustrojowy powinien być poddany okresowi próby, dostatecznie długiemu, by było można dojść do konkretnego wniosku, czy należy go zachować, czy też poddać nowej reformie. Natomiast surowej krytyce poddano nową ordynację wyborczą. Krytykę tę głosili nawet ci obywatele, którzy się od udziału w wyborach nie uchylili, a także słysząc ją było w ścisłym gronie zwolenników Piłsudskiego. A zatem wśród ludzi, którzy konsekwentnie i z przekonaniem dążyli do uchwalenia nowej konstytucji. Jest to pozorny paradoks, gdyż ordynacja wyborcza była przecież uzupełnieniem, jeśli nie wprost składową częścią nowego prawa państwowego. Lecz wprowadzał ją w życie dekret prezydenta z lipca 1935 roku, gdy Piłsudski już nie żył. Stąd domysły, których oczywiście nikt uzasadnić nie mógł, że gdyby Piłsudski żył, nie dopuściłby do tak daleko posuniętego zaprzeczenia zasady demokratycznych wyborów. Wiadomo było, że Piłsudski chciał ukrócić władzę Sejmu, że określał stan dotychczasowy jako samowolę posłów i partii politycznych, używając przy tym określeń brutalnych, poniżających i ordynarnych. Lecz ordynacja wyborcza szła dalej — w tym sensie, że podważała zasadę swobodnego wyboru posłów i senatorów. W praktyce ogromny wpływ na wyznaczenie kandydatów zdobywały władze administracyjne. Jeszcze więcej niechęci wzbudzały przepisy ordynacji wyborczej do Senatu. Jednocześnie Senat otrzymywał znacznie większe kompetencje w porównaniu z dotychczasowymi.

Jak by wyglądała ordynacja wyborcza, gdyby Piłsudski żył, nikt oczywiście nie wie. Wiadomo jednak, że nie zgłosił wobec niej sprzeciwu premier. A był nim nie kto inny tylko Walery Sławek. Kierował nim zapewne swoiście pojęty idealizm. Był tak zdecydowanym przeciwnikiem partyjnictwa, czyli, krótko mówiąc, roli partii politycznych w życiu kraju, że gotów był także sam zrezygnować z jakichkolwiek nacisków organizacyjnych w czasie wyborów. Sławek stał przecież na czele Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, który miał większość w dotychczasowym Sejmie i który uchwalił nową konstytucję. Ów BBWR — pomimo przymiotnika „bezpartyjny” — nie był niczym innym tylko partią polityczną. Sławek także do tego wniosku doszedł i ku zdumieniu wszystkich, a oburzeniu niektórych, zakazał wszelkiej agitacji wyborczej swojej własnej organizacji. Co więcej, po wyborach i po ukonstytuowaniu się nowego parlamentu właściwie na własną rękę BBWR rozwiązał. Można by to było uznać za gest szlachetny, dający wyraz przekonaniu, że partie polityczne są niepotrzebne i szkodliwe. Był to jednak niewątpliwie krok niepraktyczny, a samego Sławka pozbawiał nagle wszelkiego oparcia w jego działalności. Stał się człowiekiem samotnym i samotnie prowadził walkę o wcielenie w życie tego, co uważał za ostatnią wolę Piłsudskiego. W walce tej przegrał. A klęskę zadali mu ludzie, którzy także uważali się za spadkobierców Marszałka.

12 października 1935 roku Sławek zgłosił swoją dymisję jako premier rządu Rzeczypospolitej. Nie oznaczało to bynajmniej jego chęci odejścia od polityki. Sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Sławek właśnie miał być przecież tym prezydentem, który skupi w swym ręku nadrzędną i naczelną władzę. Lecz Mościcki nie ustępował. Było to zrozumiałe i nie budziło komentarzy do chwili zebrania się nowego Sejmu i Senatu. Co prawda już w sierpniu, w wywiadzie udzielonym Konradowi Wrzosowi, reporterowi *Ilustrowanego Kuriera Codziennego*, gazety krakowskiej o największym w Polsce nakładzie, znalazły się słowa, które zapowiadały jak gdyby zamiar pozostania prezydenta na jego urzędzie aż do upływu kadencji. Mościcki określił się w nim jako „najstarszy piłsudczyk” i jako najlepiej znający poglądy Marszałka i rozumiejący jego linię polityczną. Natychmiast po ukonstytuowaniu się Sejmu Sławek po prostu zażądał od Mościckiego, by ustąpił. Uzasadnieniem była nie tylko prawdziwa czy domniemana wola zmarłego, lecz także oczywisty взгляд prawny. Skoro państwo otrzymało nowy ustrój i nową konstytucję, skoro urząd prezydenta zmienił radykalnie swój charakter, wydawało

się rzeczą oczywistą, że nie może na tym stanowisku pozostawać ktoś wybrany w oparciu o konstytucję, która przestała już obowiązywać.

Spotkanie Sławka z Mościckim miało podobno przebieg dramatyczny. Dymisja Sławka ze stanowiska premiera oznaczała po prostu, że nie widzi możliwości współpracy z prezydentem dotychczasowym. Decydująca niewątpliwie w tej sytuacji była rola innych członków rządu bądź polityków bezpośrednio z Piłsudskim związanych. Należeli do nich ludzie tej miary co Aleksander Prystor lub tego znaczenia co Józef Beck, którzy gotowi byli Sławka poprzeć i wywrzeć na prezydenta nacisk. Nie zgodził się natomiast na to sam Sławek. Nowym premierem został na kilka miesięcy Marian Zyndram-Kościałkowski, wokół którego wytworzyła się opinia, że będzie dążył do daleko idącej zmiany atmosfery politycznej, szukając rozszerzenia platformy obozu rządowego w drodze jakiegoś układu z opozycją stronnictw lewicowych, to jest Polskiej Partii Socjalistycznej i Stronnictwa Ludowego. Próby te były bardzo nieśmiałe i nie dały absolutnie żadnego rezultatu, między innymi i dlatego, że stronnictwa opozycyjne tego rodzaju kompromisu czy układu pod uwagę brać nie chciały. 15 maja 1936 roku nastąpiła więc nowa zmiana na stanowisku premiera i powołany został nowy rząd, który miał pozostać u władzy do końca września 1939 roku. Premierem został generał Felicjan Sławoj-Składkowski. Jak powszechnie wiadomo i jak sam to przyznawał, urząd ten objął „tymczasowo”, to jest do chwili, gdy skrytalizuje się ostatecznie układ czy rozdział wpływów w środowisku piłsudczyków. Lecz Składkowski pozostał na swym stanowisku nawet wtedy, gdy układ tego rodzaju już zdołał się wytworzyć; pozostał przede wszystkim dlatego, że nie miał żadnych ambicji osobistych i że przez każdy ośrodek uważany był za człowieka najwygodniejszego, a równocześnie najbardziej pracowitego. Nie tylko przy tym nie wytyczał kierunku polityki wewnętrznej — pamiętajmy: zagraniczną pozostawiono Beckowi — lecz nawet nie koordynował polityki poszczególnych resortów, zadowolając się zapałem i — z dobrymi skutkami — nadzorem nad administracją państwową. Funkcje koordynacyjne i funkcje planowania politycznego spełniały prywatne w zasadzie zebrania u prezydenta.

Jakież to były ośrodki, które w sposób nieformalny podzieliły się w Polsce najwyższą władzą? Wokół Sławka ośrodek taki się nie wytworzył. Wytworzył się natomiast wokół osoby następcy Piłsudskiego na stanowisku generalnego inspektora sił zbrojnych. Edward Smigły-Rydz był zasłużonym oficerem, zastępował Pił-

sudskiego jako komendant Polskiej Organizacji Wojskowej w okresie uwięzienia Piłsudskiego w Magdeburgu, był ministrem wojny w rządzie lubelskim, uchodził za najzdolniejszego dowódcę armii w wojnie polsko-bolszewickiej. Był popularny w wojsku i nie przejawiał ambicji politycznych. Należy więc wnosić, że w umyśle Piłsudskiego on właśnie nadawał się najlepiej na objęcie generalnego inspektoratu sił zbrojnych. Także dlatego, że Piłsudski działalność wojskową i polityczną łączyć chciał tylko w swoim ręku. Natomiast nikt z jego najbliższych wojskowych działalnością polityczną zajmować się nie powinien. Brzmi to także jak paradoks, skoro pamiętamy, że okres lat trzydziestych utrwalił się w pamięci ludzkiej i w historii jako tak zwane „rządy pułkowników”. Lecz każdy z owych „pułkowników” przechodząc do polityki opuszczał wojsko i nigdy już jako wojskowy przez Piłsudskiego traktowany nie był. Ten stan rzeczy w nowych okolicznościach po śmierci Piłsudskiego chciał zapewne utrwalić prezydent Mościcki i na tym polu miał całkowite poparcie wszystkich innych ważnych w Polsce osobistości.

Jedną z największych niespodzianek w ostatnich latach dwudziestolecia międzywojennego był fakt, że stało się zupełnie inaczej.

III

Nominacja Edwarda Śmigłego-Rydza na następcę Piłsudskiego we wszystkim co dotyczyło wojska i obrony państwa przyjęta została bez oporu, a nawet z zadowoleniem w społeczeństwie — także dlatego, że uchodził za człowieka pozbawionego wszelkich ambicji politycznych. A jednak w ciągu niespełna roku od daty swej nominacji stał się kluczową postacią właśnie w życiu politycznym, wybijając się nawet formalnie na drugą po prezydencie osobę w państwie. W rzeczywistości był osobą w dużej mierze nieomal Mościckiemu równorzędną, stworzywszy w dodatku ośrodek polityczny, którego nie można określić inaczej niż jako konkurencyjny w stosunku do „ośrodka prezydenckiego”. W ciągu następnego roku układ ten utrwalił się na dobre, z tym, że zanikać zaczął element współzawodnictwa, z tego przede wszystkim powodu, że Śmigły-Rydz uznany został i przez opinię, i przez prezydenta za jego następcę na stanowisku głowy państwa.

Zaczęło się jednak od sporu. Spór ten dotyczył postaci bodaj najwybitniejszej w rządzie — ministra skarbu, a zarazem wicepremiera dla spraw gospodarczych, Eugeniusza Kwiatkowskiego. Prezydent darzył go pełnym zaufaniem, a jednocześnie talenty i osiągnięcia Kwiatkowskiego w dziedzinie gospodarczej przysparzały mu popularności w całym społeczeństwie, nie wyłączając nawet opozycji. Kwiatkowski nie cieszył się natomiast względami Śmigłego-Rydza, a raczej jego bezpośrednich doradców, rekrutujących się głównie z kół dziennikarskich. Oni też sprawili, że generalny inspektor sił zbrojnych nie przyjął jak gdyby do wiadomości powołania rządu Kościałkowskiego, odmawiając nawet z nim rozmowy. Uważał bowiem, że jest to rząd tak pomysłany, by mógł w każdej chwili przekształcić się w rząd Kwiatkowskiego. Sytuacja była dziwna i zaskakująca chociażby dlatego, że Śmigły-Rydz czynił wyrzuty prezydentowi za powołanie rządu bez porozumienia się z nim. Do takiego porozumiewania się prezydent nie był zobowiązany, a w dodatku byłoby ono w sprzeczności z założeniem, iż po śmierci Piłsudskiego sprawy polityczne i sprawy wojskowe ulec mają całkowitemu rozdziałowi.

By nie dopuścić do dalszego zadrażnienia, działać zaczęli różni pośrednicy między prezydentem i Śmigłym-Rydzem. Pośrednictwo to, w którym główną rolę odegrał bardzo inteligentny i bardzo ideowy Bogusław Miedziński, doprowadziło do swoistego kompromisu, zwanego wśród wtajemniczonych „układem grudniowym”. Jego rezultatem było przede wszystkim cofnięcie dymisji przez ministra spraw zagranicznych Józefa Becka. Beck był także niechętny Kościałkowskiemu i Kwiatkowskiemu, a przede wszystkim sprzeciwiał się nieudanym zresztą próbom rozszerzenia bazy rządowej przez porozumienie z bojkotującymi konstytucję partiami opozycyjnymi. Zgodził się jednak pozostać na swym stanowisku, by dać dowód, że ciągłość polityki zagranicznej państwa polskiego zostaje utrzymana. Miało to ważny i dodatkowy skutek. Beck nie był „niczym człowiekiem”. Był oczywiście przedtem człowiekiem Piłsudskiego i chciał nim pozostać także po jego śmierci. Natomiast nie wiązał się ani ze środowiskiem Mościckiego, ani ze Śmigłym-Rydzem. Stan ten został milcząco aprobowany i w ten sposób koło Becka utworzył się trzeci ośrodek polityczny, jeśli nie równorzędny wobec „Zamku” i wobec „GISZ-u”, to w rzeczywistości od nich niezależny. Dodać tu trzeba jednak, że Beck nie miał żadnych ambicji odgrywania jakiejkolwiek roli w polityce wewnętrznej i że zadowalał się zachowaniem i powiększaniem zakresu swobody w kierowaniu polityką zagraniczną.

Drugim i dla wewnętrznych spraw polskich ważniejszym wynikiem „umowy grudniowej” było usunięcie Kościółkowskiego z urzędu premiera — co zresztą opinia w kraju przyjęła obojętnie. Osoba jego następcy a także jego działalność były i wówczas, i później ulubionym przedmiotem różnych anegdot i dykteryjek, po części prawdziwych, po części tylko dowcipnych. Składkowski wcale się na nie nie oburzał, a będąc sam — jak wiemy chociażby z jego twórczości literackiej — człowiekiem bardzo dowcipnym, z dużym zapalem tę atmosferę wokół swojej osoby podsycał. Sprawiedliwość wymaga przyznania mu wielu zasług dzięki jego pracowitości i zapobiegliwości, lecz raczej jako ministra spraw wewnętrznych, a nie premiera rządu. Sam mówił o sobie z humorem, że jest premierem *faute de mieux* — z braku kogoś lepszego lub inaczej, że każdy inny premier komuś by przeszkadzał. Przyznawał też, że zawsze wykonywał rozkazy Piłsudskiego jako wojskowy. W rzeczywistości był wojskowym lekarzem. Po śmierci Piłsudskiego objął premierostwo, gdyż tego sobie życzył następca Piłsudskiego — to znaczy Śmigły-Rydz jako najstarszy oficer. A więc nie prezydent Rzeczypospolitej. Kompletując swój gabinet Składkowski zapytał, czy może, skoro jest premierem, mieć także chociaż jednego „swojego ministra”. Bo skład jego gabinetu był wynikiem kompromisu między „Zamkiem” i „GISZ-em”. Z małymi zmianami pozostał takim na dalsze lata. A więc ludźmi prezydenta byli Kwiatkowski, Juliusz Poniatowski, Świętosławski i Kaliński. Ludźmi Rydza — generał Kasprzycki, Ulrych i Witold Grabowski, prokurator w procesie brzeskim. Do ludzi Rydza należał sam Składkowski. „Swojego ministra” Składkowski nie dostał, chyba że uznać za niego jego poprzednika, to znaczy Kościółkowskiego, którego pozostawiono na stanowisku ministra opieki społecznej. Poza tymi dwiema grupami do nikogo „nie należący” był Józef Beck, a później protegowany przez Becka Antoni Roman.

Wytworzyć się miała z czasem procedura narad odbywanych prawie regularnie co dwa tygodnie z udziałem Mościckiego, Śmigłego-Rydza, Becka i bardzo często Kwiatkowskiego. Uczestniczył w nich także Składkowski, lecz raczej po to, by wprowadzić w życie to, co inni uchwalili, gdyż — jak pisał w swych pamiętnikach — bardzo trudno było przekonać prezydenta o „celowości zrobienia mnie premierem”.

Tego rodzaju pasywna rola Składkowskiego znalazła swe odbicie w sławnym „okólniku piętnastego lipca”. Chodzi o rok 1936. W dniu tym Składkowski jako premier wydał okólnik, ogłoszony w prasie dnia następnego, że generał Rydz-Śmigły,

„wyznaczony przez marszałka Piłsudskiego jako pierwszy obrońca ojczyzny i pierwszy współpracownik pana prezydenta w rządzeniu państwem, ma być uważany i szanowany jako pierwsza w Polsce osoba po panu prezydencie Rzeczypospolitej, a wszyscy funkcjonariusze państwowi z prezesem Rady Ministrów na czele okazywać mu winni objawy honoru i posłuszeństwa”.

Tak mówił okólnik z podpisem właśnie prezesa Rady Ministrów. Składkowski napisał to i podpisał — jak to twierdził — dlatego, że źle zrozumiał ogólną wskazówkę prezydenta, by rząd położył kres plotkom o napiętych stosunkach z Rydzem. Był to dokument zaiste zdumiewający i oczywiście sprzeczny nie tylko z konstytucją, ale także z prawdą historyczną, gdyż Piłsudski ani nie mógł mianować, ani nie mianował Rydza „na pierwszą po prezydencie osobę w Polsce”. Wywołał gniew i niezadowolenie także — jeśli nie przede wszystkim — w kołach obozu rządzącego. Nie można go już było jednak odwołać bez spowodowania prawdziwego kryzysu państwowego.

Niewątpliwie to niezwykle uhonorowanie Śmigłego-Rydza przydało się w toczących się rozmowach o ożywienie czy wznowienie sojuszu wojskowego z Francją. Był to przecież rok 1936, rok, w którym tymczasowość wszystkich układów, faktów i traktatów stawała się dla Polski przynajmniej oczywista. Z drugiej strony jednak w kołach dyplomacji zaczęto na przemian albo wbrew rzeczywistości wiązać politykę Becka z domniemanym poparciem Śmigłego-Rydza albo przeciwstawiać ją domniemanym poglądom Śmigłego-Rydza. Tak czy inaczej, za granicą, mówiąc o Polsce zaczęto operować tymi właśnie dwoma nazwiskami, Becka i Rydza.

Śmigły-Rydz w swych ocenach położenia międzynarodowego Polski był raczej pesymistą, czemu dał w tym okresie kilkakrotnie wyraz. Występując 24 maja 1936 roku na trzynastym zjeździe legionistów, jako następca Piłsudskiego mówił wyraźnie o niebezpieczeństwie, które grozi Polsce spoza obu granic. Kładł nacisk na zagadnienie obronności państwa jako usuwające w cień wszystkie inne sprawy, nawołując przy tym do „konsolidacji narodu”. W kraju uznano to za zapowiedź prób rozszerzenia podstawy rządów w Polsce poza koła dotychczasowych zwolenników Piłsudskiego, jako zaproszenie opozycji do współudziału w życiu politycznym. Tym samym Śmigły-Rydz wyrastał nagle do roli człowieka, wokół którego owa konsolidacja powinna się dokonać.

Ważniejszy jednak był ciągły wzrost popularności Śmigłego-Rydza w społeczeństwie i traktowanie go pomimo jego wyraź-

nych ambicji politycznych jako osoby stojącej ponad polityką wewnętrzną państwa lub przynajmniej na boku.

Jednym z przykładów jego wyjątkowej pozycji był jego udział w końcu czerwca 1936 roku w wielkiej manifestacji chłopskiej zorganizowanej przez Stronnictwo Ludowe w Nowosielcach w Krakowskiem. Brało w niej udział 120 tysięcy chłopów. Wołano co prawda o powrót Witosa, lecz Śmigłego-Rydza przyjmowano z honorami, jako reprezentanta wojska — tej najdroższej uczuciowo wszystkim Polaków i jedynej naprawdę popularnej instytucji narodowej. Tego nastroju nie nie zdołało podważyć aż do wojny.

W dniu święta państwowego 11 listopada 1936 roku Śmigły-Rydz dekretem prezydenta otrzymał buławę marszałkowską. Wywołało to głosy protestu i nawet oburzenia, lecz głównie wśród piłsudczyków. Widziano w tej nominacji coś znacznie więcej niż awans wojskowy. Widziano chęć przelania na barki Śmigłego-Rydza dużej części moralnego autorytetu jaki miał zmarły „pierwszy Marszałek Polski”. Sprawiedliwość każe dodać, że w swym krótkim przemówieniu Śmigły-Rydz powiedział, iż zaszczyt ten spotyka go na wyrost i nakłada na niego obowiązki, o których nie wie, czy los pozwoli mu im sprostać.

KWIATKOWSKI I POLSKA GOSPODARKA

I

Eugeniusz Kwiatkowski uważany był za człowieka prezydenta i był nim w rzeczywistości. W tym przede wszystkim sensie, że Ignacy Mościcki, który nie odznaczał się talentami politycznymi, doceniał jednak znaczenie zagadnień gospodarczych. Z Kwiatkowskim zetknął się bardzo wcześnie, bo już w roku 1922, gdy powołał go na stanowisko dyrektora technicznego zakładów azotowych w Chorzowie. Po zamachu majowym, gdy jako kandydat Piłsudskiego został wybrany na prezydenta Rzeczypospolitej, zdołał wprowadzić Kwiatkowskiego do rządu premiera Bartla jako ministra przemysłu i handlu. Na tym stanowisku Kwiatkowski wykazał się dużymi zdolnościami i jemu zawdzięcza Polska rozbudowę portu w Gdyni, stworzenie floty han-

dlowej i ożywienie handlu zamorskiego, budowę magistrali węglowej oraz szereg innych inicjatyw gospodarczych, jak na przykład uruchomienie nowych zakładów azotowych w Mościcach. Już w tym okresie Kwiatkowski wielokrotnie występował z krytyką polskiej polityki skarbowej, opowiadając się za oddzieleniem polityki gospodarczej od zagadnień skarbowych. Nie był z tego powodu popularny w kołach rządzących, a Piłsudski odnosił się do niego z wyraźną nieufnością, nazywając tezy ekonomiczne Kwiatkowskiego absurdami. Od roku 1935 sytuacja była już inna. Sprawy gospodarcze pozostawiono w gestii Kwiatkowskiego, który posługiwał się bardzo zręcznie poparciem Mościckiego.

Zdaniem wielu, pozostawienie Kwiatkowskiemu tak dużej swobody było wynikiem swoistej bezradności ludzi sprawujących władzę w zakresie spraw gospodarczych. Błędem byłoby myśleć, że jakieś tradycje szlacheckie pokutujące w społeczeństwie kazały lekceważyć lub nawet pogardzać działalnością gospodarczą. Sprawy gospodarcze interesowały każdego, lecz raczej w wąskim zakresie. Stąd swoista zaściankowość gospodarcza zarówno poszczególnych obszarów kraju, jak i programów partii politycznych. Mówiąc prościej, zbyt mało było w Polsce ludzi o wykształceniu ekonomicznym i zbyt mało ludzi mających w praktyce do czynienia z działalnością produkcyjną lub handlową. Stąd na przykład wśród ludowców tendencja do szukania wszystkich rozwiązań gospodarczych wyłącznie w oparciu o interesy rolnictwa, tak jakby były oderwane od całokształtu gospodarki. Stąd też program gospodarczy Stronnictwa Narodowego, widzący rozwiązanie wszystkich bolączek i wszystkich problemów w popieraniu małej lub średniej własności, zarówno na roli, jak i w przemyśle. Sytuację tę charakteryzuje bardzo dobrze artykuł w czasopiśmie *Gospodarka Narodowa*, ogłoszony przez Czesława Bobrowskiego w listopadzie 1938 roku, w dwudziestą rocznicę odzyskania niepodległości: „Bez wątpienia kultura gospodarcza społeczeństwa polskiego, jego wyrobienie w myśleniu polityczno-gospodarczym, nasza znajomość podstawowych elementów rzeczywistości polskiej są niedostateczne. Równocześnie jednak mamy prawo stwierdzić, iż następują zmiany na lepsze”. Bobrowski wyliczał te zmiany, stawiając na pierwszym miejscu krytyczne ustosunkowanie się do wzorów zagranicznych, a dalej narastającą świadomość konieczności traktowania zagadnień gospodarczych w sposób kompleksowy, zrozumienie potrzeby pragmatycznego i elastycznego podejścia do spraw gospodarczych w polityce rządowej i wreszcie pierwsze próby wprowadzenia planowania gospodarczego na dłuższą metę i na szczeblu ogólnopaństwowym.

Artykuł wymieniał niektóre placówki naukowe, które przyczyniły się do tego rodzaju korzystnych zmian, jak na przykład Instytut Gospodarstwa Społecznego, Instytut Spraw Społecznych czy Instytut Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego.

Rok 1935 był przełomowy w gospodarczej historii Polski. Z jednej strony zaczął się wypalać międzynarodowy kryzys gospodarczy i następowała wyraźna poprawa koniunktury na całym świecie. Poprawa położenia gospodarczego była w Polsce widoczna w życiu codziennym. Ważną rolę odgrywała tu bardzo rygorystycznie stosowana polityka walutowa. Polska nie odstąpiła od standardu złota, jej waluta posiadała ustawowe pokrycie w złocie i w dewizach. Polityka deflacyjna dyktowana była dwoma przede wszystkim względami. Z jednej strony obawą przed wszelkimi eksperymentami i przemożnym postulatem równowagi budżetowej państwa. Z drugiej strony każda niemal wzmianka o inflacji budziła przerażenie w całym społeczeństwie. Polityka deflacyjna miała — rzecz jasna — wielu przeciwników, wskazujących słusznie, że nie ułatwia ona, lecz utrudnia inwestycje w przemyśle i zwalnia tempo spadku bezrobocia. Krytykowano też utrzymanie parytetu złota, gdy wszystkie prawie państwa bogate, z wyłączeniem Francji i Szwajcarii, z pokrycia w złocie zrezygnowały.

Lecz deflacja miała także wyraźne dobre strony, zwłaszcza na płaszczyźnie psychologicznej. Polskę szanowano na rynkach międzynarodowych za to, że wywiązuje się ze swych zobowiązań dłużniczych, a świadomość że złoty polski jako mocna waluta jest poszukiwany na rynkach pieniężnych przyczyniała się w sposób kapitalny do bardzo potrzebnego Polsce wzrostu wiary we własne siły. W tej korzystnej dla planowania gospodarczego atmosferze był jednak jeden odcinek bardzo przygnębiający, jeśli nie tragiczny. Mianowicie poprawa położenia była bardzo powolna w rolnictwie. Przyczyną było zahamowanie eksportu płodów rolnych, spowodowane w dużej mierze przez fakt, że polska waluta była droga. Z drugiej strony działały tak zwane nożyce cen, polegające na tym, że w dalszym ciągu nie było na rynku wewnętrznym właściwej relacji między ceną produktów rolnych a cenami produktów przemysłowych. Stawiało to nie tylko przed ogromnymi trudnościami inwestycje w rolnictwie, lecz po prostu pozbawiało chłopów małego rolnego jakiegokolwiek gotówki, a tym samym możliwości zakupów wszystkiego, co było mu potrzebne, nie mówiąc już o tym, że rolnik nie miał jak obsługiwać swego zadłużenia i nie miał z czego zapłacić podatków.

W latach 1937-38 zaczął Kwiatkowski stosować ostrożne lecz

bardzo celowe i skuteczne korektury dotychczasowej polityki walutowej. Już w roku 1936 zdecydował się zahamować odpływ złota i dewiz, wprowadzając kontrolę dewizową. Kontrola działała wbrew pesymistycznym przewidywaniom bardzo sprawnie i wcale nie wpłynęła na szczupłe zresztą możliwości uzyskania kredytów zagranicznych. Przede wszystkim jednak zaczął Kwiatkowski wprowadzać w życie politykę, którą określić można jako interwencjonizm państwowy, choć prasa opozycyjna nazywała ją pogardliwie etatyzmem. Polegało to na przejmowaniu większości udziałów szeregu kluczowych zakładów przemysłowych przez państwo. Państwo nabyło większość udziałów w najsilniejszym polskim przedsiębiorstwie, jakim była Wspólnota Interesów, produkująca prawie 60 % stali w Polsce. Za nią poszły Zakłady Żyrardowskie, Zjednoczenie Hut i szereg innych przedsiębiorstw, głównie w przemyśle hutniczym, górniczym i włókienniczym. W sposób niedostrzegalny państwo stało się współwłaścicielem potężnej części przemysłu krajowego — 55 % hutnictwa, 25 % przemysłu chemicznego, 30 % produkcji maszyn przemysłowych, 100 % w słabiutkim zresztą przemyśle lotniczym i samochodowym. Obok tego istniały już i działały bardzo sprawnie, przynosząc spore dochody, przedsiębiorstwa państwowe. Do nich należały przede wszystkim Polskie Koleje Państwowe, Państwowe Przedsiębiorstwo Poczty, Telegrafów i Telefonów i Lasy Państwowe. Ważną grupę stanowiły przedsiębiorstwa mieszane, w zasadzie prywatne, lecz z udziałem albo Skarbu Państwa, albo poszczególnych ministerstw, albo przedsiębiorstw państwowych, albo wreszcie banków. Wpływ i udział państwa w działalności bankowej miał szczególnie doniosłe znaczenie. Przy ich pomocy można było regulować i planować politykę kredytową, a tym samym inwestycje przemysłowe. Już w roku 1935 suma wkładów pieniężnych w bankach państwowych i prywatnych układała się w proporcji 1,8 do 1.

W warunkach stabilizacji gospodarczego położenia Polski w stosunku do zagranicy, co było skutkiem polityki walutowej, przy równoczesnym ożywieniu produkcji przemysłowej i wyraźnym wzroście dochodu narodowego, Eugeniusz Kwiatkowski decydował się na politykę gospodarczą zrywającą z tradycyjnymi kierunkami przeważającymi ciągle w świecie kapitalistycznym. Jak pisał w swej książce „Kryzys współczesny i zagadnienie odbudowy życia gospodarczego”, państwowe wydatki inwestycyjne i gospodarcze „domagają się ustalenia pewnego dłuższego przemysłanego planu, z którego wyniknąć powinny korzyści ogólnospołeczne”. Plan ten — choćby elastyczny, ale zakrojony na kilka

co najmniej lat — „powinien przewidywać nie tylko kolejność wydatków inwestycyjnych, robót publicznych i związanej z tym polityki kredytowej, ale także programową akcję w kierunku stopniowej przebudowy struktury społecznej”. I tłumaczył Kwiatkowski dalej, że Polsce potrzeba jest takiej polityki inwestycyjnej, która w kraju stworzyłaby konsumenta, „którego do dziś nie ma”. Taka była ogólna przesłanka, na której Kwiatkowski budował swój właściwy plan gospodarczy.

II

Założeniem polityki gospodarczej Eugeniusza Kwiatkowskiego było więc wprowadzenie długofalowego planowania na szczeblu państwowym. Rdzeniem tego planowania miała być interwencja państwa w poszczególne dziedziny życia gospodarczego. Interwencja wyrażać się miała przede wszystkim w dostarczaniu odpowiednich kapitałów inwestycyjnych przy jednoczesnym regulowaniu sposobu i kolejności ich użycia. Nakładało to na państwo nowe obowiązki — nowe w porównaniu z dotychczasową polityką. Wymagało też takiego ustawiania budżetu państwowego, by mógł uwzględniać plany inwestycyjne. Wskutek najrozmaitszych trudności do pierwszych lat trzydziestych budżet państwowy układano prawie wyłącznie z punktu widzenia potrzeb doraźnych — to znaczy tak, by pokryć z niego bieżące wydatki państwowe. Ze zmiany tego systemu nie wynika rzecz jasna, by budżet państwowy stawał się jedynym lub nawet tylko głównym źródłem kapitałów inwestycyjnych. Roli takiej spełniać nie mógł i przy zachowaniu zasad gospodarki wolnorynkowej nie powinien być. Służył więc nie tylko jako źródło inwestycji, lecz także jako zabezpieczenie inwestycji pochodzących z innych źródeł. Między innymi źródłem takim stawały się wydzielone z gospodarki skarbowej „fundusze państwowe”. Prowadziły one odrębną gospodarkę, planowaną na dłuższe okresy czasu. Z najważniejszych wymienić warto Państwowy Fundusz Pracy, Fundusz Budowlany i od roku 1936 Fundusz Obrony Narodowej. Ich nazwy tłumaczą wyznaczone im zadania. Dodajmy tu tylko, że zadaniem Funduszu Pracy nie było wyłącznie stwarzanie nowych stanowisk pracy, by zwalczać bezrobocie, lecz także inicjowanie finansowania szeregu robót publicznych. Fundusz Obrony Na-

rodowej gromadził środki przede wszystkim na rozbudowę przemysłu zbrojeniowego. Gospodarka funduszowa miała w Polsce wielu przeciwników, kierujących się w swych krytykach przywiązaniem do klasycznych teorii skarbowości, które niechętnie widziały usztywnianie przeznaczenia pieniędzy publicznych bez możliwości szybkiego *virement* czyli przetrzucania środków finansowych w dyspozycji państwa z jednej dziedziny wydatków do innej.

Jak to tłumaczył w swojej książce, a co jeszcze dokładniej wyłożył współpracujący z nim Janusz Rakowski w swej pracy „Polityka inwestycyjna i planowanie inwestycji”, Kwiatkowski dążył do stworzenia silnego rynku konsumpcyjnego w Polsce, widząc w nim właśnie podstawę postępu gospodarczego. Było to założenie jak najbardziej słuszne, lecz równocześnie w warunkach polskich bardzo trudne do przeprowadzenia. Dlatego przede wszystkim, że Polska była krajem rolniczo-przemysłowym, przekształcającym się dopiero w kraj przemysłowo-rolniczy. A jak widzieliśmy, ze skutków światowego kryzysu gospodarczego najwolniej wydostawało się właśnie rolnictwo. Wbrew pesymizmowi wielu publicystów gospodarczych nie była to jednak wcale kwadratura koła, gdyż z sytuacji tej wyjście znaleźć było można. Mianowicie przy pomocy długofalowego planowania, w którego pierwszej fazie rozwój przemysłu musiał mieć całkowite pierwszeństwo przed palącymi nawet wymogami wsi i to zarówno wymogami technologicznymi, jak i społecznymi.

I na tym polu właśnie lata 1935-39 przyniosły Polsce ogromne sukcesy. Sukcesy tym większe, że w roku 1932, wskutek ogólnego położenia gospodarczego całego świata, produkcja przemysłowa w Polsce spadła do 63 % poziomu z roku 1929. I od tej zmniejszonej podstawy liczyć należy wzrost i osiągnięcia w latach poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej. Produkcja przemysłowa Polski wzrastała wówczas w tempie około 10 % rocznie. Dla porównania: wzrost ten we Francji nie przekraczał 5 %, a w innych krajach, jak na przykład w Anglii czy we Włoszech, był jeszcze mniejszy. Na tym samym poziomie co Polska utrzymywał się wzrost przemysłu niemieckiego, lecz dodać tu trzeba, że Niemcy zawdzięczały go przede wszystkim zbrojeniom, które były przyczyną co najmniej 40 % wzrostu, podczas gdy w Polsce przemysł zbrojeniowy uczestniczył w ogólnym wzroście najwyżej w 10 %. Oczywiście Polska była rynkiem bardzo chłonnym na wyroby przemysłowe, zwłaszcza gdy chodzi o produkcję dóbr wytwórczych — mówiąc prościej, produkcję maszyn i narzędzi. Powodem były między innymi ciągle

jeszcze trwające skutki dewastacji z okresu pierwszej wojny światowej. Przykładem najbardziej jaskrawym były maszyny włókiennicze, z których wiele należało zastąpić innymi już w roku 1914.

Globalnie między rokiem 1935 a 1939 produkcja przemysłowa w Polsce wzrosła o 53 %. Dodać trzeba w tym miejscu, że rozwój ten nie był równomierny we wszystkich gałęziach przemysłu. I tak przemysł konsumpcyjny wykazywał wzrost tylko 29 %, natomiast w przemyśle dóbr wytwórczych — z przyczyn, które przed chwilą wymieniliśmy — sięgał prawie 60 %. Towarzyszyły temu dwa bardzo korzystne zjawiska. Po roku 1936 nie było w Polsce żadnych przedsiębiorstw przemysłowych pracujących ze stratą. Nie było ich też w przemyśle upaństwowionym czy w upaństwowionych usługach publicznych. Przeciwnie, niektóre zakłady należące w tej czy innej formie do państwa wykazywały zyski wyższe niż koncerny prywatne. Interwencja państwa zaznaczała się bardzo skutecznie w regulowaniu racjonalnego przeznaczenia zysków — to znaczy w kierowaniu ich większości na cele inwestycyjne i to nie tylko w inwestycjach wewnętrznych poszczególnych zakładów przemysłowych. Drugim pozytywnym zjawiskiem było powolne malenie udziału kapitału zagranicznego w przemyśle polskim. Kapitał ten stopniowo kurczył się na rzecz udziałów państwowych, a tam, gdzie proces ten nie następował lub postępował zbyt wolno, nacisk państwa skłaniał także do inwestowania w Polsce. Przydatne na tym polu było zwłaszcza wprowadzenie ograniczeń dewizowych, które utrudniały odpływ odrzucanych zysków zagranicznych.

Można by zreasumować zbawienne działanie interwencji państwowej na rozwój gospodarczy kraju, wyliczając podstawowe elementy tej interwencji. A więc: szeroko zakrojony program inwestycji państwowych, w oparciu między innymi o fundusze wydzielone z budżetu państwa i o kredyty bankowe. A dalej: ustawowe obniżenie stopy procentowej, które pobudziło skłonność do inwestycji przemysłowych w całym społeczeństwie. Następnie: ustawowe uregulowanie pułapu cen, ścisła kontrola i częste unieważnianie umów kartelowych, interwencja państwa na rynku pracy i wreszcie zmniejszenie globalnego zadłużenia rolnictwa w przygotowaniu do zwiększenia jego ogólnej dochodowości. Tu głównym instrumentem działalności państwa był Państwowy Bank Rolny, który w pewnym sensie nie tyle zmonopolizował, ile skupił w swym ręku kierownictwo całości kredytów rolnych. Trzeba dodać, że jego sprzymierzeńcem w tej dziedzinie było kilka banków prywatnych lub spółdzielczych o kapitale

akcyjnym, takich jak Bank Cukrownictwa i Bank Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu.

W sumie gospodarka planowa, którą propagował i co ważniejsze wprowadzał w życie Eugeniusz Kwiatkowski, była nowością w życiu Polski, a dodać trzeba, że wzorów obcych, którymi można by było się posłużyć, też nie było wiele. Jeśli chodzi o ówczesny wzór sowiecki, w sensie gospodarczym mógł on tylko działać odstrasżająco. Pominąwszy odmienność ustroju, odmienność podstawowych założeń i pojęć o zadaniach i o celu państwa, także obserwacja praktycznych wyników przebudowy gospodarczej na obszarze Rosji nie stanowiła dla nikogo zachęty. To, co się w Rosji działo, wyglądało z zewnątrz i było w rzeczywistości szeregiem eksperymentów, opartych o niczym nie uzasadnione przesłanki dogmatyczne, a w wynikach swych przynoszące oczywisty chaos, a nieraz i zacofanie. Poza tym w latach trzydziestych, latach głodu na Ukrainie, przymusowej kolektywizacji, ogólnego niedostatku, a jednocześnie latach nasilenia terroru politycznego, wzór sowiecki — jeśli w ogóle istniał — służyć mógł tylko jako przestroga przed popełnianiem podobnych błędów. Były natomiast pewne wskazania płynące ze Stanów Zjednoczonych, po części z Włoch i z Niemiec, że gospodarka kapitalistyczna w klasycznej swej formie nie ma już przed sobą przyszłości, gdyż koordynacja życia gospodarczego, podstawowy warunek jego rozwoju, powinna być sprawowana przez państwo. Był to raczej dopiero kierunek myślenia wsparty kilkoma doświadczeniami, a nie gotowy wzór. Niektórzy kierunek ten zwalczali. Kwiatkowski i ludzie o zbliżonym do niego sposobie rozumowania kierunek ten rozumieli i starali się wprowadzać w życie, oczywiście z korekturami odpowiadającymi polskiej rzeczywistości. Gdy o ściśle teorię chodzi, Kwiatkowski był pod wpływem ekonomisty angielskiego Keynesa, autora wydanej w roku 1936 książki „Ogólna teoria zatrudnienia, procentu i pieniądza”. Stała się ona z czasem podwaliną teorii i praktyki o ogólnym zatrudnieniu jako o podstawie i celu gospodarczej działalności państwa. Ale przede wszystkim Keynes ułożył zarysy i dał uzasadnienie planowania długofalowego rozwoju gospodarczego na szczeblu państwowym. Teoretyczne podstawy są może mniej istotne od faktu, że w trudnych warunkach polskich Kwiatkowski wprowadził w życie dwa plany gospodarcze, a przygotował trzeci. Były to: czteroletni plan inwestycyjny na lata 1936-39 i sześćioletni plan rozbudowy sił zbrojnych. Piętnastoletni plan inwestycyjny miał się rozpocząć w roku 1940. Z planu rozbudowy sił zbrojnych zdążono wykonać zaledwie wstępną jedną trzecią, gdyż zaczęto go wpro-

wadzać w życie dopiero w roku 1937. Natomiast czteroletni plan inwestycyjny zdołano doprowadzić do wytyczonego celu prawie o rok wcześniej niż przewidywał pierwotny termin czyli w roku budżetowym 1937/1938. Skarb Państwa zainwestował w tym okresie sumę miliarda 800 milionów złotych, co było pozycją bardzo dużą, gdyż równało się trzem czwartym ogólnego budżetu państwowego.

W ramach planu czteroletniego osiągnięciem najbardziej rzucającym się w oczy i najbardziej imponującym, chociaż wcale nie jedynym, była rozbudowa tak zwanego COP-u. Centralny Okręg Przemysłowy budowano na obszarze Sandomierszczyzny, to znaczy u zbiegu Wisły i Sanu. Obszar ten obejmował 40 powiatów. Lokalizację COP-u motywowano różnymi względami, m.in. tym, że rejon ten jest względnie bezpieczny w sensie wojskowym. Ten wzgląd zawiódł całkowicie. Natomiast inne uzasadnienia wyboru tego właśnie obszaru były słuszne. Leżał w pobliżu Zagłębia Śląsko-Dąbrowskiego, co zapewniało łatwy dowóz surowca. Leżał też blisko Podkarpacia, na którym rozpoczęto budowę siłowni, mających być źródłem energii elektrycznej dla całej Polski środkowej i południowej. W Krakowskim, Kieleckim, Rzeszowskim oraz południowej Lubelszczyźnie było największe w Polsce przeludnienie wsi i stąd nadwyżka siły roboczej, którą można było zatrudnić w przemyśle, bez uciekania się do migracji z innych dzielnic Polski. Ponadto COP leżał w pobliżu linii granicznej między tak zwaną „Polską A” i „Polską B”. W ówczesnej terminologii tak określano w sensie gospodarczym i społecznym zachodnią i wschodnią część Rzeczypospolitej. Połączenie zachodnia — „Polska A” — zajmowała około jednej trzeciej całości terytorium państwowego i zamieszkiwało ją 52 % ludności. Natomiast znajdowało się na niej aż 92 % przemysłu. Układ ten był, rzecz jasna, pozostałością po zaborach i wymagał doprawdy radykalnej zmiany, gdyż bez niej trudno było nawet myśleć o względnie harmonijnym rozwoju całego kraju.

Na obszarze objętym COP-em mieszkało 5 i pół miliona ludzi, z których co najmniej 15 % można było zatrudnić w przemyśle bez żadnego uszczerbku dla już istniejącej produkcji, czy to przemysłowej, czy przede wszystkim rolniczej. Do roku 1939 zbudowano na obszarze COP-u i uruchomiono ponad 100 zakładów przemysłowych. W przygotowaniu było uruchomienie ponad 300 dalszych. Wybudowano gazociąg z Zagłębia Krośnieńskiego, rozpoczęto pracę nad rurociągiem naftowym z Zagłębia Borysławsko-Drohobyckiego. Uruchomiono elektrownię w Rożnowie. Wszystko w ciągu 4 lat. Lista jest zbyt długa, by ją

tu cytować. Wspomnę więc tylko jeszcze o nazwie nieomal symbolicznej dla rozwoju gospodarczego Polski przed wojną, choćby dlatego, że stanowiła przedmiot dumy i entuzjazmu całego społeczeństwa, równający się chyba uczuciom, jakie budziło inne wielkie dzieło powstałe ze współudziałem Eugeniusza Kwiatkowskiego — port i miasto Gdynia. Nazwa ta to Stalowa Wola, ogromny jak na owe czasy kombinat metalurgiczny.

Wysiłki i powodzenia w dziedzinie rozbudowy przemysłu zawdzięczała Polska drugiej połowy lat trzydziestych polityce inwestycyjnej Kwiatkowskiego. Podtrzymywały one w Polsce pomyślną koniunkturę rozbudowy i unowocześnienia produkcji. Co nie mniej ważne, miały zbawienne skutki psychologiczne, stwarzając i podtrzymując atmosferę zaufania i wiary we własne siły. W położeniu międzynarodowym było to zjawisko ważne politycznie, a w stosunkach wewnętrznych wpływało korzystnie na zrozumienie konieczności przebudowy społecznej, którą Kwiatkowski stale miał w pamięci jako cel i warunek zarazem przebudowy gospodarczej Polski.

III

Spółeczeństwo polskie posiadało już w tych latach umiejętność trzeźwej oceny rzeczywistości. Nie popadało więc w zachwyt nad tym, co już zdołało osiągnąć, i nie przyjmowało bynajmniej gospodarczej polityki rządu bezkrytycznie. Krytyk było wiele. Zapełniały łamy prasy opozycyjnej. Ostrze krytyki kierowało się przeciwko „etatyzmowi”, którym to mianem określano ogólny kierunek polityki gospodarczej Eugeniusza Kwiatkowskiego. Określenie to było nieporozumieniem. Tak zwany „etatyzm” ograniczyć by można do formalnego tytułu własności, jaki przejęło lub nabyło państwo w przedsiębiorstwach przemysłowych, nie zamieniając ich jednak w niezdarną strukturę biurokratyczną. Przedsiębiorstwa państwowe prowadzone były na zasadach handlowych i fakt, że ich właścicielem było państwo, nie wpływał w niczym na charakter operacji. Oczywiście państwo jako właściciel było lepszym gwarantem dla każdego kredytodawcy, mogło też w razie potrzeby przeznaczyć większe sumy z własnego budżetu państwowego na inwestycje. Niemniej inwestycje te stanowiły zadłużenie przedsiębiorstw państwowych w stosunku do

Skarbu Państwa, zadłużenie, które należało spłacać, chociażby nawet na dogodnych warunkach. Zaangażowanie się Skarbu Państwa w finansowanie przedsiębiorstwa państwowego nie było więc wcale równoznaczne z pokrywaniem deficytu. Owszem, w kilku wypadkach trzeba było deficyt taki pokrywać w stosunku do poczt i telegrafów, lecz był on wynikiem nie złej gospodarki, tylko koniecznych modernizacji, w których państwo swemu przedsiębiorstwu postanowiło dopomóc, bez nadmiernego obciążania jego przyszłej gospodarki obowiązkiem spłaty kredytu.

Podobnie układały się stosunki w tych przedsiębiorstwach przemysłowych, w których państwo nabyło większość udziałów bądź to bezpośrednio, bądź też pośrednio przez poszczególne swe resorty lub za pośrednictwem banków państwowych.

„Etatyzm” tak pojęty nie polegał wcale na chęci przejścia gestii produkcyjnej przez państwo, był tylko jednym z elementów interwencjonizmu państwowego, który stanowił rdzeń i podstawową zasadę polityki gospodarczej Polski tego okresu. Interwencjonizm, stosowany konsekwentnie przez Kwiatkowskiego, opierał się na trzech założeniach, które były odpowiednikami tych potrzeb, bez których zaspokojenia rozwój gospodarczy Polski byłby niemożliwy. Interwencjonizm był więc sposobem realizacji długofalowego i kompleksowego planowania gospodarczego na szczeblu państwowym. To było jego pierwsze założenie. Drugim był zamiar przyspieszenia rozbudowy rynku wewnętrznego, czyli stworzenia tak silnej bazy konsumpcyjnej we własnym kraju, by fluktuacje rynku międzynarodowego nie dyktowały warunków życia w Polsce. Kwiatkowski określał to wyraźnie i jawnie jako zmniejszenie doniosłości handlu zagranicznego. Nie znaczy to oczywiście, by Polska mogła lekceważyć zagadnienia eksportowe, chociażby dlatego, że zależna była i być musiała od importu zarówno surowców, jak i na długi jeszcze czas wielu towarów przemysłowych. Stąd dbałość o zbilansowanie wywozu, które zresztą udawało się na ogół osiągnąć. Dla pełni obrazu dodać tu należy, że na tym odcinku pozostawał Kwiatkowski i inni działacze gospodarczy w Polsce pod wpływem powszechnych wówczas w Europie dążeń do autarkii gospodarczej.

Trzecie założenie interwencjonizmu polegało na konieczności zmniejszenia zależności od kapitałów zagranicznych zainwestowanych w Polsce. Na tym polu przejmowanie udziałów przez państwo, zawsze z zamiarem uzyskania większości w kapitale akcyjnym, choć nazywano je także „etatyzmem”, dawało doskonałe rezultaty, skoro na krótkiej przestrzeni niecałych czterech lat

udało się zmniejszyć udział kapitału zagranicznego we własności przemysłu o prawie 8 %. Pochodną tego działania była akcja zatrzymywania w Polsce zysków kapitału zagranicznego z przeznaczeniem ich na inwestycje.

Największe z zainwestowanych w Polsce były kapitały francuskie (trochę poniżej 300 milionów złotych), dalej niemieckie (nieco ponad 140 milionów) i wreszcie amerykańskie (około 50 milionów). Ogólna suma zainwestowanych w Polsce kapitałów zagranicznych wynosiła około 550 milionów złotych. Oczywiście łączna wartość kapitału zagranicznego czynnego w polskim życiu gospodarczym była znacznie wyższa, gdyż obejmowała wierzytelności, pochodzące także z narastających odsetków, oraz duże sumy kapitałów obrotowych, nieuchwytnych w dostępnych statystykach. Wykupywanie przez państwo kapitału lub wierzytelności zagranicznych nie było sprawą łatwą, jak widać na przykładzie wykupu 80 milionów wierzytelności niemieckich za cenę dostaw węgla, obliczonych na 11 lat. I to wówczas, gdy wierzytelności Polski w Niemczech, głównie z tytułu opłat tranzytowych przez Pomorze oraz innych rozrachunków, sięgały sumy 220 milionów.

Pomimo to rezultaty były, jak już powiedzieliśmy, dobre, zważywszy krótki okres czasu. Przede wszystkim dlatego, że Polska przestała być uzależniona od zagranicznych ośrodków dyspozycji kredytowych. Gdy jeszcze u końca lat dwudziestych, przy dobrej koniunkturze gospodarczej i w Polsce i w całym świecie, można było mówić, chociaż z pewną przesadą, że decyzje o rozwoju i kierunku działalności gospodarczej polskiego przemysłu zapadają *de facto* w Paryżu, Brukseli, Zurychu czy nawet Berlinie, to pod koniec lat trzydziestych mógł już napisać Ignacy Matuszewski w swej książce „Próby syntez”, że chociaż samowystarczalność gospodarcza jest dla Polski nieosiągalna, to jednak samodzielność jest lub będzie w najbliższym czasie osiągnięta. Należy to rozumieć w ten sposób: decyzje o rozwoju i kierunku życia gospodarczego należą do Polski, a ściślej — dzięki interwencjonizmowi — do państwa polskiego. Kapitał zagraniczny zamiast dyktować musi się ubiegać o względy w Polsce czyli — inaczej mówiąc — pilnować swoich interesów w tych ramach i w tym zakresie, jakie państwo polskie uzna za dopuszczalne, przy czym ocena tej dopuszczalności zależna jest ściśle od interesu polskiego.

W tym też świetle rozpatrywać należy starania państwa polskiego o zdobycie nowych kredytów inwestycyjnych z zagranicy. Warunkiem podstawowym było uznanie przez ewentualnego kredytodawcę właśnie nie czego innego, tylko samodzielności

gospodarczej państwa polskiego, polegającej na tym, że ono będzie decydować, na jaki cel i w jaki sposób uzyskany kredyt zostanie użyty. Wierzyciel zagraniczny uzyskiwał jedynie gwarancję zainwestowanych pieniędzy i zysków w wysokości z góry ustalonej i — dodajmy — niezbyt atrakcyjnej. Było to przeszkodą bardzo wielką, chociaż Polska miała dobrą opinię jako jedyne poza Finlandią państwo w Europie, które nie zawiesiło obsługi długów zagranicznych. W ostatnich czterech latach przed drugą wojną światową udało się uzyskać właściwie tylko dwie poważniejsze pożyczki zagraniczne: jedną z Anglii w wysokości nieco ponad 100 milionów złotych i przeznaczoną na cele inwestycyjne, głównie na elektryfikację kraju, oraz drugą we Francji, na rozbudowę przemysłu zbrojeniowego. Francja przyznała ją Polsce w czasie oficjalnej wizyty marszałka Śmigłego-Rydza we wrześniu 1936 roku w czasie rozmów w Rambouillet. Kredytów materiałowych Francja nie dostarczyła, wskutek trudności własnego przemysłu zbrojeniowego. Natomiast kredyt pieniężny w wysokości 200 milionów franków został Polsce dostarczony. Jego wartość jednak zmalała znacznie, gdyż po niespodziewanym odejściu Francji od standardu złota wartość franka spadła o prawie jedną trzecią.

Poświęcę nieco więcej miejsca na omówienie, oczywiście w bardzo ogólnym zarysie, zagadnień związanych z rolą kapitału zagranicznego, czy to w postaci istniejących już inwestycji, czy też pożyczek docelowych, między innymi i po to, by uprzytomnić fakt o kapitalnym znaczeniu, gdyż stanowi on podstawę oceny polityki gospodarczej Eugeniusza Kwiatkowskiego. Fakt ten jest bardzo prosty: Polska mogła przeprowadzić celowy plan inwestycyjny w oparciu przede wszystkim o własne możliwości finansowe. Udział zagranicy miał drugorzędne, jeśli nie trzeciorzędne znaczenie. Jest to tym bardziej godne uwagi, że międzynarodowy kryzys gospodarczy dotknął Polskę, tak jak wszystkie kraje biedne, w sposób bardzo bolesny. Wydobywając się z niego, Polska nie ograniczyła się do zaleczania ran ani do łatania dziur, tylko przystąpiła od razu do planowanego rozwoju obliczonego na długą metę. W rzeczywistości, jak już wspomnieliśmy, plan inwestycyjny był dopiero wstępną fazą planów przygotowywanych przez Kwiatkowskiego.

W roku 1937 wystąpiła też potrzeba zmian w dotychczasowej deflacyjnej polityce walutowej, by ułatwić wykonanie planu inwestycyjnego. Zmiany te pomyślane były bardzo ostrożnie. W pewnej mierze na ich wprowadzenie wpłynęła koncepcja profesora Adama Krzyżanowskiego, ekonomisty niechętnego zresztą

Kwiatkowskiemu, gdyż pomawiał go o zbytne ryzykanctwo. Krzyżanowski jednak, podobnie jak Kwiatkowski, był przeciwnikiem środków inflacyjnych. Bał się ich z tych samych przyczyn, z jakich bało się ich całe społeczeństwo, przekonane, że inflacji nie da się utrzymać w ryzach i nie da się nią pokerować. Krzyżanowski chciał jednak pewnych korektur w polityce deflacyjnej, głównie z tego powodu, że niepokoiła go zbyt mała ilość pieniędzy w obrocie wewnętrznym. Proponował więc uelastycznienie kursu złotego przez stopniowe zmniejszenie proporcji pokrycia w złocie i w dewizach. Kwiatkowski postąpił trochę inaczej. Wbrew Krzyżanowskiemu wprowadził kontrolę dewizową, lecz zgodnie z jego radą zwiększył nieznacznie ilość banknotów emitowanych przez Bank Polski, zwiększając jednocześnie w sposób bardzo poważny monetę zdawkową czyli bilon. W roku 1937 na miliard 400 milionów złotych w obrocie w banknotach Banku Polskiego było już w obiegu około pół miliarda bilonu. Warto na marginesie dodać, że w roku 1938 odbyły się w Polsce dwa tak zwane „runy” na banki. Oba, co nie było tajemnicą, zostały sprowokowane przez banki i instytucje przemysłowe niemieckie, działające na terenie Polski. Miały podważyć zaufanie do złotego. W pewnej mierze osiągnęły ten, chwilowy zresztą, skutek na rynkach zagranicznych. Natomiast w kraju panika przyjęła obrót raczej dziwny. Mianowicie zaczęto gromadzić właśnie bilon i to srebrny, chociaż zawartość srebra w monetach wynosiła jedynie skromny ułamek wartości nominalnej. „Runy” te nie wywarły żadnego wpływu na rzeczywiste położenie gospodarcze kraju.

Innym obok bicia bilonu sposobem ożywienia obrotu pieniężnego była konwersja kilku wewnętrznych pożyczek krótkoterminowych, połączona z systemem premiowania. Pożyczki wewnętrzne były popularne i przyczyniły się poważnie do upłynnienia środków kapitałowych w Polsce.

W sumie więc bilans gospodarczy czterech ostatnich lat przedwojennych nie wypadł ujemnie.

W roku 1937 zdecydował się też Kwiatkowski na bardzo ważny krok właśnie w rolnictwie. Ogłoszony został zakaz eksportu zboża. Zarządzenie to miało zmusić rolnictwo do przerzucenia się w jak największej mierze na produkcję hodowlaną. Był to eksperyment ryzykowny i podniosła się wrzawa, że zakaz eksportu obniży po prostu ceny zboża na rynku wewnętrznym i zamiast pomóc rolnictwu, zaszkodzi. Udało się tego uniknąć przez zręczną kontrolę cen, którą stosowano do chwili, gdy udział procentowy gospodarki hodowlanej pochłoniął zbędne dla rynku konsumpcyjnego nadwyżki zbożowe.

Położenie rolnictwa było zagadnieniem kluczowym. W ostatnich latach przed wybuchem wojny rozwój przemysłu postępował rażniej niż przewidywał pierwszy plan inwestycyjny Kwiatkowskiego. Być może, że to właśnie skłoniło go do objęcia — wcześniej niż zamierzał — planowaniem gospodarczym rolnictwa, które dotychczas z konieczności ustępowało pierwszeństwa innym działom gospodarki. Odgrywały też rolę inne względy — wbrew przewidywaniom poprawa sytuacji ogólnej, a zwłaszcza większa płynność środków inwestycyjnych, zaznaczyła się pozytywnie także w rolnictwie, szczególnie w rolnictwie uprzemysłowionym. Natomiast pod względem społecznym wieś czuła się upośledzona i dawała temu wyraz na arenie politycznej. Niebezpieczne więc było odkładać starania o poprawę jej losu aż do momentu osiągnięcia pierwszego stadium planowanego rozwoju przemysłowego.

ROLNICTWO W KOŃCU LAT TRZYDZIESTYCH

Zakaz eksportu zboża wbrew pesymistycznym przewidywaniom nie spowodował obniżki cen. Natomiast już w ciągu następnego roku zwiększyła się podaż mięsa, co odbiło się także na handlu eksportowym. Zdobyto nowe cenne rynki zbytu w Anglii i w Skandynawii, przede wszystkim na wieprzowinę w różnych postaciach. Operacja tak ryzykowna została więc uwieńczona powodzeniem. Tym większym, że w roku 1938 wyprodukowano o ponad milion kwintali zboża mniej, produkując zamiast niego paszę dla bydła. Przerzucenie ciężaru produkcji eksportowej na hodowlę dało też silny i potrzebny impuls przemysłowi przetwórczemu, dotychczas stojącemu w Polsce na bardzo prymitywnym poziomie.

Niemniej błędem by było utrzymanie cen zboża przypisywać tylko tym czynnikom. Ważniejszy był fakt, że siła nabywczą całej Polski nierolniczej, przede wszystkim robotników, wzrosła już tak bardzo, że skierować można było zarówno nadwyżkę zboża, jak i nowe zapasy mięsa na rynek wewnętrzny.

W tym miejscu dotykamy bardzo ciekawego i ważnego zagadnienia, które często bywa pomijane w opracowaniach i opisach tego okresu historii Polski. Rzecz polegała na tym, że pomimo tragicznego spadku opłacalności produkcji rolnej w latach kryzysu

gospodarczego między rokiem 1929 i 1934 rolnictwo polskie wytwarzało w tymże okresie tę samą nieomal ilość zboża, mięsa, nabiału, kartofli, a także surowców przemysłowych takich jak len, wełna lub konopie, co w okresie dobrej koniunktury poprzedzającej kryzys. Wytwarzało te same ilości, otrzymując za nie niewiele więcej niż jedną trzecią poprzedniego zarobku. Skutek dostatecznych dostaw taniej żywności był bardzo istotny dla całej polskiej gospodarki. Gdy w roku 1936 nastąpił rozwój produkcji przemysłowej, można go było planować i przeprowadzać bez podwyższania w sposób wyraźny kosztów robocizny w przemyśle. Nawet obniżone w latach kryzysu płace robotnicze, a także zmniejszone pensje urzędnicze oraz spadek dochodów z handlu i z pośrednictwa nie powodowały niedostatku żywności w miastach i ośrodkach przemysłowych. Właściwa i trafna analiza tego zjawiska była też zapewne jednym z elementów decyzji prowadzenia polityki deflacyjnej. Innymi słowy, dzięki rolnictwu można było w Polsce wyzyskać w pełni tanią siłę roboczą. Był to czynnik podstawowy w ogólnej kalkulacji cen towarów przemysłowych. Tym ważniejszy, że poza robocizną wszystko było w Polsce względnie drogie, gdy chodzi o zasadnicze składniki kalkulacji produkcji przemysłowej. Drogi był w Polsce kredyt, drogi w porównaniu z wskaźnikami innych cen był transport, wysokie też były obciążenia podatkowe, co było koniecznością z uwagi na to, że budżet państwowy, obok wydatków konsumpcyjnych, musiał także obsługiwać zadłużenie państwa oraz gromadzić środki inwestycyjne.

Duże też w zestawieniu z ilością pieniądza w obrocie i kosztami kredytu były obciążenia pracodawców z tytułu ubezpieczeń i świadczeń społecznych. Stały one na wysokim poziomie i nawet lata kryzysu gospodarczego nie wpłynęły zbyt mocno na obniżenie tych świadczeń. Pod tym względem położenie gospodarcze nie wpłynęło ujemnie na tradycję przyznawania pierwszeństwa świadczeniom socjalnym nad wieloma innymi wydatkami państwowymi. Tradycję tę zapoczątkowano już w pierwszym miesiącu niepodległości i nie zaniedbano jej aż do wybuchu drugiej wojny światowej. System ubezpieczeń społecznych był w Polsce bardzo — jak na owe czasy — nowoczesny i postępowy. A jednak i tu rolnictwo ponosiło dodatkowy ciężar. Po pierwsze, odstąpić musiano od zastosowania w całej rozciągłości dobrodziejstw systemu ubezpieczeń społecznych w stosunku do robotników rolnych. Po drugie, co może ważniejsze, koszt ubezpieczeń społecznych przemysł wkalkulowywał w ceny towarów, na czym rolnictwo nic nie zyskiwało. Przeciwnie, kupując towary

przemysłowe, opłacało tym samym w pewnym stopniu koszty systemu ubezpieczeń społecznych, z których nie korzystało w ogóle albo korzystało w minimalnym stopniu.

Nie można więc rozpatrywać imponującego pod niejednym względem rozwoju przemysłu w drugiej połowie lat trzydziestych, podobnie jak ogólnej poprawy położenia gospodarczego, nie pamiętając o ogromnym, choć pośrednim, wkładzie rolnictwa polskiego. Wkład ten polegał przede wszystkim na dostarczaniu taniej żywności, bez której nie byłaby możliwa tania produkcja przemysłowa.

Natomiast w mniejszym stopniu w krótkim przedwojennym okresie poprawy gospodarczej uczestniczyć mogło rolnictwo w rozbudowie konsumpcyjnego rynku wewnętrznego. Wystarczy wspomnieć cyfrę inwestycji w maszyny rolnicze w latach 1937-1938. Osiągnęła ona zaledwie 30 % sumy inwestowanej w modernizację rolnictwa w roku 1928. W latach kryzysu proporcja ta spadła do 8 %. Dodać jednak trzeba, że tendencja zwyżkowa była w tym dziale gospodarki bardzo wyraźna, tak że przewidywano osiągnięcie poziomu z roku 1928 już na rok 1941. O wiele ciekawsza i wiele mówiąca jest inna cyfra. Mianowicie między rokiem 1935 a 1938 wskaźniki globalnej produkcji rolnej na głowę ludności całego kraju ustaliły się w pobliżu 95 % stanu z roku 1929. Potrzebna tu jest dodatkowa korektura. Otóż w ciągu tych kilku lat wzrosła liczba ludności zatrudnionej w rolnictwie. Wzrosła nie w stosunku absolutnym, to znaczy w porównaniu z ludnością całego kraju, lecz w praktyce, co należy tak rozumieć, że na tej samej ilości gruntów uprawnych pracowało trochę więcej ludzi. Liczba nieproduktywnych mieszkańców wsi zależała, rzecz jasna, od postępu modernizacji produkcji rolnej, a także — i przede wszystkim — od odpływu tej nadwyżki siły roboczej do przemysłu lub ogólnie do miast. Odpływ ten był bardzo powolny. W cyfrach absolutnych zmiana struktury ludnościowej Polski wyraziła się między rokiem 1920 a 1938 zmniejszeniem się liczby ludzi zamieszkujących na wsi z 68 % do 63 %. Określenie „mieszkający na wsi” nie odpowiadało pojęciu „pracujący na roli”. Otóż „pracujących” na roli czy w rolnictwie było w roku 1921 około 54 %, a w roku 1938 nieco ponad 51 %. Reszta znajdowała lub nie znajdowała pracy w wiejskim rzemiośle, handlu i usługach. Uwzględnić tu trzeba bardzo nieznaczną liczbę ludzi, których dziś nazywamy chłoporobotnikami.

Załatwienie problemu, jak to powszechnie nazywano, „wsi

polskiej" zależało rzecz jasna od wzrostu uprzemysłowienia kraju. W tym względzie dopiero druga połowa lat trzydziestych przyniosła pierwsze próby planowania na szczeblu państwowym czy ogólnokrajowym. Dotychczas odpływ nadwyżki siły roboczej ze wsi do przemysłu odbywał się bez ingerencji państwa i zależał od fluktuacji koniunktury gospodarczej. Dopóki trwało bezrobocie w przemyśle, trudno było myśleć o zmniejszeniu bezrobocia w rolnictwie, obojętnie, czy było to bezrobocie jawne czy ukryte. Dopiero polityka inwestycyjna Kwiatkowskiego pozwalała na jakieś planowanie z możliwością osiągnięcia poważniejszych skutków. Ilustracją czy dowodem najważniejszym i najbardziej oczywistym był plan budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego. Było to już coś, skoro się zważy, że COP w pierwszym początkowym stadium swego powstawania zatrudnił około 100 tysięcy nowych robotników, pochodzących z okolicznych wsi.

Drugim sposobem poprawy położenia wsi polskiej była oczywiście reforma rolna. Dla wielu, i to nie tylko w pierwszych latach istnienia Rzeczypospolitej, ale i później, sposób ten wydawał się najważniejszy, jeśli nie jedyny. Zagadnienie naprawdę czołowe w całokształcie życia państwa polskiego! Zagadnienie nie tylko gospodarcze, lecz także, jeśli nie przede wszystkim, społeczne i polityczne. I te dwa aspekty zaciemniały nieraz względy ściśle produkcyjne. Chłopu polskiemu należała się reforma rolna, był to aksjomat polityczny i społeczny, a jednocześnie kryterium sądu o polityce poszczególnych rządów i całej działalności państwa. W ciągu całego dwudziestolecia niepodległości rozparcelowano 2 miliony 650 tysięcy hektarów. Parcelacja postępowała z różnym nasileniem. W roku 1935 przeznaczonych na parcelację był jeszcze milion 300 tysięcy hektarów. Do roku 1939 zdołano z tego rozparcelować nieco ponad 500 tysięcy. Chociaż więc nie przeprowadzono parcelacji na około 800 tysiącach hektarów, w roku 1939 gospodarstwa chłopskie bardzo małe, małe i średnie obejmowały 80 % ziemi uprawnej w Polsce. Cyfrą zamierzoną było około 92 %. Reszta nie była przewidziana do parcelacji — z różnych względów, przede wszystkim w wypadkach wysoko uprzemysłowionych wielkich majątków. Pojęcie „wielki” jest raczej względne, gdyż jako maksimum w różnych okolicach przewidywano od 180 do 300 hektarów. W ostatnich latach Drugiej Rzeczypospolitej Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach opracowywał nowy plan ustalający maksimum jednostkowego gospodarstwa na 60 hektarów. Lecz reforma rolna nie polegała tylko na parcelacji. Po to, by chłop mógł się na tym gospodarstwie utrzymać, potrzebne było ustalenie

minimum obszaru oddanego mu pod uprawę. W tym względzie panował chaos, będący wynikiem z jednej strony obiektywnych warunków w określonej okolicy, a z drugiej bardzo trudnego do rozwikłania schematu zasiedlenia wsi, który nie ulegał żadnym reformom i żadnej naprawie przez cały czas rozbiorów, przynajmniej w zaborze rosyjskim i austriackim. Gospodarstw karłowatych, też rozmaicie wycenianych, było około 9 %. Lecz gospodarstw racjonalnych o obszarze — znowu w zależności od warunków lokalnych — od 5 do 20 hektarów było zaledwie procent dwadzieścia kilka. Według obliczeń tegoż instytutu w Puławach, posiadanym zapasem ziemi można było upełnorołnić około 60 % ludności zamieszkałej na wsi. A ponieważ było jej w roku 1938 ponad 17 milionów, pozostałaby nadwyżka około 7 milionów, która w miarę modernizacji rolnictwa stawiałaby się w sposób coraz bardziej oczywisty nieprodukcyjna w sensie gospodarczym.

Czynników hamujących parcelację i komasację gruntów było bardzo wiele. Względy polityczne, którym przypisuje się nadmierną wagę, były w rzeczywistości drugorzędne, zwłaszcza w drugiej połowie lat trzydziestych. Ważniejsze były względy gospodarcze. Reformę rolną można było przeprowadzić tylko przy gwarancji utrzymania produkcji rolnej przynajmniej na dotychczasowym poziomie. To z kolei wymagało pomocy finansowej, na którą nie zawsze państwo było stać. Nowe gospodarstwa wymagały nowych zabudowań, nowych maszyn i jakiegoś kapitału obrotowego. Likwidacja przeludnienia wsi w znaczeniu po prostu mieszkaniowym wymagała także sporych sum na budownictwo. Wreszcie regulatorem tempa parcelacji były możliwości wypłacania odszkodowań dotychczasowym właścicielom i, chociaż ich wysokość i terminy określano raczej oględnie, w niektórych latach ani budżet państwa, ani Bank Rolny nie dysponowały wystarczającym funduszem. Potrzeba też było dużych nakładów i dużego wysiłku organizacyjnego dla doszkolenia zawodowego nowych gospodarzy. Zwłaszcza przy położeniu nacisku na gospodarkę hodowlaną rozdrobnienie kryło w sobie wiele ryzyka, a niekiedy stwarzało trudności nie do pokonania. Nawet interesy przemysłu cukrowniczego, tak ważnego w polskim eksporcie, nakazywały ostrożność przy dzieleniu wielkich obszarów przeznaczonych na uprawę buraków na małe lub tylko mniejsze działki. Wszystkie te względy, a przede wszystkim obawa przed chaosem aprowizacyjnym, przemawiały przeciwko dokonaniu reformy rolnej w sposób radykalny, bez oglądania się na skutki gospodarcze.

Rzeczą charakterystyczną, jeśli chodzi o położenie rolnictwa

w Polsce w okresie wykonywania pierwszego planu inwestycyjnego, był dość luźny związek między wydajnością produkcji rolnej i zwiększeniem potencjału nabywczego ludności zawodowo czynnej w rolnictwie a postępami reformy rolnej i odpływem nadwyżki wiejskiej siły roboczej do przemysłu. Produkcja pomimo wstrząsów powodowanych parcelacją wzrastała stale i tylko temu zawdzięczali rolnicy powolne gromadzenie nadwyżek pieniężnych, gdyż, jak widzieliśmy, nie następował wzrost cen produktów rolnych. Szczupłe zresztą dane statystyczne pozwalają nam wycenić, że między 1935 i 1939 rokiem wieś polska mogła wydawać o mniej więcej 25 % więcej na swe potrzeby konsumpcyjne, stwarzając jednocześnie pewną rezerwę na inwestycje, gromadzoną przy pomocy instytucji oszczędnościowych. Był to więc postęp znaczny, gdyż w pierwotnym założeniu planu inwestycyjnego wyznaczono sobie cel skromniejszy, mianowicie zwyżkę konsumpcji o 10 %, co prawda w skali całego kraju.

PROBLEMY SPOŁECZNE

W drugiej połowie lat trzydziestych przekroczony został pierwszy stopień przebudowy Polski w państwo przemysłowe. Druga wojna światowa proces ten — rzecz jasna — przerwała. Oceniać więc możemy rezultaty tylko w oparciu o rzeczywiste dokonania do jesieni roku 1939, pamiętając jednak przy tym, że nierównomierny rozwój poszczególnych gałęzi gospodarki był w dużej mierze wynikiem zamierzonego działania. Dano świadomie pierwszeństwo inwestycjom w przemyśle, faworyzując szczególnie produkcję środków wytwórczych, to znaczy narzędzi i maszyn. Warto tu może dodać na marginesie, że jednym z działów gospodarki narodowej, na którego rozwój nie szczerdzono nakładów kapitałowych nawet w tragicznie ciężkich latach kryzysu, była elektryfikacja kraju. Zrobiła też bardzo duże postępy, tak duże, że wskaźnik energetyczny z tego źródła pomnożył się pięciokrotnie w ciągu lat trzydziestych. Nie od rzeczy też będzie dodać, że poszukiwano przede wszystkim naturalnych źródeł energii elektrycznej i tym samym obciążano tylko w bardzo nieznacznym stopniu produkcję węgla na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. Siłownie powstawały w oparciu

o zapory wodne na Podkarpaciu i w górzystych okolicach województwa pomorskiego.

Inwestycje w rolnictwie i wiążąca się z nimi ogólna poprawa położenia ludności zawodowo czynnej w rolnictwie pojawiły się jednak wcześniej niż zamierzano, co było także jednym z dowodów rozmachu planowej gospodarki.

Odcinkiem życia kraju, na którym najłatwiej dostrzec można skutki poprawy położenia gospodarczego, jest oczywiście rynek pracy. W Polsce przed drugą wojną światową zagadnienie to rozpatrywać należy osobno, gdy chodzi o przemysł i usługi, a osobno, gdy chodzi o rolnictwo. Styczną między tymi dwiema dziedzinami znaleźć można w cyfrach obrazujących odpływ nadwyżki ludności rolniczej, w sensie gospodarczym nieproduktywnej, na nowe stanowiska pracy w przemyśle lub — powiedziawszy ogólniej — w skupiskach miejskich. Mówiąc o rolnictwie polskim w tym okresie, dostrzegliśmy tego rodzaju odpływ. Był bardzo niewielki, lecz wskazywał na zdrową tendencję, w dodatku o stale przyspieszającym się tempie.

Ogólnie przybywało w Polsce co roku około 200 tysięcy ludzi w wieku zdolności do pracy, to znaczy między piętnastym i sześćdziesiątym rokiem życia. Przyrost ten był szybszy niż przyrost naturalny. Ludność Polski powiększała się między 1935 i 1939 rokiem w tempie rekordowym w porównaniu z bogatymi krajami Europy. Przybyło jej w ciągu czterech lat ponad 8 %. Natomiast ludności zawodowo czynnej — to znaczy zdolnej do zatrudnienia — przybyło prawie 11 %. W tym też świetle należy rozpatrywać liczby zarejestrowanych bezrobotnych. Było ich w 1935 roku nieco ponad 380 tysięcy, a w 1938 o 30 tysięcy mniej. Nie te 30 tysięcy jednak wskazuje na wzrost zatrudnienia, lecz owych 800 tysięcy, o które zwiększyła się liczba ludności, zdolnej do podjęcia pracy. Wskazywało to więc na bardzo wielki, jak na ówczesne możliwości polskie, wzrost popytu na pracę. Poprawa ta była wyraźna już w roku 1936 i — co było także bardzo istotne — wzrastał stale popyt na kwalifikowaną siłę roboczą, w dużym stopniu w hutnictwie, w przemyśle maszynowym, w przemyśle lekkim, w mniejszym znacznie stopniu w górnictwie, a w największym w nowych działach przemysłu albo w takich, gdzie z każdym rokiem przybywało zupełnie nowych zakładów pracy, a więc w przemyśle chemicznym, elektrotechnicznym i w niektórych gałęziach przemysłu metalurgicznego. Ważne są także orientacyjne zresztą tylko dane ilustrujące migrację ze wsi do miasta. Jak już wspomnieliśmy, ludność zamieszkała i w jakimś stopniu utrzymująca się z pracy po wsiach zmniejszyła się

w całym dwudziestoleciu o mniej więcej 1,5 %. W skali rzeczywistych potrzeb ówczesnej Polski było to bardzo mało. Według badań Instytutu Gospodarstwa Społecznego, właściwe wprowadzenie polskiej struktury gospodarczej na bezpieczne wody wymagało wówczas zmniejszenia proporcji ludności zatrudnionej w rolnictwie do ludności czynnej zawodowo gdzie indziej z 61 % do 50 %. Cel ten był jeszcze bardzo odległy, lecz rozwój gospodarki szedł niewątpliwie w tym kierunku. Oznaczało to także, że ledwo co zaczęta przebudowa struktury agrarnej opierała się w zasadzie na zdrowych założeniach, gdyż mogła grozić tylko chwilowymi i o marginesowym znaczeniu zaburzeniami produkcji rolnej. Sytuacja aprowizacyjna nie ulegała pogorszeniu, pomimo stopniowej parcelacji wielkiej własności, a w miarę wzrostu wartości płac realnych w przemyśle, usługach i ogólnie w ośrodkach miejskich nawet się polepszała.

W roku 1939 wartość płac realnych była przeciętnie w Polsce wyższa o 43 % w porównaniu z rokiem 1928. Przeciętny budżet rodzinny wyrażał się po stronie wydatków sumą zwiększoną o około 30 %. Wzrost ten — rzecz jasna — układał się nierównomiernie w poszczególnych działach zatrudnienia: był najwyższy wśród robotników wysoko kwalifikowanych, a najniższy wśród robotników rolnych.

Przyjrzyjmy się pokrótce przeciętnej skali płac w poszczególnych działach gospodarki. Ogólnie mówiąc, w przemyśle przeciętna ta w roku 1938 wynosiła około 150 ówczesnych złotych miesięcznie. Z sumy tej wydatek na komorne wynosił przeciętnie od 20 % do 25 %, a na żywność około 35 %. Z reszty zaspokoić trzeba było wszystkie inne potrzeby. Wzrost wkładów oszczędnościowych — czy to w Pocztowej Kasie Oszczędności, czy w bankach komunalnych, czy wreszcie w najprzeróżniejszego rodzaju funduszach o przeznaczeniu społecznym — wskazywał na pozostawanie kilkuprocentowej nadwyżki. Nadwyżka ta była bardzo ważnym czynnikiem, a nawet i warunkiem powodzenia planowanego rozwoju gospodarczego całego kraju. Stanowiła bowiem źródło kapitałów inwestycyjnych z każdym rokiem ważniejsze w porównaniu z udziałem innych źródeł, takich jak Skarb Państwa, specjalne fundusze państwowe, kapitał napływający z zagranicy oraz nadwyżki zysków przedsiębiorstw przemysłowych, które pod kontrolą i naciskiem państwa także przeznaczano na inwestycje w poszczególnych zakładach pracy.

Wśród sześciusettyśięcnej rzeszy pracowników określanych jako umysłowi przeciętna zarobków miesięcznych układała się

około 250 złotych. Zaledwie 8 % pobierało uposażenie wyższe niż 300 złotych miesięcznie. Jako ciekawostkę, a może jako przykład małej rozpiętości nierówności społecznych w tej warstwie ludności warto pamiętać, że wśród urzędników państwowych i samorządowych łącznie z pracownikami umysłowymi przedsiębiorstw państwowych takich jak koleje czy poczta i razem z grupą oficerów najwyższych stopni w wojsku liczba otrzymujących więcej niż 700 złotych miesięcznie wynosiła w roku 1937 niespełna trzy i pół tysiąca osób. Cyfry te nie odnoszą się do przedsiębiorstw prywatnych, gdzie płace były z reguły wyższe, jak i oczywiście do dochodów przedstawicieli wolnych zawodów i nielicznej grupy właścicieli własnych przedsiębiorstw przemysłowych lub handlowych bądź majątków ziemskich. Natomiast w rzemiośle zarobki układały się podobnie jak wśród najemnych pracowników umysłowych, a tendencja wzrostu była, w zależności od okolicy kraju i charakteru wykonywanego rzemiosła, znacznie wolniejsza niż w przemyśle.

Zupełnie inaczej wyglądało położenie ludności pracującej na roli. Wśród niej odróżnić trzeba chłopów uprawiających własny kawałek ziemi, w dziewięćdziesięciu kilku przypadkach na sto tylko przy pomocy rodziny, od robotników rolnych zatrudnionych na większych gospodarstwach określanych często nazbyt szumnie jako obszarncze. Pod koniec lat trzydziestych przeciętna zarobku dla całego terytorium Polski wynosiła około 90 złotych miesięcznie. Lecz tu różnice były ogromne, i to dosłownie ogromne, w zależności od województwa. I tak w województwie poznańskim dniówka dla mężczyzny (także w zależności od wykonywanej funkcji i kwalifikacji) wynosiła od 3 i pół do 5 złotych. W województwach wschodnich często nie przekraczała pułapu 1,50 do 1,80 złotego dziennie. Bardzo komplikuje sprawę system tak zwanych ordynarii lub deputatów, wypłacanych niekiedy jako uzupełnienie płacy gotówkowej, a niekiedy jako jej część — w zbożu, w ziemniakach, często w węglu lub innym materiale opałowym. W okolicach zamożnych, a więc znowu w Wielkopolsce, te dodatki w naturze miały nieraz większą wartość realną niż by wynikało z obliczeń opartych o stawki robocizny. Zdarzało się jednak i tak, że ich wartość realna była mniejsza, co było wcale częstym zjawiskiem, na przykład w Białostockiem, gdzie zamiast węgla dawano torf. Dodatkową korekturę stanowiło często mieszkanie, dawane robotnikom zatrudnionym na stałe, zwykle z kawałkiem gruntu, przeznaczonym na ogród. W tych wypadkach robotnik rolny upodabniał się nieraz do chłopu na karłowatym gospodarstwie, z tym, że jego sytuacja

była lepsza. I wreszcie często, przy pracach sezonowych zwłaszcza, po prostu część zarobku lub dodatek do zarobku stanowiło gotowe wyżywienie.

Liczba robotników rolnych jest statystycznie dość trudna do ścisłego uchwycenia. Po pierwsze dlatego, że sezonowo na robotnika wynajmował się także chłop małorolny lub ktoś z jego rodziny. Drugą przyczyną jest fakt, że robotnicy rolni nie byli objęci ubezpieczeniami społecznymi, choć były pod tym względem sporadyczne raczej wyjątki. W każdym razie obliczano, że wynagrodzenie robotnika rolnego, jeśli go oceniać jako konsumenta w ogólnokrajowym układzie, było o 40, a może i więcej procent gorsze niż położenie robotnika w przemyśle. Zaznaczyć też trzeba, że w procesie migracyjnym czyli w przesuwaniu nadwyżki siły roboczej ze wsi do miasta, do przemysłu lub usług, grupa robotników rolnych brała znacznie mniejszy udział niż nadwyżka właściwej ludności chłopskiej.

Było to o tyle ważne, że wprowadzało dodatkową korekturę do wyceny nadwyżki siły roboczej na wsi. Od 11 milionów ludności zawodowo czynnej na wsi odliczyć trzeba było prawie półtora miliona robotników rolnych i dopiero od pozostałych 9 i pół miliona obliczać procent ludzi, których ubytek ze wsi nie wpłynąłby w poważnym stopniu na zmniejszenie produkcji rolnej. Procent ten dla całego kraju nigdy ściśle ustalony nie został, lecz bardzo wiarygodny szacunek wskazywał, iż wynosił zaledwie 5 % do 8 % w Poznańskim i na Pomorzu, a prawie 50 % w Krakowskim, Rzeszowskim i Kieleckim.

Inne, choć zbliżone do problemu bezprodukcyjnej lub produkcyjnie zbędnej nadwyżki ludności wiejskiej było zagadnienie liczby ludzi zdolnych do pracy, którzy w istniejących ogólnych warunkach produkcyjnych nie mogli znaleźć zatrudnienia. Liczba zarejestrowanych bezrobotnych — w roku 1938 było ich nieco ponad 350 tysięcy — odpowiedzi na to pytanie nie dostarcza. Nie tylko z uwagi na konieczne poprawki w dół, uwzględniające ludzi zmieniających w danej chwili pracę, lecz także dlatego, że liczba ta nie obejmowała młodzieży ubiegającej się o pierwszą w ogóle pracę i nie uwzględniała nikogo, kto nie miał prawa do opieki społecznej. A więc większości niezatrudnionych robotników rolnych. Nie obejmowała także tych wszystkich, którzy nie mając pracy z jakichkolwiek powodów zaniedbywali rejestracji.

Liczyby wskazujące proporcje rzeczywiście niezatrudnionych z masy 17 i pół miliona zawodowo czynnych obywateli uszeregowane zostały najbardziej przekonywująco przez Jędrzeja Moraczewskiego w jego pracy „Rozważania nad położeniem politycz-

nym i gospodarczym Polski". Otóż na podstawie danych związkowych Moraczewski ustalił na rok 1938 liczbę ludzi zdolnych do pracy, a pracy pozbawionych, na 932 tysiące. A więc nieco ponad 5 % ogółu zdolnych do pracy. Była to liczba niepokojąca, stanowczo za wysoka, zwłaszcza jak na kraj na dorobku, nawet zważywszy ówczesne stosunki gospodarcze i teorie ekonomiczne w dziedzinie zatrudnienia. Miała jednak także inną wymowę, w zestawieniu z obliczoną również przez Moraczewskiego liczbą rzeczywistych bezrobotnych w roku 1936. Było ich wtedy 1.875.000.

W ciągu dwóch lat zatem nastąpił spadek niezatrudnionych z prawie 11 % do 5 %. Fakt ten, obok wzrostu płac realnych i braku zwwyżki cen żywności, jest chyba najwymowniejszą ilustracją poprawy materialnego położenia ludności Polski w krótkim okresie planowego zrywu gospodarczego z drugiej połowy lat trzydziestych.

INSTYTUCJE SAMORZĄDOWE

Jednym z częstych zarzutów wysuwanych przez opozycję w stosunku do rządów pomajowych w Polsce była nadmierna — jak się wydawało — centralizacja władz państwowych. Miano na myśli przede wszystkim władze administracyjne. Niemniej zarzutem tym obejmowano także centralizację decyzji gospodarczych. Tego rodzaju zastrzeżeń czy wątpliwości nie było, dopóki działalność gospodarcza państwa ograniczała się do ustalania i równowazienia budżetu państwowego oraz polityki walutowej. W drugiej połowie lat trzydziestych zakres działalności i zadań państwa został jednak w sposób wyraźny rozszerzony na sprawy gospodarki. Był to skutek polityki Eugeniusza Kwiatkowskiego, prowadzonej pod hasłem interwencjonizmu państwowego.

Nazwa ta już sama w sobie zawiera postulat centralnego planowania i centralnego nadzoru. Nie oznacza to wszakże bynajmniej konieczności skupiania wszystkich najdrobniejszych nawet decyzji w jednym ręku czy w jednym ośrodku centralnym. A jednak taki właśnie zarzut w Polsce wysuwano. Był to jak gdyby zarzut na wyrost, zarzut dyktowany obawą, że interwencjonizm zamieni się po pewnym czasie w ingerencję władz na

każdym szczeblu we wszystko, co dotyczy zagadnień gospodarczych, a więc także w sprawy świata pracy i w konkretne zagadnienia rynkowe, zarówno od strony produkcji jak i konsumpcji oraz handlu. Modna była wówczas w całej bodaj Europie dyskusja nad rzekomymi zaletami systemu nazywanego w naśladownictwie terminologii włoskiej korporacjonizmem. O wzorach włoskich dyskutowano w wielu krajach, nie zdając sobie często sprawy, że pozorne plusy organizacji świata pracy i opieki społecznej, jakie we Włoszech obserwowano, spletały się w nierozdzielną całość z systemem politycznym nie do przyjęcia przez żadne społeczeństwo przywiązane do demokracji. Łączono też zupełnie błędnie wzory korporacjonizmu włoskiego z reformami, doraźnymi zresztą, jakie w celu zwalczenia bezrobocia i kryzysu gospodarczego zastosował prezydent Roosevelt w Stanach Zjednoczonych pod nazwą *New Deal*. Natomiast doprowadzone do perfekcji ograniczenie swobody działania społeczeństwa obserwowano w Niemczech hitlerowskich i — rzecz jasna — obserwacje te stanowiły dla ogromnej większości Polaków nie zachętę, lecz ostrzeżenie.

Nie inaczej też na sprawy te patrzył Kwiatkowski, a także inni członkowie rządu czy wybitni przedstawiciele rządzącego Polską obozu politycznego. Kwiatkowski sam był zwolennikiem jak największego i jak najszerszego pojętego współudziału społeczeństwa w życiu i w planowaniu gospodarczym, a przynajmniej w jego stronie wykonawczej. Oznaczało to w praktyce potrzebę samorządu na wszystkich szczeblach i na wszystkich pionach życia publicznego. Tu jednak okazywało się, że spraw gospodarczych nie sposób było w ówczesnym układzie oddzielić od zagadnień ściśle politycznych. A w dziedzinie polityki wewnętrznej obóz Polską rządzący stał jak najdalej od koncepcji samorządowych. Przejawiało się to w próbach zorganizowania czegoś w rodzaju monopartii politycznej, związanej bezpośrednio z rządem i mającej służyć mu jako oparcie w społeczeństwie. Próby te nie dały żadnych wyników. W rezultacie nie powstała ani monopartia, ani nawet partia polityczna w prawdziwym tej nazwy znaczeniu, powstała co najwyżej karykatura monopartii. Natomiast w praktyce dnia codziennego, a także w programowaniu politycznym toczyła się uparta, choć na ogół łagodna w formie walka z opozycją, prowadzona nie środkami politycznymi, gdyż tych obóz rządzący po śmierci Piłsudskiego stworzyć nie zdołał, lecz środkami administracyjnymi.

Tym samym wytwarzała się sytuacja, w której przynajmniej z pozoru istniała w Polsce z jednej strony opozycja, z drugiej zaś

nie kierunek polityczny czy partia rządząca, lecz po prostu władze państwowe. Była to sytuacja politycznie niezdrowa, a nawet absurdalna, znajdująca wyraz w zupełnie bezsensownych określeniach, nierzadkich nawet na łamach prasy, że działalność opozycyjna jest tym samym co działalność „antypaństwowa”. Ten prymitywny punkt widzenia nie zakorzenił się na szczęście w społeczeństwie ani w żadnym godnym uwagi jego odłamie. Miał jednak swoje odbicie — dodajmy, że nie zawsze i nie wszędzie — w codziennym postępowaniu władz administracji państwowej. Wpływał też niekorzystnie lub w sposób utrudniający na organizację życia gospodarczego. Lecz tu na szczęście działało wiele czynników, które w sposób pragmatyczny potrafiły ukrócić ingerencję władz państwowych, zwłaszcza na szczeblach terenowych, wojewódzkich lub niższych, a nawet ingerencją tą w sposób racjonalny pokierować i ją wykorzystać. Tak było między innymi na odcinku związków zawodowych. Pomimo niewątpliwych nacisków władz państwowych związki zawodowe nie tylko potrafiły zachować samodzielność działania i skuteczność akcji podejmowanych w obronie praw świata pracy, lecz ponadto w wielu dziedzinach życia politycznego zastępowały lub wyręczały stronnictwa polityczne, z którymi w ten czy inny sposób były związane. Związki zawodowe nie były przy tym instytucją scentralizowaną, nie były w żaden sposób formalnie związane z władzami państwowymi i było ich wiele, o różnym obliczu ideologicznym i o różnej specjalizacji. Były więc tym, czym być powinny — przedstawicielstwem świata pracy, obrońcą jego interesów.

Także fachowe ośrodki społeczne specjalizujące się w działalności gospodarczej zdołały zachować, chociaż nie w tym samym stopniu, duży zakres niezależności od władz państwowych. Chodzi tu o instytucje na ogół dobrze w Polsce rozwinięte, nieraz o tradycje samodzielnego działania w otwartej walce z władzami państw zaborczych, stawiające sobie za zadanie koordynację życia gospodarczego na określonym odcinku. Niektóre z nich były czymś pośrednim między spółdzielnią a radą gospodarczą. Inne znowu miały charakter wyłącznie konsultatywny, zasadniczo u boku władz samorządowych. Jeszcze inne były instytucjami na poły państwowymi, w tym sensie, że z urzędu jak gdyby powoływano do nich przedstawicieli miejscowego społeczeństwa lub jakiejsz branży gospodarczej, także na określonym terytorium. Wymieńmy przynajmniej niektóre z nich. A więc izby przemysłowo-handlowe, w zasadzie po jednej na każde województwo. Obok aparatu urzędniczego grupowały przedstawicieli handlu i przemysłu, częściowo z nominacji, częściowo wybieranych. Ich

kompetencje nie były zbyt szczegółowo określone i zależały od autorytetu, jaki każda z nich zdołała sobie wyrobić. I tak izba przemysłowo-handlowa w Poznaniu lub we Lwowie była swego rodzaju potęgą opiniodawczą, nie ograniczając się tylko do wyrażania swego zdania na przedstawiony jej temat, lecz wysuwając dezyderaty w stosunku do władz, a często po prostu dyrektywy, które obyczajowo znajdowały posłuch w miejscowym społeczeństwie. Podobny charakter, a niekiedy — jak na przykład w Warszawie — podobne wpływy miały Izby Rzemieślnicze. Nieco inaczej wyglądała działalność instytucji zwanych niekiedy, lecz nie zawsze, Izbami Rolniczymi, gdyż ograniczały się one do porad w sprawach udzielania kredytu lub planowania melioracji rolnych, kierując je bądź to do centrali, bądź to do terenowych oddziałów Państwowego Banku Rolnego.

Do nich też podobne były bardzo liczne w całej Polsce obywatelskie komisje doradcze przy poszczególnych bankach, zarówno państwowych jak i prywatnych. Najczęściej nazywano je „komitetami dyskontowymi”, gdyż ich główna rola polegała na wydawaniu opinii o rzetelności i potrzebie kredytu, o który ubiegał się przedsiębiorca — obojętnie, czy wielki czy mały.

Także spółdzielnie typu kredytowego lub handlowego odgrywały dużą rolę w życiu gospodarczym i w większości wypadków zachowywały całkowitą samodzielność działania. W stosunku do nich państwo raczej występowało jako doradca lub, powiedziawszy bardzo ogólnie, nadzorca działalności. Były jednak niewątpliwie instytucjami samorządowymi, o których współpracę państwo musiało zabiegać, zwłaszcza w okresie ogólnokrajowego planowania gospodarczego. Jedną z najsilniejszych w Polsce był Związek Spółek Zarobkowych z centralą w Poznaniu. Posiadał on własny, bardzo silny bank i cieszył się w społeczeństwie ogromnym autorytetem, który sobie zdobył już w okresie zaciętej i zwycięskiej wojny obronnej, jaką ludność polska zaboru pruskiego toczyła z niemiecką ekspansją, nie tylko przecież gospodarczą.

Stopień samodzielności tych wszystkich instytucji był znacznie większy na zachodzie kraju i na południu, to jest w byłych zaborach pruskim i austriackim, niż w Polsce centralnej czy na Kresach Wschodnich. W byłym zaborze austriackim, ściślej w Małopolsce Wschodniej, wzorową instytucją spółdzielczą, samodzielną gospodarczo i o ogromnych wpływach, także politycznych, był ukraiński „Masłosojuz”.

Należy też wymienić komunalne kasy oszczędności. Były to instytucje współdziałające z samego założenia z samorządem tery-

torialnym, głównie z samorządem poszczególnych miast i powiatów. Niektóre z kas były prawdziwą potęgą gospodarczą i zaliczały się do czołowych banków polskich. Taka na przykład była komunalna kasa oszczędności miasta Poznania, a także miasta Lwowa. Ich istnienie i działalność, czy raczej ich ruchliwość i znaczenie zależały w dużej mierze od ruchliwości i siły samorządu terytorialnego tam, gdzie samorząd działał.

Samorząd terytorialny był pomyślany przy powstawaniu Rzeczypospolitej jako zasada mająca obowiązywać w całej Polsce. Każda gmina, zwłaszcza miejska, każdy powiat i każde województwo miało posiadać pełny samorząd terytorialny. Schemat organizacyjny wyglądał w ten sposób, że rada miejska, sejmik powiatowy i sejmik wojewódzki spełniały rolę władzy ustawodawczej w zakresie wszystkich spraw, które w sposób wyraźny nie zostały określone jako kompetencja władz państwowych, to znaczy odpowiedniego resortu ministerialnego i władz administracji terytorialnej jako organów wykonawczych ministerstwa. Sejmiki czy rady miejskie miały swoje wydziały, powiatowe i wojewódzkie, a w miastach magistraty, które były wykonawcami władzy samorządowej. Służyły też jako komórka porozumiewawcza ze starostwem czy województwem czyli z władzą państwową.

Samorząd tak pomyślany, zwłaszcza na szczeblu województwa, rozwinął się w pełni tylko w Poznańskim i na Pomorzu. Górny Śląsk miał specjalny status samorządowy, który określano niezbyt ściśle jako autonomię śląską. W pozostałych województwach natomiast z wielu przyczyn samorząd nie rozwinął się w pełni, z wyjątkiem miast, zwłaszcza wydzielonych czyli większych. W latach trzydziestych nastąpiło nawet daleko posunięte ograniczenie samorządu terytorialnego w Polsce. Przyczyny były przede wszystkim polityczne, gdyż w wyborach samorządowych z reguły prawie zwyciężały stronnictwa opozycyjne. Niekiedy — i o tym też należy pamiętać — ograniczenie samorządu któregoś miasta następowało wskutek zaniedbań gospodarczych, grożących miastu zwykłym bankructwem. W wielkich miastach prezydenci z wyboru byli zastępowani przez mianowanych komisarzy, zwanych niekiedy komisarycznymi prezydentami. Podobnie było w miastach mniejszych, gdzie pojawiali się komisaryczni burmistrzowie. Zawieszano też lub opóźniano wybór rad miejskich i sejmików. W tej sytuacji współudział obywateli w administracji państwa, zamiast się rozszerzać, stopniowo zanikał, co zresztą było przedmiotem ogólnego niezadowolenia i krytyki. Na szczęście, jak widzieliśmy z przytoczonych przykładów, skutki tego stanu rzeczy nie występowały tak wyraźnie lub nie występo-

wały wcale w dziedzinie gospodarczej i w dziedzinie czysto społecznej, do której należało życie świata pracy. Niemniej wskutek zahamowania rozwoju samorządu terytorialnego państwo przybierało charakter coraz bardziej scentralizowany, a biurokracja urzędnicza nabywała, a niekiedy uzurpowała sobie zbyt duży zakres kompetencji i konkretnych wpływów. Było to zjawisko sprzeczne z polskimi tradycjami i oczywiście niekorzystne z punktu widzenia zasad demokracji. Pamiętać jednak trzeba także, że przy tak złożonej strukturze narodowościowej i społecznej, jaką miała Polska międzywojenna, centralizacja ta posiadała także dobre strony, gdy chodzi o konsolidację i ujednolicanie życia na całym obszarze państwowym. Działała jako antidotum na wcale częste przejawy egoizmu dzielnicowego.

OZON

I

W lutym 1937 roku utworzony został Obóz Zjednoczenia Narodowego, zwany powszechnie w skrócie — choć trudno by było określić skrót ten jako popularny — „OZONEM”. Na jego czele stanął pułkownik Adam Koc, człowiek w Polsce znany, choć nie zaliczany do pierwszego garnituru polityków wyrosłych w otoczeniu Piłsudskiego. Na pewno nie należał do grona jego zaufanych. Miał duże zasługi ściśle wojskowe w roku 1919 i 1920, gdy jako młody oficer otrzymywał i wykonywał trudne zadania operacyjne, wymagające także umiejętności politycznych.

Koc od dawna już w wojsku nie służył, pograżony się całkowicie w działalności politycznej, na płaszczyźnie zazębiającej się z zagadnieniami gospodarczymi, w których się wyspecjalizował i za specjalistę był uważany. Był czas jakiś prezesem Banku Polskiego. Widziano w nim niekiedy — i sam siebie w takiej roli widział — konkurenta Eugeniusza Kwiatkowskiego.

W roku 1936 został komendantem Związku Legionistów. Był wyznawcą koncepcji, w myśl której dziedzictwo najwyższego autorytetu państwowego w Polsce po śmierci Piłsudskiego po-

winno było przypaść w udziale Śmigłemu-Rydzowi. Utworzenie Obozu Zjednoczenia Narodowego miało między innymi temu właśnie celowi służyć. Kwiatkowski był przeciwnikiem tej koncepcji. Przeciwnikiem był też Mościcki oraz — z zupełnie innych powodów — odsunięty już od wpływów Walery Sławek. A więc od pierwszego dnia istnienia OZONU, a nawet zanim jeszcze powstał, miał zdecydowanych przeciwników w łonie obozu rządowego. O tym społeczeństwo nie wiedziało dość długo, traktując nowy ruch polityczny jako emanację obmyśloną przez stojących u władzy epigonów Piłsudskiego. Wiedziało natomiast o negatywnym stosunku do tego ruchu wszystkich z małymi tylko i mało istotnymi wyjątkami partii politycznych opozycji.

Sławek był przeciwnikiem OZONU z tego przede wszystkim względu, że trzymał się ściśle sformułowań nowej konstytucji, która nie przewidywała tego rodzaju ugrupowań nadrzędnych i nie mówiła nic o szczególnym, też nadrzędnym stanowisku w państwie, jakie zajął Generalny Inspektor Sił Zbrojnych. Sławek stał na stanowisku ścisłego legalizmu. Chciał, by zgodnie ze swym pierwotnym założeniem konstytucja upraszczała stosunek obywatela do państwa, eliminując pośrednictwo stronnictw politycznych. Wierny bez zastrzeżeń ideologii Piłsudskiego, nie widział ani potrzeby, ani możliwości przelewania w sposób sztuczny jego dziedzictwa i jego autorytetu na kogoś, kto objął w następstwie po nim władzę nad wojskiem i tylko nad wojskiem. Sławek przekonaniom tym się nie sprzeniewierzył, a widząc ich klęskę w ciągu następnych dwóch lat, uznał samobójstwo za jedyne godne swej niezłomnej postawy rozwiązanie osobiste.

Kwiatkowski i wielu innych piłsudczyków sprzeciwiało się wyniesieniu Rydza na opuszczony przez Piłsudskiego piedestał nie tylko ze względów legalistycznych czy prawniczych. Także względy personalnych sympatii czy antypatii, nie mówiąc już o osobistych ambicjach, odgrywały tu rolę, choć uboczną. Ostatecznie prezydent Mościcki, odmówiwszy Sławkowi opróżnienia swego fotela, zgodził się jednak na kompromis z Rydzem-Śmigłym, przyznając mu stanowisko „drugiej osoby w państwie” i nie negując, że Rydz jako jego następca będzie kiedyś także „pierwszą osobą w państwie”. Natomiast powstanie Obozu Zjednoczenia Narodowego, pomyślanego przez Koca jako monopartyjna organizacja polityczna na służbie Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, budziła zastrzeżenia jak najbardziej praktyczne. Stawiała bowiem pod znakiem zapytania możliwość zmiany konstytucji pod kątem uwzględnienia żądań opozycji, a także żądań wielu odłamów środowiska rządzącego — to znaczy takiej zmiany, która przywraca-

łaby zasady rządów parlamentarnych z zachowaniem tylko hamulców, które utrudniałyby powrót do chaotycznego „sejmowładztwa” z lat przed zamachem majowym. I tylko tego rodzaju zmiana dawałaby szansę konsolidacji sił narodu. Kiedy powstawał Obóz Zjednoczenia Narodowego, nie kto inny tylko Kwiatkowski dość daleko posunął rozmowy z największym i najważniejszym ze stronnictw opozycyjnych — to jest ze Stronnictwem Ludowym, reprezentowanym przez Macieja Rataja. Rozmowy te, prowadzone pod kątem znalezienia sposobu „rozszerzenia płaszczyzny rządowej”, miały szansę objęcia także Polskiej Partii Socjalistycznej. Powołanie do życia OZONU automatycznie je przerwało.

Koncepcję, czy raczej nakaz polityczny „konsolidacji sił społeczeństwa” wysunął nie kto inny tylko właśnie Rydz-Śmigły i to w momencie jak najbardziej właściwym. Tej zasługi odmówić mu nie można. Wzywał do tego od maja 1936 roku, gdy remilitaryzacja Nadrenii przez Niemcy hitlerowskie zapowiedziała nieuchronne odąd narastanie zagrożenia niepodległości Polski. Z przestrogą i z wezwaniem do pogotowia wojennego wystąpił Rydz 15 maja 1936 roku na radzie ministrów w obecności prezydenta, przestrogę powtórzył publicznie 24 maja na zjeździe legionistów. W następnym miesiącu na ten sam temat mówił wobec ogromnego audytorium chłopskiego w Nowosielcach. Powiedział wówczas, że „jedynym hasłem, które może być naszym pionem moralnym, jest hasło obrony Polski”. Hasło to powinno być rodzajem łańcucha sprzęgającego wszystkich obywateli bez względu na inne różnice. Musi też znaleźć wyraz praktyczny w postaci „zorganizowania kierowanej woli ludzkiej”. Obowiązkiem wszystkich jest „podciągnąć Polskę wzwyż”, przy czym nie może być „miłego przeżywania lub dożywania, nie może być wybierania sobie, co przyjemniejsze i wygodniejsze, bo jest ciężki okres i on nakłada ciężkie zadania”.

Motyw ten powtarzał się u Rydza i znajdował silne echo w całym społeczeństwie. Wzmacniał też jego popularność, zwłaszcza, że w tym samym czasie Rydz — gdyż jemu to przypisywano — ożywił sojusz francusko-polski. Popularność Rydza stawała się wartością odrębną, nie związaną z sympatiami czy antypatiami do rządzącego Polską reżymu, z aprobatą czy potępianiem nowej konstytucji. Proces ten postępował szybko, dochodził niekiedy do granic entuzjazmu i w pewien szczególny sposób ogarniał także opozycję, a przynajmniej młodsze elementy w łonie tradycyjnych ugrupowań opozycyjnych, zwłaszcza prawicowych, którym doskwierał jałowy w ich przekonaniu bojkot życia państwo-

wego i którym nie odpowiadały w zmieniającym się świecie programy polityczne pod wieloma względami przestarzałe.

Hasło obrony państwa, zagrożenie obronności, było rzeczywiście wspólne Polakom. W oparciu o nie Rydz lub raczej koła widzące w nim element konsolidacji społeczeństwa przystąpiły do dania temu powszechnemu przekonaniu wyrazu politycznego w postaci Obozu Zjednoczenia Narodowego.

Między oczywistością wpływu hasła obrony państwa na umysły Polaków a praktycznym wnioskiem z tego faktu wyciągniętym była jednak jeśli nie przepaść, to przynajmniej głęboki rów. Fałszywe były wnioski wyciągnięte z prawidłowych przesłanek. Śmigły-Rydz był popularny nie dlatego, że miał na swym koncie jakieś ogromne zasługi lub przedstawiał nadzwyczajne walory osobiste, lecz dlatego, że uosabiał instytucję wojska polskiego. Każdy generał, gdyby przemawiał w podobnym duchu i gdyby był na stanowisku przyszłego naczelnego wodza, wzbudzałby w społeczeństwie podobny odzew i cieszył się podobną popularnością. Ale nie znaczy to wcale, by popularność Rydza jako generalnego inspektora sił zbrojnych wystarczała do konsolidacji społeczeństwa wokół ruchu politycznego mającego w oczach wielu znamiona lub ambicje monopartyjne. Niewiele lub wcale nie pomagał tu fakt, że przejawy owej monopartyjności, zarówno programowe jak i organizacyjne, były raczej niezdatną karykaturą niż kopią wzorów faszystowskich. Zresztą, gdyby było inaczej, OZON zamiast pobłażliwej u jednych, a wrogiej u innych obojętności spotkałby się ze zdecydowanym oporem.

Przyczyn słabości koncepcji OZONU, którą widzieli także i przede wszystkim jego przeciwnicy w łonie środowiska rządzącego, szukać należy w dwóch sprawach. O jednej już mówiliśmy: OZON uniemożliwiał porozumienie ze stronnictwami opozycyjnymi i doprowadzenie do „bezbolesnej” zmiany niepopularnej konstytucji. Druga przyczyna słabości polegała na jałowości programu opartego o jeden tylko postulat. Właśnie dlatego, że postulat obronności kraju był powszechnie uznany, że nikt mu się nie sprzeciwiał, że nikogo nie trzeba było o nim przekonywać, użycie go jako zwornika i fundamentu ruchu politycznego stawiało pod znakiem zapytania zarówno jego przydatność, jak i możliwości praktycznego działania. Wystarczało przecież być po prostu Polakiem, by obronę kraju stawiać na pierwszym miejscu w zestawie potrzeb, dążeń i obowiązków. Nie potrzeba było zapisywać się lub dać się wpisać w szeregi partii politycznej, która na dobitkę twierdziła, że nie jest partią, a — przeciwnie — wszystkie partie ma zastąpić.

Program polityczny OZONU nigdy nie został sprecyzowany w sposób jasny i wyczerpujący. Nie można bowiem za program uważać tak zwanej deklaracji ideowo-politycznej odczytanej przez Koca przez radio 27 lutego 1937 roku. Rozplakatowano ją później w całym kraju, a tekst wydrukowano także w gazetach, które uzupełniały go bardzo dowolnymi interpretacjami. Deklaracja mówiła, że państwo jest najważniejszym kształtem życia narodu i że o byt narodowy należy walczyć. Stwierdzała, że Konstytucja Kwietniowa jest dla Polski najlepsza, co z miejsca napotkało na krytykę tych wszystkich, którzy w jej zmianie widzieli sposób dokonania rzeczywistej konsolidacji narodowej. Mówiła dalej o roli wojska w życiu narodu, czego nikt nie kwestionował do momentu, gdy tekst od wojska przechodził do zasady „wodzostwa” i wymieniał Rydza-Śmigłego jako wodza, uzasadniając to tym, że jest on rzekomo następcą Piłsudskiego. Deklaracja wzywała do harmonijnego współżycia z mniejszościami narodowymi, ale jednocześnie, zastrzegając się przeciwko gwałtom, nie potępiała walki gospodarczej, co w ówczesnych warunkach można było rozumieć jako akcent antyżydowski. Deklaracja mówiła o potrzebach wsi i świata pracy, wspominała o wpływie państwa na produkcję przemysłową. Lecz były to ogólniki, nie pretendujące nawet do nazwy sformułowań programowych.

Można by na tym uwagi o OZONIE zakończyć, stwierdzając, że był niewypałem politycznym: wadliwym wnioskiem wyciągniętym z poprawnych przesłanek postulat obronności państwa. Można by to zrobić, gdyby nie fakt, że nie poznano się na tym od razu, wskutek czego OZON zaprzętnął ogromnie dużo uwagi zarówno grupy rządzącej, jak i całego społeczeństwa, stając się problemem, chociaż na rangę problemu nie zasługiwał, zwłaszcza w dwóch ostatnich latach niepodległości.

II

Ambitne założenie OZONU, konsolidacja całego społeczeństwa polskiego wokół hasła obronności Rzeczypospolitej, nie budziło w nikim żadnych zastrzeżeń. Lecz właśnie dlatego nie wystarczało jako uzasadnienie potrzeby tworzenia ugrupowania politycznego o ambicjach zastąpienia czy wyparcia z areny politycznej wszystkich innych ugrupowań i partii politycznych. Wiele

z nich miało przecież za sobą długie dziesięciolecia działalności, chlubne tradycje walki o niepodległość, określone programy i zwarte kadry organizacyjne. W oparciu o program, powszechnie znany choćby tylko w ogólnych zarysach, w oparciu o kadre członkowską i zakorzenione tradycje każde ze stronnictw liczyło na sympatyków w całym społeczeństwie, lub co najmniej w niektórych, określonych grupach społecznych. Każdy w Polsce wiedział, lub przynajmniej orientował się z grubsza, do czego dąży i jakie cele, jakie reformy społeczne czy gospodarcze chce osiągnąć PPS, Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Narodowe, a także pomniejsze ugrupowania zbliżone do kierunku pogładowego, który ogólnie można by określić jako demokratyczny i chrześcijańsko-społeczny.

Obóz rządowy żadnego z konkretnych atrybutów potrzebnych dla istnienia partii politycznej nie posiadał. Był w rzeczywistości luźnym zbiorem ludzi o różnych, niekiedy nawet krańcowo różnych poglądach, tradycjach i dążeniach społecznych. Elementem łączącym ich w jedną, choć bardzo mgławicową, a często bardzo skłóconą całość były obok zwykłego oportunistu, który zawsze rozszerza szeregi zwolenników ośrodka dysponującego konkretną władzą, tradycje przywiązania do postaci Piłsudskiego. Kult wielkiego człowieka, z chwilą gdy go zabrakło, przemieniał się w kult jego „ideologii”.

Czym była „ideologia marszałka Piłsudskiego” po jego śmierci, nikt dokładnie nie wiedział i nie próbował nawet precyzować. Dlatego, że było to zadanie po prostu niewykonalne. Owszem, można było wytypować dwa podstawowe tej ideologii składniki. Pierwszym był potężny, wszechogarniający patriotyzm i wypływające z niego hasła i wskazania, wśród nich zasada prymatu obronności państwa. Lecz, jak wiemy, ta zasada nie była monopolem piłsudczyków.

Natomiast drugi składnik tej „ideologii” — żeby się już trzymać używanego wówczas wyrażenia — fascynował tylko niewielką grupę ludzi, grupę ilościowo z każdym rokiem malejącą. Chodzi o tezę, do której Piłsudski się przychylił już w końcowym okresie życia, że moralność obywatelska, pojmowana nieomal mistycznie, a na pewno abstrakcyjnie, zastąpić może w życiu publicznym wszystkie inne tego życia imponderabilia. Wyrazem praktycznym tego stanu doskonałości obywatelskiej miała być bezpartyjność społeczeństwa. Zakorzeniony w umyśle Piłsudskiego, obsesyjny, choć niewątpliwie uzasadniony złymi doświadczeniami lęk i wstręt do „partyjnictwa” i jego pochodnej, „sej-

„mowładztwa”, był punktem wyjściowym pracy nad zmianą ustroju, co osiągnięto w kwietniu 1935 roku uchwalając nową konstytucję. Miała być konstytucją zapewniającą ład i sprawność działania władz państwowych, eliminującą spory i jałowe dyskusje, podcinającą nogi prywacie, unicestwiającą znaczenie podziałów i interesów klasowych, regionalnych i ideologicznych. Podstawą całości życia i działalności miało być ściśle przestrzeganie normy prawnej oraz zaufanie wobec najwyższego autorytetu, także moralnego, władzy.

Do takiego autorytetu pretendować mógł tylko jeden człowiek. Był nim Piłsudski. Z tą oczywiście poprawką, że tylko część społeczeństwa — zapewne duża część, lecz ciągle część tylko — autorytet taki gotowa mu była przyznać. Gdy go zabrakło, zabrakło też autorytetu. Nikt nie mógł do autorytetu takiego pretendować — choć wielu się o to starało.

Starał się przede wszystkim i niektórym jego zwolennikom mogło się wydawać, że starania zbliżają go do celu, marszałek Śmigły-Rydz. Eksperyment się nie udał, bo udać się nie mógł. Nie tylko dlatego, że nie się nigdy nie powtarza w historii, a na pewno powtórzyć się nie może w sposób zamierzony i kierowany. I nie tylko dlatego, że Śmigły-Rydz nie był — użyjmy parafrazy z Pisma Świętego — „zrobiony na kształt i podobieństwo” swego poprzednika. Był człowiekiem zupełnie innego kalibru.

Dziedziczenie autorytetu w ramach grupy wojskowych, przekazywanie go z jednego generała na drugiego jest możliwe tylko w ustrojach dyktatury wojskowej. Zjawiska „bonapartyzmu” czy „militaryzmu” ustrojowego nie bywają wynikiem spontanicznej woli społeczeństwa. Chyba, że realizują się w oparach drapieżnego entuzjazmu towarzyszącego zwycięskim wojnom agresywnym — lub jak kto woli, imperialistycznym — znajdując pożywkę w jakichś irracjonalnych hasłach pseudoideologicznych. Lecz i wówczas spontaniczność wypala się zwykle bardzo szybko i „bonapartyzm” czyli „militaryzm” musi szukać oparcia w zwykłej przemocy. W Polsce niczego podobnego nie było i być nie mogło. Fakt, że na większość polityków obozu rządowego składali się byli oficerowie, mógł wytwarzać wrażenie za granicą, zwłaszcza we Francji, że „rządy pułkowników” są emanacją militaryzmu w życiu Polski. W istocie jednak nie stanowili oni kasty, ani nawet nie należeli do klasy o tradycyjnym, wojskowym sposobie myślenia, na podobieństwo mafii oficerskiej niemieckiego sztabu generalnego lub chociażby selektywnej i oderwanej od reszty obywateli odrębnej społeczności oficerskiej

Trzeciej Republiki właśnie francuskiej. Każdy z „pułkowników” (stopień raczej symboliczny) zasiadających w rządach pomajowych, sprawujących funkcje dyrektorskie w bardzo nielicznych zresztą przedsiębiorstwach lub z trudem radzących sobie na stanowisku administracyjnym służył kiedyś w wojsku. Niekiedy nawet, choć raczej rzadko, powracał do służby czynnej w wojsku. Lecz z reguły swą karierę wojskową rozpoczynał albo jako ochotnik w wojsku polskim, albo jako oficer rezerwy którejś z armii zaborczych. Główne nazwiska ludzi należących do „sitwy legionowej”, jak ją jedni z niechęcią, a inni z dumą nazywali, to nazwiska ludzi, którzy — zanim się w wojsku znaleźli — chcieli być lub już byli lekarzami, inżynierami, nauczycielami, dziennikarzami lub artystami. Sam Śmigły-Rydz, szczytowa i symboliczna postać rzekomego polskiego militaryzmu, nie marzył w młodości o buławie marszałkowskiej, lecz o takiej karierze, do jakiej przygotować go mogła szkoła sztuk pięknych.

O tym wszystkim ówczesne pokolenie Polaków wiedziało. Co więcej: krytykujący zawzięcie „sanację” i jej rządy używali słowa „sitwa”, lecz bynajmniej nie w sensie wojskowym. Używali też słowa „kasta”, myśląc jednak raczej o młodych oficerach już polskiego chowu i zawodowo bardzo wartościowych. Lecz jakżeż często wypominano luminarzom legionowym służącym dalej w wojsku ich „amatorszczyznę” zawodową i jakżeż rzadko ich rzekomy militaryzm. Był w Polsce kult wojska, była miłość wojska, w którym każdy nieomal zdrowy mężczyzna służbę odbywał. Lecz nie było żadnego podkładu psychicznego dla militaryzmu.

W tym też leżała przyczyna zupełnego braku odzewu dla koncepcji „wodzostwa” lansowanej przez Obóz Zjednoczenia Narodowego, którym to „wodzem” miał być Śmigły-Rydz dlatego, że objął po Piłsudskim najwyższą w państwie funkcję wojskową. Funkcję wojskową uważano za naturalną — funkcję polityczną zbywano całkowitą obojętnością i tysiącem kpín i dowcipów. Tak samo reagowano na szumne deklaracje ideowe i poczynania OZONU. Przeciwdziałać próbowała tym reakcjom niekiedy cenzura prasowa, niezwykle ospała i łagodna w porównaniu z tym, co dziś wiemy o cenzurze. Wkrótce i tego przeciwdziałania zaniechano.

Dziwne zaiste i humorystyczne nieomal były przejawy polskiego pół-„faszyzowania” i pseudomilitaryzmu. Dziwne i zarazem bardzo polskie, gdyż stanowią do dziś dowód, że dla zaprowadzenia w Polsce totalitaryzmu i dyktatury trzeba przemocy i to przemocy obcej.

Nie powiodły się też w Polsce międzywojennej próby zgłajchszaltowania poglądów. Piłsudski marzył o społeczeństwie bezpartyjnym. Obywatelom miała starczyć struktura państwowa, uzupełniona strukturą samorządową i działalnością organizacji społecznych. Partie polityczne, podziały polityczne miała wykorzystać i pozbawić racji bytu „sanacja moralna”. Także w tej koncepcji widać cechy bardzo polskie. Nie monopartia, nie kierownicza rola jednej partii, lecz bezpartyjność miała uzupełniać strukturę ustrojową.

Rezultat? Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem zamienił się w jedną z partii. Więc Sławek, jej prezes, ją rozwiązał. Obóz Zjednoczenia Narodowego także nie chciał być partią. Stał się za to ugrupowaniem, któremu nawet obóz rządowy nie udzielił pełnego poparcia i którym się posługiwał tylko w miarę doraźnej potrzeby. I w tym wypadku zwyciężyło bez trudu przywiązanie Polaków do własnych poglądów, którego nie należy zbywać wyświechtanym powiedzeniem o warcholstwie lub wybujałym indywidualizmie, gdyż jest zarzewiem demokracji.

OSTATNIE WYBORY

Żadne próby stworzenia namiastki monopartii w Polsce się nie udawały. Konsolidacja wokół idei obrony niepodległości państwowej była wyrazem solidarności narodowej ogarniającej całe społeczeństwo. By tę konsolidację stworzyć, nie potrzeba było żadnej działalności organizacyjnej, którą dziś nazwalibyśmy „odgórną”.

Fakt ten tłumaczył dwa zjawiska, typowe dla lat między śmiercią Piłsudskiego a wrześniem 1939 roku. Jednym była nieślabnąca i ożywiona działalność polityczna o charakterze opozycyjnym. Drugim była żywa ciągle myśl o potrzebie zmiany struktury politycznej obozu rządowego. Myśl ta szła w kierunku rozszerzenia podstawy rządów. W samym więc założeniu była sprzeczna z założeniami „oficjalnej” bazy rządzenia, za którą uchodził lub chciał uchodzić właśnie Obóz Zjednoczenia Narodowego. Myśl ta była najsilniejsza w środowisku zbliżonym do prezydenta Mościckiego, a jej naczelnym wyrazicielem był wicepremier Kwiatkowski. Czyniono mu z tego powodu zarzuty, że

tworzy bądź podsyca istnienie frakcji w obozie określanym dość pompatycznie jako piłsudczykowski. Tymczasem szło tu o coś innego, o zdrową i bardzo potrzebną współpracę ze stronnictwami opozycyjnymi, jeśli można to w ramach ustawowych Konstytucji Kwietniowej, a gdyby to nie było możliwe, to po przeprowadzeniu odpowiednich zmian w tej konstytucji, zwłaszcza zaś w ordynacji wyborczej.

Całkowita potulność Sejmu i Senatu, wybranych w oparciu o tę ordynację, była przedmiotem troski nie tylko większości społeczeństwa, lecz także wielu odłamów obozu rządowego. Istnienie OZONU, zwłaszcza w pierwszej jego fazie, utrudniało jednak prowadzenie konstruktywnych, choć oczywiście zakulisowych rozmów z opozycją. Były one tym trudniejsze, że z nielicznymi wyjątkami prowadzić je musiały osoby występujące w charakterze prywatnym. W dodatku próby zbliżenia do opozycji były dość chaotyczne, z tego względu, że szukano porozumienia raz z jednym, raz z drugim jej skrzydłem.

Na wiosnę 1938 roku dojrzewać zaczęła na „Zamku” myśl dokonania próby sondażu opinii w postaci nowych wyborów. Oczywiście w oparciu o obowiązującą ordynację. Czyniono pewne kroki przygotowawcze, by przełamać chęć formalnego bojkotu ze strony partii politycznych. Na wypadek, gdyby to się nie powiodło, sądzono, że frekwencja wyborcza stanowić będzie sprawdzian popularności względnie poparcia, jakiego społeczeństwo udziela rządowi i całemu obozowi rządowemu. Myśl o nowych wyborach nabrała rumieńców w chwili, gdy marszałkiem Sejmu został w lecie 1938 roku Walery Sławek. Nastąpiło to po śmierci dotychczasowego marszałka, Stanisława Cara, jednego z twórców Konstytucji Kwietniowej. Sławka obawiano się bardzo w obozie Zamkowym, nie tylko dlatego, że był bezkompromisowym przedstawicielem myśli politycznej przypisywanej Piłsudskiemu, którą to myśl polityczną poddawano daleko idącym wątpliwościom w miarę upływu czasu i narastania nowych problemów, lecz także dlatego, że uchodził w dalszym ciągu za kandydata na stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej.

Do myśli o rozpisaniu nowych wyborów przychylił się po wielu oporach także Śmigły-Rydz. Okazywało się więc, że wszystkim odłomom obozu rządowego zależy na sprawdzeniu, jak wielkie ma on poparcie w społeczeństwie. Dopiero po tego rodzaju sprawdzeniu zwolennicy porozumienia z opozycją myśleli o przedsięwzięciu nowych konkretnych kroków w tym kierunku. Dekret prezydenta rozwiązujący przedterminowo obie izby parla-

mentu wspominał wyraźnie, że „odnowienie składu izb” następuje jako odzew na „wzrost w szerokich masach narodu zrozumienia potrzeby czynniejszego współudziału w pracy dla państwa”. Nowe izby zatem powinny „w pracy swej dać pełniejszy wyraz nurtujących w społeczeństwie prądów”. Znalazło się w dekreście jeszcze jedno bardzo ważne zdanie, że naczelnym zadaniem nowo-wybranych izb będzie „zajęcie stanowiska w sprawie podstawowej” dla całego kraju, a więc i dla opozycji, to znaczy w sprawie ordynacji wyborczej. Chociaż były to sformułowania ostrożne, niemniej zapowiadały konkretny plan polityczny. Miałby on polegać na tym, że nowe izby, zgodnie z życzeniami społeczeństwa, powinny po prostu ordynację zmienić, czego oczywistym skutkiem byłoby ich rozwiązanie i ogłoszenie nowych wyborów, w których mogłaby już bez przeszkód uczestniczyć opozycja. Innymi słowy, dekret zawierał obietnicę reformy ustroju w kierunku przywrócenia mu charakteru demokracji parlamentarnej.

Zapowiedzi te wzbudziły sporo zainteresowania w całym społeczeństwie. Jednocześnie jednak zmobilizowały te ośrodki w obozie rządowym, które uparcie głosiły doskonałość Konstytucji Kwietniowej i chciały przeciwdziałać wszelkim jej zmianom.

Dekret rozwiązujący Sejm i Senat i rozpisujący nowe wybory ogłoszono 13 września 1938 roku. Był to moment jak najgorzej wybrany. Trwał bowiem w pełni kryzys czechosłowacki. Bardzo też energicznie przeciwko rozwiązaniu Sejmu właśnie w tak napiętej sytuacji międzynarodowej protestował Józef Beck. Zgłaszał nawet swoją rezygnację, którą wycofał na prośbę prezydenta. Dodać trzeba, że zastrzegał się przy tym, iż nie protestuje bynajmniej przeciwko sformułowaniom dekretu, to znaczy przeciwko zapowiedziom zmian w systemie ustrojowym i w wewnętrznym układzie politycznym, lecz przeciwko nieodpowiedniej, jego zdaniem, chwili.

Reakcja społeczeństwa na sformułowania dekretu prezydenta była jednak bardzo pozytywna. Jedyne Stronnictwo Narodowe zapowiedziało od razu, że w wyborach udziału nie weźmie. Dwie pozostałe najważniejsze partie polityczne, to znaczy Polska Partia Socjalistyczna i Stronnictwo Ludowe, wahały się dość długo, czy wziąć formalny udział w wyborach. Ostatecznie przeważało stanowisko dyktujące potrzebę ostrożnego wyczekiwania i żadna z partii nie wystawiła kandydatów. Nie ogłosiły natomiast bojkotu wyborów, co było w istocie najważniejsze. Podobne stanowisko zajął Prymas, kardynał August Hlond. W jednym z licznych politycznych oświadczeń, jakie Kościół polski złożył w dwudziestolecie międzywojennym, Prymas mówił (w wywiadzie

prasowym), że wszyscy obywatele powinni interesować się czynnie życiem państwowym, wobec czego bez względu na ich stosunek do rządu, konstytucji i ordynacji wyborczej powinni „z poczucia obowiązku patriotycznego pójść do urn wyborczych”.

Wybory do Sejmu odbyły się 6 listopada. Z 17 i pół miliona uprawnionych do głosowania głosowało nieco poniżej 12 milionów czyli 67,36 %. Jeżeli wprowadzi się poprawkę na słabszy znacznie niż wśród Polaków udział mniejszości narodowych, wyliczyć można, że z obywateli polskich polskiej narodowości głosowało około 80 % uprawnionych.

Był to procent bardzo wysoki i mógł posłużyć do wyciągnięcia daleko idących wniosków. Przeprowadzając bowiem analizę tych cyfr widać było wyraźnie, że w wyborach wzięli udział zwolennicy partii opozycyjnych obok zwolenników obozu rządowego. Wzięli oni udział, odpowiadając jak gdyby na ostrożne sformułowania dekretu prezydenta. Udział ten oznaczał, że spodziewają się zapowiedzianych reform, że na nie czekają i że z chwilą gdy nastąpią gotowi są do czynnego udziału w życiu państwowym. Tym samym, jak można się było domyślać, idea bojkotu przestała odgrywać rolę, gdyż społeczeństwu nie odpowiadał podział całego narodu na dwie grupy, grupę czynną, popierającą rząd, i grupę bierną, nie biorącą udziału w życiu państwowym, lecz trwającą w stałym proteście przeciwko ustrojowi.

Logika, a także nadzieje dużej części społeczeństwa wskazywały na ten właśnie kierunek dalszego przebiegu wydarzeń. Stało się jednak inaczej, co nie bez słuszności uznać można za swoistą tragedię końcowego okresu międzywojennego dwudziestolecia. Interpretować wyniki wyborów w myśl zapowiedzi zawartych w dekreście prezydenta z 13 września 1938 roku próbowali tylko wicepremier Kwiatkowski i sam Mościcki. Tymczasem wytwarzały się jednak okoliczności, które inicjatywę dalszego logicznego pokierowania polityką wewnętrzną państwa utrudniły i uniemożliwiły. Mianowicie w środowisku Obozu Zjednoczenia Narodowego, a ściślej mówiąc w otoczeniu marszałka Śmigłego-Rydza uznano błędnie, że duża frekwencja wyborcza wzmocnia tak bardzo siły obozu rządowego, że porozumienie z opozycją staje się po prostu niepotrzebne. Tę błędną interpretację poparto kilkoma formalnymi pociągnięciami, które zwiększyły pomieszanie pojęć i ogólny chaos polityczny. Mianowicie posłowie w nowym Sejmie ukonstytuowali się w rodzaj klubów. Używam słowa „rodzaj”, gdyż najliczniejszy z nich, klub OZONU, nie był bynajmniej frakcją parlamentarną w prawdziwym tego słowa znaczeniu, lecz jak wszystkie emanacje tego tworu był

luźnym zlepkiem ludzi o najrozmaitszych poglądach. Nadał on jednak ton obradom, zwłaszcza pierwszej sesji. Przeprowadził wybór marszałka Sejmu w osobie profesora Wacława Makowskiego, teoretyka osławionej koncepcji ideologii „państwowej”, namiętnie zwalczanej przez opozycję wszystkich odcieni. Wybór Makowskiego był także ostateczną przegraną Walerego Sławka, który po raz drugi został usunięty w cień życia publicznego w Polsce, co po kilku miesiącach zakończyło się jego samobójstwem. Ku dużemu zdziwieniu i oburzeniu całego społeczeństwa czołowi przedstawiciele Obozu Zjednoczenia Narodowego głosić zaczęli, że nowy parlament jest ostatecznym i druzgocącym dowodem pełnego poparcia całego społeczeństwa dla dotychczasowego obozu rządowego, który tym obozem monopolizującym władzę i wpływy ma pozostać na przyszłość.

Już 3 grudnia 1938 roku rzeczywisty przywódca OZONU, zwany „szefem sztabu”, pułkownik Wenda, wystąpił w Sejmie z gwałtownym atakiem na wicepremiera Kwiatkowskiego i pośrednio prezydenta. Nie ustały jednak rozmowy i pertraktacje ze stronnictwami opozycyjnymi, prowadzone dalej z inicjatywy Kwiatkowskiego, z których to inicjatyw najważniejsza była rozmowa prezydenta z przedstawicielami opozycji w marcu 1939 r. Wiele wskazuje, że w ostatnich miesiącach przed katastrofą wojenną nie zrezygnowano bynajmniej z próby uzdrowienia ustroju, zarówno w środowisku opozycji, jak i w anty-ozonowych ośrodkach rządowych. Ulegając natomiast presji wydarzeń przesuwano, jak się zdaje, dokonanie tak potrzebnych zmian na termin wyborów prezydenckich, to znaczy na rok 1940. Rok ten znalazł się już jednak w zupełnie innej epoce historii.

CZĘŚĆ TRZECIA
POLITYKA ZAGRANICZNA



OD RYGI DO RAPALLO

I

Okres trzech lat między odzyskaniem niepodległości w roku 1918 a decyzją podziału Górnego Śląska między Polskę i Niemcy w październiku 1921 roku wyznaczył miejsce Polski w ówczesnej Europie nie tylko w sensie ustalenia jej kształtu geograficznego, lecz także w sensie jej przyszłej roli w życiu międzynarodowym. Jasnej i powszechnie uznanej koncepcji, jaka ma być ta rola i jak silne ma być państwo polskie, by móc ją spełniać, nie było ani w stolicach zachodnich, ani w Polsce samej. Nie było jej też w stolicach dwóch sąsiadów Polski, którzy zarówno powstanie niepodległego państwa polskiego, jak i jego okrzepnięcie w pozycji czynnika ładu i pokoju na obszarze Europy środkowo-wschodniej traktowali jako własną klęskę polityczną. Chodzi w tym wypadku o Berlin i o Moskwę, które dokładały starań, by albo państwo polskie zlikwidować, zanim się zorganizuje, albo też tak je osłabić, by nie mogło pretendować do żadnej w ogóle roli w polityce międzynarodowej.

Zwycięstwo militarne Polski położyło kres tym zamierzeniom likwidacji państwa polskiego i tym samym likwidacji systemu wersalskiego. Dalsze wystąpienia antypolskie, jak na przykład wspomaganie interesów niemieckich na Górnym Śląsku, miały już tylko charakter dywersyjny. Natomiast rzeczywistość polityczną polegającą na rezygnacji z planów leninowskich stwarzała traktat pokojowy zawarty w Rydze w marcu 1921 roku. Traktat ten, jak to zaznaczaliśmy, był logicznym i bardzo istotnym uzupełnieniem Traktatu Wersalskiego. Stwarzał też zupełnie nowe

możliwości rozwojowe dla polityki europejskiej. A tym samym dla polityki polskiej.

Był to fakt oczywisty. W dodatku jak najbardziej dla wszystkich zainteresowanych stron korzystny. Jest rzeczą charakterystyczną dla tego okresu historii Europy i świata, że wbrew logice nie wyciągnięto z niego wszędzie tych samych wniosków, z tym dalszym rezultatem, że nie zdołano lub nie umiano w pełni go wykorzystać.

Przyczyn było wiele. Zarzut niewyzyskania koniunktury międzynarodowej, stworzonej przez ugruntowanie ładu wersalskiego przy pomocy Traktatu Ryskiego, nie obciąża jednak polityki polskiej względnie ówczesnego jej kierownictwa. Jest to tym bardziej godne uznania, że kierownictwo to działać musiało w warunkach bardzo trudnych, w Polsce trwał bowiem ciągle jeszcze stan przedłużonej tymczasowości ustrojowej. Przy braku konkretnych sprecyzowań ustawowych określenie kompetencji ministra spraw zagranicznych, premiera rządu, a także Naczelnika Państwa było sprawą trudną i do końca niewyjaśnioną. Dalszym utrudnieniem była świadomość, że Traktat Ryski przez dotychczasowego rzeczywistego kierownika polityki zagranicznej, jakim był Naczelnik Państwa, przyjęty został niechętnie. Piłsudski traktat ratyfikował i może nawet był jedynym obok kolejnych ministrów spraw zagranicznych, Skirmunta i Narutowicza, który w pełni docenił korzystną dla Polski i Europy koniunkturę, jaką traktat stwarzał. Niemniej — słusznie czy niesłusznie, przesadnie czy rzeczowo — podkreślano w opinii międzynarodowej i krajowej, że Traktat Ryski był przekreśleniem jego własnej wizji politycznej, zmierzającej do trwałego osłabienia Rosji w oparciu o dążenia wolnościowe narodów nierosyjskich, jakie po imperium carskim dziedziczyło w swych granicach nowe imperium komunistyczne.

Lecz z drugiej strony Piłsudski oceniał bardzo trzeźwo sytuację europejską. Obawiał się osłabienia frontu mocarstw zachodnich i tym samym skuteczności działania Ligi Narodów. W tej ocenie nie był odosobniony, gdyż obawy te podzielało wielu polityków — zwłaszcza zachodnich, spośród których wielu do tego właśnie osłabienia jak najgorliwiej się przykładało. Lecz jeśli nie liczyć innych polityków polskich, zwłaszcza Gabriela Narutowicza, Piłsudski był odosobniony w swych obawach, że pomimo Traktatu Wersalskiego krępującego Niemcy i Traktatu Ryskiego wiążącego Rosję oba te państwa wykorzystają każdą nadarzającą się okazję dla stworzenia wspólnego frontu współpracy politycznej, gospo-

darczej i wojskowej, skierowanego przeciwko stworzonemu przez oba traktaty łaadowi europejskiemu. A więc przede wszystkim przeciwko Polsce. Obawom tym dał wyraz po zaskakującym całą Europę układzie niemiecko-sowieckim w Rapallo, gdy zmusił do ustąpienia rząd Ponikowskiego. Uzasadnił wówczas ten krok, traktowany przez wielu jako niekonstytucyjny, w ten sposób, że powstało nowe i śmiertelne zagrożenie państwa polskiego i jego interesów. Skutki tego zagrożenia są kwestią przyszłości, lecz zdawać sobie z nich sprawę i w czas im zapobiec jest obowiązkiem rządu polskiego. Obowiązkowi temu podołać może tylko rząd silny i rozumiejący, na czym niebezpieczeństwo polega, a on jako Naczelnik Państwa żadnego z tych przymiotów w rządzie Ponikowskiego dopatrzeć się nie może.

Wróćmy jednak na szerszą arenę polityki międzynarodowej, a ściśle do pytania, dlaczego ówczesna polityka europejska nie umiała solidarnie i we wspólnym interesie wyzyskać koniunktury stworzonej przez Traktat Ryski. Przyczyn zasadniczych było trzy, dwie z nich wiązały się ze sobą. Przyczyn pochodnych lub marginalnych było oczywiście znacznie więcej.

Najistotniejszym powodem było osłabienie od samych początków tej instytucji, która w mniemaniu sprzymierzonych w pierwszej wojnie światowej, a przynajmniej niektórych z nich, miała być praktycznym wykładnikiem ładu utworzonego w Traktacie Wersalskim. Instytucją tą była Liga Narodów. Pomyślana jako najwyższy trybunał międzynarodowy, a jednocześnie jako swoisty parlament państw, posługiwać się miała autorytetem moralnym wspartym odpowiednią siłą materialną. Statut jej pomyślany był lepiej niż statut ONZ, choćby dlatego, że nie dopuszczał weta wielkich mocarstw. Zakres kompetencji Ligi był dość szeroki. Między innymi jej bądź też wyłonionym przez nią organom zlecono załatwienie niektórych spraw spornych, pozostałych po konferencji pokojowej roku 1919. Do takich należała na przykład decyzja w sprawie Górnego Śląska. Lecz wycofanie się z Ligi Narodów tego państwa, którego przywódca Ligę stworzył, zadało jej cios tak mocny, że zarówno jej autorytet moralny jak i siła wykonawcza stanęły z miejsca pod znakiem zapytania. Ameryka odmówiła ratyfikacji Pokoju Wersalskiego i umowy stwarzającej Ligę Narodów. Nieobecność Ameryki w Europie i w Lidze Narodów zaliczyć należy do podstawowych przyczyn słabości i przyszłego upadku systemu pokojowego utworzonego po pierwszej wojnie światowej.

Skutkiem dalszym wycofania się Ameryki było wywichnięcie

równowagi sił między pozostałymi wielkimi mocarstwami. Japonia przestała się Europą interesować, Włochy trudno było nazwać mocarstwem w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Pozostawały Wielka Brytania i Francja, których drogi polityczno rozeszły się w ciągu kilku lat właśnie na tle różnicy poglądów, jak najlepiej zabezpieczyć pokój w Europie. Różnice te wyraziły się przede wszystkim w ich stosunku do dwóch mocarstw, które do Ligi Narodów nie należały, a których przystąpienie w przyszłości obwarowano szeregiem warunków. W roku 1921 żaden z tych warunków spełniony nie był. Mocarstwami tymi były Niemcy i Rosja.

Ważniejszym z nich była Rosja — już choćby z tego względu, że formalnie nie wiązały jej postanowienia Traktatu Wersalskiego. Lecz wiązały ją postanowienia Traktatu Ryskiego. Francja w dalszym ciągu powątpiewała w trwałość rządów bolszewickich, była więc niechętna pokojowi zawartemu z Rosją przez Polskę. Stanowisko bardzo ostrożne zajmowała także Wielka Brytania. Była bardziej skłonna niż Francja do rezygnacji z prób obalenia rządu komunistycznego i do nawiązania stosunków z Moskwą, przynajmniej na płaszczyźnie gospodarczej. Lecz dzieliło ją od Francji, a w tym wypadku także od Polski, coś więcej niż stosunek do Rosji. Mianowicie chęć dopomożenia Niemcom w wydobyciu się z kłopotów gospodarczych, wywołanych przynajmniej w części reparacjami wojennymi, przy których upierała się Francja. I dla Anglii, i dla Francji podpisanie przez Polskę pokoju z Rosją oznaczało zrzucenie kurateli mocarstw sprzymierzonych. Na kuratelę tę Polska godziła się do czasu, chcąc dotrzymać postanowień Traktatu Wersalskiego, które przewidywały konieczność uznania przez mocarstwa także granic wschodnich Rzeczypospolitej. Na uznanie to czekać Polsce przyszło aż do roku 1923, co w ocenie historycznej było wysiłkiem zbędnym, gdyż granice te wyznaczył i *de facto*, i *de iure* Traktat Ryski.

Zabiegi o uznanie granic absorbowwały politykę polską. Lecz nie stanowiły trzonu tej polityki. Jej istotą było nakłonienie całej Europy do uznania rzeczywistości w postaci normalizacji stosunków z Rosją. Polska widziała w tym jedyny sposób zapobieżenia zbliżeniu rosyjsko-niemieckiemu. W wysiłkach swych dyplomacja polska osiągnęła duży sukces w postaci zwołania konferencji gospodarczej większości państw europejskich w Genui z udziałem i Rosji, i Niemiec. Nie było winą Polski, że konferencja ta doprowadziła do Rapallo. Natomiast stało się jasne, że od tej chwili Polska stawiała się nie tylko najważniejszym, lecz w ogóle jedynym stróżem pokoju w Europie środkowo-

wschodniej. Tym samym przejęła na siebie ciężar strzeżenia pokoju na obszarach położonych na wschód od Niemiec i na zachód od Rosji, czyli w szerokim pasie między Bałtykiem a Morzem Czarnym i Bałkanami. Fakt ten jednak nie został właściwie doceniony w stolicach zachodnich, wskutek czego Polska ciężar ten musiała dźwigać bez wystarczającej pomocy Europy zachodniej.

Przyczyną tego stanu rzeczy było niedostrzeganie, przynajmniej w latach dwudziestych, ścisłego związku między Traktatem Ryskim i Traktatem Wersalskim. Ten brak zrozumienia właściwego znaczenia Traktatu Ryskiego i roli, jaka po jego podpisaniu przypadła Polsce w Europie miał wiele konsekwencji. Dwie z nich miały decydujące znaczenie dla dalszych dziejów nie tylko Europy, lecz całego świata. Pierwszą była szybko następująca dezintegracja stworzonego w Wersalu systemu bezpieczeństwa, co działało na korzyść interesów dwóch państw system ten pragnących obalić — Niemiec i Związku Sowieckiego. Drugą — odmienne traktowanie bezpieczeństwa Europy zachodniej i bezpieczeństwa Europy środkowo-wschodniej, co umożliwiło po niespełna dwudziestu latach wspólne wystąpienie zbrojne Niemiec i Rosji — innymi słowy, rozpętanie drugiej wojny światowej.

Historia nie uznaje słowa „gdyby”. Jałowe więc jest dociekanie, co by się stało, jakimi kolejami potoczyłyby się dzieje, gdyby te dwie konsekwencje niezrozumienia ścisłego związku między Traktatami Wersalskim i Ryskim ustąpiły miejsca powszechnej woli traktowania sprawy bezpieczeństwa Europy jako niepodzielnej całości. Nie jest natomiast jałowe doszukiwanie się przyczyn dorywczości, braku konsekwencji i zwykłej lekkomyślności, jakie cechowały politykę europejską okresu międzywojennego w ogólności, a politykę poszczególnych państw europejskich w szczególności. Dopiero na tym szerszym tle ocenić można politykę zagraniczną Polski.

II

Akty prawa międzynarodowego o których była tu mowa stwarzały wcale mocną i powiązaną w logiczną całość podstawę dalszego działania w polskiej polityce zagranicznej. Nie znaczyło to co prawda, by nie pozostawało już nic do załatwienia ze spraw

spornych. Lecz zarówno niezakończony spór z Litwą, powstały na tle przynależności Wileńszczyzny, jak i już zarysowujące się trudności w sprawie uprawnień polskich w Wolnym Mieście Gdańsku uznać było można za zagadnienia marginalne. Nie były natomiast marginalnymi sprawy wewnętrzne i to pomimo uchwalenia Konstytucji Marcowej, którą w roku następnym miano wprowadzić w życie. Lecz uregulowanie spraw wewnętrznych nie przyczyniało się do podwyższenia kredytu zaufania udzielanego Polsce za granicą, a mówiąc ściślej w stolicach zachodnich i w Lidze Narodów. Dlatego, że nie załatwiała w sposób zadowalający zagadnień mniejszości narodowych, przede wszystkim zaś sprawy Galicji Wschodniej, zwanej przez Polaków Małopolską Wschodnią. Bo zarówno tekst Konstytucji Marcowej jak i praktyka administracyjna nie przybliżały, lecz oddalały realizację autonomii mającej zabezpieczyć jeśli nie ambicje, to przynajmniej interesy Ukraińców galicyjskich. Wobec zapowiedzianych na jesień 1922 roku wyborów do nowego Sejmu i Senatu, przy ordynacji wyborczej nie czyniącej żadnej różnicy między częściami składowymi państwa polskiego powstawała obawa formalnego protestu ze strony wielkich mocarstw i Ligi Narodów, tym bardziej, że w tym kierunku pracowały usilnie nie tylko emigracja ukraińska i propaganda niemiecka, lecz także rząd czechosłowacki.

Zażegnanie tego niebezpieczeństwa było zasługą ministra spraw zagranicznych Gabriela Narutowicza. Pomimo oporów prawicy sejmowej wysunął on projekt autonomii Małopolski Wschodniej w postaci „przedłożenia rządowego”, które Sejm zamienił w ustawę z dnia 26 października 1922 roku. Ustawa ta nigdy nie weszła w życie, co na pewno nie było winą Narutowicza. Niewątpliwie storpedowanie jej przez późniejsze Sejmy było jednym z zasadniczych błędów Polski dwudziestolecia międzywojennego. Niemniej, choć zapłacić za to miało państwo polskie w przyszłości, w latach 1922-23 jej uchwalenie zostało jak najlepiej przyjęte na Zachodzie, zwłaszcza we Francji i we Włoszech, i usunęło ostatnie opory przed uznaniem przez mocarstwa granicy ryskiej oraz granicy polsko-litewskiej. Uznanie to usuwało ostatnią przeszkodę z drogi swobodnego działania Polski na arenie międzynarodowej.

W jakim kierunku owa droga swobodnego działania miała w tym okresie prowadzić? Otóż przede wszystkim w kierunku wzmocnienia bezpieczeństwa państwa polskiego i tym samym bezpieczeństwa europejskiego. Zagrożenie widziano w tym okresie, jak i w poprzednim, w możliwości porozumienia rosyjsko-nie-

mieckiego. Jakżeż jednak pogodzić dopatrywanie się w tym niebezpieczeństwa ze świadomością, że zabezpieczały przed nim Polskę Traktat Ryski i sojusz polsko-francuski?

Polska nie podzielała przekonania panującego wówczas na Zachodzie, że Związek Sowiecki wyłączył się na jakiś bardzo długi czas z biegu spraw światowych i że po prostu można jego istnienie ignorować. Brak uznania dyplomatycznego — dyktowany przesłankami ideologicznymi i ciągle jeszcze pokutującymi w gabinetach ministerialnych nadziejami zwycięstwa kontrrewolucji — wiązał się dziwacznie z przeświadczeniem o całkowitej niezdolności rządu komunistycznej Rosji do prowadzenia aktywnej polityki międzynarodowej. Niewątpliwie Rosja była słaba w sensie gospodarczym i szarpała trudnościami wewnętrznymi, a działanie jej ustroju było wielką zagadką. Jej słabość jednak nie oznaczała passywności politycznej i była zresztą pojęciem względnym. Owszem, w kołach kapitału zachodniego, zwłaszcza w Anglii, dojrzewały już myśli o pożytku z nowych inwestycji w Rosji i wskrzeszeniu obrotów handlowych z tak zasobnym rynkiem surowcowym. Lecz ożywienie stosunków handlowych — dodajmy tu: wyłącznie handlowych — chciano osiągnąć bez porzucania zasady politycznej izolacji Rosji. Nie traktowano zbyt poważnie możliwości wznowienia przez nią agresji zbrojnej. Być może, że świeży przykład klęski w wojnie z Polską działał tu także, tak jak działał w umysłach społeczeństwa polskiego, które — orientując się lepiej w niebezpieczeństwie, jakie mu grozić może ze strony Rosji — skłonne było jego rozmiarów nie doceniać.

Zdaniem Polski — dodajmy tu od razu, że pogląd ten nie był poglądem powszechnym, lecz raczej ograniczał się do nielicznej grupy ludzi odpowiedzialnych za jej politykę — Traktat Ryski należało uważać za podstawę normalizacji stosunków z Rosją, za wstęp do wymiany handlowej i kulturalnej i do współudziału Rosji w życiu Europy. Polska robiła też wysiłki w tym kierunku. Dzięki nim doszło do zaproszenia Rosji, wraz z Niemcami, na konferencję do Genui w maju 1922 roku.

Jej celem miała być normalizacja stosunków gospodarczych w całej Europie po to, by stworzyć podstawy pod odbudowę. Dlatego też zaproszono na konferencję także pokonane Niemcy, będące zresztą w kleszczach kryzysu spowodowanego między innymi ciężkimi warunkami odszkodowań wojennych. Gdy jednak Polska i współdziałające z nią, z jej zresztą inicjatywy, inne państwa Europy środkowej widziały w Genui pierwszy krok

do normalizacji stosunków z Rosją także na płaszczyźnie politycznej, mocarstwa zachodnie sprawę traktowały inaczej. Anglia chciała narzucić Rosji pomoc kredytową w zamian za surowce, Francja zaś domagała się przede wszystkim przejęcia przez rząd komunistyczny pełnej obsługi długów rządu carskiego, włączając w to inwestycje prywatne w przedwojenny przemysł rosyjski. Była to cena, której Rosja za niesprecyzowane korzyści płacić nie miała zamiaru.

Rezultatem był układ rosyjsko-niemiecki zawarty w Rapallo, pod bokiem konferencji genueńskiej, ku całkowitemu zaskoczeniu obradujących. Stwarzał on podstawy pod współpracę gospodarczą i wojskową rosyjsko-niemiecką. Był pierwszym ciosem zadany systemowi wersalskiemu i pierwszą zapowiedzią drugiej wojny światowej.

Polska chciała czegoś zupełnie innego. Chciała normalizacji stosunków w Europie z udziałem Rosji. Celu tego nie dopięła, bo nie wzięto pod uwagę jej ocen sytuacji europejskiej, a była zbyt słaba, by móc swój pogląd narzucić.

Rapallo ocenił ówczesny Naczelnik Państwa jako klęskę polityczną Polski i Europy i jako wznowienie śmiertelnego zagrożenia niepodległości Polski i pokoju europejskiego. Podobnie sytuację ocenił Narutowicz. Niebezpieczeństwa nie docenił natomiast Sejm łącznie ze swą komisją spraw zagranicznych. Niemniej — pomimo wstrząsów, jakie Polskę zaczęły szarpać — jej polityka zagraniczna zaczęła szukać nowych środków przeciwstawienia się niebezpieczeństwu, nie zadowolając się tekstem traktatów podpisanych przez siebie i przez swych nieprzyjaciół — potencjalnych jeszcze, lecz już groźnych.

III

Żadne z państw europejskich, włączając w to sąsiadów Polski, nie odczuwało bezpośredniego zagrożenia przez oba jednocześnie państwa antywersalskie. Jedne uważały, że grozi im Rosja — inne, że grozi im Niemcy. Do pierwszej grupy należały państwa bałtyckie i Rumunia. Do drugiej przede wszystkim Francja, w nieznacznym tylko stopniu Belgia i w pewnej mierze Litwa na tle położenia terytorium Kłajpedy. Tego rodzaju ocena włas-

nego bezpieczeństwa przetrwała z małymi tylko wahaniami w stolicach europejskich aż do czasów monarchijskich. To znaczy do likwidacji państwa czechosłowackiego. Z perspektywy czasu i doświadczeń uznać to można za prawdziwy dziwolaż historyczny. Bo oto ofiarą było państwo, które politykę swą opierało na przekonaniu, że nic mu nie grozi — ani ze strony Rosji, ani ze strony Niemiec.

Jest to zresztą jeden tylko z przykładów, choć bezsprzecznie przykład ważny, trudności, na jakie napotykała polityka polska w poszukiwaniu umów asekuracyjnych zarówno z Francją, jak i ze swymi sąsiadami. Bo Polska była zagrożona zarówno ze strony Niemiec, jak i ze strony Rosji. Przeciwno jednemu z potencjalnych nieprzyjaciół mogła znaleźć sojuszników, przeciwko obydwum nie mogła inaczej niż w sposób pośredni — to znaczy w wypadku, gdy Niemcy przyjść chciały z czynną pomocą Rosji. Sposób ten zadziałał zresztą skutecznie tylko raz. Mianowicie w zimie 1921 roku, gdy został zawarty sojusz obronny polsko-francuski. Alternatywy nie było. Każda próba znalezienia innego rozwiązania narażała Polskę na osamotnienie w stosunkach albo z Rosją, albo z Niemcami, albo z obydwojma tymi państwami naraz. Osamotnienie to doprowadzić mogło, i to w szybkim tempie, do podporządkowania interesów Polski interesom któregoś z tych dwóch lub obydwu sąsiadów. To znaczy do utraty niepodległości i ponownego zagarnięcia Pomorza, Poznańskiego i Górnej Śląska przez Niemcy.

Lecz koncepcja porozumienia rosyjsko-niemieckiego odżyła znowu w Rapallo. I od daty tego porozumienia, 16 kwietnia 1922 roku, zaczął się powolny proces dezintegracji systemu wersalskiego. Nie tylko dlatego, że Niemcy zdobyły możliwości szkolenia wojskowego w Rosji i nawiązały wymianę gospodarczą na dogodnych dla siebie warunkach. Nie tylko dlatego, że Rosja uzyskała pomoc fachową i kredytową dla odbudowy swego przemysłu ciężkiego. System wersalski został podważony w Rapallo dlatego, że Rosja wyszła z izolacji międzynarodowej bez potrzeby dołączenia do systemu wersalskiego, który był pomyślany jako system zbiorowego bezpieczeństwa i do czasu tak właśnie funkcjonował.

Polska chciała czego innego. Chciała, by Związek Sowiecki został w Genui uznany za partnera całej Europy. Byłby to logiczny wniosek wyciągnięty z nowej rzeczywistości. Byłaby to normalizacja polityczna mogąca prowadzić do realizacji zasady bezpieczeństwa powszechnego. Byłoby to nadanie mocy syste-

mowi wersalskiemu, z którego Niemcy bez pomocy rosyjskiej nie mogłyby się wyłamać. Czy tak by się było stało, gdyby zamiast Rapallo mocarstwa zachodnie doszły z Rosją do porozumienia w Genui, nie może dziś nikt ocenić. Lecz istota rzeczy nie na tym polega, co by się stało, gdyby się co innego nie stało, lecz na tym, że plan normalizacji stosunków w Europie, na którym Polska budowała własne bezpieczeństwo, nie został podjęty przez mocarstwa zachodnie.

Grozę sytuacji oceniono natychmiast bardzo trafnie w Warszawie. Naczelnik Państwa Józef Piłsudski na naradzie z premierem Ponikowskim i wracającym z Genui ministrem spraw zagranicznych Skirmuntem stwierdził po prostu, że zarysowało się nad Polską „śmiertelne niebezpieczeństwo”. I w sposób brutalny zażądał ustąpienia Ponikowskiego i Skirmunta. Nie miała to być kara za niepowodzenie konferencji genueńskiej, lecz zaznaczenie faktu, że — jak się wyraził Piłsudski — nie można „w nowej sytuacji prowadzić polityki zagranicznej w szlafroku i w pantoflach”, lecz że należy wykazać jak największą energię, a nawet brutalność w szukaniu środków zaradczych przeciwko pogłębianiu się i skutkom porozumienia niemiecko-sowieckiego.

Tym bardziej, że w bezpośrednim skutku umowy z Rapallo rozchwiały się daleko zaawansowane plany sojuszków i ścisłej współpracy politycznej Polski z czterema państwami bałtyckimi, co miało być wstępem do nawiązania bliższych więzów z państwami Małej Ententy — to znaczy poprzez sprzymierzoną z Polską Rumunię z Jugosławią i Czechosłowacją. Finlandia, dotychczas ostrożna w pertraktacjach z Polską, po Rapallo wycofała się z nich całkowicie, a Estonia i Łotwa przestały wywierać konieczny dla realizacji sojuszu bałtyckiego nacisk na Litwę. Z Rumunią stosunki polskie pozostawały bliskie. Miała ona zobowiązania sojusznicze w stosunku do Polski, naturalnie na zasadzie wzajemności, w razie zagrożenia ze strony Rosji. Lecz sojusz polsko-rumuński był tylko pochodną sojuszu polsko-francuskiego. Ten zaś, chociaż nie stracił jeszcze swego znaczenia, stawał się wątpliwy w miarę narastania chęci Paryża do odrabiania skutków Rapallo przy pomocy łagodzenia wzajemnych niechęci francusko-niemieckich. Także stosunki polsko-czechosłowackie były wypadkową polityki francuskiej. Pomimo wzajemnych pretensji między Pragą i Warszawą możliwość współpracy politycznej była dotychczas duża, a jej konieczność oczywista. Po Rapallo jednak przestało to być oczywiste. W ocenie Pragi, z czym nie krył się nawet tak wielkiej miary mąż stanu jak prezydent Tomasz Masaryk, Polska stawiała się po Rapallo zbyt

kłopotliwym dla Czechosłowacji partnerem. W ocenie czechosłowackiej Polska nie miała warunków na pełną normalizację stosunków z Niemcami, gdyż będą się one starać obalić te postanowienia Traktatu Wersalskiego, które przywróciły Polsce ziemie byłego zaboru pruskiego. Spowoduje to osłabienie pozycji międzynarodowej Polski, na którym skorzysta na pewno Rosja Sowiecka. Oceniając to stanowisko na długiej fali czasu, nie można było politykom czeskim odmówić zdolności przewidywania. Z tym tylko, że popełnili ogromny błąd w rozwinięciu swojej analizy. Mianowicie uważali, że w przeciwieństwie do Polski Czechosłowacji nic nie grozi, ani od strony Rosji, ani od strony Niemiec, i że jedynym, lokalnym zresztą zagrożeniem jej interesów może być rewizjonizm węgierski. Po kilkunastu latach błąd ich ujawnił się w całej rozciągłości.

W obliczu widma wspólnego frontu Niemiec i Rosji Polska była osamotniona.

Znaczenie tego faktu nie docierało do świadomości społeczeństwa polskiego zajętego sprawami ustrojowymi, kłopotami życia codziennego, odbudową gospodarczą i reformą walutową. Polityka zagraniczna była dziedziną trudną także dla Sejmu. Zwłaszcza, że z pozoru niewiele się zmieniło. Obowiązywał Traktat Wersalski, obowiązywał Traktat Ryski, działała Liga Narodów. Francja uchodziła dalej za największą potęgę na kontynencie, a z Francją Polska była w sojuszu. Niemcy były rozbrojone i pogrążone w kryzysie gospodarczym. Dotrzymywały zresztą konwencji handlowych, co zapewniało zbyt dla prawie 50 % całego eksportu polskiego. Pomimo propagandy antypolskiej i antywersalskiej były państwem pokonanym, borykającym się ze spłatą odszkodowań wojennych, pod ciągłą grozą okupacji Nadrenii. Rosja za nową granicą była dalej w krańcowej nędzy i organizacyjnym chaosie i nie wydawała się groźna. Dywersja nadgraniczna, a także dywersja prowadzona przez jej agentów w głębi terytorium polskiego dawała dużo do myślenia, lecz nie zapowiadała bezpośredniego niebezpieczeństwa. Wszystko zależało od tego, jak szybko Niemcy i Rosja wydzwigną się ze swych kłopotów i uaktywnią swą działalność na polu międzynarodowym. A to z kolei zależało od reakcji stolic zachodnich na niepowodzenia konferencji genuńskiej i traktat sowiecko-niemiecki zawarty w Rapallo.

Otóż reakcja ta nie wróżyła Polsce niczego dobrego. Polegała bowiem na spóźnionych próbach pozyskania Rosji w drodze indywidualnego nawiązywania stosunków dyplomatycznych, propozy-

cji dwustronnych stosunków handlowych i rezygnacji z pretensji finansowych, co tylko w mniemaniu giełd — paryskiej i londyńskiej czy amsterdamskiej — mogło mieć znaczenie, gdyż Rosji zupełnie na tej rezygnacji nie zależało, ponieważ nie miała i tak żadnej ochoty przejmowania na siebie zobowiązań finansowych Rosji carskiej. Ten sposób formalnej tylko normalizacji stosunków z Rosją Sowiecką ani nie zapobiegał, ani nie osłabiał współpracy rosyjsko-niemieckiej. Rozwijała się ona bardzo owocnie także po nawiązaniu stosunków z Moskwą przez Anglię i Francję. Nie zahamowało jej zaangażowanie się państw zachodnich w politykę ustępstw, normalizacji, a nawet daleko idącej pomocy gospodarczej w stosunku do pokonanych Niemiec.

Jakie były powody przejścia do tego rodzaju polityki w stolicach zachodnich? Jednym z nich było niewątpliwie uznanie Rapalla, podobnie jak uznano je w Warszawie, za groźbę wspólnego frontu niemiecko-rosyjskiego. Chciano temu przeciwdziałać, lecz obierano środki, które — nawet jeśli były skuteczne na krótką metę — podważały jednocześnie podstawy ładu europejskiego, to znaczy postanowienia Traktatu Wersalskiego oraz działalność Ligi Narodów. Zamiast system wersalski wzmacniać, dawano na Zachodzie posłuch tendencjom dezintegracji tego systemu w imię egoistycznie pojmowanych własnych interesów państwowych i gospodarczych. Więzy rosyjsko-niemieckie starano się osłabić przy pomocy swoistego przetargu ustępstw. W stosunku do Niemiec łagodzano warunki spłaty odszkodowań wojennych, w czym zresztą pomoc dał także kapitał amerykański, dbały o poprawę położenia gospodarczego Niemiec. Była to nie tyle przynęta, ile okup, przyjmowany w Niemczech tym chętniej, że w ślad za nim rozaczano perspektywy rozmów politycznych na temat przystąpienia Niemiec do Ligi Narodów i likwidacji innych ograniczeń wersalskich. Była to więc propozycja normalizacji tak pomyślana, by objęte nią zostały przede wszystkim kraje Europy zachodniej. Natomiast Europie środkowo-wschodniej jako gwarancje bezpieczeństwa musiałyby wystarczyć dotychczasowe sformułowania traktatowe i procedura Ligi Narodów, nigdzie nie wypróbowana. To znaczy wschodnim sąsiadom Niemiec wystarczyć miały te same środki, które przede wszystkim Francja, a za nią Belgia uważały za niewystarczające i które chciały wzmocnić dodatkowymi umowami bilateralnymi.

Polityka ta ukoronowana została w roku 1925 w Traktacie Reńskim, zwanym pospolicie od miejsca podpisania Traktatem Locarno.

LOCARNO

I

By móc właściwie ocenić przełomowe dla historii Europy znaczenie paktu podpisanego w Locarno 16 października 1925 roku, musimy przypomnieć zasady tak zwanego systemu wersalskiego. Traktat Wersalski, zgodnie nazywany „dyktatem” przez propagandę niemiecką i sowiecką, był podstawą zbiorowego systemu bezpieczeństwa pomyślanego jako sposób zapobieżenia nowej wojnie. Sposobem najpewniejszym wydawało się narzucenie pokonanym Niemcom takich warunków pokojowych, które uniemożliwiałyby im wszczęcie zbrojeń i zdobycie przewagi politycznej nad ich zwycięzcami. Na straży zbiorowego bezpieczeństwa stać miała instytucja ponad-narodowa — Liga Narodów — zdolna zarówno do skutecznego arbitrażu sporów międzynarodowych, jak i do wymuszenia zbiorowego wystąpienia wszystkich państw członkowskich przeciwko ewentualnemu aktowi agresji podjętej przez jakiegokolwiek państwo lub państwa, obojętnie, czy należące do Ligi Narodów czy nie.

Aparat jakim Liga Narodów miała dysponować by tym zadaniom sprostać wydawał się skuteczny, dopóki istniała atmosfera współpracy i wspólnoty celów politycznych wielkich mocarstw sprzymierzonych. Bo w ich jako członków Rady Najwyższej rękę pozostawiało kierownictwo Ligi Narodów. One też, mając prawo i obowiązek powzięcia szybkiej decyzji, miały dostateczną siłę polityczną, gospodarczą i wojskową, by przy ich pomocy zapobiec czyjejkolwiek agresji.

Do Rady Najwyższej wchodziły jako członkowie stali Wielka Brytania, Francja, Stany Zjednoczone, Włochy i Japonia. A obok nich, naprzód trzy, potem sześć, a wreszcie dziewięć państw wybieranych przez Zgromadzenie Ogólne Ligi na członków „półstałych”, to znaczy na trzy lata. Wśród państw tych znalazła się po kilku latach także Polska. Lecz już po roku istnienia Ligi Narodów, zanim jeszcze zdołała się zorganizować, wspólnota celów i zgodność działania piątki sprzymierzonych mocarstw należały do przeszłości.

Stany Zjednoczone wycofały się z Europy. Japonia ograniczyła swój udział w pracach Ligi do tych spraw, bardzo nielicznych, które mogły dotyczyć jej bezpośrednio. Pozycja mocarstwowa Włoch stała zawsze pod znakiem zapytania, a duża liczba

kwestii spornych z ich sąsiadami częściej stawiała je w roli klienta szukającego pomocy niż nadrzędnego arbitra. Pozostały więc Anglia i Francja — z przewagą, gdy o możliwości gospodarcze chodzi, po stronie Anglii i z przewagą wojskową po stronie Francji. Francja zresztą miała w Europie opinię właściwego przywódcy na arenie politycznej z tego względu, że jej interesy — w przeciwieństwie do ówczesnych interesów angielskich — leżały w Europie, a także dlatego, że wykazywała w w Europie największą ruchliwość polityczną. Miała zresztą popleczników w państwach „Małej Ententy”. Z nimi Francja powołała w dodatkowe umowy i sojusze bilateralne. Podobnym sojuszem był sojusz polsko-francuski.

Sojusz ten miał dla Polski znaczenie podstawowe, gdyż porozumienie polityczno-wojskowe rosyjsko-niemieckie Polsce przede wszystkim i jej sąsiadom bezpośrednim mogło zagrażać.

Chęć przystąpienia do Ligi Narodów Niemcy wyrażały już od dawna. Traktowały tę sprawę po części jako prestiżową, głównie jednak zależało im na wzięciu czynnego udziału w działaniu instytucji, w której koncentrowała się w latach dwudziestych polityka europejska, a w dużej mierze także światowa. W tym względzie stanowisko Rosji Sowieckiej było zupełnie inne, co spowodowało nawet pewne oziębienie między Berlinem i Moskwą. Oziębienie zresztą chwilowe, którego wyzyskać polityka francuska i angielska nie umiała nawet na odcinku ograniczonych celów politycznych, a polityka polska wyzyskała, lecz w zakresie bardzo skromnym, nie łudząc się zresztą, by zaprzestanie prowokowania incydentów granicznych i przyciszenie antypolskiej agitacji wśród ludności białoruskiej oznaczało zmianę ogólnej linii politycznej Związku Sowieckiego wobec Polski.

Dotykamy tu sprawy bardzo istotnej przy ocenie polskiej polityki zagranicznej — mianowicie, czy istniały alternatywy starania się o zapobieżenie wszystkiemu, co zagrażało bezpieczeństwu Polski, w drodze akcji dyplomatycznej prowadzonej w ramach obowiązujących Polskę umów międzynarodowych ze statutem Ligi Narodów na czele. Akcję tę w okresie poprzedzającym Locarno prowadził przede wszystkim Aleksander Skrzyński jako minister spraw zagranicznych. Był zdolnym i zręcznym dyplomata, czemu zawdzięczał niejedno powodzenie. Spotykała go jednak krytyka w Sejmie, jak na przykład głośnie wystąpienie posła Głabińskiego z zarzutem „uległości wobec państw obcych”. Chodziło o Francję, którą Skrzyński zapewniał przy każdej sposobności, że Polska gotowa jest dotrzymać wszystkich zobowią-

zań sojuszniczych w stosunku do Niemiec. Zapewnienia te były o tyle istotne, że skłaniając się do normalizacji stosunków z Niemcami Francja wywierała jednak na nie stały nacisk w sprawie odszkodowań wojennych. Nacisk ten miał jednak na celu uzyskanie jak najdalej idących gwarancji bezpieczeństwa ze strony Niemiec jako warunku ich dopuszczenia do Ligi Narodów. W tym względzie Polska była dla Francji pomocnikiem cennym — zwłaszcza, że nie znajdowała poparcia ze strony Anglii, Włoch i Belgii.

Skrzyński uzyskał niejedno. Nie tylko poparcie Francji w negocjacjach handlowych z Niemcami, lecz także klauzulę o obowiązku arbitrażu w ewentualnych sporach polsko-niemieckich, którą wstawiono w umowy lokarneńskie. Lecz uzyskał znacznie mniej niż chciał uzyskać, gdyż nie zapobiegł podzieleniu zagadnienia normalizacji z Niemcami na dwa odrębne elementy: francusko-niemiecki i niemiecko-polsko-czechosłowacki. Przy czym nawet tego drugiego elementu nie potraktowano jako całości lecz jako dwie odrębne umowy. Skrzyński nie ponosi za to winy. Stworzeniu wspólnego, choćby tylko drugorzędnego frontu z Polską w rozmowach lokarneńskich sprzeciwili się Czesi, uważając, zdaniem Benesza, że ze strony Niemiec bądź nic im nie zagraża, bądź znacznie mniej niż Polsce. Nie odbyło się to bez cichego wpływu Moskwy.

Oczywiście te wysiłki nie stanowiły prawdziwej alternatywy politycznej. Teoretycznie takie alternatywy istniały. Jedną mogło być przelicytowanie się w ustępstwach wobec Niemiec, drugą wyłamanie się z systemu wersalskiego i szukanie pomocy Związku Sowieckiego. Ceną w pierwszym wypadku byłoby wyrażenie zgody na rewizję granicy polsko-niemieckiej z perspektywą cesji co najmniej Pomorza i Górnego Śląska. Była to więc alternatywa, której żaden rząd polski brać pod uwagę nie mógł. Sądzę, że nie ma potrzeby dalszego uzasadniania, lecz warto może dodać, że za tego rodzaju ustępstwo, gdyby było możliwe, a możliwe nie było, Niemcy ani nie chciały, ani nie mogły niczego ofiarować. Nawet sojuszu obronnego przeciwko Rosji, gdyż celem politycznym nie było dla Niemiec ubezpieczenie od strony Rosji, lecz zapewnienie sobie jej dalszego poparcia.

Każdy, kto na widok zbliżenia się Niemiec do Francji i Anglii, czemu służyło Locarno, miał pod tym względem jakiejkolwiek wątpliwości, przestał je mieć w maju 1926 roku. A więc już po podpisaniu Paktu Lokarneńskiego. Bo ku zdumieniu cieszącej się normalizacją stosunków z Niemcami Francji i Zgromadzenia Ligi Narodów 16 maja minister spraw zagranicznych Rzeszy

Stresemann podpisał z Rosją traktat gwarantujący wzajemną neutralność w jakimkolwiek konflikcie z jednoczesnym potwierdzeniem umowy z Rapallo.

Znajdujemy w tym także pośrednią odpowiedź na pytanie, czy przed Polską w latach dwudziestych otwierała się alternatywa szukania pomocy u Rosji Sowieckiej. Jest to pytanie zupełnie retoryczne i jeśli poświęcam mu chwilę uwagi, to tylko dlatego, że tą właśnie alternatywą posługuje się argumentacja historyków komunistycznych w PRL, nie mówiąc już o propagandzie. Polska nie zaniebdywała żadnej okazji poprawy stosunków ze swym sąsiadem wschodnim. A jak widzieliśmy, porozumieniu niemiecko-sowieckiemu chciała przeciwdziałać w drodze wprowadzenia Rosji do Europy jako współuczestnika w systemie zbiorowego bezpieczeństwa. Natomiast żadnej chęci zbliżenia z samą tylko Polską po stronie sowieckiej nie było. Nie było żadnej w tym kierunku propozycji, żadnej nawet sondy. Pominąwszy wszystkie inne względy, oparcie się o Rosję było niemożliwe inaczej niż w drodze dobrowolnego samobójstwa. To znaczy zgłoszenia akcesu do Związku Sowieckiego jako siedemnasta wówczas republika związkowa. Oczywiście z jednoczesnym dobrowolnym odstąpieniem Niemcom całego byłego zaboru pruskiego zgodnie z programem politycznym KPP. A więc alternatywy nie było, prócz dobrowolnej rezygnacji z niepodległości.

II

Deskę ratunku widziała Polska w Lidze Narodów. Ocena ta nie była wyrazem naiwności. Liga Narodów miała wówczas, pomimo wspomnianych już mankamentów, znamiona organizacji dość mocnej i zdolnej do odegrania konkretnej roli politycznej w sensie utrzymania zasady bezpieczeństwa zbiorowego. O wzmocnienie Ligi, o rozszerzenie jej podstawy działania zabiegała więc Polska także po Rapallo. Dla Polski celem podstawowym było utrzymanie w pełnej mocy międzynarodowych gwarancji nienaruszalności granic wytyczonych w Traktacie Wersalskim, było więc nim też zapobieżenie powstaniu wspólnego frontu niemiecko-rosyjskiego w polityce europejskiej. Gdyż w tym właśnie widziano największe i podstawowe zagrożenie systemu wersalskiego.

Była to ocena trafna, a zarazem wybiegająca myślą daleko w przyszłość, gdyż w latach dwudziestych nie było bezpośredniego zagrożenia na wielką skalę ani ze strony sąsiada wschodniego, ani zachodniego. To znaczy nie było zagrożenia wojennego. Po prostu dlatego, że żaden z nich nie był zdolny do zbrojnej agresji, rokującej zwycięstwo. Niemcy, wstrząsane kryzysem walutowym i zastojem przemysłowym, nie mogły ryzykować wojny przeciwko Polsce siłami swej stutysięcznej Reichswehry. Tym bardziej, że agresja przeciwko Polsce oznaczała wojnę z Francją na mocy sojuszu polsko-francuskiego. Także Rosja była w położeniu trudnym, gdyż konsolidacja ustroju sowieckiego nie była jeszcze w pełni osiągnięta.

Niemniej trudności wewnętrzne w obu antywersalskich państwach sąsiadujących z Polską były zjawiskiem przejściowym, co dobrze rozumiano w Warszawie. I w tym właśnie leżała przyczyna niepokoju, tym większego, że zdawano sobie sprawę ze zbyt małego ciężaru gatunkowego Polski na forum międzynarodowym, by móc zapobiec normalizacji stosunków mocarstw zachodnich z Niemcami. Opinia europejska — i to nie tylko zachodnia, bo także czeska czy jugosłowiańska — była zniecierpliwiona liczbą spraw spornych, jakie Polska miała z Niemcami. Zajmowały one ogromną ilość czasu na sesjach Zgromadzenia Ogólnego Ligi Narodów, nie znikwały nigdy z porządku dziennego Rady Najwyższej. Spraw tych było bez liku, zaczynając od interpretacji konwencji gospodarczych na temat węgla górnośląskiego, poprzez skargi na złe traktowanie mniejszości narodowych, różne rozliczenia kompensacyjne, uprawnienia w Gdańsku, sprawę tak zwanych optantów, to jest Niemców dobrowolnie opuszczających Polskę, i ich majątku pozostawianego w Polsce, a kończąc na protestach Polski przeciwko agitacji rewizjonistycznej prowadzonej przez Niemcy w Europie. Wytwarzało to zwolna przeświadczenie, zwłaszcza w Anglii, że Polska jest jedyną przeszkodą na drodze do normalizacji stosunków w Europie. To znaczy do normalizacji stosunków z Niemcami.

Tymczasem Polsce też zależało na takiej normalizacji, chociażby ze względów handlowych. Co ważniejsze, w dopuszczeniu Niemiec do systemu wersalskiego w roli pełnoprawnego członka także polityka polska widziała jedyny sposób osłabienia związków między Niemcami i Rosją Sowiecką. Polska wołała, by w systemie zbiorowego bezpieczeństwa z dwóch państw antywersalskich wybór padł na Rosję, a nie na Niemcy. Skoro jednak okazało się to niemożliwe, należało się przyłączyć do inicjatywy zachodniej i przeciwdziałać związkowi niemiecko-sowieckim w

drodze normalizacji stosunków z Niemcami. Lecz ciągle w ramach całej Europy, w ramach systemu zbiorowego bezpieczeństwa.

Lecz ten warunek właśnie starały się obejść Niemcy i w tym kierunku pracowały ich propaganda i ich dyplomacja. Ofiarowywały jedynie gwarancję powsersalskich granic Francji i Belgii.

Wstępne rozmowy prowadzące do paktu lokarneńskiego zaczęły się już w roku 1923. Niemcy zgłaszały akces do Ligi Narodów. Tak zwany „protokół genewski” precyzował warunki ich przystąpienia. Ważne przy tym było ustalenie interpretacji artykułu 16 Statutu Ligi, który przewidywał wspólne wystąpienie wszystkich państw członkowskich w razie agresji zbrojnej przeciwko jednemu z członków. Moc tego artykułu osłabiono, wiążąc go z możliwością zgłaszania pretensji terytorialnych i rewizji granic w oparciu o arbitraż Ligi Narodów. Już to wywołało niepokój w Warszawie. Jednocześnie z inicjatywy Anglii tak zwany „plan Dawesa” modyfikował postanowienia Traktatu Wersalskiego dotyczące odszkodowań wojennych. Zmniejszał ich wysokość i rozkładał je w czasie. Ponadto z pełnym poparciem kapitału amerykańskiego i angielskiego zapewniał kredyty i dostawy surowców dla przemysłu niemieckiego, rezerwując jednocześnie niektóre rynki zbytu dla niemieckiego eksportu. Krokiem następnym była inicjatywa Stresemanna, proponującego rządowi francuskiemu w lutym 1925 roku zawarcie paktu o nieagresji z gwarancją nienaruszalności granicy wersalskiej. Lecz tylko na Zachodzie.

Francuzi przestali się wahać, gdy u steru rządów stanął Aristide Briand. Nie wierzył on w możliwość nowego wysiłku wojennego narodu francuskiego po stratach poniesionych w wojnie. Gwarancję granic Francji ze strony Niemiec przy jednoczesnym utrzymaniu w mocy gwarancji brytyjskiej uważał za maksimum bezpieczeństwa dla Francji. Współpraca z Niemcami, w oparciu o Ligę Narodów, miała stać się fundamentem normalizacji europejskiej. Briand wycofał francuskie wojska okupacyjne z okręgu Ruhry i zgodził się na konferencję międzynarodową w Locarno z udziałem przedstawicieli siedmiu „najważniejszych państw europejskich”, po to, by — jak mówiło oświadczenie rządu francuskiego — „za wspólną zgodą wyszukać sposoby zabezpieczenia Europy przed klęską nowej wojny”. Owe 7 państw to Anglia, Francja, Włochy, Belgia, Polska, Czechosłowacja i Niemcy.

Odmówić swego udziału w takiej konferencji Polska nie mogła. Nic by nie zyskała przez nieobecność. Aleksander Skrzyński skupił więc swe wysiłki na tym, by w wyniku konferencji

zawarto jedno porozumienie, obowiązujące wszystkich uczestników. Celem tego nie udało się osiągnąć. Zawarto trzy odrębne pakt. Pierwszy, zwany „reńskim”, gwarantował granice między Niemcami z jednej a Belgią i Francją z drugiej strony. Zabezpieczeniem było zobowiązanie wszystkich uczestników, a więc także i Polski, do czynnego wystąpienia w razie niedotrzymania tej gwarancji. Zabezpieczeniem dodatkowym była demilitaryzacja Nadrenii.

Natomiast z Polską i Czechosłowacją podpisały Niemcy jedynie „umowy arbitrażowe”. Ich dodatkowym zabezpieczeniem były umowy francusko-polskie i francusko-czechosłowackie mówiące o obowiązku wzajemnej pomocy, lecz w oparciu o Ligę Narodów. Oznaczało to w praktyce, że wzajemna pomoc miała wchodzić w grę jedynie w razie niepowodzenia procedury arbitrażowej Ligi. Klęska dyplomatyczna Skrzyńskiego polegała na tym, że nie udało mu się stworzyć w Locarno wspólnego frontu francusko-polsko-czechosłowackiego. Nawet jednolite stanowisko polsko-czechosłowackie bez zaangażowania Francji mogłoby wystarczyć dla zapobieżenia rozbiciu pertraktacji i tym samym rozbiciu pojęcia „pokój” na trzy odrębne człony. Lecz Czechosłowacja nie dopatrywała się żadnego dla siebie niebezpieczeństwa w odmiennym potraktowaniu granic niemieckich na zachodzie i wschodzie. Gdy o Polskę chodzi, wszelkie wątpliwości co do intencji niemieckich, jeżeli takie były, rozwiązać musiało brutalne w swej szczerości oświadczenie Stresemanna z dnia 27 listopada 1925 roku: „Dla mnie Locarno oznacza możliwość oderwania od Polski niemieckich prowincji na Wschodzie”. Jednocześnie jednak Niemcy przyjmowały na siebie ogólne zobowiązania wynikające z dopuszczenia ich jako członka do Ligi Narodów. Otrzymywały też miejsce stałe w Radzie Ligi Narodów, co było dość logiczne z uwagi na ich ciężar gatunkowy. Stwarzało to dodatkowe zabezpieczenie postanowień lokarneńskich, przypisujących tak ogromną rolę arbitrażowi tej właśnie instytucji.

Niemniej fakt pozostawał faktem. Locarno było klęską polityczną Polski, i oczywiście klęską systemu zbiorowego bezpieczeństwa całej Europy.

Tym bardziej, że jeśli Locarno uznano za normalizację położenia Niemiec w Europie, to tych wszystkich, którzy sądzili, iż normalizacja zażegna niebezpieczeństwo współpracy Niemiec z Rosją, spotkać miało rozczarowanie równie tragiczne w skutkach jak sama umowa lokarneńska. Przyniósł je niemiecki traktat neutralności ze Związkiem Sowieckim. Pakt lokarneński nie przyniósł więc nawet oczekiwanego rozluźnienia współpracy nie-

miecko-sowieckiej w zamian za normalizację stosunków między Zachodem i Niemcami, którą opłacono bezpieczeństwem Polski i jej sąsiadów.

Wymagało to rzecz jasna całkowitej rewizji dotychczasowych założeń i taktyki polskiej polityki zagranicznej.

„ZACISZE PIĘCIOLETNIE”

I

Poprawić i wzmocnić położenie Polski na arenie międzynarodowej w oparciu o dwa podstawowe traktaty międzynarodowe i przy pomocy Ligi Narodów, a jednocześnie szukać alternatywnych sposobów wzmocnienia bezpieczeństwa europejskiego w drodze nowych porozumień i układów. Tak streścić można założenia polskiej polityki zagranicznej między rokiem 1926 i latami 1931-32. Dwa podstawowe dla Polski traktaty międzynarodowe to Traktat Wersalski i Traktat Ryski. Traktat zawarty w Locarno podważył znaczenie i zasady systemu wersalskiego. Podzielił sprawę bezpieczeństwa europejskiego na dwa odrębne zagadnienia.

W oparciu o tę nową koncepcję zaczęto prowadzić w Europie nową politykę. Zmiana najważniejsza polegała na odsunięciu się Francji od jej sojuszników w Europie środkowej. Dla Francji Locarno, wzmocnione gwarancjami brytyjskimi, wydawało się wystarczającym zabezpieczeniem na przyszłość i pozwalało na politykę mniej energiczną czy mniej ambitną, choć bardziej dostosowaną do jej prawdziwych możliwości.

Dla Polski konieczność rewizji dotychczasowej polityki tym była większa, że potencjalne niebezpieczeństwo stworzenia wspólnego frontu niemiecko-rosyjskiego znalazło potwierdzenie w traktacie o neutralności z maja 1926 roku.

Myśląc o rewizji swej polityki Polska musiała sobie zdawać sprawę, że piętrzą się przed nią trudności, których nie dostrzegały inne państwa europejskie. Polska była jedynym państwem, wobec którego zarówno Niemcy, jak i Rosja miały nastawienie

wrogie, albo za takie uchodziła. Od strony Niemiec występował jawny rewizjonizm domagający się zmiany granic wersalskich. Od strony Rosji Polska była przedmiotem stałej akcji dywersyjnej, zmierzającej do osłabienia jej struktury wewnętrznej po części w oparciu o ferment drążący dwie słowiańskie mniejszości narodowe, zamieszkałe na obszarach na wschód od Bugu. To znaczy o irredentę ukraińską i białoruską. Lecz dla Rosji, o czym wiadano dobrze w Warszawie, popieranie niechętnego Polsce stanowiska mniejszości narodowych, podobnie jak podsycanie sporu litewsko-polskiego, było tylko środkiem prowadzącym do właściwego celu. Tym zaś była faktyczna likwidacja niepodległego bytu państwa polskiego lub co najmniej obezwładnienie Polski tak dalece, by przestała być przeszkodą na drodze do bezpośredniej penetracji Związku Sowieckiego na teren pozostałych krajów Europy środkowej, przede wszystkim Niemiec, w tej myśli, że prędzej czy później będą to Niemcy komunistyczne.

Rewizja założeń polskiej polityki zagranicznej musiała unikać wszystkiego, co by jeszcze bardziej osłabić mogło system wersalski. Także i po Locarno nie tylko nie przestano w Polsce współpracować jak najgorliwiej z Ligą Narodów, lecz przeciwnie, dokładano wszelkich starań, by tę instytucję międzynarodową wzmocnić, a państwa do niej należące powiązać ze sobą tego rodzaju układami dodatkowymi, które by uniemożliwiały lub przynajmniej utrudniały wszelką niechętną Polsce inicjatywę polityczną. Starła się też Polska podtrzymać sojusz polsko-francuski, chociaż jego znaczenie po Locarno bardzo osłabło. Dlatego, że sojusz mógł teraz spełnić swe zadanie tylko w razie niepowodzenia skomplikowanej procedury arbitrażowej przewidzianej statutem Ligi Narodów. Procedurze tej poddały się i Polska, i Niemcy w umowie gwarancyjnej, podpisanej także w Locarno. Wszelkie wątpliwości co do interpretacji sojuszu polsko-francuskiego rozwiązała rozmowa w roku 1927 między marszałkiem Piłsudskim i szefem sztabu francuskiego, generałem Debeney. Piłsudski oświadczył, że w razie napaści niemieckiej na Francję Polska bez oglądania się na Ligę Narodów wykona swe zobowiązania sojusznicze natychmiast, gdy Francja tego zażąda. Debeney natomiast nie tylko powołał się na procedurę arbitrażową Ligi Narodów w tym sensie, że dopiero jej niepowodzenie stworzy dla Francji obowiązek przyjscia Polsce z pomocą, lecz dodał, że wykonanie sojuszu ze strony Francji zależeć będzie także od stanowiska, jakie zajmie rząd brytyjski, gdyż jest on ze swej strony gwarantem bezpieczeństwa Francji.

Było to stwierdzenie dostatecznie jasne, by je wziąć pod

uwagę w długofalowych planach politycznych. Był to też konkretny i bezpośredni skutek Locarno. Jakże były inne skutki bezpośrednie? Zastrzec się trzeba, że nie wszystkie zaliczyć można było do niekorzystnych. Niekorzystne było wzmocnienie nasilenia niemieckiej propagandy rewizjonistycznej i jej większa niż poprzednio skuteczność wśród pacyfistycznie nastawionej opinii Zachodu. Bolesne także było wzmocnienie niemieckiego nacisku gospodarczego na Polskę, w tym przede wszystkim celu, by wykazać słabość jej struktury. Już przed podpisaniem Paktu Lokarneckiego i przed przystąpieniem Niemiec do Ligi Narodów rozpoczęła się wojna celna polsko-niemiecka. Niemcy rozpoczęli ją 15 czerwca 1925 roku z chwilą wygaśnięcia terminu ważności postanowień wersalskich, stwarzających specjalne przywileje handlowe dla Polski w obrocie towarowym z Niemcami. Wojna celna uderzyła dotkliwie w eksport węgla górnośląskiego do Niemiec i zachwiała niebezpiecznie strukturą kredytów krótkoterminowych w Polsce, które w dużej mierze opierały się na pieniężnych zobowiązaniach niemieckich. Innym źródłem ciągłych sporów były skargi Niemiec na Polskę w oparciu o traktat o ochronie mniejszości, który Polskę obowiązywał, a Niemcy nie, co stało się szczególnie dotkliwe, gdy Niemcy zostały członkiem Ligi Narodów, z miejscem stałym w jej Radzie Najwyższej.

Z drugiej jednak strony udział Niemiec w Lidze Narodów odsuwał niebezpieczeństwo otwartej agresji niemieckiej. Gustaw Stresemann mimo swego stanowiska rewizjonistycznego był jak najdalej od wystąpień wojowniczych. Osiągnąwszy normalizację stosunków z mocarstwami zachodnimi i zdobywszy dla Niemiec pozycję równą Francji czy Anglii w Lidze Narodów, Stresemann dążył do konsolidacji tych osiągnięć w przekonaniu, że jest to droga najwłaściwsza do rewizji granicy polsko-niemieckiej. Lecz tu właśnie stanowisko polskie było nieugięte, co nowy po zamachu majowym minister spraw zagranicznych August Zaleski podkreślał stale i w Lidze Narodów, i w stolicach zachodnich. Podkreślał to też stale Sejm w Warszawie i oczywiście opinia całego społeczeństwa polskiego. W tonie nie pozostawiającym żadnej wątpliwości, że każda próba rewizji granic będzie dla Polski równoznaczna z wybuchem wojny — i to bez względu na czyjekolwiek stanowisko i jakiekolwiek postanowienia arbitrażowe. Tak przemówił Piłsudski w Lidze Narodów w czasie swego pobytu w Genewie w roku 1927. Powtórzył to ostrzeżenie w rozmowie ze Stresemannem.

Oczywiście twarde „nie” w tej najważniejszej dla Polski sprawie było koniecznością. Nie można było stwarzać nawet

pozoru, że jest inaczej. Nie mogło jednak wystarczyć jako założenie dla polskiej polityki zagranicznej, która po Locarno szukać musiała nowych alternatyw i rozwiązań.

Co w tym względzie zrobiła i co mogła Polska zrobić?

Nie było możliwości żadnego radykalnego, a jednocześnie zbawiennego w skutkach pociągnięcia. Całkowitym absurdem jest twierdzenie propagandy komunistycznej w PRL, że po Locarno Polska miała do wyboru albo pozostać w systemie wersalskim, albo też z systemem tym zerwać na rzecz tak zwanej „przyjaźni” ze Związkiem Sowieckim.

Czym innym natomiast od dobrowolnego poddania się było zbliżenie czy normalizacja stosunków z Rosją, chociażby po to, by zrównoważyć lub osłabić zbliżenie sowiecko-niemieckie. Ten element był częścią składową polskiej polityki zagranicznej przed Locarno i pozostał nią także po Locarno. Pracowano nad nim nie zrażając się trudnościami, co więcej: nie zwracając uwagi na prowokacyjne nieraz w swej wrogości reakcje sowieckie, gdyż była to polityczna konieczność, był to jeden z celów polskiej polityki długofalowej, cel niezmienny i niezależny od jakichkolwiek koniunkturalnych lub zasadniczych fluktuacji położenia międzynarodowego.

Ale — rzecz jasna — nie mogło to być jedynym celem polityki polskiej. Wracając więc do pytania, co Polska zrobiła i co mogła zrobić w obliczu rzeczywistości europejskiej stworzonej przez układy lokarneńskie rozróżnić musimy wytyczne obliczone na długą metę i cele bliższe.

Na długą metę musiała Polska dążyć do stworzenia lub do współdziałania w tworzeniu takiego systemu bezpieczeństwa, który mógłby albo zastąpić, albo skutecznie uzupełnić zachwiany przez Locarno system wersalski. Na to potrzeba było czasu i to czasu długiego.

Natomiast na krótką metę Polska mogła tylko wykorzystać istniejący jeszcze system bezpieczeństwa w oparciu o Ligę Narodów. Także dlatego, że Niemcy były już jej członkiem. Kolejnym postulatem było doprowadzić do sytuacji, w której także Rosja zacznie brać udział w Lidze Narodów. Musiała więc polityka polska zdobyć się na dużą elastyczność i być pod każdym względem pragmatyczna. Zasady te udało się jej wprowadzić w życie z dobrymi skutkami, rokującymi duże korzyści w okresie między rokiem 1926 a dojściem do władzy Hitlera.

Okres ten nazwano w publicystyce polskiej „zaczem pięcioletnim”, przesuwając jego końcową granicę na rok 1931, gdy

skutki międzynarodowego kryzysu gospodarczego stworzyły w Niemczech warunki potrzebne dla uchwycenia władzy przez Hitlera, co zbiegło się z przystąpieniem Związku Sowieckiego do Ligi Narodów. Nazwa „zaczysze pięcioletnie”, jak twierdził Ignacy Matuszewski w artykule ogłoszonym w roku 1935 w czasopiśmie *Polityka Narodów*, została wymyślona przez Piłsudskiego w roku 1926, kiedy po objęciu władzy powiedział, że okres pięciu następnych lat użyć trzeba na konsolidację planów politycznych, gdyż tylko pięć lat trwać może sytuacja nie wymagająca kroków radykalnych. Nie dowiemy się nigdy, na czym Piłsudski opierał swoje przypuszczenie, lecz możemy stwierdzić, że okazało się słuszne. Zlecając kierownictwo spraw zagranicznych Zaleskiemu, chciał ten okres pięcioletni wykorzystać na odrobienie skutków Locarna, by w ten sposób wprowadzić Polskę na forum międzynarodowe w roli samodzielnego czynnika międzynarodowego, z którego głosem także dotychczasowi rzekomu protektorzy Polski muszą się liczyć, nawet, a może zwłaszcza wtedy, gdy im to jest nie na rękę.

II

Część, lecz tylko część zmienionych założeń polskiej polityki zagranicznej udało się zrealizować w tym okresie „zaczysza”. A jednak w okresie tych pięciu lat mogła się Polska poszczycić wieloma sukcesami, choć nie należały do rzędu błyskotliwych.

Kierownikiem polskiej polityki zagranicznej był przez cały ten okres August Zaleski, który działał w ścisłym kontakcie z Piłsudskim, a także pod bezpośrednim jak gdyby jego nadzorem. Marszałek sprawami międzynarodowymi interesował się w stopniu niepomniernie większym niż wewnętrznymi i — co ważniejsze — ze skutkiem znacznie pozytywniejszym. Oceniając polską politykę zagraniczną tego okresu nie można lekceważyć czynnika personalnego. Zaleski był doświadczonym dyplomata i dużą indywidualnością. Był człowiekiem cierpliwym i wrogiem metod hałaśliwych czy sensacyjnych. W czasie pierwszej wojny światowej reprezentował polskie interesy niepodległościowe, a ściślej mówiąc politykę Piłsudskiego, na terenie Wielkiej Brytanii, a więc na terenie bardzo trudnym. Lecz właśnie dzięki tym trudnościom, z którymi sobie doskonale dawał radę, i dzięki kontak-

tom ze światem anglosaskim miał horyzont myślowy znacznie szerszy, gdyż wybiegający poza zagadnienia wyłącznie europejskie. Z tych czasów zachował też powiązania osobiste z Anglikami, co wówczas wśród dyplomatów europejskich, nie tylko polskich, nie było częstym zjawiskiem. Z Piłsudskim często się nie godził, zwłaszcza w sprawach taktyki politycznej. Łączyło go z nim jednak przeświadczenie, że system wersalski może tylko do czasu spełniać rolę fundamentu bezpieczeństwa Europy. Obaj też brali pod uwagę, że Francja przestała już bezpowrotnie odgrywać rolę arbitra w polityce europejskiej i że w razie próby sił nie zdoła bez pomocy z zewnątrz ani zapobiec niebezpieczeństwu wojny, ani przeważać szali zwycięstwa.

Pomoc z zewnątrz, nie tylko dla Francji, z czego zdawano już sobie dobrze sprawę w Paryżu, lecz także dla Polski, zapewnić sobie można było tylko w Anglii. Grunt był po temu przy najmniej po części podatny. W przeciwnieństwie do Francji bowiem Anglia raczej z zadowoleniem przyjęła do wiadomości uchwycenie w Polsce rządów przez Piłsudskiego, gdyż widziała w tym zapowiedź konsolidacji gospodarczej kraju, a także utrzymania linii polityki zagranicznej, nie narażonej na fluktuację wpływów sejmowych oraz — co dla Anglików było także bardzo ważne — nie oglądającej się bezkrytycznie na rady lub namowy Paryża.

Bezpośrednie zbliżenie z Anglią było nowością w polityce polskiej i, co ważniejsze, nie było zbyt głośno reklamowane ani ujmowane w jakiejkolwiek formalne umowy czy zobowiązania. Grunt dla dobrych stosunków z Polską był podatny także w Anglii — do roku 1931, to znaczy do chwili, gdy nastąpił ponowny zwrot w polityce brytyjskiej, tym razem pacyfistyczny i izolacjonistyczny w stosunku do kontynentu europejskiego. W końcowych latach dwudziestych było inaczej. Polityka angielska dążyła własnymi sposobami do osłabienia związków sowiecko-niemieckich, co pokrywało się z interesem Polski. Konkretnym wyrazem stosunków polsko-angielskich były nie tylko pożyczki uzyskane w Londynie, a za jego pośrednictwem w Ameryce, bardzo Polsce wówczas potrzebne, lecz także oględne i zakulisowe starania Anglii, by Niemcy nie wniosły na forum Ligi Narodów swych pretensji rewizjonistycznych w sposób formalny. Nie ulega też wątpliwości, że podobnie jak Berlin Londyn zdawał sobie sprawę, że jawne wniesienie wniosku o rewizję granic spowoduje gotowość Polski do ich obrony z bronią w ręku.

Te zakulisowe po największej części zabiegi dyplomatyczne w dużej mierze przeciwdziałały złym skutkom traktatów lokar-

neńskich. Był to sukces Polski, z którego niewielu sobie wówczas zdawało sprawę, choć tak właśnie oceniano sytuację i w Berlinie, i w Londynie. Spotkał natomiast Anglię zawód ze strony Polski na innym odcinku polityki europejskiej. Mianowicie Polska nie dała się wciągnąć w politykę antysowiecką, którą w tym okresie w całej Europie prowadziła tylko Wielka Brytania. W roku 1927 Anglia zerwała stosunki dyplomatyczne ze Związkiem Sowieckim w związku ze skandalem szpiegowskim, którego ośrodkiem była sowiecka misja handlowa w Londynie. Fakt ten zbiegł się w czasie z zamordowaniem w Warszawie ambasadora sowieckiego Wojkowa przez Borysa Kowerdę, dwiętnastoletniego emigranta rosyjskiego. Wojkow był jednym z morderców rodziny carskiej. Stosunki polsko-sowieckie weszły w niebezpieczną fazę, tym bardziej, że Rosja wbrew postanowieniom Traktatu Ryskiego nie tylko prowadziła robotę dywersyjno-terrorystyczną na terytorium Polski, lecz podsyciała antypolską politykę Litwy pod rządami Valdemarasa. W Moskwie i w Kominternie uderzono na alarm, pomawiając Polskę, że staje w pierwszej linii nowej próby „interwencji kapitalistycznej” pod egidą Londynu.

Było to jak najdalsze od celów i zamiarów Polski. Co więcej: stanowiło wyraźne zagrożenie polskiego planu normalizacji stosunków z Rosją. Postanowiono od akcentów antysowieckich w polityce angielskiej odciać się jak najwyraźniej, nawet ryzykując utratę tych korzyści, które z dotychczasowych dobrych stosunków z Londynem Polska odnosiła.

Pamiętać jednak trzeba, że celem polityki angielskiej także nie była bynajmniej interwencja w sprawy Rosji, lecz próba wywarcia nacisku na Niemcy, by rozluźniły swe powiązania ze Związkiem Sowieckim. Tenże cel przyświecał zawsze polityce polskiej. Lecz zbieżność celów była tylko pozorna. Gdy Anglia chciała nakłonić Niemcy do zajęcia stanowiska antysowieckiego, Polsce zależało na zachowaniu dobrych stosunków z Rosją przy jednoczesnym pogorszeniu stosunków niemiecko-rosyjskich. W praktyce stwarzało to konieczność unikania wszystkiego, co by mogło osiągnąć w stosunkach z Moskwą punkt zapalny. W odpowiedzi na antysowiecki akcent polityki angielskiej Polska szukała więc nowego zbliżenia z Rosją. Próby te w ciągu dwóch następnych lat dały pozytywne rezultaty. Trzeba było za nie zapłacić, gdyż Anglia drogą swoistej presji na Polskę zaczęła popierać stronę niemiecką w niekończącym się sporze Polski z senatem Wolnego Miasta Gdańska, sporze przeniesionym na forum Ligi Narodów.

W ogólnym wyniku cel Polski (a zarazem Anglii) został w

pewnej mierze osiągnięty. Mianowicie nastąpiło chwilowe oziębienie stosunków rosyjsko-niemieckich. Przyczyną bezpośrednią było uwięzienie grupy inżynierów niemieckich budujących zagłębie w Donbasie, co mogło być być zresztą przejawem bałaganu w aparacie administracji sowieckiej, przystępującym właśnie do akcji terroru wewnętrznego na wielką skalę w związku z ostateczną rozgrywką Stalina z Trockim i Zinowiewem. Inną przyczyną był nacisk angielski na Stresemanna, któremu Londyn zaproponował brutalnie pomoc w dalszym wzmocnieniu pozycji Niemiec w Lidze Narodów i zlikwidowanie sprawy odszkodowań wojennych w ramach tak zwanego „planu Younga” — za cenę rezygnacji ze stanowiska „antywersalskiego”, którego wyrazem była współpraca z Rosją. Stresemann uznał tę alternatywę za lepszą dla Niemiec, tym bardziej, że jego zdaniem przybliżała także możliwość rewizji granic z Polską. Była to nadzieja płonna, jak się miał o tym przekonać w roku 1929, po śmierci Stresemanna, jego następca na stanowisku ministra spraw zagranicznych Rzeszy, Treviranus.

Rok 1927 przyniósł więc pośrednio i bezpośrednio sukces polskiej polityce zagranicznej. W ten czy w inny sposób zaczęła słabnąć współpraca rosyjsko-niemiecka. Wykorzystując sytuację Zaleski wniósł w Genewie projekt zawarcia układu międzynarodowego, rozszerzonego na większy zespół państw niż tylko państwa członkowskie Ligi Narodów (myślał tu, rzecz jasna, o Związku Sowieckim) i przewidującego wyrzeczenie się wojny jako środka polityki międzynarodowej. Zrazu projekt nie zyskał poparcia wobec ostrożności Anglii, ostrożności dyktowanej niechęcią włączenia do układu właśnie Związku Sowieckiego, na czym Polsce przede wszystkim zależało. Opór Niemiec przeciw projektowi Zaleskiego dyktowany był raczej względami taktycznymi. Niemniej projekt nie upadł, uchwalono nawet w Lidze Narodów coś w rodzaju „dziękczynnej rezolucji”. Ale oto już po upływie roku w Londynie zmieniono zdanie i projekt Polski doczekał się realizacji w drodze okrężnej. Wystąpił z nim bowiem z namowy Anglii sekretarz stanu Stanów Zjednoczonych Kellogg. Pokrywało się to ściśle z zamierzeniem Zaleskiego, by układem tym objęte zostały państwa poza Ligą Narodów, a więc właśnie i Stany Zjednoczone. Teoretycznie bowiem kto należał do Ligi Narodów, był skrępowany postanowieniami Traktatu Wersalskiego, które także zakazywały wojny jako środka politycznego, a przynajmniej odkładały możliwość jej wybuchu przy pomocy obowiązkowej procedury arbitrażowej. Pakt Kellogga natomiast potępiał wojnę jako środek dochodzenia pretensji mię-

dzynarodowych i dopuszczał wyłącznie wojnę obronną, w razie jawnej agresji. 24 lipca 1928 roku podpisały pakt Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja, Włochy, Japonia, Czechosłowacja, Polska i Niemcy. Wśród tych podpisów podpis Niemiec był dla Polski najważniejszy.

Niemniej ważny był oczywiście podpis Związku Sowieckiego. Zdołano go zdobyć w następnym roku. Początkowo komisarz spraw zagranicznych ZSSR — był nim po śmierci Cziczerina Litwinow — godził się na przystąpienie do Paktu Kellogga pod warunkiem, że nie obejmie on państw bałtyckich i Rumunii. Na to nie mogła się zgodzić Polska. W jej imieniu Zaleski stwierdził, że z Rumunią łączy Polskę sojusz obronny, a bezpieczeństwo Łotwy, Litwy i Estonii jest warunkiem jej własnego bezpieczeństwa. Litwinow wycofał swe obiekcje i w ten sposób w roku 1929 Pakt Kellogga został uzupełniony tak zwanym Protokołem Litwinowa i stał się dodatkową podstawą pokojowej normalizacji stosunków polsko-rosyjskich.

Już z tego względu bilans pięciolecia polskiej polityki zagranicznej uznać należy za dodatni. W granicach ówczesnych możliwości odrobiono po części skutki Locarno. Nie dopuszczono do wniesienia oficjalnego wniosku w Lidze Narodów o rewizję granic między Polską i Niemcami. Doprowadzono do osłabienia współpracy gospodarczej i politycznej Niemiec i Rosji. Wzmocniono warunki bezpieczeństwa europejskiego, a przede wszystkim bezpieczeństwo Polski od strony Rosji. Tym dwóm celom służyć miały Pakt Kellogga i Protokół Litwinowa. Fakt, że Niemcy pakt Kellogga po dziesięciu latach złamały — podobnie jak złamał wszystkie zawarte przez siebie pakt Związek Sowiecki — niczego nie zmienia w ocenie polityki polskiej w ówczesnym świecie.

PAKTY NIEAGRESJI

I

Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych zarysowały się w Europie brzemienne w następstwa zmiany polityczne. Nadcho-

dził okres szczególnie dla Polski niebezpieczny, z tego przede wszystkim względu, że położona była w najbardziej newralgicznym punkcie kontynentu, między dwoma sąsiadami, z których każdy uważał ją za główną przeszkodę w osiągnięciu swych dalekosiężnych planów. Nie było to rzecz jasna niczym nowym, ale różnica na niekorzyść Polski w porównaniu z okresem poprzednim polegała na tym, że obaj sąsiedzi opanowali już w dużej mierze skutki osłabienia, jakie ich spotkało w pierwszej wojnie światowej, oraz — w wypadku sąsiada rosyjskiego — w wyniku przewrotu rewolucyjnego. Związek Sowiecki w roku 1930 był państwem niewspółmiernie silniejszym niż Rosja rewolucyjna w roku 1920. Konsolidował się wewnętrznie, wchodząc w okres integralnej i bezwzględnej dyktatury stalinowskiej. Polepszyło się też jego położenie gospodarcze, przynajmniej na odcinku ciężkiego przemysłu, podstawy potencjału wojennego.

A gdy o niemieckiego sąsiada Polski chodzi, różnica była jeszcze bardziej oczywista. Niemcy opanowały powojenny kryzys gospodarczy i były znowu najbardziej ekspansywnym państwem przemysłowym w Europie. Ich izolacja polityczna należała do przeszłości, nieomal zapomnianej. W Lidze Narodów odgrywały rolę czołową razem z Francją i Wielką Brytanią, dystansując pod każdym względem Włochy.

Obaj sąsiedzi Polski osiągnęli więc znowu pozycję mocarstwową w Europie, z tą między nimi różnicą, że Niemcy dojrzały już do pełnego uaktywnienia swej polityki zagranicznej, podczas gdy Związek Sowiecki osiągnięcie tego stadium celowo opóźniał. Nie oznaczało to, rzecz jasna, ani braku zainteresowania Rosji dla polityki europejskiej, ani ograniczania się do roli biernego jej obserwatora. Przeciwnie — Związek Sowiecki podejmował szereg inicjatyw mających na celu osłabienie systemu wersalskiego, posługując się przy tym zarówno dywersją ideologiczną w oparciu o międzynarodowy ruch komunistyczny, jak i ściśle politycznymi środkami nacisku, zwłaszcza na państwa bezpośrednio z nią sąsiadujące, nie wyłączając najsilniejszego z nich, to jest Polski.

Na czym polegały zmiany położenia międzynarodowego, zapowiadające koniec okresu względnego spokoju? Najgroźniejszą zmianą w ocenie polskiej było odsunięcie się Niemiec od polityki zdobywania wpływów w Lidze Narodów przy pomocy coraz bliższej współpracy gospodarczej z Anglią, Francją i innymi państwami zachodnimi. Innymi słowy, ponowne wyłączenie się z systemu wersalskiego po to, by wystąpić jawnie i brutalnie z żądaniami rewizjonistycznymi na wschodzie, to jest przede wszystkim

wobec Polski, przy jednoczesnym utrzymaniu normalizacji stosunków z Europą Zachodnią w oparciu o Pakt Lokarneński.

Dotychczasowe osiągnięcia Niemiec na odcinku rewizji postanowień Traktatu Wersalskiego na wschód od ich granic były bardzo niewielkie. Na tym też polegał sukces polityki zagranicznej Polski. Nie dopuściła do wyciągnięcia przez Niemcy praktycznych korzyści z Paktu Lokarneńskiego. Spory polsko-niemieckie w Lidze Narodów i poza nią nie wyszły poza wzajemne pretensje i szykany gospodarcze na tle wojny celnej. Bo Niemcy nie zdobyły się na wniosek formalny o zastosowanie artykułu 19 Statutu Ligi Narodów. Artykuł ten mówił o „możliwości ponownego rozpatrzenia traktatów, które nie dają się już zastosować, oraz położenia międzynarodowego, którego dalsze trwanie mogłoby zagrozić pokojowi świata”. Niemcy nie decydowały się na wniosek formalny dlatego, że nie mogły uzyskać obietnicy formalnego poparcia ze strony Francji i Anglii.

Mocarstwami tymi nie kierowały żadne inne względy prócz ściśle praktycznych. Zdawały sobie po prostu sprawę, że Polska na każdą próbę rewizji swych granic odpowie zbrojnym oporem. Czyli wojną. Oświadczał to wyraźnie i wielokrotnie tak opanowany i pełen dyplomatycznego taktu minister, jakim był August Zaleski. Potwierdzały to półoficjalne, ale wyraźnie inspirowane artykuły w prasie polskiej, bez względu na ich zabarwienie polityczne i stosunek do rządów Piłsudskiego. Potwierdzał wreszcie sam Piłsudski w rozmowach i z Anglikami, i ze Stresemannem, i z ambasadorem francuskim w Warszawie Larochem, gdy ten proponował „dostosowanie przymierza polsko-francuskiego do postanowień Paktu w Locarno”. Polska była zdecydowana na wojnę z Niemcami w obronie swych granic, a Francja chciała za wszelką cenę uniknąć wojny, gdyż musiałaby albo wykonać zobowiązania sojusznicze wobec Polski i tym samym wziąć w niej udział, tracąc wszystkie prawdziwe i domniemane korzyści, jakie jej dawało Locarno, albo też musiałaby złamać swe zobowiązania sojusznicze wobec Polski, co oznaczałoby jej całkowitą klęskę jako państwa pretendującego do roli arbitra w polityce europejskiej. Anglia nie była w położeniu wiele od Francji wygodniejszym wskutek swych własnych umów gwarancyjnych z Francją. A więc także i ją wojna polsko-niemiecka musiałaby wcześniej czy później wciągnąć w swą orbitę.

Niemcy za czasów Stresemanna musiały zadowalać się pośrednimi naciskami Francji i Anglii na rząd polski, by zgodził się dobrowolnie na rewizję bądź to swej granicy, bądź też swych

uprawnień w Wolnym Mieście Gdańsku. Naciski te, a towarzyszyła im nieustanna kampania prasowa w Anglii, a po części także w Ameryce i we Francji, żadnych rzecz jasna wyników nie dawały. Odpowiedział na nie w roku 1930 w Genewie Zaleski w sposób ironiczny, że „doradcy” i „przyjaciele” Polski na próżno się wysilają, bo gdyby Polska miała zamiar odstępować komukolwiek swe ziemie, obeszłaby się przy tym bez pomocy „usłużnych pośredników”.

Na tle tych niepowodzeń dochodziły w Niemczech do głosu czynniki agresywne, pragnące uwolnić się od skrzepowań genewskich, by przejść do polityki *action directe* — działania bezpośredniego, włącznie z ryzykiem wojny, lecz w nadziei utrzymania normalizacji z państwami zachodnimi. Nie były to nadzieje bezpodstawne wobec narastania nastrojów czysto pacyfistycznych we Francji i w Anglii. W Anglii w roku 1929 po raz pierwszy utworzył się rząd socjalistyczny, ściślej mówiąc: rząd Partii Pracy, który w polityce zagranicznej reprezentował stanowisko izolacjonistyczne wobec spraw kontynentu, co w praktyce było jednoznaczne z pacyfizmem. Pacyfizm w tym układzie nie oznaczał obrony pokoju, lecz pozostawienie Niemcom swobodnej ręki na wschód od ich granic.

Drugim warunkiem przejścia Niemiec do polityki działania bezpośredniego było przekreślenie tych postanowień Traktatu Wersalskiego, które narzucały im całkowite nieomal rozbrowienie. Postanowienia te udawało się Niemcom obchodzić już od czasów Rapallo przy pomocy Związku Sowieckiego, lecz dopóki formalnie mogły utrzymywać tylko stutysięczną Reichswehrę, wzmocnioną kilkuset tysiącami ludzi w związkach paramilitarnych w rodzaju *Stahlhelmu*, wojna z Polską — nawet gdyby Francja odmówiła jej pomocy — była przedsięwzięciem ryzykownym. Stąd znaczenie ciągnących się w nieskończoność pertraktacji rozbrowieniowych, ciągle jeszcze pod egidą Ligi Narodów, których istotą było osiągnięcie tak zwanego parytetu, co w praktyce oznaczało ograniczenie zbrojeń Francji czy Anglii przy jednoczesnym dozbrowieniu Niemiec.

Dopóki w Niemczech rządził rząd koalicyjny lub o zabarwieniu socjalistycznym, decyzja przejścia na politykę działania bezpośredniego z całkowitym zlekceważeniem zarówno Ligi Narodów, jak i Traktatu Wersalskiego zapaść nie mogła. Lecz oto w wyborach do Reichstagu w roku 1930 hitlerowcy zdobywają 107 mandatów, by w lipcu 1932 roku zwiększyć tę liczbę do 230. W wyborach prezydenckich w tymże roku zwycięża jeszcze Hindenburg jako kandydat centrum i prawicy, ale Hitler otrzy-

muje 13 i pół miliona głosów. Staje się rzeczą jasną, że sięgnie po władzę lada chwila. Otrzymał ją z rąk tegoż Hindenburga 30 stycznia roku 1933, za zgodą parlamentu.

Z dniem tym kończy się okres zapowiedzi zmian, a zaczynają się rzeczywiste zmiany w polityce europejskiej. Niemcy będą prowadzić politykę działania bezpośredniego nie oglądając się na Ligę Narodów. Będą ją prowadzić w oparciu o konkretne możliwości czyli w oparciu o element siły. Możliwości te nie od razu są duże. Położenie gospodarcze jest znowu w Niemczech złe. Jest to skutek międzynarodowego, a raczej światowego kryzysu gospodarczego, który w Europie najboleśniej dotknął dwa czołowe mocarstwa przemysłowe, to jest Wielką Brytanię i właśnie Niemcy. W Wielkiej Brytanii pociągnęło to za sobą dalsze obniżenie zainteresowania sprawami politycznymi i tym samym pacyfistyczne *désintéressement* w stosunku do kontynentu. W Niemczech przyspieszyło pęd do hitleryzmu jako do rzekomej deski ratunku w sprawach wewnętrznych.

Jak na zmianę położenia politycznego w Europie wynikającą z pojawienia się zmory hitlerowskiej w Niemczech reaguje polityka polska? Przewiduje dwa ściśle ze sobą związane niebezpieczeństwa. Jednym jest możliwość bezpośredniej agresji niemieckiej, drugim całkowita ugodowość Zachodu. Możliwość pierwsza, a raczej szybkość jej wzrastania, zależy ściśle od szybkości z jaką rozwijać się może możliwość druga. Zapobiec obydwu możliwościom należy w drodze próby uprzedzenia wypadków. W jaki sposób? W drodze natychmiastowej reakcji na pierwsze wyraźne pogwałcenie umów międzynarodowych ze strony nowego władcy Niemiec. Mówiąc wyraźniej i brutalniej: przy pomocy groźby wymuszenia poszanowania umów międzynarodowych w drodze interwencji zbrojnej czyli — innymi słowy — wojny prewencyjnej.

Lecz inicjatywa tego rodzaju nie może być podjęta bez zabezpieczenia się od strony Związku Sowieckiego.

II

W roku 1930 przekonano się w Warszawie, że przyjazne inicjatywy Polski znajdują ostrożny odzew w Moskwie. Z szeregu rozmów, przeważnie nieoficjalnych, wynikało, że Rosja

skłonna jest tak ułożyć swe stosunki ze swym największym sąsiadem zachodnim, by zapobiec jakimkolwiek z tej strony niespodziankom. O jakie niespodzianki mogło chodzić? Na pewno nie o agresję ze strony Polski. Pomimo charakterystycznej dla polityki sowieckiej podejrzliwości ani Stalin, ani Litwinow nie widzieli w Polsce potencjalnego napastnika. Uważali jednak, że Polska jest tak silnie związana z Francją, a pośrednio także z Anglią, że może się nie oprzeć antysowieckim naciskom z ich strony, zwłaszcza jeżeli okupione będą jakąś gwarancją jej granic zachodnich przeciwko zakusom niemieckim. Rosja nie mogła ochłonąć z paniki, w jaką ją w roku 1927 wprowadziło zerwanie stosunków dyplomatycznych przez Wielką Brytanię, czemu towarzyszyło zbliżenie polsko-angielskie.

Pakt Kellogga tylko po części uspakajał te obawy. Zwłaszcza, że w latach 1930-31 inicjatywę antysowiecką z rąk Anglii przejęła ponownie Francja. Ta zaś — pomimo Locarna i innych dowodów wykrętnego jej stosunku do zobowiązań sojuszniczych wobec Polski — uważana była ciągle w Moskwie za potencjalnego inspiratora polskiej polityki zagranicznej.

Była to jedna z tych legend politycznych, które nie raz wywierały niezamierzony wpływ na oceny polityczne i na rozwój wydarzeń. W rzeczywistości od czasów Locarna nie Francja Polskę, lecz właśnie Polska Francję stawiała ciągle w sytuacji przymusowej, nie chcąc za żadną cenę dopuścić do zwolnienia jej z zobowiązań sojuszniczych, o co Francja jak najusilniej zabiegała. Swoista komedia nieporozumień czy pomyłek politycznych rozwijała się na Kremlu dalej pod wpływem zbliżenia francusko-angielsko-niemieckiego na terenie Ligi Narodów. Moskwa uznawała zbliżenie, a raczej współpracę angielsko-francusko-niemiecką za zjawisko dla siebie groźne. Podobnie jak Polska, choć z innych powodów. Przede wszystkim dlatego, że pomimo dalszego funkcjonowania układów z lat 1922 i 1926, zawartych między Niemcami i Rosją, porozumienie tych trzech państw odsuwało szansę powstania wspólnego frontu politycznego sowiecko-niemieckiego przeciwko reszcie Europy i przeciwko Traktatowi Wersalskiemu. Im bliżej zaś było do zdobycia władzy przez Hitlera, tym realniejsze stawało się w oczach Moskwy niebezpieczeństwo jakiejś „krucjaty kapitalistycznej”, tym razem z udziałem Niemiec faszystowskich. Polska i inni sąsiedzi Rosji mogliby po prostu — zdaniem Moskwy — zostać zmuszeni do udziału pośredniego lub bezpośredniego w takiej krucjacie. Obawy te wyrażał otwarcie nieoficjalny łącznik dyplomatyczny Związku Sowieckiego z Warszawą, Karol Radek, w rozmowach z Bogusławem Miedzińskim,

który podobną nieoficjalną funkcję spełniał po stronie polskiej. A także we wcześniejszych jeszcze swych rozmowach z kolegą szkolnym, znanym polskim publicystą Ludwikiem Rübem. Radek, zamordowany później przez Stalina w czasie czystek, pochodził z Małopolski i niewątpliwie, przynajmniej w sensie kulturalnym, był do Polski nastawiony przychylnie. Był wówczas redaktorem *Izwestii*. Miedziński był redaktorem równie urzędowej *Gazety Polskiej*. W rozmowach Radek stwierdzał, że Związek Sowiecki wierzy w dobrą wolę Polski, lecz ma wątpliwości, czy będzie ona mogła prowadzić samodzielną politykę w obliczu wspólnego nacisku Anglii, Francji i Niemiec.

Odpowiedź Miedzińskiego, zresztą z nieco późniejszego okresu, że Polska przeciwstawi się z bronią w ręku każdemu, kto z jakichkolwiek powodów przekroczy jej granice, a więc i Niemcom w marszu na wschód, i Rosji w marszu na zachód, była w istocie dokładnym sprecyzowaniem podstawowej zasady, jaką musiała się kierować i kierowała się przez dwadzieścia lat niepodległości polityka Rzeczypospolitej Polskiej. Zasadę tę nazwano później „balansowaniem między dwoma wielkimi sąsiadami”. Sprecyzował ją w tym czasie Piłsudski w swych rozmowach czy wytycznych dawanych Józefowi Beckowi, przewidzianemu już w roku 1930 na następstwo w ministerstwie spraw zagranicznych po Augustcie Zaleskim.

Utrzymywanie równowagi między sąsiadami polegało po prostu na niewiązaniu się z jednym przeciwko drugiemu. Nie było wszakże jednoznaczne z neutralnością. Nie dlatego, by Polska nie chciała być neutralna, lecz dlatego, że neutralna w żadnym poważnym konflikcie europejskim pozostać nie mogła. Z tej prostej przyczyny, że każdy konflikt europejski zahaczać musiał o jej terytorium i, co więcej, że jej terytorium mogło być potencjalnym przedmiotem każdego konfliktu. Polityka utrzymywania równowagi była po prostu logicznym wnioskiem z podstawowego faktu geopolitycznego. Mianowicie z tego, że śmiertelnym zagrożeniem Polski jest wspólny front polityczny Niemiec i Rosji.

W roku 1930 mogło się wydawać, że Rosja skłonna jest ten punkt widzenia Polski wziąć pod uwagę. Stwarzało to dalsze szanse pełnej normalizacji stosunków. Tę pomyślną koniunkturę wzmacniał z jednej strony strach Związku Sowieckiego przed „krucjatą kapitalistyczną”, a z drugiej strony hałaśliwy antykomunizm zdobywających w Niemczech coraz więcej wpływów zwolenników Hitlera. Wzrost tych wpływów nawet przed zdobyciem przez Hitlera władzy pogłębiał obawy. Hitler w tym

okresie głosił swój antykomunizm, gdyż było mu to potrzebne w walce o wpływy w samych Niemczech. Jego zwycięstwo było w gruncie rzeczy przegraną komunistów niemieckich, jedynych jego konkurentów w walce o spadek po rządach parlamentarnych. I choć na gruncie stosunków między państwowych nie nastąpiło ani zerwanie, ani wyraźniejsze oziębienie stosunków, Związek Sowiecki szukał dodatkowego zabezpieczenia przed majakiem zagrożenia ze strony mocarstw zachodnich, działających w porozumieniu z Niemcami przeciwko Rosji. Jak miał to kiedyś określić w swoich wspomnieniach Józef Beck, „dyplomaci sowieccy, myślący zawsze niespokojnie i nerwowo, w ocenie sytuacji własnej skoczyli od marzeń o rewolucji światowej do kompleksu strachu przed rewanzem burżuazji”. Także położenie wewnętrzne Związku Sowieckiego skłaniało do ostrożności w polityce zagranicznej, a do obaw o własne bezpieczeństwo przyczyniała się groźna sytuacja na Dalekim Wschodzie, gdzie wyraźnie wroga wobec Rosji Japonia podbiła właśnie Mandżurię.

Ostatnim wreszcie elementem rozbijającym obawy sowieckie przed dobrosąsiedzką inicjatywą polską był alarm prasy francuskiej, która pisała, że przez swój stosunek do Związku Sowieckiego „Polska zdradza cywilizację zachodnią i zdradza Francję”. Było to echo nacisków dyplomatycznych kierowników polityki francuskiej, Paul-Boncoura i André Tardieu, którzy chcieli zapobiec zbliżeniu się Polski do Rosji, gdyż widzieli w nim słuszenie przeciwdziałanie politycznej grze, jaką Zachód prowadził w swej współpracy z Niemcami.

Tymczasem w ocenie polskiej okres harmonijnej, tak zwanej „stresemannowskiej” współpracy Niemiec z Ligą Narodów i współpracy gospodarczej z mocarstwami zachodnimi zbliżał się nieuchronnie do końca. Nastąpić po nim musiał okres gwałtownego rewizjonizmu i łamania postanowień traktatowych. Niemcy były już w stanie wrzenia i niesłuchanego podniecenia nacjonalistycznego, podsycanego skutkami kryzysu gospodarczego. Zanim Hitler dojdzie do władzy, Polska, a ściślej mówiąc Piłsudski chciał zapobiec dalszemu rozluźnieniu zobowiązań wersalskich i zmusić Niemcy do wyrzeczenia się zamysłów rewizjonistycznych. Celu tego nie można było osiągnąć własnymi tylko siłami. Były zbyt słabe w sensie politycznym, choć były wówczas — także w ocenie Piłsudskiego — wystarczające jeszcze w sensie militarnym. Możliwość użycia tych sił militarnych Piłsudski brał pod uwagę, gdy przygotował w roku 1931 projekt dekretu na wypadek wojny z Niemcami. W rozmowie z Beckiem stwierdził, że w wystąpieniu samodzielnym Polska może odnieść nawet duże

sukcesy wojskowe. Ale zapytywał: „Co będzie potem, jeśli Francja się nie ruszy?”.

Należało stworzyć sytuację, w której Francja musiałaby się ruszyć. Dopiąć tego celu można było tylko wykazując, własną gotowość do najdalej posuniętego ryzyka, z ryzykiem wojny włącznie. Lecz gotowość taką wykazać można było tylko wtedy, gdy się zabezpieczy tyły od strony Rosji.

Takie były bezpośrednie przesłanki polskiej inicjatywy zbliżenia do Związku Sowieckiego w roku 1931, gdy przybrały postać konkretnej propozycji zawarcia traktatu o nieagresji. Rokowania trwały prawie rok. Prowadzili je szef departamentu wschodniego w MSZ Tadeusz Schaetzel i ambasador Polski w Moskwie Stanisław Patek, a ze strony sowieckiej Litwinow, w przeciwieństwie do Cziczerina zwolennik czynnego udziału Rosji w polityce europejskiej z wstąpieniem do Ligi Narodów włącznie, nie ulegający kompleksom antypolskim i bardzo sceptycznie nastawiony do idei wiązania się z Niemcami, obojętnie za jaką cenę i obojętnie jaki by miały one ustrój. Co chciała Polska w rokowaniach osiągnąć? Gwarancję nienaruszalności granic, wyraźniejsze niż w Pakcie Kellogga wyrzeczenie się wojny jako środka działania politycznego, konkretne określenie pojęcia napastnika oraz formalne uznanie sojuszów już przez Polskę zawartych, to znaczy przede wszystkim sojuszu polsko-francuskiego. Jako postulat dodatkowy wysuwano, by „pakt nieagresji” — warto tu zaznaczyć, że było to zupełnie nowe określenie w słowniku politycznym — w niczym nie naruszał interesu ani nie zagrażał bezpieczeństwu bezpośrednich sąsiadów Polski i Rosji. Chodziło o państwa bałtyckie i Rumunię. Strona polska chciała, by państwa te po prostu przyłączyły się do paktu polsko-sowieckiego. Ten postulat Rosja stanowczo odrzuciła, zgodziła się jednak pod naciskiem Polski na odrębne pertraktacje z Łotwą, Estonią i Finlandią. Natomiast od rokowań uchyliła się Rumunia, choć była to dla niej okazja formalnego załatwienia sporu z Rosją o Besarabię. Rząd rumuński poszedł tu za poradą Francji, wychodząc na tym jak najgorzej, gdyż po podpisaniu paktu nieagresji między Polską a Rosją rząd francuski zmienił z konieczności swe nastawienie antysowieckie i sam podpisał podobny pakt z Rosją. Oceniono to w Warszawie bardzo pozytywnie, jako zapowiedź możliwości przekonania Francji o potrzebie wejścia na tory energicznej polityki w stosunku do Niemiec.

Ta ocena właśnie była fałszywa. Francja nie decydowała się bynajmniej na zmianę polityki wobec Niemiec. Podkreślała jedynie nie bez ukrytego wyrzutu, że rezygnuje z polityki antysowiec-

kiej, gdyż bez udziału Polski prowadzić jej nie może. Natomiast nie oglądając się na Polskę i nie porozumiewając się z nią Francja przyłączyła się do inicjatywy Mussoliniego, proponującego utworzenie w Europie nowej nadrzędnej siły politycznej w postaci tak zwanego Paktu Czterech, to jest Francji, Anglii, faszystowskich Włoch i już hitlerowskich Niemiec.

Pakt nieagresji z Rosją, podpisany 25 lipca 1932 roku, miał ułatwić Polsce montowanie obrony przeciwko rewizjonizmowi niemieckiemu. Lecz oto pojawiała się nowa przeszkoda. Mianowicie nie było partnerów. Przeciwnie — koncepcja Paktu Czterech izolowała Polskę, gdyż Pakt zmierzał nie do postawienia tamy agresywności Niemiec hitlerowskich, lecz do złożenia im okupu za cenę potwierdzenia Locarno. Stwarzało to nową i bardzo trudną sytuację, którą Polska starała się w dwóch następnych latach opanować przy pomocy kilku inicjatyw. Były one możliwe właśnie dzięki osiągnięciu jednego z podstawowych celów ówczesnej polityki polskiej, to jest całkowitej — jak się wtedy wydawało — normalizacji stosunków ze Związkiem Sowieckim.

III

Twórcą uaktywnienia polityki polskiej był sam Piłsudski, jej wykonawcą stał się wyznaczony przez niego minister spraw zagranicznych Józef Beck. Na głowę Becka po wrześniu 1939 roku spadło więcej potępień niż na wszystkich innych polityków polskich tego okresu razem wziętych. Po wojnie jego upatrzono sobie na głównego sprawcę wszelkich nieszczęść, jakie na Polskę spadły. Przeciwko niemu też wysunięto najcięższą kolubrynę z arsenału argumentacji komunistycznej, czyniąc z niego symbol polityki antysowieckiej a proniemieckiej.

Są to zarzuty niesłuszne. Nie z uwagi na to, by Beck miał być politykiem genialnym lub by odznaczał się nadzwyczajnym wyrobieniem czy mądrością. Na ten temat wiele można by powiedzieć. Trzymał się uparcie linii raz obranej czy wyznaczonej, nie zdobywając się na konieczną w polityce elastyczność, aż sytuacja odwracała się tak dalece, że jedynym wyborem była kapitulacja lub decyzja walki. W tym momencie Józef Beck, podobnie jak wszyscy Polacy, żadnych wahań nie miał.

Wyznaczając Becka w 1931 roku na stanowisko ministra spraw zagranicznych, Piłsudski uzasadnił swą decyzję tym, że „nowa polityka wymaga nowych ludzi”. Inaczej mówiąc — nowych metod. Było to rozwinięciem powiedzenia, że „skończył się okres zacisza i względnego pokoju”. Niebezpieczeństwo wojny o utrzymanie niepodległości z potencjalnego stawało się aktualnym. „Mocarstwa mają z Niemcami Pakty Lokarneńskie, wobec nas zaś, z chwilą opuszczenia przez Niemcy Ligi Narodów, nie wiąże Niemiec nic”. To także jedno z powiedzeń Piłsudskiego. Niemcy opuścili Ligę Narodów w październiku 1933 roku. Nim się to jednak stało, ogólny zarys polityki polskiej został wyznaczony.

IV

Polska podpisała pakt nieagresji ze Związkiem Sowieckim jako ostatnia z kilku jego sąsiadów — po Estonii, Łotwie i Finlandii. Kolejność ta wszakże była ustalona już w styczniu 1932 roku jako swego rodzaju kompromis proceduralny, gdyż Polska chciała podkreślić, iż nowy układ międzynarodowy z Rosją zamierza podpisać dopiero wtedy, kiedy zabezpieczone już będą interesy państw bałtyckich, których w przekonaniu całej Europy była nieoficjalnym gwarantem.

W tym zespole kilku paktów bilateralnych, których rdzeniem i podstawą faktyczną był pakt polsko-sowiecki, rok 1932 uznać można za przełomowy w tym względzie, że wprowadzał całkowitą normalizację stosunków w Europie środkowo-wschodniej. W sposób jak najbardziej formalny wyłączał możliwość zbrojnego konfliktu między Rosją i jej zachodnimi sąsiadami.

Doświadczenia nowszej historii polegające na zrywaniu paktów nieagresji zarówno przez Związek Sowiecki jak i przez Niemcy hitlerowskie obniżyły rangę tego rodzaju umów, a samą nazwę zabarwiły ironią jako nazwę umowy, która niczego nie zabezpiecza i którą sygnatariusze bez skrępowań zrywają, ilekroć to odpowiada ich interesom. Lec w roku 1932 nikt tak paktu nieagresji między Związkiem Sowieckim i Polską nie traktował i nikt tego rodzaju podejrzeń nie żywił. Przeciwnie — uznano go za ważny instrument obrony pokoju.

Tak też był pomyślany. Jego postanowienia stwierdzały, że

przede wszystkim obie strony wyrzekają się kategorycznie „wojny jako narzędzia polityki narodowej”. Było to więc potwierdzenie i pogłębienie zasad Paktu Kellogga i Protokołu Litwinowa. Wszystkie obowiązujące w chwili podpisania paktu nieagresji umowy międzynarodowe, w tym sojusze wojskowe, miały pozostać w mocy, a ich rozciągłość nie mogła być uszczuplona przez fakt zawarcia paktu. Przepis ten miał bardzo istotne znaczenie i dla Polski, i dla Związku Sowieckiego. Dla Polski dlatego, że dotyczył sojuszu polsko-francuskiego, będącego ciągle jeszcze podstawowym hamulcem przeciwko rewizjonizmowi niemieckiemu.

Dla Związku Sowieckiego przepis o poszanowaniu obowiązujących umów był także ważny i także w kontekście jego stosunków z Niemcami. Pozwalał bowiem zachować pełną moc niemiecko-sowieckiego traktatu o neutralności oraz obowiązujących od Rapallo umów o współpracy gospodarczej. W tym też punkcie ówczesne interesy Polski i Związku Sowieckiego były jak najbardziej zbieżne. Bo — jak pamiętamy — założeniem paktu nieagresji z Rosją, gdy o inicjatywę polską chodzi, było zapewnienie sobie jej neutralności na wypadek konfliktu polsko-niemieckiego, jakiegokolwiek by nie przybrał formy, do starcia zbrojnego włącznie.

Pakt nieagresji starano się bezpośrednio po jego podpisaniu wykorzystać w Polsce dla normalizacji stosunków na wszystkich możliwych odcinkach. Temu celowi służyły między innymi wizyty Miedzińskiego w Moskwie i Radka w Warszawie, kontakty kulturalne i szereg inicjatyw gospodarczych. Bardzo istotnym uzupełnieniem paktu było podpisanie 3 sierpnia 1933 roku konwencji o „określeniu napastnika”. Podpisały ją obok Związku Sowieckiego państwa z nim sąsiadujące, to znaczy Polska, Estonia, Łotwa, Rumunia, Turcja, Persja i Afganistan. Strony uznały za napaść wypowiedzenie wojny (obojętnie z jakich powodów), najazd zbrojny bez wypowiedzenia wojny, łączenie się lub udzielanie pomocy stronie trzeciej, która by wojnę wypowiedziała, oraz prowadzenie akcji dywersyjnej na terytorium któregoś z umawiających się państw. W połączeniu z paktem nieagresji konwencja stwarzała układ prawa międzynarodowego, który szedł znacznie dalej niż samo wyrzeczenie się wojny, zobowiązywał mianowicie do niebrania udziału w żadnej akcji międzynarodowej, która mogłaby mieć za skutek szkodę któregokolwiek z sygnatariuszy. Zobowiązywała strony do szukania rozwiązań dla mogących powstać między nimi sporów wyłącznie środkami pokojowymi i bez uciekania się do pomocy państw trzecich. Nie znaczy to rzecz jasna, by od razu zanikła wszelka podejrzliwość czy nieufność

w stosunkach polsko-rosyjskich. W Moskwie podejrzliwość była zawsze dogmatem polityki zagranicznej i to nie tylko w stosunku do Polski. Po stronie polskiej, jeśli nie nieufność, to przynajmniej daleko posuniętą ostrożność wykazywał Piłsudski. Lecz ostrożność ta, którą sam nazywał „litewską cechą” charakteru, wypływała z oceny ówczesnych polskich możliwości wojskowych. Piłsudski także w tym okresie uważał, że niebezpieczniejszy dla Polski jest konflikt zbrojny z Rosją. Po pierwsze dlatego, że w konflikcie takim — inaczej niż w konflikcie z Niemcami — Polska byłaby odosobniona i nie znalazłaby nigdzie sprzymierzeńców, poza słabymi siłami swych bezpośrednich sąsiadów i to tylko wtedy, gdyby i im bezpośrednio coś ze strony Rosji groziło. W konflikt z Niemcami natomiast chcąc czy nie chcąc, prędzej czy później, musiałyby się włączyć mocarstwa zachodnie.

Drugim względem były konkretne siły wojskowe, które dały w roku 1932 i przez następne jeszcze dwa lub trzy lata pewną operacyjną przewagę stronie polskiej nad niemiecką. Pamiętać trzeba, że stan niemieckich zbrojeń był jeszcze bardzo słaby, a jedną z przyczyn gwałtownego oporu Polski przeciwko koncepcji Paktu Czterech miał być fakt, że przewidywał on zniesienie w stosunku do Niemiec wszystkich ograniczeń zbrojeniowych narzuconych przez Traktat Wersalski. Mogła więc Polska w owym czasie liczyć na lokalne i chwilowe przynajmniej powodzenia w razie starcia zbrojnego — pod warunkiem dochowania neutralności przez Rosję. W zestawieniu natomiast z siłami wojskowymi Związku Sowieckiego, pomimo niedużej ich wartości, a taka była powszechna w Europie opinia fachowa, siły polskie były o wiele od rosyjskich słabsze.

Pomimo tych ocen, a raczej dzięki nim, polsko-sowiecki pakt nieagresji był podstawowym warunkiem przeciwdziałania narastającemu zagrożeniu niemieckiemu, w myśl hasła „póki jeszcze jest czas i możliwości”. I w rzeczywistości polska inicjatywa ułożenia stosunków z Rosją nie co innego tylko właśnie przygotowanie gruntu pod akcję zapobiegawczą od strony Niemiec miała na widoku.

Lecz, jak podkreślaliśmy, akcji takiej z wszystkimi konsekwencjami, włącznie z wojną, Polska sama prowadzić nie mogła. „Ruszyć” Francję i „poruszyć” Anglię, bez której Francja na żadną inicjatywę porywać się nie chciała, było więc zadaniem polityki polskiej w przełomowych latach 1932 i 1933. Do zadanego tego mogła Polska przystąpić dzięki paktowi nieagresji ze Związkiem Sowieckim, lecz przystępowała w warunkach bardzo trudnych.

Nikt jeszcze w Europie nie zdawał sobie wtedy w pełni sprawy, co oznacza głoszona przez Hitlera doktryna „ideologiczna” i polityczna, lecz przewidywano radykalne zmiany w polityce zagranicznej Niemiec. Dotyczyć to mogło przede wszystkim rewizji granicy z Polską. Nie tylko krzykliwa propaganda hitlerowska dawała tu zapowiedzi takiej właśnie polityki nowego władcy Niemiec. Na możliwość jej stosowania wskazywało także zupełne niepowodzenie „polityki stresemannowskiej”.

Ocena kierunku polityki Hitlera była podobna w stolicach zachodnich i w Warszawie. Zupełnie odmienne jednak były wnioski. Polska chciała przekonać Zachód, że tylko ubiegnięcie aktów dokonanych w postaci zwiększenia nacisku na Niemcy „może zapobiec przejściu inicjatywy przez Hitlera z wszystkimi konsekwencjami dla pokoju europejskiego. Lecz gdy przystępowała do akcji przekonywania Zachodu, napotykała na reakcję jak najbardziej niechętną. Myślano tam nie o zmiękczeniu Hitlera, lecz o zmiękczeniu nieugiętej postawy polskiej. Jej kosztem chciano złożyć Hitlerowi okup.

Plany takiego okupu dojrzewały w roku 1932, jeszcze przed objęciem władzy przez Hitlera, w ramach rokowań rozbrojenowych w Genewie. Ich autorem był Mussolini, a najbardziej obrotnym rzecznikiem ambasador francuski w Rzymie de Jouvenel. Przewidywały faktyczne, jeśli nie formalne wyrzeczenie się Ligi Narodów jako nadrzędnego instrumentu polityki międzynarodowej i zastąpienie jej swoistym dyrektoriatem czterech mocarstw. Niemcom proponowano zrównanie w parytecie zbrojeniowym, zniesienie demilitaryzacji Nadrenii oraz przychylne stanowisko wobec rewindykacji terytorialnych na niemieckiej granicy wschodniej, a nawet pośrednictwo. Miała to być podstawa Paktu Czterech, który przewidywał „wspólną linię postępowania we wszystkich sprawach politycznych i niepolitycznych”. Była też dalej mowa w projekcie paktu o „rewizji traktatów pokojowych, jeśli spowodować mogą zatargi między państwami”. Formalnie z projektem podpisania Paktu Czterech wystąpił rząd włoski w czasie wizyty brytyjskiego premiera MacDonalda w marcu 1933 roku w Rzymie. Posuwano się dalej, mówiąc w kołach dyplomatycznych i szeroko rozpisując się w prasie, że odstąpienie Niemcom Pomorza stanowi „minimum”, na które Polska powinna się zgodzić. Inaczej mówiąc, stanowi minimum, do którego należy Polskę zmusić.

Niedopuszczenie do podpisania Paktu Czterech stało się więc koniecznością najpilniejszą i nagłą. Przyznać trzeba, że przeciw-

ko Paktowi wystąpiła gwałtownie zarówno część konserwatystów w brytyjskiej Izbie Gmin, jak i większość prasy angielskiej, do której przyłączył się znaczny odłam prasy francuskiej. Niemniej główną rolę w obaleniu pomysłu narzucenia Europie dyktatury czterech mocarstw odegrała Polska. Z jednej strony nadano w Warszawie duży rozgłos konieczności skupienia sił państw mniejszych w obronie ich słuszych interesów zagrożonych przez — jak to nazwała prasa polska — „kartel mocarstwowy”. Temu celowi służyły odwiedziny nowego ministra spraw zagranicznych Becka w Pradze i w Belgradzie. Wizyta w Pradze była ostatnią z kilku prób stworzenia wspólnego frontu polsko-czechosłowackiego. Próba niestety nieudana. Odzew w Belgradzie był pozytywny, podobnie jak przeprowadzone jednocześnie sondaże w Turcji. Ważniejszym wszakże przeciwdziałaniem było jawne i bardzo mocne sformułowanie stanowiska polskiego w notach do rządów Wielkiej Brytanii, Francji i Włoch, z ostentacyjnym wyłączeniem rządu niemieckiego. Rząd polski zapowiadał w notach, że w razie podpisania Paktu Czterech Polska wystąpi z Ligi Narodów, gdyż woli „osamotnienie niż dyktat wielkich mocarstw”. Nota do Francji zapowiadała ponadto rewizję całokształtu stosunków między dwoma sojusznikami. Tłumacząc te kroki w Sejmie Beck mówił: „Żadne postanowienia odnoszące się do naszych interesów, a powzięte bez naszego udziału, nie mogą mieć dla nas mocy obowiązującej”.

Pomysłowi Paktu Czterech przeciwstawić się musiała także Rosja, z tego prostego względu, że miał być w swym charakterze antysowiecki, w sensie wyłączenia, a nie wciągania jej do współpracy ogólnoeuropejskiej. Kryły się za tym dalsze zamierzenia, w których Niemcom w sensie propagandowym antykomunistycznym przypaść miała zapewne ważna, i coraz ważniejsza rola. W tej sytuacji pakt nieagresji z Polską stawał się dla Związku Sowieckiego ubezpieczeniem na wypadek, gdyby Polskę chciano zmusić do włączenia się we front antysowiecki. Motywu tego nie ukrywano w Moskwie, zaznaczając wszakże, że nie oznacza to odrzucenia możliwości kontynuowania współpracy gospodarczej z Niemcami.

Największe jednak znaczenie i właściwy powód naprzód zawieszenia na ten temat rozmów, a wnet rezygnacji z pomysłu Paktu Czterech przypisać należy pociągnięciom wojskowym podjętym przez Polskę. Do nich należało przypadkowe rzekomo ujawnienie rozkazu koncentracji trzech okręgów korpusów nad granicą niemiecką oraz wprowadzenie batalionu piechoty na Westerplatte w Gdańsku w marcu 1933 roku. Obsadzenie Wes-

terplatte było dalszym ciągiem demonstracji z poprzedniego roku, znanej jako incydent z kontrtorpedowcem „Wicher”. Ku gniewowi senatu gdańskiego i Berlina „Wicher” wszedł był na rozkaz, którego brzmienie ogłoszono także w prasie, do portu gdańskiego, by wystąpić jako gospodarz w czasie wizyty jednostek floty brytyjskiej, i miał rozkaz otwarcia ognia w razie najmniejszej prowokacji. Była to gra subtelna, gdyż wizyta floty brytyjskiej miała stanowić nacisk na Polskę w kierunku odstąpienia od jej uprawnień traktatowych w Gdańsku.

Wprowadzenie załogi na Westerplatte nie mieściło się w postanowieniach Traktatu Wersalskiego. Było więc ze strony polskiej podjętym celowo środkiem zbadania reakcji Niemiec, głównie po to, by wykazać mocarstwom zachodnim, że Niemcy nie są jeszcze zdolne do żadnej kontrakcji związanej z ryzykiem wojny. Incydent ten był więc częścią większej całości — planu, który nazywa się w literaturze historycznej koncepcją wojny prewencyjnej przeciwko Niemcom. W rzeczywistości nie chodziło o sprowokowanie wojny, lecz o przekonanie państw zachodnich o dwóch sprawach. Po pierwsze, że Polska poważnie traktuje swe zapowiedzi oporu zbrojnego w razie próby narzucenia jej rewizji granic, i po drugie, że mocna postawa sygnatariuszy Traktatu Wersalskiego jest jedynym sposobem zapobieżenia agresji niemieckiej, także pod rządami Hitlera. Na tę mocną postawę państwa zachodnie się jednak nie zdobyły. Zrezygnowały jedynie z pomysłu Paktu Czterech, co było dla Polski sukcesem, ale tylko połowicznym.

V

Półtora roku po zawarciu przez Polskę paktu nieagresji ze Związkiem Sowieckim podpisany został 26 stycznia 1934 roku podobny, choć nie zupełnie identyczny układ z Rzeszą Niemiecką. Określono go potocznie także jako pakt nieagresji, choć jego prawidłowa nazwa brzmiała: „Deklaracja o niestosowaniu przemocy we wzajemnych stosunkach”.

Różnice formalne między dwoma układami były dość istotne, niemniej oba zmierzały do normalizacji stosunków z obydwoma wielkimi sąsiadami Polski. Stąd też nie popełnia się błędu,

stwierdzając, że oba stanowiły w przekonaniu ówczesnej Europy ważne uzupełnienie czy umocnienie podstaw pokojowego bytu Polski. Stosunki w Rzeszy Niemieckiej zmieniły się już były radykalnie. Odchodziła ona od założeń ustrojowych demokratycznej Republiki Weimarskiej, przechodząc na pozycję wojującego nacjonalizmu i pogrążając się w atmosferę rewanżyzmu i marzeń o mocarstwowym przywództwie nad całą Europą. W życiu Niemiec obowiązywać miała teraz filozofia polityczna Hitlera, sprecyzowana dość dokładnie w „Mein Kampf”. Już przedtem zresztą w całej Europie, nie wyłączając Związku Sowieckiego i kierowanego z Moskwy Kominternu, przemysłiwano o zabezpieczeniu się na przyszłość przeciwko agresji politycznej, a z czasem także militarnej, Niemiec hitlerowskich. Wśród wielu chaotycznych koncepcji wyłaniały się trzy podstawowe. Koncepcją, która wzięła górę w Moskwie, było odczekanie, co się będzie w Niemczech działo dalej, w nadziei, że znajdzie się sposób uzgodnienia z nimi polityki pod hasłem podziału wpływów w Europie kosztem innych państw europejskich. By móc czekać bez obawy zaskoczenia na dalszy rozwój wypadków, potrzebne było Rosji praktyczne zabezpieczenie się na wypadek, gdyby jednak ostrze polityki niemieckiej kierować się zaczęło przeciwko niej. Zabezpieczenie tego rodzaju dawał między innymi, a raczej przede wszystkim, pakt nieagresji z Polską.

Innego rodzaju koncepcje polityczne pojawiały się na Zachodzie. Zmieniały się w szczegółach, lecz w ogólnym założeniu zmierzały do ugłaskania Niemiec hitlerowskich w drodze pozostawienia im zupełnej swobody na wschód, a raczej na południe od ich granic. I wreszcie koncepcja trzecia, logiczna, choć niewątpliwie ryzykowna, która w latach 1932 i 1933 kierowała polityką polską. Dodać trzeba, że jeśli znajdowała posłuch na Zachodzie, to raczej w sferze rozważań teoretycznych i wśród ludzi, którzy rzeczywistego wpływu na politykę swych krajów nie wywierali.

Koncepcję tę sprecyzował Piłsudski w kilku rozmowach ze swymi najbliższymi współpracownikami i w wytycznych dla Józefa Becka. Była to koncepcja bardzo prosta. Należy przekonać Zachód, że każda próba ugłaskania Niemiec kosztem Polski będzie jednoznaczna z jej zbrojnym oporem czyli z wojną. Ponieważ zaś wojna niemiecko-polska prędzej czy później musi zaangażować czynnie Francję i Wielką Brytanię, należy przekonać Francję, że korzystniejszym rozwiązaniem jest wyjście naprzeciw niebezpieczeństwu wojny. Osiągnąć to można w drodze faktów dokonanych względnie zagrożenia Niemcom w sposób ultyma-

tywny. Rozumowanie to, przekazane nam w szeregu dokumentów, streścić można w ten sposób: bierność i wyczekiwanie zwiększać będą niebezpieczeństwo z każdym miesiącem. Zamiast czekać więc należy je zgnieść w zarodku. W oparciu o rokowania rozbrojeniowe należy postawić Hitlerowi ultimatum. W nim należy mu powiedzieć, że musi zrezygnować z wszelkiej myśli o zbrojeniach, a jednocześnie dać gwarancje przestrzegania postanowień Traktatu Wersalskiego — także dotyczących niemieckich granic wschodnich. Jeżeli Hitler ultimatum tego rodzaju odrzuci, należy natychmiast wkroczyć zbrojnie do Rzeszy. Armia polska do Prus Wschodnich i na Śląsk we współdziałaniu z armią czechosłowacką, armia francuska do Nadrenii, Wirtembergii i Bawarii. Ze strony Wielkiej Brytanii wystarczy wystąpienie floty i deklaracja solidarności z Francją i Polską. Ryzyka w tej chwili jeszcze, w roku 1932 lub 1933, nie ma zbyt wielkiego. Stutysięczna Reichswehra nie będzie mogła stawiać żadnego oporu.

Ale sondaż polski w Paryżu nie odniósł skutku. Paryż oglądał się na Londyn, przestrzegając go jednocześnie przed tak ryzykownym — jak mówiono we Francji — pomysłem. Anglicy ze swej strony także przestrzegali Paryż, by nie mieszał się do zaognionych stosunków niemiecko-polskich, a raczej starał się skłonić Polskę do ustępstw, przede wszystkim w Gdańsku, gdyż mogą one zaspokoić ambicje Hitlera.

W tydzień po objęciu władzy jako kanclerz Rzeszy Niemieckiej Hitler udzielił wywiadu londyńskiej gazecie *Daily Mail*. Po kilku dniach udzielił wywiadu innej gazecie angielskiej, mianowicie *Sunday Express*’owi. W wywiadach tych potępił Traktat Wersalski, nazwał go nieszczęściem nie tylko dla Niemiec, lecz dla całej Europy, i wyraził nadzieję, że rewizja Traktatu dokonana zostanie wspólnym wysiłkiem Niemiec i państw zachodnich. Zapewnił, że Niemcy dotrzymają postanowień układu lokarnskiego, że Zachód nie powinien się obawiać żadnego niebezpieczeństwa i że — przeciwnie — otwierają się przed nim ogromne możliwości współpracy gospodarczej i politycznej z Niemcami. W tonie, który uważał za łagodzący, stwierdzał, że także jego pretensje do Polski są „bardzo umiarkowane”, gdyż „zadowolili” się powrotem Gdańska do Rzeszy oraz „zwrotem korytarza pomorskiego”. Musi to jednak nastąpić w krótkim czasie. Te wynurzenia Hitlera spotkały się z pozytywnym odzewem w prasie angielskiej a także amerykańskiej, z ostrożniejszym w prasie francuskiej, z zupełnym milczeniem w prasie sowieckiej i oczywiście z gwałtownym protestem w prasie polskiej. 16 lutego 1933 roku senat gdański, gwałcąc umowę wersalską i własny status Wolnego

Miasta, zerwał umowę z Polską w sprawie policji portowej i wprowadził na teren portu policję własną.

W tej sytuacji Piłsudski postanowił sondaże polityczne poprzez nowym dowodem gotowości użycia siły. 6 marca na Westerplatte wylądował batalion piechoty polskiej przywieziony przez transportowiec „Wilja”.

Zadziwiające były reakcje na to wydarzenie. Na Zachodzie rząd włoski wznowił formalnie projekt Paktu Czterech. Anglicy go odrzucili, lecz jednocześnie dali do zrozumienia kanałami dyplomatycznymi, że Polska powinna jednak oddać Niemcom Pomorze. Beck zapowiedział wystąpienie Polski z Ligi Narodów, gdyby upierano się przy projekcie Paktu Czterech i zwracano się do Polski, choćby nawet nieformalnie, z propozycjami ustępstw terytorialnych. W Niemczech natomiast zapanowała konsternacja. Hitler oświadczył, że jego wypowiedzi w wywiadach dla prasy angielskiej zostały przeinaczone, że ma zamiar trzymać się w polityce postanowień traktatowych. Nakazał też senatowi gdańskiemu dokonanie gestów pojednawczych wobec Polski, co senat zrobił, wysyłając swego przewodniczącego Rauschninga do Warszawy. Jednocześnie Hitler, prowadząc już gwałtowną i głośną propagandę antykomunistyczną i antykominternowską, której nie zahamowała pomoc, jaką komuniści niemieccy udzielili mu pośrednio w wyborach, odnowił 5 maja układ berliński o współpracy gospodarczej i wzajemnej neutralności zawarty ze Związkiem Sowieckim w roku 1926. Zmieniła się też postawa Niemiec wobec Polski w różnych sprawach konkretnych, na przykład nastąpiło natychmiastowe sfinalizowanie na warunkach polskich wlokących się od lat pertraktacji handlowych, między innymi na temat podziału obrotów towarowych w eksporcie polskim przez Gdynię i Gdańsk. Wszystkie te pociągnięcia Hitlera zostały powitane jak najbardziej radośnie przez prasę zachodnią, która wróciła do ulubionego tematu „obowiązku Polski” dokonania pewnych poświęceń w imię pokoju w całej Europie, zwłaszcza gdy Berlin daje dowody dobrej woli.

Hitler wykorzystał pomyślną koniunkturę. W przekonaniu, że wobec stanowiska Zachodu Polska musi zrezygnować ze znanej mu dobrze i właściwie ocenianej koncepcji postawienia zawczasu tamy jego planom zaborczym, postanowił pozbyć się niewygodnych powiązań z Zachodem. 14 października 1933 roku wycofał się z pertraktacji rozbrojeniowych, a 19 października Niemcy wystąpiły z Ligi Narodów. Nie było na to żadnej reakcji na Zachodzie. Na brak reakcji nie mogła sobie jednak pozwolić Polska.

VI

Wystąpienie Niemiec z Ligi Narodów stwarzało zupełnie nową sytuację międzynarodową w Europie. Hitler na krok ten decydował się w świadomości dużego ryzyka politycznego. Liczył się z możliwością ostrej reakcji, zwłaszcza ze strony Francji. Liczył się nawet, jak świadczą wydane przez niego rozkazy dla Reichswehry, z interwencją zbrojną, najprawdopodobniej w postaci ponownej okupacji Nadrenii przez wojska francuskie. Jego rozkazy mówiły wyraźnie, że „w razie zbrojnego wystąpienia Francji, Belgii, Polski i Czechosłowacji Reichswehra ma stawiać lokalny opór nie oglądając się na szanse powodzenia wojskowego”. Hitler w rozkazie tym wymienił Polskę i ją głównie miał na myśli, gdyż od czasu incydentów w porcie gdańskim zdawał sobie sprawę, że tylko Polska bierze pod uwagę możliwość akcji prewencyjnej w stosunku do Rzeszy Niemieckiej. Pomimo ściśle przestrzeganej tajemnicy w Berlinie wiedziano o sondażach, jakie na polecenie Piłsudskiego przeprowadzano w Paryżu. Wiedziano też w Berlinie o niepowodzeniach tych sondaży i zapewne te właśnie informacje skłoniły Hitlera do zerwania rokowań rozbrojeniowych w Genewie i wystąpienia z Ligi Narodów. Analizując położenie Hitler zdawał sobie sprawę, że pomimo zabezpieczenia się od wschodu przez pakt nieagresji ze Związkiem Sowieckim Polska jest zbyt słaba, by podjąć sama ryzyko wystąpienia przeciwko Niemcom bez pewności poparcia mocarstw zachodnich. Niemniej brał pod uwagę ewentualność właśnie takiego samodzielnego wystąpienia i tym zapewne się powodował w gestach układowości wobec Polski w sprawie Gdańska i porozumień handlowych.

Jak zaznaczyliśmy, na Zachodzie nie było żadnej reakcji na wystąpienie Niemiec z Ligi Narodów. Była natomiast reakcja ze strony polskiej. Polegała ona na postawieniu wyraźnego ultimatum rządowi niemieckiemu.

W listopadzie 1933 roku Józef Beck wyjaśniał sytuację międzynarodową w słowach zanotowanych przez Bogusława Miedzińskiego. Mówił, że mocarstwa zachodnie zabezpieczyły się od strony Niemiec paktami lokarneńskimi. Hitler podkreślał na każdym kroku, że je pragnie zachować i przestrzegać. „My natomiast — mówił Beck — jedyne zabezpieczenie mieliśmy dotychczas w zawikłanej procedurze arbitrażowej przewidzianej w statucie Ligi Narodów. Dziś Niemcy z Ligi Narodów wystąpiły

i gdy chodzi o nas, nic ich już nie wiąże". Oświadczał dalej Beck, że nie spodziewa się, by sugestie Piłsudskiego skierowane do rządu francuskiego odniosły jakikolwiek skutek także teraz, po opuszczeniu przez Niemcy Ligi. Wobec tego Polska musi postawić sprawę kategorycznie, choć może ją stawiać we własnym tylko imieniu: albo wojna, albo pokój. Takie instrukcje dostanie poseł Wysocki w Berlinie. Dodawał wreszcie Beck, że, jak Berlin dobrze wie, Polska nie operuje tylko słowami; na biurku Marszałka leżą gotowe do podpisania rozkazy koncentrujące dywizje na granicy niemieckiej. Dodajmy, że Piłsudski przygotował nawet tekst specjalnej odezwy do obywateli oraz plan utworzenia rządu koalicyjnego, gdyby rzeczywiście dojść miało do wojny z Niemcami.

Instrukcje, jakie Alfred Wysocki otrzymał, były bardzo proste. Wydał je Piłsudski 5 listopada w Belwederze w obecności Becka. Ambasador polski ma zażądać rozmowy z Hitlerem i użyć w tej rozmowie „argumentu siły”. Albo Niemcy zobowiążą się łączyć z Polską wszelkie sprawy w drodze normalnych układów dyplomatycznych lub arbitrażu, albo też „Polska będzie musiała zastosować wojskowe środki ostrożności”. Reakcja Hitlera była natychmiastowa: zaproponował zawarcie paktu nieagresji o podobnej treści, jaką ma pakt nieagresji pomiędzy Polską a Związkiem Sowieckim.

Zaznaczyć tu trzeba, że zarówno o tej propozycji, jak i o wszystkich rozmowach przeprowadzanych z Niemcami polskie ministerstwo spraw zagranicznych zawiadamiało natychmiast Francuzów, nie otrzymując zwykle żadnych urzędowych odpowiedzi czy komentarzy. Ten stan rzeczy, który nie znajdował wyrazu w późniejszych publikacjach urzędowych francuskich, określić miał Piłsudski w rozmowie z ministrem spraw zagranicznych Francji Barthou jako „wasz brak woli działania”.

26 stycznia 1934 roku podpisany został dokument zwany popularnie polsko-niemieckim paktem nieagresji. Nie szedł tak daleko jako podstawa normalizacji stosunków jak pakt polsko-sowiecki. Obie strony zobowiązywały się w stosunkach wzajemnych przestrzegać zasady bezpośredniego porozumienia. Zobowiązywały się też, że w kwestiach spornych w żadnym wypadku nie będą posługiwać się siłą. Chodziło tu przede wszystkim o siłę wojskową, lecz także o niestosowanie nacisku przy pomocy państw trzecich. Podobnie jak traktat ze Związkiem Sowieckim, deklaracja polsko-niemiecka stwierdzała, że nie przekreśla ani nie uszczupla ważności żadnej innej umowy międzynarodowej. Cho-

dziło tu o sojusz polsko-francuski i — oczywiście — o pakt nieagresji z Rosją.

Jedyną istotną różnicę między obu paktami stanowił termin obowiązywania deklaracji polsko-niemieckiej. Zawarto go bowiem na lat dziesięć. Posłużyło to jako skuteczny argument w stosunku do Rosji, której Polska zaproponowała natychmiast przedłużenie paktu nieagresji także do lat dziesięciu. Cel ten osiągnięto w czasie pierwszej oficjalnej wizyty przedstawiciela rządu polskiego w Moskwie. Odbył ją Beck w końcu lutego 1934 roku, a zatem miesiąc po podpisaniu deklaracji polsko-niemieckiej, lecz jeszcze przed wymianą dokumentów ratyfikacyjnych. Przy okazji tej wizyty przedłużono ważność polsko-sowieckiego paktu nieagresji do końca grudnia 1945 roku. Ponadto Rosja podkreśliła, że za podstawę wzajemnych stosunków z Polską uważa raz na zawsze postanowienia Traktatu Ryskiego. Co więcej, odwoływała swą notę z roku 1926 skierowaną do rządu litewskiego i gwarantującą „całość i niepodległość Litwy”. To sformułowanie, zdaniem strony litewskiej, poddawało w wątpliwość przynależność Wilna do Polski i tym samym stanowiło dotychczas główną przeszkodę w normalizacji stosunków polsko-litewskich.

Zarówno sposób podejmowania polskiego ministra w Moskwie, jak i ton artykułów w prasie sowieckiej wyraźnie podkreślały znaczenie, jakie Rosja przywiązuje do normalizacji swych stosunków z Polską. Kryły się za tym, rzecz jasna, próby wykorzystania nowego położenia w celach politycznych zakrojonych na szerszą skalę. Polska stwierdzała, między innymi także za pośrednictwem prasy, że zależy jej nie tylko na rozwinięciu stosunków gospodarczych z Rosją, lecz także na „wytworzeniu atmosfery ogólnej życzliwości”. Natomiast gdy o sprawy polityczne chodzi, nie chciała angażować się w żadne deklaracje mogące stworzyć wrażenie wspólnej akcji międzynarodowej. Niemniej Polska ustosunkowała się życzliwie do projektu przystąpienia Związku Sowieckiego do Ligi Narodów. Przede wszystkim dlatego, że zajmowała to stanowisko już od lat dziesięciu, a poza tym przystąpienie Rosji do Ligi Narodów uważała za swego rodzaju dodatkową asekurację przed Niemcami.

Lata 1934-35 były w ogóle okresem swoistych załatów obydwu sąsiadów w stosunku do Polski. Gdy o praktyczną stronę normalizacji stosunków z Niemcami chodzi, w okresie tym nastąpiło przytłumienie propagandy antypolskiej, nawiązanie korzystnych dla Polski kontaktów gospodarczych, stabilizacja współzycia

z Wolnym Miastem Gdańskiem oraz polepszenie się doli mniejszości polskiej w Niemczech, dotychczas bardzo ciężkiej, zwłaszcza na obszarach przygranicznych. Po stronie polskiej panowała oczywiście daleko idąca ostrożność, także w propagandzie, by nie dać pożywki oszczerczym pogłoskom, jakoby normalizacja stosunków z Niemcami miała poprzedzać lub kryć jakieś konkretne powiązania polityczne, skierowane między innymi przeciwko Rosji.

Pogłoski tego rodzaju szerzone były celowo przez prasę francuską. Stosunki polsko-francuskie w tym okresie układały się dziwnie. Jak już widzieliśmy, w Paryżu potępiono naprzód polsko-sowiecki pakt nieagresji, dlatego przede wszystkim, że stanowił wyłom we froncie antysowieckim, do którego w jakiś sposób i przynajmniej w sensie propagandowym należeli wszyscy sojusznicy Francji. Po zawarciu układu między Polską i Niemcami nastąpiła nowa zmiana. 9 lutego 1934 roku zmienił się rząd we Francji. Na jego czele stanął Gaston Doumergue, a ministrem spraw zagranicznych został Louis Barthou, polityk wielkiej klasy, o kolosalnej energii i wpływach, który wyciągnął wnioski z niebezpieczeństwa, jakie czało się w Niemczech, zwłaszcza po ich wystąpieniu z Ligi Narodów. On też powziął zamiar stworzenia tak zwanego paktu wschodniego, który miałby stawiać tamę niebezpieczeństwu odwetowej polityki Hitlera. Gdyby Barthou znalazł się był w rządzie francuskim dwa lata wcześniej, wysiłki Polski przekonania Zachodu o potrzebie akcji zapobiegawczej przeciwko Niemcom znalazłyby zapewne lepszy odzew i uwieńczone by zostały jakimś rezultatem. Barthou jednak pojawił się na horyzoncie politycznym zbyt późno, a działać mógł zbyt krótko, gdyż już w tym samym roku 1934, 9 października, został zamordowany w Marsylii przez nacjonalistę chorwackiego, razem z królem Aleksandrem jugosłowiańskim.

Chociaż z krańcowo odmiennych powodów, zarówno pakt ze Związkiem Sowieckim, jak i pakt z Niemcami wzbudziły więc we Francji falę nastrojów antypolskich. Były one oddźwiękiem swoistej urazy kół rządowych (bez względu na ich orientację polityczną), że oto Polska, którą bez racjonalnego uzasadnienia uważano w Paryżu za swego rodzaju podopiecznego lub wprost za satelitę Francji, prowadzi politykę własną, kierującą się wyłącznie obroną własnych interesów. Pod tym względem bardzo ciekawe były reakcje brytyjskie. W Londynie uważano zawsze, nawet w czasie zbliżenia polsko-angielskiego w roku 1927, że Polska jest jednak narzędziem w ręku Francji, że tylko na nią

w sprawach naprawdę ważnych się ogląda, że tylko na nią liczy i wobec tego jest jej w praktyce posłuszna. W przeciwieństwie też do Francji powitano w Londynie deklarację polsko-niemiecką z ogromnym zadowoleniem, a to z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że stanowiła dowód samodzielności politycznej Polski, a po wtóre i przede wszystkim dlatego, że przecinała niekończące się pasmo sporów, kłopotów i zadrażnień międzynarodowych, jakim dotychczas były stosunki polsko-niemieckie. W Londynie mówiono stale, że zarówno w Lidze Narodów jak i gdzie indziej wszystkie sprawy o istotnym znaczeniu dla Europy rozbijały się z reguły o jakiś fragment sporu i wrogości polsko-niemieckiej. Dotychczas Anglia jedyny sposób zapobieżenia tej sytuacji widziała w ustępstwach, także terytorialnych, ze strony Polski, które by zaspokoili Niemcy. W deklaracji polsko-niemieckiej natomiast widziała Anglia zapowiedź normalizacji i tym samym koniec kłopotów — w dodatku bez ustępstw ze strony Polski. Od tej też chwili mówić można, jeśli jeszcze nie o zbliżeniu, to w każdym razie o nawiązaniu poważnych i bezpośrednich stosunków między Polską i Wielką Brytanią.

20 kwietnia 1934 roku w obecności prezydenta Mościckiego, ministra Becka i pięciu byłych premierów rządu Piłsudski stwierdził, że Polska dokonała normalizacji z „niebezpiecznymi partnerami”. Żadnemu z nich ufać nie wolno. Zawarłszy oba pakt, Polska stworzyła nareszcie korzystniejszą dla siebie koniunkturę międzynarodową. Należy się jednak liczyć z możliwością nagłej zmiany u obu sąsiadów, gdyż — dodał Piłsudski — obydwoma rządzą dyktatorzy, którzy o niczyje zdanie pytać się nie muszą, a decyzje powezmą w zależności od własnego położenia wewnętrznego.

A jednak w ówczesnym układzie międzynarodowym polityka polska mogła uznać pakt za naprawdę wielkie wydarzenie. Tak też je oceniono w stolicach europejskich. Przede wszystkim dlatego, że Polska zawarła je nie z jednym, ale z obydwoma sąsiadami. Były więc wyrazem woli nie wiązania się z żadnym z nich przeciwko drugiemu a jednocześnie — jak się zdawało i zdawać się mogło — odbierały ostrze niebezpieczeństwa połączenia sił obu sąsiadów przeciwko Polsce. Ponieważ zapobieżenie temu właśnie niebezpieczeństwu było podstawowym założeniem polskiej polityki zagranicznej, obu tym paktom przyznać można było rangę najwyższego osiągnięcia.

PAKT WSCHODNI

Była i dalsza część tego zebrania, o którym tu wspomnieliśmy, prezydenta Rzeczypospolitej i kilku poprzednich premierów rządów Polski. Miało też ono swój odpowiednik w spotkaniu poświęconym sprawom ściśle wojskowym. Zarówno w drugiej części spotkania politycznego, jak i w rozmowie z generałami na konkretne pytanie Piłsudskiego, skąd należy spodziewać się niebezpieczeństwa szybciej, większość zebranych oceniła ewentualne zamiary niemieckie jako bardziej dla Polski niebezpieczne. Piłsudski natomiast ocenił sprawę inaczej. Jego zdaniem Niemcy są bardziej odległe w czasie od możliwości otwartej i zbrojnej agresji przeciwko Polsce. Poza tym — jego zdaniem — są one pod bardziej szczegółową obserwacją i to nie tylko ze strony Polski, lecz także państw zachodnich. Natomiast to, co się dzieje w Rosji, jest z reguły ukryte przed światem zewnętrznym, a w dodatku wzbudza znacznie mniej zainteresowania we wszystkich bodaj krajach, które bezpośrednio nie sąsiadują ze Związkiem Sowieckim. Stąd coś gwałtownego i nagłego, jakiegoś zaskoczenie, jest bardziej prawdopodobne ze strony Rosji. Dlatego też, nie ufając ani jej, ani Niemcom, należy być przygotowanym do szybkiej obrony przede wszystkim od strony Rosji. Jest — dodawał Piłsudski — i dodatkowy bardzo ważny element: obrona przed ewentualnym wystąpieniem sowieckim spadłaby na barki samej Polski, przy ewentualnym, lecz niezupełnie pewnym współdziałaniu słabych militarnie państw bałtyckich, a ściślej Łotwy i Estonii, oraz Rumunii. Powtarzał tu Piłsudski swoją starą tezę, że w konflikcie z Rosją nie pomoże Polsce nikt, natomiast w konflikcie z Niemcami po jej stronie wystąpić będą musiały państwa zachodnie.

Z tej wypowiedzi Piłsudskiego, nie zapisanej zresztą nigdzie w sposób zupełnie ścisły, usiłowano nieraz ukuć broń propagandową dla wzmożenia i poparcia argumentów krytycznych na temat polskiej polityki zagranicznej w okresie międzywojennym. Zwłaszcza propaganda komunistyczna po drugiej wojnie światowej wykazać chciała, że Polska w latach trzydziestych zaniedbała przygotowania do odparcia agresji niemieckiej, skupiając swą uwagę i energię na polityce, którą określono ogólnie jako „antysowiecką”, nie tłumacząc wszakże nigdy i nigdzie, że owa rzekoma „antysowieckość” polegała wyłącznie na normalnej postawie przewidywania wszelkiej — a więc i najgorszej — ewentualności, łącznie z przygotowywaniem obrony na wypadek agre-

sji. Argument zaś rzekomego zaniedbania czy zlekceważenia niebezpieczeństwa niemieckiego przez ówczesny rząd polski starano się wzmocnić luźno dobranymi cytatami z artykułów prasowych, z wypowiedzi polityków i ogólnym twierdzeniem, nie popartym żadnymi faktami, że rząd polski, Piłsudski do swojej śmierci, a Józef Beck potem, prowadzili politykę proniemiecką, nieomal w przymierzu z Hitlerem.

Jest to absurdalna interpretacja ówczesnej polityki Polski i wszystkie fakty temu przeczą. Po zawarciu paktu nieagresji z Rzeszą Niemiecką Polska starała się, rzecz jasna, wyciągnąć z niego jak najwięcej korzystnych dla siebie skutków, wiedząc wszakże, że są to skutki krótkotrwałe i że normalizacja stosunków z sąsiadem zachodnim nie zwalnia Polski z konieczności szukania sprzymierzeńców na wypadek konfliktu właśnie z nim.

I znowu sprawa praktycznej wartości sojuszu polsko-francuskiego wybija się na pierwszy plan. Także w kwietniu 1934 roku Polska chciała doprowadzić do jasnego określenia wartości tego sojuszu, gdyż w nim widziała podstawę swych możliwości obronnych przeciwko Niemcom, na wypadek gdy normalizacja zacznie ustępować agresywnej postawie Berlina. Dotychczasowe próby wzmocnienia lub dokładniejszego sprecyzowania postanowień sojuszu podejmowane ze strony Polski spotykały się z brakiem odpowiedzi ze strony Francji. Ilekroć dochodziło do rozmów na ten temat, Francuzi powoływali się na postanowienia Paktów Lokarneńskich, które uzależniały wykonanie sojuszu od uprzedniej akcji arbitrażowej w oparciu o statut Ligi Narodów. Lecz procedura ta (niezdarna i wymagająca zbyt wiele czasu, by sojusz mógł zapobiec skutkom szybkiej agresji) po wystąpieniu Niemiec z Ligi w ogóle nie mogła być brana pod uwagę.

W kwietniu 1934 roku wydawało się, że sprecyzowanie i tym samym wzmocnienie wartości praktycznej sojuszu polsko-francuskiego będzie jednak możliwe. A to dlatego, że nowy minister spraw zagranicznych Francji, Louis Barthou, właśnie od stwierdzenia, jak silne w sensie politycznym i wojskowym są sojusze Francji z państwami Europy środkowo-wschodniej chciał zacząć montowanie systemu bezpieczeństwa europejskiego, który byłby uzupełnieniem Paktów Lokarneńskich na wschód i południe od granic niemieckich.

Barthou przebywał w Warszawie w dniach 22 do 24 kwietnia. Tematem rozmów było potencjalne niebezpieczeństwo niemieckie. Barthou oceniał pozytywnie — dodajmy, że wbrew temu, co twierdziła niechętna Polsce propaganda — normalizację

stosunków między Polską i Niemcami. Uważał ją za zabezpieczenie tymczasowe bardzo ważne, lecz o nieznanym trwałości. W tym względzie poglądy francuskie pokrywały się z polskimi. Wystąpiła jednak różnica we wnioskach. Gdy strona polska chciała zacieśnienia, a raczej „zautomatyzowania” działania sojuszu polsko-francuskiego, strona francuska chciała swoje zobowiązania osłabić, proponując jako swoistą kompensatę nowy układ zbiorowy kilku państw, wśród nich i Niemiec, i Związku Sowieckiego.

Co należy rozumieć pod określeniem „zautomatyzowanie” sojuszu, wyjaśniono w rozmowie między Piłsudskim a generałem Debeney w czerwcu tegoż roku. Otóż „zautomatyzowanie” polegać miało na ułożeniu takiej konwencji interpretacyjnej do sojuszu, która zmuszałaby obie strony do natychmiastowej mobilizacji z gotowością do wszczęcia działań wojennych na żądanie każdej ze stron. Inaczej mówiąc, w razie gdyby Francja zawiadomiła Warszawę, że w sensie wojskowym czuje się zagrożona przez Niemcy, Polska zobowiązywała się do natychmiastowej gotowości militarnej. Podobnie też zawiadomienie Paryża przez Warszawę, że Polsce grozi agresja niemiecka nakładałoby na Francję natychmiastowy obowiązek mobilizacji i koncentracji wojsk na granicy francusko-niemieckiej. Było to więc postawienie wyraźnej kropki nad „i” w nawiązaniu do sondaży, jakie Polska przeprowadzała w Paryżu od dwóch lat.

Jak zauważyliśmy przed chwilą, Francuzi na taką interpretację zgodzić się nie chcieli. Na argument zaś, że skoro Niemcy przestały należeć do Ligi Narodów, procedura konsultacji czy ewentualnego arbitrażu za pośrednictwem tej instytucji jest zupełnie bezprzedmiotowa, Barthou odpowiedział, że konsultacje tego rodzaju i ewentualny arbitraż powinny się odbywać w ramach proponowanego przez Francję Paktu Wschodniego.

Czym miał być Pakt Wschodni? Jego konkretne warunki i zadania nie zostały nigdy sprecyzowane w sposób dokładny. Było kilka wariantów. Pierwotny przewidywał udział w Pakcie Polski, Czechosłowacji, państw bałtyckich, Związku Sowieckiego i Niemiec. Układ ten wzmacniać miał inny pakt, zwany śródziemnomorskim, obejmujący Francję, Włochy, Jugosławię, Grecję, Turcję, Bułgarię i także ZSSR. Według pierwotnej koncepcji oba paktory miały uzyskać klauzulę gwarancyjną lub jakąś inną formę współudziału ze strony Wielkiej Brytanii. Miano przewidzieć wzajemne konsultacje, wyrzeczenie się użycia siły w razie sporu i solidarność wszystkich państw w stosunku do państwa, które by układ pogwałciło. A zatem sprecyzowania dość ogólne, w do-

datku wprowadzające te same klauzule, które już obowiązywały na podstawie Paktu Kellogga, Protokołu Litwinowa, konwencji o określeniu napastnika, a także i przede wszystkim dwustronnych paktów nieagresji zawartych przez Polskę z Rosją i Niemcami.

Na ten właśnie element zwróciła uwagę strona polska w rozmowach z Barthou. Beck stwierdził przy tym, że „z dwóch form układów międzynarodowych: dwustronnych i wielostronnych, lepszą i pewniejszą są układy dwustronne, a to dlatego, że układy wielostronne są jak łańcuch, którego wytrzymałość mierzy się siłą najsłabszego ogniwa”. To powiedzenie Becka miało z jednej strony podkreślić, że proponowany Pakt Wschodni nie daje Polsce niczego więcej niż otrzymała podpisując pakt nieagresji ze swymi sąsiadami, z drugiej zaś przypomnieć raz jeszcze, że dla Polski sojusz francusko-polski jest ważniejszy od wszystkich innych regionalnych umów zbiorowych. Nie ulega jednak wątpliwości, że sformułowanie to było w sensie dyplomatycznym niezbyt szczęśliwe, gdyż stwarzało wrażenie, a podchwyciła to prasa francuska (dziś już wiemy, że w dużej mierze z inspiracji sowieckiej), iż Polska z góry lekceważy, odmawia udziału lub zgoła sabotuje pomysł Paktu Wschodniego. Czechosłowacja wyzyskała zręcznie stanowisko Polski, twierdząc, że przesądza ono sprawę Paktu Wschodniego, co zaoszczędziło jej potrzeby zgłaszania własnych zastrzeżeń. Odmawiała za to zawierania porozumień dwustronnych z Polską. Benes powiedział w Genewie we wrześniu 1934 roku Beckowi, że nie uważa zagrożenia Polski przez Niemcy za równoznaczne z zagrożeniem własnym. Przeciwnie, Czechosłowacja uważa się za zupełnie bezpieczną, gdyż Niemcy żadnych pretensji w stosunku do niej nie zgłaszają, a mogłyby zgłosić, gdyby Praga zaangażowała się w jakikolwiek sposób po stronie Polski w ewentualnym sporze o Gdańsk czy Pomorze. Reakcja Becka na długiej fali była politycznie niewłaściwa, gdyż wytworzyła w nim zdecydowanie niechętny, a nawet mściwy stosunek wobec Czechosłowacji, który uwidocznić się miał w sposób jaskrawy za kilka lat. Tymczasem jednak nie tylko niechętnie stanowisko Polski zdecydowało o niepowodzeniu projektu Paktu Wschodniego. Rolę właściwą w tym względzie odegrały dwa znacznie ważniejsze elementy. Po pierwsze, odmownie odpowiedziały Niemcy. Bez udziału Niemiec Pakt Wschodni różniłby się bardzo w swym charakterze od Układów Lokarneskich. Stawałby się luźnym układem kilku państw uważających, że ze strony Niemiec grozi im potencjalne niebezpieczeństwo. Lecz każde z tych państw miało inaczej ułożone stosunki z Niemcami.

Rosję obowiązywał traktat o neutralności, który był w zasadzie czymś więcej, gdyż potwierdzał układ o współpracy zawarty już w Rapallo. Polska miała pakt nieagresji z Niemcami. Państwa bałtyckie były się przede wszystkim Rosji, a nie Niemiec. W praktyce więc Pakt Wschodni prowadziłby do hegemonii Rosji na obszarze Europy środkowo-wschodniej, przy czym, jak w Warszawie dobrze wiadomo, interpretacja pomocy rosyjskiej przeciwko ewentualnej agresji niemieckiej dopuszczałaby nie tylko przemarsz i okupację terytorium Polski lub innych państw, ale także i przede wszystkim pozostawiałaby Moskwie prawo swobodnej decyzji, kiedy to ma nastąpić.

W roku 1934 Pakt Wschodni nie doszedł do skutku także dlatego, że Anglia odmówiła jakiegokolwiek w nim udziału, uważając go z wymienionych przed chwilą powodów za układ nikogo przed niczym nie zabezpieczający.

Nie było to jednak całkowite fiasko, gdyż negocjacje w sprawie Paktu Wschodniego przetarły drogę do przystąpienia Rosji do Ligi Narodów.

W LIDZE NARODÓW

Niepowodzenia, z jakimi się spotykały starania Barthou, by stworzyć uzupełnienie Paktów Lokarneskich w postaci Paktu Wschodniego i Paktu Śródziemnomorskiego nie wpływały w niczym na kierunek polityki polskiej. Opierała się ona w roku 1934 i w dwóch następnych latach, a ściślej do wiosny 1936 roku, na założeniu, że należy ściśle przestrzegać wszystkich postanowień zawartych w obu paktach nieagresji, ze Związkiem Sowieckim i z Rzeszą Niemiecką. Zaznaczmy od razu, że wiosną 1936 roku nastąpiło wydarzenie, które kazało skierować uwagę na inny tor. Wydarzeniem tym będzie remilitaryzacja Nadrenii.

Tym samym okres normalizacji który analizował Piłsudski w kwietniu 1934 roku trwał tylko nieco ponad dwa lata, a zakończył się prawie dokładnie w rok po śmierci Marszałka. Okres następny był już w rzeczywistości wyczekiwaniem na nowe wydarzenia, które nakażą całkowitą zmianę polityki z pokojowej we właściwym słowa tego znaczeniu na politykę gotowości obronnej.

Ten podział czasowy trzeba mieć na uwadze, gdy się przystępuje do oceny polskiej polityki zagranicznej w latach trzydziestych. Popełnia się bowiem błąd, jeśli traktuje się lata 1934-1939 jako jedną całość. Tymczasem inne elementy trzeba brać pod uwagę oceniając wszystko, co się zdarzyło do chwili remilitaryzacji Nadrenii, inne elementy wchodzi w grę w okresie między tą remilitaryzacją a Monachium i oczywiście zupełnie inne w ostatnich miesiącach przed wybuchem drugiej wojny światowej.

Wpływ na dość duże pomieszenie pojęć, które do dziś stanowi pożywkę dla propagandy antypolskiej, wywarły opinie ukształtowane w Europie właśnie w pierwszym okresie po podpisaniu deklaracji polsko-niemieckiej. Wspominaliśmy już o krytycznej reakcji, zwłaszcza prasy francuskiej. Miała ona duży wpływ i dużą poczytność także w Polsce. Każda więc krytyka polskiej polityki zagranicznej nadchodząca z Paryża znajdowała żywy oddźwięk w prasie opozycyjnej w Polsce. Pamiętać zaś trzeba, że większość prasy polskiej w owym okresie była opozycyjna, z różnych zresztą powodów i w różnym stopniu, a jej wpływy w społeczeństwie były znacznie większe niż by to wynikało z nakładu poszczególnych gazet. Najbardziej charakterystyczną cechą kampanii prasowej krytykującej politykę zagraniczną Polski było podejrzenie, że za deklaracją polsko-niemiecką kryją się jakieś klauzule czy tajne umowy, przewidujące nie tylko normalizację stosunków, lecz również koordynację niektórych poczynań politycznych. Podejrzenia tego rodzaju żywił nawet człowiek tak wielkiego kalibru jak Barthou. Zapytywał zresztą o nie wręcz w czasie swego pobytu w Warszawie. Rzecz jasna, że podejrzenia te nie miały żadnego uzasadnienia w faktach, lecz walka z nimi była równie trudna jak udowadnianie w sądzie, że się kimś nie jest lub że się gdzieś nie było. Tym bardziej, że na pogłoskach tego rodzaju zależało propagandzie obu sąsiadów Polski. Gdy o stronę niemiecką chodzi, pobudki były bardzo przejrzyste. Niemcy, odosobniwszy się celowo w Europie, próbowały stworzyć wrażenie, że znalazły jednak poparcie w tak tradycyjnie wrogo do nich nastawionej Polsce. W niejednym pozory dopomagały w wytworzeniu takiego wrażenia, zwłaszcza w pierwszym okresie po podpisaniu deklaracji polsko-niemieckiej. Wynikało to po prostu z ogólnego zaskoczenia. Europa przyzwyczaiła się przez kilkanaście lat, że spór polsko-niemiecki jest zjawiskiem ciągłym i nieuleczalnym. Obok tego inspirowany przez rządy poszczególnych krajów temat konieczności ustępstw Polski wobec Niemiec, a także polemika z tą tezą przyzwyczaiły opinię światową do dopatrywania się w granicy polsko-niemieckiej głów-

nego źródła niepokoju w Europie. I oto nagle zabrakło sporów polsko-niemieckich. Uznano to za rzecz niezwykłą, a w przekonaniu wielu za podejrzaną.

Ton umiarkowany zachowywała w tym okresie prasa sowiecka. W każdym razie nie było w niej wystąpień antypolskich, a jeśli były krytyki i dezyderaty, to obracały się głównie wokół stosunków polsko-sowieckich, a ściślej mówiąc wokół sposobów rozwinięcia i wykorzystania normalizacji polsko-sowieckiej opartej o pakt nieagresji. Z inspiracji Moskwy działał jednak Komintern swoimi kanałami propagandowymi. Moskwą powodowała po części typowa dla niej podejrzliwość, czy jednak i pomimo wszystko Niemcy nie dążą do wyzyskania Polski w jakiś sposób przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Niemcy zaś, co było jednym z przejawów prymitywizmu myślowego Hitlera i jego najbliższych współpracowników, rzeczywiście próbowali w jakiś sposób normalizację swych stosunków z Polską wyzyskać w kierunku związania politycznego Polski ze sobą. Berlin próbował roztaczać miraż wielkich dla Polski korzyści, jakie we współpracy z Niemcami uzyskać by mogła w przyszłości właśnie kosztem Rosji. Tym celom służyły między innymi niepokojące opinie w Polsce wizyty takich ludzi jak Göring w Białowieży. Na pseudo-zakamuflowane propozycje odpowiadano jednak w Warszawie albo zupełnym milczeniem, albo — gdy było potrzeba — kategorycznym stwierdzeniem, że na tego rodzaju tematy rozmów prowadzić się nie będzie. Lecz o tym nie zawsze wiedziano lub nie zawsze dawano temu wiarę.

Trzeźwo i z dużą przychylnością nowy układ stosunków między Polską i Niemcami traktowano w Anglii. W tej reakcji widzano — widział zwłaszcza Piłsudski — osiągnięcie bardzo ważnego celu. Mianowicie nawiązanie bezpośredniego kontaktu polsko-brytyjskiego w tym przekonaniu, że w razie rzeczywistego zagrożenia Polska na pomoc Francji liczyć może tylko przy nacisku Anglii. Zresztą ten sam pogląd, choć oczywiście w innej formie, coraz częściej znajdował wyraz w wypowiedziach polityków francuskich.

Rozczarowanie niepowodzeniem realizacji projektu Paktu Wschodniego nie zniechęciło Barthou do innych prób wzmocnienia zbiorowego bezpieczeństwa w Europie. Z tym większą nawet energią przystąpił do torowania drogi Związkowi Sowieckiemu do Ligi Narodów. Miał w tym poparcie Anglii, która w przeciwieństwie do swego oporu wobec Paktu Wschodniego obecność Rosji w Genewie traktowała jako zjawisko pozytywne, przede

wszystkim dlatego, że zapobiegało możliwości ponownego porozumienia i zbliżenia Rosji i Niemiec. Pod tym względem pogląd angielski pokrywał się z poglądem Polski.

10 września 1934 roku minister Beck złożył w Genewie deklarację, że Polska żadnych zastrzeżeń przeciwko przystąpieniu Rosji do Ligi Narodów nie ma. Deklarację tę złożył w dniu, w którym otrzymał oświadczenie rządu sowieckiego, że jego przystąpienie do Ligi Narodów w niczym nie wpłynie na wykonanie dwustronnych umów polsko-sowieckich. Nota sowiecka stwierdzała wyraźnie, że „wszystkie zawarte dotychczas umowy, traktaty i porozumienia polsko-sowieckie zachowywać będą swą całkowitą moc i że w żadnym wypadku Związek Sowiecki nie będzie w ich interpretacji posługiwać się swymi zobowiązaniami członka Ligi Narodów i w żadnym wypadku nie będzie dążyć do ich rewizji w oparciu o procedurę Ligi Narodów”.

Deklaracja rządu polskiego wywołała sporo rozczarowania wśród tych członków Ligi Narodów, którzy sprzeciwiali się przyjęciu Związku Sowieckiego do grona jej członków na podstawie braku kwalifikacji politycznych, ustrojowych i moralnych. Spowodowało też niezadowolenie Berlina, które było pierwszym zgrzytem w trwającej dopiero kilka miesięcy normalizacji stosunków polsko-niemieckich. Związek Sowiecki otrzymywał w Lidze Narodów stałe miejsce w Radzie Najwyższej. Dla Polski, która miała w niej miejsce pół-stałe, następna reelekcja wypadła w roku 1935 i w przeciwieństwie do poprzednich nie była jednogłośna, gdyż kilka państw jej się sprzeciwiło. Łączono to raczej niesłusznie ze sprawą umożliwienia Związkowi Sowieckiemu przyjęcia do Ligi Narodów. Raczej niesłusznie, gdyż powodem tej symbolicznej niechęci wobec Polski było inne wydarzenie o ogromnym dla Polski znaczeniu, mianowicie wypowiedzenie przez nią traktatu o mniejszościach.

Nastąpiło to 13 września, a więc 5 dni przed przyjęciem ZSSR do Ligi Narodów. Traktat o mniejszościach jako dodatek do Traktatu Wersalskiego traktowany był łącznie ze statutem Ligi Narodów jako jedna z podstaw organizacji Europy. Upoważniał Ligę Narodów do ingerencji w sprawy dotyczące położenia i ochrony interesów mniejszości narodowych. Był więc niewątpliwie szczególnym ograniczeniem suwerenności państwowej. Intencja z punktu widzenia moralnego była oczywista: chciano zapobiec wynaradawianiu, prześladowaniu lub nierównemu traktowaniu obywateli innej narodowości niż większość w danym państwie. Gdy o Polskę chodzi, miano na myśli przede wszystkim Ukraińców w Małopolsce Wschodniej, mniejszość ży-

dowską rozszaną po całym kraju oraz mniejszość niemiecką. Polska traktat podpisała pod naciskiem i wyrażając przy tym protest podkreślający dwa elementy. Po pierwsze, że prawa mniejszości są w sposób wystarczający zagwarantowane jej własnymi postanowieniami ustrojowymi. Po drugie, że traktat stanowi dyskryminację w stosunku do niej, gdyż nie ma odpowiednika w równoległym zobowiązaniu Niemiec w stosunku do mniejszości polskiej. Beck oświadczył, że wobec kilkakrotnej odmowy wprowadzenia „powszechnego i jednolitego systemu międzynarodowej ochrony mniejszości Polska nie może tolerować dłużej takiego uszczuplania swej suwerenności państwowej”.

Wypowiedzenie traktatu zostało przyjęte z niepokojem wśród mniejszości narodowych w Polsce i wywołało burzę protestów w całej Europie, nawet ze strony takich państw, które same — jak Czechosłowacja — miały duże lub większe niż Polska nagromadzenie mniejszości w swych granicach. Przyjęte zostały natomiast z uznaniem przez społeczeństwo polskie. Traktat o mniejszościach w chwili jego wypowiedzenia przez Polskę nie miał dużego znaczenia praktycznego. Niemcy przestały się nań powoływać, wystąpiwszy z Ligi Narodów, choć przedtem czyniły to stale i w sposób jak najbardziej dla Polski kłopotliwy. Politycznie wszakże uznano krok Polski za asekurację przed ewentualnym wtrącaniem się w jej sprawy wewnętrzne przez Związek Sowiecki, z chwilą gdy zasiądzie w Lidze Narodów. Rosja twierdziła przecie, że jest państwem federalnym obejmującym tak zwane Republiki Ukraińską i Białoruską. Asekuracja była niewątpliwie potrzebna, lecz nie była szczęśliwym pociągnięciem dyplomatycznym. Utrudniła bowiem Polsce wyciągnięcie tych korzyści, jakie mogła ona w stosunkach z Rosją wyciągnąć na podstawie faktu, że dzięki jej stanowisku Związek Sowiecki został wtedy do Ligi Narodów przyjęty.

DZIEDZICTWO PIŁSUDSKIEGO

Kiedy w maju 1935 roku umierał Józef Piłsudski, w położeniu geopolitycznym Polski sprawą najważniejszą nie były zagadnienia polityki wewnętrznej. Była nią jej pozycja na arenie międzynarodowej. Musimy nawet jeszcze bardziej zacieśnić to stwierdze-

nie. Otóż pozycję międzynarodową Polski oceniać musieli Polacy nie z punktu widzenia rozwoju handlu, nie z punktu widzenia prestiżu i zasięgu wpływów w innych krajach czy częściach świata, lecz przede wszystkim — jeśli nie wyłącznie — pod kątem bezpieczeństwa jej bytu państwowego i jej granic. Taka była rzeczywistość Polski niepodległej w całym okresie dwudziestolecia między dwiema wojnami światowymi. Taka była przede wszystkim od chwili, gdy stało się oczywiste, że mocarstwa zachodnie nie uważają Traktatu Wersalskiego za nienaruszalną podstawę ładu i pokoju w Europie. Stwierdziły to ponad wszelką wątpliwość już w roku 1925 w Traktatach Reńskich. Locarno zmusiło Polskę do rewizji jej polityki zagranicznej. Dlatego, że dla Polski Traktat Wersalski był fundamentem jej własnego bezpieczeństwa, którego strzec miało przymierze obronne nie z kim innym, tylko właśnie z Francją, skierowane nie przeciw komu innemu, lecz właśnie przeciw Niemcom.

Po Locarno sytuacja Polski stawała się zła. Zdawał sobie z tego sprawę właśnie Piłsudski. Zapewne też ta ocena niebezpiecznego położenia Polski zaważyła także na jego decyzji sięgnięcia po władzę w drodze zamachu stanu. Do roku 1931 trwał w Europie stan, który Piłsudski określił w roku 1926 jako pięciolecie względnego spokoju. Przewidywania Piłsudskiego okazały się słuszne: walka z Polską, intrygi przeciwko Polsce mieścić się musiały w ramach środków, jakich dostarczała dyplomacja i propaganda. Niemcy znalazłszy się w Lidze Narodów „zatrudniały ją stale” pretensjami przeciwko Polsce. Nie miały jednak ani siły, ani dostatecznie przygotowanego gruntu, by móc jej interesom w sposób poważny zagrozić. Ich współpraca ze Związkiem Sowieckim, zapoczątkowana w Rapallo, została potwierdzona i wzmocniona. Było to niebezpieczeństwo potencjalne, które Polsce groziło od pierwszego dnia jej istnienia i któremu polityka polska na wszelkie sposoby starała się przeciwstawiać. Lecz w latach dwudziestych także Związek Sowiecki nie miał fizycznych możliwości zagrożenia Polsce, a polityka sowiecka dążyła przede wszystkim do konsolidacji swej pozycji na arenie międzynarodowej. W roku 1931 rozpoczęła się jednak nowa faza. Rewizjonizm w Niemczech z propagandy przekształcił się w jawne postulaty. Coraz częściej też słychać było w stolicach zachodnich, że pretensje Niemiec mają uzasadnienie i że pokój w Europie najłatwiej będzie utrwalić w drodze likwidacji punktów zapalnych między Polską i Niemcami. Przełomowy był rok 1932. Polityka polska starała się wówczas dopiąć podwójnego celu: z jednej strony podkreślić w sposób nie pozostawiający żadnej

wątpliwości, że wszelkie próby realizacji roszczeń niemieckich na ówczesnej wschodniej granicy Niemiec oznaczać będą wojnę. Z drugiej zaś strony zabezpieczyć się przed pogłębieniem współpracy niemiecko-sowieckiej skierowanej przeciwko Polsce. Piłsudski starał się wtedy wykorzystać dwie, jak się zdawało, korzystne dla Polski okoliczności. Jedną było chwilowe pogorszenie stosunków francusko-niemieckich. Drugą była ostrożność, z jaką ówczesny kierownik polityki zagranicznej ZSSR Litwinow zaczął się przyglądać swemu niemieckiemu partnerowi. Gdy o Francję chodzi, Polska starała się podnieść nieufność w stosunku do Niemiec i wzmocnić lub odświeżyć postanowienia sojuszu polsko-francuskiego. Próba ta nie dała rezultatów.

Powiodł się natomiast plan zabezpieczenia się od strony Związku Sowieckiego — jak dziś wiemy, zabezpieczenia czasowego. Pakt nieagresji stwarzał nową sytuację. Było to zabezpieczenie, tak je w Polsce wówczas rozumiano, przed powstaniem wspólnego niemiecko-sowieckiego frontu przeciwko Polsce. W oparciu o tę nową rzeczywistość próbowano ponownie zmontować polityczny front obronny przeciwko Niemcom w oparciu o Francję. Wydawać się mogło, że dojście do władzy Hitlera osłabi pacyfistyczne i proniemieckie nastroje w Paryżu. Stać się miało inaczej. Cały Zachód gotów był w dalszym ciągu do jak najdalej idących kompromisów z Niemcami, a Francja asekuracji swego bezpieczeństwa szukać zaczęła nie w Warszawie, lecz w Moskwie. Jednocześnie Niemcy wystąpiły z Ligi Narodów. Polska zawarła wtedy z Niemcami z kolei pakt nieagresji.

Przy pomocy tych dwóch umów międzynarodowych Polska chciała zażegnać lub przynajmniej odsunąć w czasie największe i właściwie jedyne niebezpieczeństwo, na jakie zawsze była narażona — niebezpieczeństwo które doprowadziło do rozbiorów w XVIII wieku i które groziło utraceniem dopiero co odzyskanej niepodległości w XX wieku.

Wśród zarzutów stawianych tej polityce najbardziej frapującym jest do dzisiaj namiętne oskarżanie Polski niepodległej lub raczej oskarżanie Piłsudskiego i jego następców o kurczowe trzymanie się błędnego rzekomo założenia, że Polska skazana jest na sąsiedztwo dwóch wrogów, między którymi nie można zachować równowagi inaczej niż przy pomocy nieangażowania się w przyjaźń z żadnym z nich. Historiografia komunistyczna przeciwstawia tej koncepcji ideę ścisłego podporządkowania się Związkowi Sowieckiemu, bez względu na koszty, jakie za to trzeba zapłacić. Jednocześnie tłumaczy, że jedyną przyczyną, dla której idea ta

nie była w Polsce między dwiema wojnami realizowana, był charakter burżuazyjny państwa polskiego czyli — mówiąc jeszcze inaczej — wrodzony „antykomunizm” ustroju Polski i „kapitalistyczna ideologia” ludzi Polską rządzących.

Jest to stawianie sprawy w sposób niezgodny z prawdą historyczną. Nawet Stalin nie posunął się tak daleko w jej fałszowaniu, bo mówiąc o Polsce zadowolił się bardziej brutalnym, choć być może bliższym prawdy stwierdzeniem, że Polska uprawiała politykę siadania na dwóch stołkach, między które wpadła. Oczywiście nie można zaprzeczyć, że każdy obywatel polski kierujący się interesem swego państwa i narodu odrzucał możliwość podporządkowania się Rosji w jakiejkolwiek postaci, a zwłaszcza, gdy wiązać się to miało ze zmianą ustroju i rezygnacją z własnej tradycji i dążeń narodowych. Polska prowadziła wojnę przeciwko Rosji leninowskiej dlatego, że nie chciała być jedną z republik sowieckich. A o innym sposobie nawiązania „przyjaźni polsko-sowieckiej” i ścisłego sojuszu ze Związkiem Sowieckim przed rokiem 1942 nikt nie słyszał.

Ważniejszy jednak od poglądów Polaków jest fakt, że sojuszu na żadnych warunkach Związek Sowiecki nigdy Polsce nie proponował. Natomiast proponował i stale do niego dążył w stosunku do Rzeszy Niemieckiej, nie troszcząc się wcale, jaki w niej w danym momencie panuje ustrój polityczny i kto na jej czele stoi.

Tym też silniejsze były w Polsce dążenia do zabezpieczenia się od strony Związku Sowieckiego i do utrzymania z nim poprawnych stosunków sąsiedzkich. Osiągnięto to, wzmacniając pakt nieagresji, kiedy Związek Sowiecki i Polska podpisały w Londynie wspólną konwencję o określeniu napastnika. Gdyby słowo „współistnienie” było wówczas znane, nazwać by można tę konwencję podstawowym dokumentem precyzującym zasady tego właśnie układu stosunków międzynarodowych między państwami o różnych ustrojach i założeniach ideologicznych. Rosja przejdzie do porządku nad swym podpisem pod tym dokumentem, podobnie jak nad wielu innymi podpisami, w sierpniu i we wrześniu 1939 roku.

Możliwości złamania umów Piłsudski w swych kalkulacjach nie wykluczał. Nie było w Polsce złudzeń ani co do trwałości zawieranych z obydwojema sąsiadami traktatów, ani co do ich dobrej woli. Liczyć można było jedynie na zabezpieczenie się w określonej sytuacji międzynarodowej, choćby po to, by zyskać na czasie i starać się wpłynąć na jej dalszy rozwój w ten sposób, by z gorszej stawała się dla Polski lepszą. Z tą wszakże różnicą

w podejściu do każdego z dwóch sąsiadów, że zagrożenie od strony Rosji wydawało się bardziej odległe w czasie niż zagrożenie ze strony Niemiec. Nie należy dać się wprowadzić w błąd szeroko rozreklamowanym faktem, że w planach obrony ściśle wojskowej przykładano — także po śmierci Piłsudskiego — więcej uwagi do granicy wschodniej niż do zachodniej. Wy tłumaczenie jest tu zupełnie logiczne i zawarte w lapidarnym powiedzeniu Piłsudskiego, iż w wypadku przeciągnięcia struny przez Niemcy państwa zachodnie mogą jednak przyjść i zapewne przyjdą Polsce z pomocą, gdyż poczują, że i im Niemcy zagrażają. W starciu z Rosją — mówił Piłsudski — nie możemy liczyć na nikogo, w starciu z Niemcami liczyć możemy. Pamiętać też trzeba o ówczesnym słabym potencjale wojskowo-gospodarczym Związku Sowieckiego. W latach trzydziestych obrona przed napaścią z jego strony nie była bynajmniej mrzonką. Tak przynajmniej sądzono — nie tylko w Polsce. Stąd pogotowie wojskowe od strony Rosji, które Polska utrzymywała w przeświadczeniu, że na wypadek konfliktu z nią musi się obronić własnymi siłami. Coś, co dziś wydaje się zupełnym absurdem, nie było nim wcale w latach trzydziestych.

Nie oznaczało to bynajmniej, by w tychże latach trzydziestych ktokolwiek myślał poważnie o jakimkolwiek wystąpieniu zaczepnym przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Hitler tego nie zrozumiał, gdyż nie rozumiał ani psychiki polskiej, ani podstawowych założeń jej polityki. Zdawał sobie rzecz jasna sprawę, że pakt nieagresji podpisany przez Polskę jest wynikiem groźnego dla niej osamotnienia. Wiedział, że Polska zamiast zabezpieczać się na własną rękę wolałaby wspólną energiczną akcję sygnatariuszy Traktatu Wersalskiego z Francją i Anglią na czele — akcję, która by położyła kres wzrostowi potęgi politycznej i wojskowej Niemiec. Wiedział też, tak jak wiedział Piłsudski, że nie stać jeszcze Niemiec na wojnę. I to nie tylko na wojnę z mocarstwami zachodnimi i z Polską jednocześnie, lecz także na wojnę z samą tylko Polską. Potrzebował czasu, podobnie jak potrzebowała go Polska, choć z zupełnie innych powodów i dla innych celów. Dotychczas wszystko grało na korzyść Niemiec. Zachód — i Francja, i Anglia — szedł na każde ustępstwo. Pozwalał na zbrojenia, pomagał Niemcom gospodarczo, skłonny był jak najbardziej poprzeć propagandowo i politycznie rewindykację terytorialną Niemiec kosztem Polski. I odżegnywał się od jakiegokolwiek akcji prewencyjnej, do której dążyła Polska. Wspomniany przez nas incydent z kontrtorpedowcem „Wicher” w porcie gdańskim wzbudził w Paryżu, Genewie i Londynie i gniew,

i przerażenie. Podobnie było przy wprowadzeniu polskiej załogi wojskowej na Westerplatte. Nie inaczej z celowo przez stronę polską rozreklamowanym planem zajęcia Prus Wschodnich, o którym mówiono ze strachem w Londynie na podstawie koncentracji wojsk polskich z okazji rocznicy zdobycia Wilna. Ówczesny zastępca Hitlera, wicekanclerz von Papen, pisał w *Times*'ie londyńskim 28 kwietnia 1933 roku z myślą o Polsce, że plany wojny prewencyjnej przeciwko Niemcom są niegodziwe.

Jeśli plany te przerażały Zachód, to budziły nie mniejszy niepokój w Berlinie. Stąd natychmiastowa ugodowa reakcja Hitlera na zapytanie, które na rozkaz Piłsudskiego zadał mu poseł Alfred Wysocki: czy Niemcy chcą ułożyć stosunki sąsiedzkie z Polską? Bo jeśli nie, Polska będzie musiała przedsięwziąć konieczne wojskowe środki ostrożności. Hitler wbrew swemu otoczeniu i wbrew ministrowi spraw zagranicznych Neurathowi proponował pakt nieagresji na wzór paktu podpisanego przez Polskę z Rosją.

Czym się w tym momencie powodował Hitler? Obawą, że gdyby Polska jednak zdecydowała się na konflikt, Zachód może także wystąpić. Hitler mówił o tej możliwości w rozmowie z generałem Kurtem von Hammersteinem w styczniu 1933 roku: „Wkraczamy w okres najkrytyczniejszy. Teraz się okaże, czy Francją rządzą mężowie stanu, którzy nie zawahają się na nas uderzyć wspólnie ze swymi satelitami na Wschodzie, zanim nie osiągniemy wielkich rozmiarów rozbudowy naszej armii”.

Czy mogła Polska sama uderzyć na Niemcy, grając niebezpieczną stawkę, że albo pociągnie za sobą Francję, albo Francja się jej wyprze? W sensie wojskowym być może mogła. W sensie politycznym nie mogła. Zwalniałaby bowiem tym samym Rosję z obowiązku dotrzymania paktu nieagresji. Po wtóre byłaby napastnikiem, co by postawiło przeciwko niej Ligę Narodów. Ryzyko było więc zbyt ogromne, by zdobyć się na nie mogła Polska.

Pakt nieagresji z Niemcami dawał Polsce tak bardzo jej potrzebny oddech na kilka co najmniej lat. Tak rozumował Piłsudski. Skoro Zachód nie decyduje się na przeciwdziałanie wzrostowi potęgi niemieckiej, skoro nie zdradza żadnych zamiarów dopomożenia Polsce przeciwko Niemcom, musimy zabezpieczyć się sami aż do chwili, gdy zmienią się nastroje w całej Europie.

Pomawiano Polskę, że paktowi towarzyszą jakieś tajne konwencje, zwłaszcza wojskowe, skierowane przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Obawy takie panowały w Moskwie, co wiązało się z nagłym pogorszeniem się stosunków sowiecko-niemieckich.

Pogorszenie to było jak najbardziej na rękę Polsce, lecz ustosunkowała się do niego zupełnie inaczej niż roił sobie Hitler. Mianowicie poparła gorąco przystąpienie Rosji do Ligi Narodów. Litwinow w Genewie pogłębiał niechętnie Niemcom nastroje w całej Europie i wzmacniał dodatkowo postanowienia sowiecko-polskiego paktu nieagresji. Polska przestrzegała go jak najsuenniejszej, ku rozczarowaniu Hitlera, który w pakcie polsko-niemieckim widział możliwość bliższego sojuszu skierowanego właśnie przeciwko Rosji. Wszelkie podchody i umizgi obiecujące Polsce złote góry na Ukrainie przyjmowano w Warszawie milczeniem, określonym przez Göringa jako „wyniosłe”. Odmówiła też Polska przystąpienia do Paktu Antykominternowskiego w roku 1936.

To znaczy już po śmierci Piłsudskiego. Rok 1936 miał być zresztą końcem złudzeń Hitlera, że zdoła zachęcić Polskę do związania swej polityki z polityką niemiecką. Wówczas też stało się aktualne pytanie, na jak długo i w jakich okolicznościach przewidywał zmarły Marszałek skuteczność działania polityki równowagi między dwoma groźnymi sąsiadami, której narzędziem były dwa pakt nieagresji.

NADRENIA

I

Pytanie, na jak długo wystarczyć mogły wskazania Piłsudskiego jako podstawa polskiej polityki zagranicznej wyłoniło się już w związku z wydarzeniami z roku 1936 i z polską na nie reakcją. Wśród wydarzeń tych najważniejsze było wprowadzenie wojsk niemieckich do Nadrenii, która w myśl postanowień Traktatu Wersalskiego i szeregu potwierdzeń w innych umowach stanowić miała strefę zdemilitaryzowaną.

Demilitaryzacja Nadrenii była kamieniem węgielnym bezpieczeństwa Francji od momentu, gdy zrezygnowała ona z ambicji przywództwa w Europie, przy których starała się wytrwać do połowy lat dwudziestych. Jednym z elementów warunkujących spełnienie tych ambicji było utrzymanie pokonanych Niemiec w

stanie bezsiły politycznej i zależności gospodarczej od zwycięskich mocarstw zachodnich, drugim podporządkowanie kierownictwu francuskiemu polityki państw nowopowstałych lub odtworzonych w wyniku pierwszej wojny światowej, wśród nich, obok Czechosłowacji i Jugosławii, także Polski.

Z ambicji tych zrezygnowała Francja w Locarno w roku 1925. Uszeregujmy w skrócie przyczyny tego zwrotu, gdyż wiele z nich wyznaczało jednocześnie ogólny kierunek rozwoju stosunków w Europie aż po wybuch drugiej wojny światowej.

Przyczyną pierwszą była słabość Francji, która ujawniła się w ciągu kilku lat po zwycięstwie nad Niemcami. Słabość w postaci zmęczenia społeczeństwa, spotęgowana katastrofalnym spadkiem przyrostu naturalnego. Wskutek tej słabości wielkomocarstwowe zamysły nie znajdowały żadnego zaplecza w poglądach i pragnieniach społeczeństwa, które po hekatombie wojennej chciało tylko spokoju. Przyczyną drugą była niechęć Anglii wobec samej idei hegemonii francuskiej nad Europą. Sojusz francusko-angielski traktowano w Londynie jako ubezpieczenie przed ewentualnym rewanżem niemieckim, a mierzono go miarą interesów angielskich, a nie francuskich. Bez poparcia Anglii Francja hegemonii w Europie utrzymać nie mogła. Dalej słabość gospodarcza w zestawieniu z zamierzoną pozycją polityczną. Francja chciała to nadrobić, w części przynajmniej, reparacjami wojennymi, czyli kosztem Niemiec. Miały one zresztą służyć celowi podwójnemu, bo jednocześnie utrzymywać Niemcy w szachu politycznym. Gdy zacznie się okres ustępstw i paktowania z Niemcami na odcinku odszkodowań wojennych, Francja będzie najdłużej nieprześlągana. Lecz osłabienia gospodarczego Niemiec a raczej utrzymywania ich w stanie permanentnego bankructwa ze wszystkimi skutkami społecznymi najmniej życzyła sobie Anglia, nie chcąc dopuścić do rewolucji w Niemczech oraz w imię zasady równowagi sił, która ciągle jeszcze była kamieniem węgielnym polityki brytyjskiej w Europie. I wreszcie nie udało się Francji utrzymać Niemiec w izolacji. Zapobiegło temu ich zbliżenie i współpraca ze słabym wewnątrz i niewiele znaczącym w polityce światowej, lecz potencjalnie ważnym Związkiem Sowieckim. Rapallo było niewątpliwie preludium Locarna.

Także pomysł traktowania nowych państw w Europie środkowo-wschodniej jako satelitów politycznych Francji nie wytrzymał próby życia. Gdy o Polskę chodzi, nie mogła dostosowywać swej polityki do celów polityki francuskiej z dwóch przede wszystkim względów. Po pierwsze nie mogła uważać Rosji za

zagadnienie marginesowe i o minimalnym znaczeniu dla rozwoju stosunków w całej Europie, jak to czyniła wówczas Francja. Po drugie nie mogła sobie pozwolić na układanie swych stosunków z Niemcami analogicznie jak Francja, a więc coraz to inaczej, o ile nie będą temu towarzyszyć absolutnie pewne gwarancje, że sprawa bezpieczeństwa Polski traktowana jest w Paryżu w sposób zgodny z interpretacją polską. A takiej gwarancji Francja nie dawała, ani formalnie, ani na przykładzie praktycznego działania politycznego.

To były przyczyny Locarna czyli przyczyny zmiany ogólnego kierunku polityki francuskiej, zmiany w pełni aprobowanej przez angielskiego sprzymierzeńca.

Z tym momentem jednak bezpieczeństwo i integralność terytorialna państwa polskiego przestawała być zaliczana do niezmiennych i trwałych elementów ładu europejskiego. Sytuację pogarszały dwa czynniki. Jednym była trudność, a raczej brak możliwości zmontowania wspólnego frontu przez Polskę i państwa Małej Ententy. Wśród nich najważniejsza była Czechosłowacja. Teoretycznie Locarno stwarzało dla niej równie niebezpieczną co dla Polski sytuację. W praktyce natomiast ani Niemcy nie wysuwały żadnych żądań pod jej adresem, ani też w Pradze z żądaniami tego rodzaju się nie liczono. Zdaniem Benesa, a nawet samego Masaryka, uczestnictwo w tym sporze polsko-niemieckim nie leżało w interesie Czechosłowacji, tym bardziej, że jej główny sprzymierzeniec i patron na arenie międzynarodowej, to jest Francja, bynajmniej takiego uczestnictwa sobie nie życzył.

Polski natomiast nie interesowała zupełnie napięta sytuacja między Małą Ententą i Węgrami, gdyż nie tylko nie uważała ich za najniebezpieczniejszego wroga, jak Węgry nazywano w Pradze, Bukareszcie i Belgradzie, lecz przeciwnie, za tradycyjnego przyjaciela.

Był to niewątpliwie zły i niebezpieczny dla Polski klimat polityczny. I jeśli miał marginalne tylko znaczenie w porównaniu z zagadnieniami tego rzędu co stosunek mocarstw zachodnich do sporu polsko-niemieckiego, a przede wszystkim w zestawieniu z niebezpieczeństwem połączenia sił Niemiec i Rosji przeciwko Polsce, to jednak wpłynął na rozwój wypadków w tym sensie, że każde późniejsze posunięcie ekspansji niemieckiej w kierunku południowym — na Austrię i Czechosłowację — przyjmowano w Warszawie z westchnieniem ulgi, dochodząc często do zupełnie fatalnych wniosków praktycznych.

Nie dochodził do nich Piłsudski, choć nie taił swego rozczar-

rowania polityką czechosłowacką. Dojść jednak miał do nich Beck, gdy pozostał sam u steru polskiej polityki zagranicznej.

Drugi czynnik, który pogarszał fatalne położenie Polski po zasadniczej zmianie polityki mocarstw zachodnich w Locarno, czynnik stanowiący zagrożenie dla samego istnienia Polski jako niepodległego państwa to współpraca i możliwość sojuszu niemiecko-rosyjskiego.

Porozumienie z Rosją osiągnięto w pakcie nieagresji z roku 1932. Dojście do władzy Hitlera ułatwiało na pozór odstąpienie Zachodu od lokarneskiej polityki paktowania i ustępstw. Ale polska zachęta do akcji prewencyjnej przeciwko Niemcom nie znalazła żadnego na Zachodzie odzewu. Przeciwnie — przyspieszyła tempo poczynañ ugodowych i wzmogła niechęć do Polski za jej rzekome awanturnictwo. W roku 1935 Anglia zawarła porozumienie parytetyczne pozwalające Niemcom na rozbudowę floty wojennej. W tym samym roku wprowadzono w Niemczech służbę wojskową i przystąpiono do budowy ogromnej armii.

Wprowadzenie wojsk niemieckich do Nadrenii wydawało się oczywistym zagrożeniem Francji i Belgii — zwłaszcza, że połączył je Hitler z oficjalnym unieważnieniem postanowień lokarneskich. 7 marca, kilka godzin po wiadomości o przekroczeniu Renu przez Reichswehrę, Beck oświadczył ambasadorowi francuskiemu Noëlowi, że Polska dotrzyma swych zobowiązań sojuszniczych, gdyby Francja postanowiła zareagować zbrojnie. Podobne oświadczenie złożył posłowi belgijskiemu. Rząd francuski oświadczenie Becka po prostu zignorował, czy raczej zataił. Nie zdobył się też na żaden krok praktyczny, stosując półśrodki w rodzaju własnego protestu i namawiając innych do protestowania, czego Beck wobec negatywnego stosunku Paryża do jego inicjatywy odmówił.

Beck był święcie przeświadczony, że postąpił zgodnie ze wskazaniami Piłsudskiego. Czy Piłsudski ograniczyłby się jednak do rozmowy z ambasadorem francuskim? Zapewne wydałby jakieś zarządzenia wojskowe. Na pewno nie pozwoliłby na zatajenie sprawy przez Paryż. Gdyby uznał, że można i należy wypadki przyspieszyć, to by je przyspieszył. Oczywiście Beck tego rodzaju decyzji sam powziąć nie mógł. Lecz nic nie wskazuje, by się o nie starał w rozmowach telefonicznych z prezydentem Mościckim i Rydzem-Śmigłym.

Tak czy inaczej, Nadrenia nie stała się pretekstem do wojny prewencyjnej.

Cóż się więc ważnego stało w roku 1936? Anglia umyła ręce, Belgia wypowiedziała traktat przymierza z Francją, Hitler zbroił się dalej, a Polska dotrzymywała postanowień paktów nieagresji z obydwojoma sąsiadami. Niemniej zrozumiano w Europie, także w Moskwie, że polski pakt nieagresji z Niemcami nie oznacza ani odwrócenia sojuszy, ani podporządkowania polityki polskiej polityce niemieckiej. Że jest tylko sposobem zabezpieczenia, dopóki nie nastąpi nowa poważna próba sił. Co najważniejsze — zrozumiało to z ulgą społeczeństwo polskie, zdezorientowane i zaniepokojone polityką swego kraju po śmierci Piłsudskiego.

II

Józef Beck, wychowanek Piłsudskiego, uważany przez niego za najzdolniejszego wśród ludzi mu oddanych, przygotowywany od lat na przejęcie kierownictwa polityki zagranicznej, we własnym przekonaniu — więcej: we własnym sumieniu, bo tego słowa używał — postępował ściśle według wskazań swego zmarłego nauczyciela i protektora. I z pozoru przynajmniej tak właśnie postąpił składając 7 marca 1936 roku swe oświadczenie ambasadorowi Noëlowi.

Było to rzecz jasna jednoznaczne z gotowością do przystąpienia do wojny z Niemcami, która nie byłaby już wojną prewencyjną ani wojną tak łatwą, jaką być mogła jeszcze w roku 1932 albo 1933. Lecz jej wynik byłby przesądzony na niekorzyść hitlerowskich Niemiec. Nie tylko dlatego, że ich zbrojenia były jeszcze w fazie początkowej, lecz i dlatego, że zaangażowanie się w nią Francji pociągnęłoby za sobą, pomimo gwałtownych zabiegów pacyfistycznych, co najmniej życzliwe stanowisko Anglii. A także — co w tym okresie było nie mniej ważne — czynny udział Czechosłowacji i Belgii, związanych podobnie jak Polska soюзami wojennymi z Francją. W ówczesnym zestawieniu sił ich potencjał bojowy był bardzo poważny. I wreszcie także ważny, a dla Polski najważniejszy, element polityczny: wiosną 1936 roku Związek Sowiecki nie ważyłby się angażować czynnie po stronie niemieckiej nawet w drodze dywersyjnego wystąpienia przeciwko Polsce. Ani nie miał po temu możliwości fizycznych, ani nie było odpowiedniej po temu atmosfery politycznej.

W roku 1936 Polska mogła liczyć na dotrzymanie paktu nieagresji, a więc na neutralność Moskwy, na co w roku 1939 liczyć już nie mogła.

O powstaniu takiej właśnie sytuacji myślał Piłsudski, gdy mówił o konieczności wyczekania na korzystną dla Polski zmianę koniunktury politycznej. Mogła taka zmiana nastąpić tylko w chwili zagrożenia Zachodu, konkretnie Francji, co stawiałoby w przymusowej sytuacji także Wielką Brytanię, która przyjmowała linię Renu oraz granicę Niemiec z Belgią za skraj przedni własnego bezpieczeństwa. Zagrożenie Zachodu powinno było nakazać Zachodowi rezygnację z polityki ugłaskiwania Niemiec w postaci dawania im, w sposób mniej lub bardziej zawołowany, wolnej ręki w dążeniu do rewindykacji terytorialnych na wschodzie. Czyli kosztem Polski.

Nie tylko Polska jednak czekała na poprawę sytuacji międzynarodowej. Cekał też Hitler. Oczywiście każda ze stron poprawę sytuacji widziała inaczej. Dla Polski polegać ona miała na zmianie linii politycznej mocarstw zachodnich wobec Niemiec z ugodowej na przewencyjną, dla Niemiec na ostatecznym pogodzeniu się tych mocarstw z myślą o pozostawieniu Niemcom hegemonii w Europie środkowo-wschodniej i południowo-wschodniej. Hitler potrzebował czasu na zbrojenia, na kolejne podważanie wartości traktatów międzynarodowych dla Niemiec niekorzystnych, na *Anschluss* Austrii, na zabór lub przynajmniej podporządkowanie sobie Czech, być może na odzyskanie pokojową drogą niektórych kolonii w Afryce. Liczył też na powolne odizolowanie Polski. Innymi słowy na to, że Polska nie doczeka się korzystnych dla siebie zmian na Zachodzie i że, nie mając innego wyjścia, wejdzie w orbitę jego wpływów, odstąpi Gdańsk i Pomorze, być może da się skusić mirażami wspólnej akcji przeciwko Rosji — jeśli nie z innych powodów, to po to, by zapobiec ponownemu jej zbliżeniu z Niemcami.

Była to więc gra nieomal w odsłonięte karty. Przynajmniej za życia Piłsudskiego.

Sprawa Nadrenii była — a raczej mogła być — tą chwilą zmiany koniunktury na korzyść Polski. Wiedział o tym także Hitler, wiedział sztab niemiecki, przestrzegający Hitlera przed ryzykiem. Lecz Hitler ryzyko podjął.

Beck nie popełnił formalnie błędu. Lecz w zastosowanej taktyce dał z góry jak gdyby wyraz swej niewierze we Francję. I tu zapewne popełnił błąd, jakiego nie popełniłby Piłsudski — wyznawca tezy, że w niektórych okolicznościach należy przy-

spieszać wypadki. Nadałby zapewne duży rozgłos oficjalnemu oświadczeniu Polski, że dotrzyma swych zobowiązań sojuszniczych. Wzmocniłby je być może stwierdzeniem, że remilitaryzacja Nadrenii jest pogwałceniem artykułu 44, który mówił wyraźnie, że „uważana będzie za akt nieprzyjacielski wobec mocarstw, które podpisały Traktat Wersalski i jako postępek zagrażający pokojowi świata”. To prawda, że rząd francuski miał w swym ręku decyzję wojny i że powzięcia takiej decyzji się bał. Lecz, jak dziś wiemy ze źródeł niemieckich, samo zagrożenie wojną skłoniłoby zapewne Hitlera do odwrotu z Nadrenii, być może pod zasłoną jakichś deklaracji. Polska rzecz jasna ani nie mogła, ani nie powinna była zaczynać kroków wojennych, ani nawet grozić ich zaczęciem. To należało do Francji. Lecz cicha zgoda na zatajenie przez rząd francuski oświadczenia polskiego, po którym nastąpiła nie wyjaśniona publicznie polska odmowa podpisania głośłownego protestu, a na to tylko zdobyły się Francja razem z Anglią, wywołała jedynie wrażenie w opinii zachodniej, a także w Moskwie, że Polska umyła ręce w sprawie Nadrenii. Stało się to pożywką dla wrogiej Polsce propagandy, że jej paktowi nieagresji z Niemcami towarzyszą jakieś dalsze, tajne umowy, a co najmniej uzgodnienia. Zaprzeczano temu w Warszawie dość mało przekonującymi kanałami dyplomatycznymi, zaprzeczala temu głośno prasa polska. Nie zaprzeczał oczywiście Berlin, gdyż pogłoski tego rodzaju były mu na rękę.

Dodać tu może warto informację, jaką przekazał nam wice-minister spraw zagranicznych Jan Szembek w swym „Diariuszu”. Dowiadujemy się z niego, że po złożeniu przez Becka jego oświadczenia ambasadorowi francuskiemu zaczęto w ministerstwie spraw zagranicznych w Warszawie toczyć nieomal publiczne dyskusje, czy remilitaryzacja Nadrenii stanowi czy nie stanowi *casus foederis* w świetle postanowień sojuszu polsko-francuskiego. Niektórzy znawcy twierdzili, że nie stanowi, gdyż nie jest bezpośrednim zagrożeniem granicy niemiecko-francuskiej i niemiecko-belgijskiej. Sprawiało to — nieuzasadnione może — wrażenie próby osłabienia wagi własnego oświadczenia. Dodać też warto, że zostało to jak najgorzej przyjęte w polskich kołach wojskowych, które żadnych wątpliwości tego typu nie miały. Wojsku też przypadnie w udziale, bardziej niż ministerstwu spraw zagranicznych, wyciągnięcie praktycznych wniosków z remilitaryzacji Nadrenii. Chodziło o przypomnienie Europie i Niemcom, że pomimo załamania się polityki francuskiej w chwili wielkiej próby sojusz polsko-francuski nie przestał obowiązywać, a przeciwnie, strona polska dąży do jego wzmocnienia.

Przypomnienia tego nie potrzebował na pewno Hitler. I on jeden na pewno zapisał sobie dobrze w pamięci fakt, że gdyby Francja zdecydowała się na postawienie mu oporu, jej polski „satelita” skorzystałby na pewno z szansy położenia kresu niemieckim zbrojeniom i ambicjom hegemonii w Europie. W Berlinie stanowiska Polski nie wzięto za próżny gest.

Nie można winić Becka, że w obliczu fiaska akcji postawienia tamy wzrostowi potęgi niemieckiej postanowił utrzymać dalej w mocy normalizację stosunków z Niemcami w oparciu o pakt nieagresji. Każdy inny polityk postąpiłby tak samo. W dyplomacji tego rodzaju „jak gdyby nigdy nic” nie jest żadną nowością i zdarza się często, nawet gdy oboj partnerzy robią tylko dobrą minę do złej gry, czekając i pracując w kierunku stworzenia takiej zmiany w koniunkturze międzynarodowej, która im pozwoli znaleźć lepsze zabezpieczenie swoich interesów.

Podobnie było w stosunkach polsko-niemieckich w roku 1936, po sprawie Nadrenii. Z tą tylko różnicą, że Niemcy, nie rezygnując z poprawnych stosunków z Polską, dążyć zaczęły do jej izolacji. Temu celowi służyło między innymi wznowienie umizgów pod adresem Zachodu, pod adresem tej właśnie Francji, której bezpieczeństwu zagroziły wprowadzając wojska do Nadrenii. Wypowiedziawszy Traktaty Lokarneńskie Hitler powtarzał w sposób jak najbardziej uroczysty, że nie ma żadnych wrogich zamiarów na Zachodzie, że nie myśli o naruszeniu niczych granic, znowu na Zachodzie, i że współpraca gospodarcza jest podstawą jego polityki — w stosunku do Zachodu. Wszystko, domyślnie, za cenę *désintéressement* tegoż Zachodu każdym innym niż zachodnim kierunkiem ekspansji niemieckiej.

Gdy o Polskę chodziło, Hitler nie wyrzekał się jeszcze planów wciągnięcia jej w orbitę swej polityki. Wiedział jednak, że osiągnąć to będzie można tylko po całkowitej izolacji Warszawy. Wciągnięcie jej w orbitę swej polityki uważał za potrzebne, dopóki nie będzie gotów do rozprawy ze Związkiem Sowieckim. Polska miała go ośłaniać do czasu, gdy ułoży się ostatecznie z Zachodem. To znaczy z Anglią, bo Francję już lekceważył. I tej linii postępowania się trzymał aż do czasu Monachium, gdy pojawiła się nowa możliwość w postaci pierwszych propozycji Stalina pozostawienia Niemcom wolnej ręki na zachodzie za cenę rozbioru Polski i podziału reszty Europy środkowo-wschodniej na sowiecką i niemiecką strefę wpływów.

Od roku 1936 zaczęła się też nowa faza polityki polskiej. Jej założeniem podstawowym było nie dopuścić do izolacji.

RAMBOUILLET

Zaprzepaszczenie możliwości akcji prewencyjnej przeciwko Niemcom z okazji remilitaryzacji Nadrenii odbywało się w atmosferze zadziwiającego chaosu w całej polityce europejskiej. A tymczasem był to rzeczywiście punkt przełomowy w historii Europy. Ryzyko podejmowane przez Hitlera było tym większe, że miał świeżo w pamięci fiasko swej pierwszej próby opanowania siłą Austrii. W lipcu 1934 roku bojówki nazistowskie, zorganizowane w Monachium, przedstawiając się jako uchodźcy austriaccy dokonali zamachu na kanclerza Austrii Dollfussa. Kanclerz został zamordowany. Miały z kolei nastąpić pucz pod hasłem *Anschluss'u*, przekroczenie granicy przez wojsko niemieckie i wcielenie Austrii do Rzeszy. Prócz postanowień Traktatu Wersalskiego istniało odrębne porozumienie Francji, Anglii i Włoch, gwarantujące integralność Austrii. Mocarstwa te nie zdążyły nawet porozumieć się między sobą co do dalszej akcji, gdyż całą inicjatywę wzięł na siebie Mussolini. Zgromadził wojska na Brennerze i zapowiedział wkroczenie do Austrii w razie pogwałcenia jej granicy od strony Bawarii. Hitler natychmiast wycofał się ze swych planów. Na podobną inicjatywę nie zdobyła się Francja w marcu 1936 roku, zadowalając się uroczystym protestem i zwróceniem się o interwencję Ligi Narodów. Protest mówił między innymi o pogwałceniu Traktatów Lokarneskich.

Były to zupełnie jałowe gesty. Niemcy hitlerowskie wystąpiły już były z Ligi Narodów, motywując ten krok ich dyskryminacją na tle „rozbrojenia”, czy raczej niechęcią Ligi do udzielenia im błogosławieństwa na zrównanie zbrojeń z innymi mocarstwami. Trudno się było spodziewać, by zechciały teraz podporządkować się jej orzeczeniu. Powołanie się na Układy Lokarneskie też było argumentem bez znaczenia, gdyż właśnie jako pretekst remilitaryzacji Nadrenii Hitler podał rzekome złamanie ich postanowień przez Francję. Polegać ono miało według argumentacji Hitlera na ratyfikacji sojuszu francusko-sowieckiego, która nastąpiła 27 lutego 1936 roku, a więc 9 dni przed wkroczeniem wojsk niemieckich do Nadrenii.

Sojusz sowiecko-francuski podpisała zresztą Francja już w maju poprzedniego roku. Była to z jej strony próba asekuracji — tak to przynajmniej tłumaczono — na wypadek, gdyby przestał działać sojusz polsko-francuski. A jednocześnie pozostawienie drzwi otwartych dla ewentualnego wznowienia starań o zawarcie Paktu Wschodniego z udziałem Polski i Czechosłowacji.

Dla Rosji sojusz z Francją miał na celu jej własną asekurację polityczną, a nie asekurację wojskową Francji przeciwko Niemcom. Nie czyniono z tego nawet szczególnej tajemnicy, zwłaszcza w kołach wojskowych francuskich, które podkreślały, że bez konwencji wojskowej sojusz sowiecko-francuski nie ma żadnego praktycznego znaczenia. A konwencji wojskowej nie zawierano i nawet nie prowadzono na ten temat rozmów.

Wysuwając więc pretekst rzekomego pogwałcenia Układów Lokarneńskich jako uzasadnienie remilitaryzacji Nadrenii Hitler wiedział dobrze, że od strony Związku Sowieckiego nie mu absolutnie grozić nie może, nawet gdyby Francja zareagowała przy użyciu siły zbrojnej. Po pierwsze dlatego, że Francja nie byłaby stroną napadniętą w rozumieniu sojuszu z Rosją, a po drugie właśnie z uwagi na brak konwencji wojskowej.

Natomiast sojusz francusko-polski miał konwencję wojskową i ona była tego sojuszu właściwą podstawą, nadając mu znaczenie jak najbardziej praktyczne. Ponadto przewidywała działania prewencyjne dla zapobieżenia bezpośredniemu zagrożeniu ze strony Niemiec. Politycy francuscy, co do których Hitler zastanawiał się wówczas, czy okażą się „mężami stanu”, nie chcieli wykorzystać ani atutów teoretycznych, jakie mogliby byli znaleźć w swym sojuszu z Rosją, ani jak najbardziej praktycznych, jakie im dawał sojusz z Polską.

Może nie usprawiedliwieniem, lecz częściowym przynajmniej wytłumaczeniem kapitalnego błędu polityki francuskiej był wspomniany tu chaos panujący w całej Europie. „Mężowie stanu” umieliby go przeciąć własnym energicznym działaniem, politycy małego kalibru poddawali się jedynie jego skutkom. Był to okres zawierania coraz to nowych i coraz to mniej znaczących układów nieomal każdego z każdym. Autorytet Ligi Narodów spadł na poziom najniższy, czego najlepszym przykładem było niepowodzenie jakiegokolwiek inicjatywy wniesionej pod jej obrady, przy jednoczesnym ciągłym powoływaniu się na Ligę i jej statut. Na agresję japońską na Dalekim Wschodzie, w Chinach i w Mandżurii zareaguje Liga niekończącymi się debatami. Agresja włoska na Abisynię nie pociągnęła za sobą żadnych sankcji, gdyż nawet tak zwane sankcje gospodarcze nie objęły nafty i materiałów pędnych i nie wspomniały o zamknięciu Kanału Sueskiego dla wojskowych transportów włoskich. Francusko-angielskie próby znalezienia kompromisu kosztem Abisynii zostały z oburzeniem i jednogłośnie odrzucone przez Izbę Gmin. Rezultatem było zbliżenie Włoch faszystowskich do Niemiec hitlerowskich. Gdy w

roku 1934 Mussolini obronił niepodległość Austrii przed zakusami niemieckimi, to dwa lata później stał już wyraźnie po drugiej stronie frontu, przede wszystkim przeciwko Anglii. Anglia ze swej strony szła na jednostronne ustępstwa wobec Niemiec, na przykład w dziedzinie parytetu zbrojeń morskich, nie zawiadamiając o tym nawet swego francuskiego sprzymierzeńca. Skutki mieszały się z przyczynami. I tak na przykład Belgia po sprawie Nadrenii po prostu wypowiedziała Francji układ przymierza, ogłaszając neutralność.

Inaczej Polska. Po odrzuceniu przez Francję jej zachęty do postawienia tamy wzrostowi potęgi niemieckiej nie pozostawało jej nic innego jak dalej prowadzić politykę wyczekiwania na pomyślną zmianę koniunktury międzynarodowej w oparciu o ścisłe przestrzeganie postanowień niemiecko-polskiej deklaracji o nieagresji. Lecz jednocześnie przystąpiła do odświeżenia wartości i do przypomnienia światu — Francji, Niemcom i własnemu społeczeństwu — sojuszu polsko-francuskiego. Zależało na tym także tym czynnikom we Francji, które niepokoiły się skutkami kunktatorstwa kolejnych rządów. Do nich zaliczyć trzeba — podobnie jak w Polsce — koła wojskowe. Na odcinku wojskowym też — przede wszystkim, choć nie wyłącznie — nastąpiło zbliżenie polsko-francuskie w roku 1936. Znalazło ono wyraz w wymianie wizyt — w połowie sierpnia wizyty szefa sztabu, czyli naczelnego wodza na wypadek wojny, generała Gamelin, w Warszawie, oraz w pierwszym tygodniu września wizyty ważniejszej, marszałka Rydza-Śmigłego we Francji. Zaproszono go tam na manewry armii francuskiej jako „drugą po prezydencie osobę w państwie”. Podejmowano go z ogromnymi honorami. Rezultat wizyty ujęto w protokole, który stwierdzał w powołaniu się na wiążący sojusz z roku 1921, że oba państwa prowadzą konsultacje w sprawie współdziałania wojskowego w ramach konwencji wojskowej uzupełniającej ów sojusz. A więc odwrócenie decyzji belgijskiej, która właśnie odmawiała dalszych rozmów sztabowych z Francją. Ponadto w Rambouillet, letniej siedzibie prezydenta Francji, podpisano umowę o pożyczkę na cele zbrojeniowe Polski w wysokości 2 miliardów franków, z czego połowę w pieniądzu, a połowę w sprzęcie.

We wrześniu 1936 roku sojusz polsko-francuski nabierał więc ponownie cech jednego z nielicznych już hamulców hitlerowskiej polityki marszu ku hegemonii w Europie.

Dodać tu należy, że poprawa stosunków francusko-polskich odbywała się już pod rządami Bluma, premiera z ramienia Frontu

Ludowego, który wygrał wybory w czerwcu. Duża też była w tym zasługa nowego kierownika francuskiej polityki zagranicznej, Yves Delbosa.

KU WOJNIE

I

Trudno rzecz jasna rozpatrywać przyczyny wybuchu drugiej wojny światowej ograniczając się w czasie do okresu od kapitulacji mocarstw zachodnich przed żądaniem Hitlera w Monachium we wrześniu 1938 roku. Preliminaria tej zawieruchy dziejowej sięgają czasów znacznie odleglejszych. Po stronie niemieckiej aż do dnia klęski Rzeszy hitlerowskiej mówiono z reguły, że druga wojna światowa ma swą przyczynę w tym, co Niemcy nazywali „dyktatem wersalskim”. Nie inaczej sprawę traktowała propaganda sowiecka — do dnia 22 czerwca 1941 roku.

Z punktu widzenia badań historycznych są to jednak rozważania jałowe, gdyż co innego oznacza potencjalna możliwość wybuchu wojny, a co innego te okoliczności, które konkretnie do jej wybuchu doprowadziły. Niebezpieczeństwo rozpętania wojny przez Niemcy nie było brane poważnie pod uwagę do czasu zagarnięcia władzy przez Hitlera, względnie do chwili, gdy w jego ocenie osiągnęły taki stopień gotowości militarnej i gospodarczej, że mogły wojnę ryzykować z dużymi szansami powodzenia. Moment taki według oceny polityki polskiej, a przede wszystkim Józefa Piłsudskiego, musiał kiedyś nastąpić. Stąd pierwotna myśl o akcji zapobiegawczej przeciwko Hitlerowi.

Lata 1932-34 stwarzały jeszcze możliwości tego rodzaju akcji zapobiegawczej. Ale polskie sondaże nie dały żadnych wyników, podobnie jak podjęta w roku 1936 próba zbrojnego przeciwstawienia się remilitaryzacji Nadrenii.

Nieudane próby akcji zapobiegawczej dały Polsce tę przynajmniej korzyść, że na następne pięć czy sześć lat jej własne bezpieczeństwo obwarowane zostało nowymi gwarancjami międzynarodowymi, uzupełniającymi a raczej zastępującymi coraz bardziej kruche postanowienia Traktatu Wersalskiego. Owe gwarancje to

dwa paktu nieagresji zawarte z wielkimi sąsiadami Polski. W tym też, w normalizacji stosunków z obydwoma sąsiadami bez wiązania się z żadnym z nich widziała Polska swój ratunek wobec coraz bardziej mgławicowej wartości sojuszu z Francją i — rzecz nie najważniejsza, ale ważna — niemożności stworzenia wspólnej polityki swych sąsiadów na południu i na północy, to jest przede wszystkim Czechosłowacji i państw bałtyckich. Wydawało się też, że obu sąsiadom, to jest Rosji i Niemcom, zależało na neutralności Polski w stosunkach niemiecko-rosyjskich.

A stosunki te właśnie w latach trzydziestych po raz pierwszy od zakończenia pierwszej wojny światowej układały się źle. Nie z inicjatywy Rosji, która o ich poprawę starannie zabiegała, lecz z inicjatywy Hitlera. Dawał on w tym okresie upust rzekomej nienawiści jednego systemu totalnego do drugiego, to jest faszyzmu niemieckiego do komunizmu, zarówno w jego postaci ruchu międzynarodowego, jak i w postaci twierdzy, jakim było imperium sowieckie. Bezwzględna rozprawa z wpływami komunistycznymi w samych Niemczech z jednej strony, a Pakt Antykominternowski z drugiej, były tego wyrazem. Ile było w tym po stronie Hitlera szczerości, a ile koniunkturalnego wyrachowania, nie jest właściwie rzeczą istotną, gdyż liczyć się mogły tylko skutki polityczne takiego nastawienia. Obawa Rosji przed Niemcami ułatwiała zbliżenie z Polską, wcale żywe w latach trzydziestych, a także skłaniała politykę sowiecką do włączenia się w nurt życia Europy, na czym Polsce — jak wiemy — zawsze zależało. Gdy Niemcy wystąpiły z Ligi Narodów, Związek Sowiecki do niej wstąpił, a kierownik jego polityki zagranicznej Litwinow oświadczał, że „pokój jest niepodzielny” i że ład wersalski czy ład genewski są pokoju europejskiego wyrazem. A gdy o pakt nieagresji z Polską chodzi, Związek Sowiecki widział w nim także ważny element własnego bezpieczeństwa. Bo Polska oddzielała Niemcy od Rosji jako państwo neutralne, na czym w tym krótkim okresie czasu Związkowi Sowieckiemu jak najbardziej zależało.

Z drugiej strony — jak się wydaje — incydent nadreński skierował ostatecznie Józefa Becka na drogę szukania zbliżenia z Anglią jako jedynym potencjalnym przeciwnikiem Hitlera i w myśl zalecenia Piłsudskiego, który już przed sześciu laty stwierdzał, że „Francja bez Anglii się nigdy nie ruszy pomimo sojuszu z nami”.

Dowodem prawdziwości tych słów miał być rok 1938, gdy Francja nie drgnęła w obronie Czechosłowacji. A pamiętać trzeba, że stosunki francusko-czechosłowackie opierały się na przesłankach znacznie bliższej współpracy niż stosunki polsko-fran-

cuskie. Czechosłowacja nie weszła nigdy na linię samodzielnej polityki na wzór polityki polskiej. Nawet jej powiązania z Rumunią i Jugosławią w ramach Małej Ententy były warunkowane wytycznymi francuskimi. Co ważniejsze, także sojusz wojskowy ze Związkiem Sowieckim miał klauzulę wykonalności w postaci warunku wypełnienia zobowiązań sojusznicznych przez Francję. W okresie monachijskim w roku 1938 Czechosłowacja zapłacić za to miała straszliwą cenę.

Jest co prawda i inna interpretacja. Sprowadza się ona do tezy, że w sensie fizycznym Rosja nie mogła Czechosłowacji pomóc, nawet gdyby chciała, z uwagi na to, że nie miała z nią wspólnej granicy, a dotrzeć na jej terytorium mogłaby tylko przez terytorium Polski. Stąd domyślny wniosek, że klucz do innego rozwiązania niż rozwiązanie monachijskie leżał w ręku rządu polskiego. W związku z tym warto przypomnieć zapytanie wystosowane przez prezydenta Mościckiego do prezydenta Benesa, czy Czechosłowacja będzie się bronić, z dodatkiem, że gdyby tak było, Polska zaangażuje się zbrojnie po jej stronie. Benes odpowiedział po kilku dniach, że Czechosłowacja szans obrony nie ma i że chwyci za broń tylko w razie wykonania sojuszu wojskowego przez Francję, podkreślając jednak, że Czechosłowacja sama inicjatywy wojskowej nie podejmie.

W Warszawie oceniono tę odpowiedź jako uzgodnioną ze Związkiem Sowieckim. Przypomnienie tego ważnego wydarzenia nie jest z mojej strony próbą obrony całokształtu polityki polskiej w stosunku do Czechosłowacji, i nie oznacza to bynajmniej, że polityka polska w stosunku do Czechosłowacji mogła być przedmiotem naszej chluby. Ze wszystkich zarzutów przeciwko Beckowi zarzuty dotyczące spraw naszego sąsiada południowego są najboleśniejsze. Nie chodzi tu zresztą tylko o sprawę Zaolzia w roku 1938, bo gdyby go nie zajęła Polska, zajęliby je Niemcy. Zaolzie stało się jednak niejako symbolem, nadużywany chętnie przez propagandę antypolską w ogóle, a przez krytyków Becka w szczególności. Ważniejsze było długoletnie nastawienie, całkowita niechęć połączona z niewiarą w możliwość utrzymania się Republiki Czechosłowackiej i w celowość szukania z nią porozumienia.

Wina była, rzecz jasna, po obu stronach. I znowu nie losy polskiej ludności Zaolzia i niesławne dzieje sporu o nie w roku 1919 czy 1920 stanowiły istotę rzeczy. Dołączała się do tego polityka prorosyjska Czechosłowacji, gdy chodziło o pretensje terytorialne Rosji do ziem polskich. Dołączała się czeska niechęć do wiązania się z państwem w jego mniemaniu zagrożonym ze

wszystkich stron, jakim była Polska. Dołączała się niechęć do zajmowania stanowiska w sporach polsko-niemieckich, gdyż zdaniem Benesa Czechosłowacja i Niemcy nie miały powodów do zatargu. Ważniejsza w tym wypadku była prawdziwa, a nie urojona konieczność liczenia się z trzy i półmilionową masą Niemców czeskich, zwanych sudeckimi, którzy stanowili najsilniejsze stronnictwo w parlamencie czechosłowackim i brali udział w rządzie — trzeba przyznać, że aż do czasów Hitlera bardzo lojalnie. Dołączała się niechęć do sympatii polsko-węgierskich z ciągłą obawą o bezpieczeństwo słowackiej części republiki. Ale z drugiej strony polityka Becka godziła się z możliwością zaboru Czech przez Niemcy i Słowacji przez Węgry, co było konkretnym niebezpieczeństwem od roku 1937. Co więcej, widziała w zainteresowaniach niemieckich Czechami szansę przedłużenia pokoju na własnej z Niemcami granicy. Była więc zła wola, bezsprzecznie obustronna, gdyż poważnych inicjatyw zbliżenia ze strony czechosłowackiej także nie było. I w tym wypadku przeszkody stawiała Francja, z którą Czechosłowacja związała bez zastrzeżeń sprawę swego bezpieczeństwa.

Europa skapitulowała więc przed agresywnością Hitlera. Stopień winy jest oczywiście różny, gdyż bezpośrednią odpowiedzialnością obarczać można tylko te państwa, które brały udział w pertraktacjach przetargowych o los państwa czechosłowackiego. Lecz w dużej mierze Anglia i Francja — broniąc, jak się im zdawało, pokoju w Europie — działały nie tylko w swoim imieniu. Pośrednio działały także w imieniu Polski, gdyż decyzja wojny w obronie Czechosłowacji powzięta w Paryżu oznaczałaby automatycznie wykonanie sojuszu polsko-francuskiego przeciwko Niemcom. Rząd polski na tę możliwość był przygotowany, choć w nią nie wierzył, gdyż oceniał trafnie pragnienie Francji utrzymania „pokoju za każdą cenę”.

Cenę pokoju zapłacił w Monachium kto inny, co z westchnieniem ulgi przyjęto nie tylko w Paryżu, lecz także na Kremlu.

W okresie monachijskim istota zagadnienia polegała jednak na czym innym. Na pytaniu mianowicie, czy okup złożony Hitlerowi w postaci okrojenia Czechosłowacji może naprawdę zapewnić Europie „pokój w naszych czasach”, by użyć wyrażenia brytyjskiego premiera Chamberlaina.

Sytuacja zmieniła się i pod innym względem. System bezpieczeństwa zbiorowego stał się dawno fikcją. Co go zastąpiło? W roku 1937 istniały jeszcze umowy dwustronne, takie jak gwarancje angielskie dla Francji, sojusze międzypaństwowe, pakt

nieagresji. Lecz były to środki już tylko zastępcze, o znaczeniu czasowym i problematycznym. Czynniki siły konkretnej wzrastał z dnia na dzień tylko w Niemczech. I była to siła agresywna. Mediacje mocarstw, ciągle z udziałem faszystowskich Włoch, nie były równoważnikiem siły. Lord Halifax mówił w parlamencie brytyjskim w czasie zaboru Austrii w marcu 1938 roku, że pokój w Europie może uratować tylko wojna, lecz stwierdzał, że nikt nie chce jej rozpocząć w obronie pokoju. Monachium było szczytem metody mediacyjnej. Czy było też ostatnim jej aktem?

Nie byłoby ostatnim, gdyby nie polityka polska, kierująca się zasadą „nic o nas bez nas”.

Polska niewiele mogła zaważyć na rozwoju wydarzeń aż do Monachium. Osiągnęła jedynie pierwszą część planu politycznego, na który musiała się zdecydować, gdy odrzucono jej inicjatywę rozprawy zbrojnej z Niemcami przed ich uzbrojeniem. Tą częścią planu było zyskanie na czasie. Natomiast na drugą część planu, na wyjście z odosobnienia, pozostało jej już tylko kilka miesięcy. Wchodziła jednak w te ostatnie miesiące z ważną kartą w rękę: od jej woli i odwagi zależało, czy Europa wybierze wojnę czy też zły pokój, od wojny gorszy.

II

Najwadliwiej oceniano polskie paktów nieagresji z Niemcami i z Rosją w Berlinie. Dowód to zarówno krótkowzroczności, jak i nieznajomości Polaków. Hitler był przekonany, czemu dawał wyraz w sposób prosty, że uda mu się wzbudzić w Polsce zapędy zaborcze w stosunku do Rosji, że uda mu się ją czynnie zaangażować przeciwko Rosji. Kategorie odmowa przystąpienia do Paktu Antykominternowskiego nie zmieniła tego poglądu Hitlera. Zmienił go dopiero rozwój wydarzeń zapoczątkowany rozmową ministra spraw zagranicznych Rzeszy Ribbentropa z ambasadorem Lipskim w Berlinie w dniu 24 października 1938 roku, a której dalszy ciąg nadał Hitler w rozmowie z polskim ministrem spraw zagranicznych Beckiem w dniu 4 stycznia 1939 roku. Ribbentrop proponował przedłużenie paktu nieagresji o dalsze 25 lat w zamian za zgodę na budowę eksterytorialnej autostrady przez Pomorze do Prus Wschodnich oraz za uwzględnienie „życzenia ludności Gdańska”, by mógł on „wrócić w granice Rze-

szy". Odpowiedź polska z 30 października odrzucała propozycję budowy autostrady oraz przestrzegała, że każda próba zmiany statusu Wolnego Miasta Gdańska grozić będzie poważnym konfliktem w stosunkach polsko-niemieckich.

W rozmowie z Beckiem, odbytej w Obersalzberg, Hitler wszedł na wody dalekosiężnych i fantastycznych zgoda propozycji. Twierdził, że istnieje całkowita zgodność interesów Polski i Niemiec, gdy chodzi o Rosję, zapewniał, że nie dopuści do żadnych faktów dokonanych w Gdańsku i że Niemcy uznają Ukrainę za wyłączną strefę interesów polskich. Według oceny Becka na naradzie u prezydenta Rzeczypospolitej 7 stycznia, Hitler nosi się z zamiarami wojennymi, najprawdopodobniej w kierunku zachodnim, w którym to wypadku Polska musi wykonać zobowiązania sojusznicze wobec Francji. Odrzucono zdecydowanie próbę narzucenia Polsce roli ubezpieczenia Niemiec od strony Rosji i uchwalono zgodnie, że na żadne ustępstwa pójść nie wolno, gdyż stanowiłyby tylko wstęp do dalszych żądań. 24 stycznia przybył do Warszawy Ribbentrop z rozwinięciem propozycji Hitlera. W toku rozmowy oświadczył Beckowi, że Polacy niepotrzebnie upierają się w sprawie Gdańska, skoro przy pomocy Niemiec mogą dojść do Morza Czarnego. W odpowiedzi usłyszał, że Polska nie ma zamiaru łamać zobowiązań wynikających z paktu nieagresji ze Związkiem Sowieckim ani z sojuszu z Francją, że o żadnym współdziałaniu z Niemcami skierowanym przeciwko Rosji lub komukolwiek innemu mowy być nie może, i że swych praw w Gdańsku Polska bronić będzie bez oglądania się na konsekwencje.

Odpowiedź ta wprawiła Hitlera w zdumienie. Stwierdził on w rozmowie z Ribbentropem, że skoro Polska ma zamiar przyjść z pomocą Francji, rozpoczynanie wojny na zachodzie nie ma sensu aż do chwili przełamania uporu Polski, co osiągnąć można najlepiej przedłużając jej okrażenie także od strony Karpat.

Było to jednoznaczne z decyzją zajęcia kadłubowej, pomonachijskiej Czechosłowacji, co rzeczywiście nastąpiło 15 marca z pogwałceniem uroczystych zapewnień monachijskich. Ultimatum nie pozostawiło czasu na żadne narady, kompromisy lub przetargi. Czechy i Morawy zajęły Niemcy bezpośrednio, na Słowaczczyźnie utworzyły satelickie państwo nacjonalistyczne. Ruś Zakarpacką zajęły Węgry, przy przychylnym nastawieniu Polski, co można już w tym okresie usprawiedliwić koniecznością posiadania krótkiego chociażby odcinka granicy nie kontrolowanej przez Niemcy. Bo Polska z chwilą zaboru Słowacji jest dokładnie okrążona od zachodu, północy i południa przez Niemcy. Był to cel Hitlera

Stwarzał sytuację militarną, w której Polska nie mogła ryzykować odmowy jego żądaniom. Fala oburzenia na Zachodzie Hitlera nie obchodzi. Uważa, że zbliżył się do idealnego dla siebie rozwiązania: Polska pozostanie neutralna, z czasem pozbawi się ją samodzielności politycznej. 21 marca Ribbentrop ponawia żądania na temat Gdańska. Polska odpowiada częściową mobilizacją alarmową.

Tego kroku Hitler nie przewidywał, a zaskoczył on całkowicie stolice zachodnioeuropejskie. Od końca grudnia panowało w Paryżu i w Londynie przekonanie, że następny akt szantażu niemieckiego dotyczyć będzie Rumunii. Ten „naddunajski” kierunek ekspansji niemieckiej wydawał się logicznym przedłużeniem zaboru Austrii i Czechosłowacji, zwłaszcza że rewizjonistyczne dążenia węgierskie stwarzały tu dodatkowe możliwości. W Anglii dojrzało już przekonanie, że wojna z Niemcami jest nieuchronna. Zabór Czechosłowacji przekonanie to wzmocnił. Co do stanowiska rządu francuskiego, uległo ono także zmianie, zarówno dzięki premierowi Daladier, jak i pewności, że Anglia jest zdecydowana przeciwstawić się wszystkim siłami dalszym żądaniom, pogrożkom czy szantażom Hitlera. W Londynie i w Paryżu mówiono więc o konieczności udzielenia gwarancji Rumunii, do czego ostrożnie zaczęto namawiać także Polskę.

Natomiast o konflikcie polsko-niemieckim nie mówiło się dotychczas wcale. Beck celowo nie podawał do wiadomości faktu, że już od października trwa wojna nerwów z Niemcami. Ostatnie dni marca usławiły nagle światu, że następną ofiarą agresji niemieckiej ma być Polska. Wybór chwili ujawnienia już istniejącego konfliktu z Niemcami był bardzo dobry. Beck zwlekał z tym z dwóch powodów. Po pierwsze, by nie utrudniać Hitlerowi wycofania się z szantażu przeciw Polsce, w razie gdyby zrozumiał, że Polska zdecydowana jest na wszystko z wojną włącznie. Po drugie z obawy, by niegotowe do stanowczych decyzji stolice zachodnie nie próbowały mediacji i łagodzenia, których skutek byłby powtórzeniem Monachium. Lecz obawy te, gdy o Anglię chodzi, przestały być aktualne. Anglia była już zdecydowana udzielić pomocy każdemu, kto się przeciwstawi dalszej agresji niemieckiej. Decyzja Anglii przesądzała także o stanowisku Francji, pomimo jej niechęci do zaciągania jakichkolwiek konkretnych zobowiązań i jak najbardziej niechętnego wojnie stanowiska sztabu francuskiego.

Polityka polska osiągnęła podstawowy swój cel. Nie mogąc zapobiec wojnie, nie mogąc już odsunąć jej od własnych granic, zapobiegła własnemu osamotnieniu. Gwarancje Wielkiej Bryta-

nii, zamienione w polsko-brytyjski sojusz obronny, były już tylko logiczną konsekwencją rozwoju wydarzeń między wrześniem 1938 i marcem 1939 roku. Na kierunek rozwoju wydarzeń Polska wywarła wpływ i to wpływ skuteczny. Jest w tym niewątpliwie zasługa ministra Becka. Deklaracja rządu brytyjskiego w Izbie Gmin w dniu 31 marca, uzgodniona z rządem polskim, zapowiadała udzielenie Polsce natychmiastowej pomocy zbrojnej, jeśli Polska uzna, że została zagrożona bezpośrednio lub pośrednio. Po wizycie Becka w Londynie ukazał się wspólny komunikat polsko-brytyjski datowany 6 kwietnia. Jego treść stanowiła wyraźne ostrzeżenie, że Hitler nie uzyska już niczego bez wojny. 5 maja Beck w przemówieniu w Sejmie stwierdził, że Polska „nie zna pojęcia pokoju za wszelką cenę”. Przemówienie to było odpowiedzią na szereg gwałtownych kroków nakazanych przez Hitlera. Jednym z nich było jednostronne wypowiedzenie paktu nieagresji z Polską, drugim zerwanie układu morskiego z Wielką Brytanią. Hitler uznawał sojusz polsko-brytyjski za groźbę w stosunku do Niemiec i nazywał go „okrążeniem” Niemiec. Poddawał też rewizji swe plany wojenne. Kolejność miała ulec zmianie. Warunkiem wstępnym dla rozpoczęcia wojny na Zachodzie miało być wytrącenie z gry państwa polskiego w drodze nie szantażu, lecz wojny. Miała to być wojna krótka, a jej wynik drugoczący. Po to, by Anglia nie miała już kogo bronić, co każe jej zrezygnować z myśli walki z Niemcami, by szukać z nimi porozumienia kosztem całego kontynentu europejskiego. Pozytywną polityczną Francji Hitler lekceważył, przewidując słusznie, że bez oparcia w Londynie żaden rząd francuski Niemcom się nie przeciwstawi.

Lecz wszystkie plany wojenne, zarówno termin rozpoczęcia wojny jak i kierunek głównego uderzenia, zależeć musiały od stanowiska, jakie zajmie Związek Sowiecki. Hitler obawiał się wojny na dwa fronty. Z chwilą, gdy decydował się na wojnę przeciwko Polsce, stawał w sytuacji, w której prędzej czy później wojska niemieckie dotrą do linii, za którą spotkają Armię Czerwoną. Anglia i Francja dążyły do wciągnięcia Rosji do systemu obronnego przeciw Niemcom. Było to zrozumiałe — w mniemaniu Francuzów nawet konieczne. Obawa Stalina przed Niemcami nie była dla nikogo tajemnicą. Lecz w staraniach o pozyskanie Związku Sowieckiego przeciwko Hitlerowi jakby zapomniano, że cele polityczne Kremla wcale nie polegają na zapobieżeniu wojnie lub na obaleniu Hitlera celem zabezpieczenia pokoju. Przeciwnie, polegały na rozpętaniu wojny możliwie najbardziej wyczerpującej i przewlekłej, z tym jednak, by samemu

jak najdłużej nie brać w niej udziału — po to, by wystąpić w stosownej chwili jako jedyna konkretna siła i zaprowadzić w Europie taki porządek, jaki zapewniałby Rosji absolutną hegemonię. Było naiwnością sądzić, że Stalin przyłączy się do koalicji przeciwhitlerowskiej.

Bo Stalin już myślał o innej możliwości. I to była dodatkowa przyczyna niemieckiej decyzji wkroczenia do Pragi. Mianowicie nagła wolta w stanowisku Związku Sowieckiego. Jej wyrazem było przemówienie Stalina na osiemnastym zjeździe Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej (bolszewików) 10 marca. Stalin rozpoczął od rozwiania pogłosek, jakoby Niemcy miały zamiar opanować Ukrainę. Mówił, że nie pozwoli, „by Związek Sowiecki został wciągnięty do konfliktów przez podżegaczy wojennych”, i oświadczył, że „ZSSR może się porozumieć z każdym państwem bez względu na jego ustrój”. Propozycja była wyraźna. Hitler ją podjął.

Czy było to rzeczywiście zaproszenie do porozumienia, którego treścią byłoby co najmniej zapewnienie Niemiec o neutralności Rosji w razie wojny zaczętej przez Niemcy, z dalszą możliwością zamiany neutralności na współdziałanie zbrojne? Przeciwno komu? Upatrzoną ofiarą mogła być tylko Polska. Hitler ją właśnie musiał wytrącić z gry, zanim by się zwrócił przeciwko Zachodowi. W Berlinie tak właśnie słowa Stalina rozumiano. I wyciągnięto z nich praktyczne wnioski.

Nie była to zresztą pierwsza zapowiedź możliwości pogodzenia się Związku Sowieckiego z Hitlerem kosztem Polski. Już 4 października 1938 roku wiceminister spraw zagranicznych Potiomkin powiedział ambasadorowi francuskiemu w Moskwie Coulondre: „Nie widzę dla nas innego wyjścia niż czwarty rozbiór Polski”. Coulondre zawiadomił o tym Paryż, skąd ostrzeżenia tego nie przekazano do Warszawy.

Ani w Warszawie zresztą, ani w innych stolicach (prócz Berlina) nie przywiązywano zbyt dużej wagi do marcowych słów Stalina. W Warszawie liczone się poważnie z napaścią Hitlera na Polskę, jeśli uzna, że nie będzie miała sprzymierzeńców. Należało więc zapobiec izolacji Polski i nie dopuścić, by mocarstwa zachodnie powtórzyły kompromis monachijski. To było zadanie najpilniejsze. Lecz jednocześnie jako pewnik zakładano w Warszawie, że nawet gdyby Związek Sowiecki nie zaangażował się czynnie przeciwko Niemcom, to na pewno pozostanie neutralny, gdyż tak mu nakazuje ściśle przez Polskę przestrzegany pakt nieagresji, a także jego własne bezpieczeństwo.

Stać się miało zupełnie inaczej.

III

Marzec 1939 roku był miesiącem przełomowym w historii Europy i całego świata. W marcu poważnie myślący politycy europejscy przestali się zastanawiać, czym można hitlerowskie Niemcy ułagodzić bądź czym kosztem przed ich ekspansją się okupić, by przejść do rozważań, kiedy i w jakim kierunku Hitler uderzy. Wojna przestała być możliwością teoretyczną i odległą w czasie, stając się niebezpieczeństwem konkretnym, aktualnym i bliskim.

Powtórzenie Monachium przestało wchodzić w grę. Doświadczenie było zbyt wstrząsające. Nie oznaczało to jednak bynajmniej koordynacji wysiłków w celu stworzenia wspólnego frontu obronnego, którego zadaniem byłoby skuteczne odstraszenie Hitlera od pośredniej czy bezpośredniej agresji.

Na przeszkodzie takiej koordynacji stało wiele czynników. Wystarczy wymienić dwa, by zrozumieć zaskakujący przebieg wypadków w okresie od marca do 1 września 1939 roku. Pierwszym był element czasu. Każdy wiedział, że jest go już niewiele i że gra na korzyść agresora. Świadomość tego faktu powodowała nerwowość, a niekiedy także chaotyczność różnych inicjatyw dyplomatycznych, stwarzając jednocześnie obawę, że czasu tego może nie starczyć na przygotowania wojskowe, konieczne nie tylko dla prowadzenia wojny obronnej, lecz także jako jedyny przekonywujący argument i asekuracja każdej akcji politycznej. Wyścig z czasem i obawa przegranej w tym wyścigu były elementem osłabiającym możliwość wspólnej skoordynowanej akcji międzynarodowej, gdyż pogłębiały podziały między państwami zagrożonymi bezpośrednio przez Niemcy i tymi, które bezpośredniego zagrożenia nie odczuwały.

Państwem zagrożonym bezpośrednio była już od stycznia — a nie od marca — Polska. Zdawał sobie z tego sprawę rząd polski, choć świadomość tego faktu nie była jeszcze powszechna w całym społeczeństwie. W umyśle Hitlera wynik styczniowej wizyty Ribbentropa w Warszawie nie pozostawił wątpliwości, że Polska nie da się wciągnąć do żadnej akcji skierowanej przeciwko Rosji. Innymi słowy, że zasadę neutralności uważa za kamień węgielny swej polityki i że nie zamieni go w żadnym wypadku na stosunek „wasalczy” — takiego słowa użył minister Beck na naradzie u prezydenta Rzeczypospolitej — ani pod grozą wojny, ani za obietnice niebywałych korzyści.

Stanowisko polskie stwarzało dylemat dla planów Hitlera. Dylemat ten sprowadzał się do konieczności czasowej przynajmniej rezygnacji z ekspansji na wschód — czyli poprzez Polskę na obszary Związku Sowieckiego — i skierowania jej w pierwszej fazie budowy „tysiącletniej Rzeszy” ku zachodowi, z kierunkiem dodatkowym, bardzo atrakcyjnym lecz nie decydującym, ku południo-wschodowi czyli na Bałkany. Lecz i ten plan nie mógł być zrealizowany inaczej niż po uprzednim wytrąceniu Polski z gry.

Lecz wytrącenie z gry Polski stawiało Niemcy twarzą w twarz ze Związkiem Sowieckim, który ideologicznie czy — użyjmy bardziej właściwego określenia — propagandowo uchodził w przekonaniu społeczeństwa niemieckiego i całego świata za wroga numer jeden faszyzmu i hitlerowskich Niemiec. Nie był to antagonizm typu państwowego — zamysły zaborcze w celu rozszerzenia niemieckiego *Lebensraum*’u na obszary Ukrainy czy na Kaukaz w tym przynajmniej okresie nie odgrywały poważnej roli w planach niemieckich. U podłoża antagonizmu tkwiła obawa przed przyszłą agresją rosyjską w kierunku zachodnim, czaiła się pamięć planów leninowskich „zanieśienia rewolucji na ostrzach bagnatów” do Niemiec. Hitler bał się Rosji, chociaż w mniejszym zapewne stopniu niż Stalin bał się hitlerowskich Niemiec. Bał się zwłaszcza jej reakcji na powstanie takiej sytuacji geograficznej, w której neutralna Polska przestanie odgrywać rolę bariery między Niemcami i Rosją. Nie wierzył, czemu dał wyraz w rozmowach sztabowych, zwłaszcza z marszałkiem Keitlem, by Związek Sowiecki wystąpił szczerze w obronie Polski i jej niepodległości. Dopuszczał jednak możliwość, że zmuszona okolicznościami Rosja może wystąpić przeciwko niemu wspólnie z mocarstwami zachodnimi, albo zanim nastąpi rozprawa z Polską, albo w czasie tej rozprawy, a nawet po jej zakończeniu. Trzeba przyznać, że zarówno propaganda sowiecka jak i kierunek polityki sowieckiej nadany jej przez Litwinowa obawy te mógł potwierdzać.

Dylemat Hitlera przestał być dylematem wskutek wolty polityki sowieckiej. Rozmawiając z generałem Brauchitschem w ostatnim dniu marca Hitler powiedział: „Czy wie Pan, co będzie moim następnym krokiem? Lepiej niech Pan siądzie, zanim Panu powiem: złożę wizytę oficjalną w Moskwie”.

Do oficjalnej wizyty Hitlera w Moskwie nie doszło, ale doszło więcej niż do „poprawy stosunków”, bo do przymierza zaczepnego i traktatu rozbiorowego przeciwko Polsce.

Nie ubiegajmy jednak wypadków. W marcu Hitler nie odpo-

wiedział Stalinowi natychmiastowym podjęciem pertraktacji. Poczł się pewien siebie i wołał czekać na dalsze, bardziej już konkretne propozycje. Jak bardzo był pewien siebie, zdają się dowodzić słowa wypowiedziane w obecności Giseviusa, jednego ze świadków na procesie norymberskim. Hitler wypowiedział je na wiadomość o udzieleniu Polsce 31 marca gwarancji, które admirał Canaris, szef niemieckiego kontrwywiadu, skomentował wobec Hitlera w ten sposób, że każdy dalszy krok agresywny na wschodzie pociągnie za sobą konflikt zbrojny. W powodzi przekleństw i złorzeczeń pod adresem Polaków i Anglików kanclerz Trzeciej Rzeszy zapowiedział drwiąco: „Zgotuję im diabelski napój...”.

Pewności siebie Hitlera towarzyszył niepokój Stalina, czy Hitler podejmie wyciągniętą do niego dłoń. Stalin rozumiał, że Hitler lekceważy możliwość porozumienia Rosji z mocarstwami zachodnimi. Dał temu dowód wyciągając natychmiast praktyczne korzyści z przemówienia Stalina i zajmując Czechosłowację. Wśród protestów międzynarodowych nie było słyhać głosu sowieckiego.

Paradoksem historycznym jest przy tym, że gdy Hitler zakładał już w planach dalszych rozgrywek przychylne stanowisko Moskwy, możliwość ta nie jest brana pod uwagę w stolicach zachodnich. A także nie bierze się jej pod uwagę w Warszawie. Formalnie stosunki polsko-sowieckie są poprawne, jeśli nie bardzo dobre. Pojawiają się nawet szanse wzmocnienia stosunków handlowych. Pakt nieagresji wydaje się absolutnie pewną i nienaruszalną podstawą współżycia sąsiedzkiego, a antyhitlerowski ton radia i prasy sowieckiej przyjmuje się za dobrą monetę. Są to pozory, które z powodzeniem usypiają czujność opinii światowej. Tymczasem Hitler zupełnie błędnie jest przekonany, że mowę Stalina oceniono w Warszawie podobnie jak on ją ocenił, i postanawia dokonać ostatniej próby wytrącenia Polski z gry, sądząc, że zarówno ostateczne okrażenie Polski w sensie wojskowym jak i groźba wspólnego wystąpienia Niemiec i Rosji nakłonią rząd polski do kapitulacji. 21 marca Ribbentrop przekazuje Lipskiemu ponowne żądanie zgody na włączenie Gdańska do Rzeszy i budowę autostrady przez Pomorze do Prus Wschodnich. Otrzymuje kategoryczną odmowę przekazaną przez Lipskiego 31 marca. Jednocześnie — dla podkreślenia stanowiska polskiego — następuje mobilizacja alarmowa trzech dywizji w okręgu korpusu Brześć nad Bugiem z przesunięciem ich nad granicę Prus Wschodnich oraz koncentracja 26 dywizji piechoty ze Skiernewic w pobliżu Gdańska.

Tym razem opinia na Zachodzie, a także w Polsce, bije na alarm, zwłaszcza że w tym samym czasie Niemcy w formie ultimatywnej żądają rozszerzenia współpracy handlowej z Rumunią. Zajęcie przez Węgry Rusi Podkarpackiej interpretuje się jako zapowiedź kroków wojennych przeciwko Rumunii i — o dziwo — jako krok nieprzychylny Związkowi Sowieckiemu. I oto już 21 marca premier Chamberlain występuje z projektem wspólnej deklaracji Wielkiej Brytanii, Francji, Związku Sowieckiego i Polski, że w razie nowej agresji niemieckiej przeprowadzą wspólne konsultacje, jak jej przeciwdziałać. Jednocześnie Rumunia zwraca się z prośbą o udzielenie jej gwarancji przez Wielką Brytanię i Francję.

Nic nie wskazuje, by właśnie Rumunia miała być pierwszą ofiarą Hitlera. Rząd polski wypowiada się dość sceptycznie na temat wspólnych konsultacji. Uważa ten sposób za niewystarczający: może on tylko rozdrażnić Niemcy i stworzyć pretekst wypowiedzenia paktu nieagresji, nie dając żadnego zabezpieczenia w razie zbrojnej napaści, na którą trzeba odpowiedzieć natychmiastowym przeciwdziałaniem. Stanowisko to przekonuje Anglików. Ambasador brytyjski w Warszawie Kennard pisze w raporcie, że docenia motywy polskie, które sprzeciwiają się wspólnej z Rosją deklaracji antyniemieckiej, skoro Polska odrzuca także każdą próbę Niemiec wciągnięcia Polski w akcję przeciwrosyjską. Jest to swego rodzaju komedia nieporozumień, gdyż w końcu marca Związek Sowiecki nie ma już żadnej ochoty formalnego wypowiedzenia się po stronie przeciwników Hitlera. Wygodne jest jednak dla Moskwy — zamiast otwartej odmowy — zasłonić się stanowiskiem Polski.

Bezpośredni rezultat tego dyplomatycznego zamieszania jest jednak dodatni. 31 marca bowiem, o czym już była mowa, rząd brytyjski ogłasza jednostronnie gwarancje dla Polski.

Stwarza to nową i trudną sytuację dla Hitlera, gdyż zapobiega izolacji Polski, którą dotychczas stawiał jako konieczny warunek powodzenia szybkiej wojny. Nie jest też na rękę Moskwie.

IV

Czy istniała rzeczywiście konieczność tak zdecydowanego wystąpienia politycznego i to w tak zaskakująco szybkim tempie?

Jak wiemy z dokumentów niemieckich, zwłaszcza sztabowych, Hitler w tym okresie przewidywał napisać na Polskę z końcem lata 1939 roku. W marcu zaś rzeczywiście myślał o wymuszeniu na Rumunii daleko idących koncesji handlowych, przede wszystkim w postaci dostaw nafty. Lecz nie myślał o zbrojnym wystąpieniu przeciwko Rumunii. Było ono zresztą fizycznie niewykonalne, bowiem Węgry odmówiły przepuszczenia wojsk niemieckich przez swe terytorium, o co Hitler zwrócił się bezpośrednio po ostatecznym rozbiórze Czechosłowacji.

Brak jednak jakiegokolwiek reakcji sowieckiej był dla Hitlera dowodem, że i on i Ribbentrop słusznie ocenili słowa Stalina z 10 marca jako zaproszenie do współpracy. W stolicach zachodnich natomiast, a także w Warszawie, ocena słów Stalina nie poszła po tej linii. W dalszym ciągu — mocniej w Paryżu, słabiej w Londynie — przeważał pogląd, że Związek Sowiecki patrzy na wojownicze zamysły Niemiec hitlerowskich z równym niepokojem jak inne kraje europejskie i że pomimo trudności różnego rzędu będzie go można nakłonić do wspólnej akcji zapobiegawczej. Dlatego też w nastroju ogólnej nerwowości podjęto wstępne rokowania z jasno określonym celem — przeciwstawienia się dalszej agresji hitlerowskiej. Rokowania te przeniosły się w maju do Moskwy.

Gwarancje brytyjskie dla Polski, przekształcone 6 kwietnia w układ dwustronny, zaskoczyły Hitlera. Spowodowały atak wściekłości, który oznaczał jednocześnie odmowę wzięcia pod uwagę ostrzeżeń sztabu Wehrmachtu, że układ polsko-brytyjski przekreśla możliwość lokalizacji wojny z Polską tylko do jej terytorium, gdyż przystąpi do niej na pewno Anglia, a za nią z konieczności Francja, która w tych warunkach będzie musiała wykonać swój traktat sojuszniczy z Polską. W ocenie sztabu niemieckiego Niemcy mogły być do wojny gotowe dopiero w roku 1942 lub 1943. Tenże termin brał pod uwagę Mussolini, na którego układ gwarancyjny angielsko-polski podzielał jak kubeł zimnej wody.

Nie ulega więc wątpliwości, że układ odegrał wyznaczoną mu w chwili podpisywania rolę ostrzegawczą. Strona angielska nie czyniła tajemnicy z faktu, że w sensie konkretnej pomocy wojskowej — pomimo zaczętych zbrojeń — niewiele będzie mogła Polsce zapewnić w razie ataku niemieckiego. Zarówno Londyn jak i Warszawa liczyły jednak na natychmiastową i skuteczną kontrakcję wojskową ze strony Francji, co miało się okazać zupełną fikcją. Lecz w kwietniu 1939 roku nikt siły wojskowej Francji za fikcję nie uważał.

Pomimo to Hitler odstraszyć się nie dał. Nie bez słuszności obawiał się, że odwleczenie wojny o kilka lat wzmocni potencjał wojenny nie tylko Niemiec, lecz także ich przeciwników, przede wszystkim Anglii. I oto mowa Stalina i dalsze pociągnięcia sowieckie, o których za chwilę, otwierały nowe, korzystne perspektywy. Bo zamiast neutralności sowieckiej, której Warszawa była pewna, i zamiast czynnego współdziałania Rosji, o co zabiegać zaczęły oba mocarstwa zachodnie, warzyć się zaczynał jego „diabelski napój”.

Hitler zdawał sobie sprawę, że Związek Sowiecki prowadzi grę o wielką stawkę: o zapewnienie sobie bezpieczeństwa od strony Niemiec przy jednoczesnym wyciągnięciu jak największych korzyści w postaci zaboru państw bałtyckich, wolnej ręki na Bałkanach i zaboru maksymalnej części ziem polskich. Wiedział też, że lada moment nastąpi swoista licytacja o względy Rosji między nim a mocarstwami zachodnimi.

Przygotowuje się więc wzajemny szantaż. Berlin daje do zrozumienia przy pomocy celowych niedyskrecji, że bierze poważnie możliwości porozumienia z Rosją. Ma to odstraszyć Zachód od dalszych wysiłków montowania frontu antyniemieckiego w obronie Polski, gdyż wysiłki te będą jałowe.

17 kwietnia Hitler otrzymuje nowe zapewnienie sowieckie. Przedstawiciel sowiecki w Berlinie Mierekałow oświadcza Weizsäckerowi, podsekretarzowi stanu w niemieckim MSZ: „Różnice ideologiczne ... nie powinny okazać się przeszkodą również wobec Niemiec. Rosja Sowiecka nie wykorzystała obecnych tarć między Niemcami a demokracjami Zachodu ani też nie pragnie tego uczynić. Nie ma dla Rosji powodu, by nie mogła żyć z Niemcami na normalnej stopie. Poczynając zaś od normalizacji, stosunki mogłyby się stawać coraz lepsze”.

Zapewnia też Mierekałow, że rozmowy zaczęte z Francuzami i Anglikami nie mają na celu stworzenia wspólnego frontu obronnego i że nie mogą w żadnym stopniu wpływać na rozmowy o współpracy handlowej niemiecko-sowieckiej. Te drugie toczą się od pierwszych dni kwietnia, przy czym Rosja ze szczególnym naciskiem podkreśla ich wagę na tym odcinku, jaki stworzyła „likwidacja państwa czechosłowackiego”. Rosji chodzi o dostawy z fabryk Skody — Niemcom o dostawy ropy i zboża. Lecz oto ze strony rosyjskiej pojawia się dezyderat by finalizowanie rozmów handlowych nastąpiło po rozpatrzeniu zagadnień politycznych.

Następny krok należy do Hitlera. Wygłasza 27 kwietnia

moowę w Reichstagu. Mówi w niej o „okrażaniu Niemiec”, czego dowodem jest pakt angielsko-polski. Wypowiada Anglii traktat o ograniczeniu zbrojeń morskich, a Polsce pakt nieagresji. W powodzi grózb, inwektyw i złorzeczeń nie ma ani jednego słowa o Związku Sowieckim, o komunizmie i o Pakcie Antykominternowskim.

Odpowiedzią ze strony polskiej jest przemówienie Becka w Sejmie 5 maja. Reakcją sowiecką jest zwolnienie 3 maja Maksyma Litwinowa ze stanowiska komisarza spraw zagranicznych. Litwinowa, zwolennika współpracy międzynarodowej, człowieka, który głosił, że „pokój jest niepodzielny”, zwolennika Ligi Narodów i wroga faszyzmu, a także — co dla hitlerowców nie jest obojętne — Żyda. Kierownictwo polityki zagranicznej Związku Sowieckiego obejmuje Mołotow. Berlin ocenia tę zmianę prawidłowo. Sprawdza to sowiecki *chargé d'affaires* w Berlinie Astachow, zapytując wprost ministra Schnurre, „czy Niemcy gotowe są wyciągnąć właściwe wnioski z tej zmiany na odcinku stosunków ze Związkiem Sowieckim”.

Niemcy gotowe są wnioski wyciągnąć. I wyciągają je. Przypomni to wyraźnie Hitler w przemówieniu do sztabu 22 sierpnia, gdzie powie: „Ustąpienie Litwinowa było decydujące”.

20 maja ambasador niemiecki w Moskwie Schulenburg rozpoczyna pertraktacje z Mołotowem na tematy „podstaw politycznych” wzajemnych stosunków. Rozpoczyna się przetarg na wielką skalę, bo jednocześnie ożywają się rokowania między Związkiem Sowieckim a mocarstwami zachodnimi.

ROKOWANIA CZY PRZETARG?

I

Niewielu obserwatorów zdawało sobie sprawę, że przetarg — bez precedensu w historii — w ogóle się odbywa. Przyczyną był fakt, że rokowania sowiecko-francusko-angielskie odbywały się jawnie — ba, nawet w atmosferze dziennikarskiej reklamy — podczas gdy rozmowy niemiecko-sowieckie nie przedstawiały

się do powszechnej wiadomości inaczej niż w drodze niedyskrecji popełnianych bądź przez Berlin, bądź przez Moskwę po to, by służyły jako środek nacisku lub jako ostrzeżenie pod adresem rządów francuskiego i angielskiego. A także pod adresem tych krajów, które — jak Polska — miały być w większym stopniu ofiarami drugiej wojny światowej niż jej reżyserami czy aktorami.

Porozumienie angielsko-polskie tymczasem ożywiło czy uaktywniło sojusz obronny polsko-francuski. Wyrazem tego była między innymi konwencja wojskowa podpisana przez generała Gamelin i generała Kasprzyckiego, przewidująca ofensywę francuską na Niemcy w piętnastym dniu mobilizacji francuskiej, z tym, że jej dniem pierwszym miał być — i to jako data najpóźniejsza — pierwszy dzień działań na froncie polsko-niemieckim.

Gwarancje angielsko-francuskie udzielone zostały w ciągu kwietnia Grecji i Turcji, co pozostawało w związku nie tylko z obawą agresji niemieckiej na Bałkany, lecz także z okupacją Albanii przez Włochy Mussoliniego w dniu 7 kwietnia, po której to okupacji nastąpiło formalne podpisanie sojuszu włosko-niemieckiego. Gwarancją objęta została też Rumunia, która pierwsza, bo już w marcu, o nią poprosiła, co zresztą nie powstrzymało rokowań handlowych między nią a Niemcami. Jednocześnie, co wydawało się rzeczą całkowicie naturalną, zaczęły się sondaże Anglii i Francji w sprawie objęcia wspólnym frontem obronnym przeciwko dalszej agresji niemieckiej Związku Sowieckiego. Doprowadziło to do rokowań, początkowo w postaci gęstej wymiany not, przy czym Paryż wykazał tu więcej inicjatywy niż Londyn, a później, od połowy czerwca — na żądanie Anglii — w drodze rozmów „okrągłego stołu” prowadzonych w Moskwie. Rokowania szły opornie, co jednak nie budziło szczególnego zniecierpliwienia w stolicach europejskich, gdyż — jak z not sowieckich wynikało, a o ich treści wiadomo było nie tylko z niedyskrecji dyplomatycznych, lecz także z prasy sowieckiej, która ciągle je komentowała — Moskwa dążyła do wyjaśnienia szeregu szczegółów i do wniosków praktycznych, a nie do ogólnych czy ogólnikowych konsultacji.

Spotykało się to nawet z uznaniem części opinii państw demokratycznych, która chciała w postawie sowieckiej widzieć dowód poważnego zaangażowania. W rzeczywistości sytuacja przedstawiała się wręcz odwrotnie. Rosja nie chciała angażować się poważnie i konkretnie w obronę pokoju, gdyż złożyła już wstępną ofertę dążącym do wojny Niemcom.

Wypowiadając Polsce traktat nieagresji Hitler wskazał tym samym, czy raczej potwierdził, że następnym obiektem agresji będzie Polska. Lecz na tym urwała się nieomal do połowy lipca polityka jawnych pogroźek. Tłumaczono to i wówczas, i później rzekomymi wahaniem Hitlera, czy nie skierować pierwszego uderzenia na zachód zamiast na Polskę. Wahań takich w rzeczywistości być nie mogło, co zresztą potwierdził Hitler przed swymi generałami na odprawie 23 maja, mówiąc, że Polska będzie pierwszym przedmiotem natarcia. Nie mogło ich być dlatego, że Hitler zrozumiał wreszcie, iż Polska dochowa swych zobowiązań sojuszniczych w razie napaści niemieckiej na Francję. Nie mógł takiego ryzyka podejmować — zwłaszcza, że podobnie jak cały świat, z Moskwą i Warszawą włącznie, przeceniał siły militarne Francji. Polskę należało wytrącić z gry, szczególnie wobec zarysowującej się szansy wspólnego przeciw niej wystąpienia z Rosją. Wykreślenie Polski z mapy Europy i normalizacja stosunków z Rosją bądź przyjaźń z nią odebrałyby wszelki sens gwarancjom Anglii i Francji, które albo wycofają się z wojny, bo uznają, że nie ma się o co bić, albo w wojnie na jednym już tylko froncie poniosą klęskę.

Lecz jaka jest cena Związku Sowieckiego, za którą gotów będzie sprzymierzyć się z Niemcami — przeciw Polsce zbrojnie, przeciwko reszcie Europy co najmniej gospodarczo? Hitler chciał, by mu to Rosja sama określiła.

Zareagował więc na oświadczenia Mierekałowa z 17 kwietnia pominięciem wszelkiej wzmianki o Związku Sowieckim i o komunizmie w swej wielogodzinnej mowie przed Reichstagem. Na jego też rozkaz zniknęły z prasy niemieckiej napaści czy krytyki Rosji i marksizmu. Jednocześnie dał do zrozumienia Francji, że wysiłki wciągnięcia Rosji do wspólnego frontu w obronie pokoju czy w obronie Polski będą zupełnie jałowe.

Lecz nawet gdy 20 maja Mołotow powiedział Schulenburgowi, że handlowe rozmowy sowiecko-niemieckie należałoby uzupełnić politycznymi, Hitler nakazał swym dyplomatom milczenie. Mieli czekać, aż Rosjanie powiedzą wyraźnie, jakie są ich warunki. Ale już po 10 dniach, 30 maja, Weizsäcker pisał do Schulenburga: „W przeciwieństwie do naszej dotychczasowej polityki [wyczekiwania], zdecydowaliśmy rozpocząć konkretne i rzeczowe rokowania ze Związkiem Sowieckim”.

Cóż się takiego stało? Rząd niemiecki nie był tak naiwny, by sądzić, że Związek Sowiecki złoży mu w tej fazie konkretne propozycje i określi formalnie swoje warunki, by dać Hitlerowi możliwość szantażu. Lecz warunki te zakomunikował Hitlerowi

w inny sposób: po prostu precyzował je w notach dyplomatycznych wymienianych z drugą stroną biorącą udział w przetargu, to znaczy Anglią i Francją. Warunków tych strona zachodnia przyjąć nie mogła, lecz mogły Niemcy. Komentarze prasy sowieckiej dawały Berlinowi dostateczne informacje. Reszty dopełniały różne niedyskrecje.

II

Przedmiotem rokowań ZSSR z Anglią i Francją było znalezienie sposobu zapobieżenia wojnie bądź też stworzenie mocnego frontu obronnego na wypadek wojennej agresji niemieckiej. W przekonaniu Anglii i Francji, a także państw bezpośrednio przez agresję niemiecką zagrożonych, celem było stworzenie przymierza wojskowego, którego głównymi członkami byłyby właśnie Anglia, Francja i Związek Sowiecki wraz z szeregiem państw (liczba ich doszła w czasie rozmów do jedenastu), którym sojusz ten miałby pomóc w obronie ich niepodległości i terytorium.

W równoległe toczących się pertraktacjach z Niemcami nie było mowy o zapobieżeniu wojnie i o obronie przed agresją. Chodziło w nich o coś innego: o ustalenie warunków współpracy, która by pozwoliła Hitlerowi przeprowadzić agresję bez naruszenia interesów państwowych Związku Sowieckiego, a — przeciwnie — interesy te zabezpieczyć, łącznie z ambicjami rozciągnięcia wpływów lub po prostu panowania na dużą część obszaru Europy środkowej i wschodniej. Celem więc był podział zdobyczy w oparciu o szereg wzajemnych usług, nie wyłączając wspólnej akcji zbrojnej. A ponieważ jedynym sposobem zapoczątkowania tej współpracy i przeprowadzenia podziału Europy na strefy wpływów była wojna, określić można politykę sowiecką w stosunku do Niemiec jako rozważanie możliwości i opłacalności rozpętania wojny.

Opłacalności dlatego, że był to przetarg między państwami chcącymi wojnie zapobiec a mocarstwem, które chciało wojnę rozpętać, o to, która z dwóch licytujących się stron gotowa jest za podpis Związku Sowieckiego pod traktatem przymierza więcej zapłacić. Pod tym względem w umyśle Stalina i Mołotowa występowały pewne wahania, lecz nie trwały długo. Gdyż z przebiegu pertraktacji z Anglią i z Francją, a także na podstawie

prawidłowej oceny rzeczywistości europejskiej stało się już w czerwcu 1939 roku jasne, że cenę większą, odpowiadającą właściwym postulatom politycznym imperializmu sowieckiego, zapłacić mogą tylko Niemcy. Jeśli więc do tej chwili — i jeszcze dłużej, bo przez pierwsze dwie dekady sierpnia — Związek Sowiecki prowadził dalej rozmowy z Zachodem, to tylko dlatego, że metoda precyzowania żądań wobec Niemiec przy pomocy ogłaszania warunków ewentualnej współpracy z Anglią i Francją dawała doskonałe wyniki, stwarzając jednocześnie swoiste alibi propagandowe dla Kremla, które przydać mu się mogło w przyszłości.

Celowi temu służyć ma też zarzut, że winę za fiasko przymierza antyhitlerowskiego z udziałem Rosji ponosi Polska, a w mniejszym nieco stopniu Rumunia. Dlatego, że odmówiły prawa przemarszu wojsk sowieckich przez swe terytorium, wskutek czego uniemożliwiły z góry współudział Rosji w wojnie przeciwko Niemcom. Na poparcie tej tezy przywołuje się oświadczenie ambasadora Grzybowskiego w Moskwie, że Polska nie przewiduje i nie widzi możliwości zawarcia jawnego sojuszu ze Związkiem Sowieckim skierowanego przeciwko Niemcom. Nie wyjaśnia się jednak, że 11 maja, gdy oświadczenie to złożono, rokowania z mocarstwami zachodnimi dopiero się zaczynały, przy czym żadna ze stron nie sprecyzowała wstępnych chociażby warunków ewentualnego porozumienia. Gdy zaś o Polskę chodzi, podkreślała ona ciągle wagę obowiązującego polsko-sowieckiego paktu nieagresji jako gwarancji neutralności i dobrych stosunków. Poprzedniego dnia, 10 maja, zastępca kierownika sowieckiej polityki zagranicznej Potiomkin rozmawiał zresztą w Warszawie z polskim ministrem spraw zagranicznych. W dokumentach sowieckich wspomina się mimochodem jakoby Potiomkin oświadczył, że Związek Sowiecki gotów jest udzielić Polsce pomocy. Nie wyjaśnia się jednak, na czym miała ona polegać i czy, mówiąc o niej, Potiomkin uwzględniał całokształt powiązań międzynarodowych — już istniejących w postaci gwarancji brytyjskiej i sojuszu polsko-francuskiego, lub do których chciano dążyć, właśnie w rozmowach między Anglią, Francją i Związkiem Sowieckim. Do rozmów tych zresztą Związek Sowiecki Polski nie zapraszał, a w ciągu maja i czerwca na zapytania angielskie i francuskie w tej materii odpowiadał odmownie, motywując to tym, że stosunki polsko-sowieckie nie dają mu podstaw do tego rodzaju inicjatywy.

Nie oznacza to bynajmniej, by właśnie w tym okresie po stronie polskiej nie popełniono błędów politycznych, wśród któ-

rych najważniejszym zapewne było podtrzymywanie wrażenia w innych stolicach europejskich, że Polska traktuje pomoc sowiecką przy tworzeniu frontu oporu przeciw agresji hitlerowskiej jako zbędną lub niebezpieczną. Niebezpieczna była na pewno, na co wskazywała lepsza w tej części Europy niż na Zachodzie znajomość podstawowych założeń politycznych, a przede wszystkim metod politycznych komunistycznej Rosji. I na co wskazać miały w ciągu maja, czerwca i lipca żądania sowieckie składane Anglii i Francji jako warunek porozumienia. Nie była natomiast zbędna, jak w pewnym okresie rokowań sądził rząd brytyjski.

Niemniej nie błędy rozumowania politycznego czy taktyki popełnione czy to przez Polskę, czy przez inne kraje sąsiadujące z Rosją, czy wreszcie przez rządy Francji i Anglii są istotą braku skuteczności dramatycznych wysiłków ocalenia pokoju bez dalszych ustępstw na rzecz agresora niemieckiego. Istotą była odmiennosc celu zakreślonego z jednej strony przez Związek Sowiecki, a z drugiej przez wszystkie państwa niepodległe zagrożone przez Niemcy, których nie zawsze roztropnym i nie zawsze konsekwentnym rzecznikiem były w rokowaniach z Rosją dwa mocarstwa zachodnie.

Do lipca — ściślej: do ostatnich dni tego miesiąca — Stalin i Mołotow przekonani byli, że Europa zachodnia gotowa będzie poświęcić Europę wschodnią czy środkowo-wschodnią dla odsunięcia perspektywy własnego udziału w wojnie względnie dla usunięcia ryzyka wojny. Sądzili też, że zagra tu — także w państwach zainteresowanych, zwłaszcza w Polsce i w Rumunii — element wyboru mniejszego zła. To znaczy, że łatwiej im przyjdzie poddać się hegemonii sowieckiej, nawet z perspektywą uszczuplenia niepodległości w dalszym rozwoju wydarzeń, niż narazić się na zniszczenie wojenne i hegemonię lub zabór przez Niemcy hitlerowskie. Lecz obliczenia tego rodzaju były w mniemaniu Kremla gorszą alternatywą. Alternatywą korzystniejszą było, rzecz jasna, osiągnięcie tegoż celu przy pomocy Niemiec i we współpracy z nimi, z tego względu, że wówczas nie musiano by się w Moskwie liczyć z żadnymi umowami międzynarodowymi, które — choćby teoretycznie — mogły stanowić przeszkodę przy zamianie hegemonii nad Europą środkowo-wschodnią w zwykłą okupację lub po prostu inkorporację w granice Związku Sowieckiego. Ponadto, co ważniejsze, osiągnięcie zakreślonego sobie celu przy współpracy i za zgodą Niemiec usuwałoby, jak się Stalinowi zdawało, niebezpieczeństwo konfliktu zbrojnego z Niemcami.

Natomiast osiągnięcie hegemonii przy zgodzie państw zachodnich nie stwarzało warunków zabezpieczenia przed agresją niemiecką na Rosję. Mogło jedynie Hitlera na jakiś czas zastraszyć i to tylko pod warunkiem gwarancji, że Anglia i Francja przystąpią natychmiast i automatycznie do wojny po stronie Związku Sowieckiego. Tym się tłumaczy — logiczne zresztą — żądanie strony sowieckiej w rokowaniach z Zachodem, by wszelkie porozumienie opierało się o zasadę wzajemności. Zasady tej Francja i Anglia nie kwestionowały, lecz miały zastrzeżenia co do jej interpretacji. Stwierdzały bowiem, że przy istniejących granicach i w ówczesnym położeniu politycznym nie istnieje możliwość napaści Niemiec na Związek Sowiecki bezpośrednio, to jest z wyminięciem Polski, Rumunii, państw bałtyckich i Finlandii, jeśli nie liczyć całkowicie teoretycznego desantu na wąziutkim skrawku wybrzeża koło Leningradu. Mocarstwa zachodnie nie widziały możliwości konfliktu zbrojnego między Niemcami i Rosją inaczej niż w drodze zaangażowania sowieckich sił zbrojnych w obronę państw napadniętych. Strona sowiecka odpowiadała na ten argument własną koncepcją zagrożenia pośredniego.

Zagrożenie pośrednie uwzględniono w układzie polsko-angielskim mając na myśli terytorium Gdańska. Mołotow nie uważał natomiast ewentualnej napaści na Polskę za zagrożenie pośrednie. Sprawę Polski eliminował dość starannie aż do sierpniowej fazy rozmów, to znaczy do chwili, gdy był w przededniu podpisania sojuszu z Niemcami i gdy dalsze rokowania z Zachodem przedstawiały być potrzebne. Natomiast zagrożenie pośrednie widział na obszarze państw bałtyckich, którym ze strony Hitlera w tym przynajmniej okresie nic nie groziło i które nie życzyły sobie niczyich gwarancji, zwłaszcza zaś sowieckich, przewidując słusznie, że są one jednoznaczne z utratą niepodległości. Związek Sowiecki domagał się od swych rozmówców anglo-francuskich, by przyznano mu prawo wystąpienia w obronie państw bałtyckich bez ich zgody i życzenia, by jemu pozostawiono wyłączną decyzję, kiedy ów krok ma nastąpić, i by krok ten uznano za jednoznaczny z obowiązkiem przyścia Rosji ze zbrojną pomocą, gdyby okupacja Łotwy, Estonii i Finlandii doprowadziła do ingerencji Niemiec, nawet na prośbę tych państw. Był to warunek nie do przyjęcia, gdyż sprzeczny z podstawowymi zasadami prawa i demokracji międzynarodowej. Strona anglo-francuska odpowiadała propozycją „konsultacji” w razie spodziewanej agresji niemieckiej na państwa bałtyckie. Związek Sowiecki reagował na to w dość swoisty sposób, używając pod adresem Anglii i Francji określenia „żuliki” — co prawda w wewnętrznej, lecz

ujawnionej korespondencji. Mołotow zaś powiedział wprost, że nie „mamy zamiaru bić się za Polskę dlatego, że jej Anglia i Francja udzieliły gwarancji”.

Nie Polska jednak, lecz sprawa krajów bałtyckich była kluczowa w rokowaniach. Aż do chwili, gdy strona niemiecka ku ogromnej uldze Moskwy dała wyraźnie znać, że warunki odrzucone przez Zachód przyjmuje i że tym samym Kreml nie ma już co wybierać, gdyż najlepsza alternatywa — współpracy i przymierza z Niemcami — jest otwarta. Stało się to na przełomie lipca i sierpnia.

III

W połowie czerwca rozpoczęła się druga, przedostatnia faza przetargu. Dotychczasowy przebieg rozmów i wymiany not między Moskwą a Paryżem i Londynem oceniano na Zachodzie raczej pesymistycznie, gdyż nie zapowiadały szybkich rezultatów.

Zniecierpliwienie wykazywała także strona sowiecka, dając mu wyraz w artykułach ogłaszanych w *Prawdzie* czy w *Izwestiach*. Artykuły te, dyktowane rzecz jasna przez rząd sowiecki, zarzucały kontrahentom zachodnim brak szczerości, nieliczenie się z rzeczywistością oraz chęć narzucenia Związkowi Sowieckiemu obowiązków i zadań trudniejszych niż sami gotowi byli podjąć. Na pierwszy plan wysuwała się przy tym sprawa tak zwanej wzajemności w przyszłych stosunkach, których trzonem miała być pomoc udzielana — według formuły sowieckiej — *drug drugu*. A także interpretacja pojęcia „agresja pośrednia”. Logicznie rzecz biorąc, rozbieżność poglądów w przedmiocie państw bałtyckich czyniła dalsze rokowania bezprzedmiotowymi. Niemniej Anglia sformułowała nową propozycję, w której ponawiała koncepcję wspólnych konsultacji w razie rzeczywistego, a nie domniemanego tylko zagrożenia państw bałtyckich. W propozycji angielskiej pojawiło się także słowo „przymierze” — określenie, którego dotychczas Londyn nie używał. Rosja odpowiedziała nową kontrpropozycją, nie wnoszącą wiele nowego do dotychczasowych. Zgodziła się jednak na rozmowy, tym razem w Moskwie.

Rozpoczęły się one 14 czerwca. Głównym rzecznikiem strony anglo-francuskiej został William Strang, podsekretarz stanu

w brytyjskim ministerstwie spraw zagranicznych. Jak wynika z dokumentów sowieckich, a jak domyślano się już wówczas, przysłanie do Moskwy Stranga zamiast ministra spraw zagranicznych Halifaxa lub francuskiego ministra Bonneta uznano w Moskwie za afront. Był to na pewno krok nieprzemyślany, bo pomimo ogromnego doświadczenia tego dyplomaty postawienie go na czele delegacji mogło oznaczać chęć stworzenia sobie możliwości odwołania do wyższej instancji, a przez to zyskiwania na czasie w razie trudnych decyzji. Głównym wszakże powodem niezadowolenia Kremla z przysłania Stranga do Moskwy była obawa, by nie obniżyło to znaczenia rokowań jako środka nacisku na Niemcy. A temu celowi rokowania anglo-francusko-sowieckie miały służyć.

Zwłaszcza że Berlin w dalszym ciągu zajmował postawę wyczekującą. Powodowało to sporo zdenerwowania w Moskwie, lecz w tej grze na przetrzymanie także Berlin nie był całkowicie pewien siebie. 14 czerwca, to jest w dniu, w którym Strang zjeżdżał do Moskwy, *chargé d'affaires* w Berlinie Astachow przekazał Niemcom za pośrednictwem posta bułgarskiego następujące informacje: Związek Sowiecki dlatego prowadzi rokowania z Anglią i Francją, że nie ma pewności, czy Niemcy nie zaatakują go kiedyś przez terytorium Rumunii lub państw bałtyckich. Gdyby natomiast Niemcy zapewniły, że nie zamierzają atakować Związku Sowieckiego i że gotowe są zawrzeć z nim pakt nieagresji, rokowania z Anglikami będą przewlekane aż do chwili, gdy tego rodzaju porozumienie z Niemcami będzie wykonalne. Bo traktat z Anglią i Francją — mówił dalej Astachow — byłby dla Związku Sowieckiego tylko złem koniecznym, podczas gdy porozumienie i współpraca z Niemcami odpowiadają prawdziwym życzeniom Kremla.

Hitler odpowiedział Stalinowi podobną, okrężną drogą. Tym razem pośrednikiem był włoski minister spraw zagranicznych Ciano. Zakomunikował on rządowi sowieckiemu, że Niemcy gotowe są zawrzeć z Rosją pakt nieagresji oraz wspólnie zastanowić się nad położeniem i przyszłością państw bałtyckich. Żadna ze stron jednak — ani Moskwa, ani Berlin — nie uważała tych wzajemnych oświadczeń za dostateczną podstawę jawnych rokowań. Obie strony czekały na propozycje konkretne. Stalin okazał się w tym wypadku bardziej wytrzymałym graczem od Hitlera. Bo konkretna propozycja wyszła z Berlina. Została oczywiście z pełną gotowością podjęta w Moskwie. Stało się to 26 lipca.

Tymczasem jednak, między połową czerwca i końcem lipca,

toczyły się rokowania anglo-francusko-sowieckie. Także teraz w „pełnym świetle kinkietów”, przy akompaniamencie artykułów prasowych, komentarzy, krytyk i „dobrych rad”. Strona zachodnia poczyniła dość daleko idące ustępstwa, godząc się między innymi na to, by Związek Sowiecki decydował sam, czy i kiedy ma pospieszyć z pomocą państwom bałtyckim. Lecz tylko w razie otwartej agresji, odrzucając nowe żądanie, by za agresję pośrednią uznać „wszelką zmianę polityczną, jaka by się dokonała w którymś z tych państw i która mogłaby służyć interesom agresora”. Przyjęcie tej formuły oznaczałoby możliwość interwencji i okupacji w razie zmiany rządu lub wyniku wyborów, który nie podobałby się Kremlowi.

Lecz według oceny samego Stranga wszystko w ciągu rozmów lipcowych wskazywało, że znajdzie się formuła kompromisowa, która umożliwi zawarcie układu. Optymizm ten znajdował pożywkę w rzucającym się w oczy nasileniu artykułów antysowieckich w prasie niemieckiej i antyhitlerowskich w sowieckiej. Kampania antykomunistyczna na łamach prasy niemieckiej ustała w maju, o czym z uznaniem mówiono w Moskwie Schulenburgowi, odwiedzając się wyjątkową wstrzeźliwością wypowiedzi na temat faszyzmu i Paktu Antykominternowskiego. Nie mogło to ująć uwagi obserwatorów, podobnie jak nowy przypływ propagandy w lipcu. Wiele wskazuje na to, że była to akcja skoordynowana, a jeśli nawet obie strony prowadziły ją spontanicznie, to cel był wspólny: zagęszczenie zastony dymnej nad możliwością porozumienia niemiecko-sowieckiego.

Ciągle nie było konkretnych propozycji z Berlina. W dodatku ton artykułów niektórych gazet angielskich, a także postępy rokowań handlowych prowadzonych w bardzo zresztą wąskim zakresie między Anglią i Niemcami spowodowały coś na kształt paniki na Kremlu. Bo jeśli Rosja może dążyć do porozumienia z Hitlerem, to dlaczego nie mogą Anglicy — pomimo toczących się rokowań? Kierownictwo sowieckie zdecydowało się więc na krok ryzykowny. Z dużym rozgłosem Mołotow zaproponował misji anglo-francuskiej, by nie czekając na wygładzenie spornych punktów układu politycznego poprzedzić jego podpisanie konkretnym ustaleniem zobowiązań sojuszniczych w sensie wojskowym. 25 lipca strona anglo-francuska niespodzianie wyraziła zgodę na tę propozycję. Wojskowi mają rozpocząć pracę jak najwcześniej. Misja anglo-francuska przybędzie też do Moskwy 11 sierpnia, a Związek Sowiecki, w tym wypadku komisja pod przewodnictwem Woroszyłowa, rozpocznie z nią rozmowy.

Lecz w tym dniu sytuacja będzie już zupełnie inna. Strona

sowiecka ograniczy się więc do wydobycia maksimum informacji o stanie pogotowia wojennego Anglii i Francji oraz do wysunięcia nowych warunków, których strona zachodnia ani przyjąć, ani odrzucić nie może. Wśród nich pojawi się jako kluczowa sprawa zgody Polski na swobodę operacyjną wojsk sowieckich na jej terytorium.

Zauważyliśmy, że w chwili przybycia misji wojskowej anglo-francuskiej do Moskwy sytuacja była już zupełnie inna niż 25 lipca, gdy Anglia i Francja wyraziły zgodę na rozmowy wojskowe. Właśnie zgoda na nie zaniepokoiła Niemcy. Uznały, że dalsze wyczekiwanie może być niebezpieczne. 26 lipca Hitler postanawia przystąpić do pertraktacji ze Związkiem Sowieckim w oparciu o dotychczasowe wzajemne deklaracje gotowości do takich rozmów. Prowadzący rokowania handlowe ze Związkiem Sowieckim minister handlu Rzeszy Schnurre oświadcza swym rozmówcom, że współpraca „niegdyś istniejąca” między Niemcami i Rosją może być dziś wznowiona. Na obszarze między Bałtykiem i Morzem Czarnym Rosja i Niemcy nie mają spornych interesów. Natomiast pomimo różnic ideologicznych łączy je ze sobą wspólna walka przeciwko demokracji i kapitalizmowi. Byłoby więc paradoksem, „gdyby Związek Sowiecki jako państwo socjalistyczne opowiedział się po stronie demokracji zachodnich”. I wreszcie najważniejsza część rozmowy: „Co Anglia może zaofiarować Rosji? W najlepszym razie udział w wojnie europejskiej i wrogość Niemiec, natomiast ani jednej z rzeczy przez Rosję pożądaných. A co my, Niemcy, możemy ofiarować? Neutralność i pozostanie na uboczu w razie ewentualnego konfliktu europejskiego, oraz, jeśli Rosja będzie sobie tego życzyła, porozumienie niemiecko-sowieckie w sprawie interesów wspólnych, które tak jak w dawnych czasach okazałoby się korzystne dla obu krajów”.

Trudno o wyraźniejszą aluzję do rozbiorów Polski. By nie było wątpliwości, idzie z Berlina instrukcja do Schulenburga w Moskwie, by oświadczył Mołotowowi: „Jakkolwiek rozwiąże się zagadnienie polskie, czy to w sposób pokojowy czy też w jakikolwiek inny, który by nam narzucono, jesteśmy gotowi zabezpieczyć interesy sowieckie i osiągnąć porozumienie z rządem Związku Sowieckiego”. A Ribbentrop oświadcza 3 sierpnia Astachowowi: „Nad Bałtykiem jest dosyć miejsca i dla jednego, i dla drugiego z nas, a interesy rosyjskie bynajmniej nie muszą zderzyć się z naszymi. Jeśli chodzi o Polskę, śledzimy dalszy rozwój wydarzeń ... i w razie prowokacji ze strony Polski załatwimy sprawę w ciągu tygodnia. Na ten wypadek możemy dojść do porozumienia z Rosją co do losu Polski”.

Podobnych wypowiedzi było więcej w ciągu kilku dni, gdy Berlin czekał na odpowiedź Moskwy. Otrzymał ją 12 sierpnia, a wysłano ją w dniu przybycia misji wojskowej anglo-francuskiej do Moskwy, to jest 11 sierpnia. Odpowiedź była pozytywna. Rząd sowiecki chce przedyskutować z rządem niemieckim interesujące obie strony zagadnienia, a wśród nich sprawę dawnych układów niemiecko-rosyjskich i sprawę polską. Rząd sowiecki chce, by rozmowy toczyły się w Moskwie, przy czym obojętne jest, kto je ze strony niemieckiej będzie prowadził.

Zaczynała się trzecia, ostatnia faza przetargu. Tym razem jednak wynik był przesądzony, a wszystkie obawy Stalina sprowadziły się do jednej, mianowicie, by Hitler nie zrezygnował z decyzji rozpoczęcia wojny, właśnie napadając na Polskę — i to jak najszybciej. Jak widzimy, wszelkie wahania po obu stronach skończyły się natychmiast, gdy powiedziały sobie wyraźnie, że wspólnym celem jest likwidacja państwa polskiego. To też wyjaśnia, dlaczego w rokowaniach anglo-francusko-sowieckich strona sowiecka omijała dotychczas temat Polski, choć rozwodziła się długo i szeroko nad państwami bałtyckimi. Bo niczego w sprawie Polski od nich uzyskać nie mogła. Wprowadziła zaś temat Polski do rozmów wojskowych dopiero w ostatniej, fikcyjnej już fazie rokowań tylko i wyłącznie na użytek propagandowy w bliższej i w dalszej przyszłości — dopiero wtedy, gdy już była pewna porozumienia z Niemcami hitlerowskimi.

Sensu, powodu i przebiegu pertraktacji anglo-francusko-sowieckich nie sposób ani zrozumieć, ani wyjaśnić, jeśli się je rozpatruje w oderwaniu od równoległego wątku rozmów sowieckoniemieckich. Tylko dwa zestawy dokumentów ułożone chronologicznie nieomal obok siebie dają prawdziwy obraz ponurego przetargu, który z winy i z woli Stalina nie uratował pokoju i nie postawił tamy agresji, lecz przeciwnie, zachęcił i dopomógł Hitlerowi do rozpętania drugiej wojny światowej.

IV

Zgodę na podjęcie rozmów sztabowych wyraziły mocarstwa Zachodu — na wniosek Związku Sowieckiego. Spotkało się to z nieukrywanym zdziwieniem wnioskodawców czyli Kremla, które przemieniło się szybko w triumfalny oddech ulgi. Bo oto udawał

się podstęp w stosunku do Niemiec, którym Stalin złożył ofertę porozumienia już w marcu.

Reakcja Hitlera na wiadomość o rokowaniach wojskowych francusko-angielsko-sowieckich była natychmiastowa. Decydował się na zmianę dotychczasowej taktyki. Mianowicie rezygnował z przewlekania rozmów z Moskwą. Decydował się na natychmiastowe porozumienie w oparciu o już omówione warunki. Zamiast przewlekania strona niemiecka chciała działać szybko, jak najszybciej.

Były dwa powody tej zmiany taktyki.

Jednym była konieczność zaczęcia wojny przeciwko Polsce najpóźniej 1 września. Hitler nie ukrywał przed swym sztabem, że termin późniejszy, jesienny czy zimowy, nie daje gwarancji powodzenia dla *Blitzkrieg'u*. A szybkie pokonanie Polski było mu potrzebne po to, by wytrącić z dalszej gry zarówno Francję, jak i Anglię. Był przekonany, że nie będą prowadziły wojny po upadku Polski i że tym samym zachowa w swym ręku dalszą inicjatywę polityczną, wybierając dogodny dla siebie moment późniejszego uderzenia — także na zachód. Natomiast odłożenie terminu wojny z Polską groziło wzrostem potencjału wojennego nie tylko jej samej, lecz i jej zachodnich sprzymierzeńców. Groziło też możliwością ponownej zmiany stanowiska Związku Sowieckiego, tym razem dla Niemiec niebezpiecznej.

Tu też leżał drugi powód zmiany decyzji Hitlera. Była nim po prostu niepewność, czy rozpoczęcie w Moskwie rozmów wojskowych z Anglią i Francją nie oznacza zatajonego przed nim jak i przed całym światem porozumienia politycznego, a przynajmniej możliwości osiągnięcia takiego porozumienia. Zdaniem Hitlera nadszedł moment zagrania w otwarte karty, postawienia Rosji przed koniecznością dokonania ostatecznego wyboru. Prowadziła przetarg już dostatecznie długo.

Obawy Hitlera rozwiąły się natychmiast, bo oto tegoż dnia, gdy misje alianckie zjeżdżały do Moskwy, to jest 11 sierpnia, Kreml wyraził nareszcie gotowość do konkretnych rozmów.

W tej sytuacji pozostały tylko formalności i szczegóły do omówienia. Między 11 i 14 sierpnia, to jest w ciągu 3 dni, nastąpiła pospieszna wymiana depeš między Moskwą i Berlinem. Schulenburg po kilka razy dziennie rozmawiał z Mołotowem, wyjaśniając nawzajem poszczególne aspekty porozumienia. Obie strony kładły nacisk na potrzebę pośpiechu. Punktów spornych nie było w ogóle, punktów wymagających dodatkowego omówienia zaledwie kilka. Dla przykładu: jednym z nich było pytanie sowiec-

kie, czy Niemcy zaliczają Litwę do krajów bałtyckich? Gdy o podłoże geograficzne takiego pytania chodzi, można by je uznać za absurdalne. Nie było jednak wcale absurdem w sensie politycznym, bo dopiero 28 września Litwa zostanie przez obu partnerów zaliczona do krajów bałtyckich i tym samym oddana Rosji w zamian za Lubelszczyznę, którą zagarną Niemcy. Jest rzeczą charakterystyczną, że w rokowaniach z Anglią i Francją, wysuwając swe pretensje do zaboru krajów bałtyckich, Rosja wymieniała zawsze „Łotwę, Estonię i Finlandię”, ani razu nie wspominając Litwy, wiedziała bowiem, że leży ona także w strefie apetytów niemieckich. Nietrudno zrozumieć powody tej wstrzemięźliwości, jeśli się pamięta, że szeroko reklamowane warunki sowieckie — propozycje i kontrpropozycje wysuwane przez Mołotowa w czasie rokowań z Anglią i Francją — to miały na oku, by Niemcy mogły się zorientować w cenie, jaką Związek Sowiecki wyznacza za swą współpracę lub za swą neutralność.

Poza zapytaniem „geograficznym”, czy Litwa jest krajem bałtyckim, Mołotow zapytał tylko o jedno: od czego mamy zaczynać? To znaczy, które z zagadnień należy omówić i uzgodnić natychmiast? Odpowiedź niemiecka była jasna: nie cierpiące zwłoki jest uzgodnienie stanowiska w sprawie rozbioru Polski oraz roli Związku Sowieckiego w wojnie z Polską. Rola ta ma polegać na wkroczeniu Armii Czerwonej w granice Rzeczypospolitej w chwili, gdy zostanie złamany przez Niemców opór głównego członu wojsk polskich. Niemcy interpretować to będą — już w czasie kampanii wrześniowej — jako osiągnięcie linii środkowej Wisły, Rosjanie jako zajęcie Warszawy, co spowoduje trochę zamieszania, zakończonego kompromisową datą 17 września.

Ustalenie priorytetu spraw, to jest uzgodnienie, że głównym przedmiotem wspólnego zainteresowania jest rozbiór Polski i likwidacja jej niepodległości nastąpiło 14 sierpnia. W tym samym dniu Związek Sowiecki przestał się definitywnie interesować rozmowami wojskowymi z Anglią i Francją. Przez pierwsze 3 dni rozmów, prowadzonych ze strony sowieckiej przez Woroszyłowa i generała Szaposznikowa, omawiano tak istotne dla wojsk sowieckich sprawy jak obronę przeciwlotniczą Londynu i przelotowość kolei francuskich w kolejnych dniach mobilizacji. Wiadomości niewątpliwie ciekawe, które, jeśli się nie przydały na nic Armii Czerwonej, to przydały się na pewno Wehrmachtowi, gdy je z Moskwy przekazano. Natomiast 14 sierpnia Woroszyłow zapytał, czy wojska sowieckie będą miały prawo prze-marszu przez terytorium Polski i Rumunii. Ścisłej — przez

Wileńszczyznę i Małopolskę Wschodnią oraz przez Bukowinę i Besarabię.

Warto się nad tą sprawą zatrzymać, ponieważ odmowa Polski na przemarsz wojsk sowieckich — a właściwie nie odmowa, lecz brak natychmiastowej zgody — jest do dziś głównym argumentem propagandy komunistycznej, iż to właśnie Polska uniemożliwiła Związkowi Sowieckiemu zawarcie przymierza w obronie pokoju i zmusiła go do zawarcia przymierza zwanego paktem nieagresji z Niemcami. Otóż ani brytyjski admirał Drax, ani francuski generał Doumenc nie mogli na to pytanie odpowiedzieć, gdyż nie leżało to w ich kompetencjach. Zażądali jednak wyjaśnienia, kiedy i w jakich okolicznościach przemarsz taki miałby nastąpić. Rosjanie odpowiedzieli zupełnie brutalnie: w wypadku Rumunii wówczas, gdy Niemcy na nią napadną. W wypadku Polski natomiast zastrzeżenia takiego nie było. Związek Sowiecki zapytywał więc, czy wojsko sowieckie może wkroczyć do Polski wówczas, gdy Związek Sowiecki uzna to za wskazane. W dyskusji Woroszyłow wspomniał, że takim momentem byłby na przykład atak Niemiec na Belgię. Usłyszał w odpowiedzi, że Belgia właśnie zastrzega się przeciw wkraczaniu wojsk angielskich lub francuskich na swe terytorium inaczej niż na własną prośbę i w chwili, jaką wybierze rząd belgijski, a nie rząd francuski czy angielski.

Gdyby pytanie sowieckie w ten sposób zostało sformułowane, odpowiedź mogłaby być łatwiejsza, chociaż obecności wojsk francuskich w Belgii nie można porównywać — gdy o ich polityczne skutki chodzi — z wprowadzeniem garnizonów sowieckich na terytorium jakiegokolwiek państwa w Europie. Tak też rozumował zapewne Daladier, gdy na jego zlecenie Doumenc odpowiedział 22 sierpnia, że z całą pewnością w razie wspólnego działania przeciwko Niemcom wojska sowieckie będą mogły się znaleźć na terytorium Polski. Podobnie zresztą rozumował Drax, stwierdzając: „Jest nie do pomyślenia, by Polska czy Rumunia nie poprosiły o pomoc w razie ataku na nie”.

Woroszyłow odpowiedział Doumencowi, że to nie wystarcza, gdyż Polska jest państwem suwerennym, a więc Francja nie może przemawiać w jej imieniu. Potrzebna jest bezwarunkowa zgoda Polski, która będzie wystarczająca tylko w tym wypadku, jeśli „polityczne okoliczności będą te same”. Polityczne okoliczności nie mogły jednak być te same, bo rozmowa toczyła się 22 sierpnia, gdy Ribbentrop był już w drodze do Moskwy.

Oczywiście pytanie na temat tak zwanego przemarszu wojsk rządu francuski i angielski przekazały Warszawie.

Konsultacje jednak — a nawet namowy, by wyrazić zgodę ogólnikową, a potem ustalić szczegóły i warunki — nie odniosły skutku. Zgody na ślepo, w dodatku w ciągu kilkunastu godzin, rząd polski udzielić nie mógł, podobnie zresztą jak rząd rumuński i rządy państw bałtyckich. Noëlowi wyjaśniał Beck: „Żąda się od nas, byśmy się podpisali pod nowym rozbiorem... Nie nam nie gwarantuje, że Rosjanie, zainstalowawszy się we wschodniej części naszego kraju, wezmą istotny udział w wojnie”. Słowa historycznie w pełni uzasadnione, choć zapewne zbyt szczere w rozmowie dyplomatycznej. Nie inaczej jednak mówili nie-Polacy. I tak ambasador brytyjski Kennard stwierdzał, że „żaden Polak nie może się łudzić, że odzyska terytorium okupowane przez wojska sowieckie”. Sam Noël — Polsce niezbyt przychylny — pisał dosadnie, że „rzekomy przemarsz byłby tylko z góry uplanowanym podbojem”. Nie miał też pod tym względem wątpliwości poprzednik Mołotowa, Litwinow, gdy mówił w rozmowie z dziennikarzem amerykańskim Fischerem: „Jest zrozumiałe, że żaden rząd polski nie może pozwolić wojskom rosyjskim na wejście do swego kraju”.

Ocena przeciwnika jest w tym wypadku ważniejsza od ocen własnych. Nie tylko Litwinow, ale i Mołotow, i Stalin, i wszyscy przywódcy sowieccy wiedzieli, jakie były cele polityczne Rosji w Polsce i w krajach bałtyckich. Obecność wojsk sowieckich w Polsce tym właśnie celom miała służyć. Wiedzieli, że żaden kraj nie może i nie chce takiej ceny zapłacić w zamian za wątpliwą obietnicę pomocy przeciwko Niemcom. Żaden też dobrowolnie ceny takiej nigdy nie zapłacił. Wysunięcie postulatu przemarszu wojsk było tylko i wyłącznie pretekstem zerwania rozmów z Anglią i Francją — pretekstem wyjątkowo perfidnym, gdyż stwarzał pozory cudzej winy.

Błąd polski nie polegał na tym, że odmówiła zgody na dobrowolne samobójstwo, jakim było pozostawienie Związkowi Sowieckiemu decyzji, kiedy ma Polskę okupować. Błąd polegał na tym, że nie wierząc — zupełnie słusznie — w możliwość wystąpienia Rosji w obronie demokracji, wierzyła jednak, że własny interes Rosji i obowiązujący ją pakt nieagresji z Polską jest gwarancją sowieckiej neutralności.

Lecz Rosja nie chciała neutralności — chciała ekspansji i zaborów, jak najmniejszym oczywiście kosztem. Ani Polska, ani Francja czy Anglia niczego jej za udział we froncie antyhitlerowskim ofiarować nie mogły, prócz nikłej szansy uratowania pokoju w Europie, na czym Związkowi Sowieckiemu najmniej zależało.

23 sierpnia Ribbentrop przyjechał do Moskwy. O godzinie

dwudziestej minut pięć w depeszy iskrowej do Hitlera meldował, że po trzygodzinnej rozmowie ze Stalinem i Mołotowem wszystko jest załatwione i podpisanie tajnego protokołu o podziale Europy na strefy wpływów przewidziane na najbliższe godziny. Ribbentrop prosił o pozwolenie złożenia podpisu w imieniu Trzeciej Rzeszy. Odpowiedź Hitlera była natychmiastowa. Tak, zgoda.

POLSKA I ROKOWANIA NIEMIECKO-SOWIECKIE

I

Pozostaje pytanie, czy gdyby Polska w ostatnich miesiącach przed wybuchem wojny zajęła inne stanowisko wobec sowieckich warunków utworzenia wspólnego frontu obrony przeciw agresji niemieckiej, wypadki potoczyć by się mogły inaczej, a dalszy ciąg historii dałby Polsce korzystniejsze rozwiązanie.

Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa przede wszystkim dlatego, że wykracza poza granice analizy historycznej w ścisłym tych słów znaczeniu. Wymaga spekulacji, które tylko pod tym warunkiem przestają być jałowym fantazjowaniem, że badacz pozna wszystkie istotne fakty oraz przesłanki myślowe ludzi podejmujących wówczas decyzje i zestawi zachowanie się Polski z konkretnie określonymi alternatywami sowieckich, niemieckich, a także brytyjskich planów politycznych. Na szczęście materiałów jest pod tym względem pod dostatkiem, choć nie dokonano dotychczas pełnej i zupełnie bezstronnej syntezy tego zagadnienia.

Spróbuję więc sprecyzować temat. Propaganda i propagandowa historiografia sowiecka oraz wtórujące im wiernie piśmiennictwo innych krajów komunistycznych usiłują wprowadzić do historii jako aksjomat tezę, że winę za to, co się stało w 1939 roku ponosi Polska. Fundamentem tej tezy ma być osławiona odmowa zgody na przemarsz wojsk sowieckich przez terytorium Polski. W propagandzie sowieckiej winę tę Polska dzieli z Anglią, która miała rzekomo dążyć nie do postawienia tamy agresji hitlerowskiej, lecz do skierowania jej wyłącznie na wschód, to znaczy nie przeciwko Polsce, lecz przeciwko Związkowi Sowieckiemu. W rozumowaniu tym są rzecz jasna luki i nielogiczności.

Skoro bowiem Armia Czerwona mogła sięgnąć Niemiec tylko przez terytorium Polski, jak głosi teza sowiecka, to także Niemcy dosięgnąć mogły Rosji tylko przez terytorium Polski. Argument o wzbronieniu „przemarszu” działa więc na obie strony.

Kiedy chodzi o owa — jak ją nazywa historiozofia komunistyczna — „antyradzieckość”, z perspektywy minionych lat nie można zaprzeczyć, że ta postawa w stosunku do Rosji była ważnym elementem w psychice, w życiu i w polityce niepodległego państwa polskiego. Nie oznaczała jednak, od czasu zarzucenia w Traktacie Ryskim wizji dopomożenia nierosyjskim narodom Rosji bolszewickiej w ich dążeniu do niepodległości, jakichkolwiek planów agresywnych wobec Związku Sowieckiego. Przeciwnie, Polska wyprzedziła państwa zachodnie o kilka lat, uznając Związek Sowiecki i jego ustrój, wchodząc z nim w stosunki bezpośrednie, propagując myśl jego włączenia w ogólny rytm spraw międzynarodowych. „Antyradzieckość” oznaczała natomiast kategoryczną odmowę kopiowania wzorów sowieckich, odrzucenie komunizmu, zwłaszcza w wydaniu sowieckim, jako wzoru rozwojowego; oznaczała czujność w zwalczaniu sowieckiej i komunistycznej akcji dywersyjnej na terytorium Polski. Jeśli ktoś doda do tego zakorzenione tradycje i bolesne wspomnienia z przeszłości, to nie pomyli się mówiąc, że „antyradzieckość” tak pojmowana była w Polsce powszechna. Wypada dodać w tym miejscu, że jako element nie najważniejszy, lecz jednak ważny dołączały się uprzedzenia i zapiekle, irracjonalne niechęci. Nie były one decydujące, lecz duży wpływ wywierały. Trudno było o inny, skoro w dwudziestoleciu międzywojennym naprawdę mało wiadomości nadchodzących ze Związku Sowieckiego mogło usposabiać do niego przychylnie. Chaos gospodarczy, ogólne zacofanie, nędza, niski poziom, a raczej spadek poziomu kultury łączył się w coraz to mocniejszym stopniu z odrazą, jaką budził sowiecki system rządów, wygładzanie chłopów na Ukrainie i nad Wołgą, czystki, procesy pokazowe, Czeretzwyczajka w kolejnych metamorfozach.

Ważniejsza rzecz jasna od owej „antyradzieckości” jako nastawienia psychicznego Polaków była dobra, znacznie lepsza niż na Zachodzie, znacznie lepsza nawet niż w Niemczech orientacja w założeniach i celach polityki sowieckiej. Zdawano sobie przede wszystkim sprawę, że myślą przewodnią leninowskiej koncepcji politycznego realizowania komunistycznych założeń ideologicznych jest w dalszym ciągu przekształcenie państw Europy, w pierwszym rzędzie państw z Rosją sąsiadujących, w republiki sowieckie, w ramach leninowskiego postulatu federacji. Czyli

rezygnacji z niepodległości na rzecz przystąpienia właśnie do Związku Sowieckich Socjalistycznych Republik. Zapytany przed wojną, każdy przeciętny obywatel polski odpowiedziałby bez wahania, że politykę w stosunku do naszego wschodniego sąsiada należy prowadzić tak, by Polska nie stała się „jeszcze jedną republiką sowiecką”.

W okresie dwudziestolecia niezmiennym założeniem polityki polskiej — niejednokrotnie była tu o tym mowa — było niedopuszczenie do sojuszu niemiecko-sowieckiego. Taki był cel obu paktów nieagresji zawartych w latach trzydziestych. Wyzyskując koniunkturę, Polska, zabezpieczwszy się od strony Rosji — zabezpieczała się od strony Niemiec. Nie oznaczało to bynajmniej — trzeba to powtórzyć — przejścia na pozycję polityki proniemieckiej, nie oznaczało także nawet uśpienia czujności. Liczono się bowiem w Polsce z tym, że normalizacja stosunków z Niemcami pozwala tylko wygrać na czasie, by kiedy po stronie niemieckiej dojrzeje myśl agresji przeciwko Polsce mieć po swej stronie państwa zachodnie jako sprzymierzeńców, a Związek Sowiecki jako przychylnie nastawionego neutralnego sąsiada.

Taki był punkt wyjścia stanowiska politycznego Polski w momencie, gdy nastąpiły próby wciągnięcia Rosji do frontu obronnego przeciwko agresji hitlerowskiej.

II

Na stanowisko Polski wpływał również stan jej stosunków z Francją. Stosunki te uległy pogorszeniu na początku lat trzydziestych. Przyczyny były różne, lecz najważniejszą, gdy o stronę polską chodzi, było celowe osłabianie przez Francję jej sojuszu z Polską. Towarzyszyła temu w Polsce obawa, że normalizacja stosunków Francji z Niemcami pociągnie za sobą całkowite umycie rąk w stosunku do wszystkiego, co położone jest na wschód od ówczesnej granicy niemieckiej. Jako symbol niejako tego niebezpieczeństwa wystarczy wspomnieć Układy Lokarneńskie.

A jednak pomimo ciągłych fluktuacji politycznych w samej Francji sytuacja zaczęła się dla Polski poprawiać w latach 1935-1936. Doszło wówczas do rozmów w Rambouillet, a sojusz polsko-francuski nabrał trochę żywszych barw. Lecz był to suk-

ces, jeśli go tak w ogóle nazywać można, o niezbyt dużym znaczeniu, gdyż nie odrabiał skutków całkowitej bierności Francji, gdy w roku 1936 Hitler złamał zasadę demilitaryzacji Nadrenii. W przekonaniu wielu historyków był to pierwszy krok do rozpoczęcia drugiej wojny światowej. Ofertę polską poparcia Francji, gdyby temu posunięciu niemieckiemu zechciała się przeciwstawić, ówczesny rząd francuski zlekceważył, a później starał się zataić.

Fakt ten wpłynął na to, że w Warszawie nie liczone na dochowanie przez Niemcy na dłuższą metę normalizacji stosunków z ich sąsiadami. Problem polegał na tym, ile czasu pozostanie na zmontowanie politycznego frontu obrony od chwili przejścia Hitlera na pozycje agresywnej ekspansji.

Czasu tego pozostawało niewiele, jak o tym dzisiaj wiemy. Nie można jednak stawiać zarzutu Polsce, a ściślej mówiąc samodzielnemu kierownikowi polskiej polityki zagranicznej, którym był Józef Beck, że starał się, by poprawne stosunki z Niemcami trwały jak najdłużej.

Zasada była słuszna. Znaki zapytania pojawiają się natomiast, gdy się rozpatruje sposoby i metody, jakimi polityka polska się posługiwała. Jeden jej aspekt nie budzi wątpliwości, mianowicie unikanie i łagodzenie zadrażnień. Innymi słowy unikano wszystkiego, co by Berlin uznać mógł za prowokację. Metodę tę stosowały zresztą także inne państwa, wśród nich Francja i Anglia. Dodajmy, że poważanie, jakie zyskał Beck w Londynie, wpływało właśnie z oceny jego zręczności w postępowaniu z Niemcami. Jeszcze w roku 1939, gdy sytuacja uległa całkowitej zmianie, a stosunki między Polską a Niemcami zamieniły się z poprawnych w otwarcie nieprzyjazne, w Londynie mówiono, że jedynym człowiekiem, którego nie poniosą emocje i który w żadnym wypadku nie sprowokuje Niemiec do wojny jest właśnie polski minister spraw zagranicznych.

Z pozostałych aspektów polityki odwlekania jak najdalej chwili konfliktu i ubezpieczania się politycznego musimy wspomnieć o jeszcze jednym. W działalności polskiego ministerstwa spraw zagranicznych widać było wyraźnie chęć przestawienia kierunku agresywnych apetytów niemieckich ze wschodu na południe. Stąd zupełna bierność, którą można by nawet nazwać biernością przychylną, wobec zagarnięcia przez Hitlera Austrii, a także niechętna obojętność wobec zagrożenia Czechosłowacji, a nawet nadzieja, że wyeliminowanie Czechosłowacji jako samodzielnego czynnika politycznego wyjść może na dobre Polsce, gdyż zaspokoi „naddunajskie apetyty” Niemiec. Z perspektywy czasu także niekończące się próby politycznego zbliżenia z Wę-

grami i Jugosławią zasługują na ujemną ocenę, gdyż prowadzone były w oderwaniu od całokształtu sytuacji europejskiej.

Punktem przełomowym było rzecz jasna Monachium. Poświęcono na ołtarz tchórzliwego kompromisu Czechosłowację. Lecz w ciągu kilku zaledwie tygodni stało się oczywiste, że pokój jest zupełną mrzonką, bo prowadzone przez Hitlera Niemcy stosować będą politykę dalszej jawnej agresji. W Polsce zorientowano się najszybciej i nie kto inny tylko właśnie Beck zawiadomił prezydenta, wojsko i rząd 7 stycznia 1939 roku, że dobiegł końca okres odwlekania nieszczęścia, gdyż następnym obiektem agresji Hitlera będzie zapewne Polska. Był to więc moment, w którym należało dokonać natychmiastowej rewizji dotychczasowych metod polskiej polityki zagranicznej. Należało przygotować i to szybko obronę na płaszczyźnie międzynarodowej, licząc się przy tym otwarciem z ryzykiem wojny. Zajął się tym natychmiast Beck i odniósł ogromny sukces w postaci sojuszu z Anglią, który siłą rzeczy uaktywniał, nawet wbrew woli Paryża, sojusz polsko-francuski.

Doszliśmy tu do pytania podstawowego: czy i w jakim stopniu można było i należało obok szukania sprzymierzeńców na Zachodzie szukać ich także w Moskwie?

Zacznijmy od strony formalnej. Związek Sowiecki nie proponował udziału Polski w rozmowach, które toczyły się w Moskwie na wiosnę, a wznowione zostały na płaszczyźnie ściśle wojskowej w połowie sierpnia. Owszem, w rozmowach padały wzmianki o Polsce. Ich treść ze strony sowieckiej przejawiała sceptycyzm, zakładając jak gdyby z góry, że niczego Polsce proponować nie należy, gdyż i tak odmówi. Były też niejednokrotne, delikatne zresztą sugestie francuskie, że skoro mowa jest o sprawach Polski, jej udział w rozmowach moskiewskich jest potrzebny. Spotykało się to ze strony sowieckiej albo z milczeniem, albo też z daniem do zrozumienia, że fakt udzielenia gwarancji Polsce przez Anglię załatwia jak gdyby sprawę, co można było tak rozumieć, że Anglia, zresztą razem z Francją, pośrednio Polskę reprezentuje. Ten dziwaczny argument miała później strona sowiecka odpowiednio rozdmuchać w celach ściśle propagandowych.

Ale do prawdziwości obrazu należy także fakt, że rządy Anglii i Francji nie wywierały żadnego nacisku ani na Moskwę, by Polskę do rozmów zaprosić, ani na Polskę, by wystąpiła z własną inicjatywą w tym kierunku.

Gdy chodzi o bezpośrednie rozmowy polsko-sowieckie, to

najważniejsze były dwie. Obie prowadził zastępca Mołotowa Potiomkin, raz z ambasadorem Grzybowskim, a 10 maja, a więc już po gwarancjach angielskich dla Polski, z Beckiem w Warszawie. Strona sowiecka nie wspominała w tych rozmowach ani o sojuszu, ani o przemarszu wojsk, lecz zapewniała o zachowaniu ścisłej neutralności i o pomocy gospodarczej, aprowizacyjnej, a może nawet w postaci sprzętu zbrojeniowego. Konkretnie pytanie o przemarsz wojsk zadał Woroszyłow wojskowym angielskim i francuskim wówczas, gdy Stalin postanowił już zawrzeć przymierze z Hitlerem i chciał storpedować pertraktacje z dwoma państwami zachodnimi. O tym, co pytanie to faktycznie znaczyło, była już tutaj mowa. O konieczności czy potrzebie bezpośredniego zajęcia stanowiska przez rząd polski wspomniano w Moskwie po raz pierwszy właśnie dopiero wtedy — 16 sierpnia, w fazie rozmów o charakterze wyłącznie wojskowym. Ale i w tym wypadku jako konkretny wniosek uzgodniono nie zaproszenie Polski do rozmów, lecz przekazanie zapytania o przemarsz do Warszawy kanałami brytyjskimi i francuskimi.

Odpowiedź polska z dnia 20 sierpnia była ujęta w formułę ułożoną przez Becka, którą zdążono jeszcze przed przyjazdem Ribbentropa do Moskwy przekazać Woroszyłowowi. Otóż rząd polski upoważniał Francję i Anglię do stwierdzenia, że „sztaby francuski i angielski są pewne, że w razie wspólnej akcji przeciw agresorom współpraca między ZSSR a Polską nie jest wykluczona w warunkach do ustalenia. Wobec tego sztaby uważają za konieczne przeprowadzenie ze sztabem sowieckim wszelkich hipotez”. Zwrot ten oznaczał, że Polska spodziewa się opracowania i przedłożenia jej konkretnych propozycji i warunków, na których wspólny front obronny polsko-sowiecki mógłby zostać zmontowany jako zabezpieczenie przed agresją niemiecką. Żadnych jednak dalszych „hipotez” w Moskwie nie opracowywano, gdyż 23 sierpnia świat dowiedział się, że sytuacja uległa radykalnej zmianie: wszelkie mrzonki o współudziale Rosji w ratowaniu pokoju ustąpiły miejsca twardej rzeczywistości.

Nie od rzeczy będzie dodać, że w okólniku do wszystkich polskich placówek dyplomatycznych, datowanym także 23 sierpnia, Beck pisał: „Przypomniałem raz jeszcze nieprzyzwoitość traktowania przez Sowiety naszych spraw z Francją i Anglią bez zwrócenia się do nas”.

Nie wystarczy to oczywiście jako odpowiedź na pytanie, czy Polska mogła i powinna była starać się włączyć w rozmowy moskiewskie pomimo braku formalnego zaproszenia i pomimo nieukrywanej przez Mołotowa niechęci Związku Sowieckiego do

udziału Polski w bezpośrednich rozmowach. Lecz odpowiedź znajdziemy, gdy sobie uprzytomnimy zarówno ogólną sytuację polityczną w Europie, jak i cele czy zamiary, jakim rokowania w Moskwie miały służyć. Otóż sytuacja europejska od marca 1939 roku wyglądała w ten sposób, że niebezpieczeństwo wojny z odległego przekształciło się w bezpośrednio bliskie. Polska w stu procentach, a Anglia i Francja z różnym stopniem determinacji postanowiły kolejne wyzwanie Hitlera podjąć, czyli w ostateczności przeciwstawić się zbrojnie agresji niemieckiej. Jednocześnie w całej Europie, bo nawet we Włoszech, robiono wysiłki, by odstraszyć Hitlera od decyzji wojny lub przynajmniej odwlec jej wybuch.

Odstraszeniu Hitlera służyć miała gwarancja Wielkiej Brytanii udzielona Polsce. Zdawano sobie sprawę, że może to nie wystarczyć. W sensie wojskowym przewidywano w Londynie i w Paryżu, że skuteczny opór w razie uderzenia Niemiec w kierunku wschodnim nie będzie możliwy bez współdziałania Związku Sowieckiego. Współdziałanie to chciano jednak oprzeć na określonych i uzgodnionych warunkach politycznych.

Ale Związek Sowiecki to uniemożliwił. Wystąpił z żądaniem przyznania mu prawa decyzji o wszystkich sprawach Europy środkowo-wschodniej. Miało to obejmować prawo przemarszu i tworzenia baz wojskowych na obcym terytorium.

Polska zastrzegła się przeciwko temu kategorycznie w notach do rządów zachodnich. Anglia i Francja stanowisko Polski uznawały za uzasadnione i słuszne, czyniąc jednocześnie — z ciężkim raczej sercem — pewne ustępstwa kosztem państw bałtyckich.

Postawa Moskwy doprowadziła do przerwania pertraktacji na płaszczyźnie politycznej. Póki toczyły się wokół tak określonych warunków sowieckich, Polska przyłączać się do nich nie mogła. Miała przecież zapewnienie nienaruszalności polsko-sowieckiego paktu nieagresji i neutralności Związku Sowieckiego na wypadek konfliktu z Niemcami. Włączenie się Polski do rozmów w Moskwie oznaczałoby rezygnację z samodzielności politycznej, jeśli nie wprost z suwerenności państwowej, poddanie się jakby w panice żądaniom sowieckim bez uzyskania w zamian żadnych gwarancji skutecznej pomocy wojskowej, poszanowania terytorium i niepodległości. Uprawnienia, których Rosja żądała nie precyzowały bowiem jej obowiązku i terminu zbrojnego wystąpienia przeciwko Niemcom. Lapidarnie ujęto to w polskich kołach wojskowych mówiąc, że gdy Rosja zajmie część Polski na zasadzie przemarszu, będzie mogła się po prostu pogodzić z Niemcami i nikt jej w tym nie przeszkodzi. Analiza ta okazała

się w pełni słuszna, z tym tylko, że Rosja porozumiała się z Niemcami, zanim weszła na terytorium Polski.

Druga, sierpniowa faza rozmów moskiewskich ograniczyła się do spraw ściśle wojskowych. Zachód zrobił tu ustępstwo wobec Moskwy, gdyż pierwotnie zgodnie z logiką chciał naprzód ustalić polityczne warunki ewentualnego sojuszu. Punktem szczytowym tej fazy rozmów było owo zapytanie Woroszyłowa w sprawie przemarszu.

Istotny sens „wojskowej” fazy rokowań moskiewskich — z czego zdano sobie jasno sprawę natychmiast po 23 sierpnia — polegał na tym, że miały posłużyć Moskwie jako środek szantażu wobec Berlina, by przełamać ostatnie wahania Hitlera przed zawarciem sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Przyłączenie się Polski do tych rozmów nie miało żadnego racjonalnego uzasadnienia. Ponadto było niewykonalne w czasie. Rozmowy zaczęły się 14 sierpnia, pytanie Woroszyłowa o przemarsz padło 16 sierpnia, Anglicy i Francuzi zdołali je przekazać i otrzymać odpowiedź od Becka 20 sierpnia. A tymczasem 19 sierpnia zapadła ostateczna decyzja Stalina, by zawrzeć sojusz z Niemcami, 21 sierpnia ustalono przyjazd Ribbentropa do Moskwy, a dwa dni później — 23 sierpnia — został w sposób jak najbardziej ostantacyjny i uroczysty podpisany na Kremlu tak zwany pakt Ribbentrop - Mołotow.

PAKT RIBBENTROP - MOŁOTOW

I

19 sierpnia 1939 roku około godziny dziesiątej wieczorem członkowie Politbiura w Moskwie zostali nagle wezwani na tajne posiedzenie. Po tym posiedzeniu Woroszyłow, prowadzący rozmowy ze sztabowcami angielskimi i francuskimi, wrócił do nich, by rokowania przerwać, a Mołotow wrócił do niezakończonych rozmowy z ambasadorem niemieckim, by ustalić szczegóły przyjazdu Ribbentropa do Moskwy.

Przebieg zebrania Politbiura znamy z nigdy nie zdementowanej relacji francuskiej agencji prasowej Havas, której depesze

zostały ogłoszone w zeszycie z września 1939 roku szwajcarskiego kwartalnika poświęconego prawu i stosunkom międzynarodowym, *Revue de Droit International*. Według tej relacji na zebraniu Politbiura Stalin bez żadnych wstępów powiedział:

„Sprawa wojny czy pokoju weszła w stadium krytyczne. Jej rozwiązanie zależy wyłącznie od nas. Jeżeli zawrzemy traktat z Anglią i Francją, Niemcy będą zmuszone odstąpić od planów agresji i ustąpić wobec stanowiska Polski. Będą też szukać ułożenia stosunków z mocarstwami zachodnimi. W ten sposób będziemy mogli uniknąć wybuchu wojny, lecz dalszy rozwój wydarzeń poszedłby wówczas w niewygodnym dla nas kierunku. Natomiast jeśli przyjmimy niemiecką propozycję zawarcia z nimi paktu nieagresji, to umożliwi to Niemcom atak na Polskę i tym samym interwencja Anglii i Francji stanie się faktem dokonanym. Gdy to nastąpi, będziemy mieli szansę pozostania na uboczu wojny. Będziemy mogli z pożytkiem dla nas czekać na odpowiedni dla nas moment dołączenia do konfliktu lub osiągnięcia celu w inny sposób. Wybór więc jest dla nas jasny: powinniśmy przyjąć propozycję niemiecką, a misję wojskową francuską i angielską odesłać grzecznie do domu”.

Stalin dokonał przeglądu korzyści, jakie da Związkowi Sowieckiemu pakt z Hitlerem. Niemcy odstąpią Rosji część Polski i dadzą jej wolną rękę w krajach bałtyckich i w Besarabii, co pomoże do dalszej ekspansji na Rumunię, a może i Bułgarię. Jeśli Niemcy zaangażują się mocno na Zachodzie, pozwoli to na rozciągnięcie wpływów sowieckich także na Węgry i Jugosławię.

W przeciwieństwie do Hitlera Stalin był przekonany, iż pokonanie Polski nie wytrąci Francji i Anglii z dalszego prowadzenia wojny. Liczył, że będzie to wojna długa. Rozwagał więc, co się stanie, jeśli Niemcy wojnę na Zachodzie przegrają, i co się stanie, jeśli ją wygrają. W obu wypadkach nic groźnego Związkowi Sowieckiemu — zdaniem Stalina — przydarzyć się nie może. Niemcy zwycięskie byłyby zbyt wyczerpane wojną, by móc zaczynać nową przeciwko Rosji. Zresztą ich ekspansja mogłaby się skierować na Afrykę. Jeśli zaś Niemcy przegrają, Rosja też nic nie straci, tym bardziej, że będzie mogła przyłączyć się do zwycięzców w odpowiedniej dla siebie chwili. Kluczową sprawą dla Związku Sowieckiego jest, by wojna trwała jak najdłużej. I najdłużej bez udziału Rosji, z wyjątkiem krótkiego wstępnego wystąpienia przeciwko Polsce.

Stalin mówił dalej:

„Chodzi o to, by Niemcy prowadziły wojnę z Zachodem jak najdłużej. Stąd naszym zadaniem jest dopomóc Niemcom gospodarczo, dostarczając im żywności i surowca. Jednocześnie powinniśmy prowadzić wzmożoną propagandę komunistyczną skierowaną przeciwko wysiłkowi wojennemu państw zachodnich, a zwłaszcza Francji”.

Reasumując swoje wywody — co było rzecz jasna jednoznaczne z ostateczną decyzją — Stalin oświadczył swym towarzyszom:

„Jest w naszym interesie, by wybuchła wojna między Rzeszą Niemiecką a blokiem francusko-angielskim. Najistotniejsze jest dla nas, by wojna ta trwała jak najdłużej, gdyż doprowadzi to do wyczerpania obu stron. Dlatego powinniśmy podpisać pakt proponowany przez Niemcy i pracować nad tym, by wojna raz rozpoczęta nie zakończyła się zbyt wcześnie”.

Stalin wprowadził swych towarzyszy w błąd w jednym tylko, mianowicie gdy wspomniał o potrzebie przyjęcia „propozycji niemieckiej”. Tekst paktu nieagresji był ułożony przez stronę sowiecką. Ona też przedłożyła Niemcom projekt tajnego protokołu o rozbiórze Polski. Ribbentrop jadąc do Moskwy miał oba teksty w ręku i znał je Hitler, gdy upoważnił Ribbentropa do ich podpisania. Sam Hitler nie czekał na formalność złożenia podpisów, gdyż już w przededniu tej ceremonii — 22 sierpnia — mówił na odprawie generałów Wehrmachtu:

„Nieprzyjaciół miał nadzieję, że Rosja stanie się naszym wrogiem potem, jak dokonamy podboju Polski. Ja byłem przekonany, że Stalin nigdy nie przyjmie propozycji angielskich. Rosja nie ma żadnego interesu utrzymania Polski przy życiu... Mam teraz Polskę w takim położeniu w jakim chciałem, żeby się znalazła”.

II

Kiedy przed godziną dwudziestą drugą 23 sierpnia 1939 roku nadeszła do Moskwy depesza Hitlera, zawierająca jedno słowo „tak”, natychmiast podpisano na Kremlu dwa dokumenty. Jed-

nym był pakt nieagresji, drugim tajny protokół załączony do paktu. Protokół w pierwszym zdaniu stwierdzał, że jest umową rozgraniczającą strefy interesów obu państw w Europie wschodniej. Dokument ten był w rzeczywistości obopólną decyzją rozpoczęcia wojny przeciwko Polsce, z tym, że definitywny jej termin pozostawiono stronie niemieckiej.

Obie strony dochowały wiernie zobowiązania nieogłaszania ani treści dokumentu, ani faktu, że został podpisany. Zobowiązania tego dochowały nawet po złamaniu traktatu przez Hitlera, to jest w chwili wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, oraz przez cały czas jej trwania. Opinia światowa zapoznała się z jego pełnym tekstem dopiero po wojnie, gdy dokument ten dostał się w ręce sprzymierzonych zachodnich wraz z archiwami niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych i został ogłoszony w oficjalnych wydawnictwach brytyjskich i amerykańskich. Strona sowiecka nie zaprzeczyła prawdziwości dokumentu, bo nie mogła, ale ani tekstu nigdy nie ogłosiła, ani go nie komentowała. Stąd też czytelnik czy historyk nie się o nim nie dowie ze źródeł i opracowań sowieckich, a także z opracowań w języku polskim, ogłoszonych po wojnie w kraju. Dowie się tylko o pakcie nieagresji, dokumencie o dość jałowej treści. Czyż warto wyjaśniać, że przy przemilczaniu treści tajnego protokołu nie można zrozumieć ani bezpośredniej przyczyny wybuchu drugiej wojny światowej, ani celów polityki sowieckiej — nawet gdy się uwzględni niektóre prawdziwe pobudki postępowania ówczesnych jej kierowników? Wśród pobudek tych dwie zasługują na uwagę. Jedną był paniczny strach przed siłą Niemiec i świadomość własnej słabości militarnej i gospodarczej, drugą uzasadniona obawa nieskuteczności pomocy Anglii i Francji w pierwszej fazie wojny, gdyby nie tylko Polska, ale i Związek Sowiecki stał się głównym przedmiotem agresji niemieckiej.

Związek Sowiecki nie był pewien, czy uda mu się uniknąć wojny tylko w oparciu o przestrzeganie ścisłej neutralności. Sam pakt nieagresji z Niemcami mógłby nie być dostatecznym zabezpieczeniem. Zwłaszcza, że nie stanowił atrakcji dla Niemiec. Atrakcyjny natomiast był nie pakt nieagresji, lecz przymierze Rosji z Niemcami. Niemcom rozwiązywał ręce wobec Polski, a pośrednio także na Zachodzie, Rosji dawał ogromne korzyści, otwierając jej tanim kosztem drogę do zaborów i ekspansji.

Pośpiech stał się nakazem chwili dla obu stron. Hitlerowi potrzebny był po to, by móc rozpocząć wojnę z Polską najpóźniej 1 września, gdyż obliczał, że błyskawiczne pokonanie Polski zniechęci Francję i Anglię do prowadzenia wojny, zwłaszcza gdy się

przekonają, że Rosja nie tylko odmawia udziału we wspólnym froncie przeciw agresji niemieckiej, ale występuje jako wspólnik Niemiec, czyniąc dalszą walkę bezprzedmiotową.

Inaczej Rosja. W przeciwieństwie do Hitlera Stalin był przekonany, że upadek Polski nie zakończy wojny, że Francja i Anglia będą ją dalej prowadzić, wskutek czego Niemcy będą musiały zaangażować się na długo na Zachodzie, co pozwoli Związkowi Sowieckiemu na konsolidację zdobyczy. Nadzieje Rosji pokrywały się w tym względzie z obawami Włoch faszystowskich, którym dawał wyraz Mussolini w korespondencji z Hitlerem, właśnie z tego okresu, twierdząc, że Anglia będzie się bić dalej, nawet po rozbiciu Polski i w obliczu przychylniej wobec Niemiec postawy Rosji.

Spiesząc się do zawarcia przymierza z Niemcami Stalin kierował się obawą, że odwołanie wojny może jej w ogóle zapobiec. Wiedział, że dyrektywy, jakie otrzymała wojskowa misja brytyjska jadąc na rozmowy do Moskwy nakazywały przewlekać je co najmniej do października, gdyż uniemożliwi to Hitlerowi napad na Polskę w roku 1939, a do roku następnego dużo się może zmienić. Stalin wierzył w możliwość zmian. Potencjał Anglii wzrastał szybko, co mogło dać do myślenia Hitlerowi i jego generałom. Stalin wiedział o hamujących naciskach Mussoliniego. Wiedział też o sondażach tak zwanych kół „monachijskich” w Anglii, które dążyły do porozumienia z Niemcami na wielką skalę z obietnicą pozostawienia im wolnej ręki właśnie na wschodzie Europy. Sondaże te nasiliły się w sierpniu z inicjatywy Labour Party, nie bez wiedzy przecież dopiero co i niezbyt dokładnie wyleczonego z pacyfizmu premiera Chamberlaina.

A Stalin chciał nie pokoju, lecz wojny. Takiej wojny, która zapewniwszy Związkowi Sowieckiemu bezpieczeństwo pozwalałaby mu gromadzić siły na chwilę, gdy będzie mógł wystąpić jako czynnik absolutnej przewagi — albo po stronie Niemiec, albo po stronie ich przeciwników, gdyż i w jednym, i w drugim wypadku będzie mógł osiągnąć hegemonię nad całą Europą. Potrzebował wojny i to wojny długiej.

Odmienność pobudek, lecz zgodność celu. I Rosji, i Niemcom zależało w sierpniu 1939 roku na pośpiechu. Woroszyłowowi nakazano zerwanie rozmów wojskowych z Anglikami i Francuzami. 19 sierpnia podpisano w Moskwie niemiecko-sowiecki traktat handlowy. Tegoż dnia Mołotow przedłożył gotowy tekst traktatu o nieagresji. A także tekst tajnego protokołu. Ribbentrop przyjeżdżał do Moskwy 23 sierpnia na gotowe. Jego

depesza do Hitlera miała znaczenie raczej symboliczne, jeśli się pominie drobny szczegół zgody Niemiec na zajęcie przez flotę sowiecką łotewskiego portu w Libawie. Tajny protokół nie powstał więc dopiero jako dodatek do paktu nieagresji. Przekonać się można o tym z brzmienia pełnomocnictwa, z jakim Ribbentrop jechał do Moskwy:

„Pełnomocnictwo. Niniejszym imieniem Rzeszy udzielam całkowitego pełnomocnictwa przeprowadzenia rokowań z przedstawicielami Związku Sowieckiego dotyczących paktu nieagresji oraz innych umów i, gdy to będzie możliwe, podpisania traktatu o nieagresji i dodatkowych dokumentów, z tym, że zarówno traktat, jak i wzmiankowane inne dokumenty nabiorą mocy natychmiast po ich podpisaniu przez Joachima von Ribbentropa, ministra spraw zagranicznych Rzeszy. Podpisano: Adolf Hitler, Obersalzberg, 22 sierpnia 1939 roku”.

A oto tekst owego „innego” dokumentu podpisanego na Kremlu:

„W związku z podpisaniem Traktatu o Nieagresji między Rzeszą Niemiecką i Związkiem Socjalistycznych Republik Rad podpisani niżej pełnomocnicy obu stron przedyskutowali w ścisłej poufnej rozmowie zagadnienie rozgraniczenia ich stref interesów we wschodniej Europie. W wyniku tej rozmowy osiągnięto następujące porozumienie:

Po pierwsze. W razie dokonania zmian terytorialnych i politycznych na obszarach zaliczanych do państw bałtyckich, to jest Finlandii, Estonii, Łotwy i Litwy, północna granica Litwy będzie granicą sowieckiej i niemieckiej strefy interesów. W związku z tym obie strony uznają zainteresowanie Litwy obszarem Wileńszczyzny.

Po drugie. W razie dokonania zmian terytorialnych i politycznych na obszarach należących do państwa polskiego granica między strefą interesów Niemiec i Związku Sowieckiego przebiegać będzie w przybliżeniu wzdłuż linii rzek Narwi, Wisły i Sanu.

Zagadnienie, czy utrzymanie jakiegoś niepodległego państwa polskiego oraz wytyczenie jego ewentualnych granic leży w interesie obu zainteresowanych stron, będzie mogło być ostatecznie rozstrzygnięte w trakcie dalszego rozwoju wydarzeń politycznych. W każdym jednak wypadku kwestia ta będzie rozstrzygnięta przez oba rządy we wzajemnym przyjaznym porozumieniu.

Po trzecie. Przyjmuje się do wiadomości zainteresowanie

strony sowieckiej Besarabią w związku z położeniem Europy południowo-wschodniej. Strona niemiecka zgłasza całkowite *désintéressement* tym obszarem.

Po czwarte. Obie strony zachowają ten protokół w ścisłej tajemnicy.

Podpisano: Imieniem Rzeszy von Ribbentrop. Imieniem ZSSR W. Mołotow”.

Zmiany granicy rozbiorów z przesunięciem Lubelszczyzny do strefy niemieckiej, a Litwy do strefy sowieckiej dokonano w ciągu września w dodatkowych pertraktacjach zakończonych ostatecznym traktatem rozbiorowym w dniu 28 września.

Pakt nieagresji w przeciwieństwie do protokołu został ogłoszony następnego dnia. Składał się z 7 punktów. Miał obowiązywać lat 10 z automatycznym przedłużeniem na dalszych lat 5. Poza normalnymi formułkami o wyrzeczeniu się wojny jako środka polityki i obowiązku konsultacji istotny był punkt drugi, zobowiązujący obie strony do ścisłej neutralności w razie wojny prowadzonej przez drugą stronę.

Moskiewska *Prawda* w artykule z 24 sierpnia komentowała:

„W związku z brakiem rezultatów prób osiągnięcia porozumienia z Anglią i Francją w sprawie stworzenia kolektywnego frontu obrony pokoju i w obliczu niebezpieczeństwa wojny jednocześnie na Wschodzie i na Zachodzie przy braku sojuszników rząd sowiecki zmuszony został 'koniec końców' do podpisania sowiecko-niemieckiej umowy o nieagresji”.

Była to absolutna nieprawda historyczna i polityczna, obliczona na zmylenie opinii zarówno na Zachodzie, jak i w Warszawie, i tym samym na ułatwienie Hitlerowi dalszych pociągnięć.

Wobec zatajenia właściwej treści traktatu, to jest protokołu o rozbiorze Polski i innych krajów Europy wschodniej, cel ten został osiągnięty.

III

Najważniejszy i najdłuższy zarazem był punkt drugi tajnego protokołu. Dotyczył rozbioru Polski i wyznaczał jego granice.

Druga część punktu dotyczącego Polski była niemniej istotna.

Obie strony zobowiązywały się nie tworzyć żadnej namiastki państwa polskiego, obojętnie w jak kadłubowej i wasalczej postaci, inaczej niż w oparciu o wspólne porozumienie. W praktyce punkt ten oznaczał obopólną zgodę na likwidację niepodległości Polski i samej nazwy Polska — jak się podpisującym wydawało — raz na zawsze. Wszelkie w tym względzie wątpliwości rozwiąła wkrótce potem mowa Mołotowa przed Najwyższym Sowietem po podpisaniu 28 września traktatu granicznego. Mołotow powtarzał tylko kategoryczne żądanie Stalina przedłożone Niemcom 25 września. Cytujemy je ze zbioru niemieckich dokumentów dyplomatycznych:

„Depesza ambasadora Schulenburga z Moskwy. Stalin oświadczył, że w ostatecznym i końcowym uregulowaniu sprawy polskiej trzeba unikać wszystkiego, co by mogło w przyszłości spowodować tarcia między Niemcami a Związkiem Sowieckim. Z tego punktu widzenia uważa on za błędne pozostawienie niepodległego, kadłubowego państwa polskiego”.

Motywnie tak wyraźnego nacisku Stalina była obawa przed próbą stworzenia namiastki państwa polskiego przez Niemcy jako dodatkowego argumentu pod adresem Anglii i Francji, że dalsze prowadzenie wojny pozbawione jest wszelkiego sensu. Myśl taka powstała wówczas w Berlinie, a Hitler polecił nawet byłemu ambasadorowi niemieckiemu w Warszawie opracowanie odpowiedniego memorandum. Protest Stalina sprawę rzecz jasna przesądził i zamiast namiastki państwa polskiego Niemcy utworzyli potworka geograficznego w postaci tak zwanego *Generalgouvernement*. Inna rzecz, że utworzenie poddańczego państewka polskiego napotkałoby na ogromne przeszkody z tego względu, że Niemcom nie udałooby się znaleźć żadnej grupy Polaków o jakim takim ciężarze gatunkowym, którzy by mogli utworzyć rząd i władze pod hitlerowską kontrolą. Lecz nie to oczywiście było powodem troski Stalina. Powodem jego troski było zapobieżenie szybkiemu zakończeniu wojny.

Bo podpisując pakt nieagresji z Niemcami Stalin wiedział, że umożliwia Niemcom napaść na Polskę.

Wiedział to i Hitler.

Kropkę nad „i”, do kogo należała ostateczna inicjatywa, postawi Ribbentrop na procesie norymberskim. Mołotow postawił ją już na bankiecie w nocy z 23 na 24 sierpnia, gdy przepijając do Stalina powiedział, że jego, Stalina, mowa w dniu 10 marca została dobrze zrozumiana w Berlinie, dzięki czemu odwrócona została sytuacja polityczna w Europie.

Hitler nie przeszkadzał Stalinowi w montowaniu alibi przed historią. Dlatego także artykuł w *Prawdzie* z 24 sierpnia mówił o „przyjęciu przez Związek Sowiecki inicjatywy czy propozycji niemieckiej”. I dodawał, że Związek Sowiecki uczynił to „z konieczności”.

IV

Podsumujmy dotychczasowe wnioski.

Wniosek pierwszy: Związek Sowiecki w roku 1939 postanowił zachęcić Hitlera do agresji dla osiągnięcia własnych celów politycznych, to znaczy do wznowienia ekspansji na Europę, zatrzymanej w roku 1920 wskutek przegranej wówczas wojny z Polską. Zdawał sobie jednak sprawę, że w dalszych planach Hitlera leżała także agresja na terytorium Rosji.

Wniosek drugi: zapobiec agresji przeciwko sobie mógł Związek Sowiecki wiążąc się sojuszem, względnie sojuszami, z tymi państwami, które zdecydowane były na wojnę obronną przeciwko Niemcom. A gdyby jej nawet nie zapobiegł, miałyby szanse skutecznej przed agresją obrony, czego własnymi siłami przy ówczesnym stanie swego przemysłu i sił zbrojnych osiągnąć by nie mógł.

Wniosek trzeci: ten sposób obrony lub, mówiąc inaczej, zapobieżenia wojnie przekreśliłby możliwości własnej ekspansji politycznej. Alternatywą znacznie lepszą było odsunięcie własnego udziału w wojnie przez ułatwienie Niemcom osiągnięcia ich celów politycznych. Z tym obliczeniem, że zarówno Niemcy zwycięskie jak i Niemcy pokonane przestaną stanowić niebezpieczeństwo dla Rosji wskutek całkowitego wyczerpania.

Wniosek czwarty: na bliską metę sojusz z Niemcami lub choćby tylko neutralność w konflikcie Niemiec z resztą Europy dawały Rosji korzyści bezpośrednie w postaci podziału Europy wschodniej na strefy interesów, co w praktyce oznaczało rozbiór Polski i zabór krajów bałtyckich z możliwością zaborów na Bałkanach. Te korzyści zaś stwarzały wystarczającą bazę do dalszej ekspansji w momencie uznanym przez Związek Sowiecki za dogodny. Kluczowym zagadnieniem była tu likwidacja państwa polskiego jako najsilniejszego elementu ładu pokojowego w tej

części Europy. Likwidacja państwa polskiego była też podstawowym dezyderatem Niemiec, zarówno jako zapewnienie sobie terenu eksploatacji, jak i jako zabezpieczenie sobie tyłów w walce z demokracjami zachodnimi.

Wniosek piąty: wokół sprawy polskiej najłatwiej więc było Związkowi Sowieckiemu porozumieć się z Niemcami.

Wniosek szósty: idealnym w ocenie Stalina rozwiązaniem było nie zapobieżenie wybuchowi wojny i nie obrona przed agresją niemiecką, lecz przeciwnie, podniecenie Hitlera do wojny i dopomożenie mu w jej prowadzeniu, pod warunkiem nieangażowania sił Związku Sowieckiego, wyłączwszy epizodyczny w ogólnych planach współdział w zbrojnym napadzie na Polskę.

Hitler mógł już zaczynać wojnę. Zaczął ją nie 26 sierpnia, jak zamierzał, lecz 1 września. Zwłoka ta wywołała paroksyzm niepokoju w Moskwie.

Tymczasem od 24 sierpnia świat stał przed faktem dokonanym, którego znaczenia w pełni ocenić nie umiał, gdyż znał tylko część prawdy, a nie całą prawdę z wszystkimi jej tragicznymi i haniebnymi konsekwencjami. Wiedział tylko o pakcie nieagresji i o umowie handlowej czy — mówiąc ściślej — o umowie o pomocy gospodarczej Rosji dla Niemiec. Z dwóch dokumentów podpisanych w Moskwie za ważniejszy uważano traktat handlowy. Zapewniał Niemcom dostawy żywności i surowców, bez których prowadzenie wojny obliczonej na więcej niż kilka miesięcy nastreżałoby poważne trudności. Co prawda i tutaj komunikaty oficjalne nie podały pełnej wartości przewidzianych umową obrotów towarowych, które zresztą później kilkakrotnie powiększono, dopóki nie osiągnęły gigantycznych rozmiarów.

Gdy chodzi o pakt nieagresji, pierwsza reakcja opinii zachodniej była powściągliwa. Nie wczytując się zbyt dokładnie w jego siedem punktów stwierdzano najchętniej, że po prostu na Związek Sowiecki w wojnie przeciwko Niemcom nie można liczyć, przynajmniej w pierwszej jej fazie. Znajdywano też różne wytłumaczenia. Jednym było, że Rosja nie widzi potrzeby przyjscia z pomocą demokracjom, gdyż same sobie z Niemcami dadzą radę. Innym, że się konfliktu przelekła. Odzywały się także głosy krytyki przeciwko rządowi francuskiemu i angielskiemu, że nie umiały się dogadać ze Związkiem Sowieckim, bo same prowadzą politykę chwiejną i niekonsekwentną.

Ten argument najbardziej odpowiadał Związkowi Sowieckiemu, gdyż sam go głosił. Głosił też — już w pierwszych dniach po „niespodziance” (tak prasa zachodnia nazwała pakt niemiecko-sowiecki), że to głównie Polska swym uporem uniemożliwiła

Związkowi Sowieckiemu udział w świętej wojnie z Hitlerem, bo nie pozwoliła na przesławny przemarsz i zlekceważyła ofertę pomocy sowieckiej, tak jakby Związek Sowiecki kiedykolwiek ją Polsce złożył.

Z niemińszym uporem zaczęła propaganda sowiecka głosić, że Związek Sowiecki znalazł się w sytuacji przymusowej i że po prostu musiał zawrzeć pakt nieagresji z Niemcami, gdyż nie miał innego wyjścia. Stalinowi oddał tu ogromną przysługę Hitler, gdy ani nie zaprzeczał, ani nie protestował przeciwko twierdzeniom Moskwy, że inicjatywa porozumienia wyszła od niego, a nie od Stalina. Co innego mówiono na bankiecie po podpisaniu paktu, co innego w wymianie dalszej korespondencji między Moskwą i Berlinem, a co innego pisano w *Prawdzie*. 24 sierpnia *Prawda* utrzymywała, że Niemcy zaproponowali pakt nieagresji Rosji, a Rosja go przyjęła, gdyż Anglia i Francja chciały ją wtrącić w wojnę „na dwa fronty”, by samym pozostać na uboczu. Ową wojnę na dwa fronty toczyć więc musiałaby Rosja — zdaniem *Prawdy* — „bez sprzymierzeńców”.

O co chodziło? O jakie dwa fronty? O dodatkowe dla Rosji alibi w postaci legendy o zagrożeniu ze strony Japonii. Rzeczywiście na pograniczu mandżurskim toczyły się od kilku już lat walki między wojskami japońskimi i sowieckimi. Miały charakter lokalny, gdyż przedmiotem utarczek była Mongolia Zewnętrzna, nad którą obie strony starały się rozciągnąć kontrolę. Ani Związek Sowiecki nie prowadził z tej przyczyny wojny w całym tego słowa znaczeniu, ani nie dążyła do niej Japonia. Nie było też mowy o współdziałaniu wojskowym ani o koordynacji działań między Japonią i Niemcami na wypadek wybuchu wojny w Europie. Ambasador japoński w Berlinie Ozima, gdy go podsekretarz stanu Weizsäcker zawiadamiał o porozumieniu niemiecko-sowieckim, zresztą bardzo kurtuazyjnie, bo już 22 sierpnia, ograniczył się do stwierdzenia, że nie warto zastanawiać się nad faktem już dokonany. Nie zaprzeczył też, że jest to dobry moment dla normalizacji stosunków z Rosją bez potrzeby żadnych deklaracji czy podpisywania umów. W rzeczywistości w ciągu kilku dni utarczki na pograniczu ustały i stosunki japońsko-sowieckie wróciły na tory normalnej współpracy handlowej i dyplomatycznej.

Groza „wojny na dwa fronty” była więc zwykłym wymysłem, obliczonym na uszy własnego społeczeństwa.

Dlaczego jednak Związek Sowiecki wybrał taką linię tłumaczeń i dlaczego Hitler się na nią zgodził? Hitlerem mogła powodować swoista mania wielkości. Mógł chcieć pochwalić się przed

własnym społeczeństwem, że to on właśnie wymyślił i przeprowadził ugodę z Rosją — ba, że ją do ugody zmusił. Nie ulega przecież wątpliwości, że gdyby Hitler zdecydował się na niedyskrecję, na przykład na temat podpisania tajnego protokołu z inicjatywy Związku Sowieckiego, mógłby niejedno uzyskać. Wiadomo, że Niemcy zapewniły sobie pomoc Rosji w wojnie z Polską i że podpisały z góry traktat rozbiorowy wywołałaby panikę nawet w Polsce. A przecież aż do ostatniej chwili Hitler liczył na ustępstwa z jej strony bez wojny. Popełniał tu błąd. Lecz mógłby na pewno podważyć wolę walki w Anglii i we Francji, gdzie i tak było jej niewiele, a gdzie hasło „nie chcemy umierać za Gdańsk” było wcale popularne, zanim jeszcze zaczęła się nim posługiwać propaganda komunistyczna.

Hitler tym sposobem nacisku się nie posłużył. Pozwolił Stalinowi twierdzić, że inicjatywa umowy była niemiecka, a nie sowiecka. Pozwolił mu głosić, że Rosja znalazła się w sytuacji przymusowej, z której wyprowadził ją geniusz Stalina. Dlaczego Stalinowi na tym zależało? Odpowiedź jest oczywiście złożona, lecz najistotniejszym jej elementem jest podstawowy dezyderat polityki sowieckiej w roku 1939. A mianowicie uczynić wszystko, by zachęcić Hitlera do agresji, a Polskę, Anglię i Francję do oporu. Osiągnięcie tego celu miało wytworzyć wrażenie, że neutralność sowiecka (bo tylko o neutralności świat się dowiedział 23 sierpnia) jest podyktowana koniecznością. A konieczności ulegają z czasem zmianie.

V

Jednym z najbardziej makabrycznych dokumentów historii jest oficjalna fotografia z momentu podpisywania przymierza sowiecko-niemieckiego na Kremlu. Rozpowszechniły ją wówczas zarówno prasa niemiecka, jak i sowiecka agencja TASS, pojawiła się z kolei w gazetach całego świata, by wreszcie zawędrować jako ilustracja do książek. Z wydawnictw sowieckich zniknęła po czerwcu roku 1941, by nie trafić już nigdy do rąk i przed oczy czytelników w krajach rządzonych dziś przez komunistów. Spróbujmy ją opisać.

Znany ze swej „kamiennej twarzy” Mołotow ma wyjątkowo uśmiech szczerego zadowolenia na ustach. Nad nim z miną triumfalną stoi w sztuczkowych spodniach i ze swastyką w klapie von Ribbentrop. A obok, przylgnięty do niego, nieomal ramieniem do ramienia, stoi Stalin. Jego wyraz twarzy jest najbardziej wymowny: mieszanina ogromnej radości z ironią, ogromnego zadowolenia ze złośliwością. Widać, że osiągnął swój cel: daje Hitlerowi tak wielką przynętę, by nie już nie mogło odwieść obłądnego wodza rasizmu od wydania rozkazów armii, flocie i lotnictwu niemieckiemu.

Z atmosferą euforii na twarzach współników jednej z największych zbrodni historycznych kontrastuje tylko twarz Woroszyłowa. Jeszcze bez pagonów i nie obwieszony półtorą kopy orderów, a więc niepodobny do tradycyjnych dzisiaj postaci marszałków Związku Sowieckiego, lecz w prostej kurcie dowódcy Armii Czerwonej, Woroszyłow spogląda kątem oka na Stalina z wyrazem gniewnej zadumy na twarzy. To właśnie zdjęcie wyświetlone na ekranach dzienników filmowych zrobiło tak wielkie wrażenie na Wiktorze Krawczenko, wówczas dygnitarzu sowieckim, który w roku 1946 miał napisać w Kanadzie książkę pod tytułem „Wybrałem wolność”:

„Uważałem Kreml za zdolny do każdej potworności... Niemniej nie chciałem w pierwszej chwili uwierzyć w wiadomość o zawarciu paktu, który pozwolił Hitlerowi rozpocząć wojnę przeciwko Polsce i reszcie Europy... Dopiero gdy zobaczyliśmy fotografie i aktualności filmowe, zaczęliśmy wierzyć w coś, co wydawało się nie do wiary. Swastyka i młot i sierp powiewają koło siebie w Moskwie. I Mołotow tłumaczy, że faszyzm jest w gruncie rzeczy tylko 'kwestią smaku'. A niebawem Stalin pozdrawiający swego kolegę-dyktatora gorącymi słowami o 'przyjaźni przypieczętowanej krwią'”.

Krawczenko ma na myśli depesze gratulacyjne i przemówienia przywódców sowieckich już w czasie i po zakończeniu kampanii wrześniowej. Przyjrzyjmy się z kolei scenom na nocnym bankiecie na Kremlu. Przebieg bankietu znamy z urzędowego opisu przedłożonego Hitlerowi, a sporządzonego przez towarzyszących Ribbentropowi urzędników niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych. Omawiano następujące sprawy: stosunki sowiecko-japońskie i usługi, jakie Niemcy mogą tu oddać Moskwie, siłę względnie słabość Francji i Wielkiej Brytanii, przy czym dużo śmiechu towarzyszyło przypomnieniu naiwnych wysiłków Anglii, by zapobiec porozumieniu sowiecko-niemieckiemu i by zapobiec

wojnie przez włączenie Związku Sowieckiego do frontu obrony pokoju. Jeszcze więcej wesołości towarzyszyło wspólnym komentarzom na temat Paktu Antykominternowskiego.

Stalin i oczywiście Komintern pakt ten zwalczali. Lecz oto na bankiecie w przeddzień wojny Ribbentrop oznajmia Stalinowi, że przecież Pakt Antykominternowski nie był nigdy skierowany przeciwko Związkowi Sowieckiemu, lecz pomyślany był jako środek polityczny utrudniający akcję polityczną Anglii, zwłaszcza w montowaniu frontu obrony pokoju.

Naturalnie — przyznał chętnie Stalin — on nigdy nie traktował Paktu Antykominternowskiego inaczej niż jako straszaka dla angielskich kupczyków i londyńskiej City. Ten temat wyczerpano wesołym dowcipem, rzekomo powtarzanym w Berlinie, a Berlińczycy są znani ze swego poczucia humoru, że jak będzie trzeba, to i sam Stalin przystąpi do Paktu Antykominternowskiego.

Załatwiwszy w ten sposób różnice ideologiczne między komunizmem, demokracją i faszyzmem, Stalin przystąpił do szczegółowego uzasadnienia absolutnej zgodności interesów państwowych Związku Sowieckiego i Rzeszy hitlerowskiej oraz zgodności celów narodowych Rosjan i Niemców. Stwierdził, że wszystko co dotychczas psuło dobre stosunki między dwoma narodami było zwykłą intrygą angielską. Lecz sytuacja się nie może powtórzyć, bo naród niemiecki jako miłujący pokój na pewno powita z radością podpisanie traktatów ze Związkiem Sowieckim.

Ribbentrop poprawił tu Stalina w ten sposób, że umiowanie pokoju przez Hitlera i naród niemiecki nie obejmuje jednak Polski, gdyż Niemcy w żadnym wypadku nie zniosą dalej ciągłych prowokacji polskich.

Stalin nie oponował — co jest zresztą zrozumiałe, skoro opijano właśnie traktat rozbioru Polski i przyszłe triumfy obu armii w wojnie przeciwko Polsce. Zamiast dalszej dyskusji zaproponował więc zebranym wypicie zdrowia *Führer'a*, gdyż on, Stalin, wie dobrze, jaką miłością otacza go naród niemiecki. Nastąpiły dalsze toasty, co pozwoliło Mołotowowi przypomnieć zebranym, że nie kto inny jak Stalin w swojej mowie z 10 marca przygotował grunt pod tak radykalne i doniosłe odwrócenie sytuacji międzynarodowej.

I wreszcie bankiet zakończył się uroczystymi słowami Stalina, skierowanymi do Ribbentropa z prośbą o przekazanie ich Hitlerowi:

„Rząd sowiecki traktuje podpisany traktat z największą powagą. A ja gwarantuję słowem honoru, że Związek Sowiecki nigdy swego partnera nie zdradzi”.

Było to jedyne w karierze Stalina słowo honoru, którego wiernie dotrzymał.

OSTATNIE DNI POKOJU

I

Termin rozpoczęcia wojny wyznaczony był przez Hitlera na dzień 26 sierpnia 1939 roku. Wojna rozpoczęła się jednak 1 września o świcie i tę datę oczywiście każdy zna doskonale. Znana też jest data 3 września, od której liczy się początek wojny w historiografii angielskiej, gdyż w tym dniu właśnie wypowiedziały Niemcom wojnę Wielka Brytania i Francja.

Datą historycznie ścisłą jest oczywiście 1 września. Natomiast data 3 września jest także ważna, gdyż od tego dnia wojna z lokalnej rozprawy między Niemcami i Polską przeistoczyła się w wojnę europejską, a w dalszym rozwoju wydarzeń światową. 3 września też Hitler po raz pierwszy poniósł ciężką porażkę polityczną.

Mówić o porażce Hitlera, chociażby tylko politycznej, w dniu 3 września, gdy Niemcy stały u szczytu potęgi i pewności siebie, gdy Luftwaffe dwoma tysiącami samolotów bombardowała cały prawie teren Polski, gdy niemieckie wojska pancerne rozrywały obronę polską na Pomorzu i w rejonie Częstochowy, zakrawa na paradoks lub nawet na niewczesny żart. Tak jednak było w istocie. I od tej chwili, choć ciągle w tym kierunku będzie podejmował próby, Hitler nie osiągnął już niczego w drodze zastraszenia i szantażu. Czekają go triumfy wojskowe i wielu potrzeba będzie lat, nim jego potęga się zachwieje na polach bitew, by wreszcie runąć niesławnie w ruinach Berlina, lecz nie czekały go już zwycięstwa polityczne. Nadany został nieodwracalny kierunek dziejom przyszłych kilku lat wojny. A było to skutkiem

jednego tylko faktu: mianowicie, że Polska, chociaż pozostawiona własnym tylko siłom i to siłom słabym w sensie wojskowym, nie znalazła się ani w politycznej, ani w moralnej izolacji, jak to sobie planował Hitler i sprzymierzony z nim Stalin.

26 sierpnia był terminem z dawna upatrzonym zarówno przez Hitlera, jak i przez jego sztab wojskowy, jako najdogodniejszy dla zaczęcia działań wojennych przeciwko Polsce. By w tym dniu móc wojnę rozpocząć, Ribbentropowi nakazano przyspieszyć definitywne zawarcie sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Pierwotnie Stalin zapraszał go do Moskwy dla podpisania układów na 28 lub 29 sierpnia. Zgodził się jednak skwapliwie na termin 23 sierpnia. W przekonaniu Hitlera szok spowodowany podpisaniem umów z Rosją sparalizować miał całkowicie politykę brytyjską, a więc i francuską, i to tak dalece, że nie zdobędą się na nic innego jak na bezczynne przyglądanie się klęsce Polski. Bezczylnie w sensie politycznym, co rzecz jasna będzie jednoznaczne z brakiem jakiegokolwiek zagrożenia Niemiec w sensie wojskowym. Bo Hitler popełniał w tym czasie ogromny błąd, bojąc się bardziej siły wojskowej Francji niż determinacji politycznej Wielkiej Brytanii. Wiedział jednak, że mobilizacja armii francuskiej trwać musi dwa tygodnie. Nie mylił się też sądząc, że Francja nie przeprowadzi mobilizacji przewencyjnej, lecz że zarządzi ją tylko w razie powzięcia politycznej decyzji prowadzenia wojny. Liczył też, że po wiadomości o podpisaniu paktu ze Stalinem życie polityczne Francji a przede wszystkim Wielkiej Brytanii ulegnie całkowitemu paraliżowi na okres co najmniej kilku dni lub tygodni, w ciągu których Polska zostanie już pokonana wojskowo i okupowana na całym terytorium przez Niemcy i Związek Sowiecki. Przestanie więc istnieć i każdy nowy rząd w Londynie i w Paryżu gotów będzie do kompromisu z Berlinem, gdyż myśl ratowania pokoju przestanie już obowiązywać w stosunku do Polski i ograniczy się do ratowania własnego spokoju, spokoju Francji i Anglii.

Pierwsze pytanie, jakie wprowadzony w doskonały humor raportem Ribbentropa z jego pobytu w Moskwie Hitler zadał swemu szefowi prasowemu Dietrichowi, 25 sierpnia — było tak sformułowane, że Dietrich po prostu go nie zrozumiał. Hitler zapytał go mianowicie, jakie ma wiadomości o kryzysach rządowych w Londynie i Paryżu. Zaskoczonemu Dietrichowi Hitler wyjaśnił: „Chodzi mi o dymisję rządów Chamberlaina i Daladiera. Jest przecież jasne, że w systemie parlamentarnym nie mogą się utrzymać po takiej kompromitacji jak niepowodzenie ich rokowań z Sowietami”.

Lecz zamiast wiadomości o kryzysie politycznym w Londynie wręczono Hitlerowi tekst przemówienia premiera brytyjskiego w Izbie Gmin. Chamberlain mówił:

„W Berlinie wiadomość o podpisaniu paktu ze Związkiem Sowieckim przez ministra spraw zagranicznych Rzeszy powitana została z nadzwyczajnym cynizmem jako wielkie zwycięstwo dyplomatyczne, które całkowicie usunęło niebezpieczeństwo wojny, albowiem i my, i Francja nie jesteśmy jakoby w stanie wypełnić naszych zobowiązań wobec Polski. Uważaliśmy za nasz pierwszy obowiązek rozwiązać wszelkie takie złudzenia”.

W dalszym ciągu przemówienia Chamberlain stwierdził, że zgodnie ze specjalnym komunikatem prasowym wydanym przed kilku godzinami pakt niemiecko-sowiecki nie wpłynął w niczym na zobowiązania brytyjskie w stosunku do Polski. Podobne oświadczenie w nieco łagodniejszej formie, choć okraszone zwrotem o „honorze Francji”, nadeszło z Paryża.

Hitler jeszcze nie daje za wygraną. O godzinie trzynastej trzydzieści przyjmuje wezwanego przez siebie ambasadora brytyjskiego Hendersona. Składa na jego ręce zapewnienie, że granice Francji i Niemiec są nienaruszalne, że gotów jest zgodzić się na redukcję zbrojeń. Ba, w równie aroganckim co naiwnym tonie proponuje Wielkiej Brytanii sojusz w obronie jej imperium oraz jak najdalej idącą współpracę gospodarczą.

Hitler ciągle nie wierzy w gotowość dotrzymania przez Anglię zobowiązań wobec Polski. Po Hendersonie Hitler rozmawia z ambasadorem Włoch Attolico. Pyta o odpowiedź Mussoliniego na list, w którym tłumaczył mu znaczenie sojuszu ze Stalinem i wykladał plan wojny przeciwko Polsce. Pyta też o stan gotowości Włoch do wojny w mało prawdopodobnym jego zdaniem wypadku wystąpienia Francji w obronie Polski. Odpowiedź Mussoliniego, która zresztą w ostatecznej formie nadeszła dopiero nazajutrz, wprawia Hitlera w prawdziwy szal. Włochy do wojny nie są gotowe i przyłączyć się do niej nie będą mogły. Niemcy też nie powinny zaczynać wojny, bo Mussolini jest przekonany, że Anglia i Francja swych zobowiązań wobec Polski dotrzymają.

Było tak istotnie. Z tym wszakże, że nie rezygnowano na Zachodzie z ocalenia pokoju pomimo zawarcia paktu niemiecko-sowieckiego. Z wielu analiz politycznych tego okresu najlapi-darniej brzmi ocena ówczesnego brytyjskiego podsekretarza stanu Cadogana. Pisał on, że zamiarem brytyjskim było doprowadzenie do logicznych konsekwencji umów już zawartych z Polską.

Cel był dwójaki. Albo Hitler da się w ten sposób od napaści na Polskę odstraszyć, przynajmniej w roku 1939, a wówczas za rok czy za 9 miesięcy stosunek sił brytyjskich, a zapewne i polskich, do sił niemieckich ulegnie poprawie. Albo Hitler od napaści odwieść się nie da. Lecz w tym wypadku Anglia już się znajdzie w stanie wojny z Niemcami i wojny tej nie przerwie. Cadogan pisał otwarcie, że w tym rozumowaniu była chęć wtrącenia w położenie bez wyjścia nie tylko Hitlera, lecz także kół pacyfistycznych we Francji i w Anglii z Chamberlainem na czele. Pisał też, że z tych właśnie powodów Anglia jak najchętniej zamieniła swe gwarancje kwietniowe dla Polski w jawny pakt przymierza, pozostawiający Polsce swobodę określenia, co uważa za agresję, a tym samym decyzję rozpoczęcia wojny obronnej. Dodawał przy tym szczerze, że w dalszym ciągu dziejów Polska mogła mieć pretensje do Anglii, za to chociażby, że idąc na tak dalekie i śmiałe plany polityczne nie miała żadnych możliwości konkretnego przyjscia jej z pomocą zbrojną w roku 1939. Zdaniem Cadogana Polacy zapewne o tym wiedzieli lub zdawali sobie z tego sprawę, co tylko podnosi ich zasługę i ich wartości moralne.

Jak dalece Polacy byli świadomi słabości militarnej Anglii przy jej całej determinacji politycznej, pozostanie na zawsze chyba tajemnicą. Nie jest to zresztą ważne, gdyż w ostatnich dniach pokoju także Warszawa nie przekreśliła jeszcze możliwości uratowania pokoju w drodze zastraszenia Hitlera, pomimo paktu zawartego w Moskwie. Takie było podłoże sojuszu polsko-brytyjskiego podpisanego 25 sierpnia w Londynie przez polskiego ambasadora Edwarda Raczyńskiego. Należy sądzić, że Polska sojusz ten podpisałaby nawet gdyby wiedziała, że pod paktem Ribbentrop - Mołotow kryje się nie tylko neutralność Rosji, na którą polityka polska liczyła i miała prawo liczyć, lecz również przymierze skierowane przeciwko Polsce i jednoznaczne z traktatem rozbiorowym. Podpisałaby go zapewne także w tym wypadku, gdyby wiedziała, jak iluzoryczna jest siła wojskowa Francji i jak mało jest po stronie francuskiej woli dopełnienia zobowiązań sojuszniczych.

O podpisaniu sojuszu polsko-brytyjskiego dowiedział się Hitler tegoż dnia, 25 sierpnia, już po ostatecznym terminie odwołania rozkazów do natarcia na Polskę. Rozkaz ten jednak Hitler odwołał, co spowodowało niesłychane zamieszanie, gdyż oddziały Wehrmachtu były już w marszu na pozycje wyjściowe. Generałowi Keitlowi powiedział Hitler, że potrzebuje czasu na

rokowania. Generał Halder zapisał w swym notatniku, że „termin odłożony do 30 sierpnia. Jeśli rokowania będą potrzebowały więcej czasu, czekamy do 2 września. Po tej dacie w tym roku nie uderzymy”.

Rokowania... O jakie rokowania chodziło i mogło chodzić? Admirał Canaris, szef kontrwywiadu niemieckiego, ocenił sytuację zbyt optymistycznie. Był pewien, że podpisanie sojuszu brytyjsko-polskiego już spełniło swe zadanie odstraszenia Hitlera od wojny. Oto jego słowa: „Po tym ciosie Hitler już się nie podniesie. Pokój jest uratowany na lat dwadzieścia”.

Podobne wrażenie zapanowało na Kremlu. Z tym tylko, że w przeciwieństwie do Canarisa towarzyszyło mu nie uczucie radości, lecz uczucie niepokoju, że oto wielki plan zachęcenia Hitlera do wojny może się nie udać. Należało więc podtrzymać zamiar Hitlera uderzenia na Polskę. Celowi temu posłużyła inspirowana zapewne wiadomość prasy szwajcarskiej. 25 sierpnia *Neue Zürcher Zeitung* podała wiadomość o rzekomym wycofaniu wojsk sowieckich z pogranicza z Polską, co gazeta komentowała w ten sposób, że pomimo układu zawartego w Moskwie Związek Sowiecki na pewno nie zamierza podejmować żadnych nieprzyjaznych kroków przeciwko Polsce. Wiadomość ta obiegła Warszawę, także inne stolicy. Dawano jej wiarę, usztywniając tym samym stanowisko Anglii. Gdyż można było przypuszczać, że wzmacnia to siłę odstraszenia Hitlera.

Na chwyt ten zareagował Hitler bardzo nerwowo, żądając wszystkimi sposobami, by Związek Sowiecki wiadomości tej zaprzeczył i to w formie oficjalnej. Nastąpiło to rzeczywiście w postaci komunikatu agencji TASS, według którego sowieckie „koła miarodajne” stwierdzały, że „w związku z narastającą powagą sytuacji w Europie wschodniej i możliwością niespodzianek dowództwo sowieckie postanowiło nie zmniejszyć, lecz zwiększyć siły wojskowe na zachodniej granicy ZSSR”. Komunikat ten ukazał się po południu 30 sierpnia, choć jego treść przekazano zapewne do Berlina nieco wcześniej. Innymi już kanałami dano znać do Berlina, że rozpoczęła się koncentracja i mobilizacja wojsk sowieckich w okręgach wojskowych Kijowa i Mińska.

Wiadomości te przeważały szalę wahań na rzecz wojny w umyśle Hitlera w ciągu kilku dni, które przeznaczył na przekonanie Anglii i Francji, że ich polityka wystąpienia przeciwko Niemcom po stronie Polski „nie ma sensu” wobec porozumienia zawartego przez Hitlera ze Związkiem Sowieckim. A Ribbentrop

brutalnym wystąpieniem wobec ambasadora Hendersona przekreślił wszelkie możliwości dalszej mediacji brytyjskiej między Polską i Niemcami.

II

Na mediację zdecydował się być Hitler 25 sierpnia. Powodem bezpośrednim było podpisanie tego samego dnia sojuszu polsko-brytyjskiego. Powiedział przy tym wyraźnie: „Potrzebuję czasu na rokowania”, co brzmiało dość dziwnie w zestawieniu z jego wypowiedzią 22 sierpnia przed generalicją niemiecką, którą tak cytuje jego tłumacz Schmidt: „Mam Polskę, gdzie ją chciałem mieć. Jest izolowana. Byle tylko jakaś świnia nie przeszkodziła mi teraz inicjatywą mediacji”. Hitler użył przy tym słowa *Schweinehund*.

Mediatorem nie był sprzymierzeniec Hitlera Mussolini, choć do tego się palił, stosując nawet nacisk w postaci nagłego stwierdzenia, że Włochy nie są do wojny gotowe i że w tej fazie u boku Niemiec stanąć nie mogą. Hitler na mediację włoską godzić się nie myślał. Zgodził się jednak na mediację brytyjską. Próba trwała bardzo krótko, bo zaledwie 4 dni.

28 sierpnia rząd brytyjski odpowiedział odmownie na propozycję Hitlera, wysłane natychmiast po wiadomości o podpisaniu paktu brytyjsko-polskiego. Hitler proponował, by pomimo tego paktu Anglia zgłosiła *désintéressement* sprawą Polski i zawarła z Niemcami swego rodzaju pakt nieagresji dotyczący Europy zachodniej, wzmocniony fantastycznym zgoła porozumieniem na temat przyszłego podziału świata na angielską i niemiecką strefę wpływów z tym, że Niemcy braliby na siebie obowiązek obrony nienaruszalności Imperium Brytyjskiego. Odmowie brytyjskiej, sformułowanej w kilku zdaniach, towarzyszyła propozycja pośredniczenia w bezpośrednich rozmowach polsko-niemieckich na wszystkie tematy sporne. Nota brytyjska stwierdzała przy tym, że jest to sposób jedyny, gdyż w razie odrzucenia tej propozycji i szukania rozwiązań w drodze użycia siły zbrojnej Anglia znajdzie się w stanie wojny z Niemcami na mocy swego paktu z Polską.

29 sierpnia Hitler zgodził się na propozycję mediacji brytyjskiej, zresztą w formie bardzo gwałtownej i przy użyciu niesły-

chanie napastliwego tonu na temat polskiej agresywności. Oświadczał jednak, że przygotuje konkretne propozycje dla strony polskiej. Żądał tylko, by Brytyjczycy sprowadzili do Berlina przedstawiciela Polski uprawnionego do rokowań w ciągu 24 godzin, to jest do środy 30 sierpnia.

Był to rzecz jasna termin niewykonalny, na co Henderson zwrócił uwagę, dając przy tym do zrozumienia, że uważa jego wyznaczenie za mało istotny sposób dodatkowego nacisku. Tegoż zdania byli i Niemcy w ministerstwie spraw zagranicznych, a zapewne i sam Hitler. Nie zaprzeczono też ze strony niemieckiej spokojnemu stwierdzeniu Hendersona, że swą rolę medacyjną rozpocząć musi od złożenia odpowiedniej propozycji rządowi polskiemu. Propozycję mediacji przekazał Henderson do Warszawy za pośrednictwem ambasadora polskiego w Berlinie pod wieczór 30 sierpnia.

Na propozycję tę odpowiedziano z Warszawy poleceniem, by ambasador Lipski przekazał Ribbentropowi zgodę Polski na wszczęcie bezpośrednich rokowań przy pośrednictwie brytyjskim, lecz na podstawie takich warunków wstępnych, jakie zostaną uzgodnione ze stroną brytyjską. Zgodnie z tym zleceniem Lipski poprosił o spotkanie z Ribbentropem, które wyznaczono na godzinę trzynastą 31 sierpnia.

Tymczasem jednak przed północą 30 sierpnia odbyła się sławna rozmowa Ribbentropa z Hendersonem, którą tłumacz Schmidt nazwał w swych wspomnieniach najbardziej burzliwym spotkaniem dwóch dyplomatów, jakie kiedykolwiek widział lub kiedykolwiek miał zobaczyć. Ribbentrop w tonie niebawale arogantckim stwierdził nagle, że upłynął już termin — jak się wyraził — „dostarczenia przez Anglików Polaka upoważnionego do rokowań i do podpisania dokumentów”. Henderson zareagował nadzwyczaj ostro, wyprosił sobie tego rodzaju stawianie sprawy i podkreślił całkowitą nierealność terminów niemieckich, nie omieszkawszy przy tym wypowiedzieć swego poglądu na temat zachowania się Ribbentropa.

Wziął też górę nad swym adwersarzem w tej rozgrywce charakterów, gdyż na kolejne pytanie Hendersona, jakie są propozycje niemieckie, które mają stanowić podstawę rokowań z Polską, Ribbentrop propozycje te odczytał. Ułożono je poprzedniego dnia pod dyktando Hitlera. Domagały się wcielenia Gdańska do Rzeszy z pozostawieniem Gdyni Polsce oraz plebiscytu na Pomorzu polskim pod nadzorem mieszanej komisji brytyjsko-francusko-włosko-sowieckiej. Ta strona, która plebiscyt przegra,

będzie miała zapewnioną komunikację przez terytorium Pomorza, między Gdynią a Polską w razie korzystnego dla Niemiec wyniku plebiscytu lub między Niemcami i Prusami Wschodnimi w razie wyniku korzystnego dla Polski.

Henderson uznał, że jest to możliwa do przyjęcia podstawa rokowań. I zażądał wręczenia mu propozycji niemieckich na piśmie w celu przekazania ich stronie polskiej. Tu jednak nastąpiła niespodzianka bez precedensu w historii dyplomacji i nie tylko dyplomacji. Ribbentrop odmówił wręczenia propozycji przez siebie odczytanych, stwierdzając, że są już nieaktualne, gdyż przedstawiciel Polski nie stawiał się w terminie.

Po cóż więc Ribbentrop propozycje te odczytywał i po co Hitler kazał je ułożyć? Przytoczmy słowa świadka spotkania, człowieka, którego na pewno nie można posądzać o sympatie propolskie czy nawet proangielskie. Oto co pisze Paul Schmidt, nawiązując do odmowy wręczenia Hendersonowi niemieckich propozycji:

„Z kolei — po Hendersonie — mnie ogarnęło podniecenie. Nagle zrozumiałem, na czym polega gra Ribbentropa i Hitlera. W tej właśnie chwili stało się dla mnie jasne, że zachęcająco brzmiące propozycje Hitlera zostały spisane wyłącznie na pokaz i nie było nigdy zamiaru by doprowadzić do ich akceptacji. Odmowa wręczenia Hendersonowi warunków na piśmie podyktowana była obawą, że skoro rząd brytyjski przekaże je Polakom, mogą oni po prostu się na nie zgodzić. Jako tłumacz nie mogłem nic powiedzieć i nigdy bardziej tego nie żałowałem. Nie pozostawało mi nic innego jak siedzieć w poczuciu zupełnej bezsily i zgrzytać zębami, gdy oto przed moimi oczami perfidnie sabotowano ostatnią szansę zachowania pokoju. A więc taki był wynik dyskusji we dwóch między Hitlerem i Ribbentropem, jaką odbyli przed przybyciem Hendersona”.

Wiemy, że po napaści na Polskę Hitler posłużył się swymi „wspaniałomyślnymi propozycjami” — jak je określił — w celu propagandowym, by przekonywać świat, zresztą bezskutecznie, że Polska je odrzuciła. Nie jest to zapewne największe z jego kłamstw, nawet z tego okresu, chociażby w porównaniu z inscenizacją rzekomego napadu na radiostację w Gliwicach lub z pierwszymi słowami jego przemówienia w pierwszym dniu wojny, gdy wołał: „Postanowiłem gwałt gwałtem odeprzeć”.

Przypomnijmy, że Henderson zawiadamiał rząd Polski przez Lipskiego o możliwości rokowań przy mediacji brytyjskiej na kil-

ka godzin przed spotkaniem z Ribbentropem, gdy o propozycjach niemieckich nic nie wiedział. Lipski przybywszy 6 września do neutralnej Kopenhagi pisał w depeszach do ambasadorów polskich w Paryżu i w Londynie:

„Muszę podkreślić, że warunki niemieckie ujęte w szesnastcie punktów nie zostały nigdy przedłożone ani mnie, ani rządowi polskiemu. Stwierdzam też, że 31 sierpnia oświadczyłem panu Ribbentropowi, że rząd polski zajął pozytywne stanowisko wobec propozycji rządu brytyjskiego w sprawie bezpośrednich rozmów polsko-niemieckich”.

Jak zaznaczyliśmy przed chwilą, Lipski miał wyznaczone spotkanie w niemieckim ministerstwie spraw zagranicznych na godzinę trzynastą 31 sierpnia. Rozmowa Ribbentropa z Hendersonem zakończyła się poprzedniej nocy po godzinie dwunastej. Lipskiego przyjął naprzód podsekretarz stanu Weizsäcker, który go zapytał, czy przybywa jako nadzwyczajny pełnomocnik rządu polskiego. Lipski stwierdził, że reprezentuje rząd polski jako ambasador i że żąda spotkania z ministrem spraw zagranicznych. Kazano mu czekać. Ribbentrop przyjął go po godzinie osiemnastej, w otoczeniu straży SS i tłumu urzędników. Zapytany ponownie, czy ma specjalne pełnomocnictwa, Lipski odpowiedział, że jego wizyta pozostaje w związku z brytyjską propozycją mediacji i że jej celem jest uzyskanie wiadomości, na jakich warunkach rząd niemiecki chce rokowania prowadzić. Ribbentrop nie wspominał ani o warunkach, ani o fakcie, że odczytał je Hendersonowi, choć mu ich nie doręczył, lecz obiecał, że o żądaniu Lipskiego zawiadomi Hitlera.

O świcie 1 września — bez żadnych kroków dyplomatycznych i bez wypowiedzenia wojny — Niemcy uderzyły na Polskę.

Schmidt wspomina o dyskusji między Ribbentropem i Hitlerem przed wizytą Hendersona. I wnioskuje słusznie, że właśnie wtedy Hitler postanowił nie dopuścić do rokowań w oparciu o mediację brytyjską. „Wspaniałomyślne” propozycje Hitlera miały służyć już tylko celom propagandowym. Lecz gdy je układano, to jest 29 sierpnia, było jeszcze inaczej. Hitler był jeszcze w stanie rozterki, czy zaczynać wojnę czy nie. Liczył się z możliwością odwołania decyzji wojny w roku 1939, z możliwością jej odłożenia. Na tę okoliczność potrzebował jakiegoś alibi przed własnym społeczeństwem wprowadzonym w stan wojenno-go podniecenia przez propagandę. Alibi takie stwarzałyby rokowania polsko-niemieckie przy mediacji brytyjskiej. Bez względu

na ich wynik stanowiłyby one uzasadnienie odwołania decyzji wojny przeciwko Polsce. Lecz 30 sierpnia Hitler uznał to alibi za niepotrzebne i zdecydował się na wykonanie pierwotnego planu, to jest na wojnę przeciwko Polsce. Dlaczego?

Dwie były przyczyny. Po pierwsze Hitler uwierzył znowu zapewnieniom Ribbentropa, że pomimo mocnych sformułowań paktu polsko-brytyjskiego jest to tylko straszak bez znaczenia. Dwa pierwsze dni wojny mogły go podtrzymać w tym przekonaniu. Anglia i Francja jeszcze próbowały negocjować. Dopiero 3 września Hitler zwrócił się do swego niefortunnego doradcy Ribbentropa z okrzykiem: „No i co teraz?”. Bo oto Anglia wojnę wypowiedziała. A przyczyna druga? 30 sierpnia skończyły się obawy Hitlera, czy Rosja pomimo wszystko, pomimo zawartego traktatu przymierza przeciwko Polsce, nie wycofa się z przyjętych zobowiązań lub po prostu ich nie wykona. Przyjmując Hendersona Ribbentrop wiedział już, że — jak mówił komunikat TASS — Rosja gromadzi siły na granicy polskiej. Hitler przekonał się, że Moskwa gotowa jest dotrzymać przymierza przeciwko Polsce i że nie uczyni niczego, co by mogło wzmocnić nacisk angielski na mediację z Polską.

Stalin zrobił w tych kilku dniach między 25 sierpnia i 1 września wszystko, aby podtrzymać Hitlera w jego planach wojennych i rozwiązać ostatnie jego wahania.

CZY BYŁA ALTERNATYWA?

Pytanie, czy w roku 1939 Polska miała jakąś inną od obranej alternatywę polityczną, pojawiło się w umysłach, rozmowach i publicystyce natychmiast po klęsce wrześniowej. Rzecz zrozumiała, że formułowano je w sposób nieraz bardzo gwałtowny, ulegając uczuciom przesłaniającym, a często zastępującym po prostu znajomość faktów. Gorycz z doznanej klęski i niepewność, jakie będą dalsze koleje wojny powodowały skłonność do sądów krańcowych, zwłaszcza, że trudno było oddzielić istotę zagadnienia od zjawisk marginesowych lub pozostających jedynie w luźnym związku ze skomplikowaną mozaiką spraw mających swe źródło i znajdujących swe rozwiązanie daleko poza zakresem moż-

liwości i wpływów polskich. A taką mozaiką jest zawsze i był przed drugą wojną światową całokształt polityki europejskiej. Animosje osobiste i poglądy dopełniały chaosu, z tym skutkiem, że albo potępiano wszystko w czambuł, albo też, broniąc na przykład polityki Becka na forum międzynarodowym, uważano przy tym za konieczne bronić działalności rządów przedwojennych na polu polityki wewnętrznej.

Nie bez wpływu na ferowanie sądów były nowe powiązania stworzone przez rzeczywistość wojenną i nadzieje na przyszłość. I tak w warunkach odbudowy państwowości i wojska polskiego poza krajem w oparciu o Francję szczególną łatwość argumentacji znajdowali ci wszyscy, którzy tradycyjnie uważali się lub których tradycyjnie uważano za stronników jak największego powiązania polityki polskiej z polityką francuską. Było ich zawsze w Polsce sporo, a w większości swej zaliczali się do obozu opozycji przeciwko systemowi rządów nazywanemu „sanacyjnym”. Dla wielu z nich usamodzielnienie się polityki polskiej od zależności francuskiej dokonane na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych było zjawiskiem niepokojącym i niepożądanym, a lawirowanie między dwoma sąsiadami, niemieckim i rosyjskim, traktowane było z daleko idącą podejrzliwością. Rozgrzeszano przy tym łatwo tak dla Polski niepomysłne zjawiska jak postępującą bierność i „immobilizm” polityki francuskiej, a nawet zjawiska po prostu dla Polski groźne, jak przystąpienie do ugodowych traktatów z Niemcami w Locarno lub świadome podważanie wartości przymierza polsko-francuskiego.

Po klęsce wrześniowej wobec toczącej się dalej wojny — przymykano oczy na jej charakter *drôle de guerre* — „wojny na niby” — i wiązano z Francją ogromne nadzieje, co oczywiście rzutowało wstecz na rzekomą „antyfrancuskość” czy — jeszcze gorzej — na rzekomą „proniemieckość” rządów przedwojennych. Wśród ludzi tak rozumujących był wszakże i nowy Wódz Naczelny i premier w jednej osobie, generał Sikorski. Zmienił swe zdanie po klęsce Francji, zmienił je radykalnie, przerzucając, zgodnie z wymogami bieżącej polityki, swe nadzieje i obliczenia na Anglię, a w dalszym rozwoju na Stany Zjednoczone.

Było to także zjawisko wytłumaczalne, lecz nie wносиło wiele do dyskusji historycznej nad pytaniem, czy i jakie alternatywy miała Polska przed rokiem 1939. Tu zdania w dalszym ciągu były podzielone, choć dyskusja traciła na ostrości, zwłaszcza, że lepiej już rozumiano rolę Anglii jako właśnie w 1939 roku głównego czynnika w polityce przeciwstawiania się agresji nie-

mieckiej, a po upadku Francji przez ponad rok jedynej tej polityki wykonawcy. Zrozumienie roli Anglii stawiało w lepszym świetle umiejętności dyplomatyczne Józefa Becka i jego politykę, gdyż on właśnie Polskę z Anglią związał i przy jej pomocy zapobiegł izolacji politycznej Polski w konfrontacji z Hitlerem, choć nie zapobiegł jej izolacji wojskowej.

Dyskusja nad alternatywą polityczną przed wybuchem wojny schodziła przy tym coraz bardziej na wody ocen błędów popełnionych w budowaniu materialnej siły państwa polskiego. Oceny polityki zagranicznej stawały się mniej namiętne i bardziej rzeczowe. Tym bardziej, że pominąwszy zupełnie odosobnione postaci Władysława Studnickiego czy Cata-Mackiewicza żaden Polak nie kwestionował słuszności decyzji wojny z Niemcami w odpowiedzi na agresję niemiecką. Nikt decyzji tej nie kwestionował, skoro jedyną jej alternatywą była utrata niepodległości, a nie tylko utrata części terytorium.

Otwarte natomiast pozostawało pytanie, czy nie można było do wojny tej przystąpić w lepszym układzie sojuszniczym. To znaczy, mając Związek Sowiecki za sobą lub z sobą zamiast mieć go przeciwko sobie.

Odpowiedź obowiązująca dziś urzędowo w historiografii komunistycznej jest znana na pamięć każdemu. Obowiązuje, rzecz jasna, dopiero od roku 1941. Do tej daty Polska była, według słów Mołotowa, po prostu „bękartem Traktatu Wersalskiego” i jako taka została słusznie, sprawiedliwie i nieodwołalnie raz na zawsze wykreślona z mapy Europy. Rosja i Niemcy dokonały w roku 1939 tego, czego nie zdołała dokonać Rosja leninowska w roku 1920. Alternatywa dla Polski? Owszem była — twierdzą komuniści — i to już w roku 1920, gdy powinna się była przyłączyć do Związku Sowieckiego jako siedemnasta wówczas republika, dokonawszy przedtem u siebie rewolucji na wzór rosyjski i przy rosyjskiej pomocy. Dziś argumentacja komunistyczna idzie po innej linii. Z jednej strony utrzymuje, że „tylko przyjaźń” ze Związkiem Sowieckim mogła ją była zabezpieczyć przed Niemcami, a przyjaźni tej nie było, gdyż Polska była krajem obszarniczo-burżuazyjnym. Swą polityką w roku 1939 Polska zmusiła Rosję na spółkę z Anglią do „zawarcia paktu nieagresji” — tak się to nazywa, gdyż do niczego więcej przyznać się Rosja do dziś nie chce — z Niemcami. Rosja zawarła pakt po to, by siebie uratować i w dalszej kolejności Niemcy pobić, wyswobadzając przy okazji Polskę, oczywiście w granicach etnograficznych. Alternatywa ustrojowa dla Polski przed wojną?

Oczywiście stan obecny czyli Polska Ludowa w jej dzisiejszej postaci.

Jest to rozumowanie pozbawione jakichkolwiek podstaw historycznych i logicznych. Przed rokiem 1939 koncepcja „demokracji ludowych” — to jest państw podporządkowanych Związkowi Sowieckiemu, lecz o cechach narodowych i o pozorach niepodległości — nie istniała w niczym umyśle. Powstała dopiero w czasie drugiej wojny światowej i to w ostatniej jej fazie. Przed rokiem 1939 „przyjaźń ze Związkiem Radzieckim” oznaczała, także dla Kremla, tylko jedno: poddanie się zaborowi sowieckiemu. Przed rokiem 1939 nie istniała też na Kremlu koncepcja integralności terytorialnej Polski. Nie tylko wobec ziem położonych po wschodniej stronie Bugu, lecz i wobec Pomorza, Śląska, Gdańska i Poznańskiego. Tak jak w roku 1920, tak też i w roku 1939 ziemie te należały lub należeć powinny — zdaniem Moskwy i komunistów całego świata, z polskimi na czele — do Niemiec, gdyż jeśli o czyjaśkolwiek przyjaźń Związek Sowiecki kiedykolwiek zabiegał, to właśnie o przyjaźń z Niemcami, nawet gdyby to miały być Niemcy hitlerowskie.

O tego więc rodzaju wiązaniu polityki polskiej ze Związkiem Sowieckim, o jej opieraniu na przyjaźni ze Związkiem Sowieckim, o jakim dziś się mówi, pisze i może nawet myśli, przed drugą wojną światową nie myślał nikt. Nie tylko w Warszawie, lecz przede wszystkim na Kremlu. Nikt też z taką propozycją wobec Polski nie wystąpił od strony rosyjskiej, nie tylko dlatego, że nikt by jej w Polsce nie przyjął, lecz dlatego, że nie leżała w ogóle w sferze rozumowania rządu sowieckiego.

Odpowiedź więc, że w roku 1939 Polska byłaby się ocaliła, gdyby była w przyjaźni ze Związkiem Sowieckim, zerwawszy ze swym „klasowo-nacjonalistycznym” ustrojem, nie jest w ogóle podstawą dyskusji nad pytaniem, jaką alternatywę polityczną Polska wtedy miała.

Jest natomiast taką podstawą pytanie, czy mogła Polska w roku 1939 tak poprowadzić politykę, by nakłonić Rosję do zawarcia przymierza z Francją i Anglią, a tym samym z Polską, zamiast przymierza z Niemcami. Na samym wstępie wyłania się tu sprawa celów przyświecających i Polsce, i Anglii z Francją z jednej, a Rosją z drugiej strony. Rokowania anglo-francusko-sowieckie rozбивały się o niemożność ustalenia wspólnego celu. Na tym tle wypowiedź generała Doumenc nie była wcale śmieszna, jak się to Stalinowi wydawało. Doumenc mówił o *principe* porozumienia, bez którego zawrzeć się go nie da. Dla strony zachodniej i dla Polski owym *principe*, owym celem, było zapo-

bieżenie wojnie, co pociągało za sobą poszanowanie *status quo* istniejącego w Europie, które to *status quo* chciał obalić Hitler. Rosji taki cel absolutnie nie interesował. Chciała nie utrzymywania ładu w Europie, lecz jego zmiany na swoją korzyść. I to miał być warunek sprzeciwienia się zmianie na korzyść Niemiec. W tym świetle ocena błędów, jeśli je tak nazwiemy, popełnionych przez Anglię i przez Polskę nabiera innego zabarwienia. Ich uniknięcie wymagałoby odstąpienia od obrony europejskiego *status quo*, które było barierą przed agresją hitlerowską. A także przed agresją stalinowską.

Były natomiast błędy innego rodzaju, błędy taktyki, o których rzadziej się pamięta. Do nich należała wadliwa ocena własnych możliwości wojskowych, możliwości Polski i możliwości Niemiec. Ze strony Polski była, naiwna zapewne, nadzieja, że względ na własne bezpieczeństwo i własny interes nakazą Związkowi Sowieckiemu zachować neutralność.

Celem Polski w roku 1939 nie była wyprawa krzyżowa przeciwko Niemcom hitlerowskim, lecz uniknięcie wojny. Ale nie za każdą cenę. To słynne powiedzenie ministra Becka, powtórzone zresztą w innej formie przez Anglików, nie było sloganem ani hasłem propagandowym, lecz było istotnym założeniem politycznym. Założeniem historycznie słusznym, gdyż nie mogło być innego. Zwłaszcza wobec doświadczeń monachijskich z roku poprzedniego. Nie można było „okupić” się Hitlerowi, gdyż nie było dostatecznie atrakcyjnego okupu. Nie można się też było okupić Związkowi Sowieckiemu za jego wątpliwą „przyjaźń”, gdyż i tu każdy okup byłby niewystarczający. To stanowisko Polski łączyć się musiało w praktyce z bezwzględnym przestrzeganiem nienaruszalności *status quo*, zarówno terytorialnego, jak i ustrojowego. Jest to zawsze niewygodne w dyplomacji, gdyż pociąga za sobą pewien immobilizm, usztywnienie polityczne, w którym inicjatywa manewru przechodzi w ręce przeciwnika. Ten immobilizm zastosowała Polska w obliczu pertraktacji Anglii i Francji z Rosją.

Rzecz charakterystyczna, że konieczność tę oceniała pozytywnie Anglia, a jak najgorzej Francja. Co gorzej — postawa ta odpowiadała najbardziej rządowi sowieckiemu, gdyż dawała mu duże możliwości propagandowe na przyszłość, pozwalając jednocześnie utrzymywać rokowania z Francją i Anglią na płaszczyźnie teoretycznej. Dzięki temu spełniały wyznaczone im zadanie: mianowicie straszaka mającego nakłonić Hitlera do sojuszu z Rosją.

MIĘDZY NIEMCAMI A ROSJĄ

W sensie państwowo-prawnym wrzesień 1939 roku nie przerywał ciągłości istnienia państwowości polskiej. Klęska wojskowa poniesiona z ręki Niemiec hitlerowskich i Związku Sowieckiego, związanych ze sobą przymierzem skierowanym właśnie i wyłącznie przeciwko Polsce, nie była wydarzeniem, które mogłoby wpłynąć na zmianę położenia Polski w oczach prawa międzynarodowego. Stwarzała jednak rzeczywistość nową w sensie praktycznym.

Wrzesień 1939 roku nie oznaczał więc końca polskiej polityki zagranicznej ani nawet stanu jej czasowego zawieszenia. Oznaczał jednak konieczność stosowania zupełnie nowych metod.

Metody te były w dużej mierze nawrotem do sposobów działania, jakie polityka polska stosować musiała przed rokiem 1918, to znaczy zanim państwo polskie mogło się zacząć organizować na własnym terytorium. Bo tak jak wrzesień 1939 roku nie był datą końcową, tak też listopad roku 1918 nie był datą początkową polskiej polityki zagranicznej czy międzynarodowej. Podobnie jak przed listopadem 1918 roku polityka polska, choć prowadzona przez różne ośrodki o niesprecyzowanym charakterze prawnym, znajdowała źródło siły w dążeniach całego narodu i w formacjach wojskowych polskich, tak też po wrześniu 1939 roku wola walki narodu pod okupacją i istnienie polskich sił zbrojnych, zarówno poza granicami kraju, jak i w podziemiu w okupowanej Polsce, stanowiły oparcie i sprawdzian prawidłowości wysiłków politycznych rządu polskiego działającego za granicą w oparciu o traktaty międzynarodowe zawarte z państwami sprzymierzonymi z Polską przeciwko Niemcom.

Była jednak także ogromna różnica między położeniem sprzed odzyskania niepodległości a latami drugiej wojny światowej. Polegała ona na fakcie, że nikt nie kwestionował ani zasady niepodległości Polski, ani ciągłości państwa polskiego. Nikt z wyjątkiem Niemiec i Związku Sowieckiego. Gdyż dla państw tych rozbiór Polski był jednoznaczny z końcem państwowości polskiej i to „raz na zawsze”, jak zgodnie oświadczali i Hitler, i Stalin, i Mołotow. Nie miało to rzecz jasna żadnego znaczenia w oczach prawa międzynarodowego i w przekonaniu narodu polskiego, lecz miało znaczenie praktyczne właśnie na terytorium państwowym polskim okupowanym przez Niemcy i Rosję. I na tym przede wszystkim polegała różnica położenia poddanych terrorowi obywateli polskich w porównaniu z położeniem

ludności innych państw okupowanych przez Niemcy, takich jak Dania, Belgia, Holandia czy Francja.

Od swej tezy, że „państwo polskie przestało istnieć” odstąpił Związek Sowiecki pod naciskiem sytuacji międzynarodowej i wojennej w roku 1941. Wtedy, gdy Niemcy ze sprzymierzeńca przekształcili się w napastnika i Rosja stalinowska wbrew swej woli znalazła się w obozie państw prowadzących wojnę przeciwko Hitlerowi. Wyrazem zmiany stanowiska Związku Sowieckiego miał stać się układ polsko-sowiecki, zwany także układem Sikorski - Majski. I choć układ ten został przez Moskwę zerwany w kwietniu 1943 roku, jego skutków prawno-państwowych nie udało się obalić. Bo raz zerwawszy z tezą o „nieistnieniu państwa polskiego” i raz uznawszy ciągłość państwową Polski Związek Sowiecki nie mógł już do tezy tej powrócić. Mógł jedynie dążyć do narzucenia państwu polskiemu swej hegemonii, do narzucenia mu ustroju komunistycznego i tym samym do włączenia go w ramy obozu czy bloku kierowanego z Moskwy. Taka w istocie była koncepcja „demokracji ludowych”, rozciągnięta z kolei na inne państwa Europy środkowo-wschodniej. Koncepcja ta w żadnym stopniu nie odpowiadała życzeniom zainteresowanych narodów, lecz przecież była lepsza niż zwykły zabór i wcielenie do Związku Sowieckiego. A takie właśnie rozwiązanie — jako jedyne — przewidywał Związek Sowiecki zarówno w roku 1939, jak i w roku 1920. Takie rozwiązanie zastosował też przemocą w odniesieniu do Ukrainy i Kaukazu w okresie leninowskim, a do państw bałtyckich w roku 1940.

Ciężar gatunkowy państwa polskiego był w czasie drugiej wojny światowej zbyt silnym elementem politycznym, by można go było całkowicie lekceważyć. Likwidacja odrębności państwa polskiego była jeszcze możliwa w roku 1920, nie była już możliwa w roku 1945, a także w roku 1939, gdy ją Stalin próbował przeprowadzić w porozumieniu z Hitlerem.

I tu szukać by należało punktu wyjścia w ocenie polityki polskiej w okresie międzywojennym.

Przechodziła ona, jak wiemy, różne fazy. Określano ją jako zbyt ambitną, jako kapryśną, jako chwiejną i — o dziwo — jednocześnie jako zbyt nieustępliwą, nieelastyczną i upartą. Jak to zwykle bywa w ocenach, punktem wyjścia z reguły były przesłanki uwzględniające tylko i wyłącznie albo poglądy, albo interesy tych, co oceny formułowali. I tak Francja zarzucała Polsce odejście od zależności politycznej, jaką w swoim przekonaniu mogła Polsce narzucić w latach dwudziestych. Opinia pacyfistyczna z jednej, a proniemiecka z drugiej zarzucały Polsce w

całym świecie, a w świecie anglosaskim w szczególności, że przeskadza „normalizacji” w Europie twardą obroną swych praw w Gdańsku i swego terytorium na Pomorzu, zwanego pogardliwie „korytarzem”. Propaganda sowiecka zarzucała jej także „nacjonalizm” w stosunku do Niemiec i „antysowietyzm” w stosunku do Rosji. Publicyści i politycy z różnych krajów domagali się od niej wyrzeczeń przede wszystkim na rzecz Niemiec, lecz także na rzecz innych sąsiadów. Polska miała płacić za korzyści, jakie inne państwa mogłyby wynieść ze współpracy politycznej czy gospodarczej z Rzeszą Niemiecką. Jednocześnie Polska miała służyć jako straszak, raz w stosunku do Niemiec, raz do Rosji, po to by zwiększyć potencjał bezpieczeństwa coraz to kogo innego. Ona jedna miała rezygnować z korzyści Traktatu Wersalskiego, by zwiększyć korzyści państw zachodnich. Ona w przekonaniu Francji miała być zwornikiem „kordonu bezpieczeństwa” od strony Związku Sowieckiego, a jednocześnie traktować swe ziemie wschodnie jako „depozyt” dla Rosji „białej”, gdyby kiedyś powstała.

Katalog życzeń, postulatów czy żądań można by mnożyć niemal w nieskończoność, zwłaszcza, że zmieniały się bardzo często w zależności od różnych fluktuacji stosunków międzynarodowych. Większość z nich powstawała „na bieżąco” jak gdyby, najczęściej bez udziału Polski, a prawie zawsze stwarzając nowe dla Polski niebezpieczeństwo.

Niektóre zarzuty powstały *ex post*, jako oceny historyczne względnie pod taką właśnie nalepką. Do nich należy rzekoma „antyradzieckość” polityki polskiej. Ten zarzut jest stosunkowo łatwy do odparcia. Z dwóch przede wszystkim względów. Po pierwsze — w ciągu dwudziestolecia międzywojennego nie wysunięto go ani razu oficjalnie ze strony sowieckiej, przynajmniej na płaszczyźnie politycznej. Po drugie — jest to zarzut nie mający nic wspólnego z oceną polityki państwowej, gdyż opiera się przede wszystkim na przesłankach ustrojowych. Zarzut tego rodzaju, jeśli go za zarzut można uznać, stosuje się do wszystkich państw niekomunistycznych na świecie i zastanawiać się nad nim poważnie nie sposób, gdyż w sensie politycznym jest tylko grą słów bez żadnego znaczenia.

Natomiast w ocenie politycznej godnej tej nazwy Polska była przez długi czas jedynym państwem, które wyciągnęło logiczne wnioski zarówno z faktu powstania nowej rzeczywistości w Rosji po rewolucji komunistycznej, jak i z faktu podpisania z tą właśnie sowiecką Rosją traktatu pokojowego w Rydze. Pisałem już o tym.

Nie czyniła tego Polska ze ślepej miłości do Rosji. Na pewno nie. Pobudką było podstawowe i fundamentalne założenie polityki polskiej. Założeniem tym było nie dopuścić do powstania wspólnego frontu niemiecko-sowieckiego, skierowanego przeciwko Polsce. Gdyż tu właśnie leżało naprawdę śmiertelne niebezpieczeństwo dla jej bytu państwowego i dla jej bytu narodowego. Było to jedyne kryterium oceny i jedyne nienaruszalny cel polityczny. Nazwać go miano „polityką dwóch wrogów”. Nie z polskiej winy. Nazwa, jak wykazał rok 1939, była słuszną. Lecz w Polsce używano chętniej nazwy „polityka równowagi między dwoma sąsiadami”.

Zdecydowano się na nią nie od razu, bo dopiero wówczas, gdy kolejno po sobie następujące wydarzenia europejskie podważyły wiarę w system wersalski jako w skuteczną gwarancję pokoju w Europie, a tym samym bezpieczeństwa Polski. Podważyło tę wiarę Rapallo, po nim Locarno. Próby stworzenia Paktu Czterech jako dyktatury ponadpaństwowej w Europie, próby Paktu Wschodniego zabezpieczającego interesy Europy z wyłączeniem właśnie interesów państw położonych na wschodzie Europy, choć na zachód od Rosji, zmuszały Polskę do szukania zabezpieczeń bilateralnych, właśnie z obydwojoma sąsiadami.

Za zawarcie paktu nieagresji z Niemcami spaść miały na Polskę gromy — przede wszystkim ze strony tych państw, które ją do zawarcia go przymusiły. Ze strony Francji, a później także ze strony Rosji.

Tymczasem pakt nieagresji z Niemcami mógł mieć wartość tylko do chwili, gdy Niemcy hitlerowskie nie poczują się na siłach, by pogwałcić pokój europejski. Chwila ta nadeszła ostatecznie w roku 1938, a wynikiem była kapitulacja Zachodu kosztem Czechosłowacji w Monachium. Od tej chwili dla Polski pakt nieagresji z Niemcami stał się dokumentem bez znaczenia. Wierzyła wszakże, że nie bez znaczenia pozostanie jej pakt nieagresji ze Związkiem Sowieckim. Miał tu ją spotkać zawód.

Czy mogła tego zawodu uniknąć? Czy mogła w jakiś sposób wpłynąć na Rosję, by zamiast z Niemcami przeciwko niej wystąpiła przeciwko Niemcom? Analiza wydarzeń poprzedzających wybuch wojny daje odpowiedź przeczącą. W roku 1939 nastąpił moment, który Polska starała się odsunąć od lat dwudziestych — moment przymierza niemiecko-rosyjskiego.

Czy oznaczało to przegraną polityki polskiej całego okresu międzywojennego? Niewątpliwie tak. Z dwoma wszakże zastrzeżeniami, historycznie jak najbardziej istotnymi.

Po pierwsze: uniknęła Polska w chwili wybuchu wojny politycznej izolacji, wbrew wysiłkom Stalina i Hitlera. Dzięki temu nie dała się w wyniku wojny zniszczyć jako odrębna państwowość.

Po drugie: nie mogła prowadzić innej polityki niż lawirowanie między dwoma sąsiadami, gdyż związanie się z jednym z nich, obojętnie z którym, równałoby się narodowemu samobójstwu.

Mogła Polska, mogli poszczególni kierownicy jej polityki zagranicznej uniknąć niejednego błędu taktycznego. A także rzeczowego. Stosunki polsko-czeskie dostarczają tu najbardziej bolesnych przykładów. Nie mogła jednak odstąpić od zasady, iż jedynym celem polityki jest interes narodowy. Czyli obrona niepodległości.

K o n i e c

INDEKS NAZWISK

- Adamski, Stanisław I - 74
 Aleksander Jagiellończyk I - 88
 Aleksander jugosłowiański II - 326
 Aleksander Wielki I - 200
 Alter, Wiktor I - 29
 Anders, Władysław I - 71; II - 135
 Astachow, Georgij II - 368, 376, 378
 Attolico, Bernardo II - 407

 Bagiński, Kazimierz II - 64, 164, 181
 Bagiński, Walery II - 90
 Balfour, Arthur I - 204
 Bałachowicz, Stanisław Bułak I - 218
 Baranowski, Władysław II - 142
 Barlicki, Norbert I - 214; II - 64, 96, 164
 Bartel, Kazimierz II - 132, 137, 144, 146, 159-160, 168, 233
 Barthou, Louis I - 222; II - 324, 326, 329-334
 Baudouin de Courtenay, Jan Niccistał II - 71
 Beck, Józef II - 159, 218-220, 223-224, 228, 230-232, 272, 310-311, 313-314, 318, 320, 322-325, 327, 329, 331, 335-336, 345-349, 354-360, 362, 368, 372, 383, 387-389, 391, 415-416, 418
 Benesz, Edward II - 291, 331, 344, 355-356
 Bertoni, Karol II - 101
 Beseler, Hans von I - 19
 Bezruczko I - 178, 185, 219
 Bielecki, Tadeusz II - 182
 Biliński, Leon I - 98
 Blum, Léon II - 352
 Bniński, Adolf II - 139-140
 Bobrowski, Czesław II - 234-235
 Bobrowski, Emil II - 97
 Bobrzyński, Michał II - 31
 Boerner, Ignacy I - 153, 156-158
 Bojko, Jakub I - 48; II - 64
 Bonnet, Georges II - 376
 Botha, Louis I - 85
 Brauchitsch, Walter von II - 363
 Briand, Aristide I - 222; II - 294
 Broszkiewicz II - 97
 Brusilow, Aleksiej I - 182
 Bubnow, Andriej I - 28
 Budienny, Siemion I - 163, 185-187, 189, 197-200, 203
 Buzek, Józef II - 32

 Cadogan, sir Alexander II - 407-408
 Cambon, Jules I - 117, 122, 132, 143
 Canaris, Wilhelm II - 364, 409
 Car, Stanisław II - 154, 159, 175, 212-213, 271
 Chaciński, Józef II - 64, 130
 Chamberlain, Arthur Neville II - 356, 365, 395, 406-408
 Chądzyński, Adam II - 64
 Chrobek, Paweł I - 230
 Churchill, Winston I - 162; II - 221
 Ciano di Cortelazzo, Galeazzo II - 376
 Cieplak, Jan II - 90
 Ciołkosz, Adam II - 164
 Clemenceau, Georges I - 122, 143
 Coulondre, Robert II - 361
 Curzon, George Nathaniel, lord I - 203
 Czapliński, Kazimierz II - 213
 Czapla, Kazimierz I - 131
 Czechowicz, Gabriel II - 156, 161
 Czetwertyński, Seweryn II - 64

Cziczewin, Georgij I - 157, 160-162,
165-166, 189, 203; II - 304, 312
Czikiel, Józef II - 94, 97
Czyszcawa II - 97

Daladier, Edouard II - 359, 382, 406
Darowski, Ludwik II - 74, 78
Daszyński, Ignacy I - 34, 41, 47-48,
61, 165, 173, 193; II - 64, 71,
146-147, 155-156, 160, 163

Dawes, Charles Gates II - 112, 294
Dąbal, Tomasz I - 47, 106

Dąbrowski, Jan Henryk I - 17

Dąbski, Jan I - 47, 168, 201, 214,
218, 220; II - 64, 81

Debeney, Marie-Eugène II - 297, 330

Delbos, Yves II - 352

Demant, Jan II - 171

Denikin, Anton I - 84, 86, 147, 151-
153, 157, 159, 161, 163, 167, 172,
187, 212

Dębski, Aleksander II - 164, 173

Dębski, Jan I - 47

Diamand, Henryk I - 47; II - 64

Dietrich, Otto II - 406

Dłuski, Kazimierz I - 122

Dmowski, Roman I - 15, 46, 56-58,
61, 64, 85, 87, 89-90, 113, 118,
122-123, 132, 139-140, 143, 158,
170, 190, 217; II - 74, 149, 153,
182, 210

Dollfuss, Engelbert II - 350

Doumenc, Joseph II - 382, 417

Doumergue, Gaston II - 326

Dowbór-Muśnicki, Józef I - 20, 70

Drax, sir Reginald II - 382

Drwęski, Jarosław I - 73

Dubois, Stanisław II - 164

Dymowski, Tadeusz I - 58

Dzierżyński, Feliks I - 37, 172, 194

Eden, Anthony II - 219

Englich, Józef I - 98

Erlich, Henryk I - 29

Estreicher, Stanisław II - 39

Fischer, Louis II - 383

Fish, Hamilton II - 73

Foch, Ferdinand I - 70, 112, 117,
139-141, 208

Gaj I - 198

Gatecki, Kazimierz II - 94, 97

Gamelin, Maurice II - 352, 369

Gdyk, Ludwik II - 64
Gibson, Hugh I - 163
Gisevius, Hans Bernd II - 364
Głębiński, Stanisław I - 47; II - 64,
75, 290

Goltz, Rüdiger von der I - 150

Göring, Hermann II - 334, 342

Grabowski, Witold II - 173, 231

Grabski, Stanisław I - 47, 57, 158,
165, 169, 171, 173, 214-217, 220;
II - 56-58, 64, 101, 117

Grabski, Władysław I - 47, 98, 107,
190; II - 82, 86-89, 100-110, 112-
113, 115-122, 125, 127-128, 130,
142

Grażynski, Michał II - 180

Grzybowski, Wacław II - 372, 389

Habsburg, Wilhelm I - 78

Halder, Franz II - 409

Halifax, Edward Wood, lord II -
357, 376

Haller, Józef I - 19-20, 67, 71, 86-
87, 149, 197; II - 128

Haller, Stanisław I - 20; II - 128,
134

Hammerling, Ludwik II - 84

Hammerstein, Kurt von II - 341

Hankiewicz I - 77

Henderson, sir Neville II - 407, 410-
414

Hermanowski, Klemens II - 173

Hindenburg, Paul von II - 307-308

Hirsch, Paul I - 67

Hitler, Adolf I - 124, 235; II - 299-
300, 307-311, 317, 319-324, 326,
329, 334, 338, 340-342, 345-351,
353-354, 356-368, 370-374, 376-
380, 383-384, 387-414, 416-420,
422-423

Hlond, August II - 272-273

Höring, Otto I - 128

Hohenzollernowie I - 120

Howard, sir Esme I - 232

Hrabyk, Klaudiusz II - 182

Huebner, Zygmunt II - 101

Iwanowski, Jerzy I - 148

Iwaskiewicz, Wacław I - 83

Januszajtis, Marian I - 58

Jęgorow, Aleksandr I - 197

Jędrzejewicz, Janusz II - 174

Joffe, Adolf I - 92, 214-216
 Jogiches-Tyszko, Leon I - 34
 Jouvenel, de II - 317
 Judenicz, Nikołaj I - 152, 157, 212

Kakowski, Aleksander II - 75, 134
 Kalinin, Michaił I - 160, 162
 Kaliński, Emil II - 231
 Kamieniecki, Witold I - 220
 Kamieniew, Lew I - 190, 196, 203-204

Kamieniew, Siergiej I - 164, 186, 200

Kamieński, Antoni II - 71
 Kapp, Wolfgang I - 159
 Karnicki, Aleksander I - 147-148
 Kasprzak, Marcin I - 34
 Kasprzycki, Tadeusz II - 231, 369
 Keitel, Wilhelm II - 363, 409
 Kellogg, Frank II - 303-304, 309, 312, 315, 331

Kennard, sir Howard II - 365, 383
 Keynes, John Maynard II - 240
 Kęszycki, Daniel I - 231
 Kiereński, Aleksandr I - 32, 61, 113, 123

Kiernik, Władysław I - 47, 214; II - 64, 96, 164, 181

Koc, Adam II - 159, 262-263, 266
 Kończak, Aleksandr I - 147, 151-152, 157, 164, 212

Kon, Feliks I - 194

Konarzewski, Daniel I - 71

Konopeczyński, Władysław II - 64

Kopa, Andrzej I - 68-69

Kopp I - 210-211

Korfanty, Wojciech I - 47-48, 65, 74, 130-131, 230, 234; II - 58-60, 64, 69, 79, 83, 85, 89, 96, 101, 160, 163

Kostek-Biernacki, Wacław II - 165, 168

Kościusko, Tadeusz I - 14, 89, 116

Kowarda, Borys II - 302

Kozłowski, Leon II - 175

Kramarz, Karel I - 86

Krasin, Leonid I - 190

Krawczenko, Wiktor II - 403

Krysiewicz, Bolesław I - 74

Krzyżanowski, Adam II - 245-246

Kucharski, Władysław II - 88, 113-114

Kurdybowski I - 85-86, 166

Kutrzeba, Stanisław II - 34

Kutrzeba, Tadeusz I - 188
 Kwapiński, Jan II - 64, 93, 96, 171
 Kwiatkowski, Eugeniusz II - 137, 152, 193, 223, 230-231, 233-238, 240, 242-243, 245-247, 250, 257-258, 262-264, 270-271, 273-274
 Kwiatkowski, Jan II - 164, 173

Laroche, Jules II - 306 -

Laval, Pierre II - 220

Lechnicki, Zdzisław II - 180

Lenin, Włodzimierz I - 18, 28-33, 36, 38, 61, 115, 125, 128, 134-138, 141, 151-152, 154-158, 160-165, 182, 188, 193-195, 199, 203, 206, 210-217, 224-227, 232; II - 12, 146, 227, 339, 363, 385, 416, 420

Le Rond, Henri I - 230, 232

Leszczyński, Stanisław II - 173

Lewicki, Kost' I - 77

Lewyckij, Andrej I - 168

Lieberman, Herman I - 79; II - 64, 124, 147-148, 156, 164-165

Liebknecht, Karl I - 119

Limanowski, Bolesław II - 64

Linde, Hubert II - 88

Lipski, Józef II - 357, 364, 411-413

Listowski, Antoni I - 186

Litwinow, Maksym II - 221, 304, 309, 312, 315, 331, 338, 342, 354, 363, 368, 383

Lloyd George, David I - 122-123, 132, 150, 162, 194-195

Lord, Robert Howard I - 123, 142, 232

Luksemburg, Róża I - 29, 34-36, 61, 119, 128

Lutosławski, Kazimierz I - 47

Ładoś, Aleksander I - 216

Łaszewski, Stefan I - 74

Łukin, Nikołaj I - 28

Machno, Nestor I - 172

MacDonald, James Ramsay II - 317

Mackiewicz, Stanisław Cat II - 416

MacKinder, sir Halford John I - 158

Majewski, Stefan I - 82

Majski, Iwan II - 420

Makowski, Wacław II - 51, 78, 175, 274

Maleczewski, Juliusz II - 131-135

- Malinowski, Maksymilian II - 213
 Marchlewski, Julian I - 31, 34-35, 153, 155-158, 189, 194, 196, 203
 Marek, Zygmunt II - 64, 93, 140
 Marinis, de I - 230
 Masaryk, Tomasz II - 286, 344
 Mastek, Mieczysław II - 164
 Matuszewski, Ignacy II - 244, 300
 Mączyński, Czesław I - 79-80
 Meissner, Czesław I - 74
 Michalski, Jerzy II - 55, 61
 Michałowski, Czesław II - 170
 Mickiewicz-Kapsukas, Vincas I - 92
 Mickiewicz, Adam I - 89, 91
 Miedziński, Bogusław I - 234; II - 159, 230, 309-310, 315, 323
 Mielżyński, Maciej I - 234-235
 Mierekałow, Aleksiej II - 367, 370
 Millerand, Alexandre I - 196, 222
 Mołotow, Władysław I - 28, 120; II - 368, 370-371, 373-375, 377-378, 380-381, 383-384, 389, 391, 395, 397-398, 403-404, 408, 416, 419
 Moraczewski Jędrzej I - 21-22, 38, 42, 45-48, 50-51, 53-55, 58-61, 66, 100, 107; II - 64, 96, 104, 130, 154-155, 185, 256-257
 Morawski, Kazimierz II - 76, 79
 Mosdorf, Jan II - 182
 Moskalewski, Stanisław II - 103
 Mościcki, Ignacy II - 139-140, 161-163, 175, 214, 220, 223-234, 263-264, 270-274, 327-328, 345, 355, 358, 362, 388
 Mussolini, Benito II - 92, 103, 147, 313, 317, 350, 352, 366, 369, 395, 407, 410

 Narutowicz, Gabriel II - 52-53, 60-61, 65-68, 71-78, 92, 128, 130, 139, 141, 278, 282, 284
 Neurath, Konstantin, Freiherr von II - 341
 Niedziałkowski, Mieczysław I - 47, 50, 137; II - 31, 64, 93, 96
 Niewiadomski, Eligiusz II - 65-66, 71-72, 76-77
 Nocznicki, Tomasz II - 64
 Noël, Léon II - 345-346, 348, 383
 Nowak, Julian II - 60, 71, 77

 Omeljanowicz-Pawlenko I - 167-168, 178
 Osiecki, Stanisław I - 48; II - 167-168, 178
 Ositko I - 82
 Osmołowski, Jerzy I - 142
 Ostachowski, Józef I - 49
 Oszima, Hirosze II - 401

 Paderewski, Ignacy Jan I - 45-46, 55, 58-62, 67, 71, 85, 97, 100, 107, 120, 122, 124, 131, 133-134, 140, 143, 150-152, 155, 158; II - 222
 Paluch, Mieczysław I - 230
 Panejko, Wasyl I - 77
 Papen, Franz von II - 341
 Patek, Stanisław I - 163, 165; II - 312
 Paul-Boncour, Joseph II - 311
 Percival I - 230
 Perl, Feliks I - 47; II - 64, 92-93, 117
 Petlura, Symon I - 77, 81-88, 156, 161, 165-170, 172-174, 179-183, 185, 187, 218
 Petruszewicz, Eugeniusz I - 77, 83-87, 167
 Pękosiński, Jan II - 126
 Piasecki, Bolesław II - 183
 Piątkowski, Henryk II - 134
 Pieracki, Bolesław II - 183
 Piętrzyński, Ryszard II - 182
 Piltz, Erazm I - 65, 113, 122, 131-132
 Piłsudski, Józef I - 14-15, 18-19, 21, 24, 34, 43-46, 48-50, 52-58, 61-62, 66, 71, 82-83, 85-88, 90, 93-98, 100-101, 109, 115, 118-121, 133-134, 136, 140-143, 148-153, 155-158, 162-164, 166, 168-169, 171, 173-177, 180-183, 185-187, 189-191, 193, 197-201, 205, 208-209, 218-219, 221-223, 229; II - 29-32, 40-41, 49, 55-62, 65-67, 69-71, 74-78, 80, 83-84, 92, 98-99, 101, 122-124, 126-165, 167-168, 174-176, 178-181, 183, 210-212, 214-221, 223-234, 258, 262-263, 266-271, 278-279, 284, 286, 297-298, 300-301, 306, 310-314, 316, 322-324, 327-330, 332, 334, 336-342, 344-348, 353-354

Piotr Wielki I - 184
 Pokrowski, Michał I - 28
 Poniatowski, Juliusz I - 47; II - 64, 231
 Ponikowski, Antoni I - 107; II - 56, 113, 279, 286
 Popiel, Karol II - 64, 164, 173
 Poszwiński, Adam I - 74
 Pośpiech, Paweł I - 74
 Potiomkin, Władimir II - 361, 372, 389
 Pragier, Adam II - 164-165
 Prochnik, Adam II - 93, 158
 Prystor, Aleksander II - 174, 218, 224, 228
 Pułaski, Franciszek I - 122
 Putek, Józef I - 164
 Pużak, Kazimierz I - 47; II - 64

 Raczkiewicz, Władysław II - 101
 Raczynski, Edward II - 408
 Radek, Karol II - 309-310, 315
 Radziwiłł, Stanisław II - 150
 Radziwiłłowie II - 140
 Rakowski, Christian I - 84, 161, 174
 Rakowski, Janusz II - 238
 Rataj, Maciej I - 47, 124, 190; II - 31, 64-65, 72, 76-77, 95-96, 123, 127, 131, 133-134, 136-137, 139, 141, 264
 Ratajski, Cyryl II - 101
 Rauschnig, Hermann II - 322
 Rauze, Robert II - 173
 Reszeter I - 168-169
 Rękwicz II - 97
 Ribbentrop, Joachim von II - 357, 359, 362, 364, 366, 378, 382-384, 389, 391, 393, 395-398, 403-404, 406-414
 Roman, Antoni II - 231
 Romańczuk, Julian I - 78
 Romer, Eugeniusz I - 113, 122
 Romer, Jan I - 82, 181
 Roosevelt, Franklin D. II - 258
 Rozwadowski, Tadeusz I - 19-20, 190, 193; II - 134-135
 Römmel, Juliusz I - 198
 Rubel, Ludwik II - 310
 Rumbold, sir Horace I - 151-152, 158
 Rybak, Józef I - 179
 Rybczyński, Mieczysław II - 101
 Rykaczewski, Jan II - 173
 Rykow, Aleksiej I - 202

Rymer, Józef I - 74
 Ryszanek, Władysław II - 165
 Rzepecki, Karol I - 73-74

 Sapięha, Eustachy I - 58, 196, 222
 Sawicki, Adolf II - 164
 Sazonow, Siergiej I - 147
 Schaetzel, Tadeusz II - 312
 Schmidt, Paul II - 410-413
 Schnurre, Karl II - 368, 378
 Schubert, Wilhelm I - 211
 Schulenburg, Friedrich Werner, Graf von der II - 368, 370, 377-378, 380, 398
 Seeckt, Hans von I - 195, 211, 221
 Seyda, Marian II - 31, 64
 Seyda, Władysław I - 64-65, 74, 149
 Siergiejew, E. N. I - 202
 Sikorski, Władysław I - 183, 193, 197, 209; II - 72, 75-82, 84-85, 101, 128, 135, 415
 Simons, Walter I - 211, 215, 221
 Skierski, Leonard I - 187
 Skirmunt, Konstanty II - 278, 286
 Skoropadski, Paweł I - 77
 Skrzyński, Aleksander II - 78, 101, 112, 123-125, 127, 130, 290-291, 294-295
 Skulski, Leopold I - 107, 158, 190
 Stawek, Walery II - 150, 153-154, 159, 161, 163, 168, 174-175, 212, 214, 217-218, 224-228, 263, 270-271, 274
 Sławoj-Składkowski, Felicjan II - 163, 217, 228, 231-232, 391, 415-416, 418
 Sokolnicki, Michał I - 122
 Solf, Wilhelm I - 64
 Sołtan, Władysław II - 101
 Sosnkowski, Kazimierz I - 20, 186, 190; II - 60, 78, 101, 135, 220
 Stachiewicz, Julian I - 82; II - 218
 Stahl, Zdzisław II - 182
 Stalin, Józef I - 28-30, 36, 137-138, 198; II - 303, 305, 309-310, 339, 349, 360-361, 363-364, 366-367, 371, 373, 376, 379-380, 383-384, 389, 391-393, 395, 398-407, 414, 417-420, 423
 Stamirowski, Kazimierz II - 132
 Stańczyk, Jan II - 97
 Stapiński, Jan I - 47, 190
 Stolarski, Błażej I - 47; II - 64
 Strang, sir William II - 375-377

- Stresemann, Gustaw II - 112, 291-292, 294-295, 298, 303, 306, 311, 317
 Stroński, Stanisław II - 76, 213
 Studnicki, Władysław II - 416
 Szaposznikow, Borys I - 164; II - 381
 Szembek, Jan II - 348
 Szeptycki, Andrzej I - 76; II - 167
 Szeptycki, Stanisław I - 20, 76, 234; II - 96, 128

 Śliwiński, Artur II - 59
 Śmigły-Rydz, Edward I - 178, 188; II - 220, 223-224, 228-233, 245, 263-266, 268-269, 271, 273, 345, 352
 Świętosławski, Wojciech II - 231

 Tarczak, Stanisław I - 70
 Tardieu, André II - 311
 Tarnowski, Zdzisław II - 150
 Thugutt, Stanisław I - 58; II - 64, 78, 100-101, 117, 121
 Tokarzewski, Michał I - 82
 Trąpczyński, Wojciech I - 47-48, 73, 190; II - 64-65
 Treviranus, Gottfried Reinhold II - 303
 Trocki, Lew I - 160, 162, 172, 198, 206, 210; II - 303
 Tuchaczewski, Michał I - 181-182, 189, 193, 197-198, 200, 202-203, 205, 207, 211
 Tyska, Kazimierz II - 101

 Ulrych, Juliusz II - 231
 Unslicht, Józef I - 194
 Urbanek I - 230

 Valdemaras, Augustinas I - 92; II - 302

 Wachowiak, Stanisław II - 64
 Wałęga, Leon II - 83
 Warski, Adolf II - 34
 Waryński, Ludwik I - 109
 Wasilewski, Leon I - 62, 121-122, 140, 173-174, 211
 Wasilko, Mikołaj I - 78
 Weizsäcker, Ernst, Freiherr von II - 367, 370, 401, 413
 Wejtko, Władysław I - 93
 Wenckenbach II - 220

 Wenda, Zygmunt II - 274
 Weygand, Maxime I - 197, 213
 Wieczorek, Józef II - 93
 Wieczorkiewicz, Antoni II - 90
 Wierzejewski, Wincenty I - 68
 Wilhelm II II - 66
 Wilson, Thomas Woodrow I - 15, 64, 89, 111-112, 114, 116, 121-123, 126, 132, 233; II - 279
 Winiański, Bohdan II - 213
 Winniczenko I - 77
 Wirth, Josef I - 221
 Witkowski, Dymitr I - 78
 Witold I - 88
 Witos, Wincenty I - 47, 107, 190, 192-193, 196, 223; II - 54-56, 61, 64, 70, 81-87, 89, 92, 94-96, 99-100, 126-127, 129-135, 137, 143, 160, 164-165, 173, 177, 181, 233
 Wojciechowski, Stanisław II - 70-71, 75-78, 100-102, 123, 126-128, 131-136, 138, 141
 Wojkow, Piotr II - 302
 Wolsztyger, Władysław I - 74
 Woroszyłow, Kliment I - 186; II - 377, 381-382, 389, 391, 395, 403
 Wrangel, Piotr I - 151, 163-164, 172, 196-197, 213
 Wrzos, Konrad II - 227
 Wyndham, Percy I - 151
 Wysłouch, Bolesław II - 64
 Wysocki, Alfred II - 324, 341

 Young, Owen D. II - 88, 303

 Zagórski, Włodzimierz II - 134-135, 138
 Zaleski, August II - 137, 298, 300-301, 303-304, 306-307, 310
 Zamoyski, Maurycy II - 70-71, 76, 79, 101
 Zaremba, Zygmunt II - 93
 Zdziechowski, Jerzy I - 58; II - 64, 125-126
 Zenkteller, Kazimierz I - 235
 Zgrzebnik, Alfons I - 230
 Zinowiew, Grigorij II - 303
 Zyndram-Kościałkowski, Marian II - 228, 230-231

 Żeligowski, Lucjan I - 18, 208-209, 213, 220; II - 132
 Żymierski, Michał II - 114

SPIS TREŚCI

Część druga

SPRAWY WEWNĘTRZNE

<i>Początki</i>	9
<i>Gospodarka</i>	12
<i>Wiś</i>	18
<i>Konstytucja Marcowa</i>	29
<i>Mniejszości narodowe</i>	44
<i>Spór konstytucyjny</i>	54
<i>Wybory 1922</i>	60
<i>Zamordowanie prezydenta</i>	65
<i>Prezydent Wojciechowski i rząd Sikorskiego</i>	75
<i>Rząd Witos</i>	81
<i>Reformy Grabskiego</i>	100
<i>Bank Polski obala rząd</i>	115
<i>„Sejmowładztwo”</i>	122
<i>Zamach majowy</i>	132
<i>Piłsudski u władzy</i>	141
<i>Piłsudski i opozycja</i>	152
<i>Rządy pułkowników</i>	174
<i>Kryzys gospodarczy i społeczny</i>	183
<i>Spółczeństwo lat trzydziestych</i>	191
<i>Konstytucja Kwietniowa</i>	211
<i>Śmierć Marszałka</i>	216
<i>Bez Piłsudskiego</i>	221

<i>Kwiatkowski i polska gospodarka</i>	233
<i>Rolnictwo w końcu lat trzydziestych</i>	247
<i>Problemy społeczne</i>	252
<i>Instytucje samorządowe</i>	257
<i>OZON</i>	262
<i>Ostatnie wybory</i>	270

Część trzecia

POLITYKA ZAGRANICZNA

<i>Od Rygi do Rapallo</i>	277
<i>Locarno</i>	289
<i>„Zacisze pięcioletnie”</i>	296
<i>Pakty nieagresji</i>	304
<i>Pakt Wschodni</i>	328
<i>W Lidze Narodów</i>	332
<i>Dziedzictwo Piłsudskiego</i>	336
<i>Nadrenia</i>	342
<i>Rambouillet</i>	350
<i>Ku wojnie</i>	353
<i>Rokowania czy przetarg?</i>	368
<i>Polska i rokowania niemiecko-sowieckie</i>	384
<i>Pakt Ribbentrop - Mołotow</i>	391
<i>Ostatnie dni pokoju</i>	405
<i>Czy była alternatywa?</i>	414
<i>Między Niemcami i Rosją</i>	419
<i>Indeks nazwisk</i>	425



B. Ke Rasymishid
Poznań

2008.02.12

BIBLIOTEKA NARODOWA
WARSZAWA



30001000472078